

JOANNA CHMIELEWSKA

Zers 



Wielki Diament

TOM I

JOANNA CHMIELEWSKA

WIELKI DIAMENT

TOM I

VERS

1996

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Blackhillowie i Noirmontowie

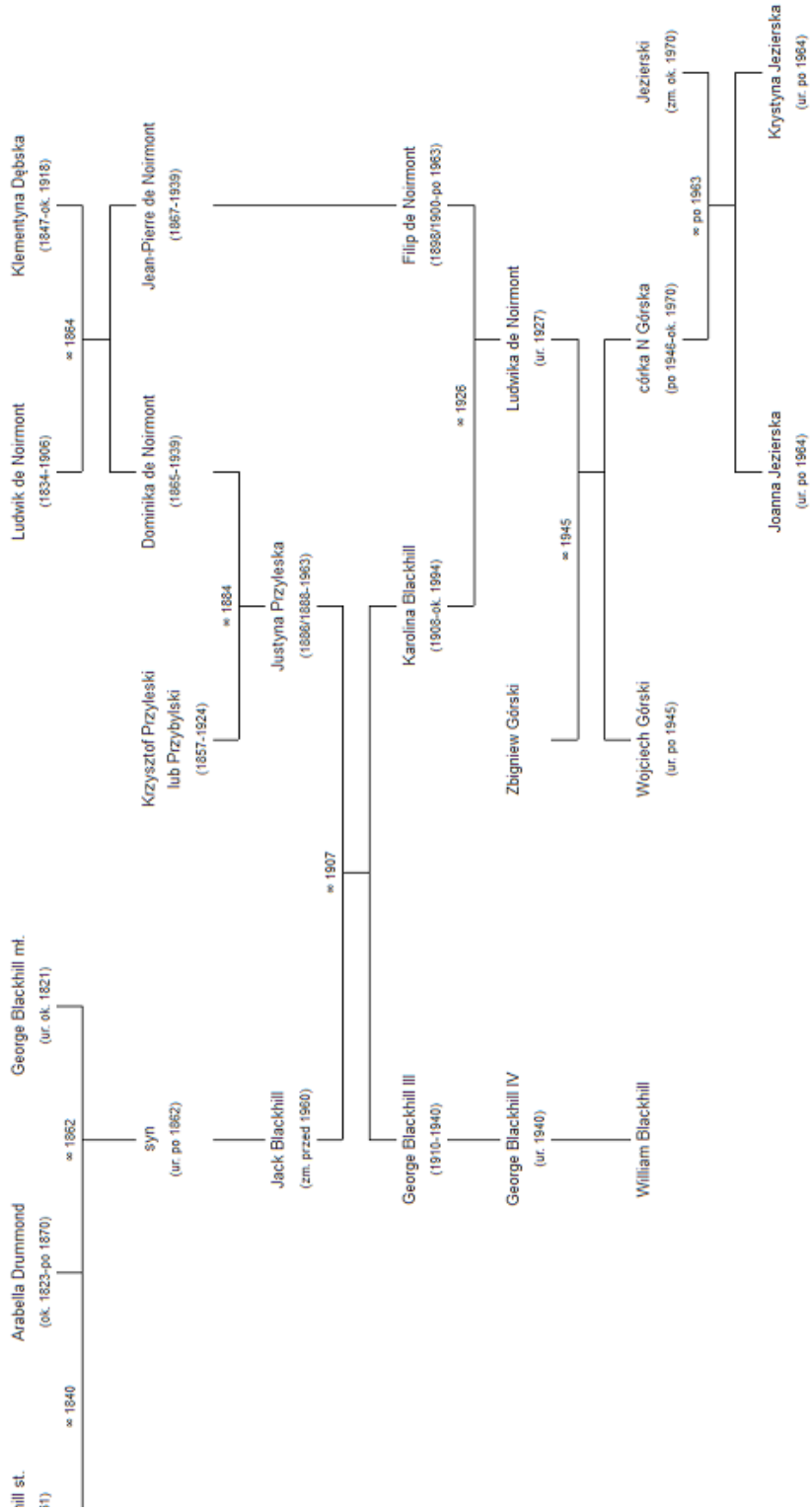
TOM 1

Okładka

Karta tytułowa

TOM 2

Blackhillowie i Noirmontowie



George Blackit
(ok. 1795-186

[Do pobrania w lepszej rozdzielczości :\)](#)

TOM 1

Pan mecenas obrzucił swe klientki spojrzeniem, któremu postarał się odebrać wszelki wyraz.

– W wypadku mienia bardzo wysokiej wartości, szczególnie ruchomego – rzekł sucho – należy niezbicie udowodnić prawo własności. Wykluczyć podejrzenia, jakoby przedmiot mógł zostać ukradziony lub też w inny sposób zawładnięto nim bezprawnie. Odnaleziony nieoczekiwanie, powiedzmy, obraz Rembrandta, o którym może nawet chodziły jakieś słuchy... albo nie... Wykluczyć ewentualność fałszerstwa, prześledzić koleje losu...

– W tym wypadku fałszerstwo nie wchodzi w rachubę – zauważyła grzecznie jedna z klientek.

– Tak, istotnie. Zatem koleje losu. Udokumentować na piśmie, bo żywych świadków, jak rozumiem, nie ma już na świecie. Korespondencja, powiedzmy, rzecz jasna należy zbadać jej autentyczność...

– Założmy, że wszystko się zgadza – przerwała z odrobiną niecierpliwości druga klientka. – I potem co?

– I potem, oczywiście, mogą panie tym dysponować.

– A podatek spadkowy?

– Podatek musiałyby panie zapłacić w wypadku sprzedaży przedmiotu. Zrozumiałem, że wartość przedmiotu jest nie do określenia...?

Obie klientki równocześnie kiwnęły głowami.

– Zatem w wypadku sprzedaży. W razie ciągnięcia zysków z... powiedzmy... demonstracji... oczywiście podatek od tych zysków. Poza tym

nie widzę przeszkód, ale bez przeprowadzenia dowodu nie radziłbym...

– A komu właściwie należałoby ten dowód podetknąć pod nos? – spytała uprzejmie pierwsza klientka. – Policji? Ministerstwu Skarbu rozmaitych krajów? Radzie Europejskiej? UNESCO?

– Mafii sycylijskiej...? – podsunęła druga.

– Myślę, że najlepiej wszystkim – odparł pan mecenas w nagłym przyływie szczerości. – W grę wchodzi jeszcze prasa, notariaty, sądy.

Dwie damy przyglądały mu się przez chwilę w milczeniu, po czym równocześnie podniosły się z krzeseł.

– W porządku – powiedziała jedna z nich, pan mecenas nie wiedział już, która, bo przedtem rozróżniał je po zajmowanych miejscach, ta z prawej, ta z lewej, a wstając zdążyły się przemieszać. – Rozgłosimy to powszechnie. Przetłumaczymy to przez tłumaczy przysięgłych i roześlemy po całym świecie. Co do udowodnienia, nie ma problemów.

Druga zatrzymała się jeszcze w drodze ku drzwiom i odwróciła.

– Rozumiem, że pan mecenas zechce wystosować oficjalne pismo przewodnie?

Pan mecenas zerwał się i skłonił.

– Tak jest. Oczywiście. Jeśli panie sobie życzą, dopilnuję ekspertyz.

– Zatem ma pan klientki...

Panie wyszły, a pan mecenas opadł z powrotem na krzesło i otarł pot z czoła...

– O twoją rękę oświadczył się George Blackhill – powiedział ojciec bez wstępów, szorstko i dość gburowato. – Wyraziłem zgodę.

Przed siedemnastoletnią Arabellą Drummond otworzyły się wrota raj.

Mogłaby wszystkiego się spodziewać, tylko nie przyjęcia przez jej ojca oświadczyn George'a Blackhilla. Nawet same oświadczyń wydawały się mało prawdopodobne, musiał to być z jego strony akt desperackiej odwagi,

bo sytuacja, w jakiej się znajdował, pozbawiła go prawa do wszelkich oświadczeń. Wszyscy wiedzieli, że jest biedny jak mysz kościelna i żadne perspektywy przed nim nie istnieją, trzeci syn lorda Tremayne'a na rodzinny majątek nie miał najmniejszych szans. Może jakaś odległa ciotka dała mu trochę pieniędzy albo inny krewny...?W George'u Blackhillu Arabella zakochała się na śmierć i życie od pierwszego wejrzenia. Na balu, rzecz jasna. Przedstawiono go jej, spojrzeli na siebie i już wiedzieli, że pojawiła się między nimi, wybuchła i eksploatowała z trzaskiem miłość wieczna i nadziemska, taka do końca życia i nawet poza grób. Nie odrywając od siebie oczu, tańczyli razem wszystkie tańce, które Arabelli udało się wydrzeć innym wielbicielom, bez względu na przyzwoitość. Zapewne coś do siebie mówili, ale było to bez znaczenia. Miłość huczała niczym pożar lasu, głuszając inne dźwięki.

Oczywiście zaraz potem spotkała go na przejażdżce konnej, w teatrze, na herbacie u kuzynki Anny, na kolejnym balu, został przyjęty w domu i mógł bywać. Bywał zatem z ognistym zapalem. Nie on jeden. Rodzice Arabelli, mając na karku ciężar w postaci czterech córek, prowadzili dom otwarty, bo co najmniej trzy z nich dojrzały już do mariażu. Żadna nie posiadała posagu godnego bodaj odrobiny uwagi, wszystkie za to dysponowały urodą wielkiej klasy i na tę ich urodę matka bardzo liczyła. Po świecie błąka się wielu bogatych głupków, fundujących sobie piękne żony, tak samo jak, na przykład, piękne konie. Konie też nie miewają posagu.

Nadzieje lady Drummond okazały się dość sensowne. Najstarsza, dwudziestoletnia Mary, już była zaręczona z sir Ryszardem Alburym, młodzieńcem w bardzo zaawansowanej sile wieku, posiadaczem rozległych włości, pozbawionym rodziny, która mogłaby mu bruździć. Był wdowcem, ale, na szczęście, bezdzietnym, a Mary nie miała nic przeciwko temu, żeby zostać panią imponującej posiadłości i domu, którego jeden narożnik

mocno przypominał zrujnowaną wieżę zamkową. Sir Albury szczylił się posiadaniem przodków, którzy automatycznie staną się przodkami jej dzieci, Mary zaś miała silne instynkty macierzyńskie i sytuacja przyszlých dzieci leżała jej troską na sercu. Aprobowała sir Ryszarda.

Druga z kolei, Elisabeth, jasnowłosa tak, że jej włosy wydawały się srebrne, przebierała w adoratorach jak w ulęgałkach i co najmniej trzech kandydatów do jej ręki wartych było rozważań. Lady Drummond zdumiewająco rozsądnie, preferowała najmłodszego z nich, plebejusza wprawdzie, ale upiornie bogatego. Jego ojciec, stryj i wuj, a prawdopodobnie także i dziadek, wszyscy byli bankierami, on zaś reprezentował sobą jedynie dziecko w rodzinie i cały spadek po trzech żyjących jeszcze bankierach już prawie na niego czekał. Gdyby nie lekkie zidocenie, widniejące na jego obliczu, lady Drummond nie wahałaby się ani chwili. Elisabeth, jeszcze rozsądniej niż matka, nie zgłaszała żadnych protestów. Przytomnie oceniwszy korzyści, jakich dostarcza głupkowaty mąż, gotowa była go przyjąć, szczególnie że przodków świniopasów, lub też handlarzy wołami, nikt mu nie przypisywał, a jego ojciec świeżutko został nawet obdarzony szlachectwem.

Siedemnastoletnia Arabella była trzecia z kolei. Najpiękniejsza z sióstr, zapewne dla równowagi miała najgorszy charakter. Awanturniczość odziedziczyła po matce, bezwzględność i upór po ojcu, despotyzm zaś i samowolę po obojgu rodzicach. Inteligencję nie wiadomo po kim. Lady Drummond trzeciej córki najbardziej chciała się pozbyć, przewidywała bowiem kłopoty. Płomienne rude włosy i zielone oczy nie wróżyły niczego nic dobrego, a podstępna i zuchwała krnąbrność Arabelli budziła jak najgorsze przeczucia.

Najmłodsza, piętnastoletnia Małgorzata, chwilowo pozostawiona była odłogiem, tak jak jej trzynastoletni brat, jedyny syn, Harry, brnący na razie

jeszcze przez szkołę.

Początek dziewiętnastego wieku nie sprzyjał pozbawionej majątku urodzie, ale wszystkie cztery siostry miały w sobie coś, co ogłupiało mężczyzn radykalnie. Na ich widok rozsądnie zdychał, a myśl o pieniądzach wędła w zaraniu. Gdyby zostały kurtyzanami, zrobiłyby karierę zgoła wszechświatową, ale, niestety, pochodziły z doskonałej, acz podupadłej finansowo rodziny i pomysł jakichkolwiek niestosownych czynów nawet nie zaświtała im w głowie. Uporczywe tańce Arabelli z George'em stanowiły największą nieprzyzwoitość, na jaką mogła się zdobyć. Królowa Wiktorja nie zasiadła jeszcze, co prawda, na tronie, a stary król pozwalał na wysoce gorszącą rozwiązłość, nie wszyscy jednak szli w jego ślady. Dobra rodzina, to dobra rodzina, a dobre obyczaje, to dobre obyczaje, i nie ma siły, należy im się podporządkować.

Zakontraktowana zniecka Arabella trwała w zachwycie przez całe siedem godzin. Narzeczoną, oświadczywszy się w czasie jej nieobecności i uzyskawszy odpowiedź przychylną, poszedł precz, co ją nawet nieco zdziwiło, po czym miał przybyć na obiad, który stanowił doskonałą okazję do ogłoszenia zaręczyn. Lady Drummond, pośpiesznie uzgodniwszy rzecz z małżonkiem, nie zamierzała zwlekać, wolała usidłać przyszłego właściciela najtrudniejszej córki jak najszybciej i nieodwracalnie.

Chwila, która nadeszła, dla Arabelli nosiła znamiona końca świata.

Przed wszystkim z lekkim niepokojem stwierdziła nieobecność ukochanego, przy czym, najwyraźniej w świecie, nikt się tą nieobecnością nie dziwił i nie przejmował. Wszystko wydawało się być w porządku. Nie miała czasu zdenerwować się i zaniepokoić bardziej, ponieważ ojciec, zaledwie weszła do salonu, powstał i w obliczu szesnastu zgromadzonych tam osób, rzekł: – Mam zaszczyt zawiadomić wszystkich państwa, tu

obecnych, o zaręczynach córki mojej, Arabelli, z pułkownikiem George'em Blackhillem...

Zarazem uczynił gest, od którego Arabella osłupiała. Bez najmniejszych wątpliwości wskazywał osobnika, stojącego przy kominku i wspartego o gzyms.

Osobnika znała doskonale i widywała mnóstwo razy. Rozmawiała z nim nawet. To on właśnie przedstawił jej George'a. Był jego krewnym, zdaje się, że stryjem... W tym właśnie momencie, w jednym mgnieniu oka, uprzytomniła sobie, że stryj i bratanek nazywają się jednakowo. Noszą to samo nazwisko i obaj mają na imię George. Zapomniała o tym, wyleciało jaj z głowy, przez myśl jej nie przyszło, że stryj, okropny, czterdziestopięcioletni starzec, stojący nad grobem, mógłby pretendować do jej ręki. Był bogaty, to fakt, przeszło dwadzieścia lat pobytu w Indiach dało mu fortunę, ale sądziłaby raczej, że wspomógł bratanka.

Nagle pojęła, kto oświadczył się o jej rękę i dlaczego został przyjęty.

Na moment zabrakło jej głosu i tchu. Stała jak kamień. Zramolałe stare próchno przy kominku wyprostowało się i ukloniło.

Był pomarszczony, brązowy i obrzydliwy. Miał zwisającą dolną wargę. Chodził jakoś dziwnie, podrygując w kolanie, mówił przez nos i wszystko wiedział lepiej. Korygował, poprawiał i pouczał każdego, nawet jej ojca, który, ze względu na córki i pod wpływem żony, znosił to cierpliwie, acz z zaciśniętymi zębami. Do niej samej, do Arabelli, powiedział kiedyś coś takiego... Zajęta gorączkowym przypominaniem sobie owej kretyńskiej, niedopuszczalnej, wręcz obelżywej uwagi, całkowicie przeoczyła dalszy ciąg uroczystości. Jej ojciec coś mówił. Pułkownik George Blackhill coś mówił. Inne osoby też coś mówiły. Brzęczeli wszyscy po prostu, jak muchy. Kto słucha muchy...? Po czym okazało się, że przepadło, jest zaręczona nie z

bratankiem, tylko ze stryjem, z pułkownikiem George'em Blackhillem, i za trzy miesiące ma zostać żoną odrażającego potwora.

Piekło na ziemi wybuchło, kiedy goście już poszli, a trzy siostry Arabelli udały się na spoczynek.

Takiej awantury w rodzinie dotychczas jeszcze nie było, pierwszy raz bowiem Arabella i jej matka zdecydowanie wystąpiły przeciwko sobie. Ich jednakowe cechy charakteru nie miały okazji wcześniej wyjść na jaw, ponieważ lady Drummond wykazywała dużo zdrowego rozsądku i powalała córcę, do niedawna jeszcze dziecku, na rozmaite nieszkodliwe wybryki, Arabella zaś wyładowywała temperament w rozrywkach wiejskich. Na koniach niezupełnie ujeżdżonych, na drzewach, po których łąziła z upodobaniem, w rzece, gdzie pływała nie zawsze w przyzwoitej koszuli, wśród psów i w pogoniach za lisem. Do tej pory nigdy nie usiłowano złamać jej życia, dopiero teraz...

– Kto cię oszukał, idiotko?! – syczała z furią lady Drummond. – O czym ty mówisz, jaki chodzący trup?! Zgodziłaś się na niego bez słowa!

Dodatkowy dramat Arabelli polegał na tym, że do George'a młodszego nie mogła się przyznać. Musiała ukryć własną koszmarną pomyłkę. Za nic w świecie nie wyjawiałaby miłości, która w oczach rodziców pogrzyżałaby ją tylko beznadziejnie, kretyńskie uczucie do nędzarza, oszalała chyba, zamknęliby ją w lochu...!

Londyński dom nie dysponował wprawdzie lochem, ale Arabella straciła opamiętanie. Spętana koniecznością ograniczenia argumentów, tym bardziej waliła w różnicę wieku, do nieprzytomności denerwując tym matkę, niewiele od pułkownika młodszą.

Ojciec w milczeniu przeczekiwał całe to szaleństwo.

– Możesz wywoływać skandal, jeśli chcesz – rzekł wreszcie suchym głosem – ale zapamiętaj sobie, że nie dostaniesz ani grosza. Natychmiast

wracasz na wieś i już tam zostaniesz. Tyle będziesz miała, co służąca, jedzenie, dach nad głową i jednego funta rocznie...

– Służąca ma sześć! – wyrwało się Arabelli.

– Jeżeli będziesz pracować tak jak służąca, dostaniesz sześć. Jeśli buty spadną ci z nóg, możesz chodzić bosą. Koniec.

Arabella wiedziała doskonale, że od takiego wyroku nie ma odwołania. Wróci na wieś, do wałacego się domu, do zrujnowanych chałup dzierżawców, do ciężkiej pracy albo śmiertelnej nudy, na odludziu, bez gości, wizyt, balów i tańców, bez wielbicieli, bez George'a, bez szans na przyszłość. Staropanieństwo ma zagwarantowane. A przecież dopiero zaczęła żyć...!

Nagle dotarło do niej, że matka jeszcze coś mówi. Coś o wyjeździe do Indii. No tak, ma poślubić tego starego paralityka już za trzy miesiące, bo on wraca do Indii i chce ją zabrać ze sobą. A George, młody George, jej George, wysyłany jest przecież do Indii, była o tym mowa, w ciągu tych siedmiu radosnych godzin nawet o tym nie pomyślała. Nie mając nic, pozbawiony tu wszelkich finansowych nadziei, prawie zaczął się godzić z decyzją rodziny, wahał się i zwlekał tylko ze względu na nią. Zdążyła pomyśleć, że pojedą razem... No więc dobrze, nie razem, ale ona też pojedzie do Indii, chociażby z tym wiekowym straszidłem, i proszę bardzo, skandal wybuchnie tam!

– Bardzo dobrze – powiedziała, nagle uspokojona i zacięta. – Niech będzie. Wyjdę za niego.

Lady Drummond z wysiłkiem zdołała ukryć zdumienie. Nie spodziewała się tak szybkiego sukcesu, oczekiwała wojny z córką jeszcze co najmniej przez tydzień. Niepewna, co Arabella może wymyślić i zrobić, pełna nieufności i podejrzeń, doznała jednak wielkiej ulgi.

W trzy miesiące później, stojąc przed pastorem w białej sukni i ślubnym welonie i wypowiadając słowa małżeńskiej przysięgi, Arabella Drummond, przekształcana właśnie na Arbellę Blackhill, w samej głębi przepełnionej dziką nienawiścią serca postanowiła sobie być najgorszą żoną, jaka kiedykolwiek istniała na świecie...

* * *

Pułkownik George Blackhill zewnątrznie nie był aż tak okropny, jak się wydawało Arabelli. Wysoki i chudy, zbrązowiały od indyjskiego słońca, rzeczywiście chodził niezbyt płynnym krokiem, było to jednak raczej prostowanie nóg w kolanach niż podrygi. Dolną wargę miał nieco obwisłą, ale na tym kończyły się jego wady, osobom trochę starszym od Arabelli mógł się nawet podobać. Znacznie gorzej niż powierzchowność prezentował się jego charakter.

W pierwszym rzędzie wypełniała go przerażająca pedanteria we wszystkich dziedzinach życia. Długa służba wojskowa wyrobiła w nim władczość i głębokie przekonanie o własnej nieomyślności. Rozmawiał prawie wyłącznie rozkazami, wtrącał się do wszystkiego, wszystko wiedział lepiej, nieubłagany i niemiłosierny zawsze stawiał na swoim, nie licząc się z nikim i z niczym. Metody stosował raczej dość brutalne, bez względu na to, kogo dotyczyły.

Miał też zalety. Jako dowódca był rzeczywiście doskonały, ponadto sprawiedliwy i uczciwy wedle swoich własnych kryteriów. Na tubylczej ludności żerował z umiarem, rabunku nie tolerował i karał go straszliwie, honor zaś cenił nade wszystko.

Arabella po ślubie znienawidziła go jeszcze bardziej. Noc poślubną przetrzymała z zaciśniętymi zębami, popłakała się z wściekłości dopiero

potem, kiedy mąż już zasnął. Na szczęście okropne przeżycie nie było dla niej zaskoczeniem, wiedziała, co ją czeka, wychowała się na wsi, gdzie nikt nie ukrywał przed nią pochodzenia źrebiąt, cieląt, kociąt i szczeniaków, od dzieciństwa znała te sprawy, tak samo jak jej siostry. Gdyby rodzina była bogata, dziewczęta trzymane by w salonach, pod opieką guwernantek, w otoczeniu służby, krowy widywałyby z daleka, konie przy powozie, a psy w trakcie polowania. Rozpaczliwie łatanе ubóstwo sir Drummonda wykluczyło guwernantki i spowodowało, że jego dzieci trybem życia i swobodą nie różniły się zbytńo od progenitury chłopów. Tyle że ogólnie były lepiej wychowane i równie dobrze czuły się w stajni, jak na prezentacji u króla.

Postanowienie zatrucia mężowi każdej chwili egzystencji Arabella zaczęła realizować nie od razu. Zainteresowała ją podróż, spodobało jej się na statku, choroba morska nie dotknęła jej w najmniejszym stopniu, a cała męska część podróżnych, z załogą włącznie, oddawała hołd jej urodzie. Warunki atmosferyczne sprzyjały i rozbicie okrętu nie groziło ani przez chwilę, wyglądało to tak, jakby pułkownik wydał rozkaz także pogodzie, która, ciężko wystraszona, zastosowała się do polecenia.

Dopiero nieco później, po przybyciu na miejsce, Arabella dowiedziała się czegoś, od czego trafił ją potężny szlag. Otóż wyszło na jaw, że George młodszy został niemal siłą wypchnięty wcześniejszym statkiem, jej mąż zaś, George starszy, specjalnie zaczekał z podróżą, żeby nie płynąć z nim razem. Nie ze względu na Arabellę, cóż znowu, żadne podejrzenie nawet go nie musnęło, po prostu uważał, że skromny porucznik nie powinien przebywać w pobliżu wyższego rangą krewniaka o tym samym nazwisku. Nasuwałoby to myśl o protekcji, a bratanek miał sobie dawać radę sam i bez żadnych ulg piąć się po szczeblach kariery.

Uświadomienie sobie, ile straciła, niemal pozbawiło Arabellę tchu. Całą podróż mogła odbyć w towarzystwie ukochanego, widywać go dzień w dzień przez cztery miesiące, mieć go przy boku, pławić się w szczęściu jego obecności, jego silne ramię chroniłoby ją przy wychylaniu się za burzę, podtrzymywało na trapie... Wszystkie te upojne doznania zostały jej odebrane, a uczynił to koszmarny despota, którego była własnością. O nie, nie zamierzała despotcie przebaczyć!

Słabe strony męża wykryła błyskawicznie. Na widok najmniejszego nieporządku pułkownik wściekał się i cierpiał, idealna punktualność była potrzebą jego duszy, plany krótko- i długofalowe musiał mieć sprecyzowane co do minuty, wszelka niedokładność przyprawiała go bez mała o apopleksję. Arabella natychmiast zaczęła to wykorzystywać, niestety, ze skutkiem raczej nędznym. Zatrucie życia nie wychodziło jej najlepiej.

Porozrzucane wszędzie rzeczy w mgnieniu oka zbierała doskonale wytresowana tubylcza służba. Nagłe zmiany planów nie wchodziły w rachubę, bo pułkownik ucinał je w zarodku, uciekając się nawet do presji fizycznej. Kiedy wymyśliła sobie ból głowy, opóźniając pójście z umówioną wizytą, podniósł ją z łóżka siłą i sam dopomógł w ubieraniu, wybierając w dodatku najmniej twarzową suknię. Dla zachowania punktualności nie pozwolił jej się uczesać. Arabella nie wydrapała mu oczu od razu tylko dlatego, że zdążyła spojrzeć w lustro i ten jeden rzut oka ukoił furję w jej duszy. Rozburzone rude włosy i rumieniec gniewu na obliczu czyniły ją jeszcze piękniejszą, a w kwadrans później jej uroda znalazła dodatkowe potwierdzenie. Wyraz twarzy obecnych na przyjęciu pań świadczył, że nowy rodzaj uczesania rychło wejdzie w modę.

Mogła śpiewać, kiedy jej mąż spragniony był ciszy, ale złośliwość losu sprawiła, że miała piękny głos, śpiewała prześlicznie i pułkownik bardzo to

lubił. Zamiast się znęcać, robiła mu przyjemność. Mogła milczeć, ale żywy temperament straszliwie jej to utrudniał. Mogła zapominać, o czym tylko się dało, o zadysponowaniu obiadu, o umówionym spotkaniu, o zaproszonych gościach, o zabraniu parasolki, wszystko na nic, pułkownik pamiętał, resztę zaś załatwiała służba, która bała się go panicznie. W rezultacie Arabella zorientowała się, że bardziej niż jemu, zatrauwa życie sobie.

Zacząła się głowić nad jakimiś innymi sposobami. Zdrada małżeńska odpadała, współżycie ze znienawidzonym mężczyzną nie zachęciło jej do seksu, ponadto jedynym człowiekiem, którego pragnęła nade wszystko w świecie, był George młodszy, całkowicie jej niedostępny, oddalony o setki mil, unieruchomiony rozkazami wojskowymi w odległej prowincji. Z innymi mogła najwyżej flirtować, ale to było do niczego, bo flirtowały wszystkie damy i nikt nie robił z tego skandalu. Kąpać się nago... Idiotyzm, po pierwsze gryzły rozmaite insekty, a po drugie, gdzie się kąpać? W rzece pełnej krokodyli...?!

Po długim i głębokim namyśle postanowiła ugodzić go w honor. Na razie jeszcze nie wiedziała jak.

Dopomógł jej przypadek.

Rozmowy, toczącej się przy stole na jednym z licznych kameralnych przyjęć, zaczęła słuchać dopiero w połowie. Przedtem zajęta była rozpatrywaniem szczegółów stroju rani, siedzącej prawie naprzeciwko niej, o dwie osoby od małżonka, radży Kharagpuru. Rani miała na sobie sari, od którego Arabelli już na pierwsze spojrzenie pociemniało w oczach i dzika zawiść ukąsiła jej serce. Jedwab niemal przezroczysty, spod którego przeblyskiwało coś w rodzaju srebrnych iskierek, układający się tak, że dech zapierało. Taki strój musiała zdobyć dla siebie i ubrać się w to, bez względu na protesty męża. Zaskoczy go po prostu, nie będzie jej robił

awantury i zdierał z niej odzieży przy ludziach... Kolor tylko należy zmienić, czarnowłosa rani mogła sobie pozwalać na ciemną czerwień, ruda Arabella każe zrobić dla siebie zielone...

Zarazem z miejsca uświadomiła sobie, że pokazać się w tej cudownej szacie zdoła tylko u siebie, we własnym domu. Wyjeżdżając w gości, pułkownik przygląda się jej uważnie i sprawdza, jak jest ubrana, nie zdołałaby go zaskoczyć. Każdą niewłaściwość stroju koryguje w tempie godnym działań wojskowych, brutalnie, boleśnie, nadaża ze wszystkim, nie bacząc na jej doznania, posługując się siłą fizyczną, a potem gna konie i przybywa punktualnie, na czas. Trzeba zatem zorganizować odpowiednią imprezę, im więcej gości, tym lepiej...

W tym właśnie momencie wpadła jej wreszcie w ucho rozmowa przy stole.

– Indyjskie diamenty przeważnie są żółte – powiedział autorytatywnie młody sekretarz Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, Henry Meadows, żywo interesujący się drogimi kamieniami. – Białe pojawiają się rzadko.

Radża siedział akurat naprzeciwko niego.

– Niezupełnie – zaprzeczył z tajemniczym uśmiechem. – Nasze diamenty miewają różne zabarwienie. Zdarzają się nawet błękitne, chociaż przyznaję, że niezbyt często. Jeden posiadam.

– Duży? – zainteresował się pułkownik White, dowódca sąsiedniego garnizonu.

– Średni. Około czterdziestu karatów.

– Słyszysz się czasem o pięknych kamieniach – powiedział w zadumie pułkownik Harris, najstarszy z obecnych. – Niektóre świątynie... W moich młodych latach krążyła pogłoska, jakoby w jednej ze świątyń znajdował się diament, właśnie błękitny, przewyższający wszystko, co kiedykolwiek widziano. Największy diament świata, zwany Wielkim Diamentem.

– Nie został zrabowany? – zdziwił się pułkownik White.

– Podobno nie. Podobno znajduje się tam nadal.

– Gdzie? Mam na myśli, w której świątyni?

– Nie pamiętam. Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek wymieniano miejscowość.

– Pan się zapewne orientuje? – zwrócił się do radży sekretarz.

Radża wciąż miał tajemniczy uśmiech na nieruchomej twarzy.

– W wielu świątyniach znajdują się cenne klejnoty...

– Ja się orientuję – powiedział równocześnie pułkownik Blackhill z najdoskonalszą obojętnością. Wywołał tym żywe, acz zrećcznie ukrywane poruszenie.

– Pan? – spytał z niedowierzaniem Henry Meadows. – Wie pan, w której świątyni znajduje się największy diament świata?

– Wiem. Widziałem go. Mniej więcej dziesięć lat temu. Oszlifowany. Wprawiony w brzuch posągu, zapewne Siwy, bo był tam także posąg Kali. To mało znana świątynia.

– I myśli pan, że ten diament ciągle się tam znajduje? Nie został zrabowany? – powtórzył ze zdumieniem pułkownik White.

– Nie dopuściłem do rabunku – odparł zimno pułkownik Blackhill. – Żołnierze to nie złodzieje. Radża Bi... no... tamtejszy radża, uprzednio pokonany, rozdzielił połowę zawartości swojego skarbca dobrowolnie. Byłem zdania, że to wystarczy.

– No, no, no... – powiedział Henry Meadows z podziwem i odrobiną powątpiewania.

Pułkownik Blackhill obdarzył go lodowatym spojrzeniem.

– Ja również jestem żołnierzem, nie zaś rabusiem – rzekł z naciskiem.

Idiotą, poprawiła w myśli Arabella. Miał pod nosem największy diament świata. Po co komu diament w świątyni? Nikt by nie wiedział...

Uchwyciła nagle wzrok rani i przestraszyła się, że jej myśli widoczne są na twarzy. Uśmiechnęła się czarująco.

– Indie są pełne złota i drogich kamieni – zauważyła życzliwie, żeby powiedzieć cokolwiek, spoglądając na ogromny rubin, przypięty do ramienia rani.

Rani skinęła głową i uśmiechnęła się wzajemnie.

– Czy ktoś tam tego pilnuje? – spytał wicedyrektor Kompanii, dotychczas milczący. – Jacyś kapłani?

– Owszem. To ich świątynia. Trzymają straż w dzień i w nocy, aczkolwiek zapewniłem im bezpieczeństwo.

– I rzeczywiście jest taki wielki? – ośmieliła się zaciekawić małżonka wicedyrektora.

– Rzeczywiście – odparł grzecznie pułkownik Blackhill, zaciskając dłoń i spoglądając na nią. – Robił wrażenie, jakby był rozmiarów... pół pięści.

– O, dobry Boże...! – wyrwało się Meadowsowi. Pułkownik Harris westchnął.

– Kiedy przyjechałem tu jako młodzieniec... – zaczął.

Spojrzał na uśmiechniętego tajemniczo radzę i urwał. Najwidoczniej zamierzał popełnić nietakt. Obecnie byli w przyjaźni i wspomnianie czasów, kiedy toczono walki i zwyciężano, podporządkowując hinduskich książąt koronie brytyjskiej, stanowiłoby zgrzytający faux pas. Przez chwilę szukał innych słów.

– Z Francuzami – kontynuował z lekkim potknięciem. – Toczyły się bitwy z Francuzami. Oni obrabowali skarbiec... a myśmy im odebrali łupy. Radża zginął... No, w każdym razie muszę przyznać, że... Nigdy przedtem czegoś podobnego nie widziałem. Coś tam na mnie przypadło...

Znów urwał, jakby zaprzątnięty jakimś nagłym wspomnieniem. Zmarszczył brwi.

– Więcej przypadło takim, którzy nie mieli skrupułów – mruknął pod nosem pułkownik White.

Przez chwilę Arabella żałowała, że nie była młodym chłopcem w tamtych pięknych czasach. Skrupułów nie miałyby z pewnością, wzbogaciłaby się, mogłaby poślubić, kogo by zechciała. Potem przypomniała sobie, że George’a młodszego nie było wówczas jeszcze na świecie, i wreszcie całą jej myślą zawładnął Wielki Diament w brzuchu bóstwa, może i rzeczywiście Siwy. A może Buddy albo Brahmy, albo jeszcze kogoś tam innego, bo jej mąż wcale nie musiał być nieomylny. Ciekawe, gdzie też znajduje się ta świątynia...

Konkretny pomysł na razie jeszcze nie zaświtał jej w głowie. Mąż sam jej go podsunął nieco później, kiedy panie odeszły do salonu, a panowie zostali przy stole. Rzecz jasna, podsunął bezwiednie.

Podśluchanie męskiej rozmowy było całkowitym przypadkiem. Rani i wicedyrektorowa przez chwilę zajęły się sobą, wizytując garderobę oraz inne ustronne miejsca, Arabella zaś wróciła pod drzwi jadalni, bo tam, na niewielkim stoliku, zostało jej pachnidło, wyjęte z sakiewki. Porównywały wcześniej swoje pachnidła, ona i małżonka wicedyrektora, sakiewka, przytroczona do paska, była ciasno ściągnięta złotym sznureczkiem, nie zdołała włożyć do niej z powrotem maleńkiego przedmiotu, ponieważ mąż pogonił ją do jadalni i zostawiła szkatułeczkę na stoliku. Zapomniała ją zabrać, wychodząc do salonu, wróciła zatem i usłyszała kolejny fragment rozmowy.

– ...otóż właśnie nie wiadomo czyje – mówił melancholijnie pułkownik Harris. – Krążyły plotki, jakoby diament należał do jakiegoś Francuza, który dostał go za swoją żonę od jakiegoś radży. Innymi słowy, sprzedał żonę za diament. Pomijając legalność transakcji, diament należał do niego,

skoro otrzymał go w charakterze zapłaty. Prawa własności radży nikt nie kwestionował. Tak słyszałem. Niejasno.

– Skąd zatem własność Francuza wzięła się w świątyni?

– Nie wiadomo. Może zginął w czasie walki i odebrano mu łup?

– A może ukryto tak samo, jak inne klejnoty ze skarbca...?

– Jednakże, obojętne, czyja to własność – mówił głos wicedyrektora Kompanii. – Jeśli traktuje pan sprawę honorowo, każdy rabunek stanowi niebezpieczeństwo. Każde zamieszki...

– O zamieszkach nie ma mowy – odparł głos pułkownika Blackhilla. – Jak panowie sami widzą, nikt o nim nie wie. Nikt inny go nie widział, tylko ja. I tylko ja jeden wiem, gdzie on się znajduje. Z pewnością nikomu tego nie powiem, a miejsce jest ukryte i słabo odwiedzane. Kapłani dbają o nie, ponieważ zabezpieczono tam również pół owego skarbca z pałacu radży Biharu, który, o ile wiem, był wrogiem pańskiego ojca.

Musiał zwrócić się do radży Kharagpuru, z którego ust padła odpowiedź: – Pokonanym przy pańskiej pomocy...

Więcej Arabella nie usłyszała. Nie mogła tkwić pod drzwiami jadalni, ponieważ służba kręciła się tam i z powrotem, poza tym musiała wrócić do salonu, do pań. To, co usłyszała, jednakże w zupełności wystarczyło. Po drodze w jej umyśle zaczęło błyskać. Tylko on wie... Honorowa sprawa... Rabunek, gdyby ktoś to ukradł, byłoby na niego... A niechby...! Podejrzenia, musiałyby tłumaczyć się, usprawiedliwiać... On tego nienawidzi... Och, gdybyż to ktoś ukradł...! Miałyby plamę na honorze, wreszcie coś, a kto ukradnie, skoro nikt nie wie... Chyba że ona sama, żona-złodziejka to też hańba i kompromitacja...

Na progu salonu była już zdecydowana. Postanowiła ukraść diament osobiście, jeśli tylko uda jej się dowiedzieć, gdzie on się znajduje.

Sprawę potraktowała poważnie.

Jedynym człowiekiem, którego nieświadomą pomoc musiała sobie zapewnić, był ordynans jej męża. Niewiele młodszy, uczestniczył przy jego boku we wszystkich niemal kampaniach. Arabellę wielbił, aczkolwiek miał do niej nieco żalu, że za słabo interesuje się dotychczasową karierą i wspaniałymi czynami pułkownika. Ściśle biorąc, nie interesowała się tym wcale, od czasu do czasu jednak robiła ordynansowi przyjemność, zadając byle jakie pytania i udając, że słucha odpowiedzi. Lubiła go, aprobował ją bez zastrzeżeń i nie widział w niej żadnych wad, czuła, że stanowi dla niego coś w rodzaju bóstwa. W obliczu bezustannej krytyki i nagan męża nawet cień ubóstwienia spływał balsamem na jej duszę.

Trudność leżała w tym, że pułkownik Blackhill lubił trzymać przy sobie służbowo ordynansa, prywatnie zaś żonę. Chwile, kiedy obydwójce równocześnie byli wolni od jego obecności, przytrafiały się niezmiernie rzadko. Arabella wiedziała, jak temu zaradzić, bez żadnego namysłu rozszerzyła zakres swoich kaprysów i wybryków, upragniony rezultat osiągając już po tygodniu.

Pułkownik Blackhill nie potrafił przewidzieć, co jego żonie może strzelić do głowy. Pojedzie do wsi hinduskiej zabawiać się z brudnymi dziećmi albo szukać miejscowego znachora. Wyjdzie na taras bez sukni, twierdząc, że jej gorąco i pokazując nogi prawie do kolan. Nogi były warte oglądania, to musiał przyznać, ale nie zamierzał godzić się na ich publiczną prezentację. Urządzi piknik tylko dla pań, do obsługi pikniku zaś znajdzie samych młodych, nieżonatych oficerów, a nawet gorzej, zwyczajnych żołnierzy. Zamknie się w pokoju z kimś absolutnie nieodpowiednim i łaskami go wprowadzie nie obdarzy, ale wywoła plotki, które luną niczym lawa z wulkanu. Pojedzie diabli wiedzą dokąd, narażając się na spotkanie z tygrysem, wężem, rozbójnikami i różnaitą hołotą. Posadzi przy stole fakirów. Uprze się tresować słonie. Pójdzie kąpać się nago w fontannie

zastępcy gubernatora. Popęłni jakiegokolwiek inne kompromitujące szaleństwo.

Sam przed sobą nie chciał się przyznać, że nad żoną w pełni nie panuje i nie umie jej utemperować. Małżeństwo z młodą i piękną dziewczyną mogłoby wówczas okazać się pomyłką, a pułkownik Blackhill pomyłek nie popełnia.

Znalazł w końcu rozwiązanie, z którego nie był całkowicie zadowolony, ale żadnego innego nie widział. Zdecydował się w pewnym stopniu poświęcić siebie, wyrzekając się obecności ulubionego ordynansa, do którego przywykł od lat, ale który zarazem był jedynym człowiekiem, zasługującym na absolutne i bezwzględne zaufanie. Prezentował przy tym rozsądek, stanowczość i wielkie, w tym wypadku niezbędne, poczucie taktu. Postanowił przydzielić go żonie, obarczając obowiązkiem przeciwdziałania jej dziwacznym wybrykom.

Niczego więcej Arabella nie pragnęła.

Z miejsca zrezygnowała z wszelkich głupot domowych i towarzyskich, pokochała za to nagle wycieczki konne, w których ordynans, rzecz jasna, musiał jej towarzyszyć. Tym sposobem miała go dla siebie i mogła z nim rozmawiać na dowolne tematy.

Od pierwszej chwili, bez najmniejszego trudu, zaczęła uzyskiwać wiedzę o karierze wojskowej męża i jego wszystkich poczynaniach. Teraz już słuchała uważnie, ordynans zaś wręcz rozkwitł zapałem, rozpędzając się w zwierzeniach ze zdania na zdanie. Arabellę najbardziej interesowały szczegóły geograficzne i nazwy miejscowości podbijanych, zdobywanych, kontrolowanych i przekazywanych jego pieczy, w czym ordynans nie widział nic podejrzanego.

Doszło wreszcie do wydarzeń sprzed dziesięciu lat, szturm na pałac radży i komplikacji ze świątyniami. Arabella cierpliwie, a nawet z okiem

roziskrzonym, wysłuchiwała dokładnego raportu natury czysto wojskowej, opowieści o atakach, obronie, liczebności i rozmieszczeniu żołnierzy, oraz opisu używanej broni, po czym zaczęła zadawać pytania, na które rozanielony ordynans odpowiadał obszernie i bez chwili wahania.

– Wiem, że mój mąż nie dopuścił wtedy do jakiegoś rabunku – rzekła wreszcie – pałacu, czy może świątyni, a potem czegoś pilnował. Mówił mi o tym. Stacjonował gdzieś dość długo, ale nie pamiętam, gdzie to było.

– Dwa lata – odparł ordynans. – Ale to nie tak, inaczej się to działo. Zawsze był sprawiedliwy, więc jak dał słowo, to dotrzymał i nie tylko pałacu ruszyć nie pozwolił, ale i świątyni też. Nawet ich kazał eskortować, jak oni sami, ci tutejsi, swoje dobro przenosili, no, prawdę mówiąc osobiście eskortował. Ze mną razem. No a potem dopilnował porządku. Rychło doprowadziliśmy do uspokojenia i przez te dwa lata prawie nie było co robić.

– I gdzie się to działo?

Ordynans roześmiał się.

– Tu – odparł, wyraźnie rozweselony.

– Jak to, tu? – zdumiała się Arabella.

– Dokładnie tu, gdzie jesteśmy, w tym samym domu mieszkał, tylko wtedy był w gorszym stanie, dom znaczy. I pani pułkownikowa sama widzi, że śladu po tych wszystkich awanturach nie ma, nikt nawet o nich nie pamięta. A próbowali wtedy, bo mają tu święte miejsce, tam, o...

Wskazał szpicrutą gęstą kępę zieleni niemal na skraju ogrodu, należącego do pułkownikowskiej rezydencji. Kępa była rozległa, właściwie stanowiła już prawie las, przechodzący dalej w dżunglę. Wracali właśnie z kolejnej wycieczki i wjazd do posiadłości znajdował się tuż przed nimi. Arabella poczuła się zaskoczona tak, że nie odezwała się ani słowem.

– Jakiegoś swojego bałwana tam trzymają – kontynuował ordynans. – A zamieszki wtedy w ogóle wybuchły, bo nasi misjonarze... no, jak by tu powiedzieć... przesadzili trochę. A i oni, ci tubylcy, między sobą też się wadzili przez to swoje bałwochwalstwo, razem wzięwszy niby już był spokój, a tu na nowo zrobił się bałagan i pan pułkownik musiał zaprowadzić porządek. Na dwa lata tu został odkomenderowany. Miejscowi zawiązali taki mały jakby spisek, jedni przeciw drugim, ci drudzy na nich donieśli, jednej nocy to się przewaliło i już na nich czekaliśmy. Mnie pan pułkownik postawił za naszymi ludźmi, na skraju szeregu, o, tam się skryłem... Nie widać tego miejsca, bo zarosło, ścieżkę miałem za plecami, jedna była wtedy. Teraz jest i druga, wydeptali od innej strony, żeby przez ogród nie przechodzić, bo te pogany ciągle tam łążą i swoje ofiary składają. Ludzi rozstawiłem wedle rozkazu pana pułkownika tak, żeby nikt od tyłu nie zaskoczył...

Arabella przestała słuchać. Mimo woli, prawie bezwiednie, skierowała konia ku kępie, omijając wjazd i jadąc wolno wzdłuż ogrodzenia, a ordynans chętnie podążył za nią, bo dzięki temu mógł nie tylko mówić, ale także pokazywać, eksponując geniusz pana pułkownika, który tak znakomicie obmyślił zasadzkę na spiskowców. Wybici zostali do nogi, personel świętego miejsca zaś zapłonął wdzięcznością do zbawcy...

Arabella opanowała się i chętnie przyznała, że istotnie, akcja wojskowa przeprowadzona została znakomicie. Akcję wojskową miała głęboko w nosie, ale nic jej nie szkodziło przyświadczać słowom ordynansa.

– I ta świątynia ciągle tam jest? – spytała ciekawie, zawracając konia, bo dalej nie można już było przedrzeć się przez zieleń.

– Jest, co nie ma być. Tyle że mało kto o niej wie, bo już się między sobą nie kłóca. – Chciałabym ją zobaczyć.

Ordynans pokręcił głową.

– Oj, lepiej nie. I dostęp trudny, i obcych oni nie lubią. Pani pułkownikowa jeszcze ich dobrze nie zna, ale oni potrafią wysłać takiego z nożem. Nawet damy nie uszanują, a choćby i uszanowali, to zadżgają jej męża.

Pomysł, że przez zwykłą wizytę w świątyni mogłaby pozbyć się męża rękami kapłanów, spodobał się Arabelli nadzwyczajnie. O diament przezornie nie pytała, mógł się tam znajdować lub nie, a ordynans nie musiał o nim wiedzieć. Mało było zresztą prawdopodobne, żeby uchował się w jednym miejscu przez co najmniej dwanaście lat. Sama wizyta jednakże...

Szans na dokonanie świętokradczego czynu w obecności ordynansa nie miała żadnych, powstrzymałby ją bodaj siłą, z całym zachowaniem szacunku. Musiała znaleźć się tu sama, co nie przedstawiało sobą wielkich trudności, odległość od siebie obydwu budynków, domu i świątyni, nie przekraczała mili, a przedzierania się przez dżunglę Arabella już doświadczyła...

Plan skryształizował się jej w mgnieniu oka.

Nie mogła wdzierać się na zakazany teren w nocy. W nocy nic nie widać, strażę świątyni mogłyby ją zamordować, nie wiedząc, że jest kobietą, ponadto w ciemnościach nie odnalazłaby owej zarośniętej ścieżki. Należało trafić na nią przed zachodem słońca, kiedy jeszcze wszystko nieźle widać nawet w półmroku dżungli. Nie w biały dzień, w ciągu dnia służba ma ją na oku i ordynans trzyma się jak przylepiony, daleki spacer zwróciłby uwagę i ktoś by za nią podążył. Trzeba stworzyć odpowiednie warunki.

Postanowiła wydać huczne *garden party* i zaproponować gościom coś w rodzaju zabawy w chowanego. Wszyscy pójdą na to chętnie, bo jest tu kilka par, grawitujących ku sobie niezbyt legalnie, ku niezadowoleniu żon i

mężów. Z radością wykorzystają okazję zniknięcia chociaż na kilka chwil z oczu współmałżonków. Zanim to *garden party* załatwi, musi zorientować się, jakie trudności jej grożą...

Pułkownik Blackhill doznał dużej ulgi, stwierdziwszy, iż najnowszy kaprys jego żony mieści się w normie. *Garden parties* bywały organizowane często i każdy starał się o jakieś nowe rozrywki. Na wszelki wypadek rozstawił tylko wokół ogrodzenia kilku swoich żołnierzy, przykazując im nie rzucać się w oczy gości zbyt natrętnie. Arabella o żołnierzach dowiedziała się w ostatniej chwili dzięki ordynansowi, bo mąż nie widział powodu, żeby informować ją o zastosowanych środkach bezpieczeństwa.

Ubierając się, wałkowała w sobie nienawiść do niego. Boże, jak śmiertelnie go nienawidziła! Podsycał w niej to uczucie każdego dnia i na każdym kroku, nie zdając sobie z tego sprawy. A może i zdawał sobie sprawę, ale nic go to nie obchodziło, miał ją na własność i reszta była mu obojętna. Miał ją na własność jak konia, psa czy kota, nie zastanawiał się, co myśli i czuje koń albo pies, powinny mu służyć i tyle. Ona też musiała mu służyć i tak jak psa potrafił ją brutalnie odepchnąć, jeśli stanęła mu na drodze w niewłaściwej chwili. Nigdy nie rozmawiał z nią jak z człowiekiem, wydawał tylko rozkazy i robił awantury za najmniejsze niedociągnięcie, kłapiąc tą ohydną, zwisającą, dolną wargą. I trzymał ją w tych Indiach, gdzie było jej upiornie gorąco, mokre od potu włosy przyklepiały się na szyi, koszula kleiła się do pleców, różne robaki gryzły, a wokół ustawicznie wybuchały jakieś zarazy. Dobrze chociaż, że jej przewód pokarmowy znosił wszystko bezboleśnie... A teraz jeszcze skomplikował jej zamiary, używając do tego swoich idiotycznych żołnierzy!

Nagle usunęła na bok swoją rozszalałą nienawiść, ponieważ dotarł do niej widok, jaki oglądała w lustrze. Nareszcie zyskała okazję, żeby ubrać się w swoje wymarzone sari. Słusznie mniemała, że w tych zwojach zielonego jedwabiu będzie jej do twarzy...

Pułkownikowi na widok żony, którą ujrzał w całej krasie dopiero w momencie witania pierwszych gości, zaparło dech i odjęło mowę. Opanował się jednak i nawet odzyskawszy głos, nie powiedział ani słowa, zostawiając skarcenie tej wariatki na później. Zacisnął tylko szczęki, po czym, ku własnemu nieopisanemu zdumieniu na twarzach i w oczach przybywających dam ujrzał nie zgorszenie i potępienie, jakich się spodziewał, tylko wyraźne błyski zazdrości i uznania. Damska moda nie stanowiła jednej z jego najmocniejszych stron, zawahał się zatem w głębi duszy, zastanowił i zrezygnował z protestów.

Garden party rozkręciło się ponad wszelkie spodziewania. Ogród pułkownika, obszerny, zadrzewiony i zakrzewiony, w części stanowił niemal prawdziwą dżunglę, możliwości stwarzał zatrzęsienie. Wszyscy wzajemnie niknęli sobie z oczu, odnajdywali się zniecka, śledzili, straszili i zachowywali się jak rozbawione dzieci. Arabella bez wielkiego trudu umknęła wielbicielom i skryła się wśród roślin w owym odległym kącie.

Mur, otaczający posiadłość, był tam zrujnowany i żaden żołnierz nie stał na straży, a gdyby nawet stał, widoczność miałaby nie większą niż na dwa kroki. Stan ogrodu Arabella zdołała stwierdzić już wcześniej, raz jej się to udało. Przeleźć przez ten mur, to było dla niej nic, dwa lata jeszcze nie minęły od czasów, kiedy łąziła po drzewach i oknem opuszczała swoją sypialnię w rodzinnym domu, a sari było znacznie wygodniejsze niż krynolina. Miękkie, lejące się, zajmowało bez porównania mniej miejsca i pozwalało zebrać się w rękę, ciasno przylegając do figury.

Za murem odnalazła starą, zarośniętą ścieżkę. Gdyby nie wiedziała o niej od ordynansa, nie odkryłaby jej nigdy w życiu, gąszcz roślin, jakichś wielkich liści, kwiatów i lian, zasłaniał jej początek tak skutecznie, że nikomu nie przyszłoby do głowy próbować penetracji, szczególnie że zaniedbany zagajnik nie kusił żadnymi atrakcjami. Kupa tropikalnego zielska i tyle, żadne polowania nie wchodziły w rachubę, dzikie zwierzęta rzadko zbliżają się do siedzib ludzkich, a małpy znajdowały się wszędzie i nikt ich tu nie musiał szukać. Za to mógł się przytrafić wąż.

Arabella była tak zemocjonowana, że nawet się nie bała. Wciąż jeszcze nie była pewna, jak postąpi, pokaże się tym strażnikom czy nie. Gdyby mogła mieć pewność, że za karę zabiją jej męża, nie wahałaby się ani chwili, zuchwale wtargnęłaby w głąb świątyni, ale ordynans głądził coś o wdzięczności. Zamiast go zabić, mogą tylko donieść o profanacji i zażądać ukarania żony, czego on nie omieszka uczynić. Do niczego, sama sobie zatruje życie...

Należy zauważyć, że opinia lady Drummond była słuszna, jej trzecia z kolei córka rzeczywiście miała najgorszy charakter. Poddanie się losowi, podporządkowanie zakazom, potulne przyjęcie kary, to nie było coś, z czym zdołałaby się pogodzić. Zamknięcie jej w pokoju miałoby sens dopiero od drugiego piętra w górę, z pierwszego wyszłaby przez okno i za drzwiami przeciągnęłaby na swoją stronę strażników, bo ogólnie była lubiana, miała wdzięk i urodę, której nie potrafił się oprzeć żaden mężczyzna. Łatwo wpadała we wściekłość, która dodawała jej sił i odwagi, a przy tym była inteligentna i pomysłowa. Pułkownik Blackhill przypadkiem znalazł jedyny sposób, w jaki mógł ją karać, nie trawiła bowiem atmosfery ciągłej krytyki, nagany i potępienia, ustawicznych, pozornie drobnych przeszkód i kłód pod nogami, a także ograniczonej przestrzeni. Chciałaby wyjechać konno, nie byłoby koni, mogła jechać na słoniu, słonie okazałyby się niedostępne, tu,

w tych okropnych Indiach, nie dałaby sobie z tym rady, a w każdym razie kosztowałyby ją to potworną ilość wysiłków, szarpaniny i zdenerwowania. Znała siebie samą jak rzadko która dziewczyna w jej wieku i w jej czasach i nie miała najmniejszej ochoty narażać się na te wszystkie udręki.

Już po kilkunastu metrach ścieżka stała się wyraźniejsza i łatwiejsza do przejścia, wciąż niezdecydowana Arabella szła ostrożnie, prawie nie powodując żadnego hałasu.

Po pięciu minutach zatrzymała się, zdumiona, że tak to blisko. W zieleni ujrzała zarys budynku, zasłoniętego rozrośniętym gąszczem. Odczekała chwilę, podeszła bliżej, pod nogami poczuła płyty kamienne, popękane, wypchnięte z ziemi korzeniami drzew. Płyty wskazywały kierunek.

Posuwając się krok za krokiem, ujrzała wejście. Nie, to nie mogło być wejście. Kamienne płyty okręzały świątynię i prowadziły na drugą stronę, pod murem z tej strony ich nie było. Znalazła się na tyłach budynku i wejście do świątyni powinno się znajdować po stronie przeciwnej, a to coś, co w pierwszej chwili wydało jej się wejściem, było zwyczajnym pęknięciem starego muru.

Ruszyła na tę drugą stronę, wciąż cicho i ostrożnie, i rzeczywiście, trafiła na front. Znow się zatrzymała i całe szczęście, bo ze świątyni wyszedł nagle jakiś człowiek. Kapłan. Na tle zielonej dżungli, w swoim zielonym sari, w półmroku, Arabella była zupełnie niewidoczna. Czekala bez tchu, kapłan znikł jej z oczu, trwała jednak bez ruchu aż do chwili, kiedy wrócił, niosąc coś w rękach, po czym wszedł do świątyni z powrotem, nie zauważywszy nieruchomej ludzkiej postaci.

Z samych nudów Arabella nabyła nieco wiedzy o Indiach. Orientowała się, że kapłan nie może tu egzystować samotnie, musi mieć towarzystwo, jest ich zapewne kilku, gdzieś tam we wnętrzu mieszkają, przyjmują ofiary i wznoszą modły. Stróżują. Zagradzają dostęp do sanktuarium bóstwa,

które, zabezpieczone przed profanacją, zajmuje ostatnie pomieszczenie, najświętsze, niedostępne wiernym.

Tam właśnie powinna się wedrzeć zuchwale i jawnie, żeby skompromitować męża. Nie zdoła chyba, zatrzymają ją. Nie dosięgnie go zemsta kapłanów, którzy w ogóle nie będą mieli za co się mścić. Nie dopuszczą jej nawet do progu i świętokradztwo nie zostanie popełnione. Trzeba załatwić to jakoś inaczej...

Przypomniała sobie o tym czymś z drugiej strony, od tyłu. Sanktuarium powinno znajdować się właśnie tam...

Świątynia była rzeczywiście bardzo stara i zaniedbana, a dżungla, choćby tylko w postaci zagajnika, robiła swoje. Korzenie i pnie drzew rozepchnęły kamienie, powiększyły pęknięcie, rozkruszyły mur, tworząc dziurę, przez którą człowiek mógł się przecisnąć z niewielkim trudem. Z bijącym sercem, dziko zaciekawiona, przejęta do nieprzytomności i uparcie zacięta Arabella przelazła przez szczelinę i znalazła się w świętym pomieszczeniu bóstwa.

Oczy po chwili przyzwyczyły się jej do mroku, rozjaśnionego nieco palącą się pochodnią. W słabym świetle błyszczały liczne punkty, z których wyróżniały się trzy: dwoje oczu Siwy i coś poniżej, na jego brzuchu.

To był diament. Osławiony Wielki Diament, największy diament świata. Świecił własnym światłem, wielki, rozmiarów nieprawdopodobnych, jakby podwójny, dwa jajka stopione ze sobą. Arabella poczuła, że policzki zaczynają jej płonąć, jakieś lęki i strachy były od niej w tej chwili nieskończenie odległe, chciwie sięgnęła ręką.

Diament nie dał się oderwać ani wydłubać, paznokcie nie dawały mu rady, niezbędny był nóż, dłuto, jakieś twarde narzędzie. Arabella zdołała się opanować, aczkolwiek jej oczy lśniły nie mniej niż rubiny w oczach Siwy. Postanowiła wrócić tu zaraz, nikomu się nie pokazywać, wręcz przeciwnie,

w najgłębszej tajemnicy ukraść diament i zniweczyć na wieki honor tego podłego tyrana. Weźmie sztylet, nożyczki, cokolwiek... Byle szybko, bo zaraz zapadnie ciemność...

Pobiegła znaną już ścieżką, przelazła przez mur, zręcznie przemknęła do ogrodu, usłyszała głosy gości, o których kompletnie zapomniała. Po trzech minutach zatrzymała się, zdyszana. Rozmawiało kilka osób, które znalazły się wzajemnie w różnych zakamarkach, mówili o niej. Pytali, kto ją widział, zniknęła z ludzkich oczu już pół godziny temu, gdzie też mogła się podziać i pod czyją opieką? Kogo jeszcze brakowało...?

Arabella nie chciała wprowadzać zadrażnień akurat w tej chwili. Sposób postępowania sam się w niej zaląkł. Wysunęła się z krzaków i roześmiała głośno.

– Stoję tu cały czas, a wy mnie wcale nie widzicie – oznajmiła radośnie.
– Pójdę zadysponować coś do picia, chodźcie do altany. Czekałam tylko, żeby się wam efektownie pokazać.

Pobiegła ku domowi, zakłopotane towarzystwo zaś jęło sobie gwałtownie przypominać, co też wszyscy mówili i czy nie padły przypadkiem jakieś obraźliwe posądzenia. Powoli ruszyli ku altanie.

W dziesięć minut później w ogrodzie panowało lekkie, dodatkowe zamieszanie, służba roznosiła bowiem napoje i zapalała lampiony, i pani domu miała prawo być przez chwilę zajęta. Nikt jej nie szukał. Niepokojący się już nieco pułkownik doznał ukojenia, bo najwyraźniej w świetle jego żona czuwała nad całością imprezy i nie robiła żadnych głupot.

Arabella wykorzystała zdobytą chwilę. Ciężko dysząc, przelazła ponownie przez mur. Słońce dotykało horyzontu, za kwadrans miały zapaść ciemności, musiała zdążyć przedtem, bo nie widziałaby ścieżki. Półmrok pod drzewami pogłębił się, ale do szczeliny trafiła bezbłędnie.

Przy sobie miała nie tylko sztylet i korkociąg, który przypadkiem wpadł jej w ręce, ale także element zastępczy. Mimo pośpiechu i szaleńczych emocji zdołała pomyśleć, chociaż bardziej był to może instynkt niż myślenie. Diament lśnił na brzuchu bóstwa tak, że trudno go było przeoczyć. Wchodzący tam kapłani mieli przecież oczy w głowie, brak tego blasku dostrzegą od razu. Czymś powinno się go zastąpić...

W prezencie ślubnym dostała kulę z lanego szkła. Była to nowość niezmiernie cenna, wewnątrz kuli bowiem znajdował się krajobraz, prószący śniegiem i migoczący srebrnymi iskierkami. „Żebyś nie zapomniała w tym gorącym kraju, jak wygląda zima”, powiedziała jej starsza siostra, wręczając podarunek. Kula wytrzymała prawie rok, po czym stłukła się tak, że została z niej jedna trzecia z odrobiną śniegu w środku. Arabelli żal było pamiątki, nie wyrzuciła ocalałego kawałka, trzymała go w toalecie wśród biżuterii i teraz mógł się przydać. Wystarczyłoby wetknąć go na miejsce diamentu, czymś przylepić...

Zdecydowanie Arabella miała znakomite zadatki i gdyby urodziła się wśród nizin społecznych, niewątpliwie zostałaby złodziejką i kurtyzaną. Wychowanie przytłumiło w niej rozwój talentów.

Nie przyszło jej na myśl nic bardziej lepkiego niż męzowska pomada do wąsów. Pół minuty wystarczyło, żeby zaopatrzyć się w pełny asortyment narzędzi pomocniczych.

Diament wcale nie był wprawiony w bóstwo na mur, siedział słabiej niż się obawiała, dał się wydłubać czubkiem sztyletu i wpadł do jej dłoni. Nie miała teraz czasu na wzruszenia. Rozmazała pomadę na kawałku szkła, wepchnęła w puste miejsce, iskierki śniegu zamigotały w świetle dogasającej pochodni.

Nie zdążyła się nawet odwrócić. Na kamiennej posadzce zaszurały kroki, Arabelli serce stanęło w gardle. Szczelina znajdowała się za daleko,

nie zdążyłyby do niej, w grę wchodziły ułamki sekund. Pewność, że jest to przybytek Siwy i stoi tu również posąg jego żony, Kali, tkwiła w niej, nie musiała się nad tym zastanawiać. Kali miała wprawdzie cztery ręce, dwóch dodatkowych rąk nie mogła sobie na poczekaniu wyprodukować, ale chociaż się do niej upodobnić, przybrać właściwą pozycję...

Kapłan, obojętny, zaspany, najwyraźniej wyrwany z drzemki, ziewając bez żadnego szacunku dla bóstwa, wszedł z nową pochodnią w rękę. Wyjął z uchwytu tę poprzednią, dogasającą, i osadził świeżą. Nie rozglądając się prawie dookoła, wyszedł.

Do opuszczenia sanktuarium Arabelli potrzebne były cztery sekundy.

Kapłan w przedśionku zatrzymał się nagle. Coś zaniepokoiło jego otepiały, zaspany umysł. Doznał wrażenia, że w znajomym wnętrzu nastąpiła jakaś zmiana, chyba gdzieś przy bogini. Kali ożyła i poruszyła się...? Długą chwilę stał, próbując oprzytomnieć, po czym zawrócił i ponownie wszedł do świętego pomieszczenia. Tym razem obrzucił je uważnym spojrzeniem.

Wszystko wyglądało jak trzeba. Klejnoty na ciałach bóstw lśniły, Wielki Diament migotał, nic się nie zmieniło. Musiało mu się tylko wydawać...

Arabella obejrzała swoją zdobycz dopiero nazajutrz, w blasku słońca, kiedy została sama. Widok zaparł jej dech.

Pułkownik Blackhill nie przesadzał wcale. Diament był olbrzymi, rzeczywiście wydawał się podwójny, rzeczywiście wyglądał jak dwa pękate jajka, złączone ze sobą, wtopione w siebie wzajemnie. W samym środku, w miejscu złączenia, miał skazę, może pęknięcie, ale poza tym był nieskazitelnie czysty. Mimo dzikiej emocji, Arabella rozsądnie pomyślała, że powinno się go przeciąć i uzyskać dwa idealne, jednakowe kamienie, wciąż jeszcze nieprzyzwoicie wielkie. Może uczyni to kiedyś, jeśli kradzież nie zostanie wykryta albo sprawa już przyschnie.

Myśl o honorze męża, który miała zniweczyć, jakoś w niej zbladła na widok tego cudu. Ostatecznie miała czas, nic pilnego, na razie chciała nacieszyć się diamentem. Umiała go ukryć...

* * *

Spędziła w Indiach dziesięć lat, które w najmniejszym stopniu nie zaszkodziły jej zdrowiu. Zapewne nie wytrzymałaby tak długo i uparła się wrócić do Anglii, symulując jakąś chorobę, gdyby nie George młodszy.

Już po dwóch latach udało mu się osiedlić w pobliżu stryja i mogła go widywać przynajmniej raz na tydzień. Pozazdrościła wtedy z całego serca ubogim ludziom, nie posiadającym służby.

Nie odważyła się na szczerość uczuć w obliczu szpiegujących ją oczu. Nikt nie żywił do niej żadnej niechęci, przeciwnie, ogólnie była lubiana i ceniona, nie mając bowiem nic do roboty, interesowała się tubylcami. Obdarowywała kobiety żywnością i odzieżą, dostarczała lekarstw, usiłowała nawet uczyć dzieci, co powiodło jej się w nikłym stopniu, ale zostało przyjęte przychylnie. Była szczodra, chętnie szastając pieniędzmi męża. Zarazem utrzymywała właściwy dystans, czego przyczyną nie był takt i mądrość, tylko wstręt do brudu, a także jej własna fanaberyjność. Nagle nudziła ją dobroczynność, miała dość i porzucała towarzystwo tubylców, przy czym dobre wychowanie i wdzięk sprawiały, że czyniła to elegancko i nieobraźliwie. Zazwyczaj była wesoła, uśmiechnięta i życzliwa, nie pomiatała pokojówkami, nigdy nikogo nie uderzyła, a za to jednej służącej pomogła wyjść za ukochanego chłopca. Podobało jej się wystąpić w charakterze dobrej opatrności, pomoc zaś polegała na dostarczeniu wiana, które dla niej stanowiło drobiazg, a dla hinduskiej dziewczyny majątek. Razem wzięwszy, mogła liczyć niemal na uwielbienie,

szpiegowanie zaś brało się ze zwyczajnej ciekawości, ale straszliwy lęk, jaki budził pułkownik, stanowił niebezpieczeństwo. Z samego strachu przed nim ktoś mógł ją zdradzić i wołała nie ryzykować. Dzieciństwo, spędzone na swobodnych kontaktach z wszelkimi warstwami wiejskiego społeczeństwa, nauczyło ją, że służba ma oczy, uszy i gębę i wszystkich tych organów używa z wielkim zapałem.

Tu, w Indiach, ustawicznie czuła na sobie chciwe oczy i wiedziała, co o tym myśleć. George młodszy robił przedziwne sztuki i starał się z całej siły, ale chwile spędzane sam na sam, bez obaw i niepokoju, należały do rzadkości. Niemniej zdarzały się i dla nich Arabella poświęciła te dziesięć lat.

Pomysł skompromitowania męża kradzieżą diamentu zdechł w końcu własną śmiercią. Łupu nie pokazała nikomu, za to zaczęła się do niego mocno przyzwyczajać. Chciała go mieć dla siebie. Istniała przecież możliwość, że obydwójce, ona i George młodszy, nie wytrzymają dłużej tych ograniczeń, zdecydują się na ucieczkę, zamieszkają razem na kontynencie, gdzieś w Europie, może nawet podążą do Ameryki, a wówczas sprzedaż kamienia załatwi sprawę. Pieniądzy starczy im do końca życia. Pamiętała doskonale, że ślub z George'em starszym wymuszono na niej groźbą nędzy.

Uczciwie mówiąc, Arabella, gdyby to tylko od niej zależało, poszłaby na wszystko, na jawny romans z bratankiem męża, na skandal towarzysko-obyczajowy, na ucieczkę, na każde szaleństwo, ale hamował ją wielbiciel. Honor nie pozwalał mu na żadną kompromitację, ani własną, ani uwielbianej damy, ani stryja, i spętana wielka miłość musiała kryć się w najgłębszej tajemnicy.

Rzecz jasna, ani o diamencie, ani o mglistych planach ukochanej George młodszy nie miał najmniejszego pojęcia. Pamiętny minionej biedy, która zrujnowała mu życie uczuciowe, robił majątek we własnym zakresie i

bogacił się stopniowo, wciąż zakochany do szaleństwa. Tkwiał w Indiach, tak ze względu na interesy, jak i na Arabellę, troskliwie pytając o zdrowie stryja, który przecież, do licha, był stary i kiedyś wreszcie powinien umrzeć. Na szczęście nie wpadło mu do głowy skrócić dni pułkownika, nasyłając na niego płatnych morderców, dzięki czemu nie naraził na ciężkie wyrzuty sumienia ani siebie, ani Arabelli.

Kiedy pułkownik zdecydował się ostatecznie przejść na emeryturę i wrócić do kraju, bratanek również zakończył swoje interesy. Chciał żyć w pobliżu Arabelli i pozwolił sobie nawet na nietakt nabycia posiadłości tuż obok dziedzicznego majątku stryja.

Pułkownik w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat nie stracił jeszcze ani zdrowia, ani wigoru, charakter zaś zmienił mu się tylko o tyle, że stwardniał. Jakiegokolwiek popuszczenie cugli żonie było wykluczone. Szczęśliwie żona jakby się trochę uspokoiła i zrezygnowała z dziwacznych wybryków, zachowywała się jak dama i bliskie stosunki utrzymywała głównie z rodziną.

Niejedną raz Arabella czyniła sobie gorzkie wyrzuty, że nie naraziła się jednak na ową zapowiadaną przez ojca nędzę i nie zaczekała kilku lat, jak widać bowiem George młodszy mógł zdobyć majątek. Zdobył go. Już po pięciu latach pobytu w Indiach stał się człowiekiem zamożnym, a teraz doszedł nawet do bogactwa. Mogła przetrwać te pięć lat, niechby nawet w łachmanach i boso, potem zaś życie jej zostałyby usłane płatkami róż. W wyniku strachu i nacisku marnowała je na ohydny tyran i jedyną satysfakcję sprawiał jej fakt, że nie obdarzyła go dziećmi.

No i George'a młodszego miała prawie na co dzień, bo jej wszystkie trzy siostry, doskonale zorientowane w sytuacji i negatywne, zapraszały go do siebie zgoła namiętnie...

Tak przeleciało następne dziesięć lat.

* * *

W czasie buntu sipajów w Indiach odkryta przez przypadek stara świątynia została splądrowana.

Plądrowaniem zajął się osobiście niejaki kapitan Morrow, słynący z talentów zarówno wojskowych, jak i grabieżczych. Nie miał w sobie bezmyślnego okrucieństwa i nad ludźmi się nie znęcał, niepotrzebnych i bezużytecznych trupów za sobą nie zostawiał, ubogich tubylców nie mordował, wieszał tylko wtedy, kiedy już koniecznie musiał, ale wszelki rabunek załatwiał rzetelnie. Był chciwy, jednakże nie głupi. Zdobycz dzielił uczciwie, dzięki czemu jego żołnierze dostrzegali własne korzyści i nie próbowali go oszukiwać, działając na własną rękę, szczególnie że sprzeniewierzenia karał bezlitośnie.

Łup ze świątyni Siwy, razem z innymi, został dowieziony do jego bungalowu i zwalony bezładnie na kupę. Na poniewierający się wśród klejnotów kawał szkła najpierw nikt nie zwrócił uwagi, potem zaś dzielący zdobycz pomiędzy żołnierzy kapitan Morrow trafił nań, obejrzał i własną ręką wyrzucił za okno.

Do segregowania swojej własności przystąpił nieco później, w towarzystwie krewniaka, członka zarządu Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, kupca i rzeczoznawcy drogich kamieni, niegdyś sekretarza tejże Kompanii. Były sekretarz, a obecnie współwłaściciel olbrzymiej firmy jubilerskiej, sir Henry Meadows, bywał dość często w Indiach nie z obowiązku, ale dla przyjemności, skupując cenne klejnoty i oceniając je, ponieważ najzwyczajniej w świecie uwielbiał to zajęcie. Ponadto dobrze wiedział, że tu właśnie mogą mu się przytrafić okazje, jakich nie znajdzie nigdzie więcej.

O Wielkim Diamencie pamiętał doskonale przez wszystkie minione lata, ale z nikim nigdy tego tematu nie poruszał. Przeprowadził natomiast rozpoznanie, które potrwało bardzo długo, bo nie jemu ordynans pułkownika czynił zwierzenia, tylko Arabelli. Kiedy wreszcie zdołał ustalić, kiedy i gdzie pułkownik toczył walki, kiedy, gdzie i jak długo stacjonował, i odgadł mniej więcej miejsce ukrycia diamentu, nie miał już szans na penetrację. W krótkim okresie ostatniego pobytu w Indiach dziwaczne poszukiwania mogłyby się stać podejrzanymi, zaraz potem zaś wybuchł bunt sipajów, zatem dopiero teraz, po prawie całkowitym stłumieniu buntu, mógł się bliżej zainteresować sprawą. Wyjątkowo korzystny był fakt, że jego siostrzeniec działał we właściwej okolicy.

Bunt sipajów stworzył nowe szanse. Z biciem serca i wielkimi nadziejami sir Henry – rzeczoznawca przybył do młodego krewniaka, łupiącego niemiłosiernie ocalałe dotychczas wyposażenie świątyń hinduskich, leżących na szlaku walk. Kapitan Morrow był z jego przybycia bardzo zadowolony.

Razem przejrzeni i uporządkowali zdobyty skarb.

– Starłem się, jak mogłem – powiedział siostrzeniec. – Trudno mi było znajdować się w trzech miejscach naraz, ale zapewniam cię, wuju, że tam, gdzie przeszliśmy, nie zmarnowało się nic.

– Bardzo dobrze – pochwalił wuj. – To ci się chwali, chłopcze, niemniej czegoś mi tu chyba brakuje.

Kapitan Morrow zdziwił się i zainteresował. Sir Henry Meadows zawahał się i zażądał dokładnego raportu geograficzno-topograficznego. Zorientował się błyskawicznie, że w interesującej go okolicy siostrzeniec przebywał osobiście i sam dopilnował przewiezienia wielkiego tobołu z drogocennościami. Zawartość tobołu leżała właśnie na macie przed kanapą, sir Henry przejrzał ją jeszcze raz.

– To była chyba świątynia Siwy – uzupełnił swoje zeznanie kapitan Morrow. – Mała, stara, zrujnowana, mało znana w ogóle, nawet miejscowi bywali tam rzadko, bo bliżej mieli do tej, diabli wiedzą, chyba buddyjskiej...? Trochę się gubię w rodzajach ich bożków. Trudno ją było znaleźć, trafiliśmy przypadkiem za uciekinierami.

Sir Henry zawahał się znów i długą chwilę myślał.

– Powiem ci prawdę – zdecydował się wreszcie. – Wszystko wskazuje na to, że w tej właśnie świątyni znajdował się największy diament świata. Śpieszyłem się do ciebie, wiedząc, że zostałeś tu wysłany, pełen obaw. Bałem się, że w takiej wielkiej bryle nie rozpoznasz diamentu i potraktujesz go lekceważąco...

– Coś wyrzuciłem, to prawda – przerwał siostrzeniec z lekkim zakłopotaniem. – Jakieś śmieci...

Wuja poderwało.

– Gdzie...?!

– Tutaj, za okno. Muszą tam leżeć w zielsku. Nie mam czasu zawracać sobie głowy ogrodem, poza tym stacjonuję tu tylko chwilowo...

Sir Henry już nie słuchał. Następną godzinę spędzili obaj na przeszukiwaniu bujnej roślinności w promieniu dziesięciu metrów od właściwego okna i wśród rozmaitych odpadków, pokruszonych figurek z gliny, potłuczonych naczyń i żelaznych rupieci, znaleźli kawał szkła, odłamany od większej bryły. We wnętrzu szkła migotały jakby srebrne iskierki.

– To, między innymi – powiedział kapitan Morrow. – Wpadło mi w rękę, obejrzałem i wyrzuciłem. Wuj myśli, że co?

Sir Henry ze zmarszczoną brwią przyjrzał się odłamkowi dokładnie.

– I to pochodzi z tej świątyni Siwy? Jesteś pewien?

– Całkowicie. W jedną płachtę wszystko zgarnięte, dojechała nie naruszona i nic więcej w niej być nie mogło. Rozdzielałem inne, tego nie.

– No więc dla mnie jest to dowód niezbity – zawyrokował posępnie sir Henry, ochłonałszy z wrażenia. – To pochodzi z Anglii. Jak ci się zdaje, skąd się mogło wziąć w świątyni Siwy?

Pytanie było retoryczne, kapitan Morrow nie potrafił na nie odpowiedzieć. Sir Henry odpowiedział sam sobie.

– Ktoś wymienił na to Wielki Diament...

Zamilkł następnie i milczał długą chwilę, a pamięć podsuwała mu sytuacje i słowa sprzed dwudziestu lat. Ogród pułkownika, jego wiedza o lokalizacji diamentu, Arabella, która przywiozła sobie z Anglii całą wyprawę, a w niej najrozmaitsze rzeczy, wcześniejsze zamieszki wywołane przez natręctwo misjonarzy, protesty pułkownika przeciwko rabunkom, a kto wie czy szczerze, możliwości, jakie stworzyły mu się same...

W prawdziwą i niezłomną ludzką uczciwość sir Henry przestał wierzyć już dawno. Podejrzenie zaległo się w nim w mgnieniu oka i w następnej sekundzie przerodziło w pewność. W ręku trzymał dowód. Pułkownik ukradł diament i zastąpił go kawałkiem szkła. Gdyby nie to szkło, sir Henry wziąłby pod uwagę możliwość, że w tej świątyni diamentu wcale nie było, przeniesiono go gdzie indziej, ale kawał błyskającego szkła mówił sam za siebie. Hindusi go sobie nie wyprodukowali i nie kupili na straganie. Zatem tylko pułkownik, a ileż się nagadał o tych łupieżcach i złodziejach! Gadanie dla zamydlenia oczu.

– Zdawało mi się, że ta świątynia wypadła nieźle – powiedział niepewnie kapitan Morrow, który swoich skłonności nie próbował ukrywać, szczególnie przed wujem. – Mała, ale bogata. O, to przecież złote, nie? To na słoniu, zapomniałem, jak się nazywa. I tamta Kali, wiem, że to Kali, też ma cztery ręce. Takie większe, z byle czego, nie warto ich było zabierać w

całości, wydłubać tylko kamienie, naszyjniki, diademy, czy jak to tam nazwać, te ozdoby na głowach...

Sir Henry mu przerwał.

– Owszem, słusznie. Zaraz. O ile pamiętam, dawno temu, ileż to...? Czterdzieści pięć lat... Przenieśli i ukryli w niej różne rzeczy, właśnie dlatego, że mało znana i trudna do znalezienia. Zapewne byli zdania, że Siwa się nie obrazi, jeśli mu coś dołożą. Wśród tego wszystkiego powinien znajdować się Wielki Diament, największy diament świata...

– Jak wielki?

– Właśnie taki jak to. – Sir Henry, któremu przez dwadzieścia lat tkwiła przed oczami zwinięta pięść pułkownika, potrząsnął kawałem szkła. – Z tego, co usłyszałem i wywnioskowałem, a sprawdzałem dokładnie, tam się powinien znajdować, w małej i starej świątyni. Co się z nim wcześniej działo i skąd pochodził, nie mam pojęcia, chociaż plotka głosiła, że jeszcze w czasach walk z Francuzami przechodził z ręki do ręki. Od maharadży do Francuza, już wtedy go ukrywano. Potem przysłużyli mu się misjonarze. A teraz sipaje. No, sipaje umożliwili odkrycie tej tajemniczej przemiany.

– Jakiej tam tajemniczej! – przerwał z irytacją kapitan Morrow i wskazał szkło. – Ktoś go zwinął i dla niepoznaki wetknął podobny kawałek. Co za świństwo!

– Większe niż ci się wydaje – zapewnił go sucho sir Henry. – Chyba się tym zajmę...

* * *

Ukrywanie wiedzy o diamencie sir Henry'emu weszło już w nałóg i zapewne nadal zachowywałby dyskrecję, zaczynając swe dochodzenie od kontaktu z pułkownikiem Blackhillem w cztery oczy, ewentualnie od

dyplomatycznego śledztwa w jego otoczeniu, gdyby nie zgubny przypadek. Nie on jeden siedział przy stole w czasie pamiętnej rozmowy, nie on jeden o Wielkim Diamencie słyszał i nie on jeden był nim wielce zainteresowany. Zaczynał właśnie pakować bagaże, zawierające w sobie starannie wyselekcjonowane łupy kapitana Morrowa, kiedy do bungalowu kapitana przybył znenacka radża Kharagpuru we własnej osobie. Starszy o dwadzieścia lat, ale wciąż w doskonałym stanie. Obaj z sir Henrym byli w jednym wieku, zaledwie zbliżali się do pięćdziesiątki.

Kapitana Morrowa radża znał i w zasadzie pozostawał z nim na stopie pokojowej. Bunt sipajów jego włości nie sięgnął, nie mieli zadrażnień, u niego kapitan nie rabował, a przynajmniej nie czynił tego jawnie, i mogli się wzajemnie traktować jak dżentelmeni. Świtę przywłókł ze sobą niewielką, zaledwie około stu ludzi, których pozostawił w pewnym oddaleniu, wizytę zaś złożył w towarzystwie wyłącznie zaufanego sługi.

Obaj, zarówno kapitan Morrow, jak i sir Henry, zdumieli się niezmiernie, co postarali się ukryć, gładząc różne brednie o zaszczycie, jaki ich spotkał. Radża twierdził, że zawitał tu okazjonalnie, znajduje się w podróży, tędy właśnie przejeżdżał i poczuł chęć odwiedzenia przyjaciela. Kapitan Morrow z niejakim zaskoczeniem dowiedział się, że jest przyjacielem radży, stanął jednakże na wysokości zadania, sir Henry zaś wstrzymał się z odjazdem. Węszył jakąś tajemnicę.

Ogródkami, kołując, owijając rzecz w całe tony bawełny, późnym wieczorem, radża wyjawiał wreszcie prawdziwy cel przybycia.

– Takie drobnostki umacniają więzy uczuć wzajemnych – rzekł, niedbałym gestem wskazując przywiezione prezenty, które zwykłej angielskiej rodzinie zapewniłyby dobrobyt do końca życia. – Mój skarbiec jest na twoje usługi. Być może, zechcesz również uczynić mi przyjemność?

Kapitan Morrow zapewnił go, że zawsze, wszędzie i każdym sposobem.

– Zdarza się czasem – ciągnął radża – że jakaś jedna rzecz przypada komuś do serca i ten ktoś pragnie jej za wszelką cenę. Być może, ratując skarby świątyń przed zniszczeniem...

W tym momencie sir Henry wysoko ocenił talenty dyplomatyczne gościa. Jego siostrzeniec, mówiąc szczerze grabieżca i złodziej, wcale nie łupi i nie kradnie, tylko ratuje skarby przed zniszczeniem. Cóż za znakomite określenie!

– ...trafiłeś na coś, co zgodziłbyś się zamienić na inne rzeczy, stokroć więcej warte. Chętnie poświęcę bardzo wiele, żeby posiadać jedno. Jeśli zwrócę bogu jego własność, on mnie obdarzy szczęściem i powodzeniem. Z pewnością życzysz mi szczęścia i powodzenia, tak jak i ja tobie.

Kapitan Morrow znów przyświadczył, tym razem z czystym sumieniem. Nie wątpił, że ich wzajemne życzenia bardzo są do siebie podobne.

– Zatem, jeśli znalazłeś własność boga...

– Chwileczkę – przerwał kapitan, który w dyplomacji nie czuł się najmocniejszy. – Mówmy wprost. Sir Meadows jest moim bliskim krewnym i nie mam przed nim tajemnic. Co to ma być, ta własność boga? Uratowałem kilka drobiazgów, fakt, nie wiem jednak, co wasza dostojność może mieć na myśli?

Radża odczekał chwilę, obserwując rozmówców.

– Wielki Diament Siwy – rzekł wreszcie przyciszonym głosem.

Sir Henry nawet nie drgnął, bo już się tego spodziewał, ale kapitan Morrow prawie podskoczył z irytacji.

– Wielki Diament! Chciałbym go zobaczyć! Nie mam Wielkiego Diamentu, nie znalazłem go!

Radża miał nieruchomą twarz i bardzo nieprzyjemne spojrzenie.

– On tam był – rzekł z naciskiem. – Kapłani są tego pewni.

– Otóż właśnie go nie było! Też myśleliśmy, że powinien być...!

Sir Henry gestem uciszył siostrzeńca, zanim wyrwało mu się więcej niestosowności. Podniósł się z fotela, podszedł do komody i z szuflady wyjął kawał odłamanego szkła.

– Wielkiego Diamentu w świątyni Siwy nie było – oznajmił sucho. – Natomiast znalazło się tam to.

Radża spojrział na niego, potem popatrzył na migoczący srebrnymi iskierkami odłamek, wziął go do ręki, obejrzał dokładnie i znów skierował na sir Henry'ego pytający wzrok.

– Będę szczery – powiedział sir Henry. – Będę brutalnie szczery. Gdyby Wielki Diament został tam znaleziony, mój kuzyn chętnie zamieniłby go na te inne rzeczy, niekoniecznie warte stokroć więcej. Wystarczyłoby tyle samo, bo nie ma sensu ukrywać, że kamień tego rodzaju bardzo trudno spieniężyć. Jednakże go nie było, a to szkło wskazuje, że ktoś go zabrał wcześniej.

– Anglik – zaopiniował radża krótko i stanowczo.

Kapitan Morrow i sir Henry zaprzeczyli natychmiast na wszelki wypadek, tyle że bez przekonania. Taki kawałek ozdobnego szkła, jak widać pochodzący z rozbitego przedmiotu, mógł się znaleźć w posiadaniu byle jakiego hinduskiego sługi, który wykorzystał sytuację i już dawno uciekł.

Radża pokręcił głową.

– Nie. Własność boga. Nikt by się nie ośmielił. Tylko Anglik. Był jeden taki Anglik, który o nim wiedział wszystko...

Zamyślił się na chwilę, zawahał i dodał: – Była taka chwila... Wyjawił to kapłan, strażnik świątyni. Raz jeden zdarzyło mu się, że wszedł do wnętrza i doznał wrażenia, iż bóstwa zmieniły pozycję. Poruszyły się. Potem popatrzył uważnie i pomyślał, że mu się tylko wydawało. Długo milczał o tym, aż wreszcie wyznał całą prawdę o wydarzeniu, bo nękały go obawy, że

zlekceważył jakąś wolę boga. Nie wierzono mu. Owa chwila nastąpiła w czasie, kiedy obok świątyni mieszkał ten właśnie Anglik. Ten, który o nim wiedział...

Tym sposobem wiedza obu stron uzupełniła się wzajemnie. Popatrzyli sobie w oczy i bezbłędnie odgadli, co myślą. Jedynym człowiekiem, który z całą pewnością znał doskonale sprawę diamentu, był pułkownik Blackhill. Istniała oczywiście możliwość, że pojęcie o nim miał jeszcze ktoś inny, chociażby jakiś żołnierz biorący udział w bitwach, ale żołnierze na ogół nie przejawiali racjonalnego stosunku do hinduskich bogactw. Jeśli już korzystali z okazji i rabowali, brali, co im wpadło pod rękę, po czym sprzedawali to za byle jaką cenę. Skradziony przez żołnierza diament dawno już poszedłby między ludzi, gdzieś by się ukazał, widziano by go co najmniej raz, a takich rzeczy się nie zapomina. Tymczasem, wedle najszczerzego przekonania tak sir Henry'ego, jak i radży, poza pułkownikiem Blackhillem nie widział go nikt, wciąż zatem powinien był tkwić w posągu Siwy, w tej małej, zagubionej, zarośniętej dżunglą świątyni.

Radża zdecydował się również na brutalną otwartość.

– Chcę go mieć – powiedział wprost. – Jeśli trafi pan na jego ślad i jeśli go pan zdobędzie, odkupię go od pana. Nie musimy tego rozgłaszać. Zapłacę więcej niż ktokolwiek inny na świecie i nie będę zadawał pytań.

Sir Henry znakomicie pamiętał słowa pułkownika Harrisa, który napomykał o prawie własności jakiegoś Francuza. Nie wątpił, że rozmówca pamięta je równie dobrze, ale najwyraźniej w świecie nie stanowiło to przeszkody w zawarciu umowy i nie musiało być eksponowane. Pomiął temat milczeniem.

Obaj, siostrzeniec i wuj, z miejsca docenili wartość oferty radży. Kapitan Morrow był wściekły, bo, prawdę mówiąc, zdecydował się na służbę w Indiach wyłącznie ze względów materialnych, na zapędy imperialistyczne

królowej Wiktorii kichał z energią i chciał się po prostu potężnie wzbogacić. Bunt sipajów spadł mu jak z nieba. Dzięki zamieszkom mógł osiągnąć swoje cele w znacznie krótszym czasie niż pierwotnie przewidywał, a Wielki Diament załatwiłby sprawę ostatecznie. A tu oto uciekł mu sprzed nosa.

Sir Henry chciwy był zawsze, z wiekiem zaś jego namiętność do drogich kamieni bardzo urosła. Dodatkowo miotał nim gniew. Rzekoma uczciwość pułkownika Blackhilla i głoszone przez niego wzniosłe zasady zirytowały go w najwyższym stopniu i sam sobie wyrzucał głupią łatwowierność. W tamtych młodych latach podkochał się w Arabelli, która, kto wie...? Może odpowiedziałaby na jego awanse przychylnie? Nie spróbował nawet, bo niezłomnością pułkownika i szacunkiem do niego czuł się przytłoczony, okazuje się, że niesłusznie. Jak idiota i kretyn.

Skomasowane niezadowolenie wuja i siostrzeńca skupiło się na pułkowniku.

* * *

Pułkownik Blackhill po sześćdziesiątce zgłupiał do reszty na tle honoru i godności. W obliczu rozmaitych kalumnii, rzucanych na tych, którzy bogacili się w Indiach, potępienia Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, podejrzeń wysuwanych pod adresem dowódców wojskowych i różnych innych objawów zawiści, życzył sobie świecić, niczym latarnia morska, blaskiem nieskalanej szlachetności. Cały pobyt w Indiach postanowił opisać w pamiętnikach, eksponując w nich własną rzetelność i ściśle precyzując źródła bogactwa. Podawał nawet nazwiska świadków, angielskich i hinduskich, którzy stykali się z nim i na własne oczy widzieli, jak odmawiał

przyjmowania łapówek i zwracał zdobyte przez jego wojska łupy. Wśród owych świadków znaleźli się radża Kharagpuru i sir Henry Meadows.

Radża Kharagpuru, z racji oddalenia, niewiele miał do gadania, ale sir Meadowsa o mało szlag nie trafił. Wróciwszy do Anglii, trafił akurat na chwilę, kiedy pułkownik w gronie specjalnie zaproszonych gości odczytał kolejny fragment swego dzieła. Nie uczestniczył w tym, nie został zaproszony na ucztę duchową tylko dlatego, że pułkownik nie miał pojęcia o jego powrocie, nazajutrz jednak wszystkiego dowiedział się w klubie. Znajomy, wczorajszy gość pułkownika, nie omieszkał poruszyć tematu, w odczytanym fragmencie bowiem mowa była o Wielkim Diamencie, będącym rzekomo własnością jakiegoś tajemniczego Francuza, a sir Henry podobno był świadkiem...

Istny cud, że sir Henry nie padł na miejscu, tknięty apopleksją.

– Istotnie – wyrwało mu się. – Podwójnym świadkiem. Raz: starannego pilnowania przedmiotu i dwa: odkrycia, że starannie pilnowany przedmiot nie istnieje.

Jego rozmówca poczuł się wstrząśnięty, bo Wielki Diament, acz odległy i cudzy, zawsze budził sensację.

– Jak to? – wykrzyknął. – W ogóle czegoś takiego nie było? Pułkownik tak jaskrawo mija się z prawdą?!

Sir Henry opanował się z wysiłkiem.

– Owszem, coś takiego było. Istnieją na to liczne dowody. Ale już tego nie ma. Okoliczności zaginięcia kamienia na razie nie zostały wyjaśnione. Wysoce podejrzana sprawa.

Więcej, mimo licznych nagabywań, nie wyjawiał, ale bez trudu udało mu się wytworzyć atmosferę nieufności w stosunku do pułkownika. Osobiście był najgłębiej przekonany, iż Wielki Diament znajduje się w jego posiadaniu.

Kiedy pułkownik Blackhill zorientował się w sytuacji i kiedy dotarło do niego, że zamiast diamentu w posągu Siwy tkwiło szkło, omal nie dostał zawału. Wielki Diament był niejako symbolem i kwintesencją jego nadludzkiej uczciwości i stanowił dla niego przedmiot dumy. Okazało się nagle, że zaginął nie wiadomo kiedy, nie dość na tym, on sam jest posądzany o ciężkie i perfidne oszustwo. Być może, w innych razach był uczciwy specjalnie po to, żeby wyrobić sobie właściwą opinię i bezpiecznie ukraść właśnie ten jeden bezcenny klejnot.

Grupujące się na nim podejrzania i ogólne, subtelne, cieniutkie, milczące potępienie miały charakter, któremu najtrudniej przeciwdziałać. Nikt niczego nie wyjawiał wprost i nie było na co odpowiadać, pułkownik Blackhill zatem znalazł tylko jedno honorowe wyjście.

Zastrzelił się w swoim gabinecie.

Fakt, że zastrzelił się na pięć minut przed proszonym obiadem, uznano za wielki nietakt. Mógł przecież, do licha, zastrzelić się po obiedzie...! Pozbawiając się życia w tak niestosownym momencie, wszystkim gościom odebrał apetyt, w ogóle nie wypadało jeść, kiedy pan domu tuż obok jadalni leżał nieżywy, z roztrzaskaną głową. Cały posiłek się zmarnował, ku wielkiej uciechu służby, która z przyjemnością spożyła produkty nietrwałe.

Nie mówiąc ani słowa i nie robiąc nic, Arabella osiągnęła swój cel. Na widok zwłok męża uznała za słuszne zemdleć, inaczej bowiem nie zdołałaby ukryć radości. Odniesiono ją do sypialni, gdzie z twarzą w poduszce poddała się wybuchom szczęścia, uznanym przez otoczenie za histeryczne przejawy rozpacz. George młodszy, wstrząśnięty, acz pełen głęboko skrywanej ulgi, usiłował znaleźć się w trzech miejscach równocześnie, przy jej boku, w gabinecie nieboszczyka i wśród przerażonych gości, którzy wcale nie zamierzali się tak od razu rozchodzić, bo silniejsza od głodu była ciekawość.

Pułkownik Blackhill, człowiek pedantycznie porządny, zostawił oczywiście list, w którym wyjaśniał przyczyny samobójstwa.

Stwierdzał w nim, że ze zgrozą dowiedział się o zaginięciu Wielkiego Diamentu i sam przyznaje, że wszystko wskazuje na niego. On jeden wiedział o miejscu ukrycia kamienia i tuż obok tego miejsca mieszkał przez kilka lat. Podejrzenia, których nie może rozproszyc, bo nikt ich wyraźnie nie precyzuje, stanowią plamę na jego honorze, pierwszą w życiu i zarazem ostatnią.

Zmyć tej plamy nie zdoła, aczkolwiek jest najdoskonalej niewinny, schodzi zatem z tego świata, nie wątpiąc, że po śmierci cały jego stan posiadania zostanie stwierdzony i podany do wiadomości publicznej. Diamentu w tym na pewno nie będzie i może tym sposobem świat uwierzy w jego uczciwość.

Świat uwierzył natychmiast, bez żadnego wgłębiania się w stan posiadania, i nawet sir Meadows zachwiał się z lekka w swoich przekonaniach. Pułkownik Blackhill osiągnął swój cel.

Arabelli natomiast ulął się problem. Skóra na niej ścierpła, kiedy plotki i podejrzenia zaczęły się rozprzestrzeniać. Nikt lepiej od niej nie wiedział, że pułkownik był tu niewinny jak dziecko, i jedyną jej pociechę stanowiła myśl, że hinduskie pokojówki nie czytają angielskich gazet. Tylko dawna, hinduska pokojówka pani pułkownikowej mogłaby stwierdzić, iż kawał szkła z rozbitej kuli Arabella zachowała sobie na pamiątkę, zamiast wyrzucić do śmieci. Po tym kawale szkła na upartego można było do niej trafić. Błyskawicznie zrozumiała wówczas, że musi natychmiast podjąć życiową decyzję, albo oczyści męża, pogrążając siebie, albo zachowa tajemnicę na zawsze, do końca życia i nawet jeszcze długo potem.

W dodatku zaniepokoił ją George młodszy. Poczucie honoru odziedziczył po stryju. Gdyby to na niego padło posądzenie, jakoby wbrew

głoszonym poglądom własnym, podstępnie ukradł diament, również czułby się zmuszony popełnić samobójstwo. Możliwe, że przedtem uczyniłby rozpaczliwą próbę rozwikłania zagadki i usiłowałby odnaleźć prawdziwego złodzieja razem z przedmiotem kradzieży, gdyby jednak okazało się to niemożliwe, poszedłby w ślady stryja. Arabella, w każdym razie, byłaby w jego oczach skończona, przenigdy nie wybaczyłby jej milczenia, które cieniem hańby okrywało całą rodzinę.

Miała zatem do wyboru: albo George, albo diament. Bez chwili namysłu wybrała George'a.

W wieku trzydziestu ośmiu lat była piękniejsza niż w młodości, a czterdziestoletni George prezentował sobą ideał mężczyzny. Ich wzajemna miłość kwitła nieprzerwanie. Wzięli ślub rok po śmierci pułkownika, a wzięliby go nazajutrz, gdyby podobny pośpiech nie wywołał straszliwego skandalu towarzyskiego. Nawet rok to było trochę za mało, ogólne zgorszenie jednakże nie miało wielkiej siły i dość szybko przyschło. Arabella rozkwitła szczęściem, a Wielki Diament całkowicie przestał zaprzętać jej myśli.

Tkwiał tam, gdzie go ukryła natychmiast po dokonaniu kradzieży, mianowicie w dużym kłębku dość grubej czarnej wełny...

* * *

Ogólnie bogaty, a po całym pobycie w Indiach wzbogacony jeszcze bardziej, pułkownik Blackhill, rzecz oczywista, musiał mieć w Anglii dom, postawiony na odpowiedniej stopie. Miał zresztą dwa domy, jeden w Londynie, a drugi na wsi, niezbyt daleko od stolicy, w rodzinnej posiadłości po matce. Sam zadbał o gospodynię, starannie wybierając ten żeński odpowiednik majordomusa. Pani Emma Davis wzbudziła jego pełną

aprobatę, głównie z racji zachwycających cech charakteru. Pedantka, sztywna, niewzruszona i niezłomna, prawie mogłaby go zastąpić w operacjach wojskowych. Jej wierności mógł być pewien, czuł to wyraźnie, aczkolwiek pojęcia nie miał o tym, że pani Davis od pierwszego wejrzenia zakochała się w nim śmiertelnie i w naturalnej konsekwencji znenawidziła Arabelle.

Dom prowadziła wzorowo, pilnie dbając o dobór służby. Jedyny wyłom stanowiła francuska pokojówka Arabelli, którą pani wybrała sobie sama, lekceważąc opinię zarządczyni. Na szczęście jednak, wysoko oceniając umiejętności Marietty, nie zaprzyjaźniła się z nią, nie dopuściła do żadnej konfidencji, utrzymywała stosowny dystans, a w wymaganiach nie folgowała nawet o włos. Przyjrząwszy się dokładnie stosunkom wzajemnym pani i pokojówki, pani Davis pogodziła się z sytuacją i nie usiłowała bruździć. Ponadto Marietta nie wydała jej się piękna, a pięknych dziewcząt unikała jak ognia. Marietta była, jej zdaniem, zbyt szczupła, zbyt ciemna, czarnowłosa i czarnooka, z twarzą o rysach nieregularnych, nie roztaczała żadnych uroków i nie mogła wchodzić do konkurencji. Wdzięku i seksowności Marietty pani Davis nie zdołała zauważyć.

Sama urodą nie grzeszyła nigdy, dobiegłszy zaś czterdziestu siedmiu wiosen, bardziej wyglądała na upiora niż na kobietę. Z bladą, zaciętą twarzą, z zaciśniętymi wąskimi ustami, z odrobinę zezującymi oczkami pozbawionymi rzęs prezentowała nieszczęśliwą właściwość figury. Cała nadwaga, jakiej dorobiła się przez wszystkie lata życia, znalazła sobie miejsce w biodrach, z tym że biust, osadzony w wąziutkich ramionkach i chudych żeberkach, wypchnął się do przodu, biodra zaś, poniżej długiej i cienkiej talii, utworzyły zad jak u dobrze odżywionego perszerona. Pani Davis uporczywie usiłowała oceniać te cechy jako atrakcyjne. Zad był

zresztą słabiej widoczny, ponieważ skrywała go w pewnym stopniu szeroka suknia.

Nadziei na wzajemność pułkownika nie miała żadnej, niemniej jednak sama jego obecność, jego widok, rozmowy z nim na tematy gospodarskie i uznanie dla pedanterii przysparzały jej szczęścia bez granic. Zgodnie ze swoim charakterem pułkownik osobiście wnikał w szczegóły prowadzenia domu i do głowy mu nie przychodziło, że o czymkolwiek miałyby decydować jego żona. Arabelli to nie przeszkadzało wcale, zajęta była własnymi sprawami.

Po samobójstwie uwielbianego chlebobdawcy pani Davis znenawidziła cały świat. To świat, wspomagany przez ohydne, podłe społeczeństwo, wpędził go do grobu. Nieopanowane wybuchy rzekomej rozpacz Arabelli ułagodziły ją nieco, aczkolwiek napełniły także lekką nieufnością, miłości do małżonka bowiem nigdy u niej za jego życia nie dostrzegła. No, ale może po śmierci męża pojęła wreszcie, co straciła...

Po ślubie Arabelli z George'em młodszym nieufność pani Emmy silnie się wzmogła. Tylko dzięki kultywowanej, wyniesionej z Indii, ostrożności Arabella uniknęła kalumnii, plotek i kompromitacji. Serdeczną nienawiść swojej gospodyni oczywiście czuła, ale niewiele ją to obchodziło.

Marietta, francuska pokojówka, widziała to wszystko jak na dłoni. Romansu pani z byłym bratankiem, a obecnie mężem, wprowadzie nie wykryła, ale węszyła go z całej siły, a w pani Davis czytała jak w otwartej książce. Własne uczucia skrywała umiejętnie.

Była jedyną córką francuskiego kowala i z racji zawodu ojca, którego kuźnia mieściła się tuż przy oberży na uczęszczanym trakcie, od najwcześniejszego dzieciństwa obracała się między ludźmi. Wiele miała do czynienia z powozami, a także ich zawartością, która to zawartość, można powiedzieć, uczyła ją życia.

Pod pewnymi względami miała szczęście. Inteligentna i bystra, sztukę czytania i pisania opanowała w bardzo młodym wieku, kował bowiem, któremu powodziło się nieźle, postanowił kształcić swoich dwóch synów, bezczelnie wykorzystując w tym celu ubogiego nauczyciela. Nauczyciel, udający się do Paryża piechotą, najgłupiej w świecie włął pod powóz przejeżdżającego prokuratora i złamał nogę. Zaniepokojony prokurator, któremu zależało na opinii, wyasygnował drobną sumę w charakterze odszkodowania, kował zaś przyobiecał zająć się ofiarą. Karmiąc użytecznego połamańca przyzwoicie, acz nie luksusowo, trzymał go u siebie tak długo, aż obaj chłopcy opanowali podstawowe umiejętności. Marietta, zdolniejsza od braci, opanowała je tym bardziej. Spodobały się jej możliwości, jakie otwierało przed nią słowo pisane, i rychło zdołała je docenić.

Miała zaledwie trzynaście lat, kiedy koń podróżującego młodzieńca zgubił podkowę i okulał, młodzieniec zaś, prowadząc go wielki kawał drogi, obtarł sobie pięty. W trakcie zabiegów leczniczych wyszło na jaw, iż młody pechowiec nie wybiera się nigdzie daleko, jego celem jest posiadłość dawnego poborcy podatkowego, który zdobył majątek i osiedlił się w pobliskiej okolicy. Unieruchomiony chwilowo już nawet nie przez konia, ale przez pełną niemożność włożenia butów, podróżnik wysłał dziewczynkę z liścikiem do małżonki owego poborcy, dziewczynka zaś zrobiła sobie przystanek w plenerze, liścik otworzyła i przeczytała. Wielka miłość tryskała tam z każdego słowa, ponadto wyraźnie wychodziło, iż małżonka poborcy zdecydowała się już opuścić męża i uciec z młodzieńcem. Po bardzo krótkim namyśle Marietta wiedziała, co należy zrobić.

Szantaż wypadł jej świetnie. Zaczęła od damy, szkalując wyimaginowanego, tajemniczego złoczyńcę, który dowiedział się o sprawie i żąda za milczenie pięćdziesięciu franków. Dama sumą dysponowała, za to

inteligencją nie grzeszyła. Następne pięćdziesiąt franków wyasygnował podobnie przestraszony młodzieniec, który czym prędzej odjechał na podkutym koniu bez butów, wreszcie rozzuchwalona Marietta dotarła do kantowanego męża i za usługę dostała nawet całe sto franków. Romans podupadł, innych konsekwencji nie było, szantażystce się upiekło, zarobione dwieście franków ukryła pieczołowicie i z wielkim zainteresowaniem zaczęła się rozglądać za następną okazją.

Przytrafiła się w rok później. W oberży zatrzymała się zawoalowana dama, na którą już czekał elegancki wielki pan. Uzyskanie informacji od służby nie stanowiło dla Marietty problemu, dama była zamężna, a opis męża w najmniejszym stopniu nie przypominał wyglądu zewnętrznego oczekującego pana. Przedostała się bez trudu do pokoju, w którym państwo spożywali posiłek i przyniosła im wieść hiobową. Otóż dopiero co, przed godziną zaledwie, przejeżdżał tędy jakiś człowiek, który o nich pytał. Opisał ich z największą dokładnością, wszystko się zgadza, powiedział, że zatrzyma się na rozstaju, a jej obiecał sto franków, jeśli na nich doniesie. W razie gdyby tacy państwo przyjechali, ma tam pobiec i powiedzieć...

Państwo zareagowali prawidłowo, dali jej dwieście franków, żeby nigdzie nie biegła. Marietta spełniła ich życzenie, do kuźni wróciła wolnym krokiem.

Więcej okazji nie było, bo nielegalnie zakochani jakoś tę okolicę omijali. Za to, kiedy już doszła do wieku szesnastu lat, oczekujący na naprawę koła następny młodzieniec, wicehrabia de Noirmont, zauważył jej kuszącą urodę. Okazał swój zachwyty dostatecznie głęboko, żeby nie zdołała o nim zapomnieć. Wicehrabia mieszkał w Paryżu.

Dlatego też zaledwie w dwa miesiące później bez chwili namysłu przyjęła służbę u przejeżdżającej damy której pokojówka pozwoliła sobie na nietakt ciężkiego ataku wątroby. Kimś ją należało natychmiast zastąpić.

Dama udawała się do Paryża, Marietta ujrzała przed sobą wielkie nadzieje i w ten sposób rozpoczęła nowe życie.

Wicehrabiego odnalazła, swoim uczuciom dała ujście, ale nie to było ważne. Jako pokojówka, sprawna, wręcz utalentowana, sprawdziła się w pełni i pozostała na tej pierwszej posiadzie, zdobywając nowe umiejętności.

Dama, której zdołała się uczepić dzięki wątrobie poprzedniej pokojówki, miała do dzieci angielską guwernantkę. W ciągu roku Marietta opanowała angielski język, a przy tym był to język warstwy wykształconej. Od swojej pani nauczyła się manier. Szantażu spróbowała również i prosperowała aż do chwili, kiedy, rozbestwiona powodzeniem, pozwoliła sobie na lekką przesadę.

Zorientowawszy się nagle, iż dokonała złego wyboru ofiary i pręcej zostanie zamordowana niż opłacona, pośpiesznie wycofała się z interesu, ale to jej nie wystarczyło. Na wszelki wypadek wołała zniknąć z horyzontu. Zbrojna w dotychczasowe oszczędności i znajomość języka, wyjechała do Anglii, gdzie bez żadnego trudu znalazła pracę. Francuskie pokojówki były w cenie. Po dwóch latach przebierania wśród pań trafiła na Arabellę, która płaciła najlepiej.

Panią Davis znienawidziła od razu. Arabella była jej w zasadzie obojętna, chociaż budziła trochę niechęci z racji przesadnych wymagań. Rozrzucała wokół siebie wszystko, a Marietta musiała utrzymywać porządek, potrafiła w środku nocy zażądać herbaty i czegoś do zjedzenia, a Marietta musiała biegać z kuchni do sypialni, życzyła sobie, żeby na nią czekać, a wracała z balów i przyjęć o najdziwniejszych porach, w kwestii sukien, kapeluszy i fryzur miała dzikie pomysły, a na Mariettcie się skrupiało. Nie zwierzała się nigdy z niczego, co było szalenie denerwujące. Ale rekompensowała te grymasy finansowo i wyraźnie było widać, że nie przeciwko pokojówce jej fanaberie są skierowane, tylko przeciwko

mężowi. To jedno Marietta wywęszyła od razu i nawet chętnie zaaprobowała, bo sama pułkownika również znieść nie mogła.

Pani Davis zaś znieść nie mogła najmniejszego bałaganu...

Nastąpiło to już długo po śmierci pułkownika, kiedy ślub wdowy z bratankiem nieboszczyka wisiał w powietrzu. Wiedzieli o nim i spodziewali się go wszyscy, ze służbą na czele, aczkolwiek wszelkie formy przyzwoitości były skrupulatnie zachowywane. Pani Davis jednakże z bezczeszczeniem pamięci ideału nie mogła się pogodzić i sama myśl, iż Arabella mogłaby poślubić kogoś innego, wręcz ją dławiała. Nieudolnie ukrywane, promieniujące z Arabelli szczęście stawało jej kością w gardle. Sama przed sobą nie przyznając się do własnych chęci, pani Davis usiłowała zatruć życie wstrętnej wdowie, lekkomyślnej, radosnej i pięknej. Wyszukiwała kłopoty.

Zaniedbany kompletnie koszyk do robót ręcznych Arabelli stał na stoliku w kącie sypialni. Nabożeństwa do rozmaitych robótek i haftów Arabella nigdy nie miała, igła służyła jej przeważnie do kłucia palców, druty gubiły oczka, a z szydełka wychodziły jakieś dziwne gruzły, do niczego niepodobne. Wypadało jednakże posiadać warsztat pracy i przynajmniej udawać, że się tym niekiedy zajmuje.

Po krótkim okresie pilnowania eleganckiego i ozdobnego koszyczka z rozmaitymi włóczkami, wśród których plątał się nadziewany czarny kłębek, przestała nosić ten bagaż przy sobie. Coraz rzadziej zabierała go do salonu w razie wizyty pań, szczególnie że niektóre, co bardziej wścibskie, interesowały się jej produkcją, po śmierci męża zaś całkowicie zrezygnowała z roli pracowitej matrony i machnęła ręką na obyczaj. W końcu przeżywała drugą młodość, realizowało się marzenie jej życia, już za dwa miesiące miała wreszcie zdobyć dla siebie, na wieki i na własność, ukochanego George'a młodszego, który w najmniejszym stopniu nie

ochłódł w zapałach, co ją zatem obchodziła cała reszta świata! Odmłodziła, sama sobie wydawała się co dzień piękniejsza, a dla niego chciała być najpiękniejsza ze wszystkich kobiet na całej kuli ziemskiej. Marzyła o tym, żeby mieć dzieci, jego dzieci, miała wielkie nadzieje, czuła się młodą dziewczyną w zaraniu życia, dostatecznie doświadczoną, żeby doceniać swoje szczęście. Nic innego nie miało znaczenia i tylko dla niego zachowywała na zewnątrz jakiś umiar i jakieś formy przyzwoitości. Gdyby nie pewność, że tym go zrazi, zamieszkałaby z nim razem nazajutrz po śmierci pułkownika.

Niewątpliwie George młodszy posiadał znacznie wyższe poczucie moralności niż jego ukochana...

W obliczu takich doznań postąpiła podobnie jak w Indiach. Idiotyczny koszyczek odstawiła w końcu na mały stolik w kącie sypialni i prawie o nim zapomniała.

Nie zapomniały za to mole.

Walkę z molami pani Davis toczyła z dziką zaciętością. Nie używany koszyk z wełną już dawno kłuł ją w oczy, a tu oto nagle odkryła w nim źródło zarazy.

Marietta porządkowała właśnie w garderobie poplątane szarfy, kiedy pani Davis w sypialni sięgnęła do koszyka.

– Proszę jaśnie pani, tu się mole zaległy – rzekła z silną naganą, biorąc do ręki wielki czarny kłębek. – Jaśnie pani tę wełnę z Indii przywiozła już dwanaście lat temu.

– No to co? – spytała obojętnie Arabella, przymierzając kolczyki przed lustrem.

– Całe pogryzione, o...! Same dziury. Nawet coś...

Zamilkła nagle, wpatrzona w kłębek. Arabella niechętnie odwróciła się ku niej, spojrzała na koszyk i uświadomiła sobie, w co pani Davis tak się

wpatruje. Jak grom spadło na nią przypomnienie, co też ów kłębek w sobie zawiera.

Przez moment obie stały nieruchomo. Pani Davis podniosła wzrok i popatrzyła na swoją panią. Marietta za otwartymi drzwiami garderoby również znieruchomiała z szarfą w ręku. Wyczuła nagły skok napięcia i prawie przestała oddychać.

Arabella poruszyła się pierwsza. Szybkim krokiem podeszła do pani Davis i gwałtownym gestem odebrała jej kłębek.

– A może ja lubię mole – powiedziała gniewnie. – Może są to mole pamiątkowe. Proszę zostawić moją wełnę w spokoju, zrobię z nią, co będę chciała. Zwijała tę wełnę pewna nieszczęśliwa kobieta, którą potem spalono na stosie razem z mężem. Dostałam to od niej na pamiątkę razem z molami i niech one sobie będą.

Wymyśliła to na poczekaniu, doskonale wiedząc, że każdą głupotę należy uzasadnić i ze swoich dziwactw nie robić tajemnicy, bo w przeciwnym wypadku służba zaczyna się przesadnie interesować. Czarny kłębek mógł stanowić jej dziwactwo. Jak zwykle w chwilach zagrożenia, strzeliła w niej bystrość umysłu, a hinduski obyczaj palenia wdów na stosach zmarłych mężów miał szansę przebić wszystko.

Pani Davis nie odezwała się ani słowem, Arabella zaś niedbale wrzuciła kłębek do szufladki w toalecie. Był za duży, płytka szufladka nie dała się zamknąć, zostawiła ją wysuniętą i znów zajęła się kolczykami przed lustrem.

Marietta na palcach opuściła garderobę drugimi drzwiami. Jeszcze nie wiedziała dlaczego, ale nie chciała, żeby ktokolwiek zorientował się, iż była świadkiem krótkiej scenki.

Arabella wyjęła kłębek z szuflady dopiero, kiedy została sama. Obejrzała go dokładnie i zrobiło się jej gorąco.

Przez wygryzione głęboko dziury prześwitywały jakby iskierki. Pani Davis musiała je dostrzec. Co sobie pomyślała...?

Pół roku zaledwie minęło od czasu, kiedy sprawa diamentu przycichła, przedtem grzmiało nim wszystko wokół. Pani Davis przez te pół roku nie straciła przecież pamięci...? Pułkownika, który zabił się prawie rok temu, przydając całej historii rumieńców, ani odżałować, ani zapomnieć nie mogła, wciąż pozwalała sobie na uwagi pozornie bez zarzutu, a de facto mocno kąśliwe. Trzeba ją będzie wyrzucić, myślała Arabella. Pozbyć się jej obecności, nie w tej chwili oczywiście, za jakiś czas. Teraz byłoby niebezpiecznie, zaczęłyby gadać. Głupstwem było zapomnieć o diamencie i nie sprawdzać stanu wełny, zmarnowało się takie świetne ukrycie... A może nie? Każdy by przecież uważał, że zmieni kryjówkę, a otóż właśnie nie należy jej zmieniać...

Marietta była absolutnie pewna, że pani Davis dostrzegła coś w kłębkach i o mało nie oszalała z ciekawości, co to mogło być takiego. Istniała oczywiście możliwość, że gospodyni zamilkła z samego oburzenia, usiłując promieniować potępieniem bez słów, ale Marietta w tę możliwość nie wierzyła. Instynkt mówił jej, że musiała tam coś dojrzeć.

Sypialnię Arabelli porządkowała nazajutrz z wyjątkową starannością, ale czarnego kłębaka w niej nie odnalazła. Nie było go, przepadł. Trafiała na niego dopiero następnego dnia w buduarze, gdzie przy frymuśnym biurczku Arabella zwykła pisać listy. W koszu, pod podartymi i zgniecionymi papierami, leżały czarne szczątki.

Nie był to już kłębek, tylko pocięte i poszarpane kawałki zbitych ze sobą włókien. Mole rzeczywiście dołożyły wysiłków, rozwinąć wełny już się nie dało, poszła w strzępki. Marietta zabrała strzępki do swojego pokoju i tam obejrzała je dokładnie.

Twardy przedmiot przez dwadzieścia lat odgniół się w ciasno zwiniętej wełnie, Arabella zaś nie zadała sobie zbyt wielkiego trudu, żeby ten odcisk zniweczyć. Rozcięła nożyczkami, rozszarpała i rozchyliła przemocą pogryzione warstwy, wydobyła diament, a zlekceważone opakowanie wrzuciła do kosza.

Marietta nie dysponowała ani lupą, ani tym bardziej mikroskopem, ale owe ślady dostrzegła. Były bardzo słabe i nieznaczne, jakby lekkie zagniecenie wełny pod kątem, widoczne w niektórych miejscach, i gdyby nie szukała tego specjalnie, z pewnością nic by nie zauważyła. Pewna swego jednakże, przyjrzała się pilnie, rozgrzebując szczątki w świetle wschodzącego słońca, i pozbyła się wszelkich wątpliwości. W tym kłębkowi coś się znajdowało, pani Davis to dostrzegła, a lady Blackhill wydłubała i schowała gdzie indziej.

Ciekawe, gdzie...? I ciekawe, co to było...?

Wyraźnie poczuła, że będzie ciężko chora, jeśli nie odkryje tej tajemnicy.

Liczne i częste nieobecności Arabelli w domu dawały pokojówce dużo wolnego czasu, nie zawsze bowiem pani zabierała ją ze sobą. Szczególnie użyteczne były konne przejażdżki i skromne wizyty u sąsiadów, gdzie zmiana stroju nie wchodziła w paradę. Cały ten wolny czas, zwłaszcza późnym wieczorem i nocą, kiedy wreszcie służba szła spać, ona zaś musiała czekać na Arabelle, mogła poświęcić szukaniu.

Arabella po uwadze pani Davis wprowadziła drobną zmianę. Zainteresowała się swoją wełną, włóczką i jedwabiami do rozmaitych pozaczynanych i nie dokończonych robótek, własnoręcznie zaprowadziła w tym porządek, nadgryzione wyrzuciła, część całego chłamu pozostawiła w koszyczku, a część zamknęła w szkatułce z drzewa sandałowego, dotychczas służącej niepotrzebnym kokardom i wstążeczkom. Podziału

dokonywała w samotności, bez pomocy pokojówki, ale Marietta nauczyła się już podglądać, co jej pani robi.

Szkatułka z drzewa sandałowego stanowiła właściwie duże i głębokie pudło, tyle że pięknie rzeźbione i pachnące. Miała zameczek i kluczyk, co dla Marietty nie stanowiło przeszkody. Kowala odwiedzały wszystkie warstwy społeczeństwa, jego bystra córka uczyła się łatwo, otwieranie najrozmaitszych zameczków byle jakim narzędziem, bodaj zakrzywioną szpilką, było jej doskonale znane od wczesnego dzieciństwa.

Poszukiwania rozpoczęła dość logicznie, od tego samego rodzaju kryjówki. Kłębków nie rozwijała, postępowała racjonalnie, przekłuwała je po prostu bardzo długą szpilką, ponieważ ów przedmiot w kłębku, jeśli się odcisnął, musiał być twardy. Na pierwszy ogień poszła zawartość szkatułki.

Przez wszystkie kolejne kłębki igła przechodziła swobodnie, aż wreszcie w jednym, tym razem szafirowym, na czymś się zapała. Mariettce drgnęło serce i wypieki wystąpiły na twarzy. Ukraść ten kłębek od razu...? Nie, lepiej zamienić. Na wszelki wypadek nie może tu pozostać żaden wyraźny ślad jej działalności...

Pohamowała niecierpliwość i doczekała właściwej okazji, która przytrafiła się rychło. Było nią uczestnictwo w kolejnych zakupach Arabelli w Londynie. Jak na zamówienie, została wysłana do krawcowej po próbki materii na nowe suknie, jej pani zaś mierzyła kapelusze, które do owych próbek należało dopasować. Przy kapeluszach Arabella mogła spędzić pół dnia, pokojówka zatem zyskała dość czasu, żeby wstąpić do sklepu także po własny zakup. Kawalek wełny z szafirowego kłębka przezornie miała przy sobie, nabyła identyczną, starannie wyliczywszy odpowiednią ilość.

Zamknawszy się na klucz w swoim pokoju, zwinęła ją w kłębek. Do zamiany kłębków wystarczyła jej jedna minuta. Jeszcze tej samej nocy, z

bijącym sercem, przystąpiła do przewijania kłębka Arabelli, na wszelki wypadek nie próbując go ciąć.

Pod wełną najpierw ukazał się papier, bo Arabella, mądra po szkodzie, postanowiła teraz już zachować ostrożność. Doskonale wiedziała, co mogła ujrzeć pani Davis w wygryzionych przez mole dziurach, sama również dostrzegła owe błyskające iskierki. Zapakowała zatem diament w kawałek papieru i dopiero ten pakunek owinęła wełną.

Marietta na widok papieru zdziwiła się i zdenerwowała, ciekawość bulgotała w niej niczym ukrop w garnku, przyspieszyła przewijanie. Pod papierem wyczuła coś twardego. Nie miała już siły rozwijać do końca, niecierpliwie rozszarpała odsłonięty kawałek papieru nożyczkami i zamarła.

Pod opakowaniem zalśnił niebiański blask.

Mariette prawie zrobiło się słabo. Po całej diamentowej awanturze sprzed zaledwie roku, po spojrzeniu pani Davis, po sztukach, jakie wyczyniała Arabella, bez najmniejszego wahania odgadła, co to jest. Musiała trafić na ów klejnot, przez który pułkownik popełnił samobójstwo i którym interesowały się co najmniej dwa kraje, wszyscy jubilerzy oraz cała Kompania Wschodnio-Indyjska.

Zwolniła tempo. Ochłonęła. Teraz już spokojnie i bez pośpiechu przewinęła wełnę do końca, kłębek, oczywiście, zrobił się dwa razy mniejszy, przelotnie zastanowiła się, jak go ukryć albo gdzie wyrzucić, wreszcie odwinęła papier i ujrzała diament w całej okazałości. Po plecach przeleciał jej dreszcz szczęścia.

Zdobyła łup życia.

Niemal do świtu przesiedziała, wpatrując się w kamień roziskrzonym wzrokiem. Przez pierwszą godzinę poprzestawała na wpatrywaniu, napawając się samym widokiem, po tej godzinie zaczęła myśleć.

Przede wszystkim musiała się stąd wynieść, unosząc zdobycz. To była sprawa podstawowa. Zarazem nie miał prawa paść na nią cień podejrzenia, bo ścigana byłaby po całym świecie, a na rolę szczutej zwierzyny nie miała najmniejszej ochoty. Poza tym, zaczajaliby się na nią złoczyńcy wszelkiego autoramentu...

Arabella nie stanowiła tu wielkiej groźby. Jeśli przedtem diament przeleżał dwanaście lat w czarnym kłębku, teraz mógł przeleżeć następne dwanaście w szafirowym. Najwidoczniej nie zamierzała nic z nim robić, co było dość zrozumiałe, bo ujawnienie kamienia wywołałoby potworny skandal, który na niej by się skrupił. Istniała wielka szansa, że nie zajrzy do swojej wełny i nie wykryje kradzieży, a nawet jeśli wykryje, nikomu o tym słowa nie powie. Pograżyła sama siebie.

Znacznie większym zagrożeniem była pani Davis. Na razie jeszcze milczała, może niezbyt pewna swego, może chciała się przekonać niezbitcie, może dopiero dojrzewała w niej jakaś decyzja. Marietta nie miała cienia wątpliwości, że jeśli ta decyzja dojrzeje, pani Davis nie zawaha się ani sekundy przed wywołaniem skandalu. Arabelli nienawidziła, pułkownika uwielbiała, z triumfem i satysfakcją oczyści pamięć swojego idola, zwalając całą winę na jego wredną żonę...

Chyba że...

Chyba że to jednak, mimo wszystko, sam pułkownik zawinił. Słusznie go podejrzewano, miał ten diament, a przynajmniej wiedział, gdzie jest. Sumienie go zagryzło i nie widząc wyjścia, popełnił samobójstwo. Może pani Davis bierze pod uwagę taką ewentualność i milczy, żeby nie rzucić na niego cienia pośmiertnie...

Rozważywszy tę możliwość, Marietta sama do siebie potrząsnęła głową. Nie, to wykluczone, znała przecież pułkownika, a pani Davis znała go jeszcze dłużej i lepiej, był wstrętny, ale wedle własnych kryteriów

nieskalanie uczciwy. Żadna kradzież nie wchodziła w rachubę, to Arabella coś namieszała i ukryła diament także i przed nim. Nie mógł o nim wiedzieć. Pani Davis taki pomysł nawet nie zaświta, pułkownik jest dla niej czysty jak łąza, wszystko obciąża Arabelle. Wywlecze to w jakiejś przez siebie wybranej chwili i w dodatku załatwi sprawę z hukiem i grzmotem, sprowadzi ludzi, prawników, rodzinę, policję, pół parlamentu, sędziów, diabli wiedzą kogo jeszcze. Komisyjnie rozwiną wszystkie kłębki wełny...

Tu Marietta zatrzymała się i zmieniła tok myślenia. Pani Davis miała mniej swobodny dostęp do Arabelli niż ona sama. Mogła jeszcze nie wiedzieć, gdzie Arabella ukryła diament po raz drugi, po tych idiotycznych molach. Mogła myśleć, że znalazła zupełnie inny schowek, mniej narażony na pogryzienie. Mogła szukać po szufladach, wazonach, pudłach na kapelusze, może wśród książek w bibliotece, dość tam stoi grubych tomów, w których, po wycięciu kartek ze środka, diament zmieściłby się bez trudu. A, właśnie...! Jej poszukiwania są utrudnione, rzadko zyskuje pełnię swobody, może zatem ciągle szuka, jeszcze nie znalazła i dlatego nic nie mówi...?

W końcu jednakże dojdzie do wełny. Przedtem sprawdzi poduszki, materace... Łatwo sprawdzi, zaszyć diament w czymś takim Arabella musiałaby osobiście, do szycia talentu nie ma, wystarczyłoby przejrzeć szwy i ten nierówny kawałek wskazałby ją jak palcem. Potem pani Davis, zdumiona zapewne i z niedowierzaniem, ruszy wełnę, zapewne taką samą metodą, jaką zastosowała Marietta...

Poderwało ją z miejsca. Boże drogi, co za szczęście, że nie pocięła tej wełny! Musi już, natychmiast, jeszcze dzisiaj, zamienić te kłębki, podrzucić poprzedni z czymś twardym w środku, najlepszy byłby kawałek szkła...

Rozejrzała się gorączkowo dookoła i wzrok jej padł na nie dopalony węgiel w kominku. Pierwszy raz pobłogosławiła klimat Anglii, który

potrafił dokonać wielkiego dzieła i zmusić ludzi do palenia w kominkach nawet w czerwcu. Wybrała stosowną bryłkę, starannie okręciła tym samym papierem i ponownie, w wielkim pośpiechu, acz uważnie, przystąpiła do przewijania.

Myślała dalej, z troską i w skupieniu. Swojej wełny wyrzucić nie może. Założmy, że pani Davis dodziubie się czegoś twardego, niech będzie, sprowadzi tu wszystkie władze i całe społeczeństwo, zaczną rozwijać kłębki. Na węgiel natknąć się nie mają prawa, po kolejnej zamianie w żadnym kłębku nie znajdą niczego. Arabella, która potrafiła przeżyć prawie dwadzieścia lat ze znienawidzonym mężczyzną, nie ujawniając swoich uczuć, bez wątpienia potrafi zachować spokój i teraz. Zniknięciem diamentu poczuje się zapewne wstrząśnięta, ale nie powie ani słowa i wstrząs ukryje pod zwyczajnym zdenerwowaniem, do zdenerwowania będzie miała prawo, może nawet spazmować i nikogo to nie zdziwi. Pani Davis zaś wyjdzie na idiotkę, Marietta sama chętnie zaświadczy, że od śmierci pułkownika zdradzała objawy jakiejś dziwnej obsesji, jakby trochę zwariowała. Sprawa diamentu znów upadnie.

Oczywiście, tak należałoby to załatwić, gdyby cała afera wybuchła, zanim ona zdąży się stąd legalnie oddalić...

Z drugiej strony jednakże Arabella będzie przecież wiedziała, że ktoś ukradł jej diament, i to w ostatnim czasie. Zapewne bez trudu odgadnie, kto. Prędzej czy później każe ścigać pokojówkę, twierdząc, na przykład, że ukradła jej coś innego, naszyjnik z rubinów albo perły, albo cokolwiek. Ma dość pieniędzy, żeby zatruć życie Marietty i nawet szantaż tu nie pomoże, bo w takich sytuacjach zabija się szantażystę. No, powiedzmy... Diament leży w bezpiecznym miejscu razem z wyjaśniającym listem, Arabella zaś płaci. Jeśli Marietta zginie, wszystko zostanie ujawnione, Arabella skompromitowana nieodwołalnie...

No rzeczywiście, doskonale rozwiązanie! Marietta wcale nie chce ginąć, a kompromitacja Arabelli potrzebna jest jej akurat jak piąte koło u wozu. Zależy jej wyłącznie na tej cudownej zdobyczy, która wszelki lęk przed nędzą na wieki usunie poza horyzont...

Zatem absolutnie nie można dopuścić, żeby pani Davis wygłupiła się z donosem.

Tę ostatnią kwestię Marietta postanowiła rozważyć później, na spokojnie, kiedy już dokona podstawowych i najpilniejszych zabiegów.

Szkatułka z drzewa sandałowego stała w sypialni, na niskim stoliczku, obok toalety. Arabella, która w czasie pierwszego małżeństwa starała się nie opuszczać swoich apartamentów co najmniej do południa, teraz radośnie schodziła do jadalni o jakiejś upiornie wczesnej godzinie, wespół do dziewiątej na przykład, na wspólne śniadanie z narzeczonym, który przybywał z wizytą o świcie. George młodszy, zakochany bardziej niż we wczesnej młodości, szalał na granicy przyzwoitości, twierdząc przy tym, że bez Arabelli nic mu nie smakuje. Marietta za te poglądy była mu głęboko wdzięczna.

Już o dziewiątej pozbyła się swojej pani, obarczona obowiązkiem przygotowania stroju na popołudnie. Niecierpliwie czekała, aż pójdzie sobie także dziewczka od czyszczenia kominków, wyjmując przez ten czas suknię i dobierając do niej pantofelki. Kilka par ustawiła na podłodze wokół szkatułki i klęczała wśród nich, symulując głęboki namysł.

Dziewka poszła precz. Zaledwie Marietta zdążyła dokonać zamiany kłębków i zamknąć szkatułkę zakrzywioną szpilką, do sypialni wkroczyła pani Davis.

Wyjęty ze szkatułki kłębek Marietta trzymała jeszcze w ręku. W fałdach obfitej spódnicy miała dość niezauważalnych kieszeni, w których się łatwo

mieścił, ale nie mogła teraz w tych fałdach gmerać. Jednym zręcznym ruchem wsunęła go pod niski stoliczek i obejrzała się na zarządczynię.

– Ach, jak to dobrze, że pani tu przyszła – rzekła z szacunkiem. – Nie mogę się sama zdecydować, czy do tej liliowej sukni lepsze będą różowe czy niebieskie? Bo ten fiolet chyba za ciemny? Identycznego koloru nie mamy. Jak pani sądzi?

Zdaniem pani Davis dla Arabelli najstosowniejszy był wór pokutny, ale nie zamierzała wyjawić swojej opinii. Nagła grzeczność zazwyczaj aroganckiej Marietty wydała się jej podejrzana. Niechętnie rzuciła okiem na pantofle i suknię.

– Sama te rzeczy wiesz najlepiej – zauważyła sucho. – Zmień suknię, jeśli masz kłopot. Lady Blackhill chętnie pojedzie do miasta i kupi pantofle we właściwym kolorze. Zamówi sobie. Wtedy ją w to ubierzesz. Dziwię ci się, dotychczas nie pytałaś mnie o zdanie.

Na takie uwagi Marietta umiała reagować.

– Ach, bo zawsze kolory pasowały. Dziękuję pani, to doskonały pomysł, tak zrobię!

Pani Davis stała nad nią jak kat, coś wężąc. Marietta była naprawdę zręczna, chowaną do szafy suknią rozmiotła poustawiane parami pantofle, wyjęła inną, zieloną, tak ciemną, że prawie czarną, bo w zasadzie Arabellę wciąż jeszcze obowiązywała żałoba, którą w zaciszu domowym łagodziła, czym mogła. Fiolet i zieleń pasowały do jej włosów, czarne ozdoby stanowiły dodatek absolutnie niezbędny, głupie gadanie o barwach niebieskich i różowych miało służyć wyłącznie zamydleniu oczu. Marietta, Francuzka, mogła robić z siebie lekkomyślną idiotkę i potem kajać się ze skruchą, bo co jej szkodziło...

Dwie pary obuwia, zielone i czarne, pasowały do sukni, zaczęła je zbierać i ustawiać na nowo. Sprzątnęła inne, te dwie pary zostały,

ulożone dokładnie przed stolikiem ze szkatułką. Dołożyła jeszcze jedną czarną parę, podniosła się, z namysłem sprawdziła efekt, przyniosła dla odmiany szale i zaczęła je dopasowywać do sukni, spokojniejsza już nieco, bo kłębka pod stoliczkiem z pozycji stojącej nie było widać. Miała nadzieję, że pani Davis się nie pochyli.

Pani Davis się nie pochylała, ale odsunęła dość daleko niski puf sprzed lustra i usiadła na nim. Marietta poczuła niemiły dreszczyk. Gotowa była przysiąc, że oko tej wstrętnej baby, na długiej szypułce, pobiegło wprost pod stolik i mimo przeszkody w postaci trzech par pantofli, oparło się na kłębku. Pani Davis, nie mówiąc już ani słowa, posiedziała chwilę, po czym wyszła.

Marietta uświadomiła sobie, że plecy ma mokre od potu. Dała spokój szalom i przystąpiła do porządkowania toalety, wciąż kompletując popołudniowy strój.

Przeszła do garderoby i buduaru, sprawdziła, czy pani Davis rzeczywiście się już oddaliła, wróciła do sypialni i wreszcie jednym ruchem wyciągnęła kłębek spod stolika i włożyła do kieszeni.

Nadal było jej gorąco. Pani Davis przyszła tu przecież po to, żeby prowadzić poszukiwania w czasie nieobecności Arabelli. Miała nadzieję, że Marietty też nie ma. Poszła, ale co z tego, wróci po południu, weźmie szpilkę do ręki i trafi na ten węgiel, wywęszyła coś... Pani Davis stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo!

Marietta zaczynała mieć dosyć pani Davis. Widziała przed sobą, i nawet miała w ręku, swoją największą szansę życiową i nie zamierzała rezygnować z niej przez głupią, starą wiedźmę. Nikt inny niczym jej nie groził, tylko ona jedna. Pani Davis należało się pozbyć.

Myśl błysnęła, utrwaliła się i przerodziła w decyzję w ciągu pięciu minut.

Odrobinę równowagi odzyskała dopiero w swoim pokoju. Głupstwo zrobiła, nie należało tych kłębków zamieniać, niepotrzebnie zostawiła węgiel. Przyśpieszyła tym samym ewentualną reakcję przeciwniczki, a powinna ją właśnie opóźnić. No trudno, przepadło, naprawi to może jeszcze dzisiaj, ale w takim bezustannym napięciu żyć się nie da. Pani Davis trzeba się pozbyć definitywnie.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że wszelkie podstępne machinacje zarządczyni skierowane są nie przeciwko niej, tylko przeciwko Arabelli, to Arabellę pani Davis chciała wykończyć. Możliwe, że posądzała pokojówkę o współnictwo z panią, ale to już nie miało znaczenia, kompromitując Arabellę zarazem odbierała Marietcie łup. W dodatku teraz nie było pewne, czy pani Davis widziała kłębek, czy nie, nie było pewne, co podejrzewa i jakie oskarżenie wymyśli. Marietta musiała ją po prostu usunąć i nie drgnąć w niej nawet cień sumienia. Mętnie pomyślała tylko, że wszyscy się ucieszą.

Sposób usunięcia nie przysporzył jej trosk. Jasne, że nie mogła dziabnąć jej nożem ani też strzelać do niej z broni po pułkowniku, powieszenie również nie wchodziło w rachubę. Znała jednakże metodę, którą już raz przy jej pomocy zastosowano, pozbywając się niepożądanego młodocianego spadkobiercy, którego Marietcie wcale nie było żal, występował bowiem w postaci obrzydliwego, okrutnego, nieznośnego chłopaka, znienawidzonego przez całe otoczenie. Podobnie jak pani Davis. Chłopakowi podsunęto wino, pani Davis upić się nie da, ale istnieją inne środki.

Codziennie wieczorem pani Davis własnoręcznie parzyła sobie ziółka na trawienie i wypijała je przed snem. Wychowana na wsi Marietta znała także inne ziółka, takie, po których pani Davis mogła się nigdy nie obudzić, ale musiałyby je kupić od jakiejś znachorki, bo na własnoręczne zbieranie i

suszenie brakowało jej czasu. Kupować nie chciała. Wiedziała za to, że Arabella posiada jeszcze zapas opium, przywieziony z Indii, a opium jej też pasowało. Mocny sen pani Davis stanowił podstawę planu.

Zarządczyni zamykała swój pokój na klucz zarówno w dzień, jak i w nocy, to jednak, jak już zostało powiedziane, dla Marietty nie stanowiło przeszkody. Umiała nawet wypchnąć klucz tkwiący w zamku. Na podłodze w pokoju pani Davis leżał miękki dywan, upadający klucz nie robił żadnego hałasu. Odrobina opium w ziólkach, odrobina pomocy później i pani Davis łagodnie przeniesie się na lepszy świat, gdzie nikomu już nie zdoła zaszkodzić...

Zwlekać nie miało sensu. W każdej chwili afera mogła wybuchnąć, mimo ponownej zamiany kłębków.

Arabella i George bawili w sąsiedztwie. Marietta znikła z horyzontu, pozostawiając pani Davis wolne pole do działania. Wybrała na to chwilę, kiedy ziółka zostały już zaparzone i czekały w jej pokoju. Swój dodatek nasenny miała przygotowany, nie poskapiła pani Davis specyfiku. Po trzydziestu sekundach opuściła pomieszczenie i zastanowiła się.

Co odgadną...? Przy młodocianym spadkobiercy był wielki szum, wymyślono, że umarł z przepicia, czternastoletni chłopiec nie pożałował sobie wina, dla młodego organizmu stanowiło to nadmiar nie do przyjęcia. Taka zapadła diagnoza. W wypadku pani Davis młody organizm odpadał, czego też mogła sobie nie pożałować...? Opium! Miała kłopoty z zasypianiem, zwiększała dawkę, od śmierci pułkownika opium Arabelli zaczęło znikać...

Marietta wyprana była dokładnie z moralności, etyki i sumienia, nie zaś z rozumu. Już wiedziała, jak to załatwi. Wypłoszyła panią Davis z apartamentów Arabelli, gdzie sama musiała czekać na swoją panią, i na widok jej zaciętej twarzy złożyła sobie gratulacje. Diabli wiedzą co pani

Davis znalazła, ale najwidoczniej podjęła jakąś decyzję. Zdążyła zatem w ostatniej chwili.

Jako zbrodniarka, Marietta zadziałała wyjątkowo racjonalnie. Obsłużyła wracającą z wizyty Arabelle dość niemrawo, ziewając, ułożyła ją do snu, wymknęła się i zakradła do pokoju pani Davis. Poobserwowała chwilę jej głęboki sen, po czym zręcznie posłużyła się poduszką. Pani Davis stawiała jakby lekki opór, ale widać było, że trzeba jej pomóc, bo we własnym zakresie sprawy właściwie nie załatwi. Następnie drobny zapas opium Marietta ukryła w szufladzie, sprawdziła, czy stan przeciwniczki nie sprawi jakichś głupich niespodzianek, i wyszła, nie pozostawiając po sobie najmniejszych śladów.

W zasadzie żadnych zbrodniczych skłonności Marietta w sobie nie miała, delikatne usunięcie pani Davis w ogóle nie kojarzyło się jej z morderstwem. Morderstwo to był nóż, sztylet wbity w serce, poderżnięte gardło, głowa rozbita siekierą, ale nie taki drobiazg. Kropelki w ziólkach, cóż to jest, a poduszkę na czyjejś twarzy można potrzymać dla żartu, gdzie tu morderstwo...?

A Wielki Diament lśnił kuszącym blaskiem...

* * *

Panią Davis znaleziono komisyjnie. Służąca, która przyszła uporządkować kominek, nie mogła dostać się do zamkniętego pokoju, a pukanie nie dawało rezultatu. Kolejne szczeble drabiny służbowej doprowadziły do kamerdynera, który nie zalecił wyważenia drzwi, tylko zaproponował wejście przez okno. Pani Davis miała je zawsze otwarte, ponieważ lubiła świeże powietrze. Do drugiego piętra żadna drabina wprawdzie nie sięgała, ale istniały okna strychu.

Na linie z małego okienka opuścił się zręcznie młody lokajczyk, zachwycony rozrywką. Cała zgromadzona pod domem służba zgodnie stwierdziła, że po raz pierwszy pani Davis dostarczyła wszystkim jakiejś przyjemności. Akrobatycznych ćwiczeń nie oglądała tylko Arabella, która jeszcze spała, uczestniczył w nich za to zdumiony i zaniepokojony George, który o wczesnym poranku uprawiał przejażdżki pod oknami ukochanej. Nie mógł już doczekać się chwili, w której zyska prawa do przebywania przy Arabelli przez całą dobę na okrągło.

Lokajczyk otrzymał ścisłe rozkazy, które wypełnił skrupulatnie. Do pani Davis się nie zbliżał, najwyraźniej w świecie również jeszcze spała, a nie miał najmniejszej ochoty być tym, który ją obudzi. Podniósł leżący na dywanie klucz, wetknął go w zamek i przekręcił. Drzwi stanęły otworem.

Kwestia leżącego na podłodze klucza, który powinien tkwić w zamku, na razie nie została podjęta. Marietta, zamykając drzwi od zewnątrz swoim wytrychem, klucz musiała usunąć i zostawiła go na podłodze tak, jak wypadł. Nie był to pomysł najlepszy, ale dziko przejęty swoją rolą lokajczyk prawie tego nie zauważył. Podnoszenie klucza z podłogi umknęło mu z pamięci, szczególnie że nie musiał go szukać, dostrzegł go od razu, z daleka, nic nie myślał, podniósł i otworzył. Nawet nikomu o tym nie powiedział. Fakt wyszedł na jaw później i niejakiemu panu Thompsonowi dał coś niecoś do myślenia.

Pan Thompson był londyńskim inspektorem policji i przybył na miejsce razem z wezwanym lekarzem, który potwierdził nadzieje personelu. Pani Davis nie żyła. Umarła we śnie. Może była chora na coś, czego nie leczyła, utrzymując chorobę w tajemnicy...? Sprawa ziółek wyskoczyła od razu, odnaleziono ich zapas z łatwością, przy okazji znaleziono także niezły zapasik opium.

Inspektora policji, rzecz jasna, nikt nie wzywał. Pan Thompson był zwyczajnym znajomym z młodości sir Blackhilla, wracał z wizyty od swojej siostry, zrobił sobie krótki urlopik i po drodze zamierzał wstąpić do arystokratycznego przyjaciela. Tak sobie, dla przyjemności. Pisał właśnie liścik w miejscowej gospodzie, zawiadamiając o przybyciu, kiedy dotarło do niego nagłe zamieszanie w okolicy. Doktor już leciał i pan Thompson, machnąwszy ręką na liścik, poleciał za nim.

George młodszy jego widokiem bardzo się ucieszył. Inspektora Thompsona bardzo lubił i cenił wysoko, w domu niegdyś stryja, a obecnie narzeczonej, czuł się już jak u siebie, zaprosił przybysza na śniadanie, polecając zawiadomić o wszystkich wydarzeniach Arabellę. Przedtem jednak, przy pomocy lekarza i funkcjonariusza policji miejscowej, spróbowali zbadać, co się właściwie z panią Davis stało i dlaczego tak nagle zeszła z tego świata. Zaczęli od służby.

Marietta postarała się we właściwej chwili wydać lekki okrzyk, dzięki czemu została przesłuchana jako pierwsza. Z wielkim przejęciem wyjawiała swoje spostrzeżenia, tak, pani Davis od śmierci pułkownika dręczyła się czymś, źle sypiała, popadała w melancholię i rozdrażnienie, próbowała różnych ziół na uspokojenie i na sen. Bywała jakaś dziwna. A co do opium, to Marietta od pewnego czasu zauważyła, że było używane. Ktoś je ruszał. Robiło się go coraz mniej. Nic nie mówiła, bo myślała... sądziła... obawiała się... że to może sama jaśnie pani... bardzo, bardzo przeprasza...

Słuchając jej nagłego jękania, obudzona już i ubrana w strój poranny, Arabella wzruszyła ramionami, nie zgłaszając żadnych pretensji za głupie posądzenie, i Marietta bardzo demonstracyjnie odetchnęła z ulgą. Dołożyła już bez oporu, a nawet gorliwie, że teraz jej przychodzi na myśl... Panią Davis dwa razy zastała obok takiej specjalnej hinduskiej szafeczki jaśnie pani...

Po tym pięknym początku wszystkie następne pytania brzmiały sugestywnie, z czego pytający nie zdawali sobie sprawy. Każdy kolejny przesłuchiwany potwierdzał opinię pierwszego świadka, nawet Arabella, nawet sam George, cała służba zaś czyniła nagle spostrzeżenie, że tak, istotnie, pani Davis była jakaś dziwna, o te swoje ziółka dbała jak o źrenicę oka, w nocy czasem błąkała się po domu, chyba nie mogła spać, ale, oczywiście, nikt nie ośmielał się zadawać jej pytań...

Samobójstwa pani Davis nie przypisano. Stwierdzono przypadkowe przedawkowanie środków nasennych i tyle. Państwo Blackhill wyprawili jej przyzwoity pogrzeb, a spadek po niej, całkiem godziwy, wziął jakiś daleki kuzyn, odnaleziony przez doradców prawnych, zachwycony niespodziewanym uśmiechem fortuny. W głowie mu nie powstało dociekanie, czy aby na pewno starszawa krewna zgasła w sposób naturalny.

Pojawiło się za to pytanie w tej kwestii w głowie inspektora Thompsona. Powodów do niepokoju nie miał żadnych, coś go jednak delikatnie skrobało, węszył jakąś nieprawidłowość i nie mógł sobie uświadomić, skąd pochodzi swąd. Na brak zajęć nie cierpiał i czasu miał mało, ale w nielicznych wolnych chwilach w kółko odczytywał swoje notatki i zwierzał się na piśmie samemu sobie. Wszyscy zeznawali to samo, szczerze i bez wahań, ale w tej zgodnej orkiestrze gdzieś mu dźwięczał fałszywy ton.

W odnalezieniu tego zgrzytu dopomógł mu sir Henry Meadows.

* * *

Sir Meadowsa uporczywie interesowało wszystko, co dotyczyło pułkownika Blackhilla i wdowy po nim, Arabelli. Od posądzeń o kradzież diamentu w zasadzie się odczepił, samobójstwo pułkownika wydawało się argumentem ostatecznym, ale gdzieś ten diament musiał się przecież

podziąć. Arabelli nie podejrzewał, do głowy mu nie przyszło, że angielska dama, w tamtych czasach jeszcze młoda dziewczyna, mogłaby sama, osobiście, dokonać podobnego czynu, bez opieki znaleźć się w indyjskiej dżungli, nie zostać rozszarpana przez tygrysy, pokąsana przez węże, zamordowana przez opryszków i w ogóle nie zwariować ze strachu. Niby tej dżungli był tam wtedy mały kawałek, ale jednak. Wedrzeć się do strzeżonej świątyni i z zimną krwią dokonać zamiany diamentu na szkło? Absolutnie wykluczone. Nie znał dostatecznie dobrze charakteru Arabelli i pojęcia nie miał o uczuciach, jakie nią miotaly, a były to uczucia tej miary, że własną siłą mogły uśmiercić owego ewentualnego tygrysa, nie wspominając o złoczyńcy w ludzkiej postaci.

Wielki Diament wciąż korcił go i denerwował. Zainspirowany malutką wzmianką w gazecie o nagłej śmierci pani Davis, odnalazł inspektora Thompsona i zaprosił się do niego na pogawędkę. Potentatowi tego rodzaju co sir Meadows inspektor nie mógł odmówić.

Usiedli w gabinecie. Od pierwszego rzutu oka na inspektora sir Henry zrozumiał, że swoje zainteresowanie musi uzasadnić. Błyskawicznie zdecydował się powiedzieć prawdę.

Opowieści o diamencie pan Thompson wysłuchał z wielkim zaciekawieniem i w milczeniu, ograniczając się do znaku zapytania w oczach.

– Szczerze panu powiem – kończył swą wypowiedź sir Henry – racjonalnych powodów nie ma, ale wszystko, co ma związek z domem pułkownika, jest dla mnie treścią życia. Interesuje mnie w najwyższym stopniu. Może to rodzaj kaprysu. Jeśli sprawa nie stanowi tajemnicy stanu, chciałbym dowiedzieć się od pana, co tam właściwie zaszło. To już druga niespodziewana śmierć w tym domu, o pierwszej wiem wszystko, chciałbym wiedzieć i o drugiej.

Inspektor nie miał oporów.

– Nie – odparł. – Żadnej tajemnicy w tym nie ma. Proszę bardzo...

Wyciągnął z szuflady swoje notatki i porządnie, ze szczegółami, opowiedział całą historię. Teraz sir Henry słuchał w milczeniu, ale w jego milczeniu tkwił cień podejrzliwości.

– Tak od razu odgadli, że coś jej się stało? – spytał nieufnie. – Mogła przecież wyjść, zamykając pokój? Ranny ptaszek, powiedzmy. Niezwykle domyślna służba...

– Nie – przerwał sir Henry. – Nie od razu. Szukali jej po całym domu, pukali, zaglądali przez dziurkę od klucza...

– I klucz tkwił od wewnątrz...? No tak, to wskazówka decydująca.

Inspektor otworzył usta i zamknął je nagle. Klucz tkwił w zamku od wewnątrz...? Nikt czegoś podobnego nie powiedział, przeciwnie, przez dziurkę od klucza zaglądali swobodnie, widzieli buciki pani Davis, ładnie ustawione pod krzesłem. Widzieli firankę w uchylonym oknie. Gdzież zatem był klucz...?

– Dziękuję panu – powiedział po bardzo długiej chwili. – Czułem, że czegoś mi tu brakuje, pan mi dopomógł. Nie ma to zapewne żadnego znaczenia, ale wyjaśnię sprawę dla własnego spokoju. Klucza w zamku nie było, dzięki czemu mogli zaglądać, i to, jak się okazuje, niepokoiło mnie przez cały czas. Uświadomiłem to sobie dopiero w tym momencie. Nie wiem, czy pan się orientuje, że osoby doświadczone wyjmują klucz z zamka, żeby nikt nie mógł przekręcić go z zewnątrz specjalnymi szczypcami. Włamywacze to potrafią. Z drugiej strony, brak klucza pozwala na łatwe operowanie wytrychem, ale w porządnym domu wytrychami na ogół nikt nie dysponuje. Któż tam mógł...? No nic, ja się dowiem.

Sir Meadowsa ni z tego, ni z owego ogarnęła irracjonalna satysfakcja na myśl, że wprowadził jakieś wątpliwości. Sam miał wyłącznie wątpliwości, więc może przyjemnie mu było znaleźć się w liczniejszym towarzystwie. Pożegnał inspektora, uzyskując od niego obietnicę podzielenia się ewentualnymi odkryciami.

Inspektor zaś, metodycznie i bez pośpiechu, pozałatwiał sprawy bieżące, przekazał obowiązki komu należało i wydłubał sobie dzień wolny. Z George'em się nie umawiał, celem jego wizyty była służba, nie zaś państwo.

Służba, od pierwszej do ostatniej osoby, zgodnie zaświadczyła, że klucza w zamku nie było i te buciki pani Davis oglądali bez przeszkód. Lokajczyk uzyskał zwolnienie z obowiązków na całe popołudnie i został podjęty przez inspektora piwem w gospodzie.

Mimo upływu czasu swoje pełne chwały wyczyny pamiętał doskonale. Pożar nie wybuchł, burza nie szalała, zbójców nie było, całe wydarzenie zatem nie miało szans obrosnąć dodatkową legendą, mógł się najwyżej złamać któryś szczebel drabiny albo pęknąć włókno liny, na której zjeżdżał do okna. Nie zleciał z wysokości drugiego piętra, zatem nawet całkowite zerwanie się liny inspektor gotów był przyjąć bez protestów. Zażądał szczegółowego sprawozdania, co stało się w środku, kiedy już młodzieniec wdarł się przez okno do pokoju pani Davis.

– Kazali otworzyć – zwierzył się lokajczyk. – No to niech będzie. Nieboszczka ostra była i ja, miej mnie Bóg w opiece, się jej bałem. Zamknę oczy, żeby nie spojrzeć, i prawie się potknęłem pode drzwiami o ten klucz, co już z daleka widziałem, że leży...

– Gdzie leży?

– Pode drzwiami. Na dywanie. Jak pod nogą poczułem, zaraz otwarłem...

Tematem całej reszty swobodnej pogawędki stał się klucz i jego lokalizacja. Inspektor mógł przyjąć, że pani Davis należała do grona owych ostrożnych, którzy boją się włamywaczy ze szczypcami, ale w takim wypadku wyjmowałaby klucz i kładła na stole. Rzucanie go na podłogę wydało mu się nieco dziwne.

To zatem była owa zgryzota, która nie pozwalała mu zamknąć sprawy prywatnie, dla siebie. Nie pasował mu klucz. Z jednej strony doznał ulgi, z drugiej poczuł się zaintrygowany.

Uczył założenie, że panią Davis ktoś zamordował. Kto, na litość boską, i po co?! Krewniak–spadkobierca odpadał w przedbiegach, nie dość, że znajdował się zupełnie gdzie indziej i wszyscy go tam bezustannie widzieli, nie dość, że nie wiedział o żadnym spadku, to jeszcze pojęcia nie miał o pokrewieństwie, łączącym go z nieboszczką. Nikt inny zaś z jej śmierci nie odniósł żadnej korzyści. Nie została okradziona, złota broszka z kędziorem nieboszczyka męża leżała na toaletce, w sakiewce znajdowały się pieniądze, nic nie zginęło. Sympatyczna nie była, to fakt, podległa jej służba nie znosiła jej z całego serca, ale nie był to dostateczny powód do zabójstwa. Cóż zatem znaczył ten klucz...?

Wreszcie inspektor Thompson pomyślał, że może ktoś chciał zrobić tylko złośliwy dowcip, wpuścić jej do pokoju szczura albo coś w tym rodzaju. Przypadek sprawił, że wybrał na to niewłaściwą chwilę, a teraz za skarby świata do niczego się nie przyzna. Na wszelki wypadek zainteresował się jeszcze, czy wśród służby nie nastąpiła jakaś zmiana, i wówczas wyszło na jaw, że wymówiła pracę francuska pokojówka pani Blackhill. W tym też nie było nic niezwykłego, pokojówka zaoszczędziła sobie trochę pieniędzy i postanowiła wrócić do własnego kraju, gdzie podobno czekał na nią narzeczony. Normalna sprawa.

Dał sobie spokój z dociekaniem, a wszystkie notatki odłożył na najwyższą półkę w bibliotece.

* * *

Marietta zmyła się po trzech miesiącach, dyplomatycznie i bez sensacji. Wielki Diament obszyła czarnym aksamitem i przymocowała do kapelusza. Troska o kapelusz wydawała się czymś naturalnym, nie była tak bogata, żeby lekceważyć eleganckie nakrycie głowy. Z zaciśniętymi zębami odczekała czas, który wydał się dostateczny dla uniknięcia głupich skojarzeń, po czym zrealizowała dalszy ciąg planu. Sama do siebie napisała list i przy pierwszej okazji wysłała go z Londynu. Wolałaby wysłać z Francji, ale nie miała tam nikogo wystarczająco zaufanego. Z tym listem w ręku przyszła do Arabelli zmieszana, zakłopotana, spłoniona i radośnie-smętna.

Otóż powrócił z dalekich podróży jej narzeczony. Żyje, pamięta o niej, kocha ją, wzbogacił się nawet i wzywa ją do siebie. Jaśnie pani sama widzi, że ona tu żadnych romansów z nikim nie nawiązywała, czekała na niego, chociaż wydawało się to beznadziejne, no i doczekała się. Czy jaśnie pani raczy ją zwolnić?

Jaśnie pani dla wielkich i długotrwałych miłości miała pełne zrozumienie. Inną pokojówkę mogła znaleźć bez wielkiego trudu. Zwolniła Mariettę, obdarzając ją nawet doskonałym świadectwem i dodatkową sumą dwudziestu funtów, jako posagiem.

W ten sposób Wielki Diament opuścił Anglię w charakterze potężnej kokardy na kapeluszu młodej damy.

Arabella nie miała o tym najmniejszego pojęcia. Pani Davis z diamentem nie kojarzyła, zabezpieczywszy klejnot w kłębkę bez moli,

przestała się nim zajmować, George młodszy przebijał wszystko. Można powiedzieć, że wręcz trzęsa się do upragnionego ślubu i tylko to jedno tkwiło w jej głowie. Z robótkami ręcznymi dała sobie spokój definitywnie, wełnę, włóczkę i jedwabie upchnęła w szafie, zawarła związek małżeński i bez reszty poświęciła się przeżywaniu swojego szczęścia. W dziesięć miesięcy później obdarzyła męża potomkiem płci męskiej, po czym reszta świata przestała ją obchodzić.

Dopiero na starość, zbliżając się do siedemdziesiątki, pomyślała o zapomnianym i kompromitującym dowodzie rzeczowym. Zakłopotała się. Nie życzyła sobie, żeby po jej śmierci Wielki Diament ujrział światło dzienne, dobrą opinię musiała zachować ze względu na syna, a tu stary skandal odżyłby na nowo. Nie wiedząc jeszcze, co zrobi, odnalazła w szafie koszyk do robótek i sprawdziła kłębki. W szafirowym dodziubała się twardego wnętrza, przewinęła wełnę i znalazła duży kawał węgla.

Wielki Diament zginął.

W pierwszej chwili Arabella doznała ulgi, w następnej pojęła, że musiał go ktoś ukraść, i zaniepokoiła się możliwością ujawnienia afery. W jeszcze następnej uświadomiła sobie upływ czasu i znów spłynęło na nią ukojenie. Jeżeli przez blisko trzydzieści lat nikt z tym diamentem nie wyskoczył, to i dalej zapewne pozostanie on w ukryciu, nie mówiąc już o tym, że żaden złodziej dobrowolnie nie przyzna się do kradzieży, żaden nie będzie rozgłaszał, że posiada klejnot nielegalnie, informując w dodatku, komu go rąbnął. We własnym interesie zachowa tajemnicę, a zatem, chwalić Boga, ona jest bezpieczna i właściwie pojawiło się rozwiązanie najlepsze ze wszystkich. Może tym sobie więcej nie zawracać głowy.

Węgiel z kłębka wrzuciła do kominka i całą sprawę wykreśliła ze swego życiorysu.

* * *

Konieczność przecięcia kamienia i uczynienia z niego dwóch mniejszych, ale za to nieskazitelnie doskonałych, Marietta rozumiała już od pierwszej chwili. Zamierzała to zrobić. Postanowiła to zrobić jak najszybciej.

Im dłużej jednak patrzyła na diament, im dłużej mu się przyglądała i obracała w palcach, tym trudniej przychodziło jej wytrwać w postanowieniu. Był niezwykle. Nie miała siły rozstać się z tą niezwykłością i wciąż odkładała to na później. Później, trochę później, jak już się nim nacieszy, jak się napatrzy, jak minie jej to pierwsze upojenie, jak już wszyscy zapomną o diamentowej aferze sprzed roku.

Zarazem żywiła przyjemną pewność, że dzięki wartości klejnotu, zgoła bezcennego, nareszcie będzie mogła urządzić sobie życie. Miała olbrzymi posag. Co prawda ujawniać go nie należało, wręcz przeciwnie, musiał na razie pozostać tajemnicą, ale jednak go miała i we właściwej chwili...

Postanowiła wyjść za mąż. Obmyśliła tę kwestię starannie i zaplanowany mariaż nosił cechy rozsądku. Nie zdecydowała się na żadnego hrabiego, markiza lub też innego arystokratę, jeszcze nie miała szans na wejście do najlepszego towarzystwa, coś musiało przegradzać baronową od pokojówki, wybrała sobie zatem jubilera. Ze względu na diament miało to swój sens.

W pieniądze zaopatrzona była nieźle. Z Anglii wywiozła pięćdziesiąt funtów, z wcześniejszej działalności paryskiej pozostało jej prawie trzy tysiące franków, mogła za to żyć dostatnio nawet przez cały rok. Dwie suknie Arabelli, które dostała w ciągu minionych trzech lat, załatwiły sprawę strojów, były to suknie balowe, Arabella nie chciała ich już nosić, a Marietta umiała dokonać maleńkiej przeróbki i uczynić z nich ostatni krzyk mody. Mogła pokazać się wszędzie.

Nie miała żadnych obowiązków, dysponowała czasem, ruszyła zatem w kurs. Systematycznie i bez pośpiechu obeszyła wszystkich paryskich jubilerów, nie przebierając, penetrując kolejno wszystkie paryskie dzielnice i wszystkie ulice, poszukując trzech niezbędnych elementów. Odpowiedni dla niej jubiler musiał być wiekowy, nieżonaty i pozbawiony naturalnych spadkobierców. Dobrze wiedziała, czego chce. Kwestię jego etyki pozostawiła na uboczu w słusznym zapewne mniemaniu, że tę sprawę załatwi sam diament.

Jedynym osobnikiem, odpowiadającym założonym kryteriom, okazał się bezdzietny stary Żyd, który w dodatku był paserem i lichwiarzem. Sumienie by mu z pewnością nie bruździło, ale na myśl o poślubieniu go Marietta aż się otrząsnęła. Tego rodzaju mariaż cofnąłby ją w hierarchii społecznej chyba nieodwracalnie, a kto wie czy cały majątek nie zostałby po jego śmierci zakwestionowany. Z racji paserstwa policja miała go na oku, nie, takie małżeństwo nie wchodziło w rachubę.

Wszyscy inni zaś mieli żony i dzieci.

Marietta zaczęła się denerwować. Posiadanie ogromnego majątku, którego nie mogła ani ujawnić, ani użytkować, irytowało ją coraz bardziej. Obsesyjnie bała się chwili, kiedy wyda wszystkie pieniądze i będzie zmuszona sprzedać diament w pośpiechu, tracąc na tym potwornie. Takie rzeczy należy załatwiać spokojnie, czekając cierpliwie i wykorzystując okazję. Okazja nie chciała się przytrafić, a oszczędności topniały.

W trakcie rozważania jakichś nowych możliwości i godzenia się z myślą o przecięciu diamentu, nie w Paryżu, a na przykład w Amsterdamie, względnie zainteresowaniu nim jakiejś modnej kurtyzany, natknęła się przypadkiem na wicehrabiego de Noirmont, który był przyczyną jej pierwszego przyjazdu do stolicy i o którym prawie zapomniała. Było to zrządzenie losu.

Wicehrabia poznał ją z trudem. Po pięciu latach obracania się w wysokich sferach Marietta wyglądała znacznie lepiej niż we wczesnej młodości, robiła niemal wrażenie damy i znajomość z nią w najmniejszym stopniu nie była kompromitująca. Wicehrabia nawet się ucieszył i zaprosił ją na intymną kolacyjkę, bo akurat nie miał co robić i już się obawiał nudnego wieczoru.

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o tym wieczorze, w towarzystwie Marietty z pewnością nie okazał się nudny. Wicehrabia nie miał nic przeciwko utrzymaniu niezobowiązującego romansiku, który prawie nic go nie kosztował, co było dość istotne, schedę po przodkach zdołał bowiem dokładnie roztrwonić i tonął w długach.

Marietta w stanie finansowym amanta zorientowała się błyskawicznie i zakwitły w niej nowe nadzieje.

– Chcę ci coś powiedzieć, Lou–Lou – rzekła już po dwóch tygodniach miłej sielanki. – Ale musisz mi przysiąc na honor, że nigdy mnie nie zdradzisz. Nigdy nikomu nie wyjawisz mojej tajemnicy.

Wicehrabia był ciekawy z natury, przysiągł zatem chętnie. Nie przypuszczał, by tajemnica Marietty miała wielki ciężar gatunkowy, mogło to być nieślubne dziecko, jakieś drobne przestępstwo albo inna podobna rozrywka. Żadnych konsekwencji się nie spodziewał.

– Ile trzeba, żeby zostać wicehrabiną? – zaczęła Marietta poważnie i z naciskiem.

Wicehrabia zrozumiał pytanie i odpowiedział jej tak samo.

– Co najmniej dwieście tysięcy rocznie bez żadnych obciążeń.

– To znaczy... czekaj... cztery miliony gotówką?

– Mogłoby być w ziemi albo w papierach wartościowych. Z tym że lepsze wrażenie zrobiłoby pięć milionów.

– Przypuszczam, że mam tyle – powiedziała Marietta po chwili z lekkim westchnieniem. – Ale nie umiem tego zrealizować.

Wicehrabia najpierw nie pojął, co słyszy, potem nie uwierzył, a potem się wreszcie zainteresował, i to dość gwałtownie.

Marietta całą legendę miała porządnie opracowaną, bo różne rzeczy wicehrabia mógł strawić, ale faktu zwykłej kradzieży już by nie przełknął. Nie mówiąc o skromnej pomocy, udzielonej pani Davis. Natchnienia przysporzyły jej mgliste plotki na tle jakiegoś tam Francuza, rzekomego właściciela diamentu.

– Miałam wuja – oznajmiła, wydobywając się z objęć wicehrabiego i dolewając wina do kieliszków. – Brat mojej matki. Matkę, jak wiesz, ma się zawsze, gorzej bywa z ojcem, ja jednakże miałam nawet ojca, którego sam zresztą znałeś.

– Istotnie. I cóż ten wuj?

– Był także moim chrzestnym ojcem. I był marynarzem. Po latach doszedł w końcu do kapitana i do własnego okrętu, pływał po całym świecie, między innymi do Indii. Nie dam głowy, czy nie uprawiał trochę piractwa, ale to już nie ma znaczenia. Z ostatniej podróży przywiózł mi prezent, diament potwornej wielkości. Powiedział, że jest to mój prezent ślubny od niego, a daje mi go zawczasu, bo mojego ślubu może nie dożyć. Miał rację, mojego ślubu jeszcze nie było, a on już nie żyje. Powiedział, że sam również dostał ten diament w prezencie, za uratowanie komuś życia, ale nikt mu pewnie nie uwierzy, więc lepiej, żebym się tym zbytnio nie chwaliła. Lekceważyłam sobie to dość długo, dopiero później, widząc klejnoty różnych dam, zorientowałam się, jaką to może mieć wartość. Przestraszyłam się. Czyś słyszał o aferze z Wielkim Diamentem?

Sprawa diamentu, głośna w Anglii, we Francji odbiła się echem prawie wyłącznie wśród profesjonalistów. Wicehrabiemu może i wpadła w ucho,

ale już o niej nie pamiętał.

Marietta westchnęła ponownie.

– Mam obawy – wyznała. – W Anglii grzmiała cała awantura o ten diament, który w ogóle zaginął. Wyglądało na to, że zaginął jeszcze w Indiach. Padały różne podejrzenia, pułkownik Blackhill się przez to zastrzelił, a mnie się wydaje, że zdobył go właśnie mój wuj. Obecnie mam go ja. I nie wiem, co z nim zrobić.

Teraz już wicehrabia zainteresował się dziko i namiętnie. Chciał zobaczyć to dziwo, zażądał demonstracji. Marietta bez oporu sięgnęła po swój gorset, porzucony na dywanie, i spod dolnej falbany wydobyła niewielką sakiewkę. Rozwiązała tasiemkę i z jedwabnego woreczka wyłuskała diament.

Wicehrabiemu zabrakło tchu.

Znał się nieźle na drogich kamieniach. Kupował je wielokrotnie, dawał w prezencie, tracił na nie pieniądze, wybierał najpiękniejsze, zastawiał w lombardach resztki rodowych precjozów, sprzedawał te mniej piękne i mniej ulubione, właściwie miał z nimi do czynienia prawie przez całe życie. Diament rozpoznał na pierwszy rzut oka, aczkolwiek własnemu oku nie uwierzył. Tej wielkości kamienia nie widział nigdy i nigdzie i nie przypuszczał, żeby coś podobnego mogło istnieć na świecie.

W milczeniu wziął diament do ręki i obejrzał go dokładnie.

– Ma skazę – rzekł wreszcie po długiej chwili, odetchnąwszy głęboko. – Akurat w środku. Z pewnością jest to pęknięcie, ale dodaje mu blasku. Klejnot na królewską koronę. Powinna go kupić królowa Wiktorja, nikt inny z panujących, o ile wiem, nie jest równie bogaty.

Marietta aż się otrząsnęła.

– Oszalałeś! – wyrwało się jej. – Przecież właśnie w Anglii wybuchła afera! I jeszcze ci powiem...

Zawahała się. Wicehrabia nie był zupełnie głupi, jakieś niepotrzebne myśli mogły mu przyjść do głowy.

– No? – spytał z lekkim roztargnieniem, nie odrywając wzroku od kamienia.

Marietta podjęła męską decyzję.

– W czasie tej całej awantury była mowa, że on jest jakby podwójny. Opisywano go. I ta skaza w środku... Wszystko się zgadza, to musi być ten sam, ale ja to stwierdziłam dopiero później, to znaczy ostatecznie. Tam, w Anglii, w ogóle nie miałam go przy sobie.

– A gdzie go miałaś?

– Był w grobie mojej matki. Zakopałam go tam przed wyjazdem do Anglii, bo nie wiedziałam, co z nim zrobić. Niepokoiło mnie to, że wuj kazał nie chwalić się nim i cicho siedzieć...

Wszystkie te barwne łągarstwa, całą epopeję diamentową, obmyśliła starannie i szczegółowo w ciągu ostatnich dwóch tygodni, od spotkania wicehrabiego, decydując się wtajemniczyć go w sprawę. Prawdy powiedzieć nie zamierzała nigdy w życiu nikomu.

Jak dotąd, historia brzmiała prawdopodobnie. Jej matka jakichś braci miała, nie żyła już od dwunastu lat, od dawna nikt nie wiedział, co się działo z rodzeństwem nieboszczki. Gdyby ktoś chciał przeprowadzić ściśle dochodzenie, z czym Marietta, otrząskana poniekąd z przestępczością, liczyła się w dużym stopniu, napotkałby same przeszkody. Jedna jedyna Arabella mogła zdementować tę sensacyjną opowieść, ale wątpliwe było, czy zechce narazić się na posądzenia. Była dostatecznie bogata, żeby poświęcić diament dla własnej dobrej opinii, na to Marietta bardzo liczyła, nie wiedząc nawet o zapowiadającym swoje przyjście potomku.

– To nie ma ceny – zawyrokował wicehrabia bezapelacyjnie, odkładając wreszcie diament na stół. – Mogłoby pójść za jakieś piramidalne

pieniądze na aukcji, ale musiałaby to być aukcja oficjalna, rozgłoszona po całym świecie, taka, która ściągnęłaby bankierów, koronowane głowy, cesarza chińskiego, sułtana, nie wiem, kto tam jeszcze ma pieniądze. Plantatorów z Ameryki i handlarzy niewolnikami. Zdaje się, że tego nie chcesz, a zresztą, po co nam ten rozgłos. Trzeba go przeciąć w miejscu skazy i zrobić z niego dwa. Aż żal. A i tak nie wiem, kto go zdoła kupić...

– Rothschild – podsunęła zachęcająco Marietta.

– Rothschild mógłby, ale po co mu...? A, chyba jako lokata kapitału, wątpię, czy diamenty kiedykolwiek stanieją... Ożenię się z tobą. Odrobina wysiłku i zrobimy z ciebie naturalną córkę jakiegoś księcia, znajdzie się odpowiedni. Znasz język angielski?

– Znam, nawet dobrze.

– Coś się wymyśli. Tylko w żadnym wypadku nie możesz już być niczyją pokojówką.

– Nie jestem. Od powrotu z Anglii. To znaczy, we Francji już przeszło cztery lata.

– Bardzo dobrze. Moja miła, ożywiłaś mnie. Ogromnie zyskałaś przez ten czas, gdybym cię spotkał w jakimś salonie...

Jak niegdyś przed Arabellą, tak teraz przed Mariettą otwarło się niebo. Od Arabelli różniła się tym, że miała większe doświadczenie życiowe i darów losu nie przyjmowała bezkrytycznie. Odrobina nieufności trwała w jej duszy zakotwiczona pazurami i wzmożona niepokojem, co by było, gdyby wicehrabia poznał całą prawdę.

Wicehrabia nie był zakamieniałą, cyniczną świnią. Geny po przodkach zapchane miał honorem, ponadto Marietta w charakterze żony wydawała mu się w chwili oświadczyn atrakcyjna. Jej tolerancji był pewien, o nudzie nie było mowy, znaleźć się umiała, głupia rozrzutność nie wchodziła w rachubę, o majątek potrafiłaby zapewne zadbać lepiej niż on sam. Mógł się

z nią ożenić, co w najmniejszym stopniu nie przeszkadzałoby przyjemnemu życiu, a przy tym usuwało troski materialne w stopniu, o jakim nawet nie marzył. Nie takie mariaże zawierano we współczesnych czasach...

Z chwilą jednakże, kiedy diament przestał mu lśnić przed oczami i działać ogłupiająco, poczuł w głębi duszy jakiś niepokój. Jego rodzice jeszcze żyli, zaprezentowanie im Marietty w charakterze synowej odrobinę przerastało jego siły, zbyt dobrze znał jej przeszłość. Zrobiło mu się trochę nieswojo, ale trudno, przepadło, słowo się rzekło, dziewczyna okazała mu bezgraniczne zaufanie, stał się posiadaczem jej tajemnicy, a z deklaracją małżeńską wyskoczył dobrowolnie...

Zdusiwszy rozterkę, pełen wielkich nadziei, że jakoś to wszystko rozwiąże się samo, wicehrabia zabrał się do roboty.

Potknął się już przy pierwszym kroku.

– O czym pan hrabia mówi? – spytał chłodno znajomy jubiler. – O tak zwanym Wielkim Diamencie? Pan hrabia wierzy w jego istnienie?

– Nie muszę wierzyć – odparł beztrosko wicehrabia. – Widziałem go na własne oczy. Okazuje się, że Anglicy wcale go nie ukradli. Dostał go Francuz, podobno w podzięcie, czy może jako zapłatę, za jakieś działania obronne. Od Hindusów bezpośrednio.

– Jaki Francuz?

– Nie wiem. Może kapitan okrętu?

– Od jakich Hindusów?

– Nie wiem. Nie było mnie przy tym.

– Ale diament pan widział?

– Nawet trzymałem go w ręku.

– Tu, w Paryżu?

– Tu, w Paryżu. Niedawno.

– W takim razie musiał pan wicehrabia mieć do czynienia z szaleńcem. O ile diament był prawdziwy. Po całej aferze, po samobójstwie pułkownika Blackhilla, każde pojawienie się kamienia musi narobić bigosu. Jego posiadacz, nie pytam, kto nim jest, bo i tak mi pan tego nie powie... musi udowodnić swoje prawa do niego już chociażby po to, żeby oczyścić imię nie tylko pułkownika, ale także innych, zamieszanych w to, osób. Wskazać drogę, jaką ten diament przeszedł. Ja go, w każdym razie, palcem nie dotknę, dopóki to wyjaśnienie nie nastąpi. Kompania Wschodnio-Indyjska jest zainteresowana i trzyma sprawę w zawieszaniu.

– Nie pojmuję, dlaczego – rzekł wicehrabia, zdobywając się wciąż na beztroską obojętność, ale już widząc, że trafił nie najlepiej. – O ile wiem, dotyczy to czasów wojny w Indiach, ileż to lat...?! Wszystko było wtedy możliwe. Broniąc Hindusów przed Anglikami, nasi mogli dostawać rozmaite prezenty.

– Mogli – zgodził się jubiler. – Ale w wypadku Wielkiego Diamentu trzeba to udowodnić, bo sprawa zrobiła się zbyt głośna i w dodatku honorowa.

Pojąwszy, iż popełnił błąd i poszedł nie tam gdzie trzeba, wicehrabia porzucił temat, wzruszył ramionami, nabył żalobną szpilkę do żabotu i wyszedł. Zdenerwowanie udało mu się ukryć, ale po wyjściu od jubilera sposepniał.

Skorzystanie z bogatego ożenku okazywało się nie takie łatwe, jak sądził. Zamiast szukać krętych dróg, wiodących do celu, jął się zastanawiać, w czym nie miał wielkiej wprawy. Marietta, jako dodatek do wielkiego majątku, była, ostatecznie, jakoś tam do przyjęcia, Marietta bez diamentu nie miała żadnego sensu. Po cóż, u diabła, miałyby się żenić z pokojówką, ładacznicą i szantażystką, wobec której nie miał żadnych

zobowiązań, bo nawet nie był jej pierwszym kochankiem...? On, potomek wielkiego rodu! Nie daj Boże, stałaby się jeszcze matką jego dzieci...

Z drugiej jednakże strony coś go trzymało. No tak, oczywiście, honor. Obietnica. Ojciec miał rację, całe życie był lekkomyślnym kretynem i wcale mu to nie przeszło... Ponadto kusiły miraż bogactwa, pozbyć się wreszcie wierzycieli, u jubilera móc kupić szmaragdową tabakierkę, a nie żalobną szpilkę, najtańszą z możliwych...

Marietta z miejsca wywęszyła wahania amanta i przeraziła się. Wicehrabia jako mąż i zarazem wspólnik nie zagrażał jej niczym, jako były wielbiciel stanowił nieszczęście. Co gorsza, rola wicehrabiny niezmiernie przypadła jej do gustu i już się zaczęła do niej przyzwyczajać. Morale wicehrabiego oceniała wprawdzie wysoko, ale życie nauczyło ją, że różnie bywa, nie sposób przewidzieć, jak i kiedy niewydarzony półgłówek zdoła się wygłupić. Doświadczenia miał za sobą liczne, ale raczej jednostronne, z diamentem nie da sobie rady, o ślubie w ogóle nie ma co marzyć. Należało znaleźć raczej jakiegoś dobrze urodzonego oszusta, hochsztaplera, może nawet złodzieja...

Bez długich namysłów zdecydowała się położyć krzyżyk na wicehrabinie i zmienić kierunek działań. Mając do wyboru, bogactwo czy salony, wołała bogactwo. Zarazem jednak wicehrabiego nie mogła pozostawić odłogiem, bo za dużo o niej wiedział, jeśli już pozbyć się, to definitywnie.

Trochę jej go było szkoda, ale nie przesadnie. Straszliwy zawód, jakiego doznała, gruntownie zniweczył dawne uczucia, które i tak już pełzały słabym ogienkiem, obecnie interes był dla niej znacznie ważniejszy niż miłość. Czasu miała dość, na ziołach wciąż znała się doskonale, własnoręcznie przygotowała niezawodny wywar, którym należało poczęstować słabo przydatnego amanta. Zwlekała jeszcze, bo wicehrabia

sprężył się w sobie i dokonał kolejnej próby, przeświecającej nadzieją. Postanowiła dać mu szansę.

Wicehrabia, przełamawszy opory wewnętrzne, kontrastowo udał się do jubilera, również znajomego, który prowadził interesy bez porównania mniej kryształowe niż ten pierwszy.

O diamencie napomknął bardzo delikatnie i natychmiast spotkał się z wielkim zainteresowaniem. Jubiler zażądał demonstracji.

Marietta o mało nie wylała od razu swojej mikstury. Czekająca nazajutrz po drugiej stronie ulicy, bo sprowadzać podejrzanego kupca do własnego mieszkania nie miała najmniejszej ochoty. Wicehrabia również wolał nie. Wpatrzona w wejście sklepu przeżywała katusze, rozszalała się w niej bowiem nagle wyobraźnia. Wyraźnie czuła, widziała to, była pewna, że wicehrabia już jej diamentu nie odda, ucieknie ze sklepu tylnym wyjściem, obrabuje ją zwyczajnie, albo może nie, nie on, jubiler go zabije i zdobędzie klejnot dla siebie, ktoś zabije ich obu, jakiś złoczyńca już tam zaczajony, nikt nikogo nie zabije, tylko obaj razem wezwą policję i każą ją aresztować, może w magazynie wybuchnie pożar, może nastąpi inna okropność, ona w każdym razie diamentu już nie odzyska, a za to straci wolność...

Krótko mówiąc, po raz pierwszy w życiu wpadła w rzetelną histerię. Podkład już miała, wicehrabia, szczerzy chłopiec, nie umiał porządnie ukrywać swoich wahań i wątpliwości, napięcie Marietty narastało i tu, naprzeciwko jubilerskiego magazynu, doszło do zenitu.

Nie mając pojęcia o doznaniach współniczki, wicehrabia z diamentem wszedł do jubilera. Oględzin dokonano na zapleczu, w pokoiku, stanowiącym coś w rodzaju warsztatu złotniczego.

Pewności, że istotnie ma do czynienia z największym diamentem świata, wicehrabia nabrał dopiero na widok rumieńca, jakim zapłonęła twarz

fachowca. Jubiler złapał dech oraz lupę, obejrzał kamień z największą dokładnością i nie zdołał w pełni stłumić emocji.

– Przeciąć czy pan wicehrabia chce sprzedać, jak jest? – spytał bez ogródek.

– Nie wiem jeszcze – odparł wicehrabia, wyjmując mu z ręki droгоценność niemal przemocą. – Na ile pan to wycenia?

– Trudno powiedzieć. Rzecz dla amatora. Po przecięciu...

– Niech się pan nad tym zastanowi – poradził sucho wicehrabia. – Właściciel chciałby dostać pieniądze. Przyjdę jutro albo pojutrze.

Jubiler nieco ochłonął.

– Pojutrze. Przeprowadzę rozeznanie. Może zdołam podać panu konkretną sumę.

Ukazując się znów na progu sklepu wicehrabia zamierzał dać radosny znak zawołanej Marietcie. Znak mu nie bardzo wyszedł, bo równocześnie błysnął w nim niepokój, że do pojutrze jubiler włączy się w ową aferę, o której było tyle gadania, i stworzy jakieś przeszkody. On sam zostanie wmieszany, diabli wiedzą w co... Zawahał się i zatrzymał na moment, z wyrazem niechęci na twarzy.

Półprzytomna z napięcia Marietta odebrała gest i wyraz jako potwierdzenie najgorszych obaw. Ślepo runęła ku niemu przez jezdnię wprost pod koła rozpędzonej karety hiszpańskiego ambasadora.

Wątpliwe, czy nawet w sto lat później zdołano by uratować jej życie. Początek drugiej połowy XIX wieku dysponował mniejszymi możliwościami i po kwadransie umarła w objęciach niedoszłego oblubieńca lub też niedoszej ofiary.

Zważywszy wysokie sfery, do jakich należała kareta, w której zresztą jechał nie ambasador, tylko jego wiecznie śpieszący się sekretarz, wydarzenie doczekało się aż dwóch wzmianek w prasie. Trzecia wzmianka,

podająca ten sam adres, pojawiła się w tydzień później i zawiadamiła o tajemniczej śmierci dwóch kobiet dzień po dniu. Zmarła mianowicie gospodyni domu, a zaraz nazajutrz jej służąca, obie otrute substancją, której resztki znaleziono w pustym mieszkaniu po zabitej w katastrofie lokatorce. W archiwach policyjnych pozostały zeznania świadków, z których to zeznań wynikało, że obie damy kolejno spróbowały napoju z eleganckiej, kryształowej karafki. Uczyniły to całkowicie dobrowolnie, a napój okazał się koncentratem bardzo silnej trucizny pochodzenia roślinnego.

Wicehrabia obie wzmianki nawet przeczytał, ale żadne podejrzenia nie zaświtały mu w głowie. Pozostał w przekonaniu, że narzeczona–współniczka kochała go nad życie i wielką ulgę sprawiała mu myśl, iż nie zdążył jej unieszczęśliwić wyjawieniem swoich wątpliwości.

Resztę pieniędzy Marietty w postaci czterystu franków osobiście odwiózł kowalowi, diament jednakże zatrzymał dla siebie. Żadne wyrzuty sumienia go nie dotknęły, głęboko wierzył bowiem, iż takie właśnie byłoby życzenie nieboszczki. Cóż kowalowi po diamencie, z którym on sam nie wie, co zrobić? A ileż skomplikowanych wyjaśnień...!

W każdym razie nieoczekiwana i wielce dramatyczna śmierć Marietty wstrzymała go we wszystkich poczynaniach. Jubilerowi wyjaśnił, że właściciel zmienił zdanie i już nie chce klejnotu sprzedawać, po czym sam przystąpił do bezradnego bicia się z myślami. W niepewności wytrwał całe dwa lata, ku ogromnej ucieście swoich rodziców, większość tego czasu spędził bowiem w rodowej posiadłości. Paryż go denerwował.

Potem zaś z kraju, będącego niegdyś Polską, przybyła nowa emigracja, wypędzona na obczyznę upadkiem kolejnego powstania...

* * *

Hrabia Dębski, którego pradziad otrzymał tytuł od samego Napoleona, zagrożony osobiście, uciekł z kraju w ostatniej chwili, zabierając ze sobą jedyną córkę, a może raczej należałoby powiedzieć, że to córka zabrała lekko rannego ojca. Jego dobra, rzecz jasna, zostały skonfiskowane, na szczęście jednak zasadnicza część rodzinnego majątku znajdowała się w rękach babci, starej hrabiny Dębskiej, wywodzącej się z bogatych kupców gdańskich. Swymi czasy małżeństwo dziadka stanowiło mezalians, wówczas gwałtownie potępiany, a teraz owocujący zyskiem. Posagowych dóbr hrabiny konfiskata nie obejmowała, hrabia Dębski zaś był ich jedynym dziedzicem, bez względu na to, gdzie przebywał, na Syberii czy w Paryżu. Wolał w Paryżu.

Przekazanie funduszków via Gdańsk nie napotkało żadnych trudności i hrabia z córką, wynajawszy mały i skromny pałacyk przy Chaussée-d'Antin, błyskawicznie wszedł do najlepszego towarzystwa, znanego mu zresztą z lat młodości. Jego piękna córka z miejsca zrobiła furorę.

W siedemnastoletniej hrabiance Klementynie starszy od niej o lat jedenaście, ale wciąż bardzo młodzieńczy wicehrabia de Noirmont zakochał się na śmierć i życie, zanim się zdążył obejrzeć.

Powodzenie zawsze miał szaleńcze, od dwóch lat jednakże, od chwili wejścia w posiadanie diamentu, przestał je wykorzystywać i prowadził się nienagannie, z czego prawie nie zdawał sobie sprawy. W tajemniczy sposób Wielki Diament zmienił mu charakter. Niegdysiejszy złoty młodzieniec, lekkomyślny, niedbały utracjusz, przeistoczył się w istotę myślącą. Roziskrzona bryła działała jakby dwukierunkowo, z jednej strony wyraźnie się czuło, że jej pochodzenie jest podejrzane i należy ją ukrywać, z drugiej stwarzała olśniewające możliwości finansowe, których wyrzeczenie się byłoby idiotyzmem. Wicehrabia nie potrafił się na nie zdobyć, równie niezdolny do tych jakichś niezbędnych zabiegów, przecięcia kamienia,

sprzedazy, konszachtów z jubilerami oraz innych wysiłków. W tym wszystkim nie miał pieniędzy, grzązł w długach, na rodzinę nie miał już co liczyć, i całymi tygodniami obijał się po ostatniej, okrojonej posiadłości, gdzie ojciec z matką, obydwójce mocno wiekowi, wegetowali w resztkach zrujnowanego zameczku. Dochód z tych pozostałości po przodkach wystarczał zaledwie na nędzne utrzymanie, a diament świecił własnym blaskiem i kusił, ostrzegając zarazem przed nierozważną lekkomyślnością. Wicehrabia zatem w pierwszym rzędzie zwalczył w sobie lekkomyślność.

Cały paryski wielki świat, a także półświatek, najpierw się zdziwił, potem nie uwierzył, a wreszcie pogodził się z tą osobliwą odmianą dotychczasowego ognistego galanta. Poszła fama, że wicehrabia musi się bogato ożenić i stąd nagły zwrot ku moralności, chociaż liczne młodsze i starsze damy chętnie by go zaakceptowały nawet bez żadnych dodatkowych cnót.

Dwadzieścia lat wcześniej ośmioletni wówczas wicehrabia został przedstawiony młodemu hrabiemu Dębskiemu przez własnego ojca, który wprowadzał w życie paryskie polskiego arystokratę, i teraz odnowienie znajomości przyszło bez trudu. Dostęp do Klementyny był otwarty.

Klementyna, wychowana w kraju o skomplikowanej sytuacji politycznej, z jednej strony pełna surowych zasad, podbudowanych nieugiętym patriotyzmem, z drugiej tryskała życiem i energią, chciwa wrażeń, wytchnienia po rozmaitych okropnościach, beztroski i zabawy. Nie miała zadatków na matronę i cierpiętnicę, wręcz przeciwnie. Fakt, że osobiście, przekradając się konno i pieszo wśród lasów i ugorów, donosiła powstańcom pożywienie i nawet opatrywała rany, wcale nie dobił jej nieodwracalnie, a upadek powstania nie pozbawił optymizmu. Wszystko to razem stanowiło acz dość ponurą, to jednak wspaniałą przygodę i nauczyło ją korzystać z każdej chwili radości i ulgi, regenerować siły dla zniesienia

następnych nieszczęść i wierzyć niezłomnie w tak zwane lepsze jutro. Należała do kobiet, stanowiących czyste błogosławieństwo dla całego rodzaju męskiego, wewnątrz zaś była starsza niż wskazywał jej wiek. Świeżo minione wydarzenia historyczne obdarzyły ją dojrzałością umysłu i charakteru.

I do tego była naprawdę piękna.

Wicehrabia na jej punkcie oszalał do tego stopnia, że prawie zapomniał o diamencie. Klementyna, w nieco wolniejszym tempie, odpowiedziała mu wzajemnością. Na oko podobał jej się od razu, rozejrzawszy się zaś wokół siebie, doceniła zdumiewająco moralny tryb życia młodego człowieka, o którym krążyły obecnie kąśliwe opinie, jakoby pokutował za wcześniejsze grzechy. Skoro pokutował, to już nieźle, szczególnie że poddał się tej pokucie sam z siebie, dobrowolnie, bez niczyjego nacisku. Jedną miał tylko wadę nieuleczalną, mianowicie nie był bogaty. Pochodził ze zrujnowanej rodziny, nie posiadał prawie żadnego dochodu i nie czekał na niego żaden spadek. Pod tym względem prezentował się beznadziejnie.

Ubóstwem wielbiciela Klementyna nie przejęła się zbyt. Co oznacza, wiedziała dokładnie, dość się naoglądała w kraju rodzin zrujnowanych. Znała takich, którzy poddali się rezygnacji i podupadli doszczętnie, i takich, którzy umieli się podźwignąć, sama nie zagrożona żadną nędzą wyłącznie dzięki gdańskiej babce. Wpadły jej nawet w ucho jakieś rozmowy o funduszach lokowanych w Anglii, zabezpieczonych przed wszelkimi kataklizmami.

Na wszelki wypadek jednakże odbyła rozmowę z ojcem.

– Mój tatku – rzekła przy śniadaniu, spożywanym sam na sam, we dwoje. – Czy my jesteśmy bogaci?

Hrabia Dębski, po wydarzeniach powstańczych pełen uznania, a nawet szacunku, dla własnej córki, zastanowił się.

– To zależy – odparł. – Ogólnie, jako rodzina, raczej tak. Ale pozostał nam tylko majątek babci, bo moje przepadło. No i ty masz Zarzecze po matce. Dałoby się z tego wyżyć.

– A gdyby nagle potrzebne nam były pieniądze, dużo pieniędzy, to co?

– A cóż ty, moje dziecko, nagle zrobiłaś się taką finansistką?

– Zaraz tatce powiem, ale najpierw niech tatko odpowie. Gdyby nam były potrzebne...

– Dużo pieniędzy to ile, według ciebie?

– Nie wiem. Milion franków. Albo dwa miliony.

– Dwa miliony franków, chciałabyś, żeby ci tu położyć na stole? To nie dzisiaj. Najprędzej jutro, a może nawet pojutrze. Musiałyby nadejść przez Gdańsk i Londyn. Nadwerężyłoby nas nieco, ale rzecz jest możliwa. Dlaczego pytasz?

– Powiem tatce prawdę...

Hrabia łypnął okiem na córkę, nieco zaskoczony.

– No, ja myślę! Jakżeby inaczej? Dotychczas kłamstw żadnych od ciebie nie słyszałem!

– I nie usłyszy tatko – zapewniła Klementyna, przyzwyczajona do bezwzględnej szczerości własnej i wielkiej tolerancji ojca. – Ciągłe tu wszyscy trąbią o pieniądzech, spadkach, kredytach, posagach... Posagach szczególnie. Chciałabym wiedzieć, co by było, gdyby mi się oświadczył ktoś ubogi. Czy ja muszę sobie szukać bogatego męża?

– Żadnego nie musisz, sami cię znajdą. Możesz, dziecko, poślubić i ubogiego, jeśli ci do serca przypadnie, byle dobrej krwi. I nie jakiegoś szalawile, co wszystko przetrwoni. Ale ja wierzę, że rozumu ci nie zabraknie, tylko nic nie czyń w tajemnicy przede mną.

– Nie uczynię, tatku...

Obietnica miała swoją wagę. Nie oznaczała, rzecz jasna, zwierzeń, jakie czyni się o zmięczeniu najlepszej przyjaciółce, czegoś podobnego hrabia Dębski nie oczekiwał, a Klementyna dobrze wiedziała, o co ojcu chodzi. Nie musiała wyjawiać niepewnych drgnień serca, ale takie rzeczy, jak potajemne schadzki, ukrywane znajomości czy zgoła ucieczka z amantem, nie wchodziły w rachubę. Wpojone miała przekonanie, że co uczciwe, to nie wymaga ukrycia, tajemnica z reguły kryje wykroczenie, a nawet zbrodnię. Oczywiście bywają wyjątki, na przykład w odniesieniu do wroga. Chociażby różne spiski w kraju...

Uspokojona w kwestiach finansowych, pozwoliła uczuciu na rozwój.

Wicehrabia de Noirmont zwlekał z oświadczeniami tylko dlatego, że ogarniała go rozpacz na tle finansowym. O zamożności hrabiego Dębskiego nie miał pojęcia, przywykł raczej do ubóstwa emigrantów z kraju, który nie istniał na mapach Europy, i hrabiego również uważał za ofiarę, goniącą resztkami. Bogaty mariaż, przy swojej urodzie i wychowaniu, Klementyna miała jak w banku, on zaś chciał jej w tym przeszkodzić. Chciał ją zagarnąć dla siebie, nie mogąc jej nic dać. Jedyne, co mógł zaproponować, to żalosną egzystencję na ruinach zameczku, wśród paru krów, koni, owiec, dość liczne drobiu, znacznie liczniejszych szczurów i nietoperzy oraz trzech osób służby: starego lokaja, kucharki i dziewczki do wszystkiego. Nie takim bogactwem pragnął ją obdarzyć! Czemuż, jak kretyn, tak bez opamiętania trwonił spadek po ciotecznej babce, co mu do głupiego łba strzeliło, żeby obsypywać złotem jakieś idiotyczne kurtyzany, fetować cyrkowców i chórzystki z opery, rozdawać przyjaciółom i wrogom najlepsze konie, przegrywać po salonach dzikie sumy, a wygrane zostawiać służbie...?! Ta służba jest teraz dziesięć razy bogatsza od niego. Cymbał grzmiący...!!!

Samokrytykę odpracował sam ze sobą rzetelnie, ale niewiele to pomogło. Jedyne ratunek, Wielki Diament, znów zaczął natrętnie pchać mu

się na myśl. Gdyby zdołał się nim posłużyć... O nie, teraz już by nie robił z siebie idioty, żadnej głupiej rozrzutności, zainwestować rozumnie i dać sobie spokój z życiem ponad stan. Ta precudowna dziewczyna nie prezentuje żadnych rozszalałych kaprysów, to anioł z nieba, a nie grymaśna kokota... Żył jako tako i nie chodził w łachmanach tylko dzięki racjonalnym poglądom wierzycieli. Zdając sobie sprawę, że ze zrujnowanego dokładnie dłużnika niczego nie wydoją, woleli cierpliwie poczekać na poprawę jego losu. Bogaty ożenek wciąż wydawał się wielce prawdopodobny i sami gotowi byli mu raić różne właściwe partie, dziwiąc się tylko z lekką irytacją, że nie bierze wdowy po bankierze, może i niezupełnie młodej, ale tarzającej się w dostatkach i jeszcze całkiem na chodzie. A córka kupca winnego, milionera, aż się trzęsa do niego. Lada chwila powinien się załamać i coś z tego wybrać. W oczekiwaniu tej radosnej chwili wciąż karmili go i odziewali na kredyt. Nawet własnego konia, oddanego w zastaw, mógł wicehrabia w razie potrzeby wypożyczać.

Wicehrabia zaś teraz już oglądał diament codziennie i bał się wybuchu afery. Był święcie przekonany, że w razie najmniejszego swądu, straciłby Klementynę bezpowrotnie. Gryzł się tak, że sposepniał i nawet nieco zmienił się na twarzy. Może by i zmarniał doszczętnie albo popełnił jakieś głupstwo, gdyby nie wtrącił się los.

Los przybrał postać deszczu, który lunął znienacka. Wicehrabia sterczał właśnie ponuro przed wystawą jubilera, którego wcale nie zamierzał odwiedzać, bo na nic się jeszcze nie zdecydował, a widok wszelkich klejnotów denerwował go niewymownie, wystawie przyglądał się zatem masochistycznie. Na stan nieba nie zwracał żadnej uwagi, nagła ulewa zaskoczyła go, odwrócił się gwałtownie w poszukiwaniu jakiegoś schronienia i ujrzał hrabiego Dębskiego w krytym powozie, zwalnającym

tuż przed nim. Hrabia dostrzegł go w tym samym momencie, kazał zatrzymać i zaprosił młodzieńca najpierw do pojazdu, a potem do siebie.

Klementyny nie było, bawiła gdzieś w gościnie. Obaj usiedli przy winie, czekając na jej powrót, wyjątkowo bowiem nie mieli w planach żadnej wieczornej rozrywki.

Hrabia Dębski na zaburzenia wzroku nie cierpiał. O rękę córki bywał proszony niezliczoną ilość razy od chwili, kiedy ukończyła piętnaście lat, objawy rozmaitych gwałtownych uczuć były mu doskonale znane, pamiętał nawet doświadczenia własne. Domyślał się, na co ciężko choruje zgnębiony wicehrabia, lubił go, znał rodzinę, cenił niegdyś jego ojca, pozwolił sobie teraz na współczucie, aczkolwiek zachęcać go do oświadczyn nie miał najmniejszego zamiaru. Chciał mu tylko nieco ulżyć.

Wicehrabia na oglądanej przed chwilą wystawie zauważył między innymi rubinowe spinki, których sam był niegdyś szczęśliwym posiadaczem, i widok napełnił go głębokim rozgoryczeniem, połączonym ze wstrętem do siebie. Pierwsze życzliwe słowo pozbawiło go równowagi i opanowania. Coś w nim pękło.

– Masz pan, hrabio, do czynienia z bydlakiem i kretyńcem – rzekł gwałtownie. – Powinien pan wezwać służbę i wyrzucić mnie za drzwi. Sam, dobrowolnie, nie wyjdę, nie zdobędę się na to. Kocham pannę Klementynę do szaleństwa, wyznaję to, żeby uniknąć nieporozumień. Nie proszę pana o jej rękę, za nic, nie ośmielam się, tak jak nie ośmieliłem się dotychczas wyjawic jej moich uczuć. Chory jestem od tego.

– Dość osobliwe stanowisko – zauważył hrabia dyplomatycznie i łagodnie. – Cięży na panu jakaś... hm... nieprzyjemność?

– Cięży, jedna, zasadnicza. Nie mam pieniędzy, straciłem wszystko, jestem nędzarzem. Nie wiem, co zrobić, bo nie przywiążę do mojej nędzy kobiety, którą kocham ponad wszystko na świecie, a żyć bez niej nie

potrafię. Mówił pan, że zmizerniałem, nic dziwnego, karmię się głównie wyrzutami sumienia, a to niestrawne pożywienie. Darować sobie nie mogę, że byłem takim głupcem, dopiero niedawno... no, już prawie trzy lata... oprzytomniałem i spojrzałem prawdzie w oczy. Owszem, przyznaję, myślałem o bogatym ożenku, ale z chwilą ujrzenia pańskiej córki moje myślenie skończyło się jak nożem uciął. Raczej strzelę sobie w łeb...

Hrabia Dębski miał pogodne usposobienie i duży zasób poczucia humoru. Wyznanie go rozśmieszyło, bo kwestie finansowe wśród przeszkód w ewentualnym poślubieniu Klementyny stały akurat na ostatnim miejscu.

– To rzadko bywa najlepszym rozwiązaniem – przerwał, taktownie kryjąc rozweselenie i dolewając wina niezwykle konkurentowi. – A co właściwie panu zostało? Bo z każdego majątku zawsze coś zostaje.

– Zostało – przyznał wicehrabia z gniewnym sarkazmem. – Kilka krów, kilka świń... Poślubię kobietę, którą uwielbiam, i uszczęśliwię ją koniecznością karmienia nierogaczyny...

– Nie chcę wywierać na pana żadnej presji, ale moja córka doskonale umie obrządzać świnie – zakomunikował hrabia, któremu coraz bardziej chciało się śmiać. Szczerść i prawda wręcz biły od wicehrabiego, wystawiając mu całkiem niezłe świadectwo. Świadom przy tym własnej sytuacji materialnej, która mogła wszystkiemu zaradzić, hrabia bawił się coraz lepiej.

Wicehrabia otworzył usta, żeby wydać następny rozpaczliwy okrzyk i zamknął je nagle. Potem znów je otworzył.

- Wyśmiewa się pan ze mnie – rzekł z goryczą. – I słusznie.
- Wcale się nie wyśmiewam.
- Niemożliwe. Skąd pannie Klementynie do świń?

– Także do krów, koni i drobiu. Powinien pan pouczyć się trochę historii i geografii. Rozmaite wydarzenia nasz kraj przeżywał i przyszła taka chwila, kiedy moja córka w głębi lasu pilnowała świń, chroniąc je przed wrogiem. Stanowiły jedyne pożywienie wojsk powstańczych w tym rejonie. Było także i tak, że cała męska służba poszła z bronią do walki, a żeńska z trudem dawała sobie radę. Moja córka doiła krowy i czyściła konie. Nabyte wcześniej wykształcenie wcale jej w tym nie przeszkadzało.

Wicehrabia patrzył na hrabiego wzrokiem cokolwiek baranim, zastanawiając się mgliście, czy to możliwe, żeby któryś z nich upił się trzema kieliszkami wina.

– Na Boga... Ale chyba... Nie polubiła tych zajęć...?

– Także nie nabrała do nich przesadnej niechęci. To rozumna dziewczyna, pojmuje pewne konieczności. Co nie znaczy, że jej marzeniem jest zostać dójką, tak mi się przynajmniej wydaje. Trudno czasem mężczyźnie w średnim wieku zrozumieć bardzo młodą damę.

Wicehrabia mechanicznie napił się wina i odrobinę ochłonał.

– Pańska córka to skarb pod każdym względem – oznajmił stanowczo i smutnie. – Gdyby istniał dla mnie bodaj cień możliwości... No, powiedzmy, że cień istnieje, ale nader wątpliwy... Wstąpiłbym w szranki z mieczem w dłoni. Sam pan widzi, pozwalam sobie na szczerość nie do przyjęcia w myśl panujących powszechnie obyczajów, na przywilej i ulgę rozmowy z przyjacielem. Bo uważam pana za przyjaciela, pozostało mi to wrażenie z czasów, kiedy miałem osiem lat, a mój ojciec wyrażał się o panu z wielką sympatią i uznaniem. Podobał mi się pan wtedy ogromnie. Prawie zapominam, że jest pan ojcem kobiety, o której mówię i która stanowi nieszczęście mojego życia...

– Co właściwie sprawiło, że przed trzema laty zmienił pan tryb życia? – przerwał hrabia z zainteresowaniem. – Dysponował pan przecież jeszcze

jakimiś resztkami...?

Wicehrabia milczał przez chwilę, walcząc z pokusą, żeby wyznać hrabiemu całą prawdę.

– Dysponowałem. I nie tylko. Szczęśliwy traf zdarzył, że wygrałem w bakarata znaczną sumę. Tak znaczną, że pozwoliła mi dożyć obecnej chwili. A równocześnie... No cóż... Pomówmy jak mężczyzna z mężczyzną, nie przypuszcza pan chyba, że żyłem jak mnich... Pewna dziewczyna... Prosta dziewczyna, nawet nie piękna, ale pełna uroku, inteligentna... bez trudu mogła udawać prawdziwą damę... W przypiływie lekkomyślności byłem gotów ożenić się z nią i uważałem to nawet za doskonały dowcip, osiągnąłem chyba wówczas szczyt możliwej głupoty... Straciła życie w moich oczach, padłszy ofiarą katastrofy w chwili, kiedy realizował się jej cel życia. Zginęła z blaskiem na twarzy...

Gdyby wicehrabia wiedział, że ów blask na twarzy Marietty miał ścisły związek z miksturą, jaka czekała na niego w kryształowej karafce, zapewne wspominałby słodką dziewczkę z mniejszym wzruszeniem. Nie wiedział jednak i dzięki temu mógł wypromieniować z siebie samą szlachetność.

– ...Nie kochałem jej – zwierzał się dalej uczciwie. – Ale bardzo lubiłem i to wydarzenie mną wstrząsnęło. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem i nikt o tym nie wie. Wszyscy myślą, że ustatkowałem się wyłącznie dla bogatego ożenku. Ja zaś, po pierwszym wstrząsie, zdołałem zastanowić się, co robię i jak wygląda moja przyszłość...

– Sądzę, że zasługuje pan raczej na wyrazy uznania, a nie na potępienie – powiedział hrabia z namysłem. – Obiły mi się tu już o uszy różne opinie na pana temat... Sam również w młodości występowałem w charakterze półgłówka i gdyby nie śmierć ojca i konieczność powrotu do kraju, może posunąłem się znacznie dalej. Chociaż, z drugiej strony, lepiej było wtedy stracić możliwie dużo, mniej by teraz mieli do odbierania.

– Na ile orientuję się w sytuacji, skonfiskowano panu wszystko?

– Mnie tak. Na szczęście mojej matce trochę zostało.

– No więc sam pan widzi – rzekł wicehrabia, wracając do gnębiącego go tematu. – Moim rodzicom też coś zostało. Można to uznać za punkt wyjścia, nie z takich szczątków pracowici ludzie dorabiali się fortun. Zakopać się na wsi, osobiście zadbać o te świnie, krowy i kawałek winnicy, poświęcić życie ciężkiej pracy i zapewne moje wnuki znów stałyby się bogate. Może to zrobię, zamiast strzelać sobie w łeb, ale byłbym zbrodniarzem, gdybym zaprzągnął do pług a anioła...

– Niech pan wejrzy w siebie – poradził hrabia, którego to wszystko znów zaczęło śmieszyć. – Anioł aniołem, ale czy pan sam zdołałby żyć w trzech pokoikach, z jedną służącą, z żoną, która sama karmi dzieci, bo nie stać jej na mamkę, mając dwie kamizelki i jeden niemodny frak, bez opery, komedii, wizyt, powozu...

Wicehrabia oczyma duszy ujrzał egzystencję starego lichwiarza, któremu sam był winien straszliwe sumy, w związku z czym raz go odwiedził.

– Musi to być w Paryżu? – przerwał z niesmakiem. – Nie może być na wsi? W gruncie rzeczy lubię wieś, a frak jest tam potrzebny jak piąte koło u wozu. Co do rozrywek, jeden koń, jedna fuzja i piękna żona wystarczą. Mógłbym jeszcze jechać do Ameryki i karczować dzikie puszcze.

– Nie – uparł się hrabia. – Ja proszę, żeby pan sobie wyobraził skromną, urzędniczą egzystencję w Paryżu. Taką za dwa tysiące rocznie. Niech pan wysili wyobraźnię i odpowie uczciwie.

Wicehrabia milczał długą chwilę, popijając wino, wpatrzony gdzieś w dal. Widział dwa obrazy. Jeden, całkiem znośny, zawierał w sobie samotnego młodego człowieka, który żywił się na proszonych obiadach i kolacjach, owe dwa tysiące zaś wystarczały mu na uzupełnienie stroju, i

drugi, zgoła potworny, tego samego człowieka, obarczonego rodziną, z zaniedbaną, znękaną żoną i źle odżywionymi dziećmi...

– Spróbowałbym coś zrobić – oznajmił wreszcie z zaciętością. – Zdaje się, że mam czynny charakter. Może zaoszczędziłbym sto franków i ruszył na giełdę, a może zostałbym włamywaczem i rozbójnikiem. Gdyby moja żona wyglądała na istotę szczęśliwą, zniósłbym to łatwiej, ale tym bardziej próbowałbym coś zrobić, jeszcze nie wiem co. Wbrew pozorom, nie jestem idiotą zupełnym i chyba bym coś wymyślił.

– A, powiedzmy, przy dochodzie stu tysięcy... Wicehrabia spojrzął na hrabiego z wyraźnym niepokojem i zdumieniem.

– Pan żartuje. Przecież to jest normalny dochód ludzi, dobrze... no, średnio, sytuowanych...

– Można go trwonić.

– Za nic! Przenigdy! Za dobrze to znam, złożyłem sobie przysięgę, ślubowałem! W przyływach optymizmu zdążyłem to sobie obmyślić, podniósłbym Noirmont! Własne konie, własne wino, własne owoce, jarzyny, ryby, mięso... O nie, drugi raz nie wygłupię się tak potwornie...!

Hrabia Dębski pojął, że słyszy prawdę. Podjął decyzję. Reszta zależała od Klementyny.

W tym właśnie momencie Klementyna wróciła do domu. Rozogniony i ogłuszony całą rozmową wicehrabia de Noirmont zgłupiał do tego stopnia, że nie bacząc na obecność ewentualnego przyszłego teścia, zerwał się z fotela i padł przed nią na kolana.

– Wybacz, pani! – wykrzyknął rozpaczliwie. – Kocham cię do szaleństwa! Nie mam do tego prawa, nie mam nic, jeśli zgodzisz się zostać moją żoną, nie wiem, co zrobię!

Zaskoczona nieco Klementyna rzuciła okiem na ojca, który z wysiłkiem tłumiał wyraźnie widoczne rozbawienie.

– Myślę, że załatwisz pan sprawę ślubu – odparła mimo woli, na co hrabia Dębski zerwał się i uciekł do gabinetu, nie mogąc dłużej powstrzymać śmiechu.

Wicehrabia de Noirmont omal nie zemdłał, ale piorunujące szczęście dodało mu sił. Rzetelnie ogłuszyła go dopiero informacja, iż bierze sobie bogatą żonę, a zatem nastąpił zwyczajny cud.

Pieniądze Klementyny pozwoliły mu wreszcie odcepić się od diamentu. Kryjówkę dla podejrzanej drogocенności wymyślił od razu i nie musiał już zaprzętać sobie nią głowy. Uczynił to, z czego wcześniej zrezygnowała Arabella.

Pierwszą wizytę u rodziców, do których czym prędzej przybył, żeby zawiadomić ich o matrymonialnym sukcesie, wykorzystał na pracę niszczyielską. Znalazł w bibliotece grube dzieło, traktujące o polowaniu z sokołami i tresurze dzikiego ptactwa, i w samym środku książki wyciął dziurę odpowiedniego rozmiaru. Kartki wokół dziury lekko pomazał klejem, wyłącznie na wszelki wypadek, bo nie przypuszczał, żeby ktokolwiek mógł się zainteresować tematem, raczej mało aktualnym. Sokołów w okolicy nie było nawet na lekarstwo, zaś amatorzy tej rozrywki jakoś już dawno przepadli. Po czym o klejnocie prawie zapomniał.

* * *

Wojna z Prusami, szczęśliwym przypadkiem, ominęła całą rodzinę.

Klementyna z małżonkiem oraz dwójką dzieci bawiła w Polsce, gdzie dogorywała babcia, stara hrabina Dębska. Hrabia Dębski przybyć do matki nie mógł, ponieważ zlekceważył sobie wcześniej właściwe starania i wciąż znajdował się na indeksie, dla władz w kraju będąc wyłącznie kandydatem na Sybir. Stara hrabina miała dość rozumu, żeby syna z polskich dóbr

wydziedziczyć i jedyną spadkobierczynią ustanowić Klementynę, hrabiemu zaś przykazała udać się do Anglii w celu przypilnowania tamtejszych majątności.

Wicehrabia, obecnie, po śmierci ojca, już hrabia de Noirmont, wcale nie pchał się do osobistego udziału w działaniach wojennych i chętnie siedział w ojczyźnie żony, nawiązując liczne znajomości i zażywając sielskich rozrywek. Zważywszy brak przesądów klasowych i lekkie skłonności demokratyczne, bez oporu poznawał najrozmaitszych ludzi, aż trafił na niejakiego pana Władysława Krepla, szlifierza diamentów i jubilera w jednej osobie.

Pan Krepel przed kilkunastu laty, jeszcze jako młody człowiek, wysłany został przez własnego rozumnego ojca w zagraniczne wojaże w celach szkoleniowych i dwa lata spędził w Amsterdamie, a dwa w Londynie. Trafił tam akurat na diamentową aferę, która go żywo zainteresowała. Napomknął o niej teraz francuskiemu hrabiemu przy okazji prezentowania rozmaitych precjozów.

Pogawędka na ten temat z miejsca rozkwitła bujnie, bo francuski hrabia okazał żywe zainteresowanie. Pan Krepel, świadek nie tknięty żadnymi podejrzeniami, mógł sobie pozwalać na wszelkie dywagacje i z wielkim zadowoleniem wyciągnął nawet swoje własne listy, pisane wówczas do ojca, zawierające wszystkie szczegóły.

– O, proszę – rzekł z zadowoleniem, wertując korespondencję – to był sir Henry Meadows, ten się znał na rzeczy! W jego firmie praktykowałem pół roku. Osobiście ze mną rozmawiał, bo nie byłem w końcu chłopcem na posyłki, mój ojciec liczył się na rynku, no i od niego samego wiem, że przedmiot sporu istniał z pewnością. Widział go radża... radża Kharagpuru w dzieciństwie, no i ten pułkownik–samobójca, także kapłani zaświadcza.

Sir Meadows kontaktował się z policją, był pewien, że nastąpiła tam kradzież i twierdził stanowczo, iż diament znalazł się w Anglii...

Hrabiemu de Noirmont zrobiło się w tym momencie trochę gorąco, bo przypomniał sobie, że przecież Marietta przyjechała z Anglii...

– Mnie to ciekawiło także ze względów fachowych – ciągnął pan Krepel.
– Sądząc z opisu, ten diament aż się prosił o przecięcie. Można było uzyskać z niego szalenie rzadką rzecz, mianowicie dwa identyczne kamienie olbrzymiej wielkości. Czegoś takiego nie zawierał nawet ów słynny naszyjnik Marii Antoniny. I nie płaskie, proszę zauważyć, on podobno stanowi bryłę...

O tym, że diament stanowi bryłę, hrabia de Noirmont wiedział lepiej niż ktokolwiek inny.

– ...a fakt, że nie wypłynął, że do tej pory znajduje się gdzieś w ukryciu, najlepiej świadczy o nielegalności posiadania...

Nie przyznając się ani słówkiem do osobistego udziału w karygodnym przedsięwzięciu, hrabia de Noirmont, z lekkimi wypiekami na twarzy, chciwie wysłuchał całej opowieści i nawet poczynił sobie notatki. Zachwycony wzbudzoną zaciekawieniem i dumny ze swej wiedzy, pan Krepel z radością służył szczegółami. Nie krył przekonania, że sir Meadows jeszcze żyje, bo dla dobrze zakonserwowanego Anglika sześćdziesiątka to nie wiek, bez wątpienia żyje też młodszy od niego inspektor policji, a już na pewno pełnią zdrowia cieszy się lady Arabella Blackhill, wdowa po samobójcy. Też była w Indiach w tamtym czasie.

Rezultatem tej sensacyjnej pogawędki był list hrabiego do przebywającego w Anglii teścia. Wysyłając ten list osobiście i nie mając najbledszego pojęcia o filatelistyce i przyszłym zbieractwie, hrabia przykleił na kopercie znaczki po dziesięć kopiejek, cięte, bez ząbków. Do głowy mu nie przyszło, bo i skąd, że ta właśnie drobnostka pozwoli jego

potomkom odnaleźć kiedyś bezcenny skarb, pomijając już to, że w tej akurat chwili swoich potomków miał już głęboko w nosie.

W liście, podając zapamiętane i zanotowane szczegóły afery, poprosił hrabiego Dębskiego o kontakt bezpośredni z wymienionymi osobami i zdobycie szerszego zakresu wiedzy o wydarzeniach i plotkach. Prośbę umotywowował zwyczajnym zaciekawieniem sensacją.

Zarówno list hrabiego, jak i odpowiedź jego teścia, pozostały w dokumentach rodzinnych, bo nie wszystkie domy Europy druga wojna światowa zmiotła z powierzchni ziemi.

* * *

Stara hrabina Dębska umarła, kiedy we Francji zapanował już względny spokój i hrabiostwo de Noirmont mogli bezproblemowo wrócić do domu.

Córka Klementyny, najśliczniejsza dziewczynka świata, miała w tym momencie sześć lat i stanowiła przedmiot uwielbienia czternastoletniego panicza Przyleskiego z sąsiedniego Przylesia. Cała rodzina Przyleskich zachwycała się hrabianką Dominiką zupełnie szczerze, bo też istotnie dziecko prezentowało słodczy aniołka i wyjątkowy wdzięk. Młodszy od niej braciszek, czteroletni Jasio–Piotruś, też miał dużo uroku, ale do siostrzyczki się nie umywał. Klementyna, wiedzona instynktem i własną burzliwą młodością, dzieci chowała rozumnie i rozpuszczała bez przesady. Zachwyty ludzki ją cieszył, zaprosiła zatem małego Krzysia Przyleskiego do Francji, wyraźnie widząc, że o konkurenta dla córki nie będzie musiała się martwić. Omal, zwyczajem głów koronowanych, nie zaręczono dzieci w pobliżu kołyski.

W 1884 roku, w cudownej epoce fin de siècle'u, mariaż został zawarty i Dominika przeniosła się do Polski prawie na stałe. Brat i rodzice mieszkali

w Noirmont, które prosperowało kwitnąco, przywrócone niemal do dawnej świetności, przystosowanej, rzecz jasna, do panujących czasów i obyczajów. Giermkowie z halabardami nie stali u każdych drzwi i zbrojna straż nie krążyła po murach, ale normalnej służby nie brakowało i miał kto obrządzać świnie, krowy i konie.

Hrabia de Noirmont kochał żonę miłością ognistą i zachłanną do końca życia i obawa utracenia jej trwała w nim nieodmiennie. Dopiero na łożu śmierci, na początku dwudziestego wieku, już nieco zamroczony starością i chorobą, uczynił jej wyznanie.

– Była mowa... – rzekł z pewnym trudem. – Pamiętasz może, najdroższa...

Klementyna, wstrzymując łzy, zapewniła go, że pamięta wszystko, cokolwiek przy nim przeżyła.

– Diament – wydusił z siebie hrabia. – Wielki Diament...

Klementyna wysiliła się uczciwie.

– Tak. Pamiętam. Było coś takiego, dawno temu.

– On jest – oznajmił hrabia z nagłym przypiływem mocy i zamilkł.

Klementyna, przekonana, że mąż zaczyna majaczyć, ale wciąż pełna nadziei, że jeszcze trochę pożyje, zgodziła się, że proszę bardzo, niech on sobie, ten diament, pobędzie.

Hrabia na nowo zebrał siły.

– Ja go mam – wyszemrał. – Ukryłem w książce. W bibliotece. To było to... przez co... miałem nadzieję... cię poślubić...

Ze zmarszczonymi brwiami Klementyna usiłowała dociec, co też jej mąż ma na myśli. Poślubił ją przecież, więc na samej nadziei się nie skończyło. Teraz wyraźnie było widoczne, że czegoś chce i o czymś próbuje ją zawiadomić, inaczej nie umrze spokojnie, wszelkimi siłami zatem starała

się mu dopomóc. Coś ma i coś ukrył. W książce. Nie diament przecież, diamenty na ogół ukrywa się inaczej. Jakiś dokument może...?

– List? – spytała niepewnie. – Pismo?

– Nie. Przynieś. Książka. Sokoły. Polowanie. Stara...

Hrabia mówił słabo, ale patrzył rozpaczliwie. Klementyna sięgnęła do dzwonka, żeby wezwać służbę i kazać przynieść pożądany przedmiot, mąż jednakże zdołał ją powstrzymać.

– Nie – jęknął. – Ty sama... Ty sama...

W bibliotece panował porządek. Klementyna orientowała się doskonale w lokalizacji rozmaitych dzieł i do części najstarszych trafiła od razu. Trudność sprawił jej wybór, bo polowania i ptactwo okazały się tematem wręcz ulubionym. Nie mogła przynieść wszystkiego, ciężar owych lektur przekraczał ludzkie siły, na chybił trafił wyciągnęła najstarsze.

Okazało się, że uczyniła słusznie. Hrabia z radości odzyskał trochę siły i sam spróbował otworzyć dzieło, okładka jednak, z wytłaczanej skóry, inkrustowana złotą nicią i gęsto poutykana ozdobnymi kamieniami, była dla niego za ciężka. Klementyna mu pomogła, wewnątrz księgi wydało jej się nieco dziwne, jakby skamieniałe, czymś zlepione. Kartki nie dały się rozdzielić.

– Nóż – wyszeptał mąż niecierpliwie i nakazujące.

Posłusznie rozejrzała się, zdjęła ze ściany sztylet, wiszący w charakterze dekoracji, i dziubnęła nim w owe zlepione karty. Niewiele obchodziła ją w tej chwili możliwość zniszczenia białego kruka z epoki renesansu, dla przyjemności umierającego męża gotowa była podpalić cały dom.

Karty, sklezione tylko po brzegach, rozdzieliły się łatwo z cichutkim, potrzaskującym szelestem i ukazało się wybrakowane wnętrze: dziura, wycięta niezbyt równo, a w niej coś, owiniętego bibułą. Nie mówiąc już nic, Klementyna wydlubała to i rozchyliła bibułę.

Wielki Diament zalśnił potężnym blaskiem.

Długą chwilę panowało milczenie, bo Klementynie odjęło mowę, a hrabia, jakby z ulgą, zamknął oczy i opadł na poduszki. Oddychał głęboko, zatem był żywy. Palcami, opartymi o księgę, uczynił ruch, znamionujący chyba zamykanie, dla Klementyny jego życzenie wciąż było rozkazem, zdumiona i wstrząśnięta, nadal bez słów, włożyła diament razem z bibułą na poprzednie miejsce i zamknęła księgę. Hrabia uzupełnił gest palcami.

– Dobrze – powiedziała jego żona głosem nieco zdławionym. – Rozumiem. Zalepię.

Ulgę na twarzy męża widziała wyraźnie. To była zatem ta informacja, którą chciał jej przekazać i jego pragnienie trafnie odgadła. Co powinna zrobić teraz...?

Hrabia otworzył oczy i wysilił się jeszcze raz.

– Papiery – wymamrotał. – Listy... Też... Palcami wciąż dotykał książki, więc Klementyna znów odgadła.

– Listy i papiery są w książkach, tak? W tej...? Nie, chyba w innych? W bibliotece? Powinnam je znaleźć?

Mąż potwierdził opuszczeniem powiek i jeszcze raz otworzył oczy.

– Zanieś... Schowaj...

Klementyna ponownie udała się do biblioteki. Kiedy wróciła do sypialni, jej mąż już nie żył.

Nie wyczyniała żadnych hysterii, zniosła jego śmierć mężnie, ostatecznie doszedł do wieku, w którym śmierć zaczyna być zjawiskiem naturalnym, ponadto była głęboko wierząca i od razu pomyślała o spotkaniu na tamtym świecie. Kłopotów zejście hrabiego nie przysporzyło najmniejszych, bo spadek po nim stanowiło wyłącznie odremontowane Noirmont. Reszta majątku, prawnie rzecz biorąc, należała do Klementyny, a i samo Noirmont

miało przejść na syna dopiero po jej śmierci, tak że żadne zmiany nie nastąpiły. Poza jedną, drobnutką.

Ani umierający hrabia, ani zajęta nim Klementyna nie zauważyli groźby, jaka wysunęła łeb zza kotary, osłaniającej drzwi do garderoby hrabiego. Młody lokaj, odpowiedzialny za odzież pana, zamierzał o coś zapytać i pozwolił sobie delikatnie zajrzeć do sypialni dla sprawdzenia, czy można państwu przeszkodzić brutalnym pukaniem. Takt wykazał ogromny, ale na tym skończyła się prezentacja jego zalet.

Księgi, leżącej na kołdrze hrabiego, nie dostrzegł wyraźnie, wiedział tylko, że coś tam leży, ale diament Klementyna uniosła do góry i blask poraził oczy sługi.

Unieruchomiła go ta skrząca się bryła w dłoni hrabiny na tak długo, że o wyśledzeniu kryjówki skarbu pomyślał zbyt późno. Cofnął się do garderoby, cichutko zamknął drzwi, a węże chciwości wpełzły mu na oblicze. Popędził dookoła, do drugich drzwi, którymi hrabina wyszła z jakimś ciężarem, zdążył jednakże ujrzeć tylko jej powrót do sypialni. Łańcuch podglądających nie ograniczył się do jednej osoby. Następnym jego ogniwem był polski sługa hrabiny.

Zwykły Florek ze wsi dostąpił zaszczytów, acz będących dziełem przypadku, to jednak w pełni zasłużonych. Dominika, córka Klementyny, potrzebowała mamki dla dziecka i wybrała z własnej wsi hożą babę, której młodsza progenitura kwitła wspaniałym zdrowiem. Najstarszy z owej progenitury był Florek. Z racji wysokiego stanowiska matki spadło na niego szczęście pobierania nauk i rychło wykazał bystrość wyjątkową, opanowując nawet obcy język, jakim posługiwali się państwo. Nie dość na tym. Karmiona przez jego rodzicielkę panienka wydawała mu się istotą bliską, której powinien strzec jak oka w głowie, strzegł zatem, dzięki czemu we właściwej chwili znalazł się we właściwym miejscu. Czteroletnia

panienka, dziecko o wścieklej żywotności, wpadła do stawu dostatecznie głębokiego, żeby się w nim utopić, Florek zaś wyratował ją z toni. Od tego momentu wzajemne związki utrwaliły się na mur, a Florek, wdzięczny zapewne za to, że pozwolono mu się wykazać i nawet dziękowano, pokochał całą rodzinę jaśnie panienki, która zrobiła mu taką grzeczność.

Później zaś wyszło na jaw, że rodzona babka jaśnie panienki, jaśnie hrabina de Noirmont, osobiście, podczas ostatniego powstania, karmiła w lesie jego rodzzonego dziada, własną szlachetną ręką opatrując mu rany. Gdyby nie ówczesna jaśnie hrabianka Klementyna, ojca Florka nie byłoby na świecie, a tym bardziej i Florka samego.

Pokochał zatem Klementynę uczuciem, przekraczającym nie tylko ludzką, ale nawet i psią miarę. Za ostatnim pobytem w ojczystym kraju Klementyna zabrała wiernego sługę ze sobą i Florek ostatecznie udowodnił swoje talenty. Niemal przerósł Figara, w służbowej hierarchii osiągając stanowisko zaufanego powiernika.

Francuskiego lokaja podejrział czystym przypadkiem, wcale nie żywiąc takiego zamiaru, to co ujrzał jednakże od razu go tknęło. Ujrzał mianowicie jego twarz, a na niej kłębówisko węży. Sedno rzeczy zrozumiał z miejsca, nawet nie musiał się nad tym zastanawiać. Lokaj zajrzał do sypialni, gdzie konał właśnie pan hrabia i ostatnim tchem coś tam załatwiał z panią hrabiną. Zapewne wyjawiał jakieś tajemnice, dostrzegalne oczami, no i lokaj to zobaczył, a cóż by innego mogło tę dziką chciwość sprowadzić mu na głębę jak nie jakieś potężne skarby...

Odczekawszy tydzień od pogrzebu hrabiego, wierny sługa udał się do pani hrabiny.

– Ja, proszę jaśnie pani hrabiny, dłużej milczeć nie mogę – oznajmił stanowczo, głosem przyciszonym. – Wiem, że to za wcześnie i o

przebaczenie proszę, jaśnie pani nie ma głowy do takich rzeczy, ale z tego może być nieszczęście, więc się ośmielam.

– Nie mam ci co przebaczać, mów od razu, w czym rzecz – odparła Klementyna, która inteligencję Florka ceniła wysoko. Wiedziała, że z barachłem by nie przychodził.

– Ano nie wiem, ważne to czy nie, ale widzę, jak ten łajdus węszy. Armand. Garderobiany świętej pamięci pana hrabiego. Przykrość zrobię jaśnie pani, ale już trudno. W ostatniej godzinie życia pana hrabiego, jaśnie państwo ze sobą mówili, a ten do sypialni zajrzał. Co zobaczył, tego ja nie wiem, ale musiało coś być, bo zgorzał na pysku. To widziałem na własne oczy. A teraz widzę, a tak na wszelki wypadek oka od niego już nie odrywam, że węszy, jakby czegoś szukał, a głównie po książkach w bibliotece. Jak dotąd, dosyć z daleka go trzymam, w nocy nie wejdzie, bo sam osobiście o zamek zadbałem, ale nie wiem, co dalej i może być, że dla jaśnie pani to ważne. Bo jak nie, to już nie będę głowy zawracał.

Klementyna całego przemówienia wysłuchała spokojnie, ale nieco pobladła. Jedyne dokument, jaki dotychczas odnalazła, zresztą przypadkiem i nie wśród książek, tylko w biurku hrabiego, to był list od jej własnego ojca, skierowany do zięcia, zawierający uzupełnienie wieści, wysłanych w liście wcześniejszym. Jedyne, co z niego zrozumiała dokładnie, to to, że diament był kradziony, a posiadanie go stanowi, lub też może stanowiło, straszliwą hańbę dla posiadacza. Hrabia Dębski, pisząc, miał wprowadzić na myśli pułkownika Blackhilla, ale jego córka nie mogła tego odgadnąć, bo nie napisał wyraźnie, kontynuował temat, jego zięciowi doskonale znany. Córka przeraziła się śmiertelnie, pomyślawszy o mężu.

Ani jedna sekunda przy śmiertelnym łożu hrabiego nie zatarła się jej w pamięci i nie miała cienia wątpliwości, co też ów lokaj mógł zobaczyć. Rabunku się nie obawiała, widok diamentu wprowadził ją wstrząsnął, ale

pazerności jeszcze nie obudził, niechby go nawet ktoś ukradł, niechby go diabli wzięli, z utratą błyskotki godziła się chętnie, istniało tu jednak niebezpieczeństwo, że sprawa wyjdzie na jaw. Dopadnie ten lokaj łupu czy nie, może o nim coś powiedzieć, może rozgłosić, co widział, a wtedy owa straszliwa hańba spadnie na jej świętej pamięci nieboszczyka męża, który już nie zdoła się bronić. Do tego nie dopuści za żadną cenę!

Myśl Klementyny biegła i ujawniała się w oczach. Florek czekał na jej odpowiedź, patrzył, widział jej wzrok i zaczynało mu się robić zimno i gorąco na przemian. Zyskał pewność, że słusznie postąpił, przychodząc z donosem, a może należało nie czekać nawet do pogrzebu pana hrabiego...

– Wolałabym nie żyć – wyrwało się w końcu Klementynie – ale musiałyby nie żyć także moje dzieci i wnuki...

– To widzę, że sprawa nie lekka – ośmielił się zaopiniować sługa.

– Najcięższa w świecie. Czekać, muszę się zastanowić.

– To jaśnie pani wolno. Ale ja już pozwalam sobie coś tam rozumieć. Już niech jaśnie pani będzie spokojna i na mnie nie zwraca uwagi.

Popatrzyli sobie w oczy i poniechali słownej wymiany poglądów. Wzajemne zrozumienie zostało osiągnięte.

Honor męża czy ludzkie życie. Klementyna w ułamku sekundy dokonała wyboru, dokładnie odwrotnego niż Arabella...

* * *

Idealnie zwykłą i normalną rzeczą kolejną dziewczka kuchenna spotkała się ze swoim wsiowym amantem poza murami zameczku. Hrabstwo de Noirmont obrony przed wrogiem nie przewidywali, w czasie remontu zatem mury pozostawiono w malowniczym nieładzie. Przełazić przez nie było o tyle trudno i uciążliwie, że proces kruszenia postępował i kamienie

leciały niekiedy spod nogi, wprost do pozbawionej wody fosy, dziewczka kuchenna jednakże, w amancie mocno rozamorowana, знаła przejścia bezpieczne.

Fosa ponadto, acz sucha, to jednak uporządkowana, porośla piękną trawą, pachnącymi ziołami i rozmaitym dzikim kwieciem, doskonale nadawała się na romantyczne spotkania. Znacznie mniej romantyczne wydało się zakochanej parze znalezisko, wśród bujnych roślin na kamienistym podłożu znienacka ujrane.

Dziewka, rzecz jasna, krzyk z siebie wydała taki, że na równe nogi poderwał całą służbę zamkową. Amant, nie zdążywszy zatkać jej gęby, przytomnie uciekł, a na jego miejsce zleciał się tłum, wdziękami dziewczki znacznie mniej zainteresowany. Zamieszanie rychło dotarło do Klementyny.

W 1906 roku telefon już istniał, policja zatem zjawiała się szybko. Wszelkie rozmowy z władzami i wyjaśnienia wziął na siebie kamerdyner, chociaż pani zgłosiła pełną chęć współpracy. Wiadomo było jednakże, iż wiedza o służbie u państwa rzadko przekracza stan zerowy, rozsądne gliny zatem wolały gawędzić na nieco niższym poziomie.

– Otóż jest to dzień trzeci – zeznał osobiście kamerdyner, zachowując dostojne opanowanie, bo w zawodzie był fachowcem z dziada pradziada. – Od dwóch dni go nie było, tego Armanda Bouchera, nikt go nie widział, ale wyznam od razu: nikt się tym zbytnio nie przejmował.

– Dlaczego? – przerwał podstępnie komisarz policji. – Nie był lubiany?

– Nie, nie to. Lubić się dawał, grzeczny i nie leniwy, dowcipny, towarzyski... Ale wiadomo było, że zostanie zwolniony, bo głównie zatrudniał się przy panu. Młody pan hrabia ma swojego lokaja. Wszyscy myśleli, była mowa wśród służby, że nie czekał, tylko sam się wyniósł, może znalazł dobre miejsce i wolał nie zwłóczyć. Niegrzecznie i głupio, bo w ten sposób sam się pozbawił dobrego świadectwa, ale może całkiem

zmienił zajęcie? Młody był. Z pensją jaśnie pani hrabina nie zalegała, miał swoje, i tak uważano, że po prostu poszedł precz.

– A rzeczy? Jego rzeczy?

Kamerdyner pozwolił sobie na odrobinę niesmaku w spojrzeniu.

– O jego rzeczach to dopiero teraz wiadomo, że zostały – wyjaśnił godnie. – Nikt tu po cudzych pokojach nie szpera. Powiem dokładnie. Pierwszego dnia jeszcze nie zwrócono uwagi, że go nie ma. Dopiero wieczorem ktoś zauważył nieobecność na kolacji...

– Kto?

– Przykro mi, tego nie wiem. Mam osobiste wrażenie, że któraś pokojówka. Jadam oddzielnie, u siebie. Czy mówić dalej?

– Tak, proszę.

– Zatem nieobecność nie obudziła wielkiego zainteresowania. Nazajutrz, drugi dzień, zauważono, że go ciągle nie ma, ale przypuszczano jakąś eskapadę, skorzystał, powiedzmy, z tego, że po śmierci świętej pamięci pana hrabiego miał mniej zajęcia i pozwolił sobie na wybryk. Dopiero dziś, dzień trzeci...

Rzucił okiem na zegar i zawahał się.

– No, za chwilę będzie to wczoraj... zawsze jednak dzień trzeci. Rozmowy przy posiłkach nabrały, rzekłbym, rumieńców i sam zdecydowałem, że należy, o ile nie wróci do jutra, sprawdzić, czy zabrał ze sobą swoje bagaże. Nastąpiłoby to dziś.

– Rozumiem – powiedział w zamyśleniu komisarz policji i zaczął dopytywać się o ściślejsze związki nieboszczyka z fosy z kimkolwiek.

W rezultacie, przesłuchawszy cały personel, dowiedział się, iż denat w ostatnich dniach życia przejawiał jakby nowe cechy. Był milczący, zdradzał lekkie roztargnienie, pracy zawodowej oddawał się jakoś tak z daleka od ludzkich oczu, może nawet wydawał się odrobinę zdenerwowany, ale szło

to wszystko na karb porządkowania rzeczy nieboszczyka hrabiego i przewidywanego zwolnienia. Często wybiegał na mury zamkowe i patrzył w dal. Co to mogło oznaczać, nikt nie potrafił odgadnąć.

Zważywszy brak jakichkolwiek obrażeń, poza śladami potłuczenia i skręceniem karku, śmierć lokaja uznano w końcu za nieszczęśliwy przypadek. Za którymś wybiegnięciem na mury kamień mu się opsnął spod nogi, zleciał i cześć. Fakt wybiegania stanowczo stwierdzał zaufany sługa hrabiny, pochodzenia polskiego, nie mający żadnych związków z francuskim personelem i żadnego powodu, żeby kłamać.

W kronice gospodarskiej smutne wydarzenie zostało odnotowane, rzeczy denata i odszkodowanie wysłano jego starszej siostrze, która była jedyną krewną, Klementyna zaś, mężnie poruszywszy temat, dowiedziała się od Florcka, że policja zgadła doskonale. Rzeczywiście nieboszczyk z tego muru się zwałił, więc chyba mu było przeznaczone.

Wstrząśnięta lekko wybrykiem losu, rozpoczęła porządki w bibliotece. Pomocą służył jej wyłącznie zaufany sługa, niezbędny do dźwigania ciężkich foliałów, i nikt więcej, nie zamykała jednakże drzwi na klucz i nie zakazywała wstępu lokajom i pokojówkom, zajęcie jej zatem wydawało się naturalne i nieszczególnie interesujące. Nie wzbudziło ani podejrzeń, ani sensacji.

Dopiero po miesiącu trafiła na męzowskie archiwum. Dwustuletnie *Żywoty świętych* zostały przez hrabiego uznane za dzieło nie cieszące się wielkim powodzeniem i raczej rzadko czytane, wybrał je na bezpieczną kryjówkę i umieścił wśród starych kart część korespondencji. Klementyna znalazła tam brudnopis jego listu do teścia, pierwszą odpowiedź swego ojca, obszernie opisującą angielską stronę diamentowej afery, kilka notatek i wycinki z prasy. Jeden był angielski i snuł dywagacje na tle samobójstwa pułkownika Blackhilla, a dwa francuskie i te, dość krótko, ale za to

tajemniczo, napomykały o klątwie, ciążyącej nad pozornie niewinnym domem w Paryżu, gdzie w ciągu jednego tygodnia tragicznie zmarły trzy kobiety. Wśród notatek znajdowała się jakaś dodatkowa wzmianka o Francuzie, który podobno był legalnym właścicielem diamentu.

Nie wszystko Klementyna do siebie dopasowała, szczególnie te jakieś trzy kobiety z klątwą wydały jej się nieco oderwane od tematu, ale ulgi doznała olbrzymiej. Nie na jej męża miała spaść hańba, tylko na angielskiego pułkownika. Skąd i jakim sposobem diament znalazł się w posiadaniu hrabiego de Noirmont, nie miała pojęcia, nie wierzyła, że mógł go ukraść, jak zwyczajny złodziej, jeśli ktokolwiek go ukradł, to z pewnością nie jej szlachetny mąż, a w detale kolejnych czynów przestępczych nie zamierzała wnikać. Plotka o Francuzie skojarzyła jej się przy tym w sposób niejasny z prawem do kamienia i na tym poprzestała. Ważna była w tym wszystkim sama możliwość oczyszczenia dobrego imienia nieboszczyka hrabiego, a reszta jej zbytnio nie obchodziła.

Co nie przeszkadzało, że istnienia diamentu na wszelki wypadek wołała nie ujawniać.

Nabrała za to ochoty, żeby go jeszcze raz obejrzeć.

Chęć zrealizowała w samotności, pozbywszy się nawet Florka. Drzwi do biblioteki tym razem zamknęła, własnoręcznie pozapalała dodatkowe lampy, bo luksusy w postaci elektrycznego oświetlenia od roku już w zamku istniały, wyciągnęła dzieło o sokołach i przypomniała sobie, że obiecała mężowi na nowo zalepić rozklejone karty. Nie było to trudne, klej znajdował się w bibliotece, często do takich celów używany. Na ogół zajmował się tym specjalnie wzywany introligator, ale Klementyna również umiała się substancją posługiwać. Wyjęła ją z szafki, przygotowała pędzelek i dopiero wtedy otworzyła księgę.

Bardzo długo wpatrywała się w roziskrzony blask, lśniący w świetle lampy. Ostatecznie była kobietą i od takiego widoku niełatwo jej się było oderwać, Wielki Diament zaczął roztaczać przed nią swoje uroki. Wyrzec się go... A właściwie dlaczego miałyby się go wyrzec...? Stanowił wartość olbrzymią i był cudownie piękny, miała córkę, miała już nawet wnuczkę, było komu go przeznaczyć! Gdyby zaś miała go zwracać, to niby jak, w czyje ręce przekazywać? Wetknąć do grobu owego pułkownika, który wypierał się go nawet po śmierci, czy osobiście zawieźć do Indii i potajemnie podrzucić w jakiejś starej świątyni, która w ogóle nie wiadomo, gdzie się znajduje? Bzdura. A jeśli rodzina, co nie daj Boże, zubożeje, takie zabezpieczenie z pewnością się przyda...

Z trudem oderwała się od świetlistej bryły, lekko i delikatnie sklepiła rozłączone sztyletem karty i odłożyła na miejsce dzieło o sokołach. Papiery z *Żywotów świętych* schowała w szkatułce, we własnej sypialni.

* * *

Z dwojga dzieci Klementyny, córka, Dominika, co najmniej połowę czasu spędzała w Polsce, gdzie wciąż prosperowały liczne, beztrudnie eksploatowane majątności, syn zaś, o dwa lata młodszy Jean-Pierre, teraz już hrabia de Noirmont, wiódł egzystencję w Paryżu, wizytując tylko niekiedy Londyn, Wiedeń i Monte Carlo. W rodzinnym zamczku bywał wyłącznie w okresie polowań, które stanowiły czystą teorię, zwierzyna bowiem nie przedstawiała się zbyt atrakcyjnie. Znacznie większe zainteresowanie budziły konie, o które przed blisko czterdziestu laty zadbał jego ojciec, tworząc niewielką, ale znakomicie ustawioną stadninę. Teraz stadniną rządziła jego matka, również w tym kierunku utalentowana.

Jedyna córka Dominiki, Justyna, ta właśnie, którą Florek wywlekał z błotnistego stawu, w chwili śmierci francuskiego dziadka liczyła sobie osiemnaście wiosen. Jedyny syn Jean–Pierre’a ukończył lat siedem i znalazł się pod opieką preceptorów. Zięcia, Krzysia, Klementyna zawsze bardzo lubiła, ale synowa jej się nie udała. Młoda hrabina de Noirmont była zwyczajną idiotką wielkiej urody i niezbyt przyjemnego charakteru, co wyszło na jaw dopiero po ślubie, jak już było za późno. Próżna, samolubna, leniwa, obłądnie chciwa i rozrzutna, bez najmniejszego wahania posługiwała się łgarstwem, podstępem i szantażem dla osiągnięcia własnych celów i zaspokojenia kaprysów. Młody hrabia, rzecz jasna, poleciał na jej urodę i trafił gorzej niż mógł trafić jego ojciec, bo Marietta, pełna podobnych zalet, miała przynajmniej odrobinę rozumu, umiała pracować i umiała myśleć.

Klementyna zaś musiała się zastanowić, komu powinna przekazać lśniące dziedzictwo i całą wiedzę o nim.

Syn z góry nie wchodził w rachubę, ponieważ stała za nim żona. Ulegał jej we wszystkim dla świętego spokoju i żadnej tajemnicy nie potrafił przed nią zachować, ona zaś mogła popełnić każdy idiotyzm i każde świństwo, nie licząc się z nikim i z niczym. Za skarby świata Klementyna nie powierzyłaby jej nawet zdechłego królika, nie mówiąc o honorze. Wnuk odpadał z racji wieku, był za mały. Dominika...

Dominika budziła jej szalone wątpliwości. Genetycznie wdała się w babkę, starą hrabinę de Noirmont, po drugiej babce, hrabinie Dębskiej, biorąc tylko niezłomny patriotyzm. Stara hrabina de Noirmont zaś miała różne zalety, ale akurat nie umysłowe. Cudowna żona, uległa kochanka, idealna matka dzieciom, doskonała pani domu, a poza tym kretyńska, lękliwa, niezdolna do myślenia, za to skłonna do hysterii. Zdarza się często, że rozmaite cechy skaczą co drugie pokolenie i dzięki temu zjawisku

Dominika podobna była do swojej francuskiej babki, Justyna zaś do Klementyny.

Przemyślawszy sprawę, Klementyna wybrała wnuczkę.

Zanim po śmierci męża podjęła tę decyzję, obecna na pogrzebie hrabiego rodzina zdążyła się rozjechać w rozmaite strony i Justyna wraz z matką bawiła w Nicei. Zerwała właśnie wysoce nieudane narzeczeństwo, trochę tym była rozgoryczona i chętnie oddała się rozrywkom towarzyskim. Jeszcze bardziej rozgoryczona była Dominika, która już miała nadzieję na stabilizację nieznośnie żywotnej córki, a tu nic z tego nie wyszło, musiała zatem odetchnąć w jakimś przyjemnym otoczeniu. Ograniczona jeszcze nieco żałobą po ojcu, twierdziła, iż poświęca się dla dziecka, dziecko zaś dość chętnie poświęcało się dla matki. Wśród tych poświęceń obie bawiły się doskonale.

Zabawę przerwało niedomaganie pana Przybylskiego, który w Polsce złamał nogę, zleciawszy z konia. Ściśle biorąc, koń się przewrócił razem z nim. List Klementyny nie zastał już obu pań w Nicei, ponieważ pośpiesznie udały się do domu, pielęgnować męża i ojca. Potrwało to trochę, potem sama Klementyna załatwiała interesy w Paryżu i w rezultacie dwa lata minęły, zanim ściągnęła dwudziestoletnią już wnuczkę do siebie.

Przyjrzała się jej w skupieniu, pochwaliła w głębi duszy swój wybór i nagle stwierdziła, że nie wie, jak zacząć. Sprawa ciągle wydawała się nieco jakby śliska.

Dopomogła jej bezwiednie sama Justyna.

– ...i chyba nie mam szczęścia do narzeczonych – opowiadała smętnie, zwierając się babce, z którą czuła wyraźne pokrewieństwo dusz. – Jeden okazał się półgłówkiem, drugi tępym belfrem, a trzeciego nie zdążyłam sobie złapać. A ten trzeci, babciu, przyznam się, podobał mi się najbardziej.

Akurat przyszedł telegram o wypadku ojca, kiedy Jack Blackhill prawie zamierzał się oświadczyć...

– Jak...? – przerwała Klementyna.

– Co jak...?

– Jak się nazywał?

– Blackhill. Jack Blackhill. To Anglik, lord zdaje się, niefałszowany. Poznałam go w Nicei. A co...? Ach, w ogóle była tam cała historia, a on znalazł się bardzo na miejscu...

W milczeniu i z wielką uwagą Klementyna wysłuchiwała opowieści o wysoce nieprzyjemnym zadrażnieniu towarzyskim, w którym jeden młody Anglik, niejaki pan Meadows, uczynił afront drugiemu młodemu Anglikowi, właśnie lordowi Blackhillowi, obarczając go odpowiedzialnością za jakieś tajemnicze winy przodków. Ktoś komuś zrobił świństwo, ale lord Blackhill bardzo taktownie wykazał, że było odwrotnie i nie pan Meadows powinien mieć pretensje, tylko on sam, a on to cznia i chromoli, bo honor jego przodków jest nie do ugryzienia. Pan Meadows, zły i nadęty, musiał wyjechać, chociaż posiada ogromny majątek...

– A w czym leżało sedno rzeczy? – spytała Klementyna. – Na czym polegał ten stary skandal? Powiedział to ktoś?

– Nie, wyraźnie nikt nie powiedział. Mętnie plotkowano, że chodziło o jakieś klejnoty, co ma sens o tyle, że pan Meadows pochodzi z rodziny jubilerskiej. Wielcy kupcy. Dlatego jest taki bogaty.

Klementyna podniosła się z miejsca. Początek został zrobiony.

– Chodź ze mną – rozkazała. – Coś ci pokażę.

Zaciekawiona od razu Justyna porzuciła rozrywkowe opowiadania i poszła za babką do biblioteki. Od powrotu z Paryża Klementyna tam nie

zaglądała, przywiezione nowości do czytania trzymała na półeczce w sypialni, i teraz, marszcząc brwi, zatrzymała się na środku sali.

W bibliotece panował lekki bałagan. Polegał na tym, że niektóre książki były przestawione, kilka leżało na rogu długiego stołu, kilku wyraźnie brakowało, a na małym stoliku w kącie świecznik przyciskał jakieś papiery. Nie robiło to wrażenia wielkiego nieporządku, ale Klementyna, osobiście pilnująca biblioteki, znała ją jak własną kieszeń. Cały układ dzieł, od lat taki sam, utrwalił jej się w oczach i teraz ta niewielka zmiana wręcz się na nią rzuciła.

Poruszyła się, podeszła do najstarszej części i otworzyła oszkloną szafę.

Książki o sokołach nie było. Zamiast niej widniała przerwa między potężnymi tomiskami.

Do posiadania diamentu już zdążyła się przyzwyczaić. Paryskie interesy wyszły nie najlepiej, rodzina poniosła lekką stratę. Zniosła ją spokojnie, prawie lekceważąco, świadoma zabezpieczenia, które czekało czarnej godziny wśród drapieżnego ptactwa. Na widok przerwy w porządnie ustawionych starych dziełach o mało jej szlag nie trafił. Rozejrzała się dookoła jeszcze raz i zadzwoniła na kamerdynera.

– Za ostatniej niebytności pani hrabiny był tu pan hrabia z przyjaciółmi – odpowiedział spokojnie kamerdyner na zadane pytanie. – Pan Florian powinien wszystko wiedzieć, bo tu nawet... chyba... obudził niezadowolenie pana hrabiego...

– Poproś pana Floriana!

Pan Florian, czyli Florek, pojawił się w mgnieniu oka, ponieważ czyhał na to zaproszenie. Uwielbianą Justynę zdążył już powitać, a do rozmowy z panią hrabiną aż go ssało. Nie narzucał się, taktem wiedziony, bo pani hrabina wróciła ze stolicy jakaś zamyślona i roztargniona, nie chciał jej niepotrzebnie kłopotać i denerwować, i tak czekał sprzyjającej chwili.

Biblioteka była ważna, to wiedział, martwił się zatem i wahał, a w dodatku na dwa tygodnie sam musiał wyjechać z końmi na wyścigi...

Klementyna tylko uniosła brwi i uczyniła gest, obejmujący całą salę.

– Tak jest – powiedział Florek natychmiast z wielką ulgą. – Deszcz lał, jakby kto upusty otworzył, i tak dwa dni. Pan hrabia przyjechał z panem markizem de Rousillon i z jaśnie panem du Lacque. Z polowania wyszły nici, konie do obejrzenia tyle co w stajni, bo kto by jeździł pod potopem, nie mieli co robić. Jaśnie pan du Lacque, z przeproszeniem pani hrabiny, za pokojówkami latał, ale pan markiz czytaniem się zajął i tu grzebał, a pan hrabia, skarż mnie Bóg, jeszcze mu dopomagał. A jak co mówiłem, za drzwi mnie wyganiał, aż, wola boska, zapowiedziałem, że naskarzę, bo nie wiadomo, kto tu się więcej pani hrabiny boi. Wtenczas zaczął się śmiać i przyobiecał, że weźmie na siebie. No i co wygrzebali, to zostawiłem, bo wiem, że pani hrabina woli sama, a co zabrali, to uparłem się za pokwitowaniem. Inaczej po moim trupie. Tu te papiery, dopilnowałem.

Uczynił kilka kroków i wskazał dokumenty, przyciśnięte świecznikiem.

– A nasza Rosine w ogóle wygrała – dodał. – Pierwsze miejsce wzięła.

Klementyna, wciąż nic nie mówiąc, podeszła do stoliczka i obejrzała pokwitowania. Justyna cierpliwie i z wielką ciekawością czekała, co będzie dalej.

Księgę o polowaniu z sokołami wypożyczył sobie markiz de Rousillon, do czego przyznał się na piśmie, a hrabia de Noirmont, jej własny syn, poświadczył to, prawdopodobnie kretyńsko chichocząc. Pan Bóg ją skarzał głupotą dzieci. Koszmarne wydarzenie miało miejsce zaledwie miesiąc temu, a markiz de Rousillon... Jezus Mario! Sama stwierdziła, teraz, w czasie pobytu w Paryżu, że ten młody idiota zagrożony jest bankructwem i licytacją całego mienia! Dorobił się... Jej syn oczywiście też mu pożyczał i

co najmniej dwieście tysięcy szlag trafił, bo przecież nie będą dobijać leżącego. Bank i lichwiarze wyrwą wszystko...

Odwróciła się do Florka i obydwójce popatrzyli na siebie długim spojrzeniem, którym powiedzieli sobie wszystko. Nie po to wścibski lokaj zlatywał z murku, żeby teraz przedmiot wścibstwa diabli brali...

– Cud boski, żeś chociaż tego dopilnował – rzekła do sługi zdławionym głosem. – Błogosławieństwo dla nas w twojej osobie i wiedz, że w testamencie wdzięczność dla ciebie nakazę. Masz się ożenić i mieć dzieci. A ty... – zwróciła się do Justyny i nagle urwała. – Zaraz. Florek, możesz odejść. Niech mi tu przyniosą wina i bardzo zimnej wody.

– Babciu, co się stało? – przeraziła się Justyna. – Boże drogi, może doktora...

– Nie zawracaj mi głowy doktorami. Balbina tu zaraz przyleci, ona mi zioła przyrządzi, lepsze to niż doktor...

Więcej pomógł Klementynie charakter niż wino i zimna woda, resztę terapii po wstrząsie załatwiła Balbina, jej osobista szafarka, przez samą panią wyuczona, jak używać ziół, którą to wiedzę Klementyna posiadała od dzieciństwa. Nim przystąpiła do rzeczy, zdążyła pomyśleć perspektywicznie, że ta bezcenna wiedza zejdzie ze świata razem z nią...

– Słuchaj, dziecko – rzekła z troską – może czasy są inne, ale przyroda się nie zmienia. Przysięgnij mi zaraz, że wszystko, co spisałam o kurowaniu, ocalisz i zachowasz. Może i kłopot ci sprawiam, bo tylko część tego u mnie w sekretarzyku leży, a dużo jest tu, w książkach, ale trudno. Nikt inny dość rozumu nie posiada, więc musisz ty.

Przerażona całą sceną Justyna gotowa była przysiąc babce wszystko i, co ważniejsze, przysięgi dotrzymać. W kwestii ziół Klementyna doznała ukojenia.

– A teraz rób sobie, co chcesz, ale tę książkę musisz odzyskać – powiedziała stanowczo. – Gdybym była młodsza, zrobiłabym to sama. Boję się, że nie dam rady. Ten bęcwał okropny, markiz de Rousillon, nie ma nic i już go chyba licytują, trzeba jechać i odebrać mu naszą książkę. Twój wuj musiał dostać pomieszczenia zmysłów, skoro mu to pożyczył. Jest to zabytek, niezmiernie wartościowy z różnych powodów, przedstawia sobą majątek. Jedź natychmiast, im prędzej, tym lepiej. Młoda jesteś, ale nie głupia, ten niedowarzony markiz już nas kosztuje co najmniej dwieście tysięcy, a możliwe, że znacznie więcej...

Justyna wyjechała do Paryża natychmiast, nie wiadomo po co zabierając ze sobą pokojówkę. Uczyniła to pod wpływem babki, w Klementynie tkwił odruch, młoda panienska z przyzwoitej sfery nie powinna podróżować samotnie, równie dobrze mogłaby udać się na dworzec kolejowy boso albo w nocnej koszuli. Pokojówka stanowiła absolutne minimum, poniżej którego nie dawało rady zejść.

Pociąg z Orleanu do Paryża odchodził za dwie godziny, konie, przy odrobinie uporów, pokonywały trasę z zameczku do Orleanu w czterdzieści minut, należało się nieco pośpieszyć. Zaskoczona nagłym wyjazdem pokojówka, która w planach miała wysoce interesującą randkę, odjechała z jaśnie panienką nieziemsko wściekła...

* * *

Markiza oczywiście zlicytowano.

Pożyczono z Noirmont dzieła o sokołach nie zdążył nawet otworzyć. W chwili przybycia komornika leżało sobie na środku stołu jadalni, gdzie nie miał już kto nakrywać do posiłków, bo cała służba opuściła niesolidnego chlebowca. Sam markiz, porzuciwszy stan posiadania na pastwę fiskusa, przeprowadził się do starej niańki, której było wszystko

jedno, a katastrofa materialna ukochanego panicza w ogóle do niej docierała. Sama niezrozumiała, ale zachwycająca, obecność panicza nappełniała ją szczęściem, może ostatnim w życiu, korzystała z niej zatem, serwując śniadanka i nie pytając o nic.

Komornik, który przybył dokonać zajęcia, był człowiekiem wyjątkowo inteligentnym. Doskonale wiedział, że stare rodziny posiadają rzeczy niezwykle i niejeden bankrut uratowałby resztę mienia, sprzedając korzystnie zaniedbany obraz, mebel, zegar czy też naszyjnik po prababci. Nie był zupełną świnią, podpowiadał niekiedy właściwy sposób postępowania, partycypując w nieoczekiwanych zyskach zaledwie w jakimś procencie, ale dla kompletnych idiotów nie miał litości. Markiz de Rousillon był, jego zdaniem, bezmyślnym kretynem najwyższej klasy i z nim dzielić się ewentualnym zyskiem nie zamierzał.

Znajdował się w tej doskonałej sytuacji, że posiadał brata, antykwariusza, oblatanego w historii sztuki. Zabrał go ze sobą jako eksperta.

Pierwszą rzeczą, jaką brat-antykwariusz wypatrzył, było dzieło o sokołach. Komornik pieczętował co popadło, a brat siedział przy jadalnym stole i przeglądał pierwsze strony, w upojeniu czytając tekst i oglądając rysunki, aż dotarł do części zlepionej. Wówczas wzdrygnął się lekko i zamknął książkę.

– A kto wie...? – rzekł po długiej chwili zamyślenia się gdzieś w przestrzeń – może to jest ta sama książka, którą otruł się Karol IX...?

Obecny w jadalni komornik z zainteresowaniem przyjrzał się bratu.

– No...?

Antykwariusz westchnął i poruszył się niespokojnie.

– Rzecz dla amatora, ale coś się wyciągnie – oznajmił. – Sam ją kupię. No, jeśli idzie o cenę, bez przesady...

Ponownie spróbował zajrzeć do środka. Kartki były sklezione porządnie, zbite ze sobą, oblizywanie palców trochę pomagało, suche ślizgały się po grubym papierze, antykwariusz uniósł dłoń do ust, nagle przypomniał sobie plotki historyczne i zrobiło mu się gorąco. Rzucił dzieło jak oparzony i zrezygnował z oglądania dalszego ciągu.

Nazajutrz po zalegalizowanym nabyciu przedmiotu jeszcze nie wiedział, co z nim robi, i zaczynało w nim rosnać zdenerwowanie. Udał się na obiad, w sklepie został młody i gorliwy sprzedawca...

Po powrocie, odesławszy z kolei na obiad personel w jednej osobie, antykwariusz stwierdził coś, od czego najzwyczajniej w świecie padł trupem na miejscu, rażony gwałtownym wylewem. Już od dawna miał wysokie ciśnienie.

Justyna dotarła do Paryża wczesnym wieczorem w dniu jego pogrzebu i od razu, wręcz z marszu, udała się do zbankrutowanego pana markiza de Rousillon, gdzie przebywał jeszcze likwidator. Właśnie wychodził, ale zatrzymał się i chętnie udzielił jej wyjaśnień. Tak jest, wszystko przepadło, mienie idiotycznego markiza, nieodpowiedzialnego półgłówka, zostało sprzedane z licytacji dopiero co, dosłownie przed chwilą, poszło prawie wszystko, sam markiz zaś przestał pojawiać się wśród ludzi już jakiś czas temu i nikt nie wie, gdzie się znajduje. Kwity licytacyjne jednakże istnieją i on sam nawet pamięta niektóre rzeczy, wie, kto je kupił...

O poranku, spędziwszy noc w paryskim domu wuja, Justyna znalazła się przed wejściem do antykwariatu, odzieranym z żałobnych kirów i właśnie na nowo otwieranym. Przyjął ją zięć nieboszczyka, mąż spadkobierczyni, od lat już będący współnikiem teścia.

– O nieba! – rzekł z szalonym niepokojem. – Książka o polowaniu z sokołami? Szesnasty wiek, świeżo nabyta?! Boże wielki...!

Justyna zaniepokoiła się również. Nie miała zielonego pojęcia, co dzieło w sobie zawiera, ponieważ Klementyna zasadniczą tajemnicę zatrzymała dla siebie. Ugryzła się w język, pomyślawszy, że ewentualna utrata diamentu pozwoli jej zmarłemu mężowi przynajmniej zachować twarz. Po cóż miałyby wyjawiać podejrzaną prawdę o klejnocie wątpliwego pochodzenia, jeśli klejnot diabli wzięli i nigdy do rodziny nie wróci? Chyba że ten głupek, markiz, znajdzie go i wybuchnie wielkim krzykiem, wówczas owszem, powie co trzeba i odbierze drogocенność kretynowi, ale jeśli nie, niechże ta cała niepojęta afera przepadnie w mrokach powszechnej niewiedzy. Niech Justyna odnajdzie księgę, a potem zobaczymy...

Zbrojna w poświadczone pokwitowanie markiza, Justyna rozpoczęła wyjaśnienia od strony prawnej.

– Rozumie pan, to zostało zlicytowane nielegalnie – rzekła zimno. – Własność naszej rodziny, wypożyczona bez naszej wiedzy, oto dowód, istnieją także świadkowie. Powinno zostać wyłączone, zapewne był to błąd komornika, ale nie będziemy żądać zwrotu kosztów. Chcemy tylko odzyskać pamiątkę rodzinną. Nie wiem, jak się takie rzeczy załatwia.

– Pamiątka rodzinna, cha, cha – odparł zięć z goryczą. – W obecnej sytuacji chyba nie przyznałbym się do takiej pamiątki.

Justyna, nieodrodna wnuczka swojej babki po kądzieli, zmarszczyła brwi.

– Co pan ma na myśli? – spytała już zupełnie lodowato.

Zięć antykwariusza gdzieś w głębi duszy przestraszył się pięknej młodej damy, z której nagle, nie wiadomo jakim sposobem, wyrzała straszliwa megiera.

– Łaskawa pani, wszystko powiem. Raczy pani posłuchać. Otóż prawnie, tak, można by to załatwić. Zaczekać do chwili przejęcia spadku, drobiazg, jedyną spadkobierczynią jest moja żona, a ja byłem współnikiem zmarłego i stan posiadania mam w małym palcu. Udowodnić, dowód, jak widzę, pani posiada, że jeden przedmiot został zlicytowany przez pomyłkę, cudza własność, przedmiot zwracamy i na tym koniec. Możemy koszty ściągnąć z komornika, ale nie uczynimy tego, to tak na marginesie. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pewien szkopuł...

Odetchnął głęboko, zebrał siły i mężnie ciągnął dalej, bo więcej bał się owej nagle ujranej megiiery niż wszelkich konsekwencji prawnych.

– Otóż, łaskawa pani... Podmienionego dzieła już nie ma. Proszę, chwileczkę, niech powiem do końca. Mój teść zmarł nagle. Padł tu, w gabinecie, jak pani widzi, jest to pomieszczenie biurowe, wyniesiono go do mieszkania, do sypialni, tam lekarze, rodzina... Ja zaś znalazłem na jego biurku dość dziwny list, skierowany chyba do mnie, w każdym razie do tego, kto obejmie antykwariat. Mam ten list. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, czy to list, czy osobista notatka... Proszę, niech łaskawa pani raczy przeczytać.

Justyna, wzorem babki, słuchała w milczeniu, kryjąc osłupienie, które powolutku zaczynało ją ogarniać. Następca antykwariusza podał jej zwyczajną kartkę.

Antykwariusz rzeczywiście napisał tam coś osobliwego. Zawiadomił o posiadaniu dzieła, nabytego z licytacji, traktującego o polowaniu z sokołami i tresurze ptactwa drapieżnego, po czym ostrzegł, żeby w żadnym wypadku nie oglądać tego i nie oddawać się lekturze gołymi rękami. Wydawało się to o tyle dziwne, że na ogół ogląda się i czyta oczami, a kończyny górne mają w tym niewielki udział. Nie przewracać kartek. Istnieje niska możliwość, że dzieło zostało nasycone trucizną jeszcze przez

Katarzynę Medycejską, otruł się nim Karol IX i nie wiadomo, jak długo ta trucizna trzyma swoją moc. Jest to wyłącznie podejrzenie, oparte na plotkach historycznych, i nic więcej, ale na wszelki wypadek...

Na tym list się urywał. Justyna uniosła głowę i popatrzyła pytająco. Następcą antykwariusza wydawał się coraz bardziej nieswój.

– Widziałem tę książkę – rzekł pośpiesznie. – Przez chwilę. Nawet miałem w ręku. Zainteresowała mnie oczywiście, spojrzałem na początek, dalszego ciągu w ogóle nie widziałem, kartki były jakby sklezione, koniec owszem, a temu w środku dałem spokój, ledwo narożnik się rozdzielał. Może i przejrziałbym to dokładnie, bo szesnastowieczna rzecz w tak doskonałym stanie to rzadkość, ale teść dosłownie wyrwał mi to z ręki. Zdenerwowany, prawie zsiniał... Więc nie wiem, Bóg ustrzegł... Po czym, zaraz nazajutrz, pierwszego dnia, okazało się, że nasz pracownik to sprzedał. Akurat w czasie naszej chwilowej nieobecności. Teść wrócił, zwolnił go na obiad, został sam, możliwe, że się zdenerwował, zastałem go martwego... Ale jestem pewien, przedtem to oglądał, czytał... No i teraz nie wiem, nie mógłbym przysiąc, supozycje zawarte w tym liście wydają mi się przerażające...

Justynie również wydały się przerażające. Zdenerwowanie jej babki mówiło samo za siebie, może istotnie upiorne dzieło stanowiło niegdyś własność królewską i teraz truło każdego, kto zechciał zainteresować się ornitologią... Nieboszczyk antykwariusz obejrzał je i padł trupem. To chyba o czymś świadczy...?

Nagle uświadomiła sobie, co słyszy. Księgi o sokołach w antykwariacie już nie ma, ktoś ją zdążył kupić, antykwariusz mógł dostać apopleksji ze zdenerwowania, że trucizna poszła do ludzi, otruł się czy nie, bez znaczenia, wola boska, ale ona ma to odzyskać!

– Przypadek – mówił zięć antykwariusza trochę jakby rozpaczliwie. – Okropny przypadek, to się rzadko zdarza, żeby coś zostało tak błyskawicznie sprzedane, tanie to przecież nie było, i akurat nikogo innego w sklepie nie było, tylko nasz sprzedawca...

– Kto?! – przerwała Justyna strasznym głosem. – Kto to kupił...?!!!

Zięć antykwariusza spojrział na nią i zdrętwiał. Też mu błysnęło właściwe skojarzenie. Jeśli istotnie w lekturze tkwiła trucizna, sensu w tym nie ma, ale jeśli... która tak gładko wyprawiła na tamten świat jego teścia... a przecież ledwo ją napoczął, nie rozklejał kart!... To kto tam teraz leży jako następna ofiara...?!!!

Uświadomił sobie, że nie ma o tym pojęcia, nie zapytał tego parszywca, sprzedawcy, komu sprzedał zabytek, ucieszył się pewnie kretyń, że sprzedaje taką drogą rzecz... Ale może będzie pamiętał, może to, co daj Bóg, znajomy klient...

Bardzo blady, patrzył na młodą megierę wzrokiem zranionej łani.

– Nasz sprzedawca... – wymamrotał. – Kwit, tak, ale nazwiska nie zapisujemy, klient przychodzi, kupuje, płaci i niech go diabli biorą... Najmocniej panią przepraszam!

– Nie szkodzi – mruknęła Justyna z wyraźną furią.

– Ale może pamięta... Na mieście jest... Ma przyjść później... Jeśli pani raczy...

– Zaczekam – przerwała mu Justyna stanowczo. – Nie wyjdę stąd bez tej informacji. Kiedy on ma przyjść? Bo może go poszukać w domu, gdzieś przecież mieszka?

– Mieszka, tak, ale w domu go nie ma, załatwia sprawy, miał się spotkać z rzeczoznawcą, sam go umawiałem, mieli pojechać do kogoś, nie wiem gdzie...

Czas, spędzony wspólnie w oczekiwaniu na sprzedawcę, obydwójce, Justyna i nowy antykwariusz, każde we własnym zakresie, zgodnie zaliczyli do najgorszych chwil życia. Trochę te chwile potrwały, bo sprzedawca wrócił dopiero po pierwszej.

Oszołomiony nieco krwiożerczym pytaniem, zdołał sobie jednak przypomnieć klienta.

– Ależ tak, znamy go – powiedział przerażony.

– Wicehrabia Gaston de Pouzac, mieszka...

– Wiem, gdzie mieszka – przerwała Justyna, która z jednej strony doznała natychmiastowej ulgi, a z drugiej o mało szlag jej nie trafił. – To mój kuzyn. Mam nadzieję, że... O Boże, może jeszcze żyje...!

Święcie już teraz przekonana, że zainteresowanie upiorną książką o sokołach grozi życiu czytelnika i o to właśnie chodziło jej babce, porzuciła antykwariat wraz z jego roztrzęsionym personelem i popędziła do kuzyna. Rodzinne konie czekały na nią i chętnie zerwały się do biegu, a stangret znał Paryż.

Kuzyn już nie żył.

Dziko zdenerwowana Justyna trafiła u niego prosto w piekło na ziemi. Lekarze, policja, służba i dodatkowo dwóch ciężko spłoszonych przyjaciół, wszystko kłębiło się w straszliwym zamieszaniu. Mimo oszołomienia i szoku, zdołała pomyśleć, że gdyby to był obcy dom, nie dogadałaby się z nikim. Na szczęście, o ile w tak dramatycznej sytuacji można mówić o szczęściu, wicehrabia był cioteczno–ciotecznym wnukiem jej prababki, bo stara hrabina de Noirmont posiadała siostrę, której najmłodszy potomek właśnie zszedł z tego świata, przedtem jednak stanowił rodzinę i Justyna u niego bywała. Znała ją cała służba i nikogo nie dziwiło jej zaangażowanie w tragedię.

Niezbicie pewna, iż dysponuje wyjaśnieniem sprawy, ponieważ kuzyn bez wątpienia otruł się piekielną księgą, pełna wahań, czy nie należy tego straszego faktu ukryć, złapała jego osobistego lokaja, który doszczętnie stracił głowę i nie panował nad językiem, a całość wydarzeń miał świeżutko w pamięci.

Ktoś był u hrabiego Gastona. Nie wie na pewno kto, bo tu panował dziś istny kołowrót, jaśnie pana odwiedzało mnóstwo ludzi, jeden za drugim, w tym jego dwóch przyjaciół, baron de Tremont i markiz de la Tourelle, oni jeszcze są, zgłupieli z tego wszystkiego, siedzą w salonie i nie wiedzą, co robić, policja kazała im czekać, a oprócz nich fryzjer, posłaniec z bilecikiem, chwalić Boga, że wiadomo przynajmniej, od kogo bilecik, od pani de Mouret, małżonki bankiera, wicehrabia z nią akurat... tego... No i korespondował... I jeszcze pomocnik jubilera, ten taki wielki, bykowaty, a przedtem... albo potem... nie, przedtem, dekorator, bo jaśnie pan zasłony chciał zmieniać, a wcześniej jeszcze jeden taki z rachunkiem... A w ogóle to prawie od rana, znaczy od południa, jaśnie pan siedział i oglądał jakąś książkę, starą, nie, to źle powiedziane, jakieś przedpotopowe dzieło, które dopiero co kupił. Musiało mu się spodobać albo co, bo wydawał okrzyki...

– Skoro wydawał okrzyki, znaczy jeszcze żył – zauważyła przytomnie Justyna, która zdołała się już nieco opanować. – Kiedy je przestał wydawać? Kto był wtedy u niego? Przypomnij sobie!

Mignęła jej w głowie rozpaczliwa nadzieja, że może kuzyna po prostu ktoś zamordował, bo myśl o trucicielskich właściwościach zabytkowego wolumenu wydawała jej się coraz bardziej przeraźliwa i z całej siły chciała ją od siebie odsunąć. W końcu o tym Karolu IX to była plotka, fikcja literacka, nie wiadomo na czym oparta... no owszem, wiadomo, na ogólnym przekonaniu, że w tamtych czasach wszyscy się truli wzajemnie, ale przecież nie musi to być prawda! Boże jedyny, a babcia kazała odzyskać to

święństwo, zanim nastąpi nieszczęście, nie powiedziała tego wyraźnie, ale podtekst dał się zauważyć...

Lokaj uczciwie starał się skupić, przeszkadzając jej myśleć, co ją okropnie irytowało, chociaż odpowiadał na pytanie, przez nią samą zadane.

– Zaraz. Fryzjer wyszedł, a jaśnie pan wydawał potem... zaraz... Panowie de Tremont i de la Tourelle w małym saloniku zażądali wina, przeczekiwali... Do gabinetu wszedł chyba pomocnik jubilera... Ja sam to wino przyniosłem, nic nie słyszałem, ale panowie mówili, śmieli się... Wielki Boże, pomocnik jubilera wyszedł, znikł, a zaraz potem... tak, zaraz potem, jako następny, ten posłaniec z bilecikiem, podniósł krzyk...

Pomocnik jubilera...

Nadzieja Justyny nagle nabrała rumieńców.

– Policja – przerwała gwałtownie. – Skąd policja, dlaczego? Kto ją wezwał?

– No, jak to, kamerdyner zobaczył... Policję od razu... Justyna znów przerwała zaskoczonemu słudze.

– Ta książka, którą mój kuzyn oglądał... Gdzie ona jest? Nie, zaraz... Proszę mi przynieść wody...

Myśl jej biegła niepowstrzymanie. Potworne dzieło o sokołach trzeba odzyskać natychmiast, może jeszcze nie zdołali odgadnąć pochodzenia trucizny, babka z pewnością nie życzyłaby sobie ujawnienia takiej kompromitującej tajemnicy rodzinnej! Gaston coś oglądał, mogło to być cokolwiek... A nawet jeśli zginie... Katarzyna Medycejska nikomu nie przyjdzie do głowy, odebrać to, mogłaby legalnie... Nie, nic z tego, nie zaraz, Gaston nie był żonaty, pojawią się komplikacje spadkowe, żyje za to jego ojciec, hrabia de Pouzac, dziedziczy chyba, zanim przyjedzie z prowincji...

W rezultacie dzieło o sokołach Justyna zwyczajnie ukradła. Prośbą o wodę pozbyła się lokaja, wiedziała doskonale, gdzie znajduje się gabinet kuzyna, udała się tam, zajrzała i pierwsze, co zobaczyła, to była gruba księga, leżąca na konsolce przy samych drzwiach. Nie patrzyła na nic więcej, w gabinecie byli jacyś ludzie, coś robili, ktoś się chyba ku niej odwrócił, wołała nie zwlekać, chwyciła ciężkie tomisko i uciekła.

W pamięci jej tkwił pomocnik jubilera. Był tam w kluczowym momencie, a jeśli policja... Bo może jednak...?

Wiedziała, który to jubiler, znała go, zaopatrywał w precjoza całą rodzinę, mgliście pamiętała nawet pomocnika, takie duże coś, góra mięsa w ludzkiej postaci...

U jubilera znalazła się w dziesięć minut.

Pomocnika nie było, jeszcze nie wrócił z miasta. Do wicehrabiego został wysłany z bransoletką, na której należało wygrawerować napis czulej treści, wicehrabia zostawił ją i dzisiaj miała mu być dostarczona. Rzeczony pomocnik, silny jak byk, z reguły był wysyłany z różnymi drogocnościami, bo dokonanie na niego napadu nie leżało w możliwościach przeciętnych opryszków, wręcz przeciwnie, to raczej on mógł być dla opryszków groźny, ale jego uczciwość już dawno została sprawdzona. Dlaczego jeszcze nie wrócił, nie wiadomo, bo do załatwienia miał tylko dwie sprawy i już powinien być z powrotem.

U jubilera Justyna przesiedziała przeszło godzinę, mniej dla zyskania wiedzy, a więcej dla wytchnienia. Musiała wyrzucić z siebie świeżo przeżyty wstrząs, a niewiele miejsc nadawało się do tego lepiej niż wnętrze jubilerskiego magazynu. Wiedzę o nieobecny pomocniku zyskała niejako okazjonalnie, między innymi poznając jego plany matrymonialne, bo jubiler był dość gadatliwy.

Najważniejsza rzecz, odzyskane dzieło o sokołach, leżało w powozie. Nie doczekawszy się powrotu upragnionego świadka, spragniona podzielenia się wrażeniami z babką, zdecydowała się wracać od razu, bez odpoczynku. Była pewna, że w Orleanie konie będą na nią czekały.

Klementyna czekała również z wielką niecierpliwością.

Osobiście wniósłszy ciężką księgę do domu, Justyna z ulgą i triumfem rąbnęła ją na stół. Widząc, jak babka otwiera zabytek i pośpiesznie sięga do kart z dłońmi bez rękawiczek, wydała okrzyk przerażenia.

– Babciu, nie...! Co robisz...?!

Klementyna powstrzymała gest. O truciźnie Katarzyny Medycejskiej nie miała najmniejszego pojęcia, zdumiała się zatem niebotycznie. Obejrzała się na wnuczkę.

– Dlaczego...? Co się stało?

– Babciu, oni nie żyją!

– Kto nie żyje?

Justynie dopiero teraz popłynęły łzy z oczu.

– Wszyscy! – wyszłochała. – Każdy, kto czytał! Antykwariusz! Kuzyn Gaston! Nie dotykaj tego! Nie wierzyłam, nikt nie wierzył, ale to musi być zatrute...!

– Bzdura – odparła babka gniewnie. Ujęła nóż do papieru, energicznie dziubnęła w sklejoną środkiem i jednym gestem otworzyła księgę w połowie.

Justynie zabrakło głosu. Klementynie też, każdej z innego powodu. Klej się zestarzał, wysechł, zaczynał kruszeć, księga otworzyła się łatwo, chociaż z lekkim trzaskiem, strzępiąc tylko nieco po brzegach zlepione ze sobą karty. W środku ukazała się duża, pusta, dawno wycięta dziura.

Diamentu nie było.

Po długiej chwili milczenia Justyna, dziewczyna mężna i energiczna, odezwała się pierwsza.

– Nic nie rozumiem – rzekła żałośnie i z niepokojem. – Babciu, ja cię proszę, umyj ręce natychmiast, na wszelki wypadek. Trzech ludzi padło trupem przy oglądaniu tego, podobno przedtem otruł się Karol IX, to zostało sklezione specjalnie...

– Moje dziecko, mówisz androny – przerwała Klementyna z irytacją. – Oczywiście, że zostało sklezione specjalnie, uczyniłam to własnoręcznie, a przedtem kleił twój dziadek. I zapewniam cię, że nie żadną trucizną, tylko zwyczajnym klejem. Cóż tam się stało w Paryżu i skąd ta hekatomba? Powiedz mi wszystko spokojnie i po kolei.

Justyna odetchnęła głęboko co najmniej kilka razy, zebrała siły i po bardzo długiej chwili zdołała wreszcie w pełni odzyskać panowanie nad sobą. Uwierzyła babce. Ponadto nie była idiotką, na widok dziury w samym środku księgi domyśliła się, że nie zbrodni służyło to dzieło o sokołach. Kryło w swoim wnętrzu coś, czego już nie ma, a musiało to być coś niezmiernie cennego, skoro od początku babka napomykała o wielkiej wartości zabytkowego dzieła. Z dziurą w środku, zdewastowane, samo sobą takiej wartości nie mogło jednak przedstawiać! Rozum chyba straciła w trakcie tych poszukiwań, skoro uwierzyła w truciznę, jakaż trucizna może stanowić wielki skarb...?!

Zdała babce relację ze swojej podróży. Słuchając, jak zwykle, w milczeniu, Klementyna zastanawiała się, czy wyznać wnuczce całą prawdę. Wciąż kołatała się w niej ta sama myśl, skoro diament przepadł, po cóż ujawniać tajemnice, być może kompromitujące? Z drugiej strony, gdyby jednak istniała szansa na odzyskanie klejnotu... Należałoby go poszukać, a nie sposób szukać, nie wiedząc, czego się szuka. Do jutra... Przemyśli kwestię do jutra, Justyna i tak na razie musi odpocząć, młoda jest wprawdzie, ale nawet młodość potrzebuje bodaj z jednej spokojnej nocy na sen...

Justyna ochłonęła po wydarzeniach, ale gryzła ją niecierpliwość. Węszyła tu jakąś sensację, nie czuła się zmęczona, a rozbudzona ciekawość dodawała jej sił. Usłyszawszy, że na wyjaśnienie osobliwej sprawy ma czekać do jutra, zbuntowała się i pozwoliła sobie na protest, usiłowała namówić babkę, żeby uchyliła bodaj rąbka już dziś, od razu, ale Klementyna wykazała kamienny upór z bardzo prostego powodu, którego wcale nie zamierzała kryć.

– Ja ci nie robię na złość, moje dziecko – rzekła smętnie. – Najzwyczajniej w świecie sama nie wiem, co zrobić, i muszę się nad tym zastanowić. Nie mogę na poczekaniu podjąć takiej decyzji, ważnej, być może, nie tylko dla mnie i dla ciebie, ale nawet dla całych pokoleń. Nie szarga się bez potrzeby dobrego imienia własnej rodziny...

Zrozumieć, Justyna zrozumiała, ale na stan emocji zrozumienie żadnego wpływu nie miało. Bezczyenne oczekiwanie jutrzejszego dnia stanowiłoby udrękę nie do zniesienia, o pójściu spać w ogóle nie było mowy, musiała coś zrobić, czymś się zająć, czymś zmęczyć. Przypomniała sobie złożoną babce przysięgę, dotyczącą owej rozproszonej po bibliotece wiedzy o ziołach, zdecydowała się zacząć od razu. Klementyna zamknęła się w gabinecie, niegdyś hrabiego, obecnie swoim, jej wnuczka zatem bibliotekę miała do dyspozycji nawet na całą noc.

Ogromna sala, prawie pod sufit zabudowana półkami i szafami, zawierała w sobie kilkanaście tysięcy książek w ośmiu językach: francuskim, angielskim, niemieckim, włoskim, polskim, greckim i łacińskim. W rodzinie hrabiów de Noirmont co drugie lub trzecie pokolenie obfitowało w jednostki wykształcone, które lubiły czytać, i jeszcze przed wynalezieniem druku zbiór liczył sobie kilkadziesiąt pięknie iluminowanych dzieł. Więcej niż niejedno opactwo. Mimo upadku finansowego nigdy jakoś tych walorów nie sprzedawano, trwały spokojnie

przez całe stulecia i, być może, zaszkodziłby im dopiero wiek XIX, gdyby nie posag Klementyny, który na nowo przywrócił rodowi odrobinę świetności. W dodatku, w czasie rewolucji, młodszy braciszek aktualnego wówczas przodka w prostej linii, zmarły bezżennie i bezdzietnie, wzbogacił rodzinną bibliotekę wszystkim, co udało mu się w panującym ogólnie zamieszaniu tanio odkupić, uratować od pożogi, względnie ukraść. O polskie książki zaś postarała się już sama Klementyna.

Dowiedziawszy się od babki, że wiedza o ziołach znajduje się gdzieś w książkach, Justyna ujrzała przed sobą galerniczą pracę. Stałego bibliotekarza nie zatrudniano już co najmniej od stu pięćdziesięciu lat, dzieła stały na półkach jak popadło, wymieszane tematycznie, chronologicznie i językowo, katalogi istniały, ale gdzieś poutykane i od dawna nieaktualne. Przeszukanie tego całego naboju wymagało ciężkich fizycznych wysiłków.

Przy obecnym stanie ducha Justynie w pełni to odpowiadało. Nie spróbowała nawet zapukać do babki i poprosić o jakąkolwiek wskazówkę. Zaczęła po prostu od jednego narożnika i postanowiła ruszyć w prawo. Równie dobrze mogła zdecydować się na kierunek w lewo i odkrycia dokonać po paru miesiącach, a może nawet latach.

Ten akurat fragment biblioteki zawierał głównie francuskie wydania sprzed dwustu i dwustu pięćdziesięciu lat, rzecz jasna poprzetykane chaotycznie Ariostem, Cervantesem i Fieldingiem w oryginale, wszystko wielokrotnie czytane przez całe pokolenia. Justyna nie wdawała się w lekturę, wyobraziwszy sobie, zresztą słusznie, że owe zapiski o ziołach zawarte są nie w druku, tylko mają postać luźnych kartek, względnie notatek na marginesach. A może zeszyków, ugniecionych między tomami w przypadkowych miejscach. Wyjmowała zatem każdą książkę, przeglądała ją, potrząsała i sprawdzała, czy nie ma czegoś pod okładką.

Zaczęła od najniższej półki i pchała się ku górze. Przy półce czwartej, kiedy mogła się już prawie wyprostować, pomyślała, że należało włożyć na siebie jakąś warstwę ochronną, fartuch na przykład, bo mimo iż grzebała w zamykanej, oszklonej szafie, zakurzona już była, jakby się tarzała na starym strychu. Sił wciąż jeszcze miała za dużo, ale uczucia zaczynały już w niej łagodnieć.

Szósta półka wymagała już drabinki. W bibliotece znajdowały się nawet dwie schodkowe drabinki, wyższa i niższa, i być może ten narożnik Justyna wybrała sobie na początek właśnie dlatego, że wyższa drabinka stała obok. Wyjęła teraz z piątej półki ostatni tom, przesunęła drabinkę bliżej i usiadła na niej na najniższym stopniu, przeglądając komedie Corneille'a.

Od razu na pierwszej stronie, tytułowej, zatem prawie pustej, ujrzała ręcznie pisany, słabo widoczny, trochę niewyraźny tekst.

„Mandragora”, przeczytała. „Człek w korzenia zaklęty...”.

Ucieszona znaleziskiem, postanowiła przepisać to natychmiast, z góry przewidując trudności. Pismo wyblakłe, język jakiś dziwny, nie współczesny, zapewne przepisane to zostało z czegoś jeszcze starszego. Papier, zeszyt, atrament... Wszystkie niezbędne utensylia znajdowały się w szufladach długiego stołu, stojącego na środku, pomieszczenie wszechstronnie służyło pracy umysłowej. Cenną treść należało uratować, niewątpliwie to właśnie miała na myśli jej babka.

Zerwała się ze schodkowego szczebla, zaczęła łokciem o poręcz drabinki i Corneille wyleciał jej z rąk. Upadł na podłogę i otworzył się w środku, gdzie w charakterze jakby zakładki tkwił jakiś papier. Znalazłaby ten papier dopiero po przepisaniu tekstu o mandragorze, teraz jednak chwyciła go z zaciekawieniem.

Papier wydawał się zdecydowanie młodszy niż tamto wyblakłe, stare pismo na pierwszej stronie książki. Elegancki z natury, ale zniszczony,

pognieciony, trochę brudny, może przydeptany. Uwiecznioną na nim treść Justyna zaczęła czytać i już po pierwszych zdaniach zorientowała się, że trzyma w ręku fragment listu. Środek, bez początku i końca, pokreślony i pomazany, w dodatku z oderwanym narożnikiem.

Brzmiał następująco:

...oszalał. Dzikie pretensje. Nie dokonałeś przecież porwania? Diament należy do Ciebie, skoro go dostałeś, nawet gdybyś dostał bez powodu, zdaje się, że raz w życiu udało Ci się zrobić dobry interes. A gdybyś sprzedał konia? Zapłacono Ci diamentem zamiast złotem. Możliwe też, że pani de Blivet w oczach dzikiego nababa ma większą wartość niż jakiś tam koń, rzecz gustu, a doprawdy nie mogę znać ceny ladacznic w Hindustanie. Nie chcę Ci wymawiać, ale Ciebie również kosztowała dostatecznie, a teraz siostra płaci Twoje długi. Tak, siostra, bo matka już na to nie ma. Jeśli ten diament istotnie jest taki og... pokryje poniesione koszty i nie ma... do wątpliwości. Należy do Ciebie... do mnie. Oczeku...

Przez długą chwilę śmiertelnie zdumiona Justyna odczytywała powyższe słowa, urywane na brakującym narożniku. Kartka wyglądała na brudnopis, kto do kogo wystosował tę intrygującą korespondencję, nie miała pojęcia i nie siliła się odgadywać. Porzuciwszy chwilowo starania o mandragorę, popędziła do babki.

– W czym to znalazłaś? – spytała Klementyna, zapłonawszy lekkim rumieńcem po przeczytaniu tekstu. – Przynieś to.

Justyna biegiem obróciła tam i z powrotem, donosząc Corneille'a. Wyraz twarzy babki mówił sam za siebie.

W starym i podniszczonym tomiku na pierwszej stronie znajdowała się dedykacja, nie rzucająca się w oczy, bo zachodził na nią opis mandragory. Corneille'a z wyrazami uczuć własnych, jakiś L. de M. ofiarował pannie

Ludwice de Noirmont, która niewątpliwie utwór czytała i zapewne zostawiła w nim brudnopis pisanego właśnie listu. Ona lub ktoś inny. Płeć osoby piszącej była nieodgadniona, ale jakiś tajemniczy duch, tkwiący między wierszami, sugerował kobietę. Być może, owa płacząca siostra pisała do brata i z pewnością w owym momencie nie była już młodą panienką.

– Nie do wiary – powiedziała Klementyna i wezwała Florka.

Kiedy przed piętnastu laty bystry chłopiec z polskiej wsi przybył do Francji, żyła jeszcze w Noirmont stara klucznica, bez mała stuletnia. Mimo wieku, trzymała się świetnie, a jedyny mankament jej umysłu objawiał się w pewnym pomyleniu osób. Klementynę brała za siostrę pana hrabiego, dożywającą wdowieństwa u brata, Florka zaś za swojego własnego wnuka, którego koniecznie chciała uczynić pierwszym kamerdynerem. Przez dwa lata czyniła te starania, po czym umarła, ale dwa lata okazały się owocne.

– Tyś spisywał kiedyś to wszystko, co ci gadała stara Wiktoryna – rzekła Klementyna bez wstępów do wiernego sługi. – Wiem, bo recepty mi oddałeś.

– Nie całkiem wszystko, proszę jaśnie pani – odparł Florek ze skruchą i żalem. – Głupi byłem i przepuściłem dosyć dużo. Ale przez to spisywanie prawie wszystko pamiętam i gdyby jaśnie pani kazała, dopiszę...

– Po jakimu pisałeś?

– Pół na pół. I po naszemu, i po francusku, bo języka przy okazji chciałem się nauczyć. Dziwnie może trochę to moje pisanie wypadło.

– Nie szkodzi. Przypadkiem z jej gadania może pamiętasz, kto to była i kiedy żyła panna Ludwika de Noirmont?

– A tego zapomnieć nie sposób, bo to właśnie była margrabina d'Elbecue, za którą ona jaśnie panią uważała. Z domu panna de Noirmont, owdowiawszy bezdzietnie, tu u brata mieszkała, no, u matki, bo jej matka jeszcze żyła. A brat w Indiach wojował. Zaraz, kiedy to było, jaśnie pani

pozwole, że obliczę, bo do liczenia ona głowy nie miała i wszystkie czasy myliła...

– Licz głośno.

– A dobrze. Dziewięćdziesiąt osiem lat miała, jak tu przybyłem, a w setnym roku umarła, przeto urodzić się musiała w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym drugim...

Na znak babki Justyna, zaciekawiona już niepomiernie, zaczęła te daty spisywać. Florek kontynuował na głos.

– Osiem lat miała, to na pewno, jak już do posługi przy margrabinie przysła, przeto najlepiej to pamiętała. Margrabina czterdziestki dochodziła. A w ogóle to onaż Wiktoryna, im dawniejsze czasy, tym lepiej pamiętała, kotu na ten przykład mleko w miseczce kazała na swoim sekretarzyku postawić, margrabina znaczy. Wiktoryna stawiała, a kot mleko wylał na listy margrabiny i cała awantura z tego wynikła. Na brata się złościła, bo jego długi musiała płacić. Krótco potem umarła, akurat jak hrabia de Noirmont, jej brat, z Indii powrócił, ranny i ciężko chory. Wiktoryna wtedy jedenaście lat ukończyła, wścibskie dziecko to było, a nikt na nią specjalnie uwagi nie zwracał, więcej widziała i zapamiętała niż kto inny. Jedenaście, tedy musiał to być rok tysiąc osiemset trzeci. We dwa miesiące margrabina umarła na alterację, przez brata rozżłoszczona. Wiktoryna powiadała, że skarb miał wielki w ręku i zgubił, i z tego ją atak jakiś trafił. Ale że nagle to było, przeto testamentu nie zmieniła i hrabia wszystko po siostrze odziedziczył.

– Nadzwyczajne, że tak to pamiętasz – pochwaliła Klementyna.

– Przez naukę języka – wyznał Florek z lekkim zakłopotaniem. – Przepisywałem i poprawiałem, no i tak jakoś w pamięć zapadło... I jeszcze to, że jaśnie pani miała być tą margrabinią.

– Dziękuję ci. To mi wystarczy. Zachowaj swoje notatki i, broń Boże, ich nie zgub.

Po wyjściu Florka przez chwilę milczała, nie kryjąc wcale wielkiego przejęcia.

– Teraz ci powiem prawdę, którą zapewne sama już odgadujesz – rzekła wreszcie do Justyny. – Milczałam, bo nie byłam pewna, czy jakiejś hańby w tym nie ma. A otóż, rzecz nie do wiary, prawo jest przy nas. Diament, o którym mowa w tym kawałku listu, istniał naprawdę, sama go w rękę trzymałam, a lata całe znajdował się w książce, tej rzekomo trującej.

Przygotowana już w pewnym stopniu na tę informację, Justyna odczuła jednak wstrząs potężny.

– I co...? – spytała bez tchu.

– I trzeba go odnaleźć. Gdyby nie należał do nas, do rodziny, dałabym spokój i zachowałabym sekret, ale teraz widzę, że powinno się to uczynić. Tyle że po drodze jakieś dziwne rzeczy się działy i musiał być w to wmieszany ten twój lord Blackhill. To prawdziwy lord, o to możesz się nie kłopotać, a honor u nich w wielkiej cenie. Posłuchaj zatem...

* * *

Godzina, spędzona niepotrzebnie u jubilera, okazała się zgoła bezcenna. Mimo oszołomienia nagle uzyskanymi informacjami, Justyna zdołała przypomnieć sobie całą rozmowę i wszystkie dane o pomocniku. Miał narzeczoną. Posiadał także rodziców i zamężną siostrę, ale Justynie instynkt kazał z tego całego towarzystwa wybrać dziewczynę.

Narieczona mieszkała w Calais i była córką cieśli okrętowego, fachowca wysokiej klasy. Jubiler znał jej nazwisko i adres, bo do pomocnika przychodziły listy. Ukrył tę informację przed policją, pewien był bowiem,

że jego pomocnik ze śmiercią klienta nie miał nic wspólnego, i ukryłby ją także przed Justyną, gdyby nie to, że wyrwała mu się w pierwszej chwili.

O najwcześniejszym poranku Justyna wyruszyła do Calais, wciąż obarczona pokojówką, kryjącą starannie irytację. Pojąć nie mogła nagłej ruchliwości panienki i wszelkimi sposobami usiłowała dociec jej przyczyn, podejrzewając, że ma związek z nagłą śmiercią wicehrabiego Gastona. Śmierć wicehrabiego wprowadziła ją we wściekłość dodatkową, bo tyle o niej wiedziała, ile zdołał powiedzieć jej stangret. W zasadniczej chwili nie została zabrana z wizytą, ominęła ją największa sensacja, obłądny pośpiech Justyny uniemożliwił jej zdobycie szczegółowych informacji i razem wzięwszy, doprowadziło ją to do furii. W końcu kłopoty państwa stanowiły najpiękniejszą rozrywkę służby, a tej rozrywki została pozbawiona. W dodatku tym razem w Paryżu jaśnie panienka nie zatrzymała się wcale, tylko od razu podążyła dalej, do Calais, tam zaś, wynajawszy fiakra i dojechawszy pod jakiś tajemniczy adres, pokojówkę zostawiła w powozie i gdzieś tam poszła sama. Oburzające. Wręcz potworne i sprzeczne z naturą.

Odnalazłszy bez wielkiego trudu siedzibę panny Antoinette Gibbon, Justyna zachowała się nader osobliwie. Zamiast zapukać do drzwi, podkradła się pod okno, cieśla okrętowy posiadał bowiem własny dom w niewielkim ogródku, zajrzała przez szybę i ujrzała widok wzruszający. W objęciach młodego człowieka młoda dama szlochała rozdzierająco.

Ani łkająca rzewnymi łzami panna Antoinette, ani trzymający ją w objęciach pan Trepon, pomocnik jubilera, nie mogli wiedzieć, jak przebiegało dzieciństwo i wczesna młodość panny Justyny Przyleskiej. Do głowy by im nie przyszło, iż panna Przyleska pierwsze lata życia spędziła na łażeniu po drzewach, wczesną młodość po części na ujeżdżaniu młodych koni, po części zaś na ćwiczeniach cyrkowych, wyniesionych z jednego jedyne przedstawienia, jakie udało jej się obejrzyć i podbudowanych

pomocą zaprzyjaźnionego wsiowego chłopaka. Niejaki Wałek kowala zachwyił się pomysłami jaśnie panienki i wziął w nich żywy udział...

Wszystko wskazywało na to, że Wielki Diament lubił kowalstwo...

...a resztę na tańcu, skakaniu konno przez płoty oraz wszelkich wyczynach akrobatycznych, jakie jej wpadły pod rękę. Wybicie szyby i wejście przez okno do pokoju było dla niej drobiazgiem. Pozostawiona w wynajętym fiakrze pokojówka na szczęście tego nie widziała.

Dwie ogromnie zdenerwowane osoby wewnątrz zdrętwiały. Sprawnością fizyczną jednakże dysponowała nie tylko młoda arystokratka. Ściskający zapłakaną damę młodzieniec zareagował w jednym ułamku sekundy, mając drogę już otwartą, porzucił przedmiot uczuć i prysnął w odwrotną stronę.

Przez moment Justyna miała ochotę gonić za nim, ale opamiętała się i zrezygnowała. Dwie młode dziewczyny zostały same.

Dwie dziewczyny, zainteresowane tą samą sprawą, albo się z miejsca znienawidzą, albo równie szybko dogadają. Zważywszy, iż rywalizacja o względy młodzieńca nie wchodziła w grę, nastąpiło to drugie.

O tym, że otrucie odpadało, Justyna już wiedziała, aczkolwiek nikły cień wahania w niej pozostał. Obie z babką nabrały delikatnych podejrzeń, bo w końcu dzieło o sokołach tkwiło w bibliotece całe wieki, przez nikogo nie oglądane, i ślad trucizny, w którą nikt nie wierzył, mógł się po nim pałętać. Hrabia de Noirmont wycinał dziurę i sklejał kartki bez oblizywania, uszedł z życiem, ale kto wie...? Gdyby oblizywał...? Należało koniecznie stwierdzić, co tam nastąpiło u wicehrabiego de Pouzac i jaka była przyczyna jego nagłego zejścia ze świata, nie mówiąc już o tym, że zaginięcie zawartości dzieła było wysoce intrygujące.

Dając pierwszeństwo uczuciom, Justyna najpierw wysłuchiwała zwierzeń sercowych i wzięła udział w rozważaniu kwestii wierności odbiegłego w dal amanta, a potem dopiero przystąpiła do pytań na tematy zbrodnicze.

Antoinette nie próbowała nawet opanować wyzwolonej dramatem szczerości, powtórzyła wszystko, co narzeczony jej wyznał. Sam był wzburzony i pełen rozpaczy i całkiem nie wiedział, co zrobić.

Otóż tak, istotnie, był przy tym. W śmierci wicehrabiego Gastona wręcz uczestniczył osobiście, ale bez winy, bez winy...!

Justyna chętnie zgodziła się z tym poglądem, mając świeżo w pamięci opinię jubilera. Z zapalem potwierdziła wiarę w niewinność podejrzanego, co ukoilo nieco doznania Antoinette. Opowiedziała wreszcie porządnie i dokładnie całą historię.

Pan Trepon, pomocnik jubilera, przybywszy z wygrawerowaną bransoletą, zastał wicehrabiego przy lekturze jakiejś wielkiej księgi. Przeglądając ją, wicehrabia siedział przy małym stolczku pod oknem. W chwili kiedy pomocnik jubilera wszedł, wyjął z sakwojażyka przyniesiony klejnot i zamknął za sobą drzwi, klient na coś w tej księdze trafił i rzeczywiście zaczął wydawać okrzyki, kontrastowe w treści.

– Wielkie nieba...!!! Ach...! Cóż to...?!!! Na moce piekielne...!!!

Zarazem chciwie wydłubał to coś, wyłuskał spośród kart, błysnęło mu w palcach. Ręce mu się trzęsły, upuścił lśniącą rzecz, która upadła na dywan. Zemocjonowany był tak, że nie wzywał służby dla podniesienia przedmiotu, tylko sam schylił się gwałtownie. Równocześnie pomocnik jubilera, który już zdążył podejść bliżej, odruchowo rzucił się z pomocą i barkiem trącił ozdobną kolumnę, stojącą między oknami. Kolumna zachwiała się, zdobiąca ją marmurowa rzeźba zleciała na zbity pysk i elegancko trafiła pochylonego wicehrabiego w łeb.

Pomocnik jubilera, usiłując temu gwałtownie przeciwdziałać, popchnął jeszcze stolik. Stolik przewrócił się i kantem blatu dogodził wicehrabiemu ostatecznie. Pomocnik jubilera potknął się o to wszystko, podparł rękami i lśniący przedmiot znalazł się w jego dłoni.

W ułamku sekundy, nie patrząc i nie myśląc, wiedział, co trzyma, chociaż sam swojej wiedzy nie uwierzył. Za to olśnił go następny błysk. Wicehrabia nie żyje, na Boga, przecież będzie na niego...! Może zostać, wyjaśniać, ale kto mu uwierzy...?! Poza tym, pchnął przecież to coś, co tam stało, bez pchnięcia nic by nie spadło, a jak, u licha, wytłumaczyć pozycję wicehrabiego, z głową prawie na podłodze...?! Wielcy panowie nie zwykli czołgać się po dywanach w poszukiwaniu pogubionych rzeczy, od tego jest służba! Pchnął zatem i nie ma siły, będzie na niego! Może i przypadkowo, ale jednak wicehrabiego zabił, a przyczynę zabójstwa trzyma w ręku, klejnot, jaki nie ma prawa istnieć na świecie...

Wszystko to eksplodowało w jego umyśle. Wstrząs przeżywszy podwójny, otumaniony okropną sytuacją, nie zastanawiał się dalej. Najzwyczajniej w świecie uciekł.

Uciekłszy zaś, wciąż gnany więcej uczuciem niż rozumem, oparł się dopiero tu, u narzeczonej. Akurat z Gare du Nord odchodził pociąg. Po drodze zdołał się nieco opanować, uznał, że zrobił głupstwo, ale jest to głupstwo nie do odpracowania. Tę piekielną rzecz zabrał ze sobą, a jest to diament, prawdopodobnie największy na świecie, o którym chyba nikt nic nie wie. Cała zastana sytuacja wskazuje, że wicehrabia w starej książce dokonał odkrycia, po czym natychmiast padł trupem, zatem nadal o odkryciu nikt nie wie. Zatem co on ma zrobić, ujawnić kamień, i tym samym podsunąć wszystkim motyw zabójstwa, czy też ukryć go, przywłaszczyć sobie i uciekać przez całe lata... Bo przecież, jeśli przyłożą mu tego wicehrabiego de Pouzac, będzie ścigany zażarcie nawet i bez diamentu...

Przyjechał do Calais i wcale nie przyszedł do narzeczonej od razu. Skąd, błąkał się, jak głupi, gdzieś tam po wydmach, za miastem, bił się z

myślami. Pojawił się dopiero dzisiaj, dopiero teraz, przed chwilą, wyznał jej wszystko...

Jeszcze się na nic nie zdecydował i chyba dlatego teraz też uciekł. Z zaskoczenia. Z paniki. Gdyby przez okno wlaź jakiś zbir, bandyta, niechby nawet trzech bandytów, dałby im do wiwatu, bo w ogóle to on jest strasznie silny i wręcz głupio odważny, ale na widok młodej, pięknej, wytwornej pani musiał zbaranieć do reszty. Gdyby chociaż pani wlaźła z nożem albo rewolwerem...

– Mogłam wziąć ze sobą fuzję dziadka – mruknęła Justyna. – Nie przyszło mi to do głowy, może i dobrze się stało. To bez sensu, że uciekł. A co zrobił z diamentem?

Antoinette zakłopotana się lekko.

– Nie wiem. Kiedy tu przyjechał, miał go chyba przy sobie. A teraz nie wiem...

– Myśli pani, że wróci?

– Nie wiem – powiedziała Antoinette żałośnie i na nowo zaczęła płakać. – Może właśnie zdecyduje się już nie wracać. O mój Boże, mój Boże, za dwa miesiące miał się odbyć nasz ślub!

Justyna znów musiała przystąpić do pocieszania, ale teraz ją stosować argumenty racjonalne. Uciekinier nie porzuci przecież na zawsze narzeczonej posiadającej jego tajemnicę, napisze do niej, da znać o sobie, nawiąże jakiś kontakt. Narzeczona zdoła wówczas wyrzucić na niego wpływ, nakłonić go do postępowania rozsądnego. O diamentach, ogólnie biorąc, wie mnóstwo ludzi, jakaś afera na jego tle wybuchła już przed laty, widziała go Justyny babka, a, być może, ktoś jeszcze. Drogocенność jest to z pewnością wielka, ale potwornie kłopotliwa... Zastanowią się wspólnie, obydwie, co z tym fantem zrobić i jak odkręcić głupi pomysł młodzieńca.

– A jeśli by miał uciec, to dokąd? – spytała, widząc, że łyzy młodej damy zaczynają obsychać.

– Do Anglii – chlupnęła Antoinette. – Chociaż bredził o Ameryce, ale ja nie chcę do Ameryki! Mówiłam, że nie chcę! A do Anglii może popłynąć z rybakami i wylądować byle gdzie...

No tak. Wyląduje byle gdzie, policja go nie złapie, zniknie razem z diamentem, zaangażuje się do pracy u jakiegoś złotnika, jest fachowcem, sam sobie ten diament potnie na kawałki, sprzeda, będzie miał pieniądze, zmieni nazwisko, zdobędzie fałszywe dokumenty, potem zrobi, co chce...

Wszystko to Justyna wymyśliła w pół minuty.

– Angielski język zna? – spytała surowo.

– Nie bardzo dobrze, ale zna.

W tym momencie myśl Justyny zmieniła nagle kierunek. W Anglii znajdował się wszak Jack Blackhill, którego oświadczyły gotowa była przyjąć, wiedziała, gdzie mieszka, miała jego adres. On również miał jej adres, zostawiła mu, ale był to adres w Polsce, jadąc do ojca, nie pomyślała, że wyląduje u babki w Noirmont. Może i przyszły jakieś listy do Przylesia, będą leżały i czekały na jej powrót. Do Anglii... Oczywiście, że należy natychmiast jechać do Anglii w pogoni za tym jubilerskim półgłówkiem!

Sama przed sobą ukrywając fakt znacznie większego zainteresowania młodym lordem niż diamentem, podjęła błyskawiczną decyzję. Myślało się jej jeszcze szybciej. Mogą jej zabronić, rodzina, nawet babka, zaprotestuje, wobec tego w ogóle nie należy pytać o pozwolenie! Zatelegrafuje do babki, że jedzie, i cześć, sprawa załatwiona. Pieniądze dostanie od londyńskiego plenipotenty, a, prawda, zlecenie musi wysłać ojciec... nie, nie ojciec, matka. Trzeba zatem pchnąć telegram także i do Przylesia. Prom do Anglii...

– Odplywa jeszcze dzisiaj jakiś statek? – spytała pośpiesznie.

Antoinette otarła oczy, gotowa współdziałać w pościgu za narzeczonym, bez względu na jego stan posiadania. Spojrzała na tykający nad komodą zegar.

– Za półtorej godziny. Zdąży pani. Ale jeśli... A policja...? A co będzie, jeśli policja...?

– Nic. Nie zabił przecież tego Gastona. Uciekł z głupoty. Wszystko się im wytłumaczy, a o diamencie nie powiemy...

Ten program Antoinette przyjęła bez namysłu. Zerwała się z miejsca, razem wybiegły z domu. W poczekalni promu Justyna napisała dwa telegramy i wysłała z nimi na pocztę zniecierpliwioną, zdenerwowaną i wściekłą pokojówkę. Nabyła dwa bilety pierwszej klasy, Antoinette wskazywała jej drogę do kasy i dalej. Weszła na statek, bilet dla pokojówki zostawiając wspólnicze.

Pokojówka, wyprowadzona już z równowagi ostatecznie, rozzłoszczona do szaleństwa, z chwilą kiedy została sama, przestała się śpieszyć. Wysłała te dwa telegramy, przeczytawszy je przedtem z wielką uwagą, co niewiele jej dało. Panienska domagała się od rodziców pieniędzy, no owszem, to było zrozumiałe i nie stanowiło tajemnicy. Nie wyjaśniało także niczego. Telegram do hrabiny de Noirmont był z pewnością ważniejszy, ale napisany jakby szyfrem i wynikała z niego rzecz zdumiewająca. Panienska chyba kogoś goniła...? Ta śmierć wicehrabiego de Pouzac, wysoce podejrzana, czyżby panienska goniła zabójcę...? Niemożliwe. Rysowała się tu jakaś sensacja, którą za wszelką cenę chciała zrozumieć.

Zmarnowała na swoich dociekaniach tyle czasu, że kiedy przybyła z powrotem do portu, rufa promu z jej panienką na pokładzie oddalona już była od brzegu o dobre sto metrów...

W ten sposób Justyna wyruszyła do Anglii bez pieniędzy, bez żadnego bagażu i bez pokojówki. Pierwszy raz w życiu znalazła się wśród obcych

ludzi zupełnie sama, bo konnych wypraw w pobliżu rodzinnego domu w znajomej okolicy nie można liczyć, nie mówiąc o tym, że ani pieniądze, ani bagaż, ani pokojówka nie były jej wówczas potrzebne. Najwyżej przydałby się czasem jakiś chłopak stajenny...

* * *

Antoinette ze zmarnowanym biletem pierwszej klasy wróciła do domu. Dziko zdenerwowaną pokojówką nie przejmowała się wcale, doradziła jej również powrót do domu i pokazała palcem pociąg do Paryża. Dość miała własnych kłopotów, żeby jeszcze zajmować się cudzymi.

Pierwszą rzeczą, jaka wpadła jej w oko we własnym pokoju, był malutki sakwojażyk ukochanego. Pomocnik jubilera, wyskakując przez okno wprost z jej zrozpaczonych objęć, o swoim bagażu zapomniał, a nawet gdyby pamiętał, nie miał czasu go chwycić. Przybywająca tą wysoce nietypową drogą Justyna uczyniła na nim wrażenie zgoła upiorne, bo jednak, nawet w początkach dwudziestego wieku, młode arystokratki do wchodzenia używały raczej drzwi. Równie dobrze mogłaby wlecieć przez komin. Pchnięty paniką, stracił z oczu świat.

Sakwojażyk ukochanego, jedyny szczątek, jaki po nim został, wywołał w sercu Antoinette gwałtowny wybuch uczuć. Jak każda normalna zakochana kobieta ujrzała w nim skarb bezcenny, pozostałość utraconego mężczyzny, coś z niego, bodaj woń. Padłszy na kolana ze łzami w oczach, czule i tkliwie przytuliła przedmiot do łona i do głowy jej nawet nie przyszło, żeby zajrzeć do środka. Wręcz przeciwnie, samo otwarcie stanowiłoby świętokradztwo, życie własne gotowa byłaby oddać w tej chwili za nienaruszalną całość bagażu. Tuląc w objęciach sakwojażyk, odpłakała swoje, po czym z troską zastanowiła się, gdzie przechować

świętość. Najlepiej na ołtarzu. Ołtarzem nie dysponowała, jakieś inne sanktuarium...

Najbardziej czczonym miejscem w jej osobistej sypialni była komódka pod lustrem, w której w trzech głębokich szufladach spoczywały rozmaite skarby, w tym jej prywatne oszczędności oraz naszyjnik z muszel, otrzymany niegdyś od wielbiciela–marynarza, zaginionego na dalekich oceanach. Sakwojażyk zmieścił się tam z trudem, ale jednak się zmieścił, tyle że najwytworniejsza nocna koszula razem z peniuarem musiała nieco się ścieśnić. Gdzieś na dnie uczuć Antoinette mignęła myśl, że nawet pognieciony, ów strój uczyni na amancie piorunujące wrażenie. Szczególnie że nie powinien oglądać go zbyt długo. Tylko oglądać...

Odrobinę pocieszona nadzieją, a zarazem przygnębiona katastrofalną sytuacją, pokłęczwała jeszcze trochę przy szufladzie, po czym oderwała się wreszcie od zmartwień i zajęła egzystencją bieżącą, bo obiad dla ojca musiał być jutro przyrządzony, tak samo jak każdego dnia. Matki już nie miała i sama zajmowała się domem.

Pomocnik jubilera, wpadłszy w popłoch, rzeczywiście uczynił to, co przypuściła jego narzeczona. Dopadł znajomych rybaków i z nimi wyruszył na morze z zamiarem jak najszybszego dotarcia do obcego kraju, który wydawał mu się jedynym dostępnym azylem. Rybacy, zaprzyjaźnieni z ojcem Antoinette i od dawna oswojeni także z jej narzeczonym, nie zadawali żadnych głupich pytań.

Morze zachowało się gorzej. Miało swoje fanaberie i nie uwzględniało potrzeb i życzeń żeglarzy. Najpierw podsunęło ławicę ryb, która zabrała tyle czasu, że prom z Justyną na pokładzie osiągał już Dover, a oni jeszcze łowili, następnie zaś skotłowało się grymaśnie i złośliwie. Wzmagający się szybko wiatr zmienił kierunek, wypędziwszy łódź na ocean, jął wiać z północnego wschodu i odpychać ją od brzegów Anglii, których osiągnięcie

stało się chwilowo niemożliwe. Wyżej ceniąc własne życie i wspaniały połów niż pragnienia dodatkowego pasażera, choćby nawet znajomego i użytecznego, rybacy zdecydowali się wylądować w okolicy Havru.

Pomocnik jubilera, aczkolwiek żywo zajęty wspomaganiami ich wysiłków, miał jednakże dość czasu, żeby się zastanowić nad tym, co robi. Pomijając wszystkie inne względy, wolał *travaux forces* na lądzie niż natychmiastową śmierć w głębinach morskich, nie protestował zatem i nie skakał za burtę. Prawie zdecydował się wrócić i wyznaczyć prawdę komukolwiek, policji czy też pryncypałowi, zostawiając sobie tylko małe marginesy na niespodziewane wydarzenia, skołowany nieco tym, że nie wszystko mu wyszło tak jak powinno. Ściśle biorąc, nic mu nie wyszło...

Orlich lotów umysłu młodzieniec nigdy nie prezentował. Niewątpliwie był solidny i uczciwy, swoje obowiązki rozumiał i wypełniał rzetelnie, jako fachowiec sprawdzał się w pełni, na kamieniach szlachetnych znał się doskonale, umiał je szlifować i oprawiać, o ile, rzecz jasna, ktoś inny wymyślił dla nich formę artystyczną, bo talentów twórczych nie posiadał. Był rzemieślnikiem, wykonawcą. Miał przy tym zgodny charakter i dobre serce, ale przy tych wszystkich, tak licznych, talentach, przesadną bystrością nie grzeszył.

Zgłupiał teraz radykalnie. Wylądowawszy następnego dnia pod wieczór na pustej plaży, dokąd morze zapędziło łódź, mokry, głodny, trochę nawet zmęczony, spróbował ocenić własną sytuację.

Pieniądzy miał przy sobie tyle co kot napłakał, jakieś drobne plątały mu się po kieszeniach. Sakwojaż został u dziewczyny w Calais. Pół drogi do Paryża mógł jakoś przejechać, resztę musiałby odbyć na kredyt albo na piechotę. Rybacy, przyzwyczajeni do takich przypadłości, a przy tym wzbogaceni ocalonymi rybami, zorganizowali się błyskawicznie i przynajmniej zdołali go nakarmić, ale pożyczenie od nich pieniędzy nie

przyszło mu do głowy. Przespawszy w ich towarzystwie noc, skłopotany i zmartwiony, ruszył nazajutrz do stolicy.

I dopiero za Rouen, kiedy skończył mu się nabyty za owe smętne fundusze bilet i tkwił w pociągu na gapę, przypomniał sobie o diamencie. Przedtem, w obliczu wszystkich kolejnych niebezpieczeństw i zgryzot, niepotrzebnie zabrany kamień wyleciał mu z głowy, teraz przygniótł go nagle, jakby był zgoła kamieniem młyńskim. W dodatku zawieszonym u szyi.

Jechał tym pociągiem dalej, bo wyskakiwanie w biegu też mu nie wpadło do głowy, i martwił się coraz bardziej. Nie miał pojęcia, co zrobić. Wyprzeć się go może całkowicie, przy pomocy Antoinette doszedł już do wniosku, że nikt o nim nie wie, zatem nawet nie wspomnieć...? Żadnego diamentu nie było. No tak, ale jeśli go nie było, po diabła wicehrabia czołgał się po dywanie na czworakach? Dla gimnastyki...? Głupota, nikt nie uwierzy. Gdzie ten diament, swoją drogą, się podział, co on z nim zrobił...? Zdawało mu się, że go miał w kieszeni, ale to na początku, wyjmował, pokazywał Antoinette...? A otóż nie, wcale nie pokazywał! I chyba nawet nie wyjmował... Wielkie nieba, może zgubił go na morzu, w trakcie szarpania się z sieciami...?!

No to koniec. Przepadło. W zgubienie również nikt nie uwierzy.

W rezultacie tych przygnębiających rozmyślań wysiadł na pierwszej stacji, jaka mu się napatoczyła, i uświadomił sobie, że wychodzi się z niej przez kontrolera, który odbiera i sprawdza bilet. Jego bilet już od Rouen jest nieważny. Musi wyjść jakoś inaczej albo doczekać w jakimś ukryciu chwili, kiedy ruch pociągów się zmniejszy i kontroler zejdzie z posterunku. Przemknie się. Dalej, najzwyczajniej w świecie, pójdzie piechotą...

Wojsko w warunkach bojowych potrafi przemaszerować czterdzieści kilometrów dziennie z solidnym obciążeniem. Piechota, oczywiście. Michel

Trepon, pomocnik, tragarz i goryl jubilera, nie obarczony szczęśliwie żadnym moździerzem, karabinem maszynowym ani też skrzynką amunicji, ściśle biorąc, nie obarczony niczym, bo wszystko udało mu się utracić, przebył w ciągu jednej doby trasę długości sześćdziesięciu ośmiu kilometrów i wkraczając do Paryża, nie miał nawet pęcherzy na nogach. No owszem, wyszlachetniał w tej podróży. O jakieś cztery do pięciu kilogramów.

Do pryncypała zakradł się od tyłu.

– Głupcze! – krzyknął na jego widok chlebobdawca z wielką zgrozą. – Cóżże uczynił...?!

Michel Trepon zapomniał języka w gębie, bo zbyt dużo w ostatnim czasie zdołał uczynić, żeby odpowiedzieć na takie pytanie. Na szczęście pytanie okazało się retoryczne, jubiler znał go od dziecka i wiedział, co o nim myśleć.

– Po diabłaś uciekał? – mówił z wyrzutem dalej, wracając do spożywanego śniadania. – Siadaj i jedz, widzę przecież, że jesteś głodny. Dziękuj Bogu, że tam był jeden rozumny człowiek i zgadł, co się stało, bo inaczej już by cię cała policja szukała. I tak cię szukają, ale jako świadka. Co cię napadło, żeby zniknąć?!

– Wystraszyłem się – wymamrotał młody człowiek trochę niewyraźnie, bo polecenie pożywienia się wypełnił dość zachłannie.

To jubiler potrafił zrozumieć. Reakcji na przestkach również się zbytnio nie dziwił, znał nie tylko swego pomocnika, ale także i życie. Uciec w pierwszej chwili, no owszem, miało to odrobinę sensu, ale należało wrócić tu, do domu! Od razu, a nie po trzech dniach!

Z drugiej strony te trzy dni okazały się korzystne, ponieważ pozwoliły rozwikłać sprawę i policja już wszystko wiedziała. Z olbrzymim zainteresowaniem i rosnącą ulgą w duszy, w milczeniu, bo gębę miał zajętą

jedzeniem, zdumiony swoim fartem, Michel Trepon wysłuchał informacji, których jubiler nie zamierzał ukrywać. Nie widział po temu powodów, skoro ogłosiła je prasa.

Otóż u wicehrabiego wręcz błyskawicznie pojawił się komisarz policji, niejaki pan Simon, człowiek inteligentny i myślący. Obejrzał zwłoki, marmurową rzeźbę, przedstawiającą Tezeusza walczącego z Minotaurem, przy czym byczy łeb Minotaura godny był korridy, przewrócony stolik oraz inne drobiazgi, po czym przesłuchał lokaja. Lokaj zaświadczył, że owszem, ta kolumna, stojąca na miękkim dywanie, kiwała się lekko. Odrobinę. Była mowa nawet o wezwaniu człowieka, żeby ją przytwierdził do ściany międzyokiennej, ale jeszcze tego nie załatwiono. U wicehrabiego kręciło się dziś mnóstwo ludzi, w salonie obok czekali przyjaciele, dwóch panów, a drzwi były otwarte. Niemożliwe, żeby ktokolwiek wybrał sobie taką chwilę na popełnienie zbrodni, musiałyby zwariować...

Przeprosiwszy za prywatny komentarz, który wyrwał mu się na skutek zdenerwowania, lokaj kontynuował zeznanie oficjalne. Tak, istotnie, ta rzecz, znaleziona o pół metra dalej, jest to sztuczna szczęka nieboszczyka pana wicehrabiego. Mimo młodego wieku wicehrabia sztuczną szczękę posiadał, utraciwszy zęby w karczemnej bójce w wieku lat siedemnastu. W bójkę wdał się ten jeden raz w życiu, z głupoty, i skutek zniechęcił go na zawsze do podobnego rodzaju ekscesów, a swoją sztuczną szczękę ukrywał z całej siły. Nikt o jego zębach nie wiedział. Owszem, coś tam w niej ostatnio szwankowało i mogło się zdarzyć, że mu wypadła...

Nawet bez przesłuchiwania naocznego świadka komisarz Simon wyobraził sobie wydarzenie. Wicehrabia może kichnął, zęby mu wyleciały, ktoś wszedł w tym momencie, z zeznań wynika, że pomocnik jubilera, wicehrabia rzucił się podnosić szczękę, chcąc ją ukryć, zanim obcy człowiek zobaczy, co to jest, potracił chwiejną kolumnę i spowodował

katastrofę. Ów pomocnik jubilera był tu jednakże przez chwilę i coś robił, skoro przyniesiona przez niego bransoleta leżała na podłodze obok przewróconego stolika, a w każdym razie widział to wszystko, musiał widzieć, zatem odnaleźć go i przesłuchać należy bezwzględnie.

Słyszając taką wersję wydarzeń, pomocnik jubilera oprzytomniał i odzyskał odrobinę rozumu. Ponadto posilił się, co zdecydowanie podniosło go na duchu. Uzgodnił ze zwierzchnikiem, że sam się zgłosi do komisarza Simona natychmiast, rezygnując z odpoczynku i snu.

Co też uczynił.

Brak odpoczynku i snu miał swoje konsekwencje. Potwierdziwszy cały ciąg wydarzeń, zgadza się, wicehrabiemu upadło, rzucił się, trącił piekielną kolumnę, rzeźba, spadła i tak dalej, naoczny świadek dał się podpuścić i wyznał, co widział w momencie wejścia. Wicehrabia przeglądał księgę. Jakaś bardzo stara. Tak, naoczny świadek zdążył ją dostrzec, zanim się to wszystko przewracało, o czym traktowała, nie wie, ale w środku miała wielką dziurę...

Z dziury komisarz wyciągnął wniosek, acz błędny, to jednak logiczny. Na jej widok wicehrabia, stwierdziwszy nagle dewastację zabytku, zapewne drogo opłaconego, zdenerwował się szaleńczo i tę szczękę wypluł w nerwach. Wszystko zgadzało się doskonale.

Pomocnik jubilera wyszedł z tego interesu czysty jak łąza, po czym, usuwając z siebie stres, przespał trzy doby prawie bez przerwy, komisarz natomiast jął się interesować księgą. Chciał mieć wszystko zapięte na ostatni guzik, a owej księgi nie było.

Znów wystąpił lokaj. Tak jest, pojawiła się tu panna Przyleska, wnuczka hrabiny de Noirmont, u babki rezydująca, która księgę zabrała. Widział to na własne oczy. Sam tę księgę przedtem podniósł, bo leżała na podłodze, ze stolika spadła, i położył ją na konsolce przy drzwiach, odruchowo, a jaśnie

panienka zajrzała do pokoju, księgę dźwignęła i poszła sobie. Kuzynka wicehrabiego de Pouzac, wszystkim znana, mogła zabierać, co chciała...

Do Klementyny komisarz Simon dotarł osobiście, wyłącznie dla własnego spokoju sumienia. Nie traktował nawet tej wizyty służbowo, zaprosił się prywatnie.

Wiedzę o całej tej okropnej historii Klementyna czerpała z trzech źródeł. Z pierwszej relacji Justyny, z gazet i z niewielkiego telegramu, jaki dostała od wnuczki z Calais. Telegram, w najmniejszym stopniu nie liczący się z kosztami, brzmiał:

INDYWIDUUM UCIEKA DO ANGLII STOP JADĘ ZA NIM STOP PIENIĄDZE OD MATKI STOP NIEWINNY Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ STOP GASTON TO PRZYPADEK STOP PODOBNO ZABRAŁ TĘ RZECZ STOP BĘDĘ PRÓBOWAŁA GO ODNALEŹĆ, ZANIM POJEDZIE DO AMERYKI STOP CZY NIE PRZYSZŁY DO MNIE LISTY Z PRZYLESIA ZNAK ZAPYTANIA JEŚLI TAK, PRZYŚLIJ MI JE NA ADRES PANA BROOMSTERA STOP NIE WIEM, CO ROBIĆ DALEJ STOP

Pokojówka, która wróciła we łzach nazajutrz po telegramie, wywołała niepokój głęboki. Panienska zostawiła ją we fiakrze na ulicy i sama poszła coś załatwić. Czekwała w nieskończoność, a potem nagle porobiło się coś okropnego, pośpiech dziki, jakaś dziewczyna się przyplątała, ona sama została wysłana na pocztę, a panienska, Jezus Mario, odpłynęła w tym czasie do Anglii. Ta jakaś dziewczyna, okropna i zapłakana, niczego się od niej nie można było dowiedzieć, pokojówka też się popłakała i wróciła do domu, bo niby co innego mogła zrobić...?

Zmuszona myśleć i wnioskować samodzielnie, przestudiowawszy prasę, Klementyna nie przestraszyła się wizytą pana komisarza Simona. Potwierdziła fakt zabrania dzieła o sokołach, wyjaśniła, iż jest to pamiątka rodzinna, wypożyczona bez jej wiedzy, bezprawnie zlicytowana u pana de

Rousillon, pokazała pokwitowanie i pokazała nawet samo dzieło. Dziura w nim rzucała się w oczy. Pan Simon utwierdził się w swoich poglądach i mógł się wreszcie uspokoić. Notatki o całej sprawie pozostawił w swoich prywatnych dokumentach.

* * *

Znalazłszy się w Anglii, w warunkach zbliżonych do tych, które stały się udziałem pomocnika jubilera, Justyna nie straciła głowy, mimo iż w sercu czuła miłe pikanie. Różnica sytuacji, jej i tępawego młodzieńca, leżała w tym, że pieniędzy miała dosyć na dojazd do Londynu i nie musiała iść piechotą. Późnym wieczorem, o godzinie absolutnie nieprzyzwoitej, dotarła do pana Broomstera, rodzinnego radcy prawnego.

Nie dysponowała nawet wizytówkami, ale tkwiły w niej całe stulecia tak zwanej błękitnej krwi. Lokaj pana Broomstera, oblatany w zawodzie, bez jednej sekundy wahania poszedł zaanonsować młodą damę, której nie można nie przyjąć nawet o czwartej nad ranem, nie mówiąc o jedenastej trzydzięci wieczorem. Pan Broomster ostatni raz widział Justynę, kiedy miała szesnaście lat, jednakże ją poznał. Reszta stanowiła samą przyjemność.

Zakwaterowana, na własne życzenie, w najlepszym hotelu, już nazajutrz Justyna rozpoczęła ożywioną działalność, dwukierunkową, rzecz jasna z przewagą kierunku uczuciowego.

Bez żadnego trudu wmówiła w pana Broomstera, iż lord Jack Blackhill ma ścisły związek z tajemnicą rodzinną, która przygnała ją tu w tak osobliwych okolicznościach. W cztery godziny później Jack Blackhill, wnuk Arabelli, ze spontanicznością odziedziczoną po babce, chwycił młodą damę w objęcia.

O tajemnicy rodzinnej raczej nie było mowy, jakoś tak wypadło, że inne tematy wysunęły się na pierwszy plan. Kolejny telegram do Klementyny zawierał informację, że Jack Blackhill jednak zdołał się oświadczyć i został przyjęty. W Nicei mamusia nie miała nic przeciwko temu, więc może i teraz wyrazi aprobatę. Co babcia na to? W kwestii poszukiwanego indywiduum nie ma nowin, wygląda na to, że w Anglii nikt o nim nic nie wie, a upragniony przedmiot nie ujrzał światła dziennego. Co teraz?

Klementyna wieści potraktowała pobłaźliwie, pamiętała doskonale własną młodość. Nieco inna ona była, ta młodość, ale uczucia zmianom historycznym nie ulegają i można je rozumieć zawsze jednakowo. Na wszystkie strony rozesłała listy, bo telegramy jej nie zadowalały, i wręcz z przyjemnością pogodziła się z faktem, że jej wnuczka, za pełną zgodą rodziców, poślubi lorda Jacka Blackhilla, potomka tych jakichś ludzi, którzy już dawno temu wmieszani byli w tajemniczą historię Wielkiego Diamentu, nie wiadomo skąd i jakim sposobem im przypisanego. Co z tego wyniknie, nie była w stanie przewidzieć.

Diamentu jednakże, w obecnej sytuacji, nie zamierzała się tak beztrosko wyrzekać. Wyszło na jaw, że należał do rodziny i miała do niego prawo, stanowił poza tym wielką wartość, która w obliczu delikatnego upadku majątkowego zaczynała się liczyć. Zdając sobie sprawę, że zakochana wnuczka jest chwilowo nie do użytku i pociechy z niej nie będzie, pojechała do Paryża osobiście. Nazywało się, że dla wzięcia udziału w pogrzebie młodego kuzyna. Pod pozorem uzyskania szczegółów jego dramatycznego zejścia ściągnęła do siebie na rozmowę pomocnika jubilera.

Pomocnik jubilera, jeszcze nieco zaspany i otępiały po trzech dobach intensywnego wypoczynku, bał się hrabiny znacznie bardziej niż wszelkich policji świata. Był zdania, że policja da się oszukać, natomiast hrabina – wykluczone! Nie spróbował nawet.

Klęcząc i żebrząc o zachowanie sekretu w tej kwestii, wyjawiał jej całą prawdę. Żalonym głosem wyznał, iż do tej rzeźby, która zleciała, przyłożył się osobiście. Ale nie specjalnie, broń Boże, wyłącznie przypadkiem, chciał być grzeczny i tak okropnie mu to wyszło. Nigdy więcej nie będzie grzeczny! Już i tak swoje odcierpiał, omal się nie utopił w rozszalałym morzu, stracił wszystko, naraził się narzeczonej, teraz ma same kłopoty, więc błaga o zmiłowanie!

Klementyna nie widziała powodu, żeby mu robić coś złego.

– Rozumiem – rzekła spokojnie. – Jeśli o to chodzi, zapewniam cię, że będę milczeć, bo wicehrabiemu de Pouzac ani to nie pomoże, ani nie zaszkodzi. Jest inna sprawa. Dajmy spokój sztucznym zębom, obydwójce dobrze wiemy, że nie zęby z tej książki wypadły. Gdzie masz diament?

Dopiero teraz pomocnik jubilera zdrętwiał rzetelnie. Omal nie zaczął tłuc głową w podłogę, ale nie usiłował wmawiać w hrabinę, że o żadnym diamencie nic nie wie.

– Ja wiem, że tego to już mi jaśnie pani nie przebaczy... Ja go chyba zgubiłem... Miałem go, przyznaję, z dywanu podniosłem i sam nie wiem po co, od razu wiedziałem, że źle robię, a potem się okazało, że go nie mam... Na morzu... Sam nie wiem, gdzie i kiedy mi wyleciał, ale na morzu chyba, jak mnie fala zalała...

– Ty głupcze – powiedziała Klementyna ze śmiertelnym wstrętem. – A ta twoja narzeczonej? Nie zostawiłeś go u niej?

Pomocnik był gotów głowę na pniu położyć, że niczego u narzeczonej nie zostawiał. Od pierwszej chwili wydarzenia otumaniały go do tego stopnia, że prawie stracił pamięć. O swoim sakwojażyku zapomniał doszczętnie, majaczyło mu się, że ogólnie przy sobie coś miał, ale stracił to w burzliwych odmętach. Diamentu u narzeczonej nie wyjmował, wcale go jej nie pokazywał, nie zdążył, ledwo o tragedii powiedział i już musiał

uciekać, gdzie go miał wtedy, sam nie wie. Ale z podłogi podniósł i w rękę ścisnął, a potem już nie ścisnął, więc chyba gdzieś włożył, możliwe, że do kieszeni...

Klementyna pojęła, że ma do czynienia z kretynem. Wyraźnie było widać, iż kretyn mówi prawdę, bo wymyślenie łgarstwa przekracza jego możliwości. Dała spokój wypytywaniu i zła jak diabli, machnęła ręką na stratę.

Pomocnik jubilera jednakże wystraszył się ciężko. Dotychczas miał nadzieję, że o diamencie nikt nie wie, teraz wyszło na jaw istnienie jego właścicielki. Orientował się w wartości klejnotu i w głowie mu się nie mieściło, że ktoś mógłby taką stratę darować. Wyraz twarzy starej hrabiny daleki był od anielskiej słodyczy, wyobraził sobie zatem, że Klementyna będzie się mścić.

Po prostu powinna się mścić, wręcz było to jej obowiązkiem! W dodatku miała na niego haka potężnego, sam jej wyjawiał własny udział w rozbijaniu głowy wicehrabiego, co z tego, że obiecała milczenie, wielcy państwo nie muszą dotrzymywać obietnic składanych prostym ludziom! Nie ma dla niego życia na tej samej ziemi!

Z bólem serca rezygnując z narzeczonej, która korespondencyjnie odmówiła opuszczenia ojczystego kraju, z dnia na dzień znikł z horyzontu. Jubilera o porzuceniu pracy zawiadomił na piśmie, bez podawania przyczyn, i odpłynął do Ameryki. Był to oczywisty idiotyzm, ale myśleć młodzieniec nie umiał i odporności ducha nie posiadał. Gdyby groziło mu zwyczajne mordobicie, stawiałby czoło niebezpieczeństwu, ale perturbacje natury moralnej, niepewność, wyrzuty sumienia i obawy przed konsekwencjami popełnionych czynów, były dla niego nie do zniesienia. Musiał uciec od tego wszystkiego na inny kontynent i ta ucieczka wreszcie mu się powiodła.

Antoinette nie wpadła ani w bezdenną rozpacz, ani w dziką furję tylko dzięki temu, że pocieszyciel był pod ręką. Stanowił sobą rzadki zbieg okoliczności...

* * *

Florek niepokoił się o Justynę bardziej niż jej rodzona babka. Znał jaśnie panią i doskonale wiedział, że jest zdolna do wybryków, wobec których wpadanie do błotnistych stawów stanowi drobiazg, niegodzien wzmianki. Odjechała do tej Anglii sama, bez żywej duszy przy sobie, Bóg raczy wiedzieć co ją tam mogło spotkać! Uparł się dostarczyć jej opieki.

Już pięć lat wcześniej ściągnął do Francji swojego młodszego brata. Polska wieś nie płynęła mlekiem ł miodem do tego stopnia, żeby chłopak z wielodzietnej rodziny wzdragał się ją porzucić. Całe rodzeństwo Florka opływało wprawdzie w dostatki z racji zasług najstarszego brata, ale gruntu im przez to nie przybyło i kolejna gęba, bogacąca się gdzieś w świecie, stanowiła samą korzyść. Edukacja młodzieży, dzięki państwu Przyleskim, stała na wysokim poziomie, młodszy brat Florka szkoły ukończył i nawet języków obcych poduczył się nieco, bo wysyłany bywał do Gdańska, gdzie państwo likwidowali dawne interesy. Przenosili je do Anglii i ówże Marcinek, brat Florka, już po kilku wozach w charakterze gońca różne angielskie słowa zapamiętał. Francuskie znał niezłe, bo za przykładem brata u państwa się uczył.

Klementyna na przyjazd kolejnego wiernego sługi chętnie się zgodziła, a Marcinek nadawał się do wszystkiego i po pięciu latach prawie mógł już zastąpić jej francuskiego plenipotentą. Wyrósł przy tym na pięknego chłopaka, za którym dziewczyny ostro latały, w nim jednakże cechy narodowe trwały i rozpusta mu nie była w głowie.

Jeszcze pomocnik jubilera pętał się po trasie z Havru do Paryża, kiedy już Marcinek wysiadał z pociągu w Calais. Zatroškany Florek wysłał go do ostatniego miejsca pobytu panienki z zaleceniem podążenia za nią dalej, do Anglii, gdyby zaszła taka potrzeba. Odnalezienie Justyny w Londynie nie przedstawiało sobą wielkich trudności, bo pan Broomster, plenipotent rodziny, stanowił niejako skrzynkę kontaktową.

Zorientowany w sytuacji ogólnej nie gorzej niż Klementyna, Marcinek zaczął od wizyty u narzeczonej pomocnika jubilera, pełen nadziei, że dowie się więcej. Skoro pokojówka czekała tyle czasu, musiała tam panienka jakąś rozmowę prowadzić i w ogóle coś robić. Mogło to stanowić wskazówkę.

Jeszcze zgnębiona i zdenerwowana Antoinette ujrzała nagle w progu swego domu młodzieńca, któremu pomocnik jubilera urodą do pięt nie sięgał. Sama Antoinette zresztą też była nie od macochy, ponadto miała kolosalny wdzięk. Marcinek spojrział w ogromne piwne oczy, zasnuć mgiełką melancholii, i widok za serce go chwycił.

Trzymał się jako tako aż do trzeciej kolejnej wizyty. Do Anglii wcale nie pojechał, bo telegramy od brata zawierały treść uspokajającą, panienka dawała sobie radę i wyglądało na to, że nawet łapie męża, za to jakoś dziwnie ugruntowało się w nim przekonanie, że tu, w Calais, jest mnóstwo spraw do wyjaśnienia i nijak bez tego wyjaśnienia nie może stąd odjechać. Tajemnicza siła wmówiła w niego, a nieco później i we Florka, że tu właśnie powinien na powrót panienki czekać.

Trzecia wizyta u młodej damy zbiegła się z otrzymaniem przez nią korespondencji o tej upiornej Ameryce i Marcinek pękł. Z zapalem przystąpił do osuszania łez mniej rozpacz, a więcej gniewu, bo przecież wyraźnie mówiła, że do żadnej Ameryki nie jedzie! Wystawiono ją rufą do

wiatru i będzie musiała się utopić, a brzeg morski blisko! Nie wierzy już w nic i nikomu, a w szczególności mężczyznom...!

Jasną jest rzeczą, że takie poglądy wymagały skorygowania. Marcinek postarał się z całej siły i dzięki temu, kiedy przyszła wieść o ucieczce byłego narzeczonego, Antoinette mogła już znieść ją spokojnie.

Sakwojażyk niewiernego nadal tkwił w szufladzie. Kontakty z nowym wielbicielem nie weszły jeszcze w fazę, wymagającą wystrzałowej nocnej koszuli i peniuaru, Antoinette zatem w ogóle o nim nie pamiętała. Rysowała się przed nią interesująca przyszłość, którą należało się zająć.

Ten drugi narzeczony był jeszcze lepszy niż pierwszy i z pewnością przewyższał wszystkich kandydatów miejscowych, nie wspominając nawet przybyszów z obcych stron. Marynarz, który większą część życia spędza na morzu, rybak, ustawicznie narażony na kaprysy oceanu, uzależniony od fanaberii ryb, to było do niczego, nie podobało się jej, wołała stałego męża na lądzie. I w końcu mogła przecież opuścić Calais, mogła nawet opuścić Francję, byle tylko pozostać w Europie. Żadnych obcych kontynentów, do których trzeba płynąć po niezmierzonej wodzie! Antoinette bała się wody. Ten narzeczony do Ameryki się nie pchał, miał wysoko postawionych protektorów, w dwóch krajach nawet, tyle że też odjeżdżał, mieszkał w pewnym oddaleniu i należało go do siebie porządnie przywiązać. Chciała, żeby ją stąd zabrał po ślubie.

Chęć wyjazdu z Calais zaległa się w niej niedawno i stopniowo nabierała rumieńców, jej ojciec bowiem, mężczyzna w sile wieku, owdowiały przed czterema laty, nabierał wyraźnej ochoty na ponowny ożenek, Antoinette zaś przywykła już do panowania w domu. Znała wybrankę. Stanowczo wołała wyjść za mąż wcześniej niż ojciec ją tu wprowadzi, i zainkasować swój posag, zanim energiczna dama położy rączkę na mężowskich funduszach. Pomocnik jubilera byłby ją zabrał do Paryża, ale okazał się półgłówkiem,

jego następcą, ten piękny Marcin, mógł ją zabrać jeszcze dalej. Byle nie zwlekać zbyt długo...

Marcinek twardo czekał na pannę Justynę i grzął coraz głębiej, niespokojny trochę, jak starszy brat i pani hrabina potraktują jego zamiary matrymonialne. Samodzielności się nie bał, czymś tam własnym już dysponował, interesy różne umiał załatwiać, chciał tylko uniknąć zadrażnień uczuciowych, bo lubił spokój i przyjaźń. W korespondencji delikatnie napomynał o nadzwyczajnych zaletach byłej narzeczonej pomocnika jubilera, na co Florek nieco mniej delikatnie poprosił, żeby się nie wygłupiał. Świetliste oczy Antoinette robiły swoje i wreszcie młodzieniec dostał tak zwanego małego rozumu.

Nie wiadomo, co by z tego wynikło, gdyby nie to, że nadpłynęła Justyna, już oficjalnie zakontraktowana lordowi Blackhillowi, zaaprobowana przez całą lordowską rodzinę, przywrócona niejako elementarnej przyzwoitości. Młoda para oczekiwała jej w porcie. Jack Blackhill odprowadził narzeczoną tylko do Dover i nie pojechał z nią dalej, ponieważ absolutnie nie wypadało, żeby podróżowali razem.

Justyna była zakochana rzetelnie i wszelka miłość cieszyła się jej poparciem. Z Antoinette zdążyła się zaprzyjaźnić już w czasie pierwszej rozmowy, kiedy koła rozpacz po wariactwie pomocnika jubilera, polubiła ją, obydwójce z Marcinkiem, jej zdaniem, pasowali do siebie i razem tworzyli prześliczny obrazek. Bez chwili namysłu obiecała poparcie. Niech sobie Florek mówi, co chce, babka też, istnieją jeszcze Przylescy, którzy ich przyjmą z otwartymi ramionami, już ona to załatwi. Marcinek zatem, nim odjechał z panią, zdążył dać na zapowiedzi.

Tym sposobem wytworzyła się sytuacja, rzadko spotykana. Wszyscy byli nadzwyczajnie zadowoleni. Uszczęśliwiona Antoinette jęła szykować się do upragnionej odmiany życiowej, jej przyszła macocha promieniała

radością, że pozbędzie się uciążliwej pasierbicy, ojciec niezbyt chętnie rozstawał się z córką, ale zarazem czuł ulgę niezmierną, bo też się obawiał zadrażnień, Marcinek odjechał w stanie upojenia, a Justyna, występująca w charakterze dobrotliwej opatrznosci, czuła w głębi duszy błogość dodatkową. Istny raj! Dysonansem błysnął diament.

Przygotowując wyprawę i przeglądając swoje rzeczy, Antoinette natknęła się na zapomniany sakwojażyk. Jego właściciel przepadł niedawno, ale ślad po nim zdążył ostygnąć. Eks-narzeczona obejrzała przedmiot i zawahała się, zwróciłaby mu własność nienaruszoną, gdyby to było możliwe, ale kołatała się w niej jeszcze odrobina pretensji do niego i na żadne wysiłki nie miała ochoty. Wyrzucić było głupio. Po namyśle zdecydowała się zostawić go sobie na pamiątkę i wtedy dopiero przystąpiła do obejrzenia zawartości.

W sakwojażyku znajdował się pugilaresik, chroniący sumę stu dwudziestu franków, słoik pomady do włosów, nowiutki, wyraźnie świeżo nabyty, nie podpisane pokwitowanie odebrania bransolety, papierośnica z trzema papierosami, mała kłódeczka z kluczykiem, nadgryziony i nieco zjełczały batonik czekoladowy i coś owiniętego w używaną chustkę do nosa. Antoinette potrząsnęła zawiniątkiem z chustki i na blat stolika wypadła rozmigotana bryła.

Nie widziała tej bryły nigdy, ale słyszała o niej dosyć. Doskonale wiedziała, co to jest.

Zdrętwiała teraz na długą chwilę. Nie miała oczywiście pojęcia, że pomocnik jubilera wymyślił sobie utratę diamentu w morskiej toni, sam w to uwierzył i wmówił w Klementynę, orientowała się za to, iż kamień stanowi jakiś dowód obciążający. Przelotnie zdziwiła się, że nikt go dotychczas u niej nie szukał, po czym ogarnęła ją troska, zmartwienie i niepokój. Co, na litość boską, miała z tym fantem zrobić...?!

W zasadzie powinna może zwrócić temu komuś, do kogo należał...? Kto to był? Pomocnik jubilera twierdził, że nie świętej pamięci wicehrabia, wicehrabiego znalezisko zaskoczyło, nic o nim nie wiedział. Nie jego własność zatem. Wobec tego czyja? Ujawnić to w ogóle...? Ujawnienie byłoby równoznaczne z oskarżeniem pomocnika jubilera, zabił wicehrabiego, żeby mu zabrać klejnot, pretensje pretensjami, w gruncie rzeczy, porzucając ją i uciekając, wyświadczył jej przysługę, dostała w zamian Marcina, który wart jest wszystkich diamentów świata, nie ma powodu się mścić. Nikt tego skarbu nie szuka, nikt o niego nie pyta, dziwne, ale prawdziwe, więc chyba istotnie nikt o nim nie wie...? Jeśli nie chce pograć eks-narzeczonego i może także sobie samej narobić kłopotów, powinna chyba ukrywać go nadal. O wyrzuceniu mowy nie ma, to już byłoby kretynstwo, o zużytkowaniu również, jakieś to takie jak pies ogrodnika, sam nie zje i drugiemu nie da...

Dobłą godzinę przesiedziała przy stoliku, wpatrując się w diament, od którego ciężko było oderwać oczy. Zaczęła się do niego przywiązywać. Miło posiadać taką rzecz, nawet jeśli nie można się nią przystroić, pochwalić, pokazać komuś... Najwyżej popatrzeć od czasu do czasu. No, a w razie czego jest to jakieś zabezpieczenie, nawet gdyby się sprzedało ze stratą...

Czas do wieczora spędziła pracowicie. Szyć umiała, palce miała zręczne, wyprodukowany starannie przedmiot użytkowy robił doskonałe wrażenie i nikomu by nawet nie zaświtało, że jego wnętrze wypchane jest dość nietypowo...

Po czym samej sobie poprzysięgła zachować znalezisko w tajemnicy nawet przed mężem.

* * *

W rodzinie Kacperskich, gdzie po odjeździe dwóch starszych synów pozostało jeszcze pięcioro dzieci, wykształcone były nawet córki. Wszystkie trzy umiały pisać, czytać i rachować, a jedna grała na fortepianie, udostępnianym jej przez dobrą panią Przyleską. Słowo pisane cieszyło się wielkim szacunkiem i całą korespondencję od nieobecnych braci przechowywano pieczołowicie, szczególnie ostatnie listy Marcinka, opiewające uroki francuskiej narzeczonej, a zaraz potem żony, odczytywane głośno przez najmłodszą siostrę z wypiekami na twarzy. Ojciec i młodszy bracia byli wprawdzie zdania, że Marcinek musiał w jakieś idiocstwo popaść, bo nad głupotami się rozczulał, jaka to ta jego Antosia gospodarna, poduszczeni do szpilek pilnuje niczym oka w głowie, jakieś tam jeszcze inne wariactwa wyczynia, ale matka i siostry lekturę uważały za wręcz sensacyjną i napawały się nią z lubością wielką. Z całej siły chciały poznać egzotyczną powinowatą i zapraszały młodą parę w każdym liście gorącymi słowami.

– Głupie – mamrotał ojciec. – Gdzie wy ją tu gościć chcecie, w tej chałupie? Oni tam oba spanieli, synowa tyż wielga pani, już jom tu widzę. Nosem pokręci i w mgnienie umknie, a jeszcze nagada.

– A bobyś o nowym domu pomyślał, skoro ten się dawno wali – skarciła go żona, zważniała od bliskich kontaktów z jaśnie panią. – Toć uzbierało się trochę grosza, a co to my gorsze? Już panienska namawiała!

Córki poparły matkę z ogromną energią, nie bacząc na to, że rychło pójdą na swoje, opuszczając rodzinny dom. Żadna za skarby świata nie przyznałaby się do nadziei na zamążpójście, bo mogłyby jeszcze zauroczyć i zostać starymi pannami. Ojciec ugiął się pod presją i w ten sposób budowa nowego domu została postanowiona.

Obaj starsi synowie aprobatę wyrazili czynnie, przysyłając pieniądze na podniesienie ogólnego poziomu rodziny. Przyjechała Justyna, zobowiązana

do wizyty u rodziców nadchodzącym ślubem. Wyjść za mąż bez udziału bezpośredniego ojca i matki było nie do pomyślenia, istniała jeszcze ponadto babcia Przyleska, która chciała widzieć wnuczkę w panińskim stanie, obdarować ją, popatrzeć, czy aby na pewno szczęście sobie gotuje. Justyna, w płasach i ze śpiewem na ustach, skłonna była uszczęśliwiać cały świat, przyjechała chętnie i przy okazji wtrąciła się do tego nowego domu Kacperskich, dokładając się finansowo. Wciąż uczciwie pamiętała, że żyje tylko dzięki poświęceniu Piórka, który skakał za nią do stawu, nałykała się wtedy mułu tyle, że ciężko było o tym zapomnieć.

Dom Kacperskich, murowany i z piętrem, więcej patrzył na pałac niż na chłopską chałupę. Dwór rzetelny. Było gdzie podjąć Marcinka, choćby miał i trzy francuskie żony. Trochę jednak ta budowa potrwała i w rezultacie cudzoziemską synową rodzice poznali osobiście dopiero po czterech latach, kiedy już jeden z pozostałych w kraju dwóch synów poszedł do seminarium duchownego, a drugi uderzał w konkury do bogatej kupcówny z miasta stołecznego Warszawy. Wszystkie córki były zamężne, Marcinek z małżonką przyjechali właśnie na wesele ostatniej.

– No i patrzaj, synu – rzekł do niego ojciec smutnie i z goryczą. – Jak nas było dziesięcioro, bo i stara babka jeszcze żyła, tośmy się gniatli na jednym przypiecku, a jak teraz miejsca a miejsca, to nie ma komu po tych komnatkach chodzić. Kto tu po mnie nastanie? Wy oba na obczyźnie, Józio na księdza poszedł, a Franek do miasta się pcha. Dziewuchy na swoim i nie powiem, grzech byłby, jakbym narzekał, bo pańskie życie mają, ale co z ojcowizną? Ty też, już ci nie do ziemi, orać jeszcze umiesz, ale rączki masz białe. A twoja żona?

– Antosia ojcu się nie podoba? – zgorszył się Marcinek.

– Kto tak powiedział? Przylepna, serdeczna, urodziwa, koło ciebie chodzi, ale ona tyż nie ze wsi. Krowy nie wydoi...

– Jaśnie pani Przyleska też sama krów nie doi!

– Już ci w głowie jaśniepaństwo? Pan Przyleski ma włóki, a ty ledwo morgi. Nawet bym dokupił, bo pan Przyleski sprzedaje, jeno dla kogo?

Marcinek, obecnie wspólnik paryskiego radcy prawnego, stropił się nieco.

– Dla Florka...

– Nieżeniaty.

– No to co? Przecież nie stary. A całym Noirmont zarządza, gospodarz, jakiego ze świecą szukać! Stara hrabina nie wieczna, panna Justyna za Anglikiem, a przy hrabim Florek pewno nie zostanie. Wróci i na gospodarce osiadzie. Z drugiej znów strony będzie ojciec musiał i tak rozdzielić na wszystkie dzieci.

– Jeden spłaci resztę.

– Jeszcze musi mieć z czego.

– Florek nie ma?

– Mieć, ma. Ale mu niewiele zostanie. A ja... czy ja wiem? Coraz lepiej mi idzie, przywykłem do miejskiego życia... Nawet nie to, mieszkałbym na wsi bardzo chętnie, dlaczego nie, ale do interesów przywykłem. Lubię to załatwiać, trochę to, powiem ojcu, jak polowanie. Ubije się coś albo nie, a mnie się jakoś, odpukać, nieźle ubija...

Stary Kacperski westchnął i przyjął sugestię syna. Myśl o Piórku wydała mu się sensowna. Wykorzystując obecność i uczciwość Marcinka, oblatanego w kwestiach prawnych, napisał testament. Doskonale zorientowany w jego treści Marcinek, którego ów testament solidnie obciążał, pogodził się z wolą ojca, tyle że skonsultował z Antoinette.

Antoinette nie rozczarowała się małżeństwem z pięknym Polakiem, wręcz przeciwnie, po ślubie zapłonęła uczuciem jeszcze większym. Marcinek miał w sobie godność i dżentelmenerię, nie wiadomo skąd

wziętą, bystry był i operatywny, zarabiał coraz więcej, a przy tym świetnie nadawał się do łóżka, co było dla niej zaletą podstawową. Nie rozpustnik w dodatku, za innymi nie latał. Chcąc być go pewna, rozwinęła w sobie cechy co najmniej Marysienki Sobieskiej i wyraźnie czuła się jedyną kobietą na świecie. Usiłowała wprawdzie kryć, bodaj trochę, dziką miłość do męża, ale wychodziła z niej wszystkimi stronami, budząc przy okazji serdeczną sympatię teścia i teściowej. Pobyt na wsi bawił ją ogromnie i wcale nie rwała się do wyjazdu. Pora roku sprzyjała kontaktom damsko-męskim, czeremcha kwitła i pachniała, siano schło i również pachniało, gorzka woń zwykłych pokrzyw budziła w niej jakieś nowe doznania i razem wzięwszy, dla tego wybranego mężczyzny gotowa była na wszystko. Prawie dostała amoku na jego tle.

– Dzieci jeszcze nie mamy, ale możemy mieć – rzekł do niej mąż, odpracowawszy przedtem z wielkim zapałem obowiązki małżeńskie. – Więc nie wiem, czy nie robię głupstwa. W razie, chroń Bóg, śmierci ojca, razem z Piórkiem będę musiał spłacać wszystkich braci i siostry. Teoretycznie zostanę współwłaścicielem gospodarki, żaden luksus, a praktycznie nic mi z tego. Nie wiem, czy się na to zgadzasz, moja żono najdroższa.

Gdzieś na dnie podświadomości Antoinette zaiskrzył się nagle diament. Dużo ją obchodziły ewentualne komplikacje finansowe.

– Zrobisz, jak zechcesz, kochanie – odparła bez namysłu. – Gdybym miała nawet zostać tu z tobą na zawsze i osobiście grabić siano... No, te krowy... Nauczę się je doić! Też się zgadzam. Dom jest piękny! Będziemy przyjeżdżali na wakacje, tu jest cudownie. Pieniądze nie mają żadnego znaczenia.

Marcinek z podziwem dla siebie samego pomyślał, że wybrał żonę z rzadkim fartem, i przestał kłopotać się przyszłością. Mógł ojciec pisać

testamenty, jakie mu się żywnie podobało.

Stary Kacperski i Klementyna przeżyli jeszcze pierwszą wojnę światową, która odbiła się na nich zgoła kontrastowo. Kacperskiemu nie zrobiła żadnej różnicy, nawet konie zdołał ukryć przed branką do wojska, na kulawego parobka nikt nie reflektował, pozostał zatem przy swoim stanie posiadania, powiększonym nawet nieco dostawami dla niemieckiej armii, cudem jakimś uczciwie zapłaconymi. Klementyna wręcz przeciwnie, straciła majątek.

Dobra Przyleskich podupadły ogromnie, głównie może dlatego, że nikt się nimi nie przejmował, licząc na dochody angielskie, akcje angielskie zaś straciły na wartości. Majętności francuskie skutecznie zniweczył syn Klementyny, a może nawet nie tyle syn, ile synowa. Wnuk, obecnie już osiemnastoletni, w dewastacji mienia nie brał udziału. Oczkiem w głowie wciąż była Justyna, zabezpieczona szczęśliwie dochodami męża, tyle że też nieco obciążonymi. Tu jednak różnica na niekorzyść wypadła niewielka.

Rzecz oczywista, umierając, Klementyna zostawiła testament. Noirmont z konieczności przekazała synowi, część gotówki jednakże oraz całą zawartość biblioteki, Justynie. Przybyła na jej pogrzeb Justyna, zapłakana po babce i przygnębiona, wyjaśniła wujowi i wujence, w czym rzecz. Otóż do tej pory jeszcze nie wypełniła danej babce obietnicy, że ocali wiedzę o ziołach leczniczych, gdzieś w owej bibliotece zawartej, i testamentem babka jej o tym przypomina. Uczyni to oczywiście, ale ma nadzieję, że nie musi owych ton lektury zabierać ani do Anglii, ani do odrodzonej Polski, wpuszczą ją do biblioteki w Noirmont w każdej chwili. Dotychczas wyłapała tylko mandragorę, ale wie, że powinno być tego więcej.

Nie tylko lekkomyślny wuj, ale także wujenka, nie zgłaszali żadnych zastrzeżeń. Oczywiście, Noirmont mogła odwiedzać, ilekroć jej się podobało, nawet bez uprzedzenia, całkiem znienacka. Pomijając już

wszystko inne, jej angielska córka czuła się tam jak u siebie w domu, a nawet lepiej, i nikt nie zamierzał dziecku stawiać przeszkód.

Angielska córka Justyny tuż po zakończeniu wojny miała jedenaście lat. Jej francuski kuzyn, młody wicehrabia de Noirmont, doszedł do wieku lat dziewiętnastu. Żywa dziewczynka, spędzając lato w posiadłości jego przodków, wydała mu się nieznośna do tego stopnia, że nie był w stanie o niej zapomnieć.

Poślubił ją w siedem lat później.

* * *

Florek, zgodnie z przypuszczeniami Marcinka, po śmierci Klementyny wrócił do Polski, zdążywszy przed śmiercią ojca przejąć całkowicie gospodarkę. W pół roku później stary Kacperski umarł i należało załatwić po nim sprawy spadkowe, do czego niezbędny był także Marcinek.

Marcinek z małżonką zatem, przybywszy na pogrzeb ojca, pozostali dłużej, na co mogli sobie pozwolić bez żadnego uszczerbku. Żadnych przykrości finansowych przez wojnę nie doznali z dość niezwykłego powodu.

Otóż stary Kacperski dostał na starość istnego szmergla na tle złota. Sam pieniędzy w gotówce miał niewiele, bo co miał, to poszło na budowę i urządzenie wspaniałego domu, ale trząśł się o wszystkie dzieci, ze szczególnym uwzględnieniem dwóch najstarszych synów, obu bezdzietnych. Coś mu się gdzieś pokręciło i brak potomstwa chciał im koniecznie zastąpić majątkiem. Zmusił ich pod groźbą ojcowskiej klątwy do przejścia z papierów, akcji, banków i wszelkich innych walorów, na złoto w dowolnej postaci. Dla świętego spokoju, rozsądnie myśląc, że w końcu złoto wartości nie traci, obaj okazali posłuszeństwo, po czym, w

obliczu ogólnoeuropejskiej inflacji, docenili ojcowski rozum, czy może ojcowskie jasnowidzenie. Raczej to drugie, bo o polityce i ekonomii stary Kacperski nie miał zielonego pojęcia.

W ten sposób jednakże Florek i Marcinek wspólnymi siłami legaty rodzeństwu wypłacili bezproblemowo i pozostali jedynymi właścicielami dwudziestu morgów gruntu, hektara sadu, małego kawałka lasu i pięknego dworu z pałacowym zadęciem. Państwo Przylescy życzeń starego Kacperskiego nie musieli spełniać, złoto im do głowy nie przyszło, inflacja ich zaskoczyła i w rezultacie część majątności przepadła całkiem. Babka Justyny po mieczu umarła W czasie wojny, dziadek nie żył już od dawna, spadek po nich zszedł niemal do zera, pozostała tylko posiadłość rodziców, wciąż istniejąca właściwie tylko dzięki dawnym zasobom gdańskiej babki. Rodzice Justyny zresztą, przetrwawszy wojnę w kraju, na mienie szambelańsko–miecznikowskich przodków machnęli ręką i żyli na zwolnionych obrotach, uważając się za jednostki wiekowe.

Pod nosem mieli dwóch braci Kacperskich, a bracia Kacperscy poszli siłą rozpędu i znów zaczęli im służyć. Florek zajął się ziemią, Marcinek zaś wszelką reprezentacją prawną. Zlikwidował swoje francuskie interesy i zdecydował się pozostać w Polsce na stałe.

Antoinette była nawet z tego zadowolona. Ona też z wiekiem uległa pewnej odmianie, wysoce nieszczęśliwej. Należała do szczupłych, nerwowych kobiet, spalających się w emocjach, i rozsądek w wybuchach różnych uczuć wcale jej nie pomagał, tyle że korygował postępowanie. Udawało jej się niekiedy ukrywać rozszalałe doznania i hamować histeryczne objawy, ale kosztowało ją to dużo zdrowia. Nękało ją zaś zjawisko wewnętrzne potężne, straszliwe i destrukcyjne, mianowicie zazdrość.

Ona sama pozostała zręczna i szczupła, trochę nawet zbyt szczupła, pozostał jej ogólny wdzięk i piękne oczy, ale reszta podupała. Szczególnie twarz. Twarz zaczynała się starzeć w przerażającym tempie, skóra więdła i pokrywała się zmarszczkami, w dodatku nawalała jej wątroba, gdzieś tam pojawiały się ohydne brązowe plamy, humor i pogodę ducha diabli brali.

Cholerny Marcinek zaś z wiekiem piękniał. Nie tył wcale, nie ramolał, sił fizycznych wręcz mu przybywało, nabierał ogłady i poloru, inteligencja w nim rosła, na nic nie był chory, twarz opierała się czasowi i przekraczając czterdziestkę, był mężczyzną bardziej interesującym niż w młodości. Kobiety, ogólnie biorąc, ślepe nie były, uwodziły go na potęgę i na wszystkie strony, co małżonkę doprowadzało do eksplozji szaleństwa. Nie trawiła już kompletnie żadnych spotkań służbowych, żadnych klientek, żadnego towarzystwa wokół, każda jednostka płci żeńskiej, która bodaj spojrzała na jej męża, przekształcała się w śmiertelnego wroga. Marcinek tak znów bardzo na te baby nie leciał, może tam czasem dał się poderwać, nieszkodliwie i bez konsekwencji, Antoinette jednakże nie była w stanie opanować wyobraźni. Wśród ludzi przeżywała katusze, które na tę wątrobę doskonale jej robiły. Znalazłszy się wraz z przesadnie pięknym mężem na wsi, poniekąd na odludziu, gdzie z kobiet eleganckich istniała tylko pani Dominika, chwalić Boga dobiegająca sześćdziesiątki, doznała ulgi tak niebotycznej, że prawie jej szarość zeszała z twarzy. O wozach do stołecznego miasta, jakie niewątpliwie będzie musiał odbywać, jeszcze nie myślała i z wściekłym zapalem postanowiła zostać tu na zawsze.

I została. Dzięki czemu dwaj wierni słudzy Klementyny przenieśli się definitywnie z Noirmont do Perzanowa.

Florek nie zenił się uparcie z bardzo prostego powodu. Najzwyczajniej w świecie przez całe życie, od tego skoku do stawu, całym sercem i duszą

kochał Justynę, do czego nie przyznał się nigdy nikomu, nawet sobie. Uczucie było beznadziejne i zgoła gorszące, bo gdzie wsiowemu chłopakowi do jaśnie panienki z wielkich rodów, ale serce nie sługa. Nie żył w celibacie absolutnym, jako mężczyzna był mniej więcej normalny, coś tam sobie niekiedy wynajdywał, z góry jednak uprzedzał, iż romans jest chwilowy i tak jakby powierzchowny, a kochał damy nie będzie. Parę dam się popłakało, na ogół jednak udawało mu się załatwić sprawę bezboleśnie. Żony zaś nie chciał i cześć.

Takie były układy prawne, kiedy pan Krzysztof Przyleski nabawił się zapalenia płuc i umarł, dożywszy roku 1924. Na pogrzeb ojca przyjechała Justyna wraz z mężem, przywożąc czternastoletniego George'a Blackhilla i szesnastoletnią Karolinę Blackhill, wyrwaną z Noirmont od ciotecznego dziadka i babki. Pan Przyleski odwalił to zapalenie płuc w dziwnej porze roku, na samym początku lata i dzieci akurat miały wakacje.

Karoliny właściwie nie trzeba było wyrywać, bo przywiózł ją osobiście hrabia de Noirmont, młodszy brat Dominiki. Jego syn przyjechał wraz z nimi dobrowolnie, z przyczyn niepojętych, wciąż bowiem uważał swoją kuzynkę za najnieznośniejszą dziewczynę świata i absolutnie nie mógł z nią wytrzymać. Twierdził, że okazuje grzeczność ciotce, ponieważ bardzo lubił babkę Klementynę.

Rezultaty tego pogrzebowego zjazdu były następujące: Florek doznał czegoś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Szesnastoletnia Karolina, którą ostatnio widział pięć lat wcześniej, okazała się w jego oczach żywym obrazem matki. Odrodziła się w niej szesnastoletnia Justyna i wierne serce Florcka rozdarło się na dwie, mniej więcej równe, połowy. Dla Karoliny miał tkliwość ojcowską, wzruszył się, a zarazem żal poczuł, widząc, iż umie pływać i na ratowanie jej z toni nie ma szans, prędzej ona mogłaby kogoś ratować, po czym, sam już nie wiedząc, co by tu dla niej zrobić,

nauczył ją fechtować się na szable. Potrzebne jej to było jak dziura w moście, ale wywołało w niej zachwyt.

Antoinette wpadła w dziką rozterkę. Na widok Justyny, z którą niegdyś była wszak zaprzyjaźniona, i dzięki której w ogóle dostała swojego Marcinka, coś jej się zrobiło. W wieku trzydziestu ośmiu lat Justyna wciąż była piękną i młodą kobietą i starsza od niej zaledwie o dwa lata Antoinette śmiało mogłaby uchodzić za jej matkę. Zważywszy brak podobieństwa rodzinnego – za szkolną koleżankę jej matki, niewielka różnica. Kochając ją, równocześnie znienawidziła i drobną ulgę sprawiło jej tylko to, że Karolinę mogła znienawidzić bez kochania. Pogrzeb pana Krzysztofa Przyleskiego przeżyła tak, że samoistną żóltaczkę miała już jak w banku.

W Justynie rozszalał się nagle patriotyzm. Miała w tym swój udział zza grobu Klementyna, która godzinami opowiadała wnuczce o powstaniu styczniowym i wyczynach pradziadka, w Justynę zapadło to głęboko, upadek ojczyzstego kraju gnębił jej duszę, teraz zaś odrodzenie odbiło się fanfarami. Nareszcie miała kraj pochodzenia, ojczyznę przodków, przestała się czuć upokorzonym podrzutkiem, koniecznie chciała to jakoś wykorzystać i nie wiedziała jak. Najchętniej przeniosłaby się do Polski na zawsze, a co najmniej przeniosłaby dzieci, ale na to nie miała szans, bo najmłodszy z George'ów Blackhillów był dziedzicem majoratu. Wygłupił się z tym majoratem jego pradziadek, mąż Arabelli, i nic już na to nie można było poradzić. Pozostawała Karolina, pod tym względem swobodna, ale Justyna wyraźnie już zaczynała widzieć, że Karolina ugrzęźnie w Noirmont. Pożałowała, że nie ma więcej dzieci i uczyniła to jedno, co jej było dostępne. Pozostała u owdowiałej matki przez całe dwa miesiące i przymusiła progeniturę do nauki języka, który i tak już obydwójce w dużym stopniu znali.

Rzecz oczywista, jej patriotyczna decyzja stała się dla Antoinette źródłem ciężkiej zgryzoty...

Młody wicehrabia de Noirmont, masochistycznie trzymający się nieznośnej kuzynki, zagustował w kraju przodków po kądzieli i również spędził tu pełne dwa miesiące, co niepomierne ucieszyło jego wracającego do Francji ojca. Finansowo ten pobyt w Polsce nie umywał się do pobytów w Paryżu, w Monte Carlo, w Biarritz, w Neapolu, w Londynie i stanowił samą oszczędność, wysoce pożądaną. Zawsze lubił siostrzenicę, a teraz polubił ją jeszcze bardziej, bo też dobrze widział, skąd się bierze dziwaczna fanaberia syna.

Wyjątkowo jakoś, trzeba to sobie powiedzieć, od czasów mezaliansu z gdańską kupcówną i okropnej pomyłki Arabelli, nie było w tej rodzinie komplikacji matrymonialnych. Młode pokolenie lokowało uczucia we właściwej sferze, żadna panienska nie uciekała ze stajennym, żaden młodzieniec nie pchał się do ołtarza ze zdeklarowaną kurtyzaną i zawsze ktoś miał pieniądze. Teraz również wyglądało na to, że to wszystko ułoży się sensownie.

Jack Blackhill, uparcie kochający Justynę, cierpliwie wysłuchawszy kilku mało życzliwych uwag na tle idiotycznych pomysłów dziadka, postanowił odpracować głupotę przodka i wspomóc żonę. Nabył pół morgi gruntu na peryferiach stolicy i zlecił budowę eleganckiej willi, którą od razu ofiarował córce. W ten sposób obligował niejako Karolinę do kontaktów z ojczyzną matki i babki, a w każdym razie tak mu się wydawało.

Realizacją zlecenia lorda Blackhilla zajął się oczywiście Marcinek, dzięki któremu od początku nie było żadnych kłopotów ze spadkiem po panu Przyleskim. Rodzeństwo zmarłego dziadka, młodszy brat i jeszcze młodsza siostra, przepadło gdzieś prawie od początku pierwszej wojny

światowej i wszystko wskazywało na to, że obydwójce ugrzęźli po niewłaściwej stronie wschodniej granicy, wątpliwe było zatem, czy się jeszcze kiedykolwiek objawią wśród ludzi. Kto nie zdążył z komunistycznego raju uciec w pierwszej fazie rewolucji, ten już tam pozostał.

Trzymając się doskonale, owdowiała Dominika postanowiła zimę spędzić na Riwierze, a następne lato w Anglii, resztki majątności pozostawiając pod opieką Florka. Pieniądze po różnych bankach jeszcze się plątały, Marcinek umiał nawet wyliczyć, ile tego jest, i widać było, że na podróżę starczy. W ostatniej chwili przed opuszczeniem kraju napisała jeszcze testament i zostawiła go pod opieką dla odmiany Marcinka.

Rozjechało się to całe towarzystwo dopiero na początku września.

* * *

Dla Antoinette te dwa miesiące to było za wiele. Sensu jej wszystkie zgryzoty nie miały żadnego, ale wątroba rozumu nie posiada i reaguje po swojemu. Do państwa przyjeżdżali goście, Justyna obu braci Kacperskich traktowała jak równych sobie, zapraszała, młode i piękne panny jakoś dziwnie grawitowały ku Marcinkowi, Marcinek umiał się znaleźć, był uprzejmy, w uśmiechu błyskał zębami, a fakt, że wszystkie te baby miał w nosie, do obłądnie zazdrosnej żony nie docierał. Dominika wciąż załatwiała z nim jakieś interesy, w dodatku jeździł do Warszawy w sprawie tej willi dla Karoliny, i w rezultacie w początkach października ta samoistna żółtaczka nieszczęsną dopadła.

Szpital nie wchodził w rachubę. Antoinette raczej padłaby trupem na miejscu niż pozwoliła oderwać się od męża. Szczerze zmartwiony Marcinek pofolgował interesom, żeby siedzieć przy żonie, lekarzy

oczywiście sprowadził, zioła kazał parzyć, Florek również troszczył się o bratową, ale chorobie nie dali rady. Tuż przed Zaduszkami odbył się pogrzeb na miejscowym cmentarzu.

Po pogrzebie obaj samotni bracia, nie mając dla kogo wyprawiać stypy, sam na sam usiedli przy winie.

– Coś mi chciała powiedzieć w ostatniej chwili – rzekł smutnie Marcinek, wpatrując się w ogień na kominku. – Dziwne jakieś rzeczy i nie zdołałem jej zrozumieć. Szkoda jej.

– Męczyła się okropnie i na tamtym świecie ma lepiej – pocieszył go Florek. – Mnie też usiłowała coś powiedzieć, ale tyle z tego wiem, że chyba o pamiątki jej chodziło.

– Jakie pamiątki?

– Po niej. Żeby jakieś pamiątki po niej zostawić, nie wyrzucać. Jakieś coś jedno szczególnie. Marcinek nieco się ożywił.

– A wiesz, że mnie też tak wyszło. Nie wyrzucać rzeczy po niej. Niczego wyrzucać nie zamierzam, niech sobie leży, miejsca dosyć. I też mi się wydaje, że na jakiejś jednej rzeczy najwięcej jej zależało.

– Co to mogło być?

– Żebym ja wiedział! Nieboszczki wola, rzecz święta, w ramki bym oprawił. Wiecznie się gryzła, chociaż niepotrzebnie, niechby chociaż z tamtego świata popatrzyła, że jej życzenia spełniam.

Florek chciał pomóc bratu. Zaczął sobie z wysiłkiem przypominać te ostatnie chwile bratowej. Jej chorobę traktował poważnie, słów słuchał z uwagą, ale brzmiały mętnie i słabo, trudno było wyłuskać z nich konkretne polecenie. Z pewnością troszczyła się o coś i kłopotowała, ale co to mogło być? Niemożliwe przecież, żeby najcenniejszym przedmiotem jej życia była stara poduszczyca do igieł, a takie miał wrażenie, jakby na nią patrzyła i jej usiłowała dotknąć. No owszem, lubiła ją...

Tu wtrąciła się stara Kacperska, ich matka.

Od śmierci męża, czyli już od trzech lat, żyła tak, jakby jej wcale nie było. Cichutko, na uboczu, ostatnio pielęgnując synową, którą pokochała, a troskę o dom i gospodarstwo zostawiając doskonale wytresowanej służącej, już nie bardzo młodej, ale pełnej sił niespożytych. Prawie można było zapomnieć, że w ogóle jeszcze istnieje. Weszła teraz do paradnej komnaty, która w prawdziwym dworze byłaby salonem i w której jej synowie wspominali przy winie świeżo pochowaną nieboszczkę.

– O czymże wy gadacie? – spytała cicho, ale surowo. – Toć ona zawsze o ten igielnik się troskała. Toć sam w listach pisałeś, a chłopcy się z tego naśmiewali. Każda baba ma takie coś, co jej do serca przypadnie, i może być nawet, że do trumny chciała, żeby jej włożyć, ale już się nie włożyło, tedy przepadło. Po francusku gadała, tędym niewiele rozumiała, ale oczy w głowie jeszcze mam i nie zaślepiłam na starość. Na to ciągiem patrzyła, no, ładne, nie powiem...

Z fałd sukni, bo fartucha już nie nosiła, postanowiwszy w ostatnich latach życia upodobnić się do pani Dominiki, wyjęła i pokazała synom dużą poduszczkę do igieł i szpilek, bardzo dekoracyjną i w niezłym stanie. Czerwony aksamit obszyty był na krawędzi drobnymi muszelkami, połyskującymi masą perłową, a w wypukłym środku tkwiło ledwie kilka igieł i jedna szpilka z główką z koralu.

– Słyszę, że tu wydziwiacie, bo głucha też nie jestem. A słabo to mi się robi we środku, nie w głowie – dodała z lekkim sarkazmem. – Przyniosłam wam. To jej pamiątka była najświętsza, może po matce miała albo co. Co tam z tem zrobisz, to już nie wiem, ale grzech byłoby zmarnować i wyrzucić.

Oddała poduszczkę Marcinowi i wyszła.

Obaj bracia z wielką ulgą przyjęli sugestię matki, ale wspomnień nie poniechali. Obu korciło coś jeszcze.

– Ty pamiętasz, jak to było, osiemnaście lat temu, jak po pannę Justynę do Calais pojechałeś – zaczął w zadumie Florek.

– Jakże mam nie pamiętać, i to jeszcze w tej chwili? – przerwał mu Marcinek. – Wtedy ją przecież poznałem!

Florek wahał się przez chwilę.

– Tyle lat... Pani Klementyna już nie żyje... Czy ja wiem... Nie mówiłem ci wtedy, ale ja się czegoś domyślałem. Klejnot zaginął, zgadłem jaki. Diament to był. A ów posłaniec jubilera, ten co tam potem uciekł, do twojej Antosi pojechał. Tak teraz myślę, czy ona czasem na ten temat czegoś nie wiedziała i czy tego właśnie nie próbowała przed śmiercią powiedzieć...?

Marcinek równocześnie kiwnął głową i wzruszył ramionami.

– Otóż powiem ci, że mam wrażenie podobne. Pamiątka pamiątką, ale ona i do mnie coś takiego mówiła, z tym że nie wiem... Czy ona to w ogóle gdzieś ma, czy tylko wie, gdzie jest. Sensu w tym nie widziałem i nie widzę, bo przecież, pamiętasz to chyba, tamten głupek to zgubił, do morza mu wpadło. Pani Klementyna zaniechała poszukiwań. Wiedziałem przecież, nawet i bez ciebie, że w grę wchodzi jakiś utracony skarb, a jakaś stara awantura z diamentem, angielsko-indyjska, też mi się o uszy obija.

– No więc właśnie...

– Czeka! Zaraz! Jej po nim coś zostało, w końcu to moja żona... Taki mały sakwojażyk, złoty, widziałem go. Nie pchała mi go pod nos, chociaż nie czepiałem się wcale, nie miałem pretensji, proszę bardzo, mogła sobie pamiątkę zachować. Po tamtym chłopaku to było...

– I gdzie to jest?

– Pojęcia nie mam. Raz to widziałem i nigdy więcej.

– No to masz. Czy on to na pewno w morzu zgubił...?

Popatrzyli na siebie. Wątpliwość się załęgła. Umierająca Antoinette z całą pewnością usiłowała coś powiedzieć i gnębiło ją to wyraźnie. Gdzie się podział sakwojażyk pomocnika jubilera...?

Teraz Florek wzruszył ramionami.

– Nawet bym nie wiedział, gdzie szukać. Podejrzewam, że to zostało w Noirmont...

– Moim zdaniem, należy o tym powiedzieć pani Justynie – zawyrokował Marcinek. – Na wszelki wypadek. Nie ma pożaru, w Noirmont nic się nie dzieje i niczego się nie wyrzuca. Przy okazji.

– Przy okazji – zgodził się Florek. – Mętne to i w sens nie wierzę, ale powiedzieć trzeba...

Na tym stanęło. Poduszeczkę do igieł Marcinek umieścił na komódce w dawnym pokoju Antoinette, kurzyła się jednak, schował ją zatem do pudła po kapeluszach, razem z wachlarzem, naszyjnikiem z muszelek, rękawiczkami, szalem i paroma innymi drobiazgami. Przeniósł się do Warszawy, a w czasie jego nieobecności służąca wyniosła pudło na strych, bez wiedzy starej Kacperskiej.

* * *

Okazja do pogawędki pojawiła się w dwa lata później, kiedy świeżo poślubiona kuzynowi Karolina przyjechała zagospodarować swoją willę.

Małżonek przyjechał z nią razem, potraktowali to jak rodzaj zakończenia podróży poślubnej. Z Marcinkiem widziała się od razu, bo był jej oficjalnym plenipotentem, willę przy drodze do Ursynowa objęła w posiadanie, pomieszkała w niej tydzień, ogromnie rozbawiona sytuacją, bo służby jeszcze nie miała i własnoręcznie przyrządzała w kuchni śniadanka, w czym hrabia de Noirmont pomagał jej bardzo chętnie, acz kompletnie bez

pojęcia. Po tygodniu zrobiło się to nieco uciążliwe, bo i sprzątać trzeba było, i przepierka urosła, dała zatem spokój zajęciom gospodarskim, zaangażowała na dwa dni osobę do zrobienia porządków i pojechała do babki.

Dominice znudziły się już podróże po Europie, wróciła do domu, gdzie się czuła najlepiej. Fizycznie trzymała się doskonale, ale charakter miała rozlazły i to ją postarzało, właściwie chciała mieć już tylko pełną obsługę i święty spokój. Wizyty córki i wnuczki witała życzliwie, nie stanowiły bowiem żadnej uciążliwości w obliczu doskonale wyszkolonej służby.

Justyna tkwiła w Anglii, wciąż jeszcze nie znajdując czasu na przeszukanie biblioteki w Noirmont, dźgana od czasu do czasu wyrzutami sumienia, że do tej pory nie spełniła zalecenia Klementyny. Po tej mandragorze spróbowała jeden raz, natrafiła na jedną luźną kartkę w siedemnastowiecznej rozprawie *O ciężarze masy powietrza*, na kartce znalazła mieszaninę ziół na przeziębienie, po czym z zaciekawieniem przystąpiła do czytania rozprawy i więcej niczego nie dokonała. Powolutku zaczynała dojrzewać do zwaleni obowiązków na córkę, ostatecznie Noirmont stało się domem Karoliny, mogła tam mieszkać, ile się jej podobało, przynajmniej w lecie...

Na razie Karoliny dopadł Florek.

Wróciła z konnej przejażdżki, ponieważ deszcz zaczął kropić, mężowi pozostawiwszy upolowanie dzika. Towarzyszył mu gajowy, więc nic się nie mogło stać. Po drodze miała Florka, zatrzymała się u niego, gorąco zapraszana, konia jej obrządzono i usadzono ją przy kominku w paradnej komnacie. Stara Kacperska przywlokła się ją powitać, bo w końcu wykarmiła jej babkę i Karolinę uważała prawie za własną prawnuczkę, po czym poszła precz i więcej się nie pokazała.

Florek podjął panienkę prawdziwym, starym miodem, dwójniakiem, w domu syconym.

– Proszę jaśnie panienki – zaczął – chciałem powiedzieć, bardzo przepraszam, proszę pani hrabiny...

– Niech się Florek nie wygłupia – poprosiła Karolina. – Po imieniu Florek do mnie mówił prawie przez całe życie i dobrze pamiętam, jak mi Florek przyłożył w tę... no, w tylną część... jak wlałam pod ogiera przy stanowieniu. Bardzo dobra lekcja to była.

Florek trochę zczerwieniał.

– Ręka mi sama skoczyła – usprawiedliwił się. – Ale też o włos, a Karolinka głowy by nie miała. Młody pan hrabia to widział, wtrynął mi potem na siłę dwa złote ludwiki...

– Niemożliwe! No, ja mu to teraz wypomnę...!

– Ej, nie. Nie warto. Tu, możliwe, że jest coś ważniejszego, co z Karolinką chciałem obgadać, bo z jaśnie panią się nie da, wcale jej nie obchodzi. Z panią Justyną powinno się może, ale nie wiem, kiedy przyjedzie, a mnie nieporęcznie się wybrać. Pisałem, odpowiedziała, że tak, sama by córce przekazała, tyle że nie ma już co.

– Jak nie ma co, to co...? – spytała Karolina z powątpiewaniem.

– A właśnie nie wiem, czy nie ma. Myśmy tu obaj z bratem rozważali. Bratowa, tuż przed śmiercią, naplętała nam w głowie, a ona mogła dużo wiedzieć. Otóż był w rodzinie jeden klejnot, w tajemnicy wielkiej przechowywany, miała go nieboszczka pani Klementyna, prababka Karolinki, i podobno jeszcze za jej życia przepadł. Tak wszyscy myśleli...

– Jak przepadł? – zaciekawiała się nagle Karolina.

– Do morza wpadł – odparł Florek i po krótkim namyśle opowiedział wszystko, co wiedział o pomocniku jubilera. Karolina słuchała z rosnącym zainteresowaniem.

– A co się z nim dzieje w tej Ameryce? – spytała. – Wie ktoś coś o tym?

– Żyć, żyje. Mój brat to sprawdził, Marcin znaczy. Jakoś potrafił, po cichu, przez znajomych ludzi, marynarzy głównie, jeszcze tych z Calais. Doszła wiadomość, taka nie bardzo dokładna, że w mieście Nowy York w firmie jubilerskiej pracuje i dosyć średnio mu się powodzi. Nie wzbogacił się nagle, więc tego diamentu, bo diament to był, nie sprzedał. Przeto nie miał ze sobą. I tyle o nim. A tu moja bratowa przed śmiercią o skarbie zaczęła majaczyć, a to przecież jego narzeczona była i u niej go jaśnie pani Justyna znalazła. Tyle że i słowa jednego nie zdążyła zamienić, bo uciekł. Ale został po nim taki sakwojażyk malutki, brat go widział, bo bratowa na pamiątkę zachowała, no i tego sakwojażyka tutaj nie ma. Marcin powiada, że był żółty, ze skóry. Wszyscy siedzieliśmy czas jakiś, po ich ślubie, w Noirmont, tedy możliwe, że tam został. Bo prawdę mówiąc, po śmierci jaśnie pani Klementyny, to oni przyjechali już dobrze po mnie i nie tak, jak się jedzie na zawsze, z całym dobytkiem. Coś tam mogli zostawić. Remontu i odnawiania to w Noirmont nie było aż od ślubu jaśnie pani Klementyny, ja to wiem, bo w późniejszych czasach cały dom prowadziłem i sprawdzałem, to już sześćdziesiąt lat... Co po kim zostało, to pewno do dziś dnia leży. Dlatego o tym wszystkim mówię, może on i wleciał do morza, ten diament, ale co szkodzi sprawdzić? Był to wielki klejnot, jeden na świecie.

– Czyj? Do kogo należał? Mam na myśli, do której rodziny? Tej z Polski czy tej z Francji?

– Nawet była mowa, że on angielski, ale ja wiem, że francuski. Nie głuchy jestem, nie ślepy i może być, że nawet nie całkiem głupi. Z tego, co wiem, wynika, że do hrabiów Noirmontów należał z dawnych czasów, a jaśnie pani Klementyna od męża go dostała w chwili śmierci, ciepłą ręką.

Sama się wcześniej troskała, czy on nie cudzy, ale nie, z dawnych listów wyszło, że teraz już jej.

– Teraz go może jakaś ryba zeżarła – skorygowała Karolina. – Ale Florek ma rację, jak będę w Noirmont, to popatrzę. Chyba nawet wiem, gdzie zaglądać i szukać, znam cały dom, zawsze lubiłam się bawić w rozmaitych zakamarkach. Poza tym, mam wrażenie, że matka mnie zmusi do uporządkowania biblioteki, też tam nabruździł testament prababci, coś tam trzeba z książkami zrobić. No dobrze, mogę zrobić, lubię stare książki...

Na tym na razie stanęło, nadjechał hrabia z upolowanym dzikiem, którego gajowy włókł za koniem na saniach z gałęzi. Natychmiastowe i osobiste wędzenie szynki z dzika wygrało konkurencję z diamentem bez żadnego trudu i w Karolinie pozostał zaledwie ślad zainteresowania zaginionym skarbem. Florek natomiast doznał wielkiej ulgi, wyrzuciwszy z siebie tajemnicę.

Rzecz oczywista, tę drugą tajemnicę zachował dla siebie. O lokaju, któremu noga opsnęła się ze zrujnowanego muru w Noirmont, postanowił opowiedzieć wyłącznie księdzu przy ostatniej spowiedzi...

* * *

Pomocnik jubilera zaś rzeczywiście przedostał się do Ameryki. Pracę znalazł od razu z największą łatwością, z tym że najpierw zatrudnił się w charakterze tragarza, a dopiero nieco później wrócił do własnego zawodu, wkręcając się do jubilera. Niejeden złodziej uciekał z Europy do Ameryki z łupem w postaci cennych precjozów i prawie każdy wolał zmienić ich oblicze. Nowe oprawy, przeszlifowane kamienie i już mógł swoją zdobycz sprzedawać bez obaw. Jubiler na brak roboty nie narzekał i fachowca

przyjął chętnie, pan Trepon zaś, oddawszy się zajęciom, które znał i lubił, zaczął powoli przytomnieć.

Odetchnął po przeżyciach, uspokoił się i wróciła mu pamięć. Tak długo rozpamiętywał i wałkował swoją ostatnią wizytę u narzeczonej, że wreszcie coś mu się zaczęło majaczyć.

Miał wszak przy sobie jakiś bagaż. Zawsze pętał się po mieście z sakwojażykiem, nosząc w nim różne klejnoty, pieniądze i ważne papiery, i tak samo było tym razem, z sakwojażyka przecież wyjął bransoletę dla nieboszczyka wicehrabiego, musiał go zatem mieć, przewieszony, jak zwykle, przez ramię. I do Calais z nim przyjechał, nie zdejmował go z siebie, a sam z niego nie zeskoczył. Dopiero potem... Miał ten diament w kieszeni, chciał pokazać Antoinette, nie zdążył i później co...? Nie schował go przypadkiem w sakwojażyku...?

A co się z tym sakwojażykiem stało...?

Na kutrze rybackim go nie miał. To przypomniał sobie dokładnie, bo bez przeszkód zerwał z siebie surdut, kiedy pomagał sieć wyciągać. Potem fala z niego po raz drugi ten surdut zdarła, na nice wywróciła i dlatego tylko tyle grosza mu zostało, ile miał w ciasnej kieszonce kamizelki. Kamizelka była opięta, woda jej nie ruszyła.

A diament...?

Czy on rzeczywiście wleciał do morza? Czy nie został przypadkiem w sakwojażyku, który, w oczach mu to stawało, leżał na stoliczku u narzeczonej i uciekając nie zdążył go chwycić, nawet o nim nie pomyślał...

Im dłużej się zastanawiał, im bardziej wysiłał pamięć, tym pewniejszy się stawał, że hrabinę de Noirmont obełgał. Nie przepadł ten cholerny diament w burzliwych falach, został w Calais. Razem z sakwojażykiem.

Doszedłszy do tego wniosku, w pierwszym odruchu prawie zaczął pisać list do hrabiny, zreflektował się jednak. Przyznać się na piśmie do

diamentu, jeszcze czego, przecież natychmiast wymyślą, że wicehrabiego zabił, żeby go ukraść, a teraz go tknęły wyrzuty sumienia, bo i tak żadnej korzyści z tego nie odniósł. Udając skruchę, chce zyskać przebaczenie. Naślą tu może na niego jakich mścicieli albo policję, i na co mu te kwiaty?

I druga rzecz, a jeśli diament znalazła Antoinette i zabrała dla siebie? Wystawił dziewczynę rufą do wiatru i teraz w dodatku ma ją oskarżyć? Jeżeli zaś nie zabrała dla siebie, tylko oddała hrabinie de Noirmont, w ogóle nie musi się wygłupiać z pisaniem, hrabina lepiej od niego wie, gdzie się ten kamień znajduje. Zatem żadnych listów!

Zrezygnowawszy z korespondencji, nie poniechał jednakże wspomnień. Przecudowna, roziskrzona bryła jawiła mu się przed oczami, budząc żal, że dla niego przepadła. Skoro już przeżył tyle okropności, niechby miał co z tego. A tu nic. Szkoda. Wielka szkoda...

Gryzło go to coraz silniej, bo nawet nie miał się komu zwierzyć. Bratu może, ale brat mieszkał we Francji, niebezpiecznie pisać do Francji. Poza krajem nie miał nikogo. Chcąc nie chcąc, musiał dusić w sobie denerwującą tajemnicę.

Porósł w końcu nieco w pierze, wypchnął z pamięci Antoinette i ożenił się z córką swojego pryncypała. Żona urodziła mu córkę. Bogacił się stopniowo i nadal nie miał się komu zwierzyć, bo nie można przecież wyjawiać takich sekretów kobietom...

Kiedy wreszcie zyskał powiernika płci męskiej w postaci wnuka, diament zdążył już przeistoczyć się w legendę z zamierzchłych czasów. Nawet przypadkowe usunięcie z tego świata wicehrabiego zaczęło wyglądać jakoś inaczej, utraciło cechy zbrodni, przestało być pewne. Bo może jednak to wcale nie on potrafił ten idiotyczny słupek, tylko nieboszczyk osobiście, rzucił się przecież pierwszy...

W każdym razie wnukowi można już było o romantycznym wydarzeniu opowiedzieć...

* * *

Biblioteka w Noirmont miała wyraźnego pecha. Uzgodniwszy sprawę z matką i dowiedziawszy się, czego ma szukać w tym nawale lektury, Karolina, żywo zainteresowana ziołami, miała szczerzy zamiar spełnić życzenie prababki i raz wreszcie przejrzeć wszystko porządnie, ustawiając później z jakimś sensem, tematycznie albo chronologicznie. Równie zainteresowana była jednakże podwarszawską willą, która stanowiła jej prywatny dom. Chciała być panią własnego domu w całej pełni, w Noirmont zaś ciągle rządziła obecna hrabina de Noirmont, jej teściowa, a równocześnie cioteczna babka, osoba o charakterze niekoniecznie przyjemnym.

Niegdyś dziko rozrzutna, a zarazem chciwa, teraz, widząc postępujący upadek majątności, poniechała rozrzutności i przerzuciła się na skąpstwo, czego cioteczna wnuczka, jako dziecko, w ogóle nie dostrzegała. Dopiero poślubiwszy jej syna, zorientowała się, iż koegzystencja z teściową w żaden sposób nie wyjdzie i młoda wicehrabina de Noirmont nie będzie miała nic do gadania.

Nie zamierzała się temu poddawać, ale nie miała też ochoty na codzienną wojnę. Wołała urządzić po swojemu własne gospodarstwo w skromnej, zaledwie dziesięciopokojowej willi z ogrodem, gdzie wreszcie czuła się osobą dorosłą. Zaangażowała służbę, godną zaufania pokojówkę biorąc od babki Dominiki, z talentem znalazła kucharkę, a lokaja naraił jej Marcinek. Zwlekała z wyjazdem do Francji, ciesząc się swobodą, mąż zaś przeciwko temu nie protestował. Wicehrabia de Noirmont miał spokojne

usposobienie, w matkę się nie wdał, artystycznie potrafił nic nie robić, nie nudząc się nigdy, w posiadłości przodków spadały na niego rozmaite obowiązki, których nie kochał i też wolał oddalić się nieco od rodziców.

W ten sposób, zwłócząc, ile się dało, i zimę spędzając w paryskim domu, na dłuższy pobyt w Noirmont przybyli, kiedy Karolina była już w ciąży.

Teraz dopiero w całej krasie objawiły się cechy charakteru starej hrabiny, która już we wczesnej młodości zdołała obudzić niechęć teściowej, i Klementyna z tamtego świata mogła sobie gratulować przezorności. Skąpstwo aktualnej pani na Noirmont urosło do rozmiarów patologicznych, wydatnie wspomaganę zwyczajną głupotą.

O żadnych prawdziwych oszczędnościach nie miała najmniejszego pojęcia. We wczesnej młodości bogata z domu, dokładnie zmarnotrawiła swój posąg, wydając pieniądze bez żadnego opamiętania, niszcząc i gubiąc najcenniejsze nabytki przez niedbalstwo i bezmyślność. Zarazem chciała błyszczeć, imponować i prezentować gest, co wychodziło jej równie głupio, jak kosztownie. Zdołała w pewnym stopniu zrujnować męża, mimo iż w owych czasach kasę trzymała Klementyna.

Po śmierci teściowej nastąpił w niej przełom. Jak niegdyś idiotycznie wyrzucała pieniądze, tak teraz równie idiotycznie zaczęła je oszczędzać. Kazała służbie wkręcać słabe żarówki w żyrandolach, męża zmuszała do jadania na wyszczerbionej porcelanie, zaniechała przyjmowania gości, usiłowała głodzić krowy i świnie, żałowała ziarna dla kur, zabraniała wycierać kurze, bo od tego meble się niszczą, i unikała mycia, żeby nie marnować mydła. Mięso i ryby kazała przechowywać tak długo, aż się rzetelnie zaśmiardły, owoców zaś nie pozwalała tknąć, póki całkiem nie zgniły. Ograniczała ilość służby, dzięki czemu dom z roku na rok popadał w coraz większe zaniedbanie i gdzieniegdzie zaczynał się sypać, co znakomicie podwyższało koszty ewentualnych remontów. Hrabia-

małżonek nie protestował, bo od dawna przywykł do swego miejsca pod pantoflem.

Karolina, w odniesieniu do biblioteki, miała jak najlepsze chęci i mnóstwo zapału, ale na samym wstępie natknęła się na trudności. Książki stanowiły ciężar potężny, a dla niej rola tragarza nie była w owym momencie najstosowniejsza. W obliczu rażącego braku służby do pomocy nie miała nikogo, próbowała posłużyć się mężem, wicehrabia jednakże w uprawianiu lenistwa osiągnął mistrzostwo, migał się artystycznie i wszystkie siły poświęcił, żeby zniechęcić żonę do tej całej roboty. Kochać ją kochał, ale pracowitość wstępowała w niego wyłącznie w jednej dziedzinie, natury czysto osobistej, i tu, rzeczywiście, zapął z niego tryskał. Poza tym nigdzie.

W rezultacie w ciągu całego pobytu Karolina zdołała uporządkować dwie półki lektur całkowicie współczesnych, te książki bowiem były lekkie, możliwe dla niej do udźwignięcia. Na tym się skończyło, bo zaraz potem pokłóciła się z teściową wyjątkowo porządnie.

Temat kłótni dla hrabiowskiej rodziny był zdecydowanie nietypowy. Rzecz poszła o pożywienie.

Karolina w ciąży miała apetyt zgoła szaleńczy. Nie jadła, żarła ze łzami szczęścia w oczach, nie tyjąc przy tym. Gdzieś się to w niej podziewało niezauważalnie, także dla niej samej, w godzinę po posiłku robiła się tak głodna, jakby od tygodnia nie miała nic w ustach. Pomysły jej się przy tym przytrafiały straszliwe, w kwietniu domagała się winogron, chodził za nią czerwony kawior i polski barszcz. Na tle pasztetu z truflami i zwykłego śledzia prosto z beczki robiła się półprzytomna, normalnie pogodna, wesoła, żywa i energiczna, gotowa była teraz płakać z głodu. Rozmaite sery śmierdziały w całym zamku, bo Karolina musiała mieć pożywienie pod ręką, nie mogła na nie czekać, nie była w stanie się opanować. Pierogami z

kapustą zdeorganizowała całe życie kuchenne, bo nikt nie umiał ich dobrze zrobić, przez trzy dni szalały po niej wyłącznie jajka faszerowane i serca z karczochów. Ostryg czepiała się pazurami regularnie dwa razy na tydzień.

Nie były to koszty, które zubożyłyby rodzinę nieodwracalnie, pomijając już fakt, że obłądnie żerta dama wniosła wspaniały posag, ale patologicznie skąpa teściowa nie mogła tego znieść i przyszła chwila, kiedy befsztyk po angielsku nieomal wyrwała synowej z ust. Dlaczego akurat ten befsztyk ją dobił, a nie na przykład kawior czy łosoś w śmietanie, nie wiadomo, być może stanowił ostatnią kroplę. Karolina dostała szału, stara hrabina też i zaraz nazajutrz młoda para wyjechała do Polski. Co wicehrabia przeżył w podróży, karmiąc żonę, ludzkie słowo nie opisze, w każdym razie był zdania, że do samej śmierci tego nie zapomni. Tyle miał jeszcze przytomności umysłu, żeby do warszawskiej służby pchnąć depeszę z nakazem przygotowania wystawnego przyjęcia na siedem osób, co pozwoliło mu uniknąć strasznych scen w domu.

Z tej to przedziwnej przyczyny córka Karoliny, Ludwika, urodziła się w Warszawie i automatycznie zyskała polskie obywatelstwo, a biblioteka w Noirmont znów poszła w zapomnienie.

Śmiertelna obraza złagodniała nieco dopiero po kilku latach. Między innymi pojawił się problem szkoły dla dziecka, Ludwika od urodzenia była dwujęzyczna, Karolina rozsądnie chciała tę dwujęzyczność zachować, dokładając dziecku jeszcze trzeci język, angielski, i nie bardzo było wiadomo, jak tę całą naukę rozwikłać. Wyjątkowo zupełnie teściowa i synowa były tu zgodne w opiniach i Karolina znów zaczęła bywać w Noirmont.

Tamże, po dość długiej nieobecności, przybyła Justyna.

Nigdy nie żywiła zbyt ciepłych uczuć do aktualnej hrabiny de Noirmont, obdarzającej ją zresztą pełną wzajemnością, teraz zaś antypatia bardzo się wzmogła, Karolina bowiem nie omieszkała barwnie przedstawić matce perypetii spożywczych, które na kilka lat wypędziły ją z zamku. Chichotała co prawda, mocno nimi obecnie rozśmieszona, ale dla Justyny oznaczały one znęcanie się nad ukochaną córką, aczkolwiek komizm idiotycznej sytuacji również umiała docenić. Hrabina de Noirmont była dla niej postacią ogólnie wstrętną i długo u niej gościć nie miała zamiaru.

Póki jednakże była, razem z Karoliną ruszyła na podbój upiornej biblioteki.

W pierwszej kolejności wspólnym wysiłkiem odwały ów narożnik, od którego Justyna zaczęła przed laty, przeglądając dwie szafy. Trwało to dość długo, bo poszukiwane treści pojawiały się licznie. Kilka dzieł traktowało ściśle o przyrodzie, na ich marginesach widniały liczne notatki, trudne do odczytania, Justyna znalazła przepis, wedle którego babka leczyła niegdyś jej wietrzną ospę, wzruszyła się niezmiernie i zdecydowała, że wszystko to należy porządnie przepisać od razu. Karolina przystała na to chętnie, bo to ona skakała po drabinkach i zdejmowała ciężkie tomiska, rąk i nóg nie czuła, spokojną pracę pisarską przy stole powitała zatem jako odpoczynek. Justyna jej pomagała, odszyfrowując i dyktując nieczytelne gryzmoły.

Zaraz potem natrafiły na trzy ogromne księgi, będące prawdziwymi zielnikami. Na każdej stronie zasuszone kwiaty, liście, owocki i nawet całe gałązki zachowały się zdumiewająco dobrze, czymś tajemniczym przyklepione, opisane częściowo pięknym pismem Klementyny, a częściowo bazgrołami, znacznie starszymi. Stały nad nimi bezradnie, nie wiedząc, co z tym fantem zrobić i na czym powinno polegać porządkowanie, w końcu zdecydowały się wykonać zwyczajny spis rzeczy. Zajęło im to

wszystko przeszło trzy tygodnie, a obejrzały wszak zaledwie dwie szafy. Przegląd biblioteki zapowiadał się na całe lata.

– Prababcia nie miała litości – orzekła Karolina z goryczą. – Może Ludwika dojdzie z tym do końca, albo jej dzieci. Ja się nie czuję na siłach, szczególnie że z moją teściową ciężko wytrzymać. Dla Ludwiki siedzę we Francji, ale chyba ucieknę do Paryża, żeby trochę odetchnąć.

– Obecnie nastała moda na szczupłe kobiety – pocieszyła córkę Justyna. – Na wikcie wujenki z pewnością nie utyjemy, ani ty, ani ja. A...! Czekaj! Przypominam sobie... Był tu jeszcze taki jeden przepis, napój ziołowy, specjalny, na odchudzanie. Plątał się kawałkami, babcia znała go na pamięć, a stosowano go dla osób zbyt grubych, które kochały jeść. Kobiety podstępnie poiły tym swoich mężczyzn.

Karolinę przepis zainteresował, chociaż nie było obecnie grubych mężczyzn w rodzinie.

– Wprawdzie straciłam już dawno ten potworny apetyt, który mnie opętał przed urodzeniem Ludwiki, ale nigdy nie wiadomo. Warto znaleźć tę bezcenną receptę.

– Pewnie, że warto, ale nie wiem, czy damy radę...

Obie przeważnie przebywały w bibliotece nie tylko dla pracy, ale też i z tej przyczyny, że hrabina de Noirmont do tego pomieszczenia w ogóle nie wchodziła. Teraz dopiero poczuła się urażona testamentem Klementyny, która bibliotekę przeznaczyła wnuczce, urazę demonstrowała na każdym kroku i szerokim łukiem omijała drzwi zapowietrzanej sali. Były tam przed nią bezpieczne.

Z ciężkim westchnieniem Justyna rozejrzała się po zapchanych książkami ścianach. Pomyślała o znaleziskach dodatkowych, na które już się kiedyś natknęła.

– Zioła ziołami – rzekła w zadumie. – Owszem, przysięgłam babci uczciwie i tej przysięgi chciałabym dotrzymać, szczególnie że te przepisy zawsze były bardzo użyteczne, ale tu może być więcej ciekawych rzeczy. Sama znalazłam kiedyś list, który wyjaśniał tajemnicę rodzinną...

Zawahała się. Dotychczas jeszcze nie rozmawiała z córką o diamencie, nie było okazji. Zastanowiła się, czy należy wyjawić wszystko.

– Jaką tajemnicę? – zaciekawiła się Karolina. – Czy ma to może coś wspólnego z opowiadaniem Piórka?

– A co Florek mówił? Nic nie wiem.

Karolina, która w obliczu rozmaitych własnych przeżyć trochę zapomniała o historii z Antosiem Marcina i zaginionym skarbem, teraz dopiero powtórzyła to matce. Justyna słuchała z zainteresowaniem.

– Coś w tym może być – przyznała. – Tam w Calais rozgrywały się dramaty, pamiętam doskonale, tego wielkiego bałwana widziałam zaledwie przez sekundę, ale poznałam go. Płatał się u naszego jubilera, więc natknęłam się na niego kilka razy. Uciekł, owszem. I rzeczywiście, tak mi się wydaje, że złoty przedmiot ze skóry leżał na stoliku, a może na szafce, taki sepet... Siedziałam tam potem bardzo długo i rozmawiałam z Antoinette...

– Była chuda i okropnie nerwowa – przypomniała sobie Karolina.

– Była wściekle zazdrosna o Marcina, chociaż, o ile wiem, nie dawał jej żadnych powodów. Och, muszę przyznać, że stanowiła wręcz studium. Widziałam jej wyraz twarzy i wyraz oczu, kiedy panna Barska umizgała się do pięknego plenipotenty...

Urwała nagle, nieco zmieszana, i łypnęła okiem na córkę.

– Mamo, ja już jestem dorosła – przypomniała rozweselona Karolina. – Pannę Barską znałam, na umizganie nie zwróciłam uwagi, ale zdaje się, że

miałam wtedy szesnaście lat i zajęta byłam sobą. Poważnie myślisz, że ta nieszczęsna Antoinette każdy taki wygłup ciężko przeżywała...?

Ze szczerą przyjemnością dwie damy wdały się w plotki, co trochę potrwało, po czym przypomniały sobie, o czym właściwie zaczęły rozmawiać, i zajęły się żółtym sakwojażykiem.

Nie im pomocnik jubilera czynił zwierzenia, tylko Klementynie, ani Justyna, ani Karolina, nie miały powodu wierzyć w prawdziwość jego słów. Obie zgodnie doszły do wniosku, że mógł zełgać i wcale diamentu w morzu nie gubił. Może i nie zabrał go do Ameryki, może zostawił we Francji, w każdym razie usiłowania Antoinette, żeby powiedzieć coś przed śmiercią, stwarzają pewne nadzieje. Sakwojażyk powinno się znaleźć, chociażby na wszelki wypadek.

– Zaczynamy od razu? – spytała żywo Karolina. Justyna potrząsnęła głową.

– Nie czuję się na siłach siedzieć tu dłużej. Między nami mówiąc, na wujenkę patrzeć nie mogę i wcale ci się nie dziwię, że chcesz odetchnąć w Paryżu. Poza tym, muszę wracać do domu, bo twój brat zbytnio się wyemancypował i ciągnie do niewłaściwego towarzystwa.

– Przecież jest dorosły?! – zdumiała się Karolina.

– No to co? Ale głupi. Już nas nie stać na jego dzikie wybryki, wolę być w pobliżu. Trudno, zostawię cię tutaj samą i zrób, ile zdołasz. Szukaj tego idiotycznego sakwojażyka, bo kto wie czy Florek nie miał racji...

Karolina zatem, po odjeździe matki, po całym zamku jęła szukać żółtego przedmiotu ze skóry. Czyniła to z przerwami, niekiedy dość długimi, z jednej strony bowiem naprawdę musiała odzyskiwać równowagę po teściowej, z drugiej zaś wciąż próbowała odwalać obowiązki w bibliotece. I jedno, i drugie szło jej raczej ciężko.

Biblioteka czynnego oporu wprawdzie nie stawiała, ale kolejna, najbliższa i najniższa, półka zaprezentowała sobą obraz nędzy i rozpacz, bo w jakimś tam czasie, przed laty, zainteresowały się nią myszy. Już tych myszy nie było ani śladu, Karolina zastanowiła się nawet, co też za klęska musiała je spotkać, skoro tak znikły, może Noirmont hodowało wówczas wyjątkowo zdolne koty, pamiątka po nich jednakże została. W rok później jeszcze Karolina miała przed sobą ratowanie, układanie i podklejanie przeszło połowy dzieł, z których jedno, na złość chyba, całe składało się wyłącznie z przepisów rozmaitych rodzajów.

Czynną przeszkodę natomiast stanowiła teściowa. Z roku na rok popadając w coraz potężniejszą paranoję i widząc, że Karolina szuka czegoś po całej budowli, perfidnie i podstępnie ją stwarzała trudności. Zaczęła od zamykania na klucz wszystkiego, co miało jakiegokolwiek zamki, pokoi, korytarzy, szaf, biurka i sekretarzyków. Puste, od wieków nie używane walizki i kufry również zostały zamknięte. Ni z tego, ni z owego kazała nielicznej służbie przenosić rozmaite meble z jednego miejsca na drugie, doszło do tego, że własnego męża zamknęła w łazience, po czym natychmiast zgubiła klucz. Akcja wydobywania hrabiego z kibla ogromnie podniosła na duchu służbę, pozbawioną wszelkich rozrywek.

Karolinie w tym szaleństwie ręce opadały. Zabrakło jej cierpliwości do tej okropnej baby, która nigdy mądra nie była, a na starość zgłupiała do reszty. Ani teść, ani mąż, nie służyli pomocą, teść bał się żony, a mąż na wszystko miał tylko jedną receptę, mianowicie: „Ależ, mój skarbie, po cóż mamy tu siedzieć, jedźmy do Paryża...”.

Wreszcie, na szczęście, straszna hrabina umarła. Przyczyną śmiertelnego zejścia było jej własne, patologiczne skąpstwo. Dla oszczędności nie pozwoliła napalić w kominkach, chociaż mróz chwycił, jak na Francję, wyjątkowy, zaziębiła się i dorobiła zapalenia płuc. Nikt inny nie zapadł na

żadne dolegliwości, poza potężnym katarem, uznano to zatem za objaw kary boskiej.

Karolina wreszcie zyskała swobodę, nie na długo jednakże...

Ledwo nowej pani udało się zrobić w Noirmont trochę porządku, odczyścić nieco dom, poodnajdywać ukrywane i zagubione klucze i uzupełnić braki personelu służebnego, przyszła wiadomość o ciężkiej chorobie Dominiki. Rzecz jasna, z miejsca Karolina zostawiła wszystko i wyruszyła do Polski czuwać przy łożu babki w zastępstwie nieobecnej matki, Justyna bowiem znajdowała się właśnie w Japonii, towarzysząc mężowi w pościgu za synem.

Młodszy brat Karoliny, kolejny George i przyszły lord Blackhill, młodzieniec o usposobieniu wysoce rozrywkowym, uwielbiał podróże, a gdziekolwiek się znalazł, natychmiast sam sobie przyczyniał idiotycznych kłopotów. Nie po raz pierwszy rodzice udawali się na koniec świata, żeby wygrzebać potomka z kolejnej głupoty, jaką zdołał popełnić, na szczęście jednak obydwójce również lubili podróże i w cztery oczy chwalili sobie nawet te wymuszone okazje oglądania rozmaitych obcych stron. Tyle że wypadało to dość kosztownie pod każdym względem.

Zanim Justyna wróciła, Dominika zdążyła umrzeć i córka przyjechała wprost na pogrzeb matki. Obecna, oczywiście, była cała rodzina.

Dla córki Karoliny, Ludwiki, uczącej się w Sacre Coeur, zaczęły się właśnie wakacje, po pogrzebie prababki zatem została już w Polsce, teoretycznie pod opieką Florka, a praktycznie na pełnej swobodzie.

Skończyła właśnie jedenaście lat i była normalnym, żywym dzieckiem, pełnym różnych cech rodzinnych, które nie zdążyły się w niej jeszcze ugruntować. Od urodzenia przyzwyczajona była do różnaitości, równie dobrze znała europejskie stolice, jak głuchą wieś, a jeździła już wszystkim, poczynając od starej krypy na pych, a kończąc na aeroplanie. Zawsze

jednak ktoś jej pilnował, to matka, to babka, to guwernantka, to lokaj, teraz po raz pierwszy mogła robić, co chciała, i sama nie była pewna, czy jej się to podoba, czy też przeciwnie, powinna czuć się zaniedbana i opuszczona. Grymasiła średnio, przechylając się w głębi duszy na stronę upodobania do wolności.

Rok 1939 był w ogóle potwornie kłopotliwy dla całej rodziny. Brat Karoliny nie poprzestał na wygłupach z Japonią, dokąd udał się honorowo, w wyniku przegranej zakładki. Już wcześniej, krótko przed wyjazdem, zdołał wprowadzić dodatkowe komplikacje, uwodząc młodą damę z przyzwoitej rodziny, właśnie wyszło na jaw, iż bardzo skutecznie, i teraz, bez względu na chęci, musiał się z nią ożenić. Rozpacзлиwa korespondencja na ten temat dopadła go nad grobem babki, bo oczywiście rodzice przywlekli go z tej Japonii wprost na pogrzeb.

Ukryć wydarzenia już nijak nie zdołał, cała angielska część rodziny zatem prosto ze stypy musiała podążyć w wielkim pośpiechu do Londynu, gdzie należało załagodzić sprawę z rozszlochaną panią i jej rozwścieczonym tatusiem, który, mimo furii, miał jednak dość rozumu, żeby przedkładać ślub nad pojedynek.

Ekspresowe małżeństwo George'a, samo w sobie, nie stanowiło zresztą żadnego nieszczęścia, czas już był najwyższy, żeby się ten okropny chłopak ożenił i utemperował, tyle że panią z dobrej rodziny nie miała grosza posagu. Zatem kolejna strata materialna, bez nadziei zysku...

Karolina tkwiła w Przylesiu dla załatwienia rozmaitych spraw spadkowych. Po Dominice zostało niewiele, nadgryziony zębem czasu pałacyk i mocno okrojona ziemia, która tyle dawała dochodu, ile z niej Florek wydusił. No, biżuteria, oczywiście, tego było dużo, ale całość swoich precjozów Dominika w ostatniej chwili życia przeznaczyła

prawnuczce i miało leżeć, aż Ludwika skończy szesnaście lat. Nie zostało tylko ustalone, gdzie powinno leżeć.

W momencie kiedy przysłała z kolei wiadomość o ciężkim stanie hrabiego de Noirmont, który też wybierał się na lepszy świat, primo nastął już sierpień, a secundo Ludwika ze świeżo złamaną nogą, obficie udekorowana gipsem, ugrzęzła u Florka. Nie było mowy, żeby ją stamtąd zabierać. Opiekę jednakże miała doskonałą, bo jak wiadomo, nieszczęście jednego drugiemu na dobre wychodzi.

Aczkolwiek siostry Florka powychodziły za mąż całkiem korzystnie, to jednak późniejsze ich losy potoczyły się rozmaicie i jedną z siostrzenic, niejaką Andzię, już kilka lat wcześniej wuj był zmuszony sprowadzić do siebie spod Częstochowy. Miała tam kłopot natury często spotykanej i lepiej było usunąć ją z domu, Piórkowi zaś gospodyni bardzo się przydała. Kłopot w wieku lat czterech i znakomitym stanie biegał po podwórzu, a siostrzenicę wuj bez trudu zaraził czułością i miłością do wszystkich kolejnych jaśnie pańienek. Teraz na tapetę weszła Ludwika, która z miejsca stała się oczkiem w głowie.

Karolina zatem pojechała do umierającego teścia mniej więcej spokojnie.

W dziesięć dni później wybuchła druga wojna światowa.

* * *

Nikt w tej całej rodzinie nie interesował się zbyt polityką i nikomu ta upiorna wojna nie przyszła na myśl, stanowiła okropne zaskoczenie dla wszystkich.

Karolina, jadąc pośpiesznie do Francji, zdążyła po drodze zawadzić o własny dom pod Warszawą i umieścić tam chwilowo legat córki, bizuterię

Dominiki. Zamierzała poprosić Marcinka o zabezpieczenie tego w sejfie bankowym. Zabrakło jej czasu, żeby się z nim spotkać osobiście, chociaż Marcinek mieszkał i załatwiał różne sprawy w Warszawie, napisała zatem i wysłała list do niego. Droga korespondencyjna okazała się czystym błogosławieństwem, Marcinek bowiem nie zdążył spełnić polecenia i dzięki temu Ludwika wraz z całym otoczeniem nie umarła z głodu.

Całe starsze pokolenie zeszło ze świata w ciągu jednego roku. Hrabia de Noirmont umarł pod koniec września i Justyna była zmuszona przyjechać z Anglii na pogrzeb wuja, bo Karolina nie nadawała się do życia. Półprzytomna z niepokoju o pozostawioną na terenie działań wojennych jedynaczkę, przeżywała stres za stresem i prezentowała szaloną skłonność do siedzenia w kącie bez ruchu, z zaciśniętymi zębami i pięściami. Filip, jej mąż, ojciec Ludwiki i nowy hrabia, usiłował kryć niepokój i zajmować się wszystkim bez jej udziału, ale szło mu to jak z kamienia, bo odwykł od jakiegokolwiek użytecznej pracy. Justyna trzęsa się o wnuczkę podobnie jak jej rodzice i w rezultacie jedynym członkiem rodziny, który wprowadził odrobinę ładu, był mąż Justyny, lord Blackhill. Niemniej jednak pogrzeb hrabiego de Noirmont, potraktowany jakby trochę po macoszemu, wywołał lekkie zgorszenie uczestników.

Zajęcie Polski i chwilowa przerwa w działaniach wojennych przyniosły rodzinie trochę prywatnej ulgi, udało się bowiem wymienić listy. Okazało się, że Ludwika, Florek i Andzia żyją, Ludwice gips z nogi już dawno zdjęto, nie pozostała kulawa, przeciwnie, wróciła do zdrowia i razem z Andzią przeniosła się ze wsi pod Ursynów. Bardzo na to nalegał Marcinek, jeszcze za życia, bo potem, niestety, umarł. Od września był bardzo chory i umarł u Florka, ale przedtem zdążył wyrzec nacisk, twierdząc stanowczo, iż Ludwika powinna mieszkać w domu matki.

List został zrozumiany właściwie pod każdym względem i Karolina doznała ukojenia olbrzymiego. W mgnieniu oka odzyskała siły i pojechała nawet do Anglii na chrzciny bratanka, po czym już nie zdołała wrócić, ponieważ druga wojna światowa rozkwitła na nowo.

Całą resztę tej wojny spędziła w Anglii wśród obaw i udreń. Filip, jej mąż, został we Francji i rychło wdał się w Ruch Oporu, ten rodzaj działań bowiem nie kojarzył mu się z pracą. Jedyna córka, dwunastoletnie dziecko, tkwiła w maltretowanej wszechstronnie Polsce. Jedyny brat radośnie poszedł walczyć na froncie jako pilot myśliwca, pozostawiając niedawno poślubioną żonę i świeżo urodzonego potomka pod opieką starszego pokolenia. Z tego frontu już nie wrócił, padł na polu chwały. Jedynym dziedzicem Blackhillów, tak nazwiska, jak i resztek wciąż jeszcze, mimo wszystko, niezłej majątności, pozostało zatem niemowlę płci męskiej, następny George. Gdyby, nie daj Boże, coś mu się stało, spadkobierców majoratu trzeba by szukać u pnia podstawowego, potomków lorda Tremayne'a. Na szczęście jednak niemowlę chowało się zdrowo, nie stwarzając problemów, była to kropla pociechy w całym morzu zmartwień.

Justyna, sama znękana, usiłowała pocieszać córkę i synową, coraz częściej napomykając ponuro, że wszystkie klęski rodzinne są karą boską za niedotrzymanie przez nią przysięgi, złożonej babce. Biblioteka w Noirmont do dziś dnia leży odłogiem, jeśli zostanie zdewastowana i rozdrapana, upadek będzie nieodwracalny.

Karolina, prosząc uprzejmie i rozpaczliwie, żeby mama przestała krakać, zgłupiała z tego nieco i sama zaczęła wierzyć w klątwę. Doszło wreszcie do tego, że cała druga wojna światowa, jak dla niej, zawarła w sobie trzy elementy, które stanowiły warunek przyszłej egzystencji i koniecznie musiały przetrwać: jej męża, córkę i piekielną bibliotekę w Noirmont. Reszta przestała ją interesować.

* * *

Jedenastoletnia Ludwika, dziecko dotychczas beztroskie i głupie, acz niewątpliwie inteligentne, nagle zrobiła się nad wiek dorosła, tak jak niegdyś jej praprababka Klementyna. Z przekazanej przez Marcinka korespondencji dowiedziała się o miejscu ukrycia biżuterii Dominiki. Dochodów nie miała żadnych, poza tym, co zdołał wyprodukować i ukryć przed okupantem starzejący się Florek, spadek po prababce zatem stał się jej jedynym źródłem utrzymania. W obliczu wojny do ukończenia szesnastego roku życia nie mogła czekać, naruszyła go wcześniej. Sprzedawanych po kawałku precjozów wystarczyło na całe pięć lat i nawet jeszcze dosyć dużo zostało.

Nie korzystała z tego dobrodziejstwa samotnie. Sąsiedzi Marcinka, z ulicy Puławskiej przy samym placu Unii, stracili dach nad głową w tej samej chwili, kiedy Marcinek został ranny. Zawieźli go do Florka, po czym, nie mając się gdzie podziąć, przyjęli zaproszenie do ursynowskiej willi. Nie żerowali zbyt na Ludwice, robili, co mogli. Ojciec rodziny zatrudnił się w ursynowskim gospodarstwie rolniczym, czternastoletni syn kradł węgiel z wagonów kolejowych i rozprowadzał żółwie, a matka robiła swetry na drutach i przerabiała ludziom starą odzież. Zaprzyjaźnili się na amen. Pięcioletnie dziecko Andzi, Jędrus, mimo młodego wieku, z talentem hodowało króliki.

Nieco późniejsze, a z biegiem czasu coraz liczniejsze, pobyty w tym azylu chłopców z lasu oraz skład broni pod posadzką kwiatowego tarasu, umknęły uwadze okupanta, Niemców mylił wiek właścicielki, niedorośla dziewczyna, w dodatku z pochodzenia francuska hrabianka, gdzie jej było do polskiej konspiracji! Oddalenie od miasta zniechęcało niemieckich

dostojników do zagarnięcia willi na własne potrzeby i jakoś uchowało się wszystko.

Komunikację z miastem ułatwiały rowery, z których korzystali wszyscy mieszkańcy willi, a także ursynowska bryczka, służąca ich potrzebom nie całkiem legalnie. Wzorcowym obiektem rolniczym zarządzali Niemcy i na ich konto dużo można było wykręcić.

Florek dożył końca wojny bez większych przeszkód. W wieku lat siedemdziesięciu dwóch trzymał się znakomicie i filozoficznym, acz nieco posepnym okiem patrzył na parcelację dóbr państwa Przyleskich, sam niczym nie zagrożony, bo do pięćdziesięciu hektarów było mu daleko. Nie zgłupiał na starość, połapał się w trudnościach ustrojowych i w kwestii własnej ziemi podjął decyzję.

Uczynił mianowicie darowiznę na rzecz siostrzeńca. Jędrus Andzi kończył wprawdzie dopiero lat jedenaście, ale Florek miał nadzieję jeszcze trochę pożyć i doczekać chwili jego pełnoletności. Wyglądało na to, że chłopak lubi wieś i woli ją od miasta, a co do szkoły, to siedem klas mu starczy. I tak już wiedzę posiadał olbrzymią, bo z jednej strony ciekawiło go wzorcowe ursynowskie gospodarstwo, a z drugiej chował się razem z Ludwiką, wśród jej książek i pod okiem nauczycielki, krewnej owych sąsiadów Marcinka, również pozbawionej własnego domu. Do szkoły dla świętego spokoju mógł jeszcze pochodzić, od późnej wiosny jednakże aż do wczesnej jesieni Florek zabierał go do siebie i przyuczał jak należy. Andzia nie protestowała, widząc w tym przyszłość dla syna, i chętnie zatwierdzała warunki dodatkowe.

Warunkiem dodatkowym zaś, wyjawionym i postawionym przez Florca prywatnie, był udział w darowiźnie Ludwiki. Miała prawo bywać, mieszkać, korzystać i do niej właściwie zawartość domu należała, bo pełno tam było pamiątek po przodkach. Jedne wyniesione zostały i uratowane z

dworu pani Przyleskiej, polskiej prababki Ludwika, drugie zaś przybyły z Noirmont, siedziby prababek francuskich. Zarówno Andzi, jak i Jędrusiowi kazał uroczyście przysiąc, że temu zastrzeżeniu wiary dochowają, a gdyby coś spaskudzili, Pan Bóg ich skarzę. Zarówno Andzia, sama zakochana w panience, jak i dziko przejęty uroczystością Jędrus, przysięgę złożyli uczciwie.

Karolina dopadła córki dopiero na jesieni, narażając się nowym władzom, które widziały w niej wyłącznie potomkinię przedwojennych dziedziców i z przyjemnością robiły jej na przekór. Nie zdołała zabrać ze sobą do Francji dziecka z polską metryką i polskim obywatelstwem, a ucieczki przez zieloną granicę Ludwika odmówiła ze zdumiewającą stanowczością. Może i działał w niej rozbudzony przez okupację patriotyzm, ale główna przyczyna oporu miała charakter uczuciowy, co matka nie od razu wykryła.

Otóż z jednej strony Ludwika żywiła do matki głęboką, nieświadomą, irracjonalną urazę. Całą wojnę rodzice przetrwali bezpiecznie i w luksusach, ją zaś pozostawiono na pastwę losu. Na głowę leciały jej bomby, zagrażały jej łapanki, przy każdej świni, przywożonej od Florka, narażona była na karę śmierci, przeżyła prawie sześć koszmarnych lat. Wydorosła przez ten czas, można powiedzieć, podwójnie, nauczyła się życia, pokochała znękany kraj ojczysty, przywykła do samodzielności absolutnej, a teraz chcą ją nagle wychowywać, rządzić nią, niewątpliwie dla własnej przyjemności. O tak, teraz łatwo. A chała. Tu nastaje równość i sprawiedliwość, a oni niech tam sobie gniją w kapitalizmie. Nie ułatwili jej świeżo minionej egzystencji i ona im też nie ułatwi, niech się utopiają w wyrzutach sumienia!

Tęskniąc na początku wojny zgoła bez granic do obecności i opieki rodziców, w jakimś momencie przekroczyła własną wytrzymałość.

Paniczny, dławiący lęk, codzienna udręka, rozmaite okropności, gniot patriotyczny, zmuszający do narażania się na śmierć przez tę broń, amunicję i chłopców z lasu to było zbyt wiele w obliczu kontrastu: przecudownego poczucia bezpieczeństwa w Anglii pod skrzydłami rodziny. Mogła wszak znajdować się tam, a nie tu. Bomby na Londyn, cha, cha, wielkie mi co. Ograniczenia żywnościowe, kartki, cha, cha. Było zostać w Polsce, zobaczyć, jak naprawdę wygląda wojna i okupacja!

W rezultacie miała do wyboru: przełamać się albo zwariować. Jej charakter wybrał to pierwsze.

Przełamała się zatem i powstanie dopadło już jednostki zacierzewionej i niezłomnej. Po zakradaniu się na Sadybę z pożywieniem i napojem nic już nie było jej straszne. Upragniona rodzina przestała być upragniona, wojnę szlag trafił, nastał czas szczęścia. W nosie miała obce kraje, tu chciała wreszcie przeżyć tę ulgę niebiańską, bomby nie lecą, nikt nie strzela, nikt na ulicach nie łapie, przeżyła kataklizm bez pomocy matki i ojca i dalej będzie żyła bez nich i po swojemu!

Z drugiej zaś strony w grę weszła wielka miłość, do której Ludwika nie przyznałaby się nikomu i za skarby świata. Wylęgła się już wcześniej i rozkwitła niczym dzungla po deszczu.

Otóż Zbyszek, syn zaprzyjaźnionych na amen byłych sąsiadów Marcinka, był bohaterem. I węgiel kradł, i w konspiracji brał udział, i do lasu tuż przed powstaniem musiał uciec, żeby nie narazić rodziny, i ranny został, i tuż po wyzwoleniu Warszawy willę przed rabunkiem ocalił, i w ogóle. „W ogóle” zawierało w sobie tak jego zalety wewnętrzne, jak i wygląd zewnętrzny. Karolina w nieźle wyrośniętym i sympatycznym, ale ogromnie piegowatym chłopcu nic szczególnego nie widziała, wielka miłość córki nie przyszła jej zatem do głowy. Zbyt przesyłana nie była, chociaż Justyna zdołała wmówić w nią biblioteczną klątwę, na wszelki

wypadek wolała jednak nie nalegać na wyjazd nielegalny. Uszanowała silnie eksponowany patriotyzm, stwierdziła godną podziwu opiekę Andzi, dała spokój namowom i odjechała, mąż bowiem również wymagał jej starań. Ruch Oporu nie przeszedł bezboleśnie, jedna ręka została mu prawie bezwładna.

Zbyszek chował się razem z Ludwiką i prawie przez całą wojnę widział w niej małą dziewczynkę, energiczną wprawdzie i nie bardzo głupią, ale od partnerstwa daleką. Dopiero po przerwie, po tym pobycie w lesie, a potem pomieszkiwaniu z paskudzącą się nogą w piwnicach willi, po powrocie całej rodziny od Florka, gdzie przeczekiwali ostatnie chwile, ujrzał w niej nagle cud urody taki, że mu dech zaparło.

Po Arabelli i Klementynie wszystkie dziewczyny w rodzie Blackhillów–Noirmontów rzeczywiście były piękne i nie było powodu, dla którego Ludwika miałaby się wyrodzić. Też była piękna. Dzika miłość do bohaterskiego młodzieńca dodawała blasku jej oczom i rumieńców na twarzy, przez całą wojnę żywiono ją nieźle, zdrowia nie straciła, nie dotknęła jej chorobliwa chudość i bladość. Oczywistą jest rzeczą, że w jednej sekundzie Zbyszek stracił głowę.

Nie był jednakże półgłówkiem i na amoku uczuciowym nie poprzestał. Maturę zdał jako ekstern, bo kształcąca ich wszystkich nauczycielka była nauczycielką z powołania, po czym natychmiast poszedł na studia. Zdążył się dostać na politechnikę, zanim jeszcze wprowadzono punkty za pochodzenie.

Odczekali jeszcze, aż Ludwika skończy osiemnaście lat, i ku rozczuleniu rodziny wzięli ślub. Znajdowali się w sytuacji zgoła niebiańskiej, ponieważ mieli gdzie mieszkać i mieli z czego żyć. Do willi, mimo dziesięciu pokoi, nikogo nie dokwaterowano, zameldowane w niej bowiem były cztery odrębne rodziny, a ojcu pana młodego, przedwojennemu

architektowi, przysługiwał oddzielny pokój do pracy. Karolina zaś, jadąc po córkę, przytomnie przywiozła ze sobą i zostawiła tysiąc dolarów. Pokażną resztę biżuterii Dominiki Ludwika schowała na czarną godzinę, po czym zatrudniła się jako tłumaczka i spikerka w Polskim Radiu. Francuski akcent miała bezbłędny.

Namieszał nieco Florek, który po kilku latach, śledząc pilnie rozwój ustroju, zdecydował się na adopcję Jędrusia. Andzia radośnie wyraziła zgodę, dostarczając zarazem świadectwo zgonu jego ojca, po czym Jędrus został zameldowany w Perzanowie. Na szczęście akurat w tym czasie Ludwika urodziła drugie dziecko, dzięki czemu ilość lokatorów willi nie uległa zmniejszeniu.

Gospodarstwo Florka robiło wrażenie dość niezwykle, bo pracowało na tych dwudziestu hektarach tylko dwóch chłopów i jedna baba. Zmechanizowane tam było wszystko, co tylko się dało zmechanizować, i możliwe, że pierwszy prywatny kombajn w kraju wyjechał na Piórkowe pole. Krowy doiono elektrycznie, a chlewy czyszczono strumieniami wody z własnej instalacji. Wydatną, acz cichą pomocą służyło owo złoto, do nabycia którego zmusił Florka ojciec i które teraz oddawało bezcenne usługi. Nie było takiego partyjniaka, takiego ubowca i takiego biurokraty, którego nie skusiłby upojny dźwięk i pasący oko blask. *Son et lumiere...*

Nie dotykano tylko domu. Owszem, dwie łazienki Florek zainstalował, ale nic poza tym, nawet dach naprawiał tak, że widać było wyraźnie łąty, oblatującym nieco tynkom, cieknącej rynnie i naderwanej okiennicy dał spokój, bo i tak budowla kłuła w oczy podejrzaną pałacowością. Władzom wyjaśnił na piśmie, iż cała pozorna pańskość dworu była rozpaczliwym pomysłem jego matki, ubogiej wieśniaczki, która dla ratowania rodziny od głodowej śmierci chciała przyjmować bogatych letników. Wyjaśnienie przyjęto wraz z załącznikiem.

Jędrus ożenił się z kuzynką, cioteczno–cioteczną siostrą, odnalezioną gdzieś koło Rzeszowa, młodszą od niego o dwa lata, osamotnioną po utracie całej rodziny. Bandy ich załatwiły i sama nie wiedziała, co ze sobą począć, kuzyn spadł jej jak z nieba. Łagodna, nieśmiała, a za to pracowita, z wdzięczności za przygarnięcie chętnie złożyła przysięgę, Florek bowiem znów urządził krew w żyłach mrozącą ceremonię. Wciąż chodziło o to samo, dzieci panny Ludwiki, także jej wnuki i prawnuki, mają prawo i tak dalej...

Siedem świec, okuty srebrem modlitewnik, krucyfiks i groźny starzec uczyniły wrażenie potężne. Nieszczęsna Elżusia prędeż by skoczyła do studni niż złamała dane słowo.

Dzieci Ludwiki zaś, spędzające każde lato w Perzanowie, wiązały prosiątkom wstążeczki na szyi i uczyły się pływać w stawie, do którego niegdyś wpadła ich prababka...

* * *

Na pogrzeb Florka przyjechały obie, siedemdziesięcioczeroletnia Justyna i pięćdziesięciodwuletnia Karolina. Po Justynie nareszcie było widać jakiś wiek, Karolina wydawała się nieco starszą siostrą Ludwiki. Obie dość obojętnym okiem i ze wzruszeniem ramion popatrzyły na dwór babki, w którym obecnie mieściła się szkoła, ośrodek zdrowia i magazyn pierza, przy czym najędźniej prezentowało się pierze, teoretycznie skupowane na eksport. Jack Blackhill, mąż Justyny, już nie żył, obecnie lordem był jej wnuk, najnowszy George, poniekąd również teoretycznie, bo trochę te wszystkie arystokratyczne niuanse straciły znaczenie. Filip, mąż Karoliny, trzymał się jako tako, ale do komunistycznego kraju na wszelki wypadek wolał nie jechać.

Ludwika natomiast mogła już pojechać do Francji na zaproszenie matki. Wyemigrować nadal nie chciała, wrosła w Polskę, uwierzyła propagandzie i godziła się z ustrojem, wierząc, iż mankamenty są wynikiem błędów i wypaczeń. Karolinie robiło się ciemno w oczach na widok otumanienia córki. Jedynym argumentem, jaki wywarł na nią wpływ, była dwu-, a nawet trójjęzyczność dzieci, tyle rozumu jeszcze Ludwice zostało, żeby zdołała to docenić. Na kolejne wakacje wysłała syna i córkę do Francji i do Anglii i na tym się właściwie ich wojaże skończyły.

Pieniądze rodzinne właściwie skończyły się również. Ani młody George Blackhill w Anglii, ani Karolina w Noirmont, nie popadli, rzecz jasna, w nędzę, ale dawne bogactwo odbiegało ich świńskim truchtem. Tyle mieli, że mogli żyć przyzwoicie i na tym koniec. George skończył studia i pracował w bankowości, wykazując nawet dość dużo rozumu, Karolina zaś czerpała dochód z winnic w Noirmont i paryskich nieruchomości. Na to, żeby zaprosić do siebie córkę i wnuki, a nawet zięcia, stać ją było w pełni.

W trzy lata później zmarła Justyna. Jadąc na pogrzeb matki, Karolina rozmyślała ponuro nad biblioteczną klątwą.

Owszem, coś tam już udało się jej zrobić. Nie od razu, zaraz po wojnie pielęgnowała Filipa, który na niedowładzie ręki nie poprzestał, dostał także nerwicy, bo w jednej akcji nie uratował życia przyjacielowi. Starał się, usiłował, stąd ta ręka, i nie udało mu się, już wtedy był starym prykiem do niczego. Coś z tą depresją należało zrobić, wyszedł z niej w końcu, ale przez parę lat Karolina miała trudne życie. Gmerała w bibliotece, wyszła poza ten początkowy narożnik i natknęła się na zapiski, które na długi czas przyczyniły jej zgryzoty. Kartki w książkach, mały zeszytek i milion notatek na marginesach dzieł przyrodniczych. Tematycznie nawet miało to sens, ale owe notatki właśnie należało uporządkować i przepisać. Siedziała nad tym prawie dwa lata, właśnie skończyła, przepisy, jakie znalazła,

napełniły ją podziwem i zachwytem, zaczęła szukać lekarza, który zainteresowałby się tą treścią i opracował cały materiał naukowo, i wtedy właśnie umarła Justyna. Zatem znów przerwa. Komplikacje spadkowe. Ona sama przecież dziedziczy po matce, część resztek majątności przypadnie zapewne bratankowi, pytanie, kto zapłaci podatek spadkowy, będzie musiała zostać w Anglii, aż się wszystko rozwikła...

Sakwojażyka dawno już przestała szukać. Po Marcinku i jego żonie istotnie zostały w Noirmont jakieś zlekceważone rupiecie, przejrzała je i kazała wynieść na strych. Sakwojażyka wśród nich nie znalazła. Strych przeszukała również z takim samym skutkiem. Nosiła się z zamiarem odnowienia przynajmniej części pomieszczeń zamkowych, bo skąpstwo jej teściowej doprowadziło budowlę do upadku, ale koszty nieco ją przestraszały. Mąż nie służył jej żadną pomocą, faktu zubożenia rodziny nie przyjmował do wiadomości.

W biblioteczną klątwę uwierzyła by już całkowicie, gdyby wiara nie zmuszała jej do ciężkiej pracy. Dostatecznej ilości służby nie było już dawno, sama odwaliała całą robotę, zajmując się przy tym domem, mężem i gospodarstwem, gmeranie w książkach przekraczało jej siły. A tu dobrobyt rodziny miał zależeć od dokładnego przejrzania tego naboju, razem z dziełami, których w ogóle nie dawała rady unieść, koszmarna myśl, Karolina nie chciała się z tym pogodzić. Miała nadzieję na pomoc Ludwiki, nic z tego, Ludwika tkwiła w Polsce i kichała na zamkową bibliotekę, drwiąc sobie z klątwy.

Zastrzyk finansowy po śmierci Justyny okazał się znaczący, podatek spadkowy zapłacił bratanek, Karolina wróciła nieco bogatsza i zrealizowała zamiar odnowienia części zamku.

Przy tej okazji znalazł się sakwojażyk, na którym od lat już położyła krzyżyk. Z apartamentów Marcina i jego żony wynoszono kanapkę,

ulubiony mebel Antoinette. Upuszczono ją, kanapka była stara, uderzywszy o posadzkę, rozleciała się częściowo, ściśle biorąc otworzyła się w niej jakby skrytka pod siedzeniem. Karolina nie miała pojęcia, że coś takiego, właściwego raczej dla rozkładanych kanap do spania, przeznaczonego do chowania pościeli, może znajdować się w małym mebelku o charakterze salonowym. A jednak znajdowało się, przytknęło, otwarło i wyleciał z tego sakwojażyk.

Przestał być żółty, mocno ściemniał, ale z pewnością był poszukiwanym sakwojażykiem pomocnika jubilera. Z bijącym sercem Karolina chwyciła przedmiot i zajrzała do środka, na wszelki wypadek bez świadków.

Pierwotna zawartość Sakwojażyka pozostała prawie bez zmian, zubożona tylko usunięciem zjełczałego balonika czekoladowego i wzbogacona zawiniątkiem, w którym Antoinette, nie wiadomo po co, przechowała jakieś szczątki robótki ręcznej. Kilka muszelek z dziureczkami, ścinki czerwonego aksamitu i strzępki czegoś, jakby włosia i poszarpanej gąbki. Karolina przyjrzała się temu z powątpiewaniem, rozczarowana, bo w głębi duszy drgnęła jej nadzieja na diament, z westchnieniem zgarnęła wszystko i wepchnęła do Sakwojażyka z powrotem. Właściwie mogła go wyrzucić, ale niby dlaczego? Miejsca jest dosyć, niech zostanie jako pamiątka rodzinna...

Potem zaś nastąpiły wydarzenia okropne, zupełnie jakby klątwa nabrała mocy. Umarł Filip i hrabia de Noirmont teoretycznie został jego wnuk w prostej linii, Wojtuś Górski, syn Ludwiki, urodzony i wychowany w komunistycznym kraju. Rzecz oczywista, tego hrabiostwa nikt w Polsce nie zamierzał dochodzić, a tym bardziej nie wdała się w załatwianie takiej sprawy Karolina, zła na córkę, zmęczona i spragniona świętego spokoju. Zmobilizowała się jednak, znów ruszyła na podbój biblioteki, uczyniła to niechętnie i nieszczęście tylko na to czekało.

Wlaziła na drabinkę i zleciała z niej razem z naręczem książek.

Uszkodzenia kręgosłupa nie spowodowały całkowitego paraliżu, zaledwie niedowład nóg, ale wystarczyło to, żeby Karolina przestała chodzić. Wózek inwalidzki nie stanowił problemu, mogła sama przenieść się z niego na łóżko i dać sobie jakoś radę w łazience, o żadnej pracy fizycznej jednakże nie było mowy. Na ślub wnuczki nie mogła pojechać, dostała wprawdzie podobiznę państwa młodych, ale czuła się ciężko urażona i rozgoryczona, bo, poza wszystkim, Ludwika nie przyjechała na pogrzeb ojca. Nie dostała na czas paszportu i jak, na Boga, mogła chcieć i żyć, i chować dzieci w takim okropnym kraju...?! Później zaś nie odwiedziła także chorej matki, ponieważ przydarzyła się następna tragedia, jej córka, wnuczka Karoliny, zginęła w katastrofie samochodowej. Razem z mężem, zginęli oboje razem.

Pozostały po nich dwie córeczki, bliźniaczki, zaledwie kilkuletnie. Korespondencja od Ludwiki przestała przychodzić. Karolina zacięła się i również zamilkła, zapominając, że jeszcze ma wnuka.

Może by i wyrzekła się rodziny ostatecznie, gdyby nie to, że wokół niej zaczęło się dziać coś dziwnego.

Najpierw przyjechał osobiście jej paryski notariusz, informując, że ktoś chciałby kupić Noirmont. Zamek z całą zawartością, na winnicach mu nie zależy. Proponuje doskonałą cenę.

– Z całą zawartością, to znaczy, że co? Razem ze mną? – spytała Karolina sarkastycznie. – Wystąpię jako eksponat muzealny? Czy też mam się wynieść i zamieszkać w winnicy?

– Ma pani mieszkanie w Paryżu. Może byłoby to nawet wygodniej, lekarze blisko...

– Niepotrzebni mi lekarze, i tak nie pomogą. A tu, jak pan widzi, mogę żyć na świeżym powietrzu. Lubię świeże powietrze.

Rozmawiali na tarasie, z którego w każdej chwili Karolina mogła zjechać do ogrodu. Jej wózek miał napęd elektryczny i swobodnie kierowała nim sama.

Notariusz się zakłopotał.

– No tak, ale utrzymanie tego wszystkiego kosztuje. A takiej ceny, jaką oferent proponuje, nie dostanie pani przenigdy od nikogo. Wydaje mi się, że warto skorzystać.

– A cóż to za jakiś półgłówek?

– Amerykanin. Oni miewają fanaberie i pieniądze.

– Nie sprzedam. Mam jeszcze z czego żyć.

– To nie ulega wątpliwości, ale jednak... Oferta jest warta rozważenia.

– Nie – uparła się Karolina. – Nie sprzedam i koniec. I niech mi pan nie zawraca głowy.

Notariusz zorientował się, że głową muru nie przebije, i dał spokój. Przyjechał ponownie, kiedy potencjalny kupiec podwyższył cenę, ale Karolina w ogóle z nim nie chciała rozmawiać. Kupiec wreszcie zrezygnował.

Następnie do zamku włamali się złodzieje. Niczego nie ukradli, bo zostali spłoszeni. Stała służba w postaci trzech osób, kucharki, pokojówki i lokaja, jeszcze istniała i dbała o posiadłość i panią siłą przyzwyczajenia. W ogrodzie pracował ogrodnik, ze wsi dwa razy dziennie przychodziła do Karoliny pielęgniarka. Psy ogrodnika wywęszyły obcych ludzi, narobiły hałasu, obudziła się kucharka, wyrwała ze snu lokaja, który ze starą fuzją myśliwską w dłoniach poszedł sprawdzać, co się dzieje, i dwóch jakichś uciekło. Szukali łupu na parterze, wyżej wejść nie zdążyli.

Karolina zdecydowała się założyć instalację alarmową, bo w zamku było co kraść. Na ścianach wisiały obrazy i stara broń, w kredensach leżało stare srebro, porcelana sprzed stu lat nabrała ceny, biżuteria pozostała jeszcze

niezła, można się było obłowić. Nie życzyła sobie być okradana i zastosowała zabezpieczenie najprostsze.

Włamywacze jakoś zrezygnowali, za to pojawił się wokół jakiś dziwny pęd do pracy. Wbrew panującym ogólnie trudnościami ze sprzętaczkami i ogólną pomocą domową, zaczęły się zgłaszać osoby, szukające roboty. Dziewczyna do sprzątanina, cudzoziemka, osobnik jakiś, też nie–Francuz, gotów do wszystkiego, drugi, proponujący swoją kandydaturę na stanowisko nocnego stróża, nie byli tacy zupełnie obcy, prowadził do nich jakiś łańcuszek znajomości, ale Karolinie wydawało się to podejrzane. Dziewczynę do sprzątanina nawet przyjęła, po tygodniu jednakże lokaj przyłapał ją na przeszukiwaniu zakamarków w dawnym gabinecie hrabiego i poprzedniej sypialni Karoliny. Od swego wypadku Karolina przemeblowała zamek, przenosząc swoje apartamenty na parter, ale zmiana nie była wielka i wcześniej używane pomieszczenia pozostały w stanie prawie nienaruszonym. Dziewczyna wyraźnie szukała tam czegoś.

Karolina zwolniła ją natychmiast, po czym tknęło ją podejrzenie. Zażądała kolejnego przyjazdu notariusza i spytała o nazwisko owego klienta, który chciał kupić zamek wraz z zawartością.

Notariusz nie robił z tego tajemnicy, pełen nadziei, że pani hrabina zmieniła zdanie i zgodzi się na sprzedaż obiektu, za co miał obiecaną potężną prowizję. Bogaty kretyn z Ameryki nazywał się Wenworth i Karolinie nic to nie dało. Nie znała takiego. Natchnienie jednakże w niej kwitło i spytała o nazwisko panińskie jego matki.

– Nie mam pojęcia, łaskawa pani – odparł notariusz, nieco zdziwiony. – Tak daleko idące personalia nie były mi potrzebne.

– To niech pan się dowie – rozkazała Karolina surowo. – Może to jakaś daleka rodzina. W takim wypadku mogłabym się zastanowić.

Notariusz zatem uzyskał informację i nawet nie trwało to długo. Nazwisko panińskie matki owego osobnika brzmiało Trepon. Panna Trepon poślubiła Wenwortha, jego ojca, a sama była pochodzenia francuskiego.

Tu już Karolinie coś w pamięci piknęło. Sceny, o których opowiadała jej matka, rozgrywały się przed jej urodzeniem, ale były zbyt dramatyczne, żeby o nich zapomnieć. Padło wówczas to nazwisko. Powinna wiedzieć, powinna przypomnieć sobie, kto to był...

Przypomniała sobie. W trakcie intensywnych rozmyślań przed oczyma jej duszy pojawił się nagle eks-żółty sakwojażyk. Zamajaczył, ściemniał, pokazał zawartość i zrobił swoje, ależ tak, Trepon, to było właśnie nazwisko owego pomocnika jubilera, który napaskudził w ten cały bigos...!

Młodość Karolina miała już za sobą, ale skleroza jeszcze jej nie dopadła. Idiotką nie była nigdy, wykształcenie odebrała rzetelne, liczne jej wady nie dotyczyły umysłu. Despotyzm, samowola, niecierpliwość, egoizm, nawet egocentryzm, awanturniczość i mściwość, to tak, owszem, żywość przy tym i energia, która fizycznie została jej odebrana, ale tępota. Nieruchawość nóg przerzuciła wszystkie pozostałe jej siły ku górze, aż pod ciemię. Lubiła czytać i umiała myśleć.

W szybkim tempie zatem wymyśliła, co następuje: pomocnik jubilera uciekł do Ameryki. Tam nie umarł, nie przepadł, prosperował, ożenił się i miał córkę. Pannę Trepon. Córka wyszła za mąż za tego jakiegoś Wenwortha i miała z kolei syna. Wnuk pomocnika jubilera, młody Wenworth, musiał dowiedzieć się od dziadka o diamencie i przyjechał go zdobyć. Z czego wynika, że, po pierwsze, pomocnik jubilera diamentu ze sobą nie zabrał. Po drugie, wiedział, wbrew gadaniu jakoby klejnot wpadł mu do morza, że wcale nie wpadł, tylko został we Francji i rodzina de Noirmont zdołała go odzyskać. Babka albo matka gdzieś go ukryły, obie już

nie żyją, Karolina o nim nie wie, to widać, użyłaby go przecież dla podniesienia się z wyraźnego upadku finansowego, zatem gdzieś on leży, pewnie w zamku. Po trzecie więc, zdecydował się kupić zamek, żeby go dokładnie przeszukać, a nie mogąc kupić, zaczął nasyłać poszukiwaczy. Cóż za potworną wartość musi mieć ten cholerny diament...!

Nic innego nie mogło spowodować tych idiotyzmów, jakie się tu przytrafiły. Pracowici cudzoziemcy, cha, cha! Nie pracowici, tylko wynajęci, a może sam Wenworth był jednym z nich i proponował swoje usługi. Już go wpuści, akurat. Zła na rodzinę, Ludwice dołoży, wnuk niech się wypcha, mógł przecież pisać do babki, przyjechać, czynić starania, odzyskać tytuł po kądzieli, nie to nie, są jeszcze prawnuczki...

Nagle coś jej błysnęło. Diamentu nie widziała nigdy, jej matka, Justyna, nie widziała go również, ale prababka Klementyna opisywała go dokładnie i opis utkwiał w pamięci następnych pokoleń. Był bliźniaczy, jak zrosnięte ze sobą dwa jajka. I jej prawnuczki to też bliźniaczki, pierwszy raz w tej rodzinie od wielu pokoleń, nigdy przedtem bliźniąt nie było. A może to właśnie omen...?

W Polsce nastąpiły jakieś zmiany, zachwiał się chyba ten idiotyczny ustrój, jaki tam panował, coś się polepszyło. A może, przeciwnie, pogorszyło...? Karolina o polityce nie miała pojęcia, nie zajmowała się nią, rzadko wpadała jej w ucho jakaś informacja, na którą nie zwracała uwagi, niemniej nikła świadomość zachodzących przeobrażeń pojawiła się jakby z powietrza. Nie wnikając w ich sens, nie dociekając szczegółów, postanowiła zaprosić te dziewczynki do siebie, niech przyjadą, chce je zobaczyć. Nie ma pojęcia, jak to załatwić, ale notariusz powinien wiedzieć. Od tego jest...

Upadek finansowy rodziny był właściwie upadkiem tylko w odniesieniu do stanu minionego. Trzy domy w Paryżu dawały dochód, resztką papierów

wartościowych dawała dochód, winnica wciąż przynosiła niewielki dochód, a gospodarstwo, ograniczone do kilku krów, kilku owiec, kilku świń i drobiu, za to pozbawione już koni, przynajmniej było samowystarczalne i karmiło zamek. Razem przynosiło to zyski piętnaście razy mniejsze niż kiedyś, ale pozwalało Karolinie doskonale płacić za usługi. Dochodzącej pielęgniarce sama jedna hrabina de Noirmont przynosiła dwie pensje, służba trzymała się jej pazurami nie tylko z rozpędu, ale także dla własnej, beztroskiej starości, która wyraźnie widniała na horyzoncie. Notariusz z niej jednej czerpał dwadzieścia pięć procent swojego dochodu i za skarby świata nie chciał stracić takiej znakomitej klientki. Na remont zamku jednakże, w sto lat po remoncie poprzednim, nie było jej stać, dlatego nie miała wewnętrznej windy i musiała przenieść się na parter. To, że sprzedaż obrazów i biżuterii pozwoliłaby jej wyremontować dwa zamki, nie przychodziło jej do głowy.

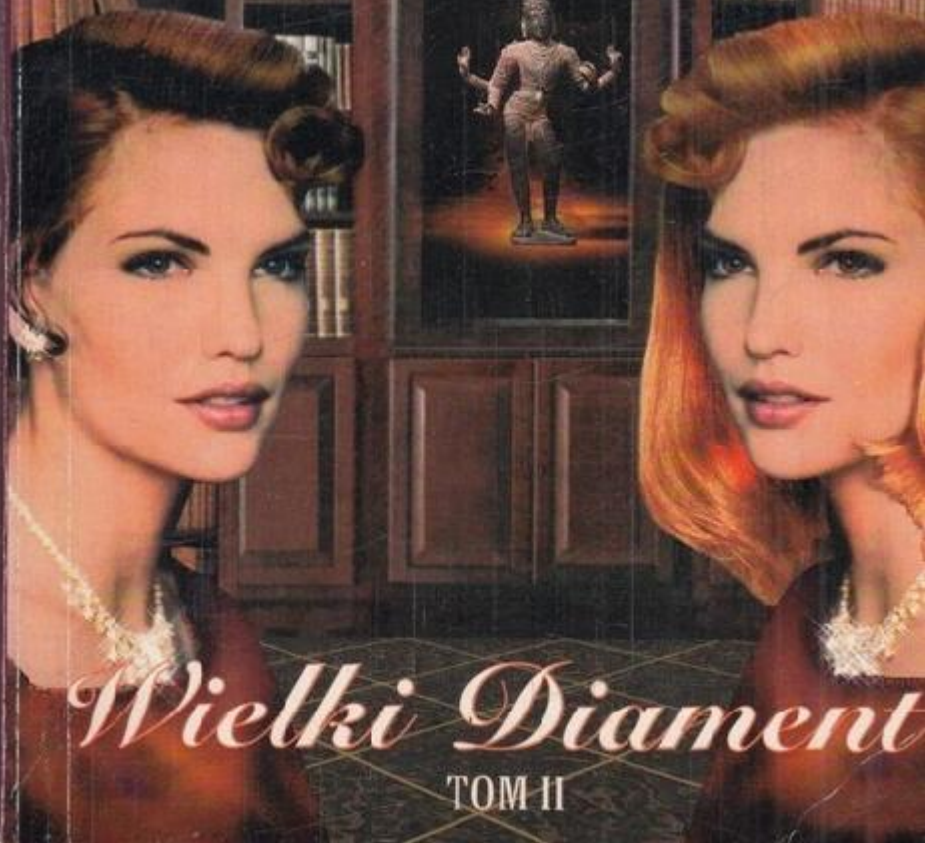
Karolina zatem obejrzała swoje prawnuczki. Dwie jednakowe dziewczynki, które wzruszyły ją świetnym językiem francuskim. Podjęła decyzję.

Podjęła ją jednakże bez pośpiechu. Napisała testament, obmyślając go starannie, zmieniając i redagując, notariuszowi przysparzając siwych włosów, po raz pierwszy uznał, że robota przy niej warta jest zysków, ale wreszcie z tym skończyła. Po czym zaczęła pisać prywatny list do prawnuczek, który miał być przekazany im po jej śmierci.

Tego listu nie zdołała skończyć za życia...

JOANNA
CHMIELEWSKA

Fers!



Wielki Diament

TOM II

JOANNA CHMIELEWSKA

WIELKI DIAMENT

TOM II

VERS

1996

TOM 2

Wszystko zaczęło się akurat w chwili, kiedy moja siostra zakochała się idiotycznie w homeopacie–fanatyku, w dodatku sama ją z tym fanatykiem poznałam, nie przewidziawszy skutków, szlag ciężki by to trafił. Diabli wiedzą zresztą, może on był po prostu przyrodnikiem. Z powołania. Ratunku.

Znacznie później dopiero okazało się, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, chociaż za to dobre też bym głowy nie dała...

Byłyśmy bliźniaczkami jednojajowymi i podobno własna matka nie mogła nas rozróżnić. Dopóki żyła, a nie trwało to długo. Przy wstrząsającym podobieństwie zewnętrznym, całą resztę miałyśmy już w kratkę, rozbiegały nam się trochę upodobania, charaktery, zdolności i predyspozycje. Nienawidziłyśmy się śmiertelnie przez całe lata, co nie przeszkadzało nam w dostrzeganiu płynących z podobieństwa korzyści.

Nienawiść wylęgła się w momencie, kiedy w wieku lat czterech razem spojrzaliśmy w lustro. Oczywiście ubierane byłyśmy jednakowo, co nie miało żadnego sensu, bo przy identyczności wyglądu należało nas zróżnicować bodaj strojem, ale widocznie nacisk tradycji był silniejszy niż zdrowy rozsądek. Spojrzałyśmy i dokonałyśmy odkrycia.

– To ja! – powiedziała Krystyna z naciskiem, pełnym oburzenia. – Dlaczego wyglądasz tak jak ja?

– A to ja! – odparłam, pokazując którąś z nas palcem. – To ty wyglądasz jak ja! Nie chcę!

– Nie chcę! – zawtórowała mi energicznie.

– Przestań wyglądać!

– To ty przestań! Ja jestem jedna! A ty druga!

– Ty jesteś druga, a ja jedna! Zrób się inna!

– Sama się zrób!

Od słowa do słowa, oderwano nas od siebie, zanim zdążyliśmy pozbawić się wzajemnie włosów na głowach. Ona ugryzła mnie w ucho, a ja jej podrapałam nos. Dławiąc się urazą, rzucałyśmy na siebie wściekłe i dzikie spojrzenia i nie chciałyśmy ze sobą rozmawiać aż do chwili pójścia do szkoły. Nawet tragiczna śmierć i pogrzeb rodziców nie miały wpływu na naszą nienawiść.

Szkoła nas w pewnym sensie pogodziła. Ja byłam od stóp do głów humanistką, a ona miała talent matematyczny oraz namiętność do fizyki i chemii. Odrabiała za mnie zadania z matematyki i odpowiadała na fizyce, ja zaś pisałam jej wypracowania z polskiego i referaty z historii. Nikt nigdy w szkole nie wiedział, która z nas jest która, ponieważ przytomnie na odpowiednich lekcjach zamieniałyśmy się miejscami i jedyne rozumne słowa na ten temat padły z ust wychowawczynie.

– Możecie robić, co chcecie – rzekła do nas. – Uczyć się wyłącznie tych przedmiotów, które się wam podobają i odpowiadać za siebie wzajemnie. Ale przypominam wam, że na maturze egzamin będziecie zdawały pojedynczo, to po pierwsze, a po drugie, żywię nadzieję, że obie macie dość rozumu, żeby tych nieprzyjemnych rzeczy nauczyć się bodaj minimalnie. Przed wami życie i nie wiadomo, jakie komplikacje mogą się wam przytrafić. Weźcie to pod uwagę i róbcie, jak uważacie. Obie jesteście inteligentne.

Odwołanie się do naszego rozumu spodobało się nam jednakowo, aczkolwiek w odniesieniu do inteligencji każda z nas zapragnęła odróżnić się od tej drugiej choćby tępotą. Pragnienie było nikłe i w rezultacie ja

znałam tabliczkę mnożenia, a ona pamiętała datę bitwy pod Grunwaldem i umiała pisać ortograficznie.

Jedyny wspólny nam talent to były zdolności językowe, podobno odziedziczone po mieszanych przodkach. Tu wyjątkowo nie stosowałyśmy żadnej wymiany, przeciwnie, raczej rywalizację, nasza rodzina miała nieco oleju w głowie i widząc zapał, stworzyła nam możliwości. Dzięki temu jednakowo znałyśmy francuski, angielski i niemiecki i dopiero dalej nas rozdzieliło. Ja się uparłam przy włoskim, a ona przy hiszpańskim, potem ona uczyła się szwedzkiego, a ja greki. Poliglotki, można powiedzieć.

Z biegiem lat nasza wzajemna nienawiść nieco przyschła i w chwili zdawania matury byłyśmy już zaprzyjaźnione, przy czym w wykorzystywaniu podobieństwa miałyśmy wprawę olbrzymią. Pierwotnej bezproduktywnej uciezce dałyśmy spokój, przedkładając nad nią korzyści praktyczne.

Od śmierci rodziców, która nastąpiła tuż przed ukończeniem przez nas piątego roku życia, wychowywali nas dziadkowie oraz liczni wujowie i ciotki. Warunki miałyśmy znakomite, wielka willa w ogrodzie na skraju miasta, wielkopłytowy Ursynów nas nie sięgnął i żaden wysokośćowiec nie zaglądał nam w zęby, a za to miałyśmy świeże powietrze i wodę z własnego ujęcia. W dziesięciu pokojach willi doskonale mieściły się trzy rodziny, babka z dziadkiem, wuj z ciotką i jednym dzieckiem, Jureczkiem, młodszym od nas o sześć lat, my obie i Andzia z wnuczką. Andzia dobiegała osiemdziesiątki, czego nikt by po niej nie poznał, trzymała się fenomenalnie i była tak zwaną starą sługą rodziny z czasów jeszcze przedwojennych. Opiekowała się naszą babką w jej okupacyjnym dzieciństwie, wnuczkę zaś sprowadziła z zaprzyjaźnionej wsi, jako swoją następczynię.

– Nie zostanie panna Ludwika bez nijakiej pomocy – rzekła kiedyś stanowczo. – Ja przysięgę składałam. Kazia po mnie nastanie, ona też ma nieślubne, niech odchowają, a żyć z jakim, jakby co, może na wiarę. Niech sobie ma dochodzącego.

Interesowało nas nawet przez jakiś czas, czy Kazia ma dochodzącego, ale stało się to nieistotne, to znaczy owszem, bardzo ważne, bo dochodzący Kazi okazał się tak zwaną złotą rączką i załatwiał nam wszystkie naprawy, od czyszczenia rynny poczynając, a na telewizji kablowej i przenośnych telefonach kończąc. Przy telefonach zresztą pilnowała go Krystyna, doskonale zorientowana w temacie, patrzyła mu na ręce i robiła uwagi, podobno z sensem. Dochodzący Kazi oceniał ją wysoko. Dochodzenie do Kazi w obliczu tych wszystkich usług nie miało żadnego znaczenia.

Po maturze odrobinę rozdzieliło nas życie. Krystyna zajęła się elektroniką, a ja historią sztuki. Rychło po studiach stałam się prawie ekspertem w dziedzinie starej biżuterii i meblarstwa, ona zaś wdała się w jakieś dyrdymały komputerowe. Też ją ceniono wysoko.

Byłyśmy bardzo ładne. Może nawet piękne. Nie ośmieliłabym się uważać siebie za piękną, gdyby nie Krystyna. Patrzyłam na nią i wyraźnie widziałam, że jest piękna, a w końcu wyglądałam identycznie, zatem również musiałam być piękna. Kształt głowy, twarz, oczy, rany boskie, jakie ona miała oczy...! A prawda, ja też... Tęczówki zmiennego koloru od jasnozielonego do prawie czarnego, gęste, długie, czarne rzęsy, jak sztuczne, śliczny nos, śliczne usta, piękną figurę i piękne długie nogi. Miała wdzięk, nie odróżniano jej ode mnie, zatem ja chyba też...? Bardziej wierzyłam we własną urodę patrząc na nią niż widząc siebie w lustrze. Rychło przyznała mi się, że ma podobne doznania. Innymi słowy stanowiąśmy dla siebie wzajemnie wielką pociechę i to nas pogodziło ostatecznie.

Opinia chłopaków nie miała w tej kwestii żadnego znaczenia, bo im podobały się także rozmaite mazepy. Mogli lecieć na nas, choćbyśmy były obrzydliwe, tak jak lecieli na te różne inne. Własny pogląd był ważniejszy.

Obie wyszłyśmy za mąż bardzo wcześnie. Jeszcze na pierwszym roku studiów, i obie dokonałyśmy kretyńskiego wyboru. Żaden z naszych mężów nie był pewien, z którą z nas ma do czynienia, ale same pilnowałyśmy uczciwie własnej tożsamości, ja nie sypiałam z jej mężem, a ona z moim, zresztą oni nam się nie podobali. To znaczy jej mąż mnie, a mój mąż jej. Rozwiodłyśmy się bardzo szybko i równocześnie, nawet o tym nie wiedząc, tu już chyba zadziałał przypadek. Jej mąż okazał się znerwicowanym impotentem, a mój podstępny narkomanem, obaj mało przydatni do życia i nie dało się tego wytrzymać.

Już od ślubów mieszkaliśmy oddzielnie, bo babcia za resztki rodzinnej fortuny kupiła nam dwupokojowe mieszkania, na wszelki wypadek w pobliżu, na Ursynowie. W prezencie ślubnym. Mieszkania nam zostały, żaden z tych niewydarzonych głupków nie zdołał nam ich wyrwać, bo nawet porządne hochsztaplerstwo nie leżało w ich mocy. Gdyby leżało, w obliczu prezentowanego przez nich niedołęstwa, może uznałybyśmy je za jakąś zaletę.

I żyło nam się mniej więcej normalnie aż do owego wstrząsającego wieczoru...

* * *

– Joaśka, słuchaj – rzekła Krystyna, przyszedłszy do mnie. – Mam zgryzotę i tak myślę, że mi się przydasz.

– No? – spytałam z zainteresowaniem, otwierając butelkę białego wina. A, właśnie! Upodobania garmazeryjne też miałyśmy jednakowe i pozostały

nam, chociaż próbowaliśmy je zmienić. – Przestań dłużyć w nosie, bo mi się wydaje, że ja tam siedzę i dłużę.

– Powinnaś była się już przyzwyczaić, że to ja, a nie ty. Skomplikowana sprawa.

– No? – powtórzyłam i nalałam do kieliszków.

– Jeden taki... – zaczęła i zreflektowała się. – Jaki znowu taki, znasz go, twój kumpel, Andrzej. Jak by ci tu powiedzieć, żeby nie zełgać i nie zauroczyć...

– A...! Rozumiem. Spałaś z nim już czy jeszcze nie?

– Spać, spałam, ale nie w tym dzieło...

– A w czym? Wyduś z siebie nareszcie!

– No dobrze. Nie samym łóżkiem człowiek żyje. Zakochałam się w nim porządnie.

– Jezus Mario – powiedziałam ze zgrozą.

Przerwała mi od razu.

– Wiem, wiem. Maniak, szaleniec, nie do życia, zapatrzony w swojego szmergla, pieniędzy zarobić nie umie, podejście do kobiet ma niewłaściwe. No i co z tego?

Wypiłam trochę wina i pokroiłam camemberta. Mignęła mi w głowie wątpliwość, czy Andrzej wie, że sypia z nią, a nie ze mną. Zarazem ucieszyłam się, że nie padło na mnie.

– On chyba w tobie też – poinformowałam ją. – W czym problem zatem?

– Skąd wiesz?

– A co, ty nie wiesz?

– Wiem, ale ciekawa jestem, skąd ty wiesz?

– Miewam z nim do czynienia. Stary pokost mi badał ostatnio. Od jakiegoś czasu patrzy na mnie dziwnym wzrokiem, tak jakoś, jakby

chciwie, nie rozumiałam dlaczego, bo nigdy na mnie nie leciał, ale teraz już rozumiem. Widocznie przypominam mu ciebie.

Camembert był przejrzały i trochę się rozlewał. Kryśka wzięła kawałek i umazała się nim.

– Ciekawa rzecz – zauważyła w zadumie, oblizując palce. – Jak oni to robią? Na mnie leci, a na ciebie nie. A wyglądamy jednakowo.

– Wnętrze mamy różne. Musiał wywęszyć. Zwracam ci uwagę, że każdy pies też nas rozróżni. I co? Bo fakt, że z nim sypiasz, to żadna zgryzota, rozwiedziony jest.

– On chce wyjechać. Do Tybetu. Co najmniej na rok, albo i dwa lata. Jakaś fundacja się w to wdała, wielką forszę płacą na badania tej cholernej przyrody. Sam chce badać, to primo, a secundo, ma nadzieję zarobić jednym kopem na to swoje wymarzone laboratorium. Nie spędzi się go z pomysłu, chcę jechać z nim razem. Firma rocznego urlopu mi nie da, stracę robotę. Zastąp mnie.

– Zwariowałaś...?!

– Na jego punkcie owszem, ale poza tym jestem mniej więcej normalna. Masz nienormowany czas pracy, możesz robić, co chcesz. Nauczę cię trochę, o co tam chodzi w tych komputerach, nikt się nie połapie.

Zakrztusiłam się winem i serem, zabrakło mi głosu i tchu, ogarnęła mnie zgroza. Miłość jej padła na mózg, co za pomysł koszmarny! O jej robocie nie miałam zielonego pojęcia, komputerem niby mogłam się posługiwać, ale w ograniczonym zakresie, a ona po tych maszyniach szalała we wszystkie strony. Obłąd! Każdy jełop zorientowałby się z miejsca, że nie wiem, co robię, jej szef dostałby zawału. Wariatka!

Milczałam, bo odjęło mi mowę. Kryśka oblizywała palce po kolejnym camembercie.

– Oj, wprowadzę cię w temat, wielkie rzeczy! – powiedziała niecierpliwie. – Nie rób takiej gęby jak Piotrowin. Nie muszę w tym Tybecie siedzieć bez przerwy, mogę bywać z doskoku, ustawię robotę, a ty tam coś poudajesz, jak mnie nie będzie, a w ogóle polecę na twój paszport, żeby nie było, że mnie nie ma. Znasz go przecież, Andrzeja mam na myśli, co z oczu to i z serca, diabli go wiedzą na co się nadzieje po drodze, prędzej wyrzeknie się mnie niż parszywej roślinki. Chłopa nie można puszczać luzem, bo wiadomo, że głupi.

Mimo woli kiwnęłam głową, z tą ostatnią opinią zgadzając się całkowicie.

– Alternatywą jest laboratorium – dodała jeszcze Krystyna. – Cel i sens jego życia. Nie mam pieniędzy, żeby mu to urządzić...

– A dlaczego, do cholery, ty masz mu to urządzać? – spytałam zgryźliwie. – Weźmiesz go na utrzymanie? W poślizg wpadłaś na emancypacji?

– Bogatego męża już miałam, nie? I co mi z tego przyszło? Tych ubocznych gachów to ja nie lubię...

No owszem, przy mężu–impotencie nerwicę miała jak w banku, a do tego był dziko zazdrosny i ubocznych gachów, podrywanych dla terapii, musiałyby przed nim starannie ukrywać. Okropne życie. To już zdecydowanie lepiej wyrzec się forsy.

Jednakże na upiorny pomysł zastąpienia jej w pracy nie zamierzałam przystać. W grę wchodziły właściwości umysłu, które miałyśmy różne, i sam wygląd zewnętrzny nie wystarczał. Już prędzej ona mogłaby zastąpić mnie, chociaż zapewne nie uniknęłabym kompromitacji, bo wąż do antyków z kolei miałam ja, a nie ona.

Kryśka upierała się przy swoim, protestowałam energicznie, w przerwach między inwektywami próbowałyśmy znaleźć jakieś inne

wyjście, posuwając się nawet do myśli o złamaniu Andrzejowi nogi, bez skutku jednak, awantura rosła i zapewne pokłóciłybyśmy się śmiertelnie, gdyby nie to, że zadzwonił telefon.

W słuchawce odezwała się ciotka, żona naszego wuja, z willi za Ursynowem.

– Joasiu? Do ciebie dzwonię, więc to chyba ty. Przyszedł do was list polecony z paryskiego notariatu. Podwójnie, na obie, do ciebie i do Krysi. Gruby dosyć. Co mam z nim zrobić?

– Zaraz – odparłam, z wysiłkiem tłumiąc niezłe już rozkwitłą furję, i odwróciłam się do Krystyny. Złym głosem przekazałam jej informacje.

Wzruszyła ramionami, wściekła na mnie, tak samo jak ja na nią. Ze złości żadna z nas nie doceniła wagi komunikatu.

– Jeśli cię interesuje, skocz po niego. Ja tu poczekam, jeszcze z tobą nie skończyłam.

Obróciłam tam i z powrotem w czternaście minut, przywożąc grubą kopertę. Przez ten czas nasza irytacja trochę przyschła. Poprosiłam Krystynę, żeby na chwilę wypchnęła z siebie sercowe perypetie, sprawdzmy, czego chce od nas paryski notariusz. Otworzyłam kopertę, bo ona wciąż, mimo oblizywania, była oblepiona camembertem.

W dziesięć minut później obydwie, nieco osłupiałe, ale już mniej więcej pogodzone, wciąż jeszcze wczytywałyśmy się we francuski tekst.

Paryski notariusz naszej francuskiej prababki zawiadamiał nas, że hrabina Karolina de Noirmont umarła i uczyniła nas swoimi spadkobierczyniami w równych częściach, z pewnym zastrzeżeniem, i obecność co najmniej jednej z nas, z upoważnieniem drugiej, jest niezbędna. On sam ma: primo, pewne wątpliwości, bo kolejnym hrabią de Noirmont mógłby zostać nasz wuj, gdyby przeprowadzić stosowne działania prawne, secundo: dodatkową korespondencję dla nas, która,

zgodnie z życzeniem nieboszczki, nie może zostać powszechnie ujawniona. Jego osobistym zdaniem, wielkiego znaczenia to nie ma, ale wola zmarłej jest święta.

Popatrzyłyśmy na siebie i Kryśce Andrzej nie tyle wyleciał z głowy, ile nieco przybladł.

– A cóż to ma znaczyć? – spytała surowo i nagle jakby zmieniła nastrój.
– Czekaj, spadek po prababci? Ona biedna nie była, o ile sobie przypominam? Czekaj, a może ja bym mogła nakichać na to, że mnie wyleją z roboty?

Prababcia majaczyła nam niewyraźnie w pamięci. Byłyśmy kiedyś u niej, obie, bardzo starsza dama na wózku inwalidzkim, którym posługiwała się zgoła koncertowo. Zazdrościłyśmy jej tego pojazdu z całej siły i marzyłyśmy o tym, żeby się kiedyś na nim przejechać samodzielnie. Nie wyszło, prababcia go prawie nie opuszczała. Poza tym był zamek, jak dla nas strasznie wielki i nad wyraz skomplikowany, jakieś gospodarstwo wiejskie, żadne dziwo, rok w rok na wakacjach stykałyśmy się z czymś takim, winnica, gdzie dojrzewały winogrona, pokojówka i lokaj, którzy patrzyli na nas niepojęcie rozanielonym wzrokiem. Dzieci mają instynkt, korzystałyśmy z niego, domagając się najdziwaczniejszych produktów spożywczych, zaspokajano nasze fanaberie z czułością, razem wzięwszy, podobało nam się tam, w tym zamku, który podobno należał do naszej rodziny. Odrobina nieśmiałości ogarniała nas tylko w obliczu prababci, która ze swojego wózka przyglądała nam się z wielką uwagą. Francuski język sam wszedł nam w usta i wyraźnie ją to cieszyło...

– Daj ci Boże zdrowie – powiedziałam ze szczerego serca – Może i... A może pojechałabyś uprzejmie najpierw do Paryża, a dopiero potem do Tybetu?

– Skoro prababcia wywinęła taki numer... Czeka, tu jest coś o hrabiostwie wujka. Czy to nie on powinien dziedziczyć?

Znałam wujka, tak samo jak ona. Pomyślałam, że musiała zgłupieć do reszty.

– Nawet jeśli, to co? Uważasz, że podważy testament? Kto, wujek Wojtek?

– No nie – zreflektowała się Krystyna. – Ani wujek, ani ciotka. Ani babcia. Czy babcia nie była z prababcią w wojnie?

– Na moje oko była. Odczep się ode mnie chwilowo. Zanim co, skoczmy do rodziny, potem się zastanowisz. Kiedy Andrzej wyjeżdża do tego Tybetu?

– Za dwa tygodnie.

– To jeszcze zdążymy pomyśleć...

* * *

– Nie chcę wprowadzać żadnych zadrążeń rodzinnych – powiedziała z zaciętością babcia Ludwika. – Ale widzicie, moje dzieci... Rodzona matka zostawiła mnie samą w czasie wojny i żeby nie spadł po babci, umarłabym z głodu. Za ten spadek wszyscy żyjecie do tej pory, a z Noirmont nie chcę mieć nic wspólnego. List, mówicie? Jeśli wasza prababka zostawiła dla was jakiś list, możecie być pewne, że dotyczy biblioteki. To była jakaś obsesja od pokoleń, mnie też usiłowano do tego zapędzić, ale nie dałam się. No owszem, wyjdziecie na swoje.

– Czy prababci w ogóle coś z majątku zostało? – spytała Krystyna. – Czy tylko ta ruina zamkowa?

– W jakim sensie biblioteki? – spytałam równocześnie. – Co z biblioteką należało zrobić?

– Nie mówcie do mnie razem, bo mnie to denerwuje. O co pytacie?

Milczałyśmy, bo było absolutnie pewne, że znów odezwiemy się równocześnie. Siedziałyśmy z babcią na oszklonym tarasie wśród roślinności bez mała tropikalnej, zawsze na tym tarasie istniał kwietnik, pod nim zaś podobno w czasie wojny zrobiono skład broni. Dziw, że rodzina wyszła z tego z życiem.

Babcia znała nasze cechy. Chciała być sprawiedliwa.

– Tu bór, tu las, tu nie ma, tu wlaź – wyliczyła, pokazując nas kolejno palcem i padło na mnie. – Mów, Krysiu, pierwsza.

– Ona jest Joanna – zwróciła jej uwagę Krystyna. – Kryśka to ja.

– Wszystko jedno. Mów, Joasiu.

– Wcale nie wszystko jedno – zaprotestowałam odruchowo. – My się różnimy. Pytałam, co z biblioteką należało zrobić.

– Nie wiem, czym się różnicie – mruknęła babcia pod nosem. – Należało ją uporządkować i przejrzeć, o ile pamiętam. Książka po książce, każdą kartkę.

– Po co?

– Żeby odnaleźć wszystkie zapiski o ziołach leczniczych. Recepty i inne takie.

– Co...?! – spytała Krystyna z nagłą gwałtownością.

– Chyba nie jesteś głucha, moje dziecko? Wyraźnie mówię, podobno ona, ta biblioteka, zawiera w sobie bezcenne informacje zdrowotne, cudotwórcze zioła i tym podobne idiotyzmy.

Sarkazm i wzgarda w głosie babci przerosły wszystko. Nie znosiła ziół, nie wierzyła w ich sens, była agresywnie przeciwna zielarstwu od czasu, kiedy, w jej późnej młodości, jakiś lekarz uszczęśliwił ją mieszanką ziół na odchudzanie. Dostała po niej takiej sraczki, że przez trzy dni nie mogła wyjść z domu i przepadło jej coś niesłychanie ważnego, co miała do

załatwienia na mieście. W dodatku ta mieszanka była wściekle gorzka. Raz na zawsze nabrała obrzydzenia do leczniczych sił przyrody.

Za to Krystynie zaiskrzyły się oczy.

– I ona tam ciągle istnieje, ta biblioteka? – upewniła się, nie kryjąc emocji. – Nietknięta?

– Czy nietknięta, to nie wiem, możliwe, że wasza prababka ją tknęła. Nietknięty pozostał raczej zabobon.

– Jaki zabobon?

– Podobno klątwa. Dopóki biblioteka nie zostanie uporządkowana, dopóty rodzina nie zdoła wzbogacić się na nowo, takie głupie gadanie słyszałam. Róbcie, jak uważacie.

Sprawa została przesądzona, nie musiałam już namawiać swojej siostry na wyjazd do Francji, sama zaczęła się tam pchać w gorączkowym pośpiechu. Zapewne miała nadzieję, że bibliotecznymi ziołami zdoła przebić Tybet.

– Na spadek też liczę – powiadomiła mnie szczerze. – Przy tym laboratorium Andrzej chciałby mieć własny ogródek doświadczalny, może tego szmalu po prababci na wszystko wystarczy...? Spróbuję go namówić, żeby przesunął wyjazd i poczekał na wiadomość ode mnie. Ostatnio kocha mnie więcej i chyba pójdzie na ustępstwo.

– Jeżeli wepchniesz forszę w faceta, prababcia się w grobie przewróci – ostrzegłam ją.

– Nie szkodzi. Będzie miała jakieś urozmaicenie. Czym jedziemy?

– O ile mnie pamięć nie myli, komunikacji tam nie ma. W każdym razie nie było. Możliwe, że teraz chodzi tam jakiś autobus, ale ja bym pojechała samochodem.

– Bardzo dobrze. Ja też.

– Twoim czy moim?

– Twoim. Mój nawala.

– A mówiłam, że toyota lepsza od fiesty – wytknęłam z satysfakcją. –
Która bierze perukę?

– Mogę ja. Ale będziemy się zamieniać...

Od dawna już starałyśmy się nie jeździć nigdzie i w ogóle nie pokazywać ludziom razem, bo budziłyśmy sensację, a poza tym po co zaraz wszyscy mieli wiedzieć, że każda z nas istnieje w dwóch osobach. Zmuszone do wspólnej podróży wprowadzałyśmy różnicę przynajmniej w postaci peruki, która jedną z nas nieco odmieniała. Teraz też. Obie razem w jednym samochodzie, musiałyśmy się trochę postarać.

W podróż ruszyłyśmy, można powiedzieć, z marszu. Kryskę gnała obawa, że Andrzej się zniecierpliwi, jego niewłaściwy stosunek do kobiet polegał na tym, że wyżej cenił swoje maniactwo zawodowe niż damę serca i podejrzewałam w cichości ducha, iż zdolny byłby oderwać się zniecka od najbardziej upojnych ekscesów seksualnych, gdyby wpadła mu do głowy twórcza myśl o wyciągu z roślinki. Już sam fakt, że w takiej chwili myśl mogłaby mu wpaść... Osobiście nie strawiłabym tak nerwowej atmosfery, ale skoro Kryśka trawiła, Bóg z nią...

Mnie pchało do zamku. Kochałam stare meble. Ponadto również żywiłam pewne nadzieje...

* * *

Notariusz umówił się z nami u siebie, w Paryżu.

– Świętej pamięci pani hrabina de Noirmont postawiła sprawę jasno – rzekł bez wstępów głosem osobliwie ponurym. Myślałam, że to z grzeczności, mówiąc o nieboszczce przybiera grobowy ton, ale zaraz

okazało się, że przyczyna jest inna. – Panie dziedziczą warunkowo. Mianowicie mogą panie objąć spadek dopiero po spełnieniu tego warunku.

– Jakiego warunku? – warknęła Krystyna.

– Uporządkowanie biblioteki zamkowej...

– Więc jednak! – wyrwało mi się.

– A kto ma ocenić i zdecydować, że ona już została uporządkowana? – spytała gniewnie moja siostra, wściekła na zwłokę. – I na czym to uporządkowanie ma polegać?

– Ocenic będę musiał ja sam, jako wykonawca testamentu. Panie mają przejrzeć każde dzieło, ustawić wszystko chronologicznie, tematycznie, językowo, to już panie zdecydują... I sporządzić katalog z oznaczeniem miejsca. Powiedzmy: ponumerować szafy i półki.

– Zdaje się, że będzie to galernicza praca? – zauważyłam grzecznie.

– Toteż dlatego nigdy nie została doprowadzona do końca. Osobiście byłbym wdzięczny paniom za pośpiech, ponieważ dopóki ta sprawa nie zostanie zakończona, nie mogę przejść na emeryturę, co już dawno powinienem uczynić. Trzyma mnie w tej kancelarii wyłącznie testament hrabiny de Noirmont, szczerze to wyznaję. A jak zapewne raczyły panie zauważyć, nie jestem już młody.

No owszem. Na moje oko miał mniej więcej sto dwadzieścia lat. Z całego przemówienia oraz z jego tonu wynikało, że prababcia nieźle mu dogodziła. Nam też.

– Czy, ogólnie rzecz biorąc, może nas pan poinformować o wysokości spadku? – wysyczała Krystyna, również grzecznie.

– Ależ tak, oczywiście. Są to trzy nieruchomości w Paryżu, posiadłość Noirmont oraz akcje, dające dochód w wysokości około osiemdziesięciu tysięcy franków rocznie. Nieruchomości przynoszą netto, po potrąceniu wszelkich kosztów, około czterystu tysięcy. Ponadto biżuteria, ulokowana

w sejfie bankowym, stanowi wartość bliżej mi nie znaną, nie uwidocznioną w testamencie, teoretycznie otrzymały ją panie w prezencie, ciepłą ręką...

Łypnęłyśmy okiem na siebie, spojrzeniem wyrażając szacunek dla rozumu prababci.

– ...Ponadto istnieje list – ciągnął sucho notariusz. – Wspomniałem o nim w korespondencji. Przeznaczony wyłącznie dla oczu prawnuczek. Znajduje się on w szufladzie biurka w gabinecie pani hrabiny, w Noirmont. Proszę, oto klucze.

Z całego rodzinnego majątku, o którym babcia Ludwika niekiedy napomykała, zostały całkiem godziwe resztki. W porównaniu z mieniem z przeszłości stanowiły tyle co kot napłakał, ale i tak Krystynie w oku błysnęło. Zapewne na poczekaniu przeliczyła wszystkie zera i nabrała większej nadziei na upragnione laboratorium Andrzeja. Laboratorium w konkurencji z Tybetem, ciekawe, co wygra... Dla mnie to było za mało, wiedziałam już jednakże, że za bibliotekę złapiemy się z dzikim zapalem.

Zapewniłyśmy jeszcze pana notariusza, że wujek Wojtek nie zamierza zostać hrabią, i już nas tam nie było. Przed nocą zdążyłyśmy do Noirmont. Poustawiali drogowaskazy, a zamek był widoczny z pewnej odległości. Udało nam się trafić.

Zamek jakoś zmałał. W dzieciństwie, przed ćwierćwiekiem, wydawał nam się większy, teraz odrobinę wyskromniał, wciąż jednak robił niezłe wrażenie. Dobiliśmy do niego późnym popołudniem, kilka minut oglądałyśmy oświetloną słońcem budowlę, po czym wjechałam na dziedziniec przez szeroko otwartą bramę. W progu paradnego wejścia powitali nas lokaj i pokojówka.

Odnaleziony bez trudu w szufladzie biurka list prababci wyglądał dość osobliwie.

Kochane dziewczynki,

pisła prababcia.

On jest. Musi być. Nie przepadł i nie zginął...

Kochane dziewczynki. Sama już uwierzyłam w klątwę, a wy ją możecie, a nawet musicie zdjąć...

Kochane dziewczynki. Od tamtego czasu wszystko zaczęło upadać, bo obietnica, dana mojej prababce, nie została spełniona...

Kochane i tak dalej. Musicie obejrzeć każdą książkę, a to, co znalazłam sama, też się znajduje w bibliotece. Przepisane do dużego zeszytu, to gruby brulion, leży w szufladzie stołu. Zawarta, jest tam wielka mądrość. Świat się robi brudny i zatruty...

– Nie sądzisz, że prababcia trochę zapadła na sklerozę? – spytała z powątpiewaniem Kryśka po kolejnym fragmencie tej dziwnej korespondencji.

– Zastanawiam się raczej, czy trafiłyśmy na właściwy list – odparłam niezbyt pewnie. – To mi wygląda na brudnopis.

– Nic innego w tej szufladzie nie ma. A w każdym razie nic nie przypomina listu. Na kopercie masz wyraźnie napisane: „Do moich prawnuczek”.

Westchnęłam.

– No nic, czytamy dalej. Może coś będzie miało sens.

Kochane i tak dalej. Wszystko wskazuje na to, że ktoś go szuka i jego nazwisko pamiętam. Zatem wcale nie zaginął, gdzieś musi być. Ostatnia nadzieja rodziny, wielki majątek. Może potem, kiedy klątwa przestanie działać, uda wam się go znaleźć...

Kochane moje prawnuczki. Jesteście bliźniaczkami i z tej przyczyny wydaje mi się...

Kochane itd. Jestem bardzo starą kobietą. Zostawiam wam wszystko, ale musicie tę przeklętą bibliotekę doprowadzić do porządku. Szukajcie zapisków i notatek, robionych ręcznie, na marginesach i w ogóle wszędzie. Zioła. Podobno moja prababka potrafiła wyleczyć każdą chorobę ziołami i przepisy tu właśnie znajdziecie. Trzeba to zebrać razem i dać jakiemuś lekarzowi...

Kochane dziewczynki. Przepisałam i zebrałam zaledwie trochę, ale już i z tego widać, że to leczenie ziołami ma swój sens. Próbowałam znaleźć doktora, który by się tym zajął, ale nie udało mi się, bo teraz lekarzami zostają sami kretyni...

– Zdaje się, że należało skojarzyć Andrzeja z naszą prababcią – zauważyłam zgryźliwie. – Dogadaliby się w mgnieniu oka.

– A jakbyś zgadła! Ale wygląda na to, że babcia nic nie pokręciła, rzeczywiście w grę wchodzi zioła. I nawet o klątwie mowa.

Odwróciłam zapisaną kartę.

– Rany boskie, osiem stron tych kawałków! Same początki, nie mogła się prababcia chociaż trochę rozpisać...?

– W kółko to samo – skrzywiła się Krystyna. – Ale trudno, wydaje mi się, że z samej grzeczności musimy wszystko przeczytać. Jedźmy dalej. „Kochane moje dziewczynki...”.

– Największe urozmaicenie widzę w nagłówkach – mruknęłam z niechęcią.

...Powinnam wam opisać całą tę historię, tak jak ją słyszałam od mojej matki, a ona od swojej babki. Byłabym pewna, że już wszystko przepadło, gdyby nie te ostatnie wydarzenia. Głupcy! Tu usiłują szukać, tu, gdzie z pewnością go nie ma...

Kochane dziewczynki. Jak się wchodzi, to ten pierwszy róg na lewo był początkiem i od rogu w prawo szukałyśmy, moja matka i ja. Przejrzałam cały segment półek, a drugiego trzy czwarte, bo potem zleciałam. Na dole drugiego segmentu było najwięcej i to właśnie przepisałam do brulionu, co trwało bardzo długo...

Klątwa ciąży nad tą biblioteką, bo ilekroć któraś z nas zaczynała tę pracę, przytrafiały się jakieś nieszczęścia i kłopoty...

– Ładna perspektywa – mruknęła Krystyna.

Kochane dziewczynki. Na starość mam przecucie, a przed śmiercią ludzie miewają jasnovidzenia, że jeśli uda się wam uporządkować bibliotekę, znajdziecie go. Jest was dwie...

– Kogo, u diabła, znajdziemy? – zirytowała się Krystyna. – Szkielet, który należy pochować w poświęconej ziemi?!

– Żeń-szenia – podsunęłam zjadliwie. – Korzeń mandragory. Nie będzie Andrzej musiał pchać się po to draństwo do Tybetu.

– Obyś była dobrym prorokiem...

– Kłopot widzę tylko w tym, że raz on tu musi być, a raz go z pewnością nie ma...

– Nie truj, skończmy to!

Kochane prawnuczki. Zobowięzuję was do porządnego sprawdzenia całej biblioteki i odnalezienia dorobku mojej prababki i jej przodków. Nie jej, bo ona nie była z Noirmontów. Wszystko jedno. Starych przepisów i całej wiedzy o ziołach leczniczych...

Kochane dziewczynki. Raz to wreszcie trzeba załatwić i pamiętajcie, że majątek był olbrzymi...

Nie, nie tak. Nie wiem. Zioła. Moja babka przysięgła, że sprawę ziół załatwi. Musicie to zrobić, żeby znalazła spokój w grobie...

Krystyna zaczęła się śpieszyć.

– Może przeczytaj do końca sama, a ja już pójdę do tej cholernej biblioteki. Mogę zacząć od razu. Rozumiem, że kawałek od drzwi do narożnika prababcie zostawiły odłogiem, zacznę od drzwi. Jak już ręk nie będę czuła, oddam się lekturze.

Wzruszyłam ramionami. Podejrzewałam, że nie spocznie do rana, doping w postaci Andrzeja miała potężny. Byłyśmy już po kolacji, służba prababci po jej śmierci pozostała na miejscu i kucharka nakarmienie nas uważała za swój obowiązek. Czułam się niezłe schetana, bo to ja prowadziłam całą drogę, Kryśka wołała reńskie wina, i nie zamierzałam się wygłupiać. Mogłam przystąpić do pracy od rana, nie musiałam w nocy, ale skoro ona miała ochotę...

Doczytałam do końca niezwykle list prababci. Nie znalazłam w nim żadnej odmiany, wciąż kawałki początku bez dalszego ciągu, wyobraziłam to sobie tak, że prababcia siedziała przy biurku i zaczynała pisać. Nie podobał się jej własny tekst, wahała się, zaczynała na nowo. Następnie zamyślała się wśród wahań, tkwiła przy biurku w bezruchu, z piórem w dłoni, wpatrzona w przestrzeń za oknem, czas upływał, nadchodziła noc,

prababcia szła spać, a nazajutrz zaczynała na nowo. Furt z tym samym skutkiem.

Złożone do kupy fragmenty tych początków brzmiały jednoznacznie. Należało uporządkować bibliotekę i odnaleźć w niej wiedzę o ziołach leczniczych. Istna Niagara na młyn Krystyny. Miało nam być łatwiej, ponieważ byliśmy bliźniaczkami, no może, zawsze cztery ręce to więcej niż dwie. Ponadto jakiś on, zarazem obecny i nieobecny, mógł się nam przy tej okazji przytrafić i wzbogacić nas ogromnie. Proszę bardzo, czymkolwiek ten on był, chociażby zabytkowym szkieletem, nie miałam nic przeciwko ogromnemu bogactwu.

Byłam bowiem taką samą idiotką jak moja siostra. Też się zakochałam na śmierć i życie, z tą tylko różnicą, że ten mój był upiornie bogaty. Możliwe, że byłam nawet większą idiotką...

Pieczołowicie złożyłam i schowałam do koperty korespondencję prababci i udałam się do biblioteki.

Nawa kościelna to była, a nie biblioteka. Dwadzieścia metrów na osiem, prawie pięć metrów w górę i wszystkie ściany pokryte książkami. Kryśka wzięła zdrowe tempo, od razu za drzwiami potknęłam się o powywlekane z półek stosy. Moja siostra siedziała na ziemi, drapiąc się w głowę.

– Dobrze, że przyszłaś – powiedziała na mój widok. – Słuchaj, tu jest dziki melanż. Za cholere nie wiem, co robić. Homer w oryginale, bajki La Fontaine'a, Alicja w Krainie Czarów po angielsku, jakiś niemiecki Gebreiter, alchemik z siedemnastego wieku, w życiu o takim nie słyszałam, markiz de Sade, rozprawa o maszynach parowych...

– Po jakiemu? – zaciekawiałam się.

– Nie wiem. A, po francusku. A teraz trafiłam na mowy Cezara po łacinie, nie jestem pewna, czy to nie podręcznik. Wszystko na kupie. Pojęcia nie mam, jak to...

Przerwałam jej.

– Zaglądałaś do środka?

– Do jakiego środka...? No owszem, sprawdzam strony tytułowe, bo diabli wiedzą...

– Nie. Sama słyszałaś. I czytałaś. Kartka po kartce, na każdym marginesie może być coś napisane...

– Żebyś pękła – powiedziała Krystyna z całego serca i podniosła się z podłogi. – No dobrze, niech to piorun strzeli, idę spać. Jutro będziemy musiały zastanowić się jakoś porządnie...

* * *

– Szczerze ci powiem, dziwiło mnie, że przez tyle lat nasze babki i prababki nie odwały tej roboty – wysapała Krystyna nazajutrz wieczorem. – Nie zdążyłam wyrazić swojego zdziwienia, a teraz już mi przeszło. Katorżnicza praca.

Miałyśmy za sobą ledwo połowę tego kawałka pomiędzy drzwiami i narożnikiem, przy czym jeszcze nie zdążyłyśmy podjąć decyzji, jak to później ustawiać. Kryśka złościła się, że nie ma pod ręką komputera, który zadecydowałby za nas, bez wątpienia trafniej, ale i tak ten komputer trzeba by było napchać informacjami. Tytuł, autor, data wydania, język, treść... Marginesów oglądać sam z siebie zapewne by nie chciał, więc korzyść niewielka. Tyle udało nam się wykombinować na początek, że te w tych kupach, układanych na podłodze, powinny jakoś do siebie pasować, przynajmniej oddzielić markiza de Sade od maszyn parowych.

– Też się nad tym zastanawiałam – sieknęłam w odpowiedzi. – Miały służbę, pacholek, względnie lokaj mógł nosić ciężary, a każda z nich siedziałyby na tyłku, oglądała i zapisywała.

– Może im się lokaje zbyt szybko wykruszali, przełamywało ich w krzyżu albo dostawali ruptury.

– Może, ale podejrzewam raczej, że to kwestia tego sukcesywnego ubożenia. Popatrz na służbę obecną, trzy sztuki w wieku emerytalnym i cześć. Jeśli którejś babci brakowało pomocników, dużo zrobić nie dała rady.

– Nie sprawdziłyśmy jeszcze tych mebli w gabinecie i sypialniach – przypomniała Kryśka, siadając na dolnym szczeblu drabinki i ocierając pot z czoła. – Tam, zdaje się, ta cała wiedza przyrodnicza jest już zebrana, brulion prababci i tak dalej...

Usiadłam dla odmiany na stosie książek w twardych oprawach.

– To sobie zostawmy na deser. Będziemy miały samą przyjemność, mało męczącą.

To również miałyśmy wspólne. Deser na koniec. Zawsze zjadałyśmy najpierw to gorsze, najlepsze zostawiając na zakończenie i zdarzało się, że jedna drugiej zżerała ów ostatni kąsek. Też nam to przeszło.

– Popatrz, jak myśmy wyszlachetniały – zauważyłam smętnie. – Od ilu lat już nie wydzieramy sobie z zębów końcówki...!

– I za szlachetność od razu zostałam wynagrodzona – odparła żywo Krystyna, przeglądając jakąś książkę. – Proszę, wreszcie coś! Arcydzięgielu korzeń wykop w całości dniem pogodnym na wiosnę tuż przed kwitnieniem, natenczas bowiem zawiera najwięcej dobra... O rany, cały referat na marginesach!

– Co za książka?

– Zapomniałam. A, widzę. Montaigne, *Apologia Rajmunda Sebonda*. Nie znam człowieka. Przepisać to od razu? Przepiszę, przynajmniej odpocznę od tej gimnastyki.

Siedziałam nadal pod pozorem snucia rozważań praktycznych, bo te tony literatury nieźle czułam w kręgosłupie. Wolałabym chyba przez cały

dzień wiosłować, odwykłam od pracy fizycznej. Zabytkowe meble u mnie w pracy nosili mężczyźni.

– Zapisz przy okazji dane o książce. Obok powinny stać Próby, też Montaigne.

Kryśka obejrzała się nagle.

– I stoją. Popatrz! Coś takiego, dwie sztuki dopasowane do siebie, nadzwyczajne!

Podniosła się i z dwiema książkami ulokowała się przy stole. Wetknęła kartkę w arcydzięgiel i zajrzała do Prób.

– Ty, po łacinie! I niech skonam, z obrazkami! Rusz się, popatrz, strasznie śmieszne, krokodyla w skorupie pieką sobie na daszku!

Podniosłam się również, tłumiąc jęk, i podeszłam do niej. Łaciński tekst nie sprawiał mi wielkich trudności.

– Głupiaś, nie pieką, tylko wędzą. Ma to być miniatura pouczająca.

– Osobiście, do wędzenia, takiego zajęcia jednak bym wypatroszyła – skrytykowała Kryśka. – I obdarła ze skóry. Nie mówiąc o krokodylu, chociaż może to aligator, w kwestii skóry niewielka różnica. Mam nadzieję, że nikt się taką wskazówką nie kierował, nawet... zaraz... nawet w szesnastym wieku...?

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Kryśka, pamiętasz testament prababci...? No jakby co, możemy zajrzeć do ksero. Był tam jakiś zakaz sprzedaży?

– Wyraźnego nie zauważyłam. Bo co?

– Bo chyba sobie nie zdajesz sprawy, jaki majątek jest zawarty w tej cholernej bibliotece. Tu stoją oryginały, pierwsze wydania od Gutenberga poczynając, białe kruki. Masz pojęcie, ile by za to dali zbieracze? A w tamtym kącie, za jakieś dziesięć lat tam dojdziemy, ale rzuciłam okiem,

stoją i leżą foliały ręcznie pisane. Słuchaj, to jest dzika forsa, gdybyśmy chciały puścić na aukcji. Okazy muzealne.

Krystynę moja uwaga zainteresowała. Zastanowiła się.

– Ja bym takiego wędzonego w skórze krokodyla nie kupiła, ale każdy ma swojego szmergla. Tylko... powiem ci...

Zawahała się.

– No? – pogoniłam ją, wiedząc już, co powie.

– Takie odniosłam wrażenie... Prababcia żadnej sprzedaży nie przewidywała, nawet jej nie zaświtało, dlatego nie zabroniła wyraźnie. I przyznam ci się, na szmal jestem chciwa jak Harpagon, ale czuję w sobie nakaz moralny. Do przełamania, ostatecznie, jednakże głupio...

Westchnęłam ciężko i wróciłam na stos książek. Miałam dokładnie takie samo wrażenie. Prababcia zobowiązała nas do pieczy nad tym chłamek nie po to, żeby go rozproszyć między ludźmi. Miał tkwić tutaj, zapewne tak długo, aż się zamek rozleci. No, być może, w ostatniej chwili należało go uratować, wynosząc gdzie indziej.

– Cholera – powiedziałam smutnie.

Krystyna wdała się już w ten arcydzięgiel, z zapalem przepisując notatki z kolejnych marginesów, żądając niekiedy mojej pomocy, bo staroświeckie pismo i język znałam lepiej niż ona. Za to nazwy różnych zielsk miała opanowane we wszystkich możliwych językach, wiedziała nawet, jak jest po grecku drapacz lekarski, mimo że język grecki znałam ja, a nie ona. Musiała się w tym Andrzeju zakochać naprawdę bez opamiętania.

Zabrałam się znów do roboty.

* * *

Po tygodniu z hakiem udało nam się wreszcie przejść na następną ścianę, za te segmenty przejrzone przez nasze prababki. Jako ostatnie, objawiły się chyba myszy, całe dwie półki lektur składały się prawie wyłącznie z drobnych strzępków, starannie poklejonych i zgoła niemożliwych do odczytania. Przez lupę badałyśmy tekst, zaniedbanie nie wchodziło w rachubę, Kryśka trafiła na jakieś himalajskie zioło i dostała istnego szau. Mania Andrzeja musiała być zaraźliwa...

Nic dziwnego, że na nic więcej nie miałyśmy ani czasu, ani siły. Własną namiętność do starych mebli zostawiłam na uboczu, do sekretarzyków, toaletek i biurków po prababciach żadna z nas nawet nie zajrzała.

Jednakże prababcia Karolina dostarczyła nam odrobiny ułatwienia, zostawiła mianowicie na odpracowanych już półkach porządne spisy zawartości i to mogłyśmy ominąć. Jej ewentualne zdobycze postanowiłyśmy odnaleźć i sprawdzić później. Brudne byłyśmy niezmiernie, bo nawet w zamkniętych szafach kurz leżał wiekowy, dobrze chociaż, że wszystkie instalacje w zamku działały i mogłyśmy się myć pięć razy dziennie.

Za to kwestie uczuciowe zelżały nieco, bo moja siostra miała dość rozumu, żeby od razu zadzwonić do ukochanego maniaka. Andrzej, wedle jej relacji, zawahał się mocno. Ostatecznie mógł z tym Tybetem trochę poczekać, ciągnęły go tam wielkie nadzieje, tak roślinne, jak finansowe, ale osobiście naszej biblioteki zainteresowały go kto wie czy nie bardziej i na razie postanowił zostać, jadąc ewentualnie z drugą częścią ekspedycji. Głupi pomysł, że Krystyna łże, na szczęście nie zaświtał mu w głowie, co Kryśka natychmiast wykorzystała. Trochę na wyrost przyobiecowała mu olśniewające sukcesy zielarskie i chwilowo zapobiegła osobistym dramatom.

Nie miałam tak dobrze. Też pozwoliłam sobie na telefon, ale głównie przepełniały mnie niepokój i niepewność, aczkolwiek nikłe szanse wyjścia jawiły mi się z półki na półkę...

Te nasze pierwsze małżeństwa, entuzjastycznie zawarte... Okropne rozczarowanie, bunt, rozwód, następne lata, nieufność i ostrożność, tęsknota do właściwego mężczyzny... Głupie próby i zniechęcenie. Wszystko to miałam za sobą, trafiłam nareszcie na obiekt, zdawałoby się, właściwy i rozdzielało mnie z nim życie, a może wcale nie życie, tylko charakter...

Spadek po prababci dostarczył nadziei, ale na razie tylko nadziei...

* * *

Na Brantome'a trafiła Krystyna na ścianie za stołem. Siedziałam akurat przy nim, porządkując, dla chwili wytchnienia, katalogowe fiszki. Potraktowałyśmy sprawę poważnie i zdecydowałyśmy się na katalogi podwójne, jeden ogólny, a drugi w kawałkach, przyczepiony do półek i szaf. Widniejące w perspektywie przepisanie wszystkiego też stanowiło niezłą robotę, ale Krystyna uparła się kupić przedtem jeśli już nie komputer, to chociaż elektryczną maszynę do pisania. Przyznałam jej słusność.

Na stole leżał już cały stos rozmaitych dzieł, zawierających w sobie upragnione informacje przyrodnicze. Krystyna szalała ze szczęścia, twierdząc, że ma dla Andrzeja istne skarby wiedzy, ale przestała to przepisywać. Musiałaby później przepisywać jeszcze raz, na maszynie, dała zatem spokój robocie głupiego, gromadząc to tylko w jednym miejscu i wtykając, gdzie należało, zakładki. Z łatwością umiałam sobie wyobrazić, w jakiej fazie znajdowałaby się któraś prababcia, gdyby zechciała

przepisywać to od razu i porządnie. W szczątkowej pod każdym względem. Nic dziwnego, że żadna do tego miejsca nie doszła.

Doszła za to Krystyna.

– Ty, Joaska! – zawołała za moimi plecami głosem wyraźnie rozweselonym. – Niech ja się skicham, pornografia! Istniało coś takiego w średniowieczu? Wypisz, wymaluj, jak współczesna, tyle że rysunczki, a nie zdjęcia! Nie do wiary!

Równocześnie coś mi sfrunęło na ramię, jakaś zapisana kartka. Złapałam ją odruchowo i obejrzałam się na Kryskę. Podeszła do stołu, odwracając kartki, rozśmieszona.

– To nie średniowiecze, tylko renesans – skorygowałam od pierwszego rzutu oka – Żywoty pań swawolnych. Pokaż... Fakt, pomysły mieli niezłe.

– Zdaje się, że coś mi z tego wyleciało – zauważyła moja siostra z roztargnieniem, przeglądając nadal frywolne dzieło. – A, złapałaś... No, wygląda mi na to, że epoka rzeczywiście była mocno rozrywkowa... Opisz to, skoro już tu siedzisz. Szczególnie że po włosku. Co tam jest, na tej kartce?

Rozłożyłam podwójną kartkę, gęsto zapisaną ze wszystkich stron.

– Korespondencja naszych przodków – mruknęłam i zaczęłam czytać.

W chwilę potem czytałyśmy już obie, zainteresowane znacznie bardziej niż przy renesansowej pornografii.

Drogi mój przyjacielu,

pisał ktoś pismem staroświeckim i nieco wyblakłym.

Spełniłem twoje życzenie i postarałem się o szczegóły tej całej historii. Faktem jest, że wicehrabia de Noirmont postąpił dość lekkomyślnie, ale z przykrością muszę stwierdzić, że pani de Blivet też nie była bez winy. Jednakże to wicehrabia odstąpił ją radży Biharu i dostał za nią największy

diament świata, tak zwany Wielki Diament. Pani de Blivet wydawała się obrażona, a co się z nią dalej stało, nie wiadomo. Wicehrabia natomiast stracił ów diament, bezsprzecznie należący do niego, skoro stanowił dobrowolną zapłatę. Był ranny w czasie szturmu, wyniesiono go z bitwy i już powoli wraca do zdrowia, ale bez diamentu. Ktoś go zrabował, tak sądziliśmy. A otóż byłem przypadkowym świadkiem sceny, dającej wiele do myślenia. W czasie transportu rannych ku wybrzeżu przyplątał się krajowiec, szukał wicehrabiego, usłyszałem słowa, jakie mu przekazał w imieniu radży, czego nie poczytuję sobie za ujmę, bo stało się to rzeczywiście absolutnym, niezawinionym przeze mnie przypadkiem. Musieli być zaprzyjaźnieni, co wyraźnie świadczy o skrytych powiązaniach, ale dajmy spokój polityce. Rzekł mu takie słowa: „Twoją własność ukryłem razem z moją w świątyni Siwy. Oto słowa mego pana”. Wicehrabia, mimo słabości, okazał żywe poruszenie, ale posłaniec znikł od razu. Wydaje mi się, że chodziło o diament, a wicehrabia zna ową świątynię. Może jeszcze odzyska swój kamień, co będę uważał za wielką niesprawiedliwość, bo pani de Blivet, mimo wszystko, nie była jego własnością.

Nasze tereny zajęli Anglicy. Niejaki kapitan Blackhill...

Na tym list się urywał. Popatrzyłyśmy na siebie.

– Ejże...? – powiedziała Krystyna podejrzliwie.

Wiedziałam, co ma na myśli.

– Sądzisz...? – spytałam niepewnie. Usiadła koło mnie i ze zmarszczonymi brwiami zaczęła ponownie studiować kartkę.

– Odnoszę wrażenie, że niejaki kapitan Blackhill zalicza się do naszych przodków – zauważyła cierpko. – Panieńskie nazwisko prababci Karoliny, wpadło mi w oko w testamencie...

Podniosłam się bez słowa, udałam na górę i przyniosłam kserokopię testamentu prababci.

„Ja, Karolina de Noirmont, *de domo* Blackhill...”.

– Jeden pradziadek podwędził diament drugiego pradziadka? – powiedziałam z dużym powątpiewaniem.

Krystyna spróbowała pokiwać się na krześle, ale było zbyt ciężkie. W zadumie wpatrywała się w ścianę naprzeciwko.

– Ciekawe. On nie zginął. Jest. Może go odnajdziecie. Nie cytuję prababci, streszczam. Wielki majątek. Nie widzi ci się przypadkiem, że prababcia miała na myśli ówże diament, rodzinny podwójnie? Co za różnica w końcu, który z naszych pradziadków zdołał nim zawładnąć?

– Wnioskując z radży Biharu, wydarzenie miało miejsce w Indiach – odparłam, również popadając w zamyślenie. – Kto wie? A może...?

Znów popatrzyłyśmy na siebie, rozumiejąc się bez słów. Korespondencja tajemniczego nadawcy, skierowana do równie tajemniczego adresata, rysowała na horyzoncie wielkie nadzieje.

Siedziałyśmy obok siebie bardzo długo w milczeniu, a w środku coś nam rosło i wręcz czułam, jak w niej rosło to samo co we mnie. Niemożliwe było uwierzyć tak od razu w równie imponującą tajemnicę przodków. Nikt za naszego życia o niczym takim nie wspominał, nikt o żadnym diamencie nie wiedział, żadne słowo na ten temat do naszych uszu nie dotarło. Osobliwy list stanowił zaskoczenie i gdyby nie zostały w nim wymienione doskonale nam znane nazwiska, potraktowałybyśmy go lekceważąco. Ale od razu skojarzył się ostro z tą dziwną, pośmiertną korespondencją prababci, skierowaną do jej prawnuczek, i jakby rzucił się na nas.

Wicehrabia de Noirmont, niewątpliwie nasz przodek, wywinął jakiś numer z podejrzaną damą, pozbywając się jej nader korzystnie. Ekwiwalent za damę, wbrew pozorom, nie przepadł. Gdzieś tam został zabezpieczony. No i co? Wrócił do niego czy nie...?

No i prababcia Karolina zapierała się zadnimi łapami, że on jest. Zapierała się, co prawda, fragmentarycznie i w sposób niejasny, ale uparcie nawiązywała do niego, zwalając w dodatku na nas jakby klątwę, czy też przeznaczenie. Miałyśmy go odnaleźć, załatwiwszy bibliotekę, co ma piernik do wiatraka, wrócił do pradziadka i został ukryty w bibliotece...? Nonsens, w co drugim kawałku listu prababcia twierdziła, że go tu nie ma, gdzie w tym sens, gdzie logika?! Ale może jednak, mimo wszystko, pisząc owe tajemnicze słowa, miała na myśli coś, co nosiło nazwę Wielkiego Diamentu i co powinno należeć do rodziny? I nam przypadło w spadku...?

Poczułam, jak robi mi się gorąco i dreszcz przeleciał mi po kręgosłupie. Jak on napisał, ten nadawca...? Największy diament świata...

Ciekawe, jaki rozmiar może mieć największy diament świata...

– Cullinan ważył pi razy oko przeszło trzy kilo – wymamrotała nagle Krystyna. – Porąbali go na kawałki.

Spojrzałam na nią z roztargnieniem. Znów nasza myśl biegła tą samą drogą. Uczynić założenie, że coś takiego istnieje i spróbować odnaleźć? Nęcące, owszem, ale głupie, kto w dzisiejszych czasach trafia na wielkie diamenty, poniewierające się po kątach, on już pewnie dawno przepadł w mrokach historii. Jednakże należałoby się zastanowić...

– Kto do kogo, do cholery, pisał ten list? – zaczęła Krystyna po chwili. – Pradziadek de Noirmont występuje tu jako osoba trzecia. Skąd to się tu wzięło?

Doznałam czegoś w rodzaju jasnovidzenia.

– Adresatem był wielbiciel pani de Blivet – powiedziałam w natchnieniu. – Przybył do naszego pradziadka i rzucił mu korespondencję w twarz, żądając pojedynku. Co do pojedynku, nie mam zdania, ale pradziadek czytał sobie akurat Brantome'a dla rozrywki, może jeszcze nie

wydobrzał po egzotycznych bitwach, listu użył jako zakładki. I cześć. Zostało.

– Może masz rację, nie będę się sprzeczać. Korci mnie prababcia...

– W jakim sensie?

– Tak mi się wydaje, że musiała wiedzieć więcej niż ujawniła w tym dziwnym liście do nas. Skąd...? Nie z tego przecież...?

Potrząsnęła trzymanym w rękę arkusikiem. Już otworzyłam usta, żeby zadać głupie pytanie, ale okazało się, że nie ma potrzeby, znów zgadłam, co ma na myśli. Do Brantome'a prababcia nie dotarła i korespondencji przodka nie czytała, gdyby znalazła list, nie zostawiłaby go w książce, bądź co bądź był to cenny dokument, świadczący o prawie własności.

– Miło ze strony pradziadka, że nie rąbnął klejnotu w wirze bitwy, mordując radzę – zauważyłam marginesowo. – Zdaje się, że nasi protoplaści, oddając się lekturze, nagminnie zostawiali w niej zakładki z tego, co mieli pod ręką. Co tam było? Zaproszenie na piknik...

– Pół zaproszenia.

– W Molierze, o ile pamiętam...

– I cała kartka dziękczynnych głupot...

W części nie tkniętej poszukiwaniem zapisków istotnie znalazłyśmy kawałki korespondencji, tkwiącej od wieków między kartkami książek. W części przejranej nie było nic. Nie stanowiło to wprawdzie żadnego dowodu, ale pozwalało na supozycje.

– Zabytkowej korespondencji, ogólnie rzecz biorąc, powinno być tu więcej... – zaczęłam, ale Krystyna mi przerwała.

– Mnie ten diament interesuje – oznajmiła stanowczo. – Przemawiają do mnie nadzieje prababci, a kto wie, może i rzeczywiście on gdzieś istnieje i uda nam się go znaleźć. Spróbowałabym... Co ty na to?

– Właśnie ruszyłam temat i przerwałaś mi na wstępie – wytknęłam z irytacją i usiadłam przy stole naprzeciwko niej. – W każdym normalnym, współczesnym domu poniewiera się jakaś korespondencja, pamiątkowa albo taka, którą zapomniano wyrzucić, albo zostawiono ze względu na znaczki...

– Jezus Mario...!!! – wrzasnęła strasznie Krystyna i zerwała się z miejsca.

Ściśle biorąc, chciała się zerwać i nawet dokonała próby, ale te krzesła były naprawdę cholernie ciężkie. Siedzisko, zamiast się odsunąć, podcięło jej nogi, runęła na nie z powrotem i teraz już przechył się jej udał, poleciała razem z meblem do tyłu. Odruchowo zerwałam się również i nastąpiło dokładnie to samo, chwalić Boga jednakże byłyśmy młode i dosyć wygimnastykowane, żadna z nas nie rąbnęła jak wór i nie rozbiła sobie potylicy. Udało nam się przekręcić w locie, stłukłam sobie łokieć, a ona biodro. Pozbierałyśmy się wśród licznych krzepiących słów.

– Mogę grzecznie zapytać, co ci się stało, idiotko? – stęknęłam, podnosząc krzesło i ustawiając je na miejscu. – Pozabijamy się tu...

Znów mi przerwała. Krzesło niemal furknęło jej w rękach.

– Idiotka, masz rację, tak! Boże, co za kretyńka, nie masz siostry, masz oślicę! Głupia jestem bezdennie!

– Chętnie się zgodzę z twoim zdaniem...

Usiadła wreszcie i pomasaowała sobie biodro.

– Możesz mi dać po pysku, jeśli chcesz...

– Akurat nie chcę. Łokieć mnie boli. O co chodzi?

– O znaczki. Wtedy, kiedy je zbierałam...

W czasach kiedy koniecznie chciałyśmy różnić się od siebie, ja maniacko haftowałam krzyżykami, ona zaś wpadła w filatelistykę. Miałyśmy po trzynaście lat. Mnie hafty rychło przeszły, jej znaczki

pozostały znacznie dłużej. Zazdrościłam jej nawet, też korciło mnie kolekcjonerstwo, ale nie mogłam jej przecież naśladować, interesowałam się tym w wielkiej tajemnicy.

Zdobywała te znaczki zewsząd, wydzierając koperty całej rodzinie i grzebiąc w starych szpargałach. Jakiegoś wspaniałego łupu dopadła w Perzanowie, naszej zaprzyjaźnionej wsi, do której podobno miałyśmy tajemnicze prawa. Co roku bywałyśmy tam na wakacjach i nie tylko my, ale jeszcze nasza babka i reszta rodziny. Stary Kacperski, uparcie zwany Jędrusiem, twierdził nawet, że gdyby panienki chciały spalić dwór, on słowa nie powie, bo gdyby nie któraś nasza prababka, jego na świecie by nie było. Opowieści krążyły zgoła historyczne, lepiej je znałam niż Krystyna, ale też niedokładnie.

– U Kacperskich na strychu – powiedziała teraz. – Cały kufer tam stał, nie wiem skąd, bo nie wyobrażam sobie, żeby w czasach analfabetyzmu wieś uprawiała taką obfitą korespondencję...

– Ja wiem, skąd – przerwałam. – Mówiłam ci to sto razy, ale nie słuchałaś. To nie ich, to nasze rodzinne. Przyleskich.

– Skąd wiesz?

– Jędrus mi opowiadał. Jak nastąpiła reforma rolna i zabierali Przylesie razem z pałacem... orientujesz się chyba, że Przylesie należało do naszych przodków?

– Tyle wiem, owszem.

– Jego ojciec, niejaki Florek... To znaczy, to nie był ojciec, tylko wuj, a może cioteczny dziadek, nie jestem pewna, pogubiłam się trochę w pokoleniach i pokrewieństwach, w każdym razie adoptował go i robił za ojca. I ten ojciec, Florek, tuż przed upaństwowieniem zdążył zabrać z pałacu trochę różnych rzeczy. Obrazy, portrety głównie, srebra, porcelanę, jakieś drobiazgi i wszystkie papiery. Nie patrzył co ważne, a co nie, kupą

wygarnął i ukrył na strychu u siebie, w Perzanowie. I to właśnie znalazłaś. Mów teraz dalej, bo już zgaduję, że tam było coś interesującego.

Kryśka kiwnęła głową kilka razy.

– Muszę ochłonać i tyłek mnie rąbie. Mam nadzieję, że kość mi nie pękła. Ty, jak myślisz, jeżeli zadzwonimy, ta Petronela przyniesie nam wina?

– Trzeba będzie coś uczcić?

– Sama za chwilę ocenisz. To co, dzwoniemy?

– Ryzyk–fyzyk...

Nie Petronela, czyli francuska Pierette, tylko Gaston, lokaj, powłócząc nieco nogami, przyniósł nam wina z naszych własnych winnic. Było całkiem niezłe. Przyzwyczajone do obsługiwania się samodzielnie, tak rzadko zwracałyśmy głowę wiekowej służbie, że nasze życzenia uważano wręcz za rozrywkę. Może i rzeczywiście nudziło im się okropnie.

– Wypijmy zdrowie tego Florka – zaproponowała Krystyna, unosząc kieliszek.

– Z przyjemnością. A potem ci chyba naprawdę przyłożę, bo już tracę do ciebie cierpliwość. Powiesz wreszcie, co cię rzuciło, czy mam się poważnie zdenerwować?

– Już mówię, ale boję się, że dopiero jak opowiem, to cię szlag trafi. Tak jak mnie. Otóż słuchaj, tam był list... może dwa, ale jeden na pewno. Była w nim mowa o jakiejś historii z diamentem. Wyglądało to nawet sensacyjnie, kryminał jakiś, ale nie skojarzyłam. Rozumiesz, do głowy mi nie przyszło, że to może dotyczyć mnie. Co mnie to w ogóle obchodziło, ty masz pojęcie, jaki znaczek był na tym? Pierwsza Polska cięta, nieząbkowana!

Owszem, to mogłam zrozumieć. Po utajnionych studiach wiedziałam, co znaczy pierwsza Polska, cięta.

– Dlatego zostawiłam całość – ciągnęła Krystyna. – Kopertę razem z listem, z szacunku dla skarbu. I zabij mnie, szczegółów nie pamiętam, ochapia mi się tylko, diament, słuchaj, a może to korespondowało z tym tutaj i mogło coś wyjaśnić...?

– Zabić cię chyba trzeba – zaopiniowałam ze wstrętem. – Może chociaż pamiętasz, od kogo był ten list?

– Głupia jesteś czy co? Skąd?

– O mój Boże, i to ma być moja siostra...! Gdzie to masz? Mam nadzieję, że nie przepadło?

– No coś ty? Nic z mojej kolekcji dotychczas nie sprzedałam, co uważam za cud. Dopiero ostatnio przeleciało mi przez głowę... Ale na szczęście nie zdążyłam.

Podparłam się łokciem, syknęłam boleśnie, wypiłam wino i ostrożnie podniosłam się, z wysiłkiem odpychając krzesło.

– To teraz telefonik, rezerwacja, wsiadasz w samolocik, zawiozę cię, i zaraz wracasz, Z listem. Z dwoma, jeśli jest ich tyle. Jazda!

– Dlaczego ja?

– A kto? Duch Święty? To nie jest gołąb pocztowy!

– A ty co? Od macochy?

– Nie widziałam, żebyś się w łeb rąbnęła, nie wiem, od czego zgłupiałaś! Ja mam gmerać w twoich rzeczach?!!!

Opamiętała się nieco, chociaż, jak zwykle, protest na moje słowa gdzieś się w niej kołatał. Rzeczywiście, miałyby rzucić swoją świętość mnie na pożarcie...

– Mamy jeszcze dosyć pieniędzy? Starczy na te wojaże?

– W najgorszym wypadku notariusz nam pożyczy, lepiej od nas wie, ile mamy. Jak chce, niech sprawdza, że jedna czwarta roboty odwalona...

Postękała na tle biodra, z wysiłkiem stłumiła protest i obróciła tam i z powrotem w dwa dni. Boże, jakie piękne czasy nastały! Sama jeszcze pamiętam, że nie tak dawno trzeba było starać się o paszport na nowo i trwało to co najmniej sześć tygodni...

* * *

Czekając na jej powrót, zrobiłam sobie ferie. Łokieć mnie bolał. Dałam spokój ciężarom w bibliotece i przejrzałam biurko prababci. Znalazłam olbrzymią ilość rachunków, pokwitowań, zapisków gospodarskich, informację, że rok siedemdziesiąty drugi był najlepszy dla wina, które poszło za wyjątkową cenę, z Gastona wydoiłam informację, że trochę tego w piwnicach zostało, aż wreszcie trafiłam na jakieś notatki, chyba prywatne.

Dowód na nasze prawo własności – zapisała prababcia w małym notesiku. – Wiadomości od Florka. Dla pamięci od prababki Klementyny. Wszystko razem w sokołach.

Najpierw policzyłam sobie na palcach, kim była dla nas Klementyna, prababka naszej prababki. Tych prą wyszło mi strasznie dużo, przypominało to zera w naszych obecnych kombinacjach finansowych, po wymianie. Pra–pra–pra–prababka. Przypomniałam sobie, że córką owej Klementyny była nasza pra–pra–prababka Dominika Przyleska, ta, którą po śmierci upaństwowili. Babka naszej babki Ludwiki, rzewnie przez nią wspomianana. Obdarzyła spadkiem wnuczkę z pominięciem córki, dzięki czemu wszyscy przeżyli ostatnią wojnę i cudowne czasy po niej. Zaraz, kto był jej córką...? A, prawda, właśnie ta Justyna, matka prababci Karoliny, de domo Blackhill. Zatem pra–prababka Justyna musiała być żoną kapitana

Blackhilla... nie, zaraz, opanujmy się, ów kapitan setnego roku chyba nie sięgnął, zatem żoną jego potomka...

Mniej więcej ustawiłam rodzinę chronologicznie i zreflektowałam się. Same kobiety, a gdzie dziadkowie? Zaczęłam sobie przypominać na nowo i wyszło mi, że pradziadek Filip, ostatni hrabia de Noirmont, mąż prababki Karoliny, był zarazem synem brata jej babki, a zatem jej ciotecznym wujem. Nie uwierzyłam samej sobie, sprawdziłam jeszcze raz, zapisałam to wszystko, zgadzało się. Małżeństwo w rodzinie, istny cud, że potomstwo nie okazało się zwyrodniałe, odbiłoby się na nas, mogłybyśmy mieć na przykład skrofuły albo wodogłowie...

Następnie zastanowiłam się, co u Boga Ojca jedyne go prababcia miała na myśli, pisząc o sokołach?

W jakich sokołach, do diabła?! Sokoły kiedyś hodowano, polowano z nimi, tresowane były bez mała jak psy, taka sokolarnia, czy jak to nazwać, istniała pewnie w każdym zamku, tu też. Może jeszcze istnieje, bodaj szczątek, może coś w niej udawało się schować...?

Spróbowałam z Gastonem. Dowiedziałam się przy okazji, że kamerdynerem w zamku był przez długie lata jego dziadek, ale o sokolarni nie słyszał. Już za dziadka polowania z sokołami trochę podupadły, chociaż całkiem jeszcze z mody nie wyszły, ale hodowli chyba nigdy nie było. Psy tak, konie również, prawie do ostatnich czasów, ale sokoły...? Gdyby zależało mi na ptactwie, jest kurnik i gęsiarnia...

Dałam spokój sokołom, mogła to być przenośnia. Wróciłam do historii, która zawsze wydawała mi się interesująca, a tu, można powiedzieć, dotyczyła mnie osobiście. Wdałam się w rozpamiętywanie wszystkiego, co słyszałam od dzieciństwa, a teraz mogłam potwierdzić.

Brakowało mi konkretnych dat, które intrygowały mnie z pustej ciekawości i głowiłam się nad nimi aż do chwili, kiedy znalazłam kasetkę,

rozmiarami zbliżoną do kufra, pełną dokumentów urzędowych. Znajdowały się tam akty urodzeń, chrztów, ślubów i zgonów, sięgające blisko czterystu lat wstecz. Okazało się, że mąż prababki, cioteczny wuj, był od niej starszy zaledwie o dziesięć lat, a martwiłam się, być może irracjonalnie, iż młoda dziewczyna poślubiła starego pryka. Nic podobnego, młodzieńca w siłę wieku! Pra–i tak dalej–babka Klementyna urodziła się w Polsce jako hrabianka Dębska, ciekawe, o żadnych Dębskich słowa nie słyszałam, widocznie wymarli. No jasne, powstanie było, styczniowe... Emigracja. Nominacja wicehrabiego de Noirmont na kapitana jakiegoś regimentu w Indiach, czy to przypadkiem nie ten od upłynnienia pani de Blivet i zamiany jej na diament? Daty pasują. Jakiś Rajmund de Noirmont, który zmarł 24 sierpnia 1572 roku w wieku lat dwudziestu sześciu, Jezus Mario, ależ to noc świętego Bartłomieja!

Tyle lat, mój Boże! Może i szkoda, że wujek Wojtek za skarby świata nie chce zostać, bodaj teoretycznie, kolejnym hrabią de Noirmont. Powinno się szanować historię...

Jeszcze siedziałam nad kufrowatą kasetką, kiedy Krystyna wróciła, przywożąc korespondencję.

* * *

– A ty mnie masz za głupią, jeszcze czego – powiedziała wyzywająco na moją niepewną uwagę.

– Będę się pozbywała pereł z kolekcji?! Wszystko z tych kopert przepisałam na wszelki wypadek, a teraz idzie o zawartość. Przeczytałam to już dziesięć razy, proszę bardzo, teraz czytaj ty. Zgadza się, jak w banku!

Z rozcapierzonymi pazurami i dzikim wzrokiem rzuciłam się na przywiezioną korespondencję.

– Oka prawie nie zmrużyłam przez dwie doby – mamrotała dalej z urazą.
– Ten parszywy samolot się spóźnił, w obie strony, jak głupia siedziałam na lotnisku. Musiałam skoczyć do babci, bo tam dużo zostało, pół domu przeszukałam, ktoś robił porządki i wszystko poprzestawiał. Ochapiąło mi się, że coś zlekceważyłam i chciałam to znaleźć, ale wyszło mi, że nic, w ogóle gdyby nie ta pierwsza Polska cięta, o tym liście pojęcia bym nie miała. I oczywiście królowa Wiktorja po półtora pensa, dopadłam jej wtedy jak harpia, ale treść przeczytałam dopiero teraz. Mam dodatkowe wnioski, nie powiem ci jakie, bo ciekawa jestem, czy sama z siebie wyciągniesz takie same...

– Zamknij gębę – poprosiłam grzecznie. – I przestań mi przeszkadzać. Znalazłam tu całą historię. Idź do diabła na razie.

Spełniła moje życzenie, poszła do swojej sypialni i kropnęła się spać. Mogłam oddać się lekturze.

Moja siostra, oczywiście, przywiozła same listy, bez kopert, które razem ze znaczkami i stemplami stanowiły skarby bezcenne. Na szczęście miała tyle przyzwoitości, że chroniąc przede mną owe koperty, nazwiska i adresy z nich pozapisywała na marginesach odpowiednich kartek korespondencji i dzięki temu wiedziałam przynajmniej, kto i do kogo pisał.

Od razu zaczęłam się dziwić. List z Polski do Anglii, pisany po francusku przez Ludwika de Noirmont, znalazł się w Perzanowie, no nie, w Przylesiu, ale to też u nas. Jakim sposobem? Do Anglii doszedł, jeśli już ocalał, powinien był tam zostać. Zaraz, do kogo pisany...? Adresat, hrabia Waław Dębski... Co miał do niego hrabia de Noirmont? A, teść... Drogi ojciec mojej żony – pisał ów Ludwik, całość utrzymując w żartobliwym tonie, mimo wagi tematu. Musieli być zaprzyjaźnieni, moment, niech sprawdzę, jak to było, co hrabia de Noirmont robił w Polsce i kim był jego teść, Dębski...?

Archiwum z kufrowatej kasetki okazało się przydatne w stopniu wręcz wstrząsającym. Nie ośmieliłabym się marzyć o takiej pomocy naukowej, a weszła mi w ręce, niczym z niebios zesłana. Pogrzebałam w tym, no oczywiście, Ludwik de Noirmont to był mąż pra–pra Klementyny, a jego teść, to jej ojciec, hrabia Dębski. Data... kiedy to... a, wojna francusko–pruska, oblężony Paryż, zapewne pojechali do Polski, gdzie istniała chyba jakaś rodzina, i woleli tam przeczekać tutejsze zamieszanie. Pra–i tak dalej–dziadek Dębski siedział w Anglii, wszystko jedno dlaczego. Korespondencję zachował, skąd jednak znalazła się w Polsce? Może przywiózł...? Nie, wykluczam, nie mógł przyjechać po udziale w powstaniu styczniowym, może zatem umarł i wszelkie papiery po nim odesłano do posiadłości przodków...? Ludzie w tamtych czasach mieli zwyczaj robić paczki z listów, owiązywać je wstążeczką, pisać na wierzchu, do kogo należą i komu przekazać, a uczciwi notariusze rzetelnie spełniali polecenia z za grobu.

Dlaczego w ogóle pradziadek Dębski siedział w Anglii? Pochodził z Polski, zamężną córkę miał we Francji... A, wszystko jedno.

Pozostawiając na uboczu kwestię wojaży pradziadka, przeczytałam wreszcie ów list i zdaje się, że dostałam wypieków. Pra–pra–pra–pra–pradziadek Ludwik zawiadamiał jeszcze więcej pra–dziadka Dębskiego o przedziwnej aferze, która podobno dawno temu wybuchła w Anglii, a dotyczyła ogromnego diamentu, o czym dowiedział się od warszawskiego jubilera, niejakiego Krepla. W wyniku afery ktoś popełnił samobójstwo, podobno pułkownik George Blackhill, podejrzany o rabunek, czy coś w tym rodzaju. Diament pochodził z Indii. Ciekawi go ta historia i prosi o szczegóły, o ile drogi teść zdoła je zdobyć. Jubiler Krepel twierdzi, że głównie kręcił wszystkim niejaki sir Meadows, też jubiler, może to służyć jako wskazówka.

Chwyciłam drugi list. Jak psu z gardła wyjęty, pognieciony, bez początku i końca, kto, u diabła, tak źle go traktował? Krystyna czy adresat? Jeśli moja siostra, zabiję ją, wykopię z zamku, niech jedzie i szuka brakujących kartek! W każdym razie musiał stanowić odpowiedź dziadka Dębskiego, bo przyszedł z Londynu do Przylesia w miesiąc później. Widocznie przez miesiąc pradziadek zbierał informacje i plotki.

...że wielki jak pięść, to jeszcze podobno podwójny, jak dwa jajka razem zrosnięte, tak o nim mówią, głównie sir Meadows. Nie pojmuję, skąd im się to bierze, bo nikt go na oczy nie widział, za wyjątkiem nieboszczyka Blackhilla, który go opisywał. Ale podobno opisywał dokładnie, a sam był pedantem, więc mu uwierzono. Podejrzenia na niego padły, jakoby symulował uczciwość, w tym właśnie celu, aby bezkarnie dokonać rabunku w owej świątyni, którą miał pod opieką. Plotki krążyły, że ów diament należał do jakiegoś Francuza, który go utracił, ranny w bitwie, ale o tym mówi się bardzo mętnie. Wdowa po pułkowniku poślubiła bratanka o tym samym imieniu, z czego zgorzenie nawet było, ale już dawno przycichło i syn z tego związku chowa się bez nijakiej dyskryminacji. Diamentu w domu pułkownika, rzecz to oczywista, nikt nie szukał, skoro wolał śmierć niż dyshonor. Potem jeszcze jakaś gwałtowna śmierć u nich nastąpiła, ale to nikt znaczny, osoba ze służby, policja sprawę badała, przypadkiem wiem, że niejaki inspektor Thompson z Londynu, podobno jeszcze żyje. Tyle mi na owym raucie sir Meadows powiedział, a lady Arabellę Blackhill widziałem na własne oczy i muszę wyznać, że mimo wieku, rzadko która młoda panna może się z nią równać urodą...

Na tym się urywało. Talentem śledczym pradziadek raczej się nie wykazał, chociaż możliwe, że na brakujących stronach było więcej konkretów, ale i tak napisał, jak dla mnie dosyć.

Diament zaczął nabierać rumieńców.

Jeżeli afera na jego tle wybuchła w Anglii, znaczyłoby to, iż opuścił Indie i przeniósł się do Europy...?

Istniał w ogóle. Nie był mitem i legendą. Pułkownik–pedant dla fantomu nie popełniałby samobójstwa. Skoro istniał, odnalezienie go wkraczało w dziedzinę realiów...

Krystyna przywiozła tej korespondencji więcej, musiała spędzić na grzebaniu w swojej kolekcji ładne parę godzin, nic dziwnego, że była niewyspana. Należały się jej słowa uznania za przechowanie filatelistycznych skarbów w całości bez dewastacji zawartości kopert.

Kolejną lekturę stanowiła elegancka kartka, na której pan Meadows prosił hrabiego Dębskiego o przesunięcie terminu spotkania, bo musi wyjechać w interesach. Niewykluczone zatem, że nieco później przyszedł jeszcze jeden list, uzupełniający tę diamentową wiedzę.

Następny list, skierowany do pani Dominiki Przyleskiej, pochodził od londyńskiego notariusza i z wielką boleścią zawiadamiał o spadku papierów wartościowych i znacznym ubytku majątności. Pra–pra–prababka Dominika, znaczy, zubożała, to primo, a secundo, majątności miała w Anglii i zaraz, to chyba tłumaczy pobyt w Anglii pradziadka Dębskiego? Pilnował forsy. Prababcia zubożała nieco później. Ciekawa rzecz, skąd, u licha, wzięła jeszcze mienie dla babci Ludwiki? Starczyło w końcu tego mienia na nasze mieszkania, a i dziś babcia biedy nie cierpi. Boże jedyny, ci nasi przodkowie musieli być cholernie bogaci!

Zostawiłam przodków na marginesie i przeczytałam następną epistolę, dość krótką, ale za to kompletną, w której pra–prababka Justyna donosiła swojej matce o zaręczynach z lordem Blackhillem, którego wszak droga mamusia doskonale zna, bo spotykały go w Nicei i chyba nie ma nic przeciwko temu, a babcia również pozwala. Miała straszne przeżycia,

zanim przyjechała do Anglii, zdenerwowała się okropnie trucizną w sokołach, ale to się już wyjaśniło i wszystko opowie osobiście przy najbliższej okazji.

No i masz, znów sokoły!

Zaraz, jej babcia to kto? A, ta od Ludwika, Klementyna de domo Dębska. Wariactwa dostanę z pewnością przez tę mieszaninę pokoleń!

Ogólnie jednak Krystyna miała rację, zgadzało się jak w banku. Ten jakiś wielki diament istniał i tajemniczo przepadł, a otóż właśnie nie wiadomo, czy przepadł, bo prababka Karolina wyraźnie usiłowała nas przekonać w tych dziwnych początkach listu, że nic podobnego, wcale nie przepadł, tylko jest. Ratunku. W każdym razie wyraźnie widać, że przepadanie rozpoczęło się w Anglii i tam tkwią korzenie całej imprezy.

Czy nie z tej przyczyny prababcia zaparła się przy bibliotece? W końcu tam właśnie, wśród książek, znalazłyśmy pierwszą, bezcenną informację. Zioła mogły stanowić tylko pretekst...

Zniecierpliwiona do szaleństwa, doczekałam jednak samodzielnego obudzenia się Krystyny, bo i tak, niewyspana, byłaby do niczego. Samodzielnego obudzenie się nastąpiło o jedenastej wieczorem.

– No i co? – spytała z zainteresowaniem, siadając do kolacji, którą służba, w postaci Gastona i Pierette, celebrowała z wyraźnym upodobaniem. Widocznie bez grymasów państwa nudziło się im śmiertelnie.

– Ile miałaś tych wniosków? – spytałam wzajemnie. – Jeden czy więcej? Bo ja mam dwa.

– No proszę, ja też dwa. Ale jeden jest prosty, a z drugiego jestem bardzo dumna i tylko ten liczę. No? Co ci wyszło?

– Po kolei. Primo... daj tę cytrynę, nie chroń jej przede mną, cytryny stanowią tu produkt pospolity... Zastanawiałam się, skąd w Polsce list, który

poszedł do Anglii. Oni żadnych listów nie wyrzucali, przechowywali wszystkie jak leci. Przypuszczam, że pradziadek umarł, obojętnie gdzie, byle nie w Noirmont...

– Bo co?

– Bo w Noirmont zostałyby w Noirmont. Tak sędzę. Umarł gdzie indziej, a jego papiery wysłano do rodzinnego gniazda, chyba do wnuczki, do Przylesia. Istnieje możliwość, że gdziekolwiek jechał, woził wszystko ze sobą, ale głównie siedział w tej Anglii, zapewne miał tam jakiś dom. Do kraju nie wrócił, więc w grę wchodzi przesyłka, cała korespondencja i wszelkie dokumenty pojechały do Przylesia.

– No więc! – wykrzyknęła Krystyna z triumfem i machnęła widelcem, z którego zleciał jej kawałek królika w sosie koperkowym, Wpadł, na szczęście, do salaterki z sałata, nie tykając obrusa. – Też to wymyśliłam! Chociaż mam wrażenie, że Przylesie to nie po tamtym pradziadku... Ale rodzina. I z tego wniosku jestem szalenie dumna, bo nie moja dziedzina i o historii gówny wiem. Z tym że myślałam, że przyjechał i przywiózł to ze sobą, właśnie tak, jak mówisz. Dlaczego uważasz, że do kraju nie wrócił?

– Bo był powstańcem styczniowym. Jak tylko wrócę, pogrzebię u Kacperskich, może coś się tam znajdzie. Intryguje mnie, jakim cudem ocalili majątek, jego córka, pra–pra... czekaj, muszę liczyć na palcach, pra–pra–pra–prababka Klementyna miała posag, co wynika z intercyzy ślubnej...

– Skąd wiesz?

– Widziałam intercyzę. Znalazłam tu rodzinne dokumenty, fantazja, możesz sobie też poczytać, jak będziesz chciała. Jej tatuś siedział w Anglii, ulic tam chyba nie zamiatał, po pierwszej wojnie światowej jeszcze mieli co tracić, a nawet po drugiej im trochę zostało. A powstańcom styczniowym skonfiskowali całe mienie. Pradziadek był emigrant, jeśli za wielką łapówkę

nie załatwił sobie amnestii, a ta Anglia wskazuje, że nie załatwił, nie mógł przyjechać, bo kibitka już na niego czekała. Papiery po nim jednakże mogli przysłać, uczciwy notariusz takie rzeczy załatwiał.

– No dobrze, rozumiem. Chcesz wina?

– Pewnie, że chcę. Jak ci się ono widzi?

– Znakomite. Co to jest?

– Nasze własne z siedemdziesiątego drugiego roku. Był to najlepszy rok na wina, trochę nam zostało i wycygałam flachę od Gastona. Żeby nas uczcić.

– Bardzo praktyczną wiedzę zyskałaś z tych dokumentów rodzinnych – pochwaliła Kryśka, oglądając butelkę. – Może ja też poczytam. No, wal dalej. Ten drugi wniosek?

– Zdaje się, że nie ma siły, trzeba jechać do Anglii.

– Właśnie. Samo się nasuwa. Przelałam na kartę kredytową całą resztę pieniędzy, bo byłam pewna, że też na to wpadniesz. Znalazłaś tu coś jeszcze?

– Owszem – powiedziałam jadowicie. – Sokoły.

Kryśka o mało nie wylała wina na siebie.

– No wiesz! Ona, któraś tam prababka, zdenerwowała się trucizną w sokołach! Ja się tej lektury nauczyłam na pamięć! Co to znaczy?

Wzruszyłam ramionami i przysunęłam sobie marynowane oliwki.

– Duch Święty jestem? Już próbowałam się popytać, bez rezultatu...

Powiedziałam jej wszystko, co odkryłam przez czas jej nieobecności, i nic nam z tego, w kwestii sokołów, nie wynikło. Snując rozmaite przypuszczenia, co jedno to głupsze, skończyłyśmy kolację i na dalszy ciąg rozważań udałyśmy się do gabinetu. Zebrałyśmy do kupy całą uzyskaną wiedzę o diamencie.

– Wreszcie rozumiem prababcię – oznajmiła Kryśka. – Diament ma być podwójny, a nas jest dwie. Bliźniaczki. Pewnie omen. Zawiadamiam cię uroczyście, że jeśli uda nam się go odnaleźć, do końca życia złego słowa nie powiem przeciwko bliźniętom. Sama jestem gotowa takie świństwo urodzić!

– W ostateczności mogę i ja – zaofiarowałam się szlachetnie. – Czekaj, popatrzmy na to chronologicznie...

– I na wszelki wypadek przepiszymy sobie oddzielnie wszystkie nazwiska. Daj kawałek papieru...

* * *

Chciałyśmy tego diamentu. Nie miało znaczenia, w jakim stopniu odzyskanie go było realne, pragnienie od razu stało się silniejsze niż rozum. Rozwiązywał nasze życiowe problemy, skomplikowane finansowo, mimo ogólnej zamożności rodziny. Spadek po prababci dawał dużo, ale jeszcze nie umiałyśmy tego w pełni ocenić. Noirmont musiało zarabiać na sobie tymi krowami, drobiem i winem, zysku dodatkowego nie było, wydawało się, że ogólnie zdobywamy zaledwie połowę tego, na czym nam zależało.

A zależało nam cholernie, obu z tego samego powodu. Przez chłopca. Krystyna już się przyznała do Andrzeja, normalny maniak, średnio sytuowany, uparł się przy swoich badaniach i jakaś pracownia analityczna była mu potrzebna jak powietrze. Twierdził z rosnącym uporem, że w przyrodzie istnieje lekarstwo na raka i on ma szansę je odkryć. Nie popuści, taki Judym cholerny. Na szczęście resztę charakteru miał więcej do życia i Krystyna mu w tej pracy nie przeszkadzała, przeciwnie, chętnie by ją widział przy swoim boku, jako pomoc i współpracowniczkę. Podział zajęć, ona

kombinuje forszę, a on odwała robotę, nie śpiąc po nocach, bo mu coś tam w naczyniu bulgocze. I olejki eteryczne musi łapać, pewno za ogon.

Krystyna siedziała w komputerowej łączności, mogła się przestawić na komputerowe analizy bez trudu, ale musiała zarabiać. Duży zastrzyk finansowy rozwiązałby jej tę sprawę.

Ja swojego jeszcze ukrywałam, głupio mi było ujawnić własne zidiocenie. Sytuację miałam akurat odwrotną. Pawełek był monstrualnie bogaty w trzecim pokoleniu. Cichutko bogaty, bez rozgłosu, bo zaczął jeszcze jego dziadek w niesprzyjających czasach, wdał się w międzynarodowe interesy, co było bardzo źle widziane i forszę musiał ukrywać. Puścił na swoje ślady syna jedynaka, któremu było łatwiej, ale ujawnić mienie mógł dopiero Paweł, i to w ostatnich latach rozkwitu gospodarczego, o ile ten generalny odgórny kant można nazwać rozkwitem. Z kantu korzystać nie musiał, wszyscy oni po kolei mieli talent do biznesu i stan posiadania Pawełka przekraczał moją wiedzę matematyczną. Nigdy nie zdołałam zapamiętać, jak się nazywa to coś, z taką ilością zer, znany mi z nazwy miliard to była dla niego suma na drobne wydatki.

Już od dziadka pokutowało w nich przekonanie, że baby lecą na forszę. Dziadek urodą nie grzeszył, ojciec był już znacznie przystojniejszy, a Paweł... lepiej nie mówić. Same mi się ręce do niego wyciągały i nie tylko mnie. Matki były pięknymi kobietami i stąd wzrastające walory zewnętrzne synów.

Mimo to żywił pewność, w genach chyba zakodowaną, że nic z tego, mógłby wyglądać jak małpa, i też dziwy by go opadły. Uczucia ukrywałam także i przed nim, udawałam, że go wcale nie chcę. Marzyłam o zdobyciu samodzielnie wielkiego majątku, jaguarem chciałam jeździć, rolls-roycem, mieszkać w willi z elektroniczną kuchnią, której bałabym się śmiertelnie, mieć łazienki wykładane delftami, meble nie, na ludwikach siedziało się

niewygodnie, komódki ewentualnie i sekretarzyki. Karnawał w Rio spędzać na własny koszt, nawet tym jachtem parszywym dysponować. Może by wtedy wreszcie zmienił zdanie.

Ambicja mnie ogłuszyła, ale rozum miał w tym swój udział. Lecieć na mnie, owszem leciał, nie był dziwkarzem, baby lały mu w ręce nachalnie, ale nie szedł po linii najmniejszego oporu, wybierał starannie i wyglądało na to, że wybrał mnie. Ale w jego upodobaniu ciągle tkwił cień lekceważenia, biedna sierotka, którą jaśnie pan podniesie, bosą i obszarganą, z zakurzonej drogi, posadzi na tronie i kawiozem nakarmi. Ciemno w oczach mi się robiło od czegoś takiego, zaczynałam zazdrościć Krystynie, bez wielkiego majątku nie miałam szans przekonać go, że mam gdzieś jego forszę. To znaczy owszem, uwierzyłby, nie zarzucałby mi perfidii i łgarstwa, ale jakiś tam ślad przekonania w głębi duszy by mu pozostał, nieudolnie zakłajstrowany.

Nie chciałam tego. Umiałam sobie wyobrazić, co by z takiej sytuacji wynikło. Głupie szynszyle na gwiazdkę mogły stać się kamieniem obrazu i ciosem sztyletu w serce. A samochód...? Gdybym sama kupiła sobie tego rolls-royce'a, zabrakłoby mi w sklepie na mydło i filety z morszczuka i co, miałabym wymówić takie głupie słowa: „Pawełku, daj pieniędzy...”? Ależ przez usta by mi nie przeszło, udławiłabym się na śmierć!

Nie, za nic. Nie ustawię się w roli małej kurewki na utrzymaniu milionera, chyba takiej, co milionerem pomiatą... O, nie, też do kitu, primo, Paweł nie nadawał się do pomiatania, a secundo, pomiatanego bym nie chciała, odpadał w przedbiegach.

Za to, gdybym mogła, przy tych szynszylach, dać mu nawzajem w prezencie bliźniaczą połowę największego diamentu świata... O tak, to by mi wreszcie rozwiązało ten supeł! Inaczej czekało mnie najgorsze, dziki upór i rezygnacja z Pawła. I żał do końca życia, ściśle spojony z

niepewnością, czy to w ogóle miało jakiś sens, czy nie należało plunąć na honor i ambicję, poddać się, pogodzić z jego kretyńskim zdaniem o kobietach, a za to mieć go dla siebie chociaż przez jakiś czas... Niezbyt długi, bo jedno, czego byłam pewna, to to, że długo bym nie wytrzymała.

Okropne. Kiedyś wysiłki czynili mężczyźni, a baby siedziały na tyłku i czekały, co im z tego wyjdzie. Wolałabym...? A skąd! Baba wisząca na chłopie to ohyda, nie człowiek. Z dwojga złego preferowałam sytuację obecną.

Możliwe, że była to głupota śmiertelna. No to co?

* * *

Notariusz, z wielkim wahaniem i wyraźną niechęcią, obiecał nam w razie czego zaliczkę na poczet spadku, zamieszkałyśmy zatem w dwóch hotelach, średnim, Grosvenor, i tańszym, Eden Plaża. Grosvenor był wygodniejszy i trzy razy droższy, z góry uzgodniłyśmy, że będziemy się wymieniać. Mogłyśmy, być może, zatrzymać się u rodziny, ale wyliczyłyśmy sobie stopień pokrewieństwa z obecnym lordem Blackhillem i wyszło nam, że jest on bratankiem prababki Karoliny, zatem stryjecznym bratem naszej babki Ludwiki, zatem, naszym stryjecznym dziadkiem. Trochę daleko, poza tym lord. Niby my też hrabianki po kądzieli, ale jednak.

– Nie będę robiła za ubogą krewną – uparła się Krystyna. – Mogę iść z wizytą jako arystokratka na własnych śmieciach, to zrobi lepsze wrażenie. Znasz ich, nie uznają innych narodowości.

Znałam ich tak samo jak ona i też wolałam niezależność w hotelu. Wizyta jednak była niezbędna, bo gdzież miałyśmy szukać zapisków sprzed blisko dwustu lat, jak nie w ich rodowej siedzibie. Zabrałam ze sobą

stosowne dokumenty i pokrewieństwo mogłyśmy z łatwością udowodnić. Miałam pomysł.

– O diamencie ani słowa – ostrzegłam na wstępie, a Kryśka energicznie pokiwała głową. – Nie daj Boże, znów wybuchnie ta afera sprzed wieków. Wystąpimy w jednej osobie, jako ja...

– Dlaczego ty? – zaprotestowała natychmiast.

– Głupiaś. Bo to ja jestem historykiem, nie ma znaczenia, że sztuki. Piszę coś o zamierzonych powiązaniach rodzinnych, dzieje rodu Noirmontów, z przyległościami. Ród Noirmontów połączył się z rodem Blackhillów, ze starej korespondencji wiem, że prababka, jak jej tam, Arabella była piękną i coś tam wyskoczyło głupiego, więc oczywiście muszę się cofnąć do niej i niech dadzą papiery do wglądu...

– Po cholere mi te duperele opowiadasz tak szczegółowo?

– Przeciwnie, streszczam. Musisz to wiedzieć, bo może się zdarzyć, że mnie zastąpisz. Obmyślmy to. Z wizytą pójdę do nich sama.

– A jakby się zróżnicować? Wbiję się w tę perukę, makijaż, okulary...

– I tak będziemy podobne.

– Jako siostry, mamy prawo, byle bez przesady. Poświęcę się, pójdę w spodniach i na płaskim, a ty na obcasie. Kupię jakieś pepegi...

Doceniłam jej ofiarność, obie lubiłyśmy wysokie obcasy i obuwia na niskich nie miałyśmy wcale, niemniej zgorszyłam się.

– Oszalałaś, na wizytę musisz mieć eleganckie!

– Ale tandetne. Tekturowe lakierki. Nagminnie ich używać nie będę, tego możesz być pewna.

– No dobrze. Ale skoro masz być przy tym, całe to gadanie przestaje być potrzebne. Chociaż myślałam, że ja pójdę do dziadka, a ty do biblioteki. Obejrzyj prasę z tamtych czasów.

– Pali się? Zdążę później. Dzwonimy.

– Może list...?

– Zgłupiałaś, czasy ci się mylą. Telefon jest od tego, żeby się nim posługiwać. Spytam o numer.

Naradę odbywałyśmy u niej, dokąd przyszedłam po południu w peruce i ciemnych okularach. Informację telefoniczną załatwiła błyskawicznie, rozmawiała z gosposią, czy może pokojówką. Okazało się, że lord Blackhill przebywa w swojej wiejskiej rezydencji, a jego syn, Blackhill młodszy, mieszka gdzie indziej, na peryferiach, prawie za miastem. O tej porze zapewne jest w drodze do domu. Numeru telefonu rezydencji obcej osobie nie poda za skarby świata, bo nie wie, czy wolno.

– Nie to nie – mruknęła Krystyna pod nosem i znów połączyła się z informacją. Czekałam cierpliwie.

Pomoc domowa Blackhilla młodszego, Williama, bez oporu poinformowała, że spodziewa się państwa dopiero wieczorem, koło ósmej, a może nawet później. Krystyna wyjaśniła uprzejmie, że jest rodziną, i odłożyła słuchawkę. Nazwisko i tak im nic nie powie, wątpię nawet, czy bodaj słyszał o Noirmontach, nie wspominając o jakiejś tam Jezierskiej. Dobra, prujemy do biblioteki...

Rok wydarzeń był nam znany, afera wybuchła mniej więcej w 1858. Rychło wyszło na jaw, że pod sam koniec, przejrzałyśmy jedenaście miesięcy bez żadnego rezultatu, dopiero w grudniu pojawiła się pierwsza, delikatna wzmianka na temat rabunku hinduskich klejnotów. Pisał ją jakiś wróg Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, bo w podtekście i między wierszami dyplomatycznie szkalował jej pracowników. Gdyby zbrutalizować jego utwór, byli to sami złodzieje, oszuści i rabusie, po których można spodziewać się najgorszego. Coś podobnego musiało mieć dalszy ciąg, nawet gdyby nie dotyczyło diamentu, ale nie zdołałyśmy tego

dopaść, bo nam zamknęli bibliotekę. Pozostało już tylko czekanie na powrót kuzyna do domu.

– Co on jest nasz? – spytała Krystyna, wychodząc na ulicę. – Syn stryjecznego dziadka...

– On właściwie nie jest naszym stryjecznym dziadkiem – przerwałam jej z lekkim zakłopotaniem. – Stryjeczny dziadek to byłby brat dziadka w prostej linii, a on, ten dziadek, jest, czekaj... stryjeczny, nie, to brat ojca, a brat matki to wuj... wujecznym bratem babci Ludwiki. Więc dla nas dziadek wujeczno–cioteczny, a jego syn... no, jedno wujeczny trzeba dodać...

Krystyna słuchała z wyraźną zgrozą.

– Zwariowałaś, i ty chcesz to wyjaśnić temu Anglikowi?!

– On nie jest całkiem Anglikiem. Jest mieszańcem francusko–angielskim, z domieszką polskości. Może zrozumie...

– Kundel, znaczy – zaopiniowała stanowczo moja siostra. – Kundle są mądrzejsze od rasowych. To ja kicham na formy, jedziemy tam od razu, jak go jeszcze nie będzie, zaczekamy w pobliżu. Cholera. Szkoda, że nie wzięłaś samochodu!

– I miałabym jeździć tą idiotyczną lewą stroną, jeszcze czego! Zrobimy złe wrażenie.

– A tam. Nie chcemy go przecież za męża...? Zresztą zrozumiałam, że jest żonaty. Poza tym, widząc przed sobą niewychowaną dzicz, powie nam wszystko, co wie, żeby się nas prędzej pozbyć.

– Z całej jego wiedzy potrzebny jest nam telefon jego tatusia. Ale możemy zadzwonić z najbliższej budki, no dobrze, szukaj wychodka. Przebieramy się.

– Po co?!

– Bo mam być ja, jako ja. Ty, jako ja, też będziesz wyglądała normalnie.

To do niej przemówiło. Zamieniłyśmy się włosami, oddałam jej okulary, zmasałam z ust jaskrawą szminkę, Krystyna poszerzyła sobie brwi. Ciągłe byłyśmy do siebie upiornie podobne, ale już nie takie identyczne.

Dom kuzyna okazał się normalną, tyle że bardzo dużą i elegancką willą, niedaleko Hampton. Widocznie miał królewskie ciągoty. Ze stacji pojechaliśmy taksówką, uzgodniwszy między sobą, że dzwonić jednak nie należy. Jeszcze by nas umówił na pojutrze albo zgoła za tydzień, a zaczynało nam brakować cierpliwości. Lepiej zatem było zadziałać przez zaskoczenie i niech nas uważa za dzicz, jeśli mu to sprawi przyjemność.

Przypadek był po naszej stronie. W chwili kiedy płaciłam taksówkarzowi, a Krystyna szukała dzwonka na bramie ogrodzenia, podjechał mercedes i otworzył sobie tę bramę elektronicznie, niewątpliwie pilotem. Zrezygnowałam z reszty pensów, które taksówkarz wygrzebywał z portmonetki, i obie weszłyśmy do środka, tuż za wjeżdżającym mercedesem. Spokojnym krokiem bez frywolnego skakania i biegania. Dzicz, proszę bardzo, mogłyśmy robić za dzicz, ale zarazem damy.

Wjeżdżająca całość, mercedes i osoby w środku, również zachowała spokój. Zatrzymała się przed drzwiami garażu, facet uniósł wrota, również pilotem, ale musiałyśmy stanowić rażący dysonans, bo nie wjechał do wnętrza, tylko wysiadł. Z drugiej strony wysiadła osoba żeńskiej płci.

Byłam ciekawa, co też nasz krewniak powie. Przez całe wieki oni mieli kłopoty z odzywaniem się do obcych ludzi, którzy nie zostali im przedstawieni, a kuzynek, najwyraźniej w świecie, ze swojej sfery nie wyszedł, mimo skromniejszego miejsca zamieszkania. No i powiedział. Cudo!

- Proszę się stąd oddalić. To jest prywatny teren.
- Gdybyś pojawił się przed NASZYM domem, z pewnością nie zostałbyś wyrzucony – strzeliła z miejsca Krystyna językiem niemal

piękniejszym od jego oksfordzkich wytworności. – Mamy zwyczaj gościnniej przyjmować rodzinę.

– Nawet jeśli pojawia się zniecka i bez uprzedzenia – dodałam godnie.

Kuzynek jakby zbaraniał i zapomniał ludzkiej mowy. Wtrąciła się dama, bez wątpienia małżonka.

– Rodzinę...?

Wzięłam w ręce dalszy ciąg konwersacji, rozpoczętej tak mało entuzjastycznie.

– Pan Blackhill zapewne? Szukamy naszego kuzyna, Williama Blackhilla. Proszę wybaczyć nagłe najście. Czy nasz stopień pokrewieństwa mam wyjaśnić tu, czy też jednak, mimo wszystko, zostaniemy zaproszone do domu? No, trawnik piękny...

Z drzwi wyrzało coś jakby lokaj. Kuzynek pomyślał widocznie, że przy pomocy męskiej siły zawsze zdoła nas wyrzucić, bo jakoś oprzytomniał. Owszem, zostałyśmy zaproszone do domu.

Dokumenty praprababki Justyny zamierzałam pokazywać dopiero wujeczno-wujecznemu dziadkowi, ale miałam je przy sobie, i to nawet w eleganckim portfelu. Rzecz jasna kopie, oryginały, na sztywnych kartonach, musiałabym wozić w walizce.

O swoim pradziadku, Jacku Blackhillu, William Blackhill słyszał i pamiętał nawet, że ów pradziadek poślubił cudzoziemkę. Z tego związku, istotnie, urodziła się najpierw córka, a potem syn, zostało to zapisane w rodzinnych archiwach. Córka, zdaje się, opuściła kraj, wracając do strony francuskiej, po kądzieli, po czym, oczywiście, miała prawo do potomstwa...

Przypomniał sobie to wszystko z wielkim wysiłkiem i nie bez pomocy z naszej strony, ale jednak, po czym, już bez żadnego oporu przyjął do wiadomości nasze pochodzenie. Rzeczywiście, byliśmy rodziną. Z wielką galanterią przeprosił za niesympatyczne przyjęcie i prawie zaczął się

wahać, czy nie zaprosić nas na kolację, ale zdjęłam z niego ten ciężar. Zeszłam z drzewa genealogicznego i przeskoczyłam na własne potrzeby, piszę tę pracę historyczną o związkach wielkich rodów, wiem, że ród Blackhillów zawierał w sobie jakiś zygzak, muszę się cofnąć jeszcze o stulecie i tak dalej. W oczach żony, czujnie śledzącej naszą rozmowę, dostrzegłam błysk ulgi, a kuzynek William rozpromienił się wyraźnie. Ależ tak, oczywiście, wszystko znajdę u ojca, w rodzinnym archiwum, z pewnością zostaniemy powitane życzliwie, ojca bardzo ucieszy pomysł opracowania historii rodziny, a zygzak był, zgadza się, przeszło sto lat temu tytuł przeszedł na boczną linię. Syn, zdaje się, trzeciego brata, bo starsi zmarli bezpotomnie...

Tu się nieco zająknął. Wiedziałałam doskonale, że doszedł właśnie do owej nadludzko pięknej Arabelli i musiało mu zamajaczyć coś o dawnym skandalu.

– Oczywiście – rzekł. – Tuszę... Mam nadzieję... Pewne sprawy... Nieistotne szczegóły... Niekoniecznie muszą być eksponowane. Różne błędne interpretacje... – I nagle ucieszył się. – O właśnie, różne błędne interpretacje przy tej okazji będzie można skorygować!

Z tym poglądem zgodziłam się chętnie, aczkolwiek wcale nie byłam pewna, czy korekta przypadnie mu do gustu. Upewniłam się, że do dziadka możemy zadzwonić, umawiając się na wizytę, zapisałam numer telefonu, wdzięcznie przyjął obietnicę, że on też zadzwoni i niejako nas zarekomenduje, po czym zaczęłam się żegnać. Krystyna starała się być niewidoczna, chwilami tylko pogadując na stronie z małżonką. Państwo domu nie zatrzymywali nas wcale, chociaż pożegnanie wypadło znacznie czulej niż przywitanie. Lokaj, a może to był w ogóle taki sługa do wszystkiego, odwiózł nas na stację.

– Głodna jestem cholernie – powiedziała z irytacją Krystyna, na wszelki wypadek już po opuszczeniu pojazdu. – Wyobrażasz sobie ich u nas i żeby im nie dać nawet herbaty?

– Chyba też byli głodni i dlatego tak skwapliwie nas się pozbyli. Czy ja wiem... Co byś im dała? Bo ja mam w domu żółty serek i jajka.

– I wino masz, widziałam. Zostawiłam w lodówce paczkowaną szynkę i zdaje się, że gdzieś się poniewiera spleśniały pumpernikiel. Może masz rację... Ale ja nie mam służby, a w ogóle miałam na myśli babcię!

– U babci owszem, zgadza się, całą kolację by zeżarli. Jadę do ciebie, bo Eden Plaza nie ma restauracji. Doskonały hotel na odchudzanie.

– Przebieramy się?

– Po co? Wystąpię jako ty. Nie będą pamiętać, w co byłaś ubrana. Potem wyjdę jako ta druga, najwyżej zamienimy kiecki. Jak jej na imię?

– Komu, do diabła?

– Naszej wujence. Może przypadkiem wiesz?

– A... Wiem. Zwyczajnie ją o to spytałam, zaraz na początku. Sheila. Nie dla urody ją poślubił, to pewne, wyjątkowo podobna do konia.

– To przez te zęby. Słuchaj, jak myślisz, co w nich było? Odniosłam wrażenie, że jakaś ostrożność. Nie w stosunku do nas, bo później się rozkrochmalili, ale ogólnie. Jakby czegoś pilnowali.

Krystyna zastanowiła się, patrząc przez okno pociągu, który właśnie ruszał. Wsiadłyśmy do niego, nie przerywając plotkowania.

– A wiesz, że chyba rzeczywiście... O rodzinie on mówił swobodnie, no, poza tym jednym potknięciem. Ale cała reszta brzmiała tak, jakby uważali, żeby im się nie wyrwało coś niepotrzebnego. O...! Może to głupie, ale wiesz, co mi się wydaje? Cholernie się bali, żeby nas nie zaprosić przez pomyłkę do siebie, ganc pomada, na wikt czy na nocleg.

– Chyba słusznie ci cię wydaje...

– Słusznie! – przerwała z nagłą stanowczością. – Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale jakaś tajemnicza siła kazała mi powiedzieć, że stoimy w Grosvenor. Musiała to być inteligentna podświadomość.

Później okazało się, że odgadła doskonale. Kuzynek William wraz z małżonką tworzyli zgodne stadło o wspólnych upodobaniach. Obydwoje byli wściekle skąpi, najchętniej mieszkaliby w psiej budzie i żyli suchym chlebem, ściboląc łaty na portkach i sweterkach. Cierpieli chyba głęboko na co dzień, bo willa i dwie osoby służby stanowiły dno, poniżej którego absolutnie nie wypadało zejść. Zdaje się, że benzyna, przy odwożeniu nas na stację kolejową, wypadła im taniej niż telefon po taksówkę, a do ojca kuzyn zadzwonił z miejsca pracy. Dowiedziałyśmy się tego wszystkiego od dziadka, który natrząsał się z syna i synowej.

Wujeczno-wujeczny dziadek rzeczywiście przyjął nas chętnie, zapraszając na pobyt u siebie, dowolnie długi.

– Też jadę! – zarządziła Krystyna kategorycznie. – Przyklepię sobie plaster na nosie. Nie będziesz się sama szlajać po historycznych apartamentach i opływać w pączki na maśle!

– A biblioteka? – zaprotestowałam bez przekonania.

– Przez dzisiejszy dzień zdążymy, pójdziemy razem i już wiemy, gdzie szukać. Do dziadka jedziemy jutro.

– No dobrze, niech ci będzie. Ale dzisiaj ja mieszkam tu, a ty tam. Dość się natarzałaś w luksusach!

* * *

Dziadek trzymał się świetnie, wysoki, chudy, siwy i dziarski. Powitał nas w bibliotece, spojrzął na Krystynę i rzekł: – Nie potrzeba mi żadnych

dokumentów. Mam oczy w głowie i widzę nieźle bez okularów. Chodźcie, dziewczynki, coś wam pokażę.

Nie dopuszczając nas do słowa, ruszył do salonu. Dzień był biały, pogodny, wczesne popołudnie, salon oświetlało słońce. Wujeczno-wujeczny dziadek zatrzymał się przed jednym z portretów.

– Proszę – powiedział z wyraźnym upodobaniem i satysfakcją. – Przyjrzyjcie się. Jedna z naszych wspólnych, waszych i moich, prababek, Arabella Blackhill. Za plecami macie lustro.

Popatrzyłam na Arabelle i w osłupieniu odwróciłam się do Krystyny. Na litość boską...!!!

To ona była przebrana, a nie ja. Na głowie miała rudą perukę, barwy młodych kasztanów, oświetlonych ogniem, skręty połyskiwały czerwono. Włosy peruki były dość długie, w lokach opadały aż na kark. Zmieniła nieco kształt brwi, z plastra na nosie chwilowo zrezygnowała, ubrana była w zieloną bluzkę ze stojącym kołnierzykiem i dekoltem z przodu, w uszach zaś kiwały się jej zielone klipsy. Wyglądała absolutnie, ale to absolutnie identycznie jak Arabella na portrecie. W ogóle był to jej portret i przez moment zastanawiałam się, czy nie kazała się kiedyś komuś malować.

– I ja mam żądać od was dowodów? – powiedział dziadek, wciąż tak zadowolony, jakby to przeraźliwe podobieństwo było jego dziełem. – Mój syn chyba zaniewidział, przecież zna ten portret...

Kuzynek William mógł sobie znać portret, mógł go nawet widywać każdej nocy we śnie. U niego Kryśka miała krótkie czarne włosy i całą resztę twarzy zupełnie inną. Ugryzłam się w język, żeby tego przypadkiem nie powiedzieć.

– Ależ ona była piękna...! – wyrwało się Krystynie.

– A ty, moje dziecko, to co? – odparł dziadek natychmiast. – Obie jesteście piękne, a ty również jesteś do niej podobna – zwrócił się do mnie.

– Nie tak, jak twoja siostra, ale też ogromnie. Miło mi was widzieć. Prababka Arabella była barwną postacią, mimo iż pełnej krwi Angielką, i przyjemnie mi widzieć ją żywą.

Przypadek ciągle działał na naszą korzyść. W obliczu portretu Arabelli stosunki rodzinno–przyjacielskie zostały nawiązane na mur. Dziadek nas pokochał, zanim zdążyliśmy otworzyć usta, z wzajemnością, było w nim coś bliskiego. Może i rzeczywiście geny Arabelli przetrwały do naszych czasów... Jedyne kłopot błysnął nam od razu, ta ruda peruka musiała być w ciągłym użyciu, bez względu na to, która z nas miałaby ją na głowie.

Dokumenty jednakże wyciągnęłam. Po kolacji, typowo angielskiej, zatem średnio jadalnej. Jakim cudem ktokolwiek z nich mógł od tego utyc?!

Dziadek papiery obejrzał, ale wyraźnie było widać, że czyni to ze zwyczajnej ciekawości, dla sprawdzenia, jak też potoczyły się losy potomków Jacka i Justyny, którzy stanowili parę wiążącą. Mój historyczny pomysł bardzo pochwalił i obiecał nazajutrz udostępnić mi archiwum rodzinne w całej okazałości, aż do średniowiecza. Mogłam prowadzić studia, ile mi się podobało, on sam zaś postanowił korzystać z towarzystwa Krystyny–Arabelli.

Przed snem Kryśka przyszła do mojego pokoju.

– Słuchaj, ja cholery dostanę – powiedziała gniewnie. – Dziadek mi się podoba, nie przeczę, ale ile ja mam wytrzymać w tej piekielnej peruce?! Ona grzeje!

– Sama chciałaś – wytknęłam. – I jeszcze, przypomnij sobie, pyskowałam na temat włosów, przyznaję, że głupio. Nic na to nie poradzę. Ciesz się, że jesteś równie piękna jak ta osławiona Arabella.

– Dużo mi z tego! Spadkobierczynią nie zostanę. Williamek leży kłodą na drodze. Słuchaj, nie wygłupiaj się, dojdź do czegoś, co ja bym też

mogła. Czytać, psia krew, umiem, nawet pisać, a czego szukać, wiem równie dobrze jak ty. Daj mi chociaż z jeden dzień!

Zawahałam się. Elementarna uczciwość żądała ode mnie pójścia na ustępstwa, w końcu, w tej całej hecy, stanowiłyśmy jedną całość. Pomyślałam, że w najgorszym wypadku, jeśli Kryśka coś przeoczy, pozostaniemy u dziadka nieco dłużej i zdołam to nadrobić. Pobyt prezentował zerowe koszty i mogłyśmy sobie pozwalać.

– Dobra, pojutrze – zgodziłam się. – Jutro się chyba zorientuję w makulaturze. Jutrzejszy dzień przetrzymasz, tylko zapamiętaj chociaż, na litość boską, o czym z dziadkiem rozmawiasz, żebym nie wyszła na sklerotyczkę. Nie ja, ty. We własnym interesie...

– O rany, nie truj. Niech ci będzie...

Spędziwszy w londyńskiej bibliotece prawie cały dzień, aż do zamknięcia, zdobyłyśmy wiedzę olbrzymią. Usilnie namawiałam Kryśkę, żeby jednak została w Londynie i pogmerała w archiwach policyjnych, jakiś inspektor Thompson zajmował się samobójstwem pułkownika Blackhilla, późniejsze wzmianki zawierały w sobie komunikat o nagłej śmierci gospodyni, supozycje napomykały delikatnie o klątwie, ciężącej nad rodem Blackhillów, wszystko to razem było wysoce interesujące. Pan Meadows, znany nam z listu pra–i tak dalej–dziadka Dębskiego, odwoływał kalumnie, rzucające na pułkownika, sprawa diamentu opisana była w czterech wersjach, to ginął w Indiach, to płynął do Anglii, to pułkownik go rąbnął, to chronił. Jakiś dziennikarz twierdził, że ktoś go widział, jubiler, nie wiadomo dokładnie gdzie, w Anglii, we Francji czy w Holandii. Inspektor Thompson stanowił element wiążący i gdyby był nieśmiertelny, dostarczyłby nam samej przyjemności, niestety umarł już dawno. Uparłam się, że miał rodzinę i potomków, a papierów po tak znaczących postaciach nie wyrzuca się beztrosko. Gdzieś one powinny być, trzeba je znaleźć...

– Gdyby były zakodowane w komputerze, załatwiłabym ci to w trzy sekundy – powiedziała Krystyna, zła jak diabli. – Luzem, po strychach, sejfach i piwnicach, szukaj ich sobie sama. Będę uczciwa, NAM sama. Ja nie umiem, jestem współczesna.

– I żebyś współcześnie pękła, kretynko – pożyczyłam jej z całego serca, ale nic nam to nie dało.

Niemniej, każda informacja z czasów samobójstwa pułkownika mogła okazać się bezcenna, a Kryśka rzeczywiście czytać umiała i język znałyśmy jednakowo. Prawdę mówiąc, dopiero teraz zdumiałam się, jak ten angielski jest nam bliski, zawsze wydawało mi się, że francuski znamy lepiej. Musiałyśmy chyba naprawdę mieć zdolności językowe, bo ja, opanowawszy grecki, z łatwością zaczęłam łapać duński, Krystyna zaś równocześnie węgierski i fiński. Twierdziła, że są bardzo podobne i same proszą, żeby studiować je razem.

Z dreszczem szczęścia w sercu pozbyłam się nazajutrz zarówno dziadka, jak siostry i zagłębiłam ręce w dokumentach rodzinnych. Lubiłam to. Mało, uwielbiałam. Podobało mi się wnikanie w przeszłość, wydłubywałam z nich szczegóły, które pozwalały mi wyobrazić sobie realia.

Znalazłam różne rzeczy. Intercyzę i akt ślubu Arabelli z pułkownikiem. Nie miała posagu, pułkownik brał ją, można powiedzieć, w jednej koszuli. Obejrząwszy portret, można mu się było nie dziwić. Korespondencję Arabelli z Indii, skierowaną do jej siostry, nie wiadomo dlaczego przekazaną Blackhillom. Chyba została przekazana po śmierci pułkownika, bo czynione tam zwierzenia z pewnością nie były przeznaczone oczom męża. Arabella go nienawidziła, za wszelką cenę chciała mu zaszkodzić. List do Arabelli jej drugiego męża, bratanka pułkownika, oszalałego z miłości do stryjenki, głowę na pniu gotowa byłam położyć, że też ulokowano go tu po śmierci pułkownika. Kolejny akt ślubu, Arabelli z

owym bratankiem. Po drodze, oczywiście, akt zgonu pułkownika i jego list samobójczy, wyjaśniający decyzję.

Przeczytałam go z największą uwagą kilka razy.

Nie, ten człowiek diamentu nie rąbnął. Jego ochronę uważał za punkt honoru. Strzegł go, bez rozgłosu, cichutko, mieszkał obok świątyni i pilnował, żeby nikt w ogóle o nim się nie dowiedział. Podejrzenia go dobiły i, jak widać, wolał umrzeć niż bodaj go dotknąć.

Kto zatem podwędził klejnot...?

Zastanowiłam się nad Arabellą. Skoro pułkownik mieszkał obok świątyni, ona również. Gdyby to były czasy współczesne, a nie pierwsza połowa dziewiętnastego wieku, podejrzewałabym ją z całej siły, nienawidziła męża i chciała mu zaszkodzić, niby jak? Ugodzić go w karierę, zrobić z niego nieudolnego półgłówka, cichutko i podstępnie, owszem, to był pomysł. Miała szansę? A diabli wiedzą jak tam było, w tych Indiach, może i miała... Z drugiej jednakże strony mógł tej kradzieży dokonać ktokolwiek inny, jakiś żołnierz albo sługa... Nie, służba tam była hinduska. Gdyby to zrobił tubylec, awantura o diament nie wybuchłaby w Anglii, pan Meadows, czepiając się pułkownika, musiał mieć jakieś podstawy...

Prababcia Arabella korciła mnie potężnie, była piękna, mogła przekupić, ewentualnie poderwać, kapłana–strażnika i zawładnąć klejnotem... No tak, ale przecież objawiłby się jakoś w rodzinie, któreś kolejne pokolenie wykorzystałoby skarb, po stu latach powiedzmy, przedawnienie gwarantowane, a protest mógłby zgłosić wyłącznie ktoś z Noirmontów, skoro diament należał do naszego przodka i stanowił zapłatę za panią de Blivet... O, do licha, wszystko w rodzinie...

Nie mogłam się od tej Arabelli odczepić, aczkolwiek myśl, że dziewiętnastowieczna angielska dama kradnie cokolwiek w hinduskiej

świątyni, wydawała się nie do przyjęcia. Mimo wszystko jednak wzięłam ją pod uwagę. Załóżmy, że to ona wywinęła ten numer, bo co nam szkodzi...

Przez chwilę czułam żywą i złośliwą satysfakcję na myśl, że jutro nad tym usiądzie Krystyna. Potem zainteresowało mnie nawet, co też ona z tego wywnioskuje. Następnie wdałam się w ciąg dalszy, jakaś kopia listu do potomka czy krewnego nie znanej mi pani Emmy Davis, która zmarła nagle, a ów krewny dziedziczył po niej drobne kwoty. No dobrze, może w owych czasach nie były one takie drobne, bez znaczenia., co robiła pani Emma Davis w naszych rodzinnych dokumentach?

Różne przedziwne spisy, między innymi bielizny oddanej do prania, kazały mi wywnioskować, że pani Emma Davis była majordomusem w zamku. Rządziła wszystkim. Padła trupem zniecka. Wysiliłam pamięć zaledwie odrobinę, nie musiałam nawet zaglądać do własnych notatek, to była właśnie afera, którą badał inspektor Thompson, panią Davis szlag trafił, a jemu się to nie bardzo podobało. Co ma do rzeczy pani Davis?

Natrafiłam na księgi gospodarcze, ładnie ułożone w kolejności chronologicznej, oprócz rachunków znalazłam tam spisy służby, uposażenia, gratyfikacje, potrącenia za wyrządzone szkody i tym podobne. Zajęłam się tym stosikiem, którego początek zbiegał się z chwilą ostatecznego powrotu pułkownika z Indii. Były i wcześniejsze, nie tak porządnie zachowane, ale zostawiłam je sobie na deser, mogłam je oglądać dla przyjemności, nie zaś z obowiązku śledczego. Teraz należało szukać śladów diamentu.

Wszystkie spisy prowadziła jedna ręka przez dziesięć lat i była to chyba ręka owej pani Davis, bo zmiana następowała dokładnie w dniu jej śmierci, a z listy służby wypadło jej nazwisko. Obowiązki zarządzającej przejęła starsza pokojówka, mniej wykształcona, bo robiła niekiedy błędy ortograficzne, ale widocznie zaufana. Chyba w ogóle nie lubili zmian, przez

dziesięć lat nie wprowadzili najmniejszej... a, nie, pojawiła się osobista pokojówka prababci Arabelli, Francuzka, sądząc z nazwiska. Zniknęła ze spisu w trzy miesiące po śmierci pani Davis, wyrzucono ją albo odeszła sama, co wydawało się mało prawdopodobne, bo pobierała niezwykle wysoką pensję, prawie jak kamerdyner...

Zainterесowała mnie ta pokojówka bez racjonalnych powodów. Wgłębiłam się w zapiski o niej i skorygowałam pogląd. Nie mogła zostać wyrzucona, musiała rozstać się z państwem przyjaźnie, skoro została obdarowana ekstrapremią, dwadzieścia funtów na pożegnanie, półtora wieku temu to było mnóstwo pieniędzy. Odeszła zatem dobrowolnie, ciekawe dlaczego...

Dochody spisywał ktoś inny, chyba pułkownik osobiście, bo też urwało się po jego śmierci. Sekretarza nie miał. Przez rok w tych rejestrach widniał wyraźny bałagan, chyba złapała się za nie wdowa, nie bardzo pedantyczna i mało obowiązkowa. Zapewne drugi mąż... Z ciekawości sprawdziłam daty i te spisy służby, nie, sekretarza ciągle nie mieli, zatem George Blackhill numer dwa pociągnął dzieło stryja. Nic się w tych dochodach nie działo, żadnych skoków, bogaci byli cały czas i ze swego bogactwa korzystali równomiernie. Jeśli mieli diament, nic z nim nie zrobili, nie sprzedali go z pewnością...

Czy rzeczywiście go mieli...?

Przerzuciłam się na korespondencję. We właściwym okresie nie było jej dużo, kilka listów od sióstr Arabelli, kondolencje różnych osób po śmierci pułkownika, w rok później dość skąpe życzenia z okazji ślubu i znacznie obfitsze po urodzeniu potomka. Interesujący brudnopis listu Arabelli do którejś siostry, ucieszyłam się nim szalenie, wyjaśniał kwestię francuskiej pokojówki. Co prawda głównie Arabella narzekała w nim na trudności ze znalezieniem nowej, równie dobrej, ale przy okazji napomykała, iż nie

mogła jej zatrzymać, bo dziewczyna odnalazła zaginionego narzeczonego i do niego jedzie. Pobazgrane to było, poprzekreślane, umęczyłam się nieźle odczytywaniem gryzmołów, ale przynajmniej pozbyłam się jednej zagadki.

Na paczuszkę wielce uczuciowych listów od małżonka numer dwa, z krótkiego okresu narzeczeńskiego, zaledwie rzuciłam okiem, dokumentacji dotyczącej uzyskania lordowskiego tytułu, po zejściu ze świata starszej linii, dałam spokój całkowicie. Zainteresowała mnie wielka koperta z napisem: Od inspektora Thompsona.

Do wieczora już siedziałam nad kryminalną powieścią, z wypiekami na twarzy, czułam je tak wyraźnie, że aż poleciałam obejrzeć się w lustrze, rzeczywiście, były, zlekceważyłam posiłki i od cudownej lektury oderwałam mnie dopiero powrót dziadka z Krystyną. Kryśka tylko na mnie spojrzała i w oku jej błysnęło.

– No...? – powiedziała niecierpliwie. Złapałam oddech.

– Nic ci nie powiem. Mam wnioski i tak dalej. Przeczytaj to sama i zobaczmy, czy będziesz miała takie same, bez moich sugestii. Może ja jestem optymistka i poszłam za daleko.

– Optymistka to i ja jestem. Dobra. Siadam jutro od rana, a ty robisz za Arabellę. Zrobiłam ci grzeczność.

– Jaką? – spytałam podejrzliwie.

– Obiecałam dziadkowi opisać Noirmont, meble i bibliotekę. Sama rozumiesz, że na twoje konto, co jak co, ale to potrafisz. Konno jeździć też umiesz, więc grunt masz przygotowany.

Doceniłam jej starania i w zamian powiedziałam, gdzie czego ma szukać, żeby nie plątała się niepotrzebnie w papierach pozbawionych znaczenia. Z naciskiem poradziłam inspektora Thompsona zostawić na koniec. Słuszne było iść tą samą drogą.

– Skąd on się tu w ogóle wziął, ten Thompson? – spytała, schodząc powoli na parter, do jadalni. – Nie należał chyba do rodziny?

– To ci mogę wyjaśnić, przystąpisz od razu do sedna. Inspektor Thompson umarł na starość i jego wnuk–spadkobierca uszanował dorobek dziada. Nie wyrzucił notatek, tylko porozsyłał zainteresowanym...

– Zgłupiał chyba. Mógł się złapać za kryminały!

– Nie miał ciągot literackich i słowo pisane trochę sztywno mu wychodziło, z listu widać. Zorientował się, że całateczka dotyczy afery w rodzinie Blackhillów, więc odesłał, a Blackhillowie niech robią, co chcą. Nic nie zrobili i wszystko sobie przeczytasz, a potem spróbujemy oderwać się od dziadka i podyskutować.

– Trudno będzie! – westchnęła Krystyna. – Zobaczysz.

– W ostateczności możemy podyskutować w nocy...

I tak nam to właśnie wyszło...

* * *

Konno jeździć umiałyśmy obie od dzieciństwa. Z przyjemnością wyruszyłam z dziadkiem na wycieczkę, realizując obietnicę, za którą, trzeba przyznać, byłam Krystynie szczerze wdzięczna. Na temat mebli w Noirmont mogłabym napisać pracę doktorską, a dziadka to wyraźnie ciekawiło. Spędziliśmy razem uroczy dzionek, potem już we troje spędziliśmy uroczy wieczór, potem zaś okazało się, że jutro spędzimy wspólnie uroczy poranek, co do dzionka zaś dziadkowi furt towarzyszyć będzie ta podobniejsza do Arabelli...

Od tej Arabelli zgłupiałyśmy tak, że bez mała udało nam się samym zapomnieć, która z nas jest która. Dziadek nudził się nieziemsko i widocznie stanowiłyśmy rozrywkę, jak na Anglię, nietypową, bo trzymał

przy sobie co najmniej jedną pazurami i zębami. Ulegałyśmy owej presji obie, pokochawszy go między innymi za stosunek do psów. Poniewierały się te psy po całym domu i robiły, co chciały, nie zawsze pozwalając się spędzić z kanap i foteli, bywało, że człowiek siadał na nie dogryzionej kości, rano zaś z reguły okazywało się, że co najmniej jedna sztuka zaplątała się w sypialni i budziła swoją ofiarę lizaniem po twarzy. Nie szkodzi, lubiłyśmy psy.

Dla siebie miałyśmy noc.

– Jedziemy! – zarządziłam od razu pierwszego wieczoru po lekturze Krystyny. – Musimy to obgadać, bo może trzeba będzie znaleźć więcej do czytania, a jak wyjedziemy, to już krewa. Możesz zacząć, jak chcesz.

– Pokojówka – odparła na to Krystyna bez namysłu. – Wracam do pierwotnej koncepcji, diament rąbnęła praprababcia. Francuska pokojówka jest jedyną osobą, która stąd wyjechała, podwędziła go i wywiozła. Przedtem załatwiła gospodynię.

Kiwałam głową cały czas.

– Zgadza się. Jednak przelećmy się po szczegółach, bo może coś z tego wyniknie. Po kolei.

– Po kolei, to ta heca z kluczem mówi sama za siebie. Ktoś wlaźł do jej pokoju, spała po opium. Jestem pełna uznania dla pana Thompsona, opisał to koncertowo, jakbym sama była przy tym. Musiała coś wiedzieć, może widziała, jak pokojówka kradła.

– A nie dopuszczasz, że w ogóle tylko go widziała i wykończyła ją sama prababcia dla zachowania tajemnicy...?

– No i na co ci te bzdety? Widziałaś rachunki prababci, ona nie była z tych przezornych. Po śmierci pułkownika... czekaj, on nie był naszym przodkiem?

– Na szczęście nie. Został z boku.

– To mogę się nim nie przejmować. Drętwa piła. Z listów tak wynika. Po jego śmierci kichała na wszystko energicznie, nie chciałoby jej się wdawać w zbrodnię. Jeśli wywinęła numer z przyśpieszonym ślubem, znaczy skandal miała gdzieś. Po cholere wymyślasz głupoty?

– Próbuję podważyć sama siebie...

– Może zadzwoń na służbę i ktoś ci przyniesie łyżkę do opon...?

– Nie wygłupiaj się. Węszę zgryzotę, bo za prosto się układa. Pan Meadows nie był kretyńcem i przeczucia miał trafne, tyle że Arabella nie mieściła mu się w głowie. Kwestia nawyków i obyczajów, damy się nie podejrzewa. Piękna była, może się w niej kochał.

– Możliwe – zgodziła się Krystyna i otworzyła puszkę naszego Żywca, którego udało mi się znaleźć w sklepie. – Jak to dobrze, że trafiłaś na szopę z łąjnem, bo ichnie jest nie do picia.

Z angielskich sklepów alkoholowych, *shop* i *wine*, wyszła nam szopa z łąjnem i tak już zostało. Lubiłyśmy piwo, ale normalne, w zamku dziadka zaś uszczęśliwiano nas tylko porterem.

– Resztę zostawiłam w kuchennej lodówce – poinformowałam ją. – Zakradłam się i chyba nikt mnie nie widział.

– A nawet jeśli, wola boska, i tak mają złą opinię o cudzoziemcach. Czeka, na czym stoimy?

– Nie podejrzewał Arabelli. Ale jednak się czepiał i zmusił pana Thompsona do szczegółowego dochodzenia. Zdrowa baba padła nagle, popieram twoje zdanie, pokojówka jej to załatwiła. Odczekała trochę...

– Bystra dziewczynka – pochwaliła nagle Krystyna, odstawiając puszkę i zaglądając do zapisków inspektora. – Popatrz, ona pierwsza składała zeznania, Marietta Gourville, bardzo ładnie wykombinowała depresję pani Davis. Wygląda mi na to, że wyszło jej sugestywnie i wszyscy inni po niej powtarzali. I ona ględziła o tym opium. Ukierunkowała śledztwo.

– I nie uciekła od razu – podchwyciłam. – Odczekała i wyjechała legalnie, nawet z zyskiem dodatkowym. Z czego wynika, że teraz wracamy do Francji, poszukiwać Marietty Gourville, ciekawe jak. Po wszystkich cmentarzach?

– Ty chyba ślepa jesteś. Ten świetny gliniarz zapisał jej adres. Tylko raz co prawda i zapewne nieaktualny już w momencie zapisywania, ale może to być punkt zaczepienia. Francja, jakaś wiocha.

– Dwie wojny światowe i jedna francusko–pruska...

– No dobrze, ale od czegoś przecież trzeba zacząć?

Zamyśliłam się.

– Prababcia Karolina wmówiła w nas na piśmie, że ten diament istnieje – zaczęłam w zadumie. – Nie zginął, gdzieś jest. Uczyniłyśmy założenie, że sam z Indii nie przyszedł, rąbnęła go ze świątyni i przywiozła prababcia Arabella. Ze świątyni, przy tej świątyni upierają się wszyscy...

– W liście pradziadka Noirmonta o świątyni też była mowa – przypomniała Krystyna.

– No więc właśnie. Arabellę, między nami mówiąc, przyjęłyśmy na duszę...

– Wydaje się najbardziej prawdopodobna.

Kiwnęłam głową i obejrzałam się za piwem. Jakoś wzmagало bystrość myślenia.

– Zaraz pójde do lodówki po tę resztę – obiecałam. – Służba już chyba śpi. Tutaj działały się dziwne rzeczy, ze śledztwa pana Thompsona mnie wychodzi morderstwo...

– Mnie też.

– Dziwię się, że jemu nie wyszło...

– Nie wiedział o diamencie. Zabrakło mu motywu.

Spojrzałam na nią, zaskoczona, i trochę piwa wychlapnęłam na stół.

– A wiesz, że masz rację. A ja się zastanawiałam, jak mógł tak to puścić! Oczywiście, że przez to, powodów nie widział, nikt potem nie uciekł, nikt nie szastał pieniędzmi, rabunek odpadał, a opium nawet było w modzie. Wątpliwości miał, wyjaśnił je sobie i dał spokój. No dobrze, można go zrozumieć. Zakładamy dalej, że dziewczyna wyjechała z diamentem, bo jakoś w tej Francji musiał się znaleźć, a sam na piechotę nie poszedł. Oczywiście możemy się mylić od góry do dołu, wcale go tam nie było, prababcia Karolina w życiu go nie widziała, posiadała tylko wiedzę o nim. Jednakże pani Davis zeszła ze świata śmiercią gwałtowną i o czymś to świadczy...

– Czekaj, jedno mnie zastanawia – przerwała mi znów Krystyna. – Dlaczego Arabella nie narobiła krzyku? Nie odkryła kradzieży czy co?

– E tam. Mogła odkrywać, ile chcąc. Przypomnij sobie, co pisała prasa, skandal okropny, może i nie przejmowała się zbytnio, ale musiałyby zgłupieć doszczętnie, żeby kręcić powróż na własną szyję. Przyznać, że doprowadziła do samobójstwa męża, ukrywając kamień obrazy? Ten drugi George... Może by nie chciał za żonę potwora moralnego? A...! Urodziła dziecko, tu już musiała się liczyć z opinią...

– A żyć miała z czego... Możliwe, że dobrze zgadłaś, wal dalej, bo chyba do czegoś zmierzasz?

– Chodzi po mnie mętna myśl – wyznałam. – Czekaj, przyniosę to piwo, skoro już zaczęłyśmy od takiego napędu...

Zastanowiłam się po drodze i zdołałam sprecyzować ową mętną myśl.

– Otóż ta cała Marietta nie mogła zniknąć jak sen jaki złoty – oznajmiłam, stawiając na stole zimne puszki. – Nie przepadła razem z diamentem, bo prababcia Karolina nie wiedziałaby o niczym, jakoś musiała się zazębić z naszą rodziną. Nie do wiochy należy jechać, tylko do naszej

biblioteki, zwracam ci uwagę, że znów zaniedbanej. Przerwałyśmy w połowie...

– W jednej czwartej.

– Krakowskim targiem, w jednej trzeciej. Trzeba to wreszcie odwalić i może coś znajdziemy.

Krystyna w czasie mojej nieobecności też się zastanawiała.

– I nie tylko – rzekła stanowczo. – Musimy porządniej przegrzebać dokumenty. Wprawdzie nikt w Noirmont tak elegancko tego nie prowadził, jak ci tutaj, ale jakieś rachunki robili. Może trafimy na Mariettę wśród służby?

– Może – zgodziłam się. – Ale mam wrażenie, że korespondencję tamtych przodków znajdziemy prędzej w bibliotece niż gdzie indziej. Nagminnie utykali wszystkie listy po książkach.

– Czekaj, i nadal nie tylko. Zauważ, ile mamy z prasy! Poszukałabym gazet w Paryżu, wiemy z jakiego okresu, zaczęłabym od wyjazdu Marietty...

Sięgnęłam po wielki notes, który nabyłam jeszcze w Paryżu dla porządnego prowadzenia naszych prywatnych akt śledczych, i zaczęłam w nim notować zdobytą wiedzę. Kryśka dyktowała mi daty. Wyraźnie z nich wynikało, że przegląd francuskiej prasy musimy zacząć od dziesiątego października 1861 roku, szukając wyłącznie nazwiska Marietty Gourville.

– Zastanówmy się może – zaproponowała Krystyna – co ta trucicielka z diamentem mogła zrobić. Bo że nie wróciła do rodziny na prowincję, tego jestem pewna.

Przyświadczyłam. Jasne, że zagnieździła się w Paryżu. Wyjechała bez podejrzeń, nie musiała się ukrywać, nie bała się niczego, pieniądze miała...

– Skąd wiesz, że miała pieniądze? – spytała Kryśka zaczepnie, bo już zbyt długo byliśmy jednakowego zdania i nie miałyśmy o co się pokłócić.

– Prababcia płaciła jej doskonale, nie miała na co wydawać tych pieniędzy, a na odchodne dostała jeszcze dwadzieścia funtów. Za dwadzieścia funtów w takim, na przykład, Boulogne mogła żyć skromniutko przez rok...

– Już ją widzę, jak żyje skromniutko! Z diamentem w garści!

– Głupiaś, z diamentem nic nie zrobiła, bo byłby huk. I wcale nie mówię, że żyła skromniutko, mogła żyć bogato! A oszczędności musiała mieć, inaczej nie rzuciłaby takiej intratnej roboty!

– Nie wytrzymała nerwowo...

– Jakby była taka nerwowa, to by nie truła gospodyni! I nie czekałaby spokojnie trzy miesiące!

– Może czekała w stresie. No dobrze, niech ci będzie... Czekał, a jeśli nie miała pieniędzy, utkwiała w Paryżu, puściła wszystko z dużym wizgiem... Może zaczęła kraść?

– Nie wymagaj za wiele, tyle szczęścia to przesada. Od razu znalazłybyśmy ją w gazetach. Sama stwierdziłaś, że to bystra dziewczynka, nie mogła się głupio narażać, raczej znów poszła do służby. I kto wie czy nie do Noirmontów...?

– Widzi mi się, że teraz ty wymagasz za wiele...

Mimo szczyrych chęci, nie zdołaliśmy jednak pokłócić się porządnie. Wiadomo było, że musimy wracać do Francji i w tej kwestii spory nie wchodziły w rachubę. O podobieństwo do Arabelli pociągnęłyśmy losy, padło na mnie, powarczałam krótko i dałam spokój, bo dziadek budził sympatię. I tak bardzo zmartwił się naszym odjazdem.

Zabawiałam go, jako prababcia, cały dzień, a Krystyna przez ten czas grzebała jeszcze w papierach. Uzgodniłyśmy zamianę nazajutrz, bo chciałam przejrzeć dla przyjemności część najstarszą, niepotrzebną. Wyjechać pojutrze. Problemu z komunikacją nie było, musiałyśmy płynąć

promem z Dover, samochód bowiem zostawiłam w Calais, na strzeżonym parkingu.

Kiedy moja siostra zeszła na obiad, wystarczył mi jeden rzut oka. Widać było, że coś znalazła.

Z nadludzkim opanowaniem przetrzymałyśmy cały wieczór. Dziadek wyrażał obawy, czy tak krótkie studia wystarczą jej, to znaczy mnie, do napisania historii rodziny i Kryśka musiała mnie tłumaczyć i usprawiedliwiać. Podpowiadałam, ile mogłam, ale skończyło się na tym, że obiecała ponowną wizytę. Urządziła i siebie, dziadek zażądał, żebyśmy przyjechały razem na dłużej, na całe lato na przykład, pokaże nam inne posiadłości rodzinne, bo ta tutaj to wcale nie jest pierwotne gniazdo, należy do Blackhillów dopiero od Arabelli i tego lordowskiego przeskoku na młodszą gałąź, a najstarsza jest ruina więcej ku północy. Siedzibę średniowiecznych przodków, bodaj nawet zdewastowaną, powinniśmy zobaczyć!

W gruncie rzeczy nie miałam nic przeciwko oglądaniu zabytków, lubiłam stare ruiny. Krystyna, tak naprawdę, też, ale musiała udawać, że nie, żeby się czymś różnić ode mnie. Zdaje się, że głupi upór w kwestii zmniejszenia podobieństwa, zatruł nam życie radykalnie, a już z pewnością nie do zniesienia utrudnił nam ten wieczór, kiedy każda musiała występować jako ta druga. Dopiero w połowie wpadło nam wreszcie do głowy, że zamiany możemy dokonać w ciągu jednej minuty.

– Co znalazłaś? – spytałam pośpiesznie w łazience, zmywając brwi.

– List prababci Justyny do narzeczonego – odparła, już w peruce, uzupełniając makijaż. – Fantazja! Jest o sokołach, ale poza tym, to chyba chciała dowalić nam roboty...

Więcej się nie dowiedziałam, wróciłyśmy do dziadka. Nie byłby nawet wcale męczący, gdyby nie ten cholerny diament. Nasz przodek prezentował

tyle uroku, że jego towarzystwo, nawet przez cały dzień bez przerwy, stanowiło przyjemność. I na pewno nie był tępy i głupi.

– Ja nie jestem zawsze natrętnym, starym piernikiem – powiedział z wielką powagą, a w oku mu wesoło błyskało. – Obiecuję dać wam trochę spokoju, jeśli przyjedziecie na dłużej. Ale teraz mam was na krótko, a jestem wami tak zachwycony, że nie mogę się oprzeć. Wykorzystuję każdą chwilę.

– My, proszę dziadka, też nie jesteśmy takie znowu cudowne – odparła Krystyna. – Ciężko z nami wytrzymać. Kilka dni, to jeszcze, ale na dłużej...

– Szukałyście czegoś prawda? Coś było wam potrzebne z dokumentów rodzinnych, znalazłyście to i dlatego chcecie odjechać. Nie wnikiem, co to było, ale co? Dobrze zgadłem?

Za Arabellę robiła już teraz ona, więc mogłam sama odpowiedzieć.

– Tak – przyznałam. – Ten jeden moment połączenia rodzin, brakowało mi tego, bo ja rzeczywiście zajmuję się historią. W Noirmont jest straszliwy bałagan w papierach, w Polsce przepadło prawie wszystko, a tu...? Istne чудо! Nawet gdyby dziadek nie chciał, to ja przyjadę w tym grzebać! Tu się dowiedziałam, ile kosztowały guziki niciane do poszewek sto dwadzieścia lat temu!

Kryśka popatrzyła na mnie z podziwem, podziw był bez sensu, nie musiałam niczego udawać, naprawdę zachwyciły mnie takie informacje! Obok tych guzików znalazłam czas i koszt naprawy jednej nogi od krzesła, rzeźbionej i polerowanej, w czystym drewnie, bez forniru. Dziadek bawił się znakomicie.

– Guziki niciane! Jak wy świetnie mówicie po angielsku! Skąd wam się to wzięło?

– Do czegoś przecież trzeba mieć zdolności – westchnęła Krystyna smętnie. – My mamy do języków. Po francusku mówimy jeszcze lepiej, nie

wspominając o polskim.

– Szkoda, że nie jestem bogatszy – powiedział dziadek z wielkim żalem.
– Podzieliłbym majątek...

– Dobrze, że Willamek tego nie słyszał – rzekła Krystyna, idąc po schodach na górę. – Trafiałby go szlag na samą myśl. I po cholere byłaś taka czarująca, aż mi się niedobrze robiło, już się bałam, że dosiedzimy do rana!

Zdziwiłam się szczerze.

– Ja? Miałam wrażenie, że ty. Prababcia Arabella do pięt by ci nie sięgnęła!

– A, cholera, lubię tego staruszka. Chciałam być nadęta i antypatyczna, ale chyba mi nie wyszło. A ssie mnie do listu prababci Justyny!

– Ciebie...! A co ja mam powiedzieć?!

– To trzeba było nie głądzić o guzikach, nogach, jajkach i udźcach baranich...!

List pra-i tak dalej-babci Justyny pogodził nas, zanim zdążyłyśmy się pokłócić rzetelnie, czego już chyba obie byłyśmy spragnione. Usiadłyśmy nad nim zgodnie.

Mój najdroższy,

piśla pra-i tak dalej-babcia niewątpliwie do narzeczonego, Jacka Blackhilla.

Mam nadzieję, że pamiętasz, dlaczego przyjechałam do Anglii, mówiłam Ci o tym. Na wszelki wypadek przypominam. Chciałam odnaleźć tego osobnika, posłańca jubilerskiego, a że znalazłam Ciebie, to już druga sprawa. Otóż okazuje się, że on wcale nie wyjechał z Francji, dopiero później uciekł do Ameryki. Okazuje się także, że od tej dziewczyny usłyszałam prawdę, on wcale nie zabił mojego kuzyna Gastona. Co do

trucizny w sokołach, to chyba jednak jej nie ma, ale tego nikt nie jest pewien. To w ogóle długa historia i opowiem Ci ją osobiście...

– No i masz – warknęła Krystyna. – Jak Boga kocham, na widok ptaszka będę gryzła!

– W towarzystwie – mruknęłam. – Ja też...

...Teraz jadę do Polski, do rodziców. Mój ojciec już wyzdrowiał. Babka próbuje dostarczyć mi zajęcia w bibliotece, ale to nic pilnego. Napomykałam Ci o klejnocie rodzinnym... Nie, to też nie na list, spotkamy się przecież niedługo. Piszę w okropnym pośpiechu. Konie czekają, napiszę spokojniej z domu, chyba że przyjedziesz?

Kocham Cię.

Twoja, już wkrótce żona, Justyna

Popatrzyłyśmy na siebie.

– Wariatka – powiedziałam z gniewem. – Kiedy ona to pisała?

– Z szacunkiem dla babci – skarciła mnie Krystyna. – Wydaje mi się, że napisała datę. Ten bazgroł to jest chyba szósty maja 1906 roku.

– Aaaa, początek wieku! No dobrze, inne czasy, wiktoriańskiej panience takie proste słowa przez usta by nie przeszły. Co to w ogóle ma znaczyć?

– Na moje oko... pomijam oczywiście sokoły, od których w końcu szlag mnie trafi... klejnot rodzinny to ten piekielny diament. Pojawia się po przeszło czterdziestu latach, czyli coś o nim było wiadomo.

– A potem nagle przestało być wiadomo... Co za facet miał zabić jej oraz naszego... kuzyna Gastona? Było gdzieś coś na ten temat?

– Nic takiego nie widziałam. Za to znów widzę tę upiorną bibliotekę, ona mi się chyba zacznie śnić noc w noc. Wyjątkowo przyznaję ci

słuszność, trzeba cholereę odwalić. Dobra, jutro umizgam się do dziadka, a pojutrze jedziemy...

* * *

– Kulturystyka i podnoszenie ciężarów – powiedziała z rozgoryczeniem Krystyna w tydzień później. – Nigdy nie były to moje ulubione dyscypliny sportowe. Słuchaj, może dla odpoczynku poszukajmy czegokolwiek gdzie indziej?

– Chyba jajek w kurniku – mruknęłam gniewnie. – Byłaby to wyraźna odmiana.

Zbliżaliśmy się do końca trzeciej, najdłuższej ściany, mając przed sobą jeszcze tylko czwartą, najkrótszą, bo okienną i zapełnioną książkami zaledwie w połowie, oraz piątą, stanowiącą dwie trzecie pierwszej, od narożnika do drzwi. Zaczynała się chyba najstarsza część tego całego majdanu, grube i ciężkie foliały oprawiane coraz dekoracyjniej, przed nami zaś widniało coś jeszcze gorszego, skarby średniowiecza. Powinny leżeć na pulpitych, przykute łańcuchami do ściany, ręce opadały na sam ich widok.

Uczyniłam uwagę pocieszającą.

– Wielkie nadzieje widzę w ich cenie. Nie było w testamencie zastrzeżenia, że nie wolno nam ich sprzedawać, a czy ty masz pojęcie, ile to jest warte? W średniowieczu za jedno takie dzieło, ręcznie pisane i ozdobione malarstwem, można było kupić dwie dobre wsie, a teraz to nawet zdrożało. Jeśli nie znajdziemy tego parszywca...

– Określasz tym czułym mianem klejnot rodzinny?

– A ty byś go określiła inaczej? Zaczynam tracić sympatię do niego. Jeśli go nie znajdziemy, urządzimy aukcję na ten cały interes i też wzbogacimy się nieźle. Białe kruki tu stoją, jeden za drugim.

- Nie mów do mnie na temat ornitologii!
- Zatem i jajka nam odpadają, kury to ptaki...

I tak zresztą ona miała jakieś powody do zadowolenia. W przeglądanych porządnie książkach znalazłyśmy istną kopalnię lecznictwa ziołowego. Przy Andrzeju Krystyna nieźle się poduczyla, umiała docenić niektóre zestawy i recepty. Dwa kolejne olbrzymie zielniki z zasuszonymi roślinami w doskonałym stanie musiałyśmy sfotografować strona po stronie, bo powietrze owym przyrodniczym eksponatom nie wychodziło na zdrowie, a nawet ja widziałam, że miały swój sens. Któraś prababcia... czy może miejscowa znachorka, klucznica, jakaś niegłupia osoba w każdym razie, potrafiła zdobyć i zaprezentować to samo zielsko, zbierane w różnym czasie, i opisać różnice. Po dniu słonecznym o zachodzie słońca wygląda oto tak, a o poranku lub też w dzień pochmurny całkiem inaczej. Okresy kwitnienia... Kwiatki lecznicze, a nasionka szkodliwe, korzeń w lecie i korzeń późną jesienią, uszkodzony, z którego wyleciało wszystko co dobre i cały, nieskazitelny, bezcenny. Subtelności i niuanse, prawdopodobnie kompletnie nie znane współczesnym lekarzom, opisy zastosowania i dolegliwości, jakie zostały wyleczone, konkretne przykłady, ropa, ściągnięta ze zgangrenowanej nogi, osobiście amputację uważałabym za niezbędną, a otóż nie, babka wąskolistna, i co innego świeża, a co innego suszona i jak ją rozparzać z braku świeżej. Jak zachować olejki eteryczne, z którymi do dziś dnia jest najwięcej kłopotów... Imponujące.

– Wypisz wymaluj, jak bursztyn – zauważyłam w podziwie. – W siedemnastym wieku umieli go kleić, a potem próżnia kosmiczna, aż do żywic epoksydowych.

– W tym się akurat zbiegamy – przypomniała Krystyna. – Wiem coś niecoś na ten temat.

– No więc właśnie! – rzekłam z triumfem, sama nie bardzo wiedząc, co mam na myśli.

Na przekłete sokoły trafiła Krystyna. Wywlokła z półki ciężkie dzieło, usiadła z nim na ziemi, odchyliła okładkę i wydała z siebie straszny krzyk.

– Aaaaaaa...!!! Mam to gównno...!!!

Rzuciłam się ku niej, gubiąc Żywoty Świętych, rozpęd wzięłam za duży i wpadłam jej na głowę. Podparła się, a ciężka kobyła wyleciała jej z rąk i częściowo ujawniła zawartość. Z daleka było widać, że wypchana jest obficie dodatkową treścią.

Z wzajemnych wyrzutów zrezygnowaliśmy od razu. Jeszcze nie zdążyłam usiąść obok niej, a już zajrzałam pod okładkę.

Dzieło miało tytuł długi i skomplikowany, a oznaczał on, iż utwór traktuje o polowaniu z sokołami i tresurze drapieżnego ptactwa, w tym głównie owych sokołów. Wizerunek dwóch sokołów widniał pod tym jak byk, realistyczny prawie jak zdjęcie.

– Od dziś mogę patrzeć na kury i zbierać jajka – oznajmiła Krystyna uroczyście.

Niecierpliwie, dziko przejęte, stukając się głowami, otwarłyśmy to dalej. Pohamowałyśmy chęć szarpania ku sobie, bo środek wydawał się dziwnie kruchy, brzegi kartek strzępiły się drobniutko, a część była sklejona. Z łatwością otwierało się tylko tam, gdzie wetknięto różne papiery luzem. Znieruchomiliśmy obie równocześnie.

– Ty, było gadanie o truciźnie... – zauważyła Kryśka podejrzliwie i niepewnie. – To historyczne. Wiesz coś o tym? Może włożyć rękawiczki...?

Pośpiesznie poszukałam w pamięci.

– Katarzyna Medycejska usiłowała otruć Henryka IV, wabiąc go książką o sokołach i polowaniu. Jest to fikcja literacka, ale jakieś głupie plotki podobno krążyły. Technicznie jest to o tyle głupie, że czytający miał lizać

palce, żeby odwracać kartki, bzdura, dużo by mu pomogło lizanie, sama widzisz.

– Może pomagało, jak ten klej był świeży...?

– To i trucizna już nie młoda... A w ogóle zwariowałaś, mówię ci, że to była plotka!

– W każdej plotce coś tam siedzi, nie ma dymu bez ognia, a gadanie o gotowaniu na ognisku sama wiesz, ile jest warte. Jak się dymi, zawsze człowiek rozdmucha. Ja tam nie wiem, przed lizaniem radzę ci się powstrzymać.

– Mogę bez trudu – zapewniłam ją i podniosłam kartkę, która wypadła na samym wstępie, prawie spod okładki. – Czekaj, opanujmy się, chwila jest wielka. Pamiętam notatkę praprababci, że wszystko w sokołach, zacznijmy metodycznie, co to jest? Jezus Mario...!

– Która, pokaż... Klementyna!

*Ostrzegam moich potomków,
zaczynała prababcia przerażająco.*

Ta książka mogła należeć do Katarzyny Medycejskiej. Kartki w niej zlepił mój mąż, Ludwik de Noirmont, a potem ja sama zwyczajnym klejem bez żadnej trucizny. Jednakowoż nikt nie wie, czy w dawnych czasach nie pomazano ich trucizną. Przeto na wszelki wypadek zalecam uwagę, nie tykać ust palcami, a karty rozdzielać nożem. Może to przezorność zbędna, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Klementyna de Noirmont

– O nie! – powiedziała Krystyna stanowczo. – Różne wysiłki tu czynię dla tego kretyńskiego diamentu, ale trupem paść nie mam chęci. Idę umyć ręce, a ty jak uważasz. Nóż też przyniosę.

– Sztylet – zaproponowałam, podnosząc się z podłogi. – Taki cienki, wisi na ścianie.

– Jeśli przodkinie nie wpędzą nas do grobu tym całym pasztetem, zdziwię się bardzo – oznajmiła Krystyna, wróciwszy do biblioteki ze sztyletem.

– Weźmy to na stół, na podłodze niewygodnie.

Zapaliłam wszystkie lampy i postawiłam na stole butelkę spirytusu salicylowego i pudełko z klineksami, bo nic innego mi do głowy nie przyszło. Krystyna dźwignęła dzieło i również ułożyła je na stole. Przejęte aż do samej głębi dwunastnicy, śledziony i trzustki, nie mówiąc o sercu, przystąpiłyśmy w skupieniu do metodycznej pracy.

Spod okładki wyleciała tylko ta jedna ostrzegawcza kartka. Dalej był tekst pierwotny bez dodatków, po czym dzieło otworzyło się bliżej środka.

W środku widniała ogromna, głęboka dziura, wycięta w częściowo sklejonych kartkach jakimś ostrym narzędziem, niezbyt równo i trochę niedbale.

W dziurze znajdowały się kawałki papieru rozmaitych gatunków, poskładane w kostkę. Spojrzałyśmy na siebie.

– Jak to nie była kolebka diamentu przez całe lata, to ja jestem arcybiskup Canterbury, ewentualnie chiński cesarz – orzekłam stanowczo. – Obawiam się, że widzimy elementy zastępcze.

– Mikroślady by wykazały – odparła smętnie Krystyna. – U siebie bym stwierdziła w pięć minut, ale tu nie będę się wygłupiać. Mogę być królowa Saba, tobie do towarzystwa.

– Ładne mi towarzystwo, arcybiskup Canterbury i królowa Saba...

– Nie zaczynaj być drobiazgową. Oglądamy!

Jako pierwszy rozłożyłyśmy fragment listu nieznanego jednostki, bardzo stary i pełen wyrzutów. Jednostka, naszym zdaniem kobieta, co przyszło

jakoś samo, czepiała się brata, który przehandlował panią de Blivet, zyskując w zamian diament. Pani de Blivet była nam już znana.

Kartkę z notatką pra–pra–i tak dalej Klementyny miałam przy sobie.

– Potwierdzenie prawa własności! – powiedziałam z triumfem. – Proszę! Jest!

– W rzetelność prababci nie wątpiłam ani przez chwilę – wytknęła Kryśka kąśliwie. – To już drugie potwierdzenie. Pierwszym jest korespondencja, twoim zdaniem rzucona w twarz.

Pamięć to ona miała, nie mogłam zaprzeczyć, nie zamierzałam jej komplementować, poza tym moja pamięć też trzymała się nieźle. Kiwnęłam tylko głową i sięgnęłam po coś, co wyglądało na papier gazetowy. Rozłożyłam to, notatka wycięta z prasy...

– Obowiązkowość wynagrodzona – stwierdziłam ze wzruszeniem. – Patrz, nareszcie ta biblioteka na dobre nam wyszła, nie musimy już chyba grzebać w zabytkowej makulaturze? Wzmianka z prasy...

– Trzy wzmianki – poprawiła zachwycona Krystyna, wydłubując z dziury jeszcze dwa podobne kawałki. – Co tam mamy? O rany, tajemnicza śmierć w domu ofiary katastrofy...

– Dwie kobiety zginęły otrute – przeczytałam prawie równocześnie. – W dwa dni po tragicznym wypadku panny Marietty Gourville... O, niech ja pierzem porosnę...!

– Życzę ci tego z całego serca. Czekał, czy nie czytamy od końca? Mamy Mariettę, tu jest chyba początek... Jasne, ktoś napisał daty, ślepe komendy!

Rozłożyłyśmy wycinki gazetowe chronologicznie. Pierwszy wstrząsnął nami bardziej niż dwa pozostałe. Opiewał okropną katastrofę, panna Marietta Gourville, uczyniwszy ruch wysoce nieostrożny, wpadła pod koła rozpędzonej karety ambasadora hiszpańskiego i zginęła na miejscu w

ramionach wicehrabiego Ludwika de Noirmont, który był świadkiem strasznego wypadku. Dzięki czemu tożsamość ofiary nie budziła wątpliwości, wicehrabia bowiem znał ją od dzieciństwa i zaofiarował się powiadomić jej rodzinę. Panna Gourville mieszkała przy rue de l'Oratoire numer dwa i żyła ze środków własnych. Sekretarz ambasadora hiszpańskiego, pan de M...ez, który jechał ową kareta, zapewne rozważy sprawę zmiany posady...

– No i zazębiła się Marietta z Noirmontami – zauważyłam z satysfakcją.
– Co prawda pośmiertnie...

– Głupia jesteś! – zirytowała się Krystyna. – Jakie pośmiertnie, czytać nie umiesz? Znał ją od dzieciństwa! Nie łapałby w ramiona obcej dziewczyny z niższej sfery!

– I myślisz, że jeszcze za życia obrabował ją z diamentu? A do łapania popchnęły go wyrzuty sumienia?

– Jakieś zaćmienie umysłowe na ciebie spadło, czytaj dalej, kretynko, jeszcze malutki akapicik. Tragiczne wydarzenie miało miejsce na rue de Richelieu, akurat naprzeciwko magazynu jubilerskiego, z którego wicehrabia de Noirmont właśnie wychodził. Nic ci to nie mówi?

Stłumiłam ducha przekory, który wyłaził ze mnie niepotrzebnie i w niewłaściwej chwili. Jubiler, Marietta i nasz przodek, jako czwarty element musiał występować diament, o którym nie było ani słowa. Zgodziłam się na dedukcję, że w tym to akurat momencie klejnot musiał przejść do rąk prawego właściciela.

– A może nawet chwilę wcześniej – uzupełniłam. – Nie grzebał przecież dziewczynie po kieszeniach pod kołami karety! Podejrzewam, że wizytował jubilera z klejnotem w dłoni. Pytanie, czy któreś z nich wiedziało, do kogo ten diament należy, bo jeśli tak...

– Co jeśli tak? – zniecierpliwiła się Krystyna, uczyniłam bowiem przerwę na uporządkowanie wyobrażeń.

– Znał ją już dawno – zaczęłam powoli i nabrałam rozpędu. – A może właśnie sam ją wysłał do Anglii, do Blackhillów, żeby zbadała sytuację i ewentualnie rąbnęła potajemnie jego własność, o ile ona tam jest. Marietta spełniła zadanie, ale pojawiła się komplikacja, bo nie mieli w planach czynów tak radykalnych, jak ta, jak jej tam... pani Davis...

Krystynie spodobała się moja wizja.

– Owszem, to brzmi nieźle. Czytać przecież umiał...

– Pisać również – przypomniałam sobie nagle. – Zaraz, czekaj, to jest przecież ten Ludwik, który pisał do teścia, domagając się szczegółów afery! To by znaczyło...

– ... że dokładnie o niej nie wiedział, ale w ogóle wiedział. Pytanie, od kiedy. Przeczytał korespondencję tutejszą, zgniewało go, że diament przodka, już ganc pomada, tatusia, dziadka czy pradziadka, został w Indiach, chciał go odzyskać...

– A wyjątkowo zupełnie posiadał go legalnie, dziadek nie musiał wymordować personelu całej świątyni, żeby uzyskać łup...

– Legalnie owszem, ale rzecz w tym, że go właśnie nie posiadał. O pułkowniku Blackhillu mógł się dowiedzieć, szczególnie że w Anglii wybuchła afera...

– Zamknij się i zaczekaj chwilę – przerwałam jej bardzo stanowczo. – Nie snujmy hipotez bezpodstawnych. Trzeba porównać daty, mam zapisane, nie uczyłam się ich na pamięć, przyniosę notes. Boże, ile ja się nalatam po tym zamku, nie mógłby on być trochę mniejszy...?

Zanim wróciłam, Krystyna zdążyła odpracować duży kawałek lektury z podejrzanego księgi.

– Ty, to w ogóle kryminał – powiadomiła mnie, zanim dopadłam stołu. – Musimy to przemyśleć naprawdę porządnie i chyba należy pilnować chronologii. Co ci wychodzi z dat?

Notatnik zaczęłam przeglądać po drodze i omal dzięki temu nie zleciałam ze schodów. Za to mogłam od razu odpowiedzieć na jej pytanie.

– Jak afera wybuchła, to Marietta już blisko dwa lata pracowała u prababci Arabelli. Czyli zaczęła wcześniej, czyli pradziadek Ludwik trafił tu na korespondencję przodków, wywiedziało się jakoś, kto tam pilnował skarbu, to nie mogło być zbyt trudne, w końcu nie tak dawno przed nim kotłowali się w tych Indiach Francuzi z Anglikami, wysłał zatem dziewczynę do właściwego człowieka...

– Zawarli spółkę – ożywiła się Krystyna. – Dobrze zgadłaś, on już miał ten diament, kiedy wychodził od jubilera, a ona na niego czekała. Oddała zdobycz uczciwie, bo nic by jej z niej nie przyszło, gdyby próbowała zachachmęcić, oskarżyłby ją o kradzież i cześć. Ale pilnowała, żeby jej jaśnie pan nie wykantował, a może i gorzej.

– Co gorzej?

– A popatrz tutaj...

Podetknęła mi pod nos dwa następne wycinki prasowe. Z jednego dowiedziałam się, że w domu numer dwa przy rue de l’Oratoire zmarła nagle gospodyni, właścicielka nieruchomości, i niezwykle jest fakt, iż dwa dni wcześniej jej lokatorka straciła życie w katastrofie ulicznej. Jakieś nieszczęście zawisło nad tym domem...

Następna informacja była dłuższa i miała już ton sensacyjny. Nazajutrz po śmierci gospodyni zmarła służka, objawy nagłej choroby wyglądały identycznie, pojawiło się podejrzenie otrucia. Podobno obie kolejno, porządkując pokój po nieboszczce pannie Gourville, napiły się wzmacniającego wina, które tam stało w karafce. Policja zabrała resztę

wina do zbadania, prowadzone jest śledztwo, sprawą zajął się komisarz Michon. Klątwa ciąży nad domem, w którym dzień po dniu umierają kobiety...

– Może mam zły charakter – powiedziała Krystyna z bezrozumnym triumfem, kiedy uniosłam głowę znad tekstu – ale coś mi się widzi, że ona tak się bała wykantowania, że wołała nie ryzykować. Przygotowała wspólnikowi napój, rozwiązujący kwestię radykalnie. Już to widzę, od jubilera mieli przyjść do niej, kielicha wicehrabiemu i po krzyku. Nie przyszli, bo wtrąciła się ta karetka, a napojem pokrzepiły się sprzątające baby.

– Wizje mamy coraz bardziej krew w żyłach mrozące – pochwaliłam. – Niewykluczone, że tak było, po pani Davis wicehrabia, jedna sztuka czy dwie, to już mała różnica. Najpierw pani, potem sługa, sługa głupia i z dolegliwości pani żadnych wniosków nie wyciągnęła.

– A może wcześniej spróbowała, zanim się dolegliwości zaczęły. Dzień upłynął, mogła być odporniejsza. Poszukamy komisarza Michon?

– Nie wiem, czy nam do czegoś potrzebny. Poza tym, jeśli wykrył truciznę, możliwe, że będzie więcej wzmianek w prasie. Znaczy, było. Możemy przejrzeć gazety z następnych paru tygodni, to już nie tak dużo.

– Między nami mówiąc, dziwiłabym się, gdyby wszystko leciało ulgowo i nikt nie padł trupem – wyznała Kryśka. – Diamenty są żądne krwi.

– Tylko mi tu nie rób za Balladybę. Co masz dalej?

– Jeszcze angielski wycinek z plotkami o diamencie, ale to już czytałyśmy w Londynie. Poza tym, proszę, pokwitowanie, jakiś markiz de Rousillon przyznaje się, że pożycza księgę o polowaniu z sokołami i obiecuje zwrócić ją na każde żądanie. Ty rozumiesz, co to znaczy?

– Aktu zgonu markiza de Rousillon tam przypadkiem nie ma? – spytałam podejrzliwie.

– Na razie nie widzę, ale może byś się tak trochę zastanowiła. Pożyczył tę kobyłę, jak, przepraszam? Razem z diamentem?

Dotarło do mnie i rąbnęło jak obuchem.

– O, cholera... Może to jest właśnie ta chwila, kiedy diament zginął? Wszystko o markizie!

– Gównno mamy o markizie. Ale zwracam ci uwagę, że sokoły wróciły na miejsce, leżą tu, na stole. To jak to sobie wyobrażasz, pożyczył z diamentem i oddał bez? I prababcia nic na to nie powiedziała? Sprawdź w ogóle, która to była, na pokwitowaniu jest data.

Sprawdziłam. Rzeczą miała miejsce za życia pra–pra–pra–prababki Klementyny, małżonki owego Ludwika, który kombinował z Mariettą. Niemożliwe, żeby własnej żonie nie przekazał wiedzy o diamencie!

Zajrzałam do dziury.

– Ty, tam jest coś jeszcze! Następny wycinek z prasy!

– Wszystkiego przeczytać nie zdążyłam – usprawiedliwiła się Krystyna. – Leciałś jak z pieprzem. Widzę więcej świstków, duża ta dziura. Jeśli diament miał takie rozmiary...

– O ile pamiętam, pan Meadows twierdził, że był prawie jak pięść – przypomniałam. – Mógł skusić każdego, także markiza, ale na razie nie rzucajmy kalumnii. Pokaż...

Kolejny wycinek prasowy, drukowany petitem, zawiadamiał o licytacji za długi mienia markiza de Rousillon w dniu 25 marca 1906 roku. W dwa tygodnie po wypożyczeniu książki o sokołach!

Popatrzyłyśmy na siebie ze zgrozą.

– To już rozumiem – powiedziała Krystyna ponuro. – Diament poszedł na licytacji. Ten ktoś, kto kupił zabytek, miał przyjemną niespodziankę...

– Głupiaś! – rozzłościłam się. – Nadzienie schował sobie, a książeczkę oddał, tak? Puknij się! Obecność tego tutaj o czymś chyba świadczy?!

– Może i świadczy, ale o czym? Zamyśliłam się, wciąż pełna irytacji.
– Jedno z dwojga: albo nie poszło na licytacji i zostało w resztkach bezwartościowego mienia, albo na tej licytacji był ktoś z rodziny i sam to kupił. Może prababcia osobiście tam pojechała...

– E tam! – przerwała żywo Krystyna. – Jeśli mnie pamięć nie myli, miała w tym czasie wnuczkę pod ręką, prababcia Justyna tu się mocno płacze. Wysłała Justynę. Czy tam ktoś nie umarł...? O, kuzyn Gaston! Jak miał na imię markiz...?

Zajrzałam do notatki prasowej.

– Filip. To nie on.

– W takim razie kupił to kuzyn Gaston i ktoś go zabił...

– Właśnie nie zabił.

– Owszem, zabił. Tylko nie ten jakiś, a zapewne kto inny. Gdzie masz tę całą makulaturę? To jest niemożliwa rzecz, musimy to trzymać pod ręką, bez listów nie da rady, dopiero stopniowo wychodzi, co tam było ważne!

– Znów mam lecieć?

– A co, samo przyjdzie?

Poleciałam, nic innego mi nie pozostało. Byłam opiekunką zdobytej dokumentacji, stało się to niejako automatycznie, historia należała do mnie, Krystyna musiałaby zbyt długo szukać w moich rzeczach.

Zaczęła coś mówić od razu, zaledwie weszłam z plikiem papierów w objęciach, ale zamknęłam jej gębę. Skoro już latam po całej budowli, niech to przyniesie jakiś pożytek. Usłaliśmy stół szpargałami, z listem prababki Justyny na czele.

– Rzeczywiście, kuzyna Gastona nie zabił, za to uciekł do Ameryki – przyznała Kryśka. – Kto, ten zdobywca diamentu? I czy w ogóle Gastona ktoś zabił? Zważywszy upodobania minerału, powinien.

– Zanim się dokopiemy do Gastona, leć teraz ty – zażądałam, czując w nogach własną krzywdę, bo schody na drugie piętro wygodne nie były. – Klucze od piwnicy mamy, przynieś wina. Służby o północy fatygować nie będziemy.

– Sądzę, że i kieliszki się przydadzą? Poczytaj sobie przez ten czas...

Nie dziwiłam się, że usiłowała powitać mnie kolejną sensacją. Mały kwitek z dziury informował, że dzieło o sokołach nabył na licytacji antykwariusz, który zaraz potem umarł, pozostawiając wielce niepokojący list. Kopię listu, sądząc z charakteru pisma, sporządziła prababcia Justyna i wreszcie można było zrozumieć jej obsesję na tle trucizny w sokołach. Antykwariusz też miał obawy, a w dodatku padł trupem...

Jeszcze jeden wycinek prasowy doprowadzał wreszcie do kuzyna Gastona. Wicehrabia Gaston de Pouzac zginął tragicznie na skutek nieszczęśliwego wypadku we własnym domu, gdzie zleciał mu na głowę marmurowy Tezeusz z Minotaurem. Istniały podejrzenia zabójstwa, ale wnikliwe dochodzenie wykazało prawdę. Mimo różnych niepokojących drobiazgów, znanych policji, osądzenie nie padło na nikogo. Śledztwo prowadził pan komisarz Simon.

– Na pana komisarza Simona też chyba nie mamy żadnych szans – powiedziałam do Krystyny, wracającej z butelką, kieliszkami i korkociągiem. – Dzielą nas od niego dwie wojny światowe, a Francja to nie Anglia. Wątpię, czy drugi raz spotka nas to samo szczęście.

– Spróbować nie zawadzi – odparła moja siostra i ustawiła wszystko między papierami. – Ciekawe, czy nam się uda z tym korkociągiem, nie ma dźwigni. No? I co ty na to teraz?

– Jeszcze nie znalazłam żadnego pisma dla pamięci od prababki Klementyny. I nic od Florka. A powinno być, wedle prababci Karoliny. Dziura już pusta.

– Ale widać coś dalej, rozpycha strony. Zajrzyj jakoś ostrożnie, bo diabli wiedzą jak tam jest z tą trucizną.

Wkręciła korkociąg i ze sieknięciem zaczęła wyciągać korek. Przyglądałam się temu z zainteresowaniem. Jakoś jej szło.

– Wyłazi – powiedziałam pocieszająco i zajrzałam do dalszego ciągu książki, już poza dziurą.

Można powiedzieć, że tkwiła tam brakująca reszta. Pra–i tak dalej–babka Klementyna zostawiła cały elaborat w punktach, przeznaczony dla wtajemniczonych, bo słowo „diament” nie zostało tam użyte ani razu. Wyjaśniała pochodzenie i sens kawałka korespondencji od tej jakiejś baby, pyskującej na brata, była to margrabina d’Elbecue, z domu Ludwika de Noirmont, która, owdowiawszy, wróciła do siedziby przodków i bardzo niechętnie płaciła braterskie długi. Jej brat, ówczesny hrabia de Noirmont, wrócił właśnie z Indii, ciężko ranny. Wiedzę na ten temat zdobył już dawno Florek, od starej klucznicy, służącej margrabinie jako dziewczynka. Niedbalstwo hrabiego w kwestiach materialnych zirytowało siostrę nad wyraz.

– Wrócił bez diamentu i diabli ją wzięli – skomentowałam w tym miejscu. – Głupio stracił rodzinny skarb.

Krystyna delikatnie popijała wino, czytając równocześnie ze mną.

– Czekał, kto to był Florek? Znam to imię, płacze mi się...

– Twoja niechęć do wszelkiej historii zaczyna przesadzać – skarciłam ją ze zgrozaniem. – Najstarszy Kacperski, ojciec Jędrusia. Miałby teraz... zdaje się, że około stu dwudziestu lat.

– W takim razie powątpiewam w ojcostwo, to po pierwsze, a po drugie, jaki znowu najstarszy? Miał chyba ojca i dziadka, sroce spod ogona nie wyleciał. Oni z pewnością byli starsi od niego.

Wiedziałam więcej od niej, bo od dzieciństwa z przyjemnością słuchałam opowieści z dawnych lat, wolałam je niż bajki. Kryśka zaś unikała ich jak ognia. Majaczyły mi się tajemnicze i skomplikowane historie.

– Primo, Jędrus ma teraz koło sześćdziesiątki, chociaż wcale na to nie wygląda...

– Fakt – przyświadczyła Krystyna. – Trzyma się doskonale.

– Więc Florian Kacperski, w chwili jego urodzenia też mniej więcej w tym wieku, mógł go spłodzić i nie szkaluj człowieka. Ale istotnie, nie spłodził. Adoptował. Jędrus był synem jego młodszej siostry... nie, zaraz, nie siostry, tylko siostrzenicy, o ile pamiętam. Coś tam było nieślubne, chyba właśnie Jędrus, i Florek już po wojnie musiał go adoptować, żeby po nim dziedziczył. Tym sposobem nie stracili Perzanowa.

– Co, do licha, Florek Kacperski z Perzanowa robił w Noirmont...?!

– Nie do wiary, żebyś do tego stopnia nic nie słyszała, jak do mnie gadali!

– Specjalnie się nie starałam...

– Idiotka.

– A skąd miałam wiedzieć, że to będzie potrzebne! Nie pyskuj, tylko wyjaśnij! Bo nie dam ci wina, sama wszystko wytrąbię!

– Już i tak załatwiłaś połowę... Florek, ty oślico, przez pół życia był zaufanym sługą pra–pra–pra...

– Daruj sobie te wszystkie pra, wiadomo, że mówimy o przodkiniach z zamierzchłych czasów.

– ...babci Klementyny. I tu mieszkał, w Noirmont. Zdaje się, że w rodzinie Kacperskich wszyscy znali francuski, przez kontakty z Przylesiem, tak mi to jakoś wyszło. Jako sługa, ze starą klucznicą mógł mieć liczne kontakty, a ona pewnie cieszyła się, że ma do kogo głądzić. Wygląda na to,

że była prawie naocznym świadkiem załęgnięcia się w rodzime diamentu. Gniew margrabiny na brata mówi sam za siebie.

– Dobra, rozumiem. Czytamy dalej.

Dalej prababka Klementyna informowała, z dużym przeskokiem w czasie, że pomocnik jubilera, niejaki Michel Trepon, jej zdaniem jest idiotą, ale kuzyna Gastona rzeczywiście nie zabił. Rozmawiała z nim osobiście, jest stara, zna się na ludziach, w tej kwestii nie kłamał. Prawdę mówił także o poniesionej stracie, chociaż istnieją wątpliwości...

– Czekażże, co za Trepon znowu? – przerwała z irytacją Krystyna. – Takiego do tej pory nie było. Kto to jest?

– Pewnie ten, o którym pisała prababcia Justyna. Kuzyna Gastona nie zabił. Pomocnik jubilera, to mi się wydaje podejrzane.

– Mnie też. Poniósł stratę. Cholera, gubili ten diament zgoła maniacko!

– Prababcia Klementyna powątpiewa – zwróciłam jej uwagę. – Czekaż, w czym rzecz...? A, burza na morzu...

Na morzu stracił wszystko, co miał, pytanie, co miał. Prababcia krzyżyka na tym nie stawia, może niesłusznie. Reszta już do niej nie należy, bo jest stara i szykuje się opuścić ten padół, w każdym razie nie ma i nie było w tym żadnej hańby, bo darowizna była dobrowolna i jeśli już ktoś został w tym skompromitowany, to raczej pani de Blivet, a nie nasz przodek.

Z różnych drobnych, marginesowych uwag wyraźnie wynikało, że prababcia nie miała pojęcia, w jaki sposób diament opuścił najpierw Indie, a potem Anglię i przeniósł się do Francji. Nie obchodziło jej to, a jej małżonek, hrabia Ludwik, z pewnością nie zwierzał się z kontaktów z Mariettą. Nawet jeśli z wycinków prasowych, opiewających katastrofę i klątwę, wyciągnęła własne wnioski, zachowała je dla siebie.

– Widzę nasze nadzieje, świńskim truchtem odbiegające w kierunku horyzontu – powiedziała Kryśka zgryźliwie. – Co tam jest dalej?

Zachowałam resztki optymizmu.

– Prababcia Karolina stanowi światełko w ciemnościach – przypomniałam jej.

– A, rzeczywiście. Popatrzmy...

Dalej był telegram prababki Justyny, wysłany z Calais, i list, napisany już w Londynie. Justyna, jak zwykle, pisała nie do zniesienia chaotycznie.

– Talentu literackiego to prababcia nie miała – mruknęła Krystyna, studiując oba pisma. – Niby bez błędów, ale merytorycznie jeden melanż.

Nagle uświadomiłam sobie, że gdyby mnie ktoś zapytał, w jakich językach pisane były owe wszystkie listy, nie potrafiłabym na poczekaniu odpowiedzieć. Polski, francuski i angielski znałyśmy jednakowo i nie robiło nam żadnej różnicy, po jakim czytamy. Przejście z jednego języka na drugi stawało się niezauważalne i dopiero teraz dostrzegłam nagle, że Justyna pisała do Klementyny pół na pół, po polsku i po francusku, wtrącając niekiedy słowa angielskie. Być może, wykształcenie lingwistyczne miałyśmy po niej.

List z Londynu donosił, że o całej scenie u kuzyna Gastona dowiedziała się od panny Antoinette Bertier, której tatuś naprawia łodzie i statki, bo narzeczony uciekł na sam jej widok. Ale przedtem zdążył się zwierzyć i owszem, tak, kuzynowi wyleciało z książki, a on sam przyszedł z bransoletą od swojego pryncypała i z grzeczności rzucił się podnosić. Tak, pchnął tę kolumnę i przewrócił stolik, sam też się prawie przewrócił akurat na to, w ręku mu się znalazło, uciekł w wybuchu paniki, zanim zdążył cokolwiek pomyśleć. Mamrotał o Ameryce, bo nikt mu nie uwierzy. Ale bliższa była Anglia, znał rybaków, najprędzej mógł uciec do Anglii i

dlatego Justyna tu przyjechała, plenipotent się nią zaopiekował. Wszystko w porządku.

– Świeć Panie nad duszą prababci, ale chyba zwariowała – powiedziała Krystyna z niesmakiem.

– Na moje oko, nic nie było w porządku.

– Potwierdza się sprawa z tym niezabiciem – odparłam z lekkim roztargnieniem. – Ale czekaj, bo po mnie chodzi. Antoinette, Antoinette, Antosia... Poniewiera się po mnie Antosia u Kacperskich... O rany, czyżby to była ta sama...? Jakim cudem...?! Krystyna się nagle zracjonalizowała.

– Słuchaj, myśmy zgłupiały. Nie, to ty zgłupiałaś. Facet rąbnął kuzynowi ten cholerny diament i zgubił go w czasie burzy na morzu. Na jaki plaster ci Antosia u Kacperskich, prawdopodobnie dziewczucha z sąsiedniej wsi? Co ma piernik do wiatraka? Prababcia Karolina na starość mogła dostać sklerozy, skarb rodzinny diabli wzięli, po cholere my się tu wygłupiamy? Weź się, kretynko, za wycenę antyków, dokończymy bibliotekę, podejmiemy spadek, sprzedamy wszystko i może nam to coś da. A o diament możemy mieć pretensję do przodków, ile nam się spodoba, ale nic więcej.

Na rozum przyznałam jej rację od razu, ale głębia mojej duszy zaprotestowała.

– To możemy zrobić w każdej chwili i nic nie stoi na przeszkodzie. Przedtem ułożmy sobie porządnie ostatnie wydarzenia, co ci zależy, wino w tej piwnicy jeszcze jest...

– W takim razie pójdę po drugą butelkę...

Wino zdecydowanie dodało wigoru naszym szarym komórkom. Wyjątkowo zgodnie ustaliłyśmy, że ujawniony nagle Michel Trepon jest to ów pomocnik jubilera, narzeczony panny Antoinette, który nie zabił kuzyna Gastona, rąbnął diament i uciekł na widok Justyny. Zdaniem prababci

Klementyny, idiota. Skoro idiota, nie można opierać się na jego poglądach, może wcale nie miał klejnotu przy sobie i nie zgubił go w burzliwych falach, tylko zostawił u narzeczonej...?

– W takim wypadku panna Antoinette Bertier zaczęłaby być osobą interesującą – stwierdziła Krystyna, patrząc pod światło przez kieliszek wina. – Za główną korzyść z całego spadku zaczynam uważać to wino, nie sprzedam ani kropli za skarby świata, swoją połowę zabiorę do domu.

– Ja też. W każdym wypadku, nawet gdybyśmy znalazły dwadzieścia diamentów. Żeby to piorun trafił, byłyśmy w Calais, trzeba tam jechać jeszcze raz, może trafimy na jakąś wiedzę o skutniku sprzed... zaraz, kiedy to było... dziewięćdziesięciu lat. Pytanie, gdzie mieszkał, w środku miasta czy na peryferiach, bo jeśli w środku, możemy się wypchać od razu. Całe śródmieście jest młodsze.

– Calais, może być. Ale po drodze wstąpimy do Paryża i co ci szkodzi, skoczmy do glin. Komisarz, jak mu było...? Simon. Stare akta w archiwum, liczę na ciebie, w każdym archiwum czujesz się jak u siebie w domu...

* * *

Wstawaliśmy nazajutrz od śniadania, kłócąc się, czy jechać zaraz, czy jednak przedtem wykończyć bibliotekę, kiedy wiekowy kamerdyner z wielką godnością powiadomił nas, iż jakiś osobnik chce się widzieć z jedną z nas. Albo może z obydwoma. Mówił o spadkobierczyni pani hrabiny, więc nie wiadomo...

– Razem czy oddzielnie? – spytała Krystyna półgębkiem.

– Na razie spróbowałabym oddzielnie – odparłam tak samo. – Czeka w parterowym salonie. Ty czy ja?

– Ty. Jak dla mnie, za dużo tu historii...

– To spróbuj przynajmniej podsłuchiwać.

Z wielką godnością wkroczyłam do salonu, pełna obaw, czy to nie jest jakiś poborca podatkowy albo inna zaraza. Może prababcia toczyła spory z wsią i trzeba będzie jakoś to wyrównać, może zaprezentuje mi oblig do zapłacenia, utajniony dotychczas, ale wciąż aktualny...

Facet w salonie wyglądał nawet dość sympatycznie. Duży, blondynowaty, prawie bezbarwny, dobronuduszy, poniżej czterdziestki, marzenie zmęczonych kobiet. Maniery nieskazitelne, a przy tym bezpośredniość.

Na mój widok jakby się zachłusnął, co wcale mnie nie zdziwiło, bo wiedziałam, że wyglądam całkiem nieźle. Bez fałszywej skromności mogłam zrozumieć, iż ujrzał nagle przed sobą piękną kobietę. Skoro piękna była Krystyna, nie mówiąc o Arabelli, zatem ja też.

– Słucham pana – rzekłam grzecznie.

Opanował się z wyraźnie widocznym wysiłkiem i poprzestał na zachwycie w oku. Zaczął po francusku z akcentem, który nie budził wątpliwości. Przerwałam mu od razu.

– Możemy mówić po angielsku – przyzwoliłam łaskawie. – Mnie to nie robi różnicy, nawet przy amerykańskim akcencie.

Ucieszył się, opamiętał do reszty i z miejsca przystąpił do rzeczy.

– Istotnie, przyjechałem ze Stanów. Mój boss chciałby posiadać autentyczny zamek francuski, niekoniecznie duży, może być taki jak ten. Kilka lat temu proponował kupno hrabinie de Noirmont, ale się nie zgodziła. Być może spadkobierczyni będzie innego zdania, ponawiam propozycję. Płaci bardzo dobrą cenę, zresztą do omówienia, pod warunkiem, że nabędzie zamek razem ze wszystkim, co się w nim znajduje...

Spadło na mnie nagle olśnienie i przerwałam mu od razu.

– Pański boss zapewne nie zdaje sobie sprawy z wartości obiektu albo też uważa mnie za idiotkę. Tak się składa, że jestem historykiem sztuki i potrafię ocenić wszystko, co się w nim znajduje. Chce pan obejrzyć przykłady? Proszę bardzo...

Zanim się zdążył obejrzyć, złapałam go za rękę i powlokłam przed siebie.

– Tu, na ścianie, Renoir, autentyk. Giotto. Pod lustrem, lustro zresztą weneckie, szesnasty wiek, skrzynia wcześniejsza, początek renesansu, też autentyk. Karło dębowe, wczesne średniowiecze, nie dam głowy, czy nie siedział na tym Karol Wielki. Oba świeczniki na kominku renesansowe, kredens gdański z czarnego dębu, początek siedemnastego wieku. Porcelana, niech pan zajrzy do środka, proszę uprzejmie, pierwsza Miśnia, a tu jest także trochę chińskiej, i to nawet nie Ming, a Sung, w idealnym stanie. Proszę, proszę, niech pan się rozejrzy. Ile ten pański boss chce za to zapłacić? Gdybym chciała sprzedać, wolę urządzić aukcję dla koneserów i zbieraczy. Żadna wycena nie przebije maniaka, a może trafię na kilku...?

Zbaraniał nieco, ale szybko odzyskał przytomność umysłu. Zatrzymał się przy zegarze norymberskim z szesnastego wieku, wielce ozdobnym, który nie chodził już chyba od stu lat.

– A gdyby pani mogła przykładowo podać cenę kilku przedmiotów...?

Zupełnie przypadkowo wiedziałam, że podobny zegar, nieco młodszy, ale za to na chodzie, na ostatniej aukcji poszedł za czterdzieści tysięcy dolarów. Złośliwie zawyżyłam cenę.

– To, na przykład. Pięćdziesiąt tysięcy.

– Franków?

– Nie. Dolarów.

Bystry chłopiec, decyzje podejmował błyskawicznie.

– Wobec tego, powiedzmy, dwa miliony za całość...?

– Razem z porcelaną Sung? – spytałam jadownicie.

– Cena jest ciągle do omówienia. Mój boss nie zamierza się targować.

Ugryzłam się w język, żeby nie powiedzieć, co myślę. Albo zwariował, albo wie o czymś bezcennym, co ten zameczek w sobie zawiera. Diament oczywiście. Moje olśnienie wywołało natychmiastowe skojarzenia, ten tam jakiś Trepon uciekł do Ameryki, o gubieniu w morskich falach oczywiście zełgał, chce odzyskać swój łup, no, nie on sam oczywiście, miałby teraz przeszło sto lat, potomkowie. Jeden potomek. Półgłówek, wyobraża sobie, że ten diament jest gdzieś tutaj...

– Zastanowię się – powiedziałam. – Do jutra.

– Doskonale, w takim razie jutro przyjdę ponownie.

Krystyna pojawiła się, zaledwie zdążył wyjść.

– Na dwóch milionach to niech on się powiesi – oznajmiła od razu. – Milion na łeb to dla mnie za mało. Ale myśl jest niezła, jasne, że liczy na diament, skądś o nim wie. Niech zapłaci więcej, ze sześć powiedzmy, gównu znajdzie, a forsa nasza. Co ty na to?

– Właśnie myślę. Z jednej strony możliwe, że na licytacji za wszystkie rupiecie dostałybyśmy tyle samo albo nawet więcej, ale z drugiej, kto od nas kupi tę całą zrujnowaną kobyłę? Nawet jeśli Amerykanin, to już nie wariat, takiej ceny nie zapłaci. Z trzeciej natomiast, przyznam ci się, że trochę mi szkoda tego chłamu, wcale nie chciałam wszystkiego się pozbywać. Coś bym zabrała do siebie.

– Gdański kredens na przykład. Świetny rozmiar do naszych mieszkań. Tylko zwracam ci uwagę, że przez żadne drzwi nie przejdzie. Będiesz rozbierać budynek?

– U babci by się zmieścił.

– To babcię chciałaś uszczęśliwić czy siebie?

– Odczep się. Ty wymyśliłaś kredens, nie ja. Jest tu parę mniejszych kawałków.

– Naprawdę taki strupel, jak ten zegar w korytarzu, jest wart pięćdziesiąt patoli? – spytała z niedowierzaniem.

Skrzywiłam się nieco.

– Do dwudziestu może by doszedł, a może i nie. Zdewastowany odrobinę i wymaga licznych zabiegów. Próbowalam go skołować.

– W odniesieniu do mnie to ci się udało. Joaska, dosyć tego! Nigdzie nie jedziemy, dopóki tutaj nie odwalisz roboty, bierz się za porządną wycenę! Niech wiem, na czym stoimy. A potem, oświadczam ci, nie spocznę, póki tego draństwa nie znajdziemy, on tu musi gdzieś być. Jeżeli facet ze Stanów tak się pcha do tej ruiny, wie o diamencie więcej niż my. Dopiero teraz naprawdę uwierzyłam w rodzinny skarb i rozumiem prababcię Karolinę.

– Coś w tym jest – przyznałam. – Ze wszystkim, co się w nim znajduje... Ty, a może on się tu rzeczywiście gdzieś poniewiera? Gość kupi od nas ten cały interes i rozłoży wszystko na czynniki pierwsze...

– Nie strasz mnie. W każdym razie musimy skończyć bibliotekę, bo bez tego nie mamy prawa do spadku i o żadnej sprzedaży nie ma co myśleć. Idę do roboty, a ty się łap za antyki.

– A w bibliotece to ci się wydaje, że co? Nie ma antyków? Idziemy obie i spróbuję się od razu zorientować...

Dzieło o sokołach miałyśmy już z głowy, ale kolejny foliał, szesnastowieczne angielskie wydanie opowieści o królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu, zawierał w sobie tak liczne uwagi natury zielarskiej, że Krystyna spędziła nad nim pół dnia. Dlaczego akurat w królu Arturze, i to w dodatku po angielsku, któraś prababka pozapisywała te mądrości, Bóg raczy wiedzieć. Może z racji obcego języka uważała dzieło za mało przydatne i racjonalnie spożytkowała szerokie marginesy.

Rzecz oczywista, natknęłam się także na korespondencję, nasi przodkowie rzeczywiście z wyraźnym upodobaniem zostawiali listy w książkach. Nie posunęło to do przodu sprawy diamentu, bo treść owych epistoł dotyczyła wyłącznie plotek natury towarzyskiej.

Na dłużej utknęłam przy cudownie pięknej, średniowiecznej, ręcznie pisanej księdze, opiewającej przygody rycerzy w pierwszej wyprawie krzyżowej. Zachwyciła mnie bez granic, z językiem i pismem dawałam sobie radę bez wielkich wysiłków. Pomyślałam, że tego się nie pozbędę nawet za miliardy, zabiorę do domu i przeczytam od deski do deski. Krystynie na nic, nie umiałaby tego rozszyfrować, mogę jej potem opowiedzieć treść własnymi słowami. Może nawet przetłumaczę na język współczesny.

W rezultacie do wieczora odwaliliśmy zaledwie jeden segment i ciągle miałyśmy przed sobą dwa kawałki ściany. Za to wartość owych lektur rosła w szybkim tempie.

– Nie – powiedziałam do Krystyny przy kolacji. – Nie zgadzam się na sprzedaż temu głupkowi na pniu. Wśród książek są egzemplarze wręcz bezcenne, nie mówiąc o tym, że wypraw krzyżowych z ręki nie wypuszczę. Więc wszystko, co się w nim znajduje, nie wchodzi w rachubę.

– Ja mam inny problem – odparła moja siostra. – Pomijam oczywiście wino, którego też z ręki nie wypuszczę, a wytrąbić wszystkiego na poczekaniu nie damy rady. Ale pochorowałabym się, gdybyśmy sprzedały całość, nie obejrzawszy jej przedtem dokładnie. Do tej pory nie było czasu, a i tak wpadł mi w oko wachlarz prababci, wszystko jedno której. Fantazja! Masz pojęcie, jakie cuda się tu jeszcze znajdują?

– Mam pojęcie i dlatego protestuję. Chociaż amatora na zamek dobrze byłoby mieć.

– Słuchaj, a może pójść na pertraktacje? Krakowskim targiem, trochę sobie zabierzemy, a z resztą niech robi, co chce.

– Nie zgodzi się. Pomyśli, że zabierzemy diament i na co mu reszta?

– To niech się wypcha. Ewentualnie może nam patrzeć na ręce...

Facet przyleciał nazajutrz, znów w porze śniadania. Ranny ptaszek.

Przekazałam mu naszą decyzję. Zamek mogę sprzedać wraz z zawartością, ale nie w stu procentach. Pamiątki rodzinne zamierzam sobie zostawić i nie ma gadania. Poza tym, w obliczu chociażby samych książek z biblioteki, cena dwóch milionów jest po prostu śmieszna.

On też się zastanowił, a może porozumiał z pryncypałem, o ile w ogóle takiego miał i nie występował we własnym imieniu.

– Pięć milionów – rzekł zdecydowanie. – Pamiątki rodzinne owszem, proszę bardzo, ale musiałbym je zobaczyć. Poza tym transakcja musiałaby zostać zawarta natychmiast, najlepiej dziś. A jutro na pani miejsce wchodzi mój boss.

– Odpada – odparłam z energią. – Jeszcze nie weszłam w posiadanie spadku.

– Nie szkodzi, co innego stan faktyczny, a co innego formalności. Mogą iść swoją drogą. Wspomniała pani o książkach, biblioteka oczywiście też już do pani nie należy...

– Nonsens. W życiu nie obejmę tego spadku bez uporządkowania biblioteki. To jest warunek postawiony w testamencie.

– Co?

– Warunek, mówię. W posiadanie spadku mogę wejść dopiero po uporządkowaniu i skatalogowaniu biblioteki.

– Dlaczego?

– A, to panu mogę wyjawić. Moja prababka wysoko ceniła leczenie ziołami i miała na ten temat olbrzymią wiedzę, rozproszoną po książkach.

Życzyła sobie, żeby to wszystko odnaleźć i zebrać do kupy. Dopiero po zakończeniu tej galerniczej roboty otrzymam schedę.

Tym go na dobrą chwilę kompletnie ogłuszyłam. Patrzył na mnie, stropiony, i zbierał myśli.

– Mój boss to zrobi – powiedział wreszcie trochę niepewnie. – Sam mu pomogę.

– Nie obraziłabym się wcale, gdyby pan pomógł mnie – podsunęłam jadowicie. – Ciężkie to wszystko jak diabli, już ręk nie czuję, silny chłop bardzo by się przydał. Ale w myśl testamentu mam to zrobić ja i notariusz pilnuje jak zły pies. Nie pójdzie na żadne ustępstwa.

– Nawet by o tym nie wiedział, nasz prywatny układ możemy zachować na razie w tajemnicy. Pieniądze, oczywiście, dostanie pani od razu.

– Bardzo kusząca propozycja, ale nic z tego. Bibliotekę muszę wykończyć i potrwa to jeszcze z tydzień...

Przerwał mi.

– No dobrze, zgadzam się. Mogę zacząć natychmiast, od dziś.

– Co pan może zacząć...?

– Pomagać pani w tej bibliotece. Proszę bardzo. Gdzie to jest?

– Na litość boską...!

– Bierz!!! – wysyczał po polsku dziki głos jakby zza ściany. Oczywiście, Krystyna.

Przeistoczony z nagłą wulkan energii facet wzdrygnął się lekko i rozejrzał dookoła. Uznałam za słuszne wyjaśnić sprawę, bo niepotrzebna mi była legenda o duchu.

– To moja siostra. Razem dziedziczymy i razem kotłujemy się z tą całą kulturą. Życzy sobie pańskiej pomocy.

– Rozsądna osoba – pochwalił. – No...?

Teraz ja się poczułam lekko ogłuszona, ale skoro Kryśka aprobowała pomoc, niech im będzie...

– Pan pozwoli, że skończę śniadanko. Nieduże. Może pan też coś zje?

– Już jadłem, ale chętnie napiję się kawy...

Widok Krystyny rąbnął go zdrowo. Przez chwilę przenosił wzrok ze mnie na nią i z niej na mnie. Nie chciało nam się wprowadzać różnic i wyglądałyśmy normalnie, to znaczy idealnie jednakowo.

– Panie są ogromnie podobne – wymamrotał, nie wiadomo dlaczego straszliwie tym faktem speszony.

– Poglądy też mamy identyczne – zapewniła go Krystyna, nalewając kawy z dzbanka. – Muszę pana uprzedzić, nie pytając nawet mojej siostry o zdanie, że pańska pomoc w bibliotece niczego jeszcze nie przesądza. Wcale nie wiem, czy sprzedamy panu zamek z całą zawartością. Znalazłam tu przypadkiem wachlarz prababci, album z fotografiami i miłosne listy pradziadka, nie dam tego nikomu. Gorset prababci też się tu gdzieś z pewnością znajduje, mnie się może przydać, pańskiemu szefowi chyba raczej nie. Ta cała sprzedaż z dobrodziejstwem inwentarza to głupi pomysł. Nie bardzo mi się podoba.

– Pięć milionów dolarów też się pani nie podoba?

– Średnio. W kwestiach finansowych obie jesteśmy lekkomyślne.

Trochę go jakby zamurowało. Przypomniałam sobie, co zostawiłyśmy w bibliotece, i podniosłam się od stołu.

– Niech pan spokojnie wypije tę kawę, zaraz pana zaprowadzimy na galery...

Gdyby zapytał, dokąd idę, powiedziałabym bez żadnych skrępołów, że do wychodka. Musiałam trochę uporządkować nasze miejsce pracy. Na szczęście miał tyle taktu, żeby nie zadawać głupich pytań, a wiedziałam, że Krystyna go przytrzyma, dopóki nie wrócę.

Zebrałam z bibliotecznego stołu wszystkie porozkładane papiery i ukryłam dzieło o sokołach w przejrzanej już części. Resztę mógł sobie oglądać do upojenia. Warsztat pracy był przygotowany i ciekawa byłam bardzo, co z tego wyniknie. Godząc się na pomoc faceta, Krystyna miała jakąś myśl.

Tę myśl przekazała mi dopiero wieczorem, na wszelki wypadek bowiem wolałyśmy nie posługiwać się językiem ojczystym. Facet ze Stanów Zjednoczonych mógł znać polski, możliwe, że jego matula mieli chałupecke malućką pod wirchem kole Nowego Targu, diabli wiedzą. Zatrudniłyśmy go racjonalnie w charakterze tragarza, wyjmował, nosił i ustawiał jak należy upiornie ciężkie tomiska i nawet się nie zadyszał. Pracowało nam się stanowczo przyjemniej, zapisków przyrodniczych jakoś nie było, na korespondencję również nastał nieurodzaj i do wieczora udało nam się przejść na ostatni kawałek ściany.

Obiad został zlekceważony, ale zaprosiłyśmy pomocnika na kolację, bo co nam szkodziło.

– No i sam pan widział – wytknęłam. – W rękach pan trzymał białe kruki, za które po trzy wsie można było kupić. Kto by coś takiego sprzedawał? Chyba że w skrajnej konieczności, a w takiej nędzy jeszcze nie żyjemy.

– Owszem – przyznał. – Porozumiem się z bossem. Być może, z niektórych rzeczy zrezygnuje.

– Ponadto niech pan zobaczy, co pan pije – zwróciła mu uwagę Krystyna bez żadnego miłosierdzia. – Takiego wina nie dostanie pan nigdzie na świecie. To nasze, tutejsze. Tu pan go też więcej nie dostanie, bo nam szkoda i zamierzamy same je wypić. Sprzedaż wykluczam kategorycznie.

Facet łypnął okiem i już nic nie powiedział. Nazywał się jakoś, oczywiście, przedstawił się, ale jego nazwisko od razu wyleciało mi z

pamięci. Na imię, zdaniem Krystyny, miał Heaston. Idiotyzm, pewnie jakaś ulica, miejscowość albo nazwisko panięskie matki.

Obiecał, że przemyśli jeszcze kwestię pełnej zawartości zamku, i poszedł sobie. Mogłyśmy wreszcie rozmawiać swobodnie.

– Ile, do diabła, ten diament może być wart, skoro on chce płacić takie sumy? – zastanowiła się Krystyna. – Czy to możliwe, żeby szedł w dziesiątki milionów? W miliardy?

– No, w każdym razie unikat, jedyny na świecie – przypomniałam jej. – Ale co do ceny, pojęcia nie mam. Sprawdźmy w Paryżu przy okazji, ile takie grubsze sztuki kosztują. Po cholere chciałaś, żeby nam pomagał?

– A co, zły pomysł? Robotny chłopiec, całą katorgę odwalił. A chciałam zobaczyć, jak się będzie zachowywał, zacznie węszyć po kątach albo co. Przyglądałam mu się, nie węszył nachalnie, tylko dyplomatycznie, macał za książkami, zaglądał w grzbiety i tak dalej. Osobiście uważam, że to hochsztapler i cała sprawa wydaje mi się podejrzana.

Kiwnęłam głową, bo podobna myśl także i we mnie się zaległa. Przeszłyśmy do części jadalni, która tworzyła jakby oszkloną werandę z bezpośrednim wyjściem do ogrodu, i usiadłyśmy w fotelach, uchylwszy drzwi. Na zewnątrz paliło się światło, zaniedbany trawnik był doskonale widoczny, krzewy, za którymi ktoś mógłby się schować, żeby podsłuchać naszą rozmowę, rosły w takiej odległości, że usłyszałyby coś wyłącznie w wypadku, gdybyśmy ryczały głosem trąby jerychońskiej. Nie byłyśmy takie głupie, żeby tego nie sprawdzić.

– Nie zostawił wizytówki – podjęłam pogląd Krystyny. – Żadnej. Jeśli istotnie jest plenipotentem, sekretarzem, czy tam czymkolwiek, tego swojego szefa, nie powiedział, jak on się nazywa. Gdybym go zapytała wprost...

– Przeprosiłby grzecznie i podał nazwisko – wpadła mi w słowo Krystyna. – Niekoniecznie prawdziwe, mógł wymyślić cokolwiek. Ale miał nadzieję, że popełnisz przeoczenie i przejdzie mu ulgowo, szefunio zostanie w cieniu. Podejrzewam, że transakcję by z nami zawarł jak należy, akt kupna–sprzedaży notarialny i tak dalej, ale zapłaciłby nam gotówką fałszywymi pieniędzmi. Albo czekiem bez pokrycia.

– Czek niebezpieczny, mogłybyśmy sprawdzić od razu, przed podpisaniem aktu.

– Skoro jesteśmy beztroskie i lekkomyślne, nie sprawdziłybyśmy wcale. Szydło z worka wylazłoby później.

Zastanowiłam się.

– Nie, obstaję przy fałszywej gotówce. Czek bez pokrycia stanowi jakiś dowód, byłoby go na czym poszukiwać.

Krystyna też przez chwilę rozważała sprawę.

– Coś by zrobił takiego, żeby to potrwało. Ten cały zamek potrzebny mu jak dziura w moście, chce go tylko przeszukać. Dopadłybyśmy go po przeszukaniu, a wtedy już by się zmył i cześć.

– Zamek wraca do nas, a on traci pięć milionów dolarów? Nie jest to lekka przesada?

– Zwariowałaś? Co traci? Tę fałszywą forszę?

– A rzeczywiście, masz rację...

– W ogóle, na moje oko, to on chce znaleźć to, co myśmy już znalazły – kontynuowała Kryśka, popijając wino po odrobinie. – Korespondencję, pamiętnik prababci, papiery, z których wyciągnie wnioski. Chociaż możliwe, że obecności diamentu w zamku jest pewien i powiem ci, że to mnie trochę niepokoi. Pętamy się po Europie, zamiast szukać na miejscu. A cholera wie, może on tu naprawdę jest?

– Prababcia Karolina by nam o tym napisała.

– Poniekąd napisała, nie?

– Dałaby wskazówkę, coś o miejscu ukrycia. Moim zdaniem, sama nie wiedziała, gdzie on może być.

– Tym bardziej może być wszędzie. A kto wie, może prababcia Justyna odzyskała go po cichutku i kameralnie, prababcia Klementyna ukryła... Albo sama Justyna ukryła już po jej śmierci.

– I słowa o tym rodzonej wnuczce nie powiedziała?

– Wnioskując z opinii babci Ludwiki, prababcia Karolina była trochę... jak by tu grzecznie powiedzieć... nieodpowiedzialna...

– To co wobec tego? Postanowiła, że rodzinny klejnot ma pozostać w ukryciu do dnia sądu ostatecznego? Nie, upieram się, że coś by o tym tu gdzieś było.

– A może jest? Może to właśnie chce znaleźć ten nasz pracowity Heaston?

Otworzyłam usta, żeby jej zaprzeczyć, ale zreflektowałam się. Owszem, te supozycje miały jakiś sens. Trudno, znajdziemy ten diament czy nie, uda nam się później upłynnić nieruchomość czy też będziemy musiały płacić francuskie podatki, w żadnym razie zamku w tej chwili sprzedać nie możemy. Do końca życia gryzłaby nas wątpliwość, czy nie popełniłyśmy szczytowego idiotyzmu.

Nagle uświadomiłam sobie coś trochę obok tematu.

– Ty, Kryśka, popatrz. Czy nad naszą rodziną nie wisi jakaś klątwa? Wszystkie baby kolejno robią różne głupoty przez chłopów. Albo dla chłopów. Arabella podwędziła diament na złość pierwszemu mężowi i możliwe, że dla tego drugiego. Klementyna... no nie, Klementyna mi się wyłamuje. Ale Justyna udawała tylko, że szuka zguby, a naprawdę pojechała do Anglii dla pradziadka Jacka. Wyraźnie to świeci z listów między wierszami. My też...

– A co? – zainteresowała się Krystyna gwałtownie. – Masz jakiegoś na oku? Nic nie mówiłaś! Kto...?

Milczałam przez chwilę, zła, że mi się wyrwało.

– Miałam się chwalić skretynieniem? No dobrze, powiem ci. Znasz go. Paweł Darski.

– Jezus Mario! I ty się rwiesz do pieniędzy...?!!!

– Idiotka – rozzłościłam się. – Właśnie dlatego!

Oszupiała w pierwszej chwili Krystyna zreflektowała się, zdołała pomyśleć i zrozumiała. Nie musiałam jej niczego tłumaczyć. Zdaje się, że wewnątrz też w gruncie rzeczy miałyśmy jednakowe.

– No może... No owszem... Jeśli chcesz go na stałe... A on co?

– Leci na mnie, zgadza się. Już mamrotał coś o ślubie i dzieciach, ale go ukróciłam.

– Żeby się tylko nie zniechęcił, zanim wrócimy...

Popatrzyłam na moją siostrę, przypomniałam sobie, że wyglądam tak samo, i pozbyłam się obaw. Do tak pięknej kobiety żaden chłop się nie zniechęci bez rażącego powodu, a dotychczas prezentowałam Pawełkowi same zalety. Powinien do mnie tęsknić bez opamiętania.

Krystyna ochłonęła już całkowicie.

– Chyba masz rację, mnie też byłoby głupio. Znajdziemy to gównno, przedziabiemy na pół... Ten cały Heaston natchnął mnie wielką nadzieją, jeśli naprawdę to jest taka przeraźliwa forsa, Paweł się wreszcie ocknie. Między nami mówiąc, powinien udawać śmieciarza... Nie, śmieciarze są bogaci... Bezrobotnego na zasiłku! Miałby pewność, że dziewczyna leci na niego, a nie na pieniądze. Dziwię się, że mu to dotychczas nie przyszło do głowy.

– Nie miał czasu.

– A pewnie, musiałyby sobie zrobić dwuletni urlop. Chociaż, z drugiej strony, pieniądze same pracują na siebie... No owszem, chłopak jest atrakcyjny, ale mnie się nie widzi. Wolę Andrzeja.

– Czy ty jeszcze nie zauważyłaś, jakie to szczęście, że gust do chłopów mamy różny? – spytałam gniewnie. – Masz pojęcie, co by było, gdybyśmy się pchały razem do tego samego?!

– O Jezu... Mam pojęcie i na samą myśl zgroza mnie ogarnia. Chociaż owszem, raz twój mąż chwycił mnie w objęcia, jak do was przyszłam, w przekonaniu, że to ty wracasz. Wyrwałam mu się ze wstrętem, bardzo cię przepraszam.

– Nie ma za co – odparłam obojętnie. – Mnie twój też, z takim samym skutkiem. Chociaż czasem myślę, że mogłoby się nam to przydać, nie mówię o łóżku, a wręcz przeciwnie.

– Powiedz porządnie – poprosiła Krystyna, zaciekawiona. – Co masz na myśli?

– Sceny małżeńskie. Różne scysje. Pretensje. Czekał, nie było okazji, żeby ci o tym opowiedzieć, jedna moja przyjaciółka, może nawet kiedyś ją widziałaś, ale to mało ważne, koniecznie chciała na spokojnie i zgoła naukowo wyłożyć swojemu, czym jej doskwiera. Ale, niestety, kochała cholernika. Na sam jego widok spływało na nią upojenie i zapominała kompletnie, idiotka, o co jej chodzi i jakie ma pretensje. Jeśli zaś już sobie przypomniała, powiedzmy, że to była akurat przykra chwila, od razu zaczynała płakać i kładła sprawę. Gdyby miała siostrę–bliźniaczkę, to ta siostra, automatycznie wyzuta z emocji, mogła całą rzecz załatwić, odpowiednio przedtem pouczona. Taką korzyść, jakby co, mamy zawsze przed sobą.

Krystyna pokręciła głową z taką troską, jakby ten problem już nam wisiał nad głową.

– Niedobrze. Uda się jej, pogodzą się, on zrozumie, zakładam optymistycznie, że jest inteligentny, i będą musieli lecieć do łóżka...

– Przemyślałam to porządnie – pocieszyłam ją. – Właściwa ona czekałaby na podorędziu i zamieniłyby się błyskawicznie. Sekunda wystarczy.

– A, tak to się zgadzam. Owszem, ma to sens. Kochając faceta, ewentualnie nienawidząc, przenigdy nie wykażesz zdrowego rozsądku, zawsze się z ciebie coś wyrwie i z czymś idiotycznym wystrzelisz. Element zastępczy w takim wypadku jest zgoła bezcenny. Dobrze, że mi o tym powiedziałaś, w razie czego skorzystam.

– Wzajemnie.

Ogromnie zadowolone z konkluzji, siedziałyśmy na tej werandzie przy znakomitym winie, wpatrzone w ciemność za oświetloną częścią ogrodu. Przyjemność sprawiała nam myśl, że jesteśmy dla siebie przydatne.

– A ta przyjaciółka w końcu co? – spytała nagle Krystyna.

– Nic, rozeszli się. Nie miała siostry–bliźniaczki.

Po następnej długiej chwili Krystyna oprzytomniała pierwsza.

– Słuchaj, myśmy chyba zgłupiały. Omawiamy tu peregrynacje uczuciowe, zamiast zajmować się komplikacją bieżącą. Co zrobimy jutro? Zatrudnimy go, jeśli przyjdzie, nie przyznając się do decyzji, że sprzedaż może sobie wybić z głowy, czy postąpimy uczciwie?

Zawahałam się.

– Uczciwie byłoby przyzwoiciej. Ale z drugiej strony może to dyplomatyczne węszenie dostarczy mu jakiejś satysfakcji? Niech powęszy, co nam zależy. Tyle jego.

– Może i tak – zgodziła się Kryśka. – Postawiłabym sprawę jasno, ze sprzedaży nici, ale pomagać może, jeśli chce. Niech się zaraz w pająka przemienię, jeśli nie zechce.

Przyjrzałam się jej.

– Ponieważ nie widzę, żebyś się przemieniała w pająka...

* * *

Tajemniczy dosyć Heaston bez nazwiska użył mnóstwa argumentów, przekonywał nas i tłumaczył, zły był, zirytowany, trochę wyglądał, jakby oceniał nasze szyje, da się udusić każdą jedną ręką czy nie, ale Krystyny w pająka nie zamienił. Chęć pomocy zgłosił.

Ile wysiłku zużyłam, żeby ukryć przed nim jedną kartkę, znaną w rozprawie o astronomii, ludzkie słowo nie opisze. Sama z siebie kartka nie wyleciała, objawiła się dopiero przy dokładnym przeglądaniu dzieła, w dodatku napisana była po polsku, ale i tak wolałam nie podsuwać mu głupich myśli.

Dzięki uwolnieniu od wysiłków czysto fizycznych doszliśmy tak daleko, że zostały nam dwie ostatnie szafy przy drzwiach. Koniec udręk zaczął świtać na horyzoncie. Nawet bez silnego chłopa mogłyśmy skończyć najgorszą robotę w jeden dzień i przystąpić do sporządzania katalogu, stwierdzającego zawartość wszystkich półek w każdym segmencie. Biblioteka stawała się czysta jak kryształ, najgorsza jełopa mogła z zamkniętymi oczami trafić do każdej książki. Zważywszy iż zapiski Krystyny, dotyczące sztuki leczenia ziołami, mogły zająć ze trzy grube tomy, życzenie prababci zostało chyba spełnione.

– Niech się pani jeszcze zastanowi – powiedział wieczorem pomocnik i zabrzmiało to trochę jak groźba karalna. – Lecę jutro do Stanów i nie będzie mnie, ale wrócę pojutrze. Lepszej oferty pani nie dostanie, więc proszę to przemyśleć. Ostatnia okazja.

Nasza rozpaczliwa jednakowość musiała mu chyba nieźle dokopać, bo mówił w przestrzeń między nami dwiema, używając przy tym liczby

pojedynczej. Widocznie nie umiał sobie dać rady z jednostką w dwóch egzemplarzach. Zapewniliśmy go, że przemyślimy, i znów zostałyśmy same.

– No? – spytała Kryśka niecierpliwie. – Coś znalazłaś, widziałam. Co to było?

– Okropność zupełna – odparłam, wyciągając kartkę, ukrytą w częściowym spisie książek. – Pyskowałaś na Antosię Kacperskich, coś mi się widzi, że niesłusznie. Chyba się wiąże.

– Z czym się wiąże? Pokaż!

Dałam jej do poczytania list, znów częściowy, tym razem zawierający początek bez dalszego ciągu. Przynajmniej wiadomo było, do kogo został skierowany.

*Kochany Bracie Marcinku,
pisała osoba.*

Na wstępie zawiadamiam cię, że wszyscy zdrowi i dobrze się mają, możemy tym sobie dalej nie zawracać głowy. Coś mi się wydaje, a nie tylko mnie, że wpadłeś. Panna Antoinette nieźle zalazła ci za skórę, taki wniosek z Twojego listu wyciągamy zgodnym chórem. Poezja wyszła mi przypadkiem. Matka milczała przez cały jeden dzień, po czym oświadczyła z rezygnacją, że w razie potrzeby udzieli błogosławieństwa, masz więc przed sobą otwartą drogę i możesz robić, co zechcesz. Zapewne ma jakieś przecucia, bo z góry określa młodą damę imieniem Antosi. Jak widzisz, francuski język wszyscy umiemy tłumaczyć doskonale. Byłoby chyba dobrze, gdyby Florek...

Na tym list się urywał, bo skończyła się strona.

– Nie mogła pisać trochę mniejszymi literami? – zirytowała się Krystyna. – Zmieściłoby się jej więcej! Widzę tu Florka, kto to był Marcinek? Ty te rzeczy wiesz?

– Wiem. Mówiłam ci przecież. Zamiast bajek, słuchałam wspomnień babci Ludwiki i prawie wszystko pamiętam. Marcinek to był brat Florka, Kacperski, plenipotent rodzinny czy coś w tym rodzaju. Zginął w czasie wojny, a mieszkał w tym samym domu co dziadek Zbyszek, dlatego babcia wyszła za dziadka.

– Dlatego, że Marcinek zginął, czy dlatego, że mieszkał w tym samym domu?

– To drugie raczej. Jak im się chałupa rozleciała, przenieśli się do nas. Babcia się w nim zakochała, moim zdaniem, od pierwszego kopa, chociaż twierdzi, że nieco później, po jego bohaterskich wyczynach wojennych.

– I z tej przyczyny została w Polsce i za skarby świata nie chciała wracać do Francji – uzupełniła Krystyna. – O tym chyba coś słyszałam, zostało mi w pamięci. Z idiotycznego powodu zresztą. Babcia rozesłała nas po mieście przed świętami Bożego Narodzenia po zakupy, stałam w ogonku za śledziami, bo ze wsi przyszły karpie, a śledzi nie mieli. Tyś mnie potem zmieniła, ale zdążyłam sobie pomyśleć, jakie piękne życie wiodłabym we Francji, gdyby nie wygłup babci, i bardzo mnie to zdenerwowało. Miałyśmy wtedy piętnaście lat.

– Pamiętam to. Niecałe. Prawie piętnaście. Dali nam do wyboru, śledzie albo robotę w kuchni. Wybrałyśmy śledzie. Co za kretyńskie czasy to były i co za kretyński ustrój.

– Owszem. Babcia do dziś serdecznie życzy Leninowi, żeby z piekła nie wyrzął.

– Marksa też nie kocha, a co do Stalina, twierdzi, że jej się w głowie nie mieści. Uważa, że musiał być obłąkany.

– Epoka szaleńców, Hitler, Stalin, Dzierżyński, on chyba też był niezły, Mussolini, Franco, ta brodata mała na Kubie, kto tam jeszcze...? – zreflektowała się nagle. – A co mnie to w tej chwili obchodzi, wracajmy do tematu! List do Marcinka, niewątpliwie od siostry... On tu był?

– Parę lat siedział, razem z Piórkiem służyli prababci Klementynie.

– I zetknął się jakimś cudem z panną Antoinette z Calais... Zaczyna mnie ta Antosia coraz bardziej interesować. Czy ten Marcin się z nią w końcu ożenił?

– Majaczy mi się, że chyba tak, ale głowy nie dam. No nic, dowiemy się w Perzanowie, oni tam przechowują stare papiery. W każdym razie już widać... Na litość boską, skończmy z tą biblioteką! Potem sobie spokojnie przeszukamy całą resztę i może jeszcze co znajdziemy...

* * *

Skończyłyśmy porządkować katalogi. Były ich trzy, jeden ogólny, utrzymany na ile się dało w porządku alfabetycznym, drugi, też ogólny, spisany w kolejności, w jakiej książki stały, w dużym stopniu tematyczny, i trzeci, w kawałkach, opiewający zawartość każdej szafy i każdego segmentu półek. Ponadto na każdej półce przyczepiony był spis tego, co na niej stało, a na wszystkich grzbietach udało nam się umieścić numery, przyklepione taśmą klejącą, nieszkodliwą dla dzieła. Było tego razem dwadzieścia osiem tysięcy trzysta jedenaście sztuk. Odwaliłyśmy olbrzymią pracę i byłyśmy dumne z siebie do szaleństwa.

Pan Heaston nie pojawił się więcej, ale nie zależało nam na nim, bo do pracy umysłowej nie był potrzebny. Odmowa sprzedaży wszystkiego musiała go zniechęcić, a uczuciowość zapewne miał w zaniku, skoro nie poleciał na piękną i młodą kobietę w dwóch egzemplarzach. Być może, wolał pieniądze, kwestia gustu.

– Pan Terpillon przyjeżdża jutro w godzinach popołudniowych, tak? – powiedziała Krystyna, kiedy wieczorem czciliśmy zakończenie roboty. – Do popołudnia zdołamy chyba wytrzeźwieć? Przysięgam Bogu, ja się dzisiaj upiję najlepszym winem świata!

– Też bym się urznęła z przyjemnością, ale coś mnie męczy – odparłam z westchnieniem. – Wzięłyśmy takie tempo, że nie zdążyłam się nawet nad tym zastanowić ani tobie powiedzieć. Teraz mam wolny umysł, więc spróbuję, dopóki jesteś trzeźwa jak świnia.

– Pośpiesz się, bo robię, co mogę.

– Widzę. Zwolnij odrobinę. Otóż wczoraj rano weszłam do tego gabinetu po dziadkach i babkach...

– Po cholere? – zdziwiła się Krystyna.

– Plątało mi się w oczach, że tam leżały jeszcze jakieś książki, dwie albo trzy, chciałam sprawdzić. Nie leżały, jedno to był spis inwentarza żywego, ściśle biorąc koni, hodowanych, krytych, sprzedawanych i tak dalej, w twardym brulionie książkowym, a drugie wycinki gazetowe i notatki o wygranych i przegranych gonitwach, z czasów, kiedy pradziadek jeszcze miał hodowlę. Nie w tym rzecz. Obok tej długiej szafeczki, tej z szufladkami... było trochę popiołu z papierosa. Odrobina, tyle co kot napłakał. Ale jednak. Zobaczyłam to, tknęło mnie, nic nie pomyślałam, ślad jednakże pozostał i teraz zaczynam się zastanawiać. To nie było strząśnięcie, to było takie, jakbyś strząsnęła do popielniczki, którą trzymasz w ręku, a samo powietrze przeniosło ślad. Nie wchodziłyśmy tam wcale od tygodnia, paliłaś tam w ogóle...?

Krystyna zatrzymała się w fazie między ustami a brzegiem pucharu i zmarszczyła brwi.

– Czy ja tam... nie. Ani razu nie weszłam z papierosem. Ty tam grzebałaś, jak mnie nie było, a potem już robiłam trasę sypialnia–

biblioteka–jadalnia i z powrotem. Łazienki nie liczę. Ciekawe...

– No właśnie – mówiłam dalej w zamyśleniu. – Dziwię się samej sobie, ale słońce świeciło i jakoś wpadło mi w oko. Służba nie pali. Gryzie mnie to idiotyczne spostrzeżenie i nie wiem, co z nim zrobić.

Moja siostra odstawiła kieliszek, potem ujęła go znów i wypła zawartość.

– Co tu będziemy się łudzić, moja droga, ktoś nam składa wizyty. Nie wiem, którzy włązi, bo dom jest zamykany, trzeba, by sprawdzić. Pewnie pan Heaston, albo zostawił pomocnika. Ty się sama zastanów, chcesz przeszukać budowlę, dwie kretyнки nie zgadzają się na sprzedaż, a za to same gmerają, co byś zrobiła? Zajęte robotą w bibliotece, uchetane, nic nie widzą, nic nie słyszą, śpią w nocy martwym bykiem. W przekupienie służby nie wierzę, wszyscy troje więcej dbają o ten majdan niż my. Szczerze ci powiem, że wolałabym zastanowić się nad tym jutro, bo dzisiaj robię sobie relaks.

Też zbuntowałam się nagle i postanowiłam zrobić sobie relaks.

– Nawet nie wiem, czy trzeba się będzie zastanawiać. Niczego przecież nie kradnie, a diamentu niech szuka, ile mu się podoba. No, ewentualne listy... W gabinecie więcej nie ma, sprawdziłam, a jutro odwalimy notariusza i zajmiemy się resztą...

Relaks zrobiłyśmy sobie rzetelny, udało nam się obudzić koło południa, tylko po to, żeby niemrawo czekać na przybycie notariusza. Pokojówka przyniosła do jadalni śniadanko i zatrzymała się, jakoś zmieszana i zakłopotana.

– Bardzo przepraszam jaśnie panienci. Czy mogę o coś zapytać?

– Oczywiście, prosimy.

– Czy jaśnie panienci wysłały gdzieś Gastona? Nie ma go od rana, a nie uprzedził, nic nie powiedział...

Popatrzyłyśmy na siebie i na nią, nieco zaskoczone, ale na razie jeszcze bez niepokoju.

– Nie – odparłam, a Krystyna potrząsnęła głową, co mogła uczynić bezboleśnie, bo nie miałyśmy żadnego kaca. Wino było rzeczywiście szlachetne. – Nie widziałyśmy go od wczoraj i nie dawałyśmy żadnych poleceń. Nic nie wiemy.

– Dziękuję bardzo – powiedziała zmartwiona pokojówka, dygnęła szalenie staroświecko i poszła sobie.

Krystyna popatrzyła za nią, podniosła się od stołu i też dygnęła.

– Warto było odwalić tę galerniczą robotę, chociażby po to, żeby zobaczyć, jak baba po pięćdziesiątce dyga – oświadczyła. – Słuchaj, czy ja to robię tak samo? Zdaje się, że babcia usiłowała nauczyć nas w dzieciństwie dygania.

– I całkiem nieźle jej wyszło – pochwaliłam. – Idzie ci to pierwszorzędnie. Możesz się zatrudnić jako pokojówka.

– Pewno mogę, ale nie chcę. Jak myślisz, co się stało z Gastonem?

Dygnęła jeszcze dwa razy i usiadła z powrotem przy stole.

Nie wytrzymałam, wstałam z krzesła i też dygnęłam.

– No...? A ja?

– Może być. Babcia miała talent pedagogiczny albo może mamy to w genach. Dawniej wszystkie dziewczynki dygały, teraz już tylko niektóre. Szkoda, to ładne.

Odczepiłam się od salonowych ćwiczeń gimnastycznych i usiadłam na swoim miejscu.

– Co do Gastona, gdyby był o jakieś cztery dychy młodszy, podejrzewałabym, że się gdzieś zabradziażył z panienkami. Ale w tym wieku...?

– Może wziął przykład z nas, tylko załatwił to w piwnicy i gdzieś tam jeszcze śpi?

– Niewykluczone, chociaż wątpię. Jak odzyskam trochę wigoru, mogę go poszukać. Trzyma się świetnie, ale latka robią swoje, zasłabł gdzieś albo co.

– Możemy wysłać Petronełę na wieś, niech się popyta, czy ktoś go nie widział. Za chwilę, niech odpoczne. Ale...! – przypomniała sobie nagle. – Czy któraś z nas zadysponowała jakiś obiad dla pana Terpillona?

– Nie wiem. Ja nie. Chyba że ty.

– Ja też nie. Cholera. Trzeba to zrobić zaraz.

Zadzwoiła na pokojówkę, bo takie tu panowały obyczaje. Poszłybyśmy do niej, zamiast ją ciągać do siebie, ale nie było wiadomo, gdzie jej szukać, a błakaniem się po zamku z wielkim krzykiem: „Pierette, Pierette!!!” obudziłybyśmy tylko zgorzenie. Przyszła po chwili z nadzieją w oczach, zapewne sądziła, że przypomniałyśmy sobie coś o kamerdynerze, ale musiałyśmy ją rozczarować. Wyjaśniłam, że spodziewamy się gościa, pana notariusza, i trzeba go będzie nakarmić, niech kucharka zrobi, co zechce, nie żałując kosztów, powinien przyjechać za jakieś dwie godziny.

Pan Terpillon przybył punktualnie, wypił małą kawkę i od razu udał się do biblioteki. Poszłyśmy, rzecz jasna, za nim, ogromnie ciekawe, jak będzie sprawdzał jakość naszej pracy.

– Proszę mi niczego nie wyjaśniać i nie pomagać – powiedział stanowczo.

Nie to nie, proszę bardzo, niech się sam męczy. Przyglądałyśmy się mu w milczeniu.

– Życzę sobie znaleźć książkę niejakiego Mardocka, traktat o broni myśliwskiej, angielskie wydanie, koniec dziewiętnastego wieku – oznajmił

gdzieś w przestrzeń tak, jakby zawiadamiał o tym samego siebie. – Katalog, widzę. Doskonale.

Otworzył ów katalog na literze M, co przyszło mu bez trudu. Zdecydowaliśmy się ponieść koszty i ten alfabetyczny spis wyprodukować na kartach, wetkniętych w segregatory. Nabyliśmy segregatory, papier i nawet dziurkacz, a to głównie dlatego, że nie chciało nam się wpisywać tego wszystkiego ręcznie, na maszynie poleciało znacznie szybciej. Wyszły nam z tego dwie potężne kobyły i M znajdowało się akurat na początku drugiej.

– Mardock, Mardock... – mamrotał pan Terpillon w kierunku własnego gorsu. – Jest. Mały traktat o rodzajach, właściwościach, pielęgnacji i użytkowaniu... Jedenaście tysięcy sto dwadzieścia osiem. Segment pięćdziesiąt dwa. Segment...? Proszę nie odpowiadać!

Milczałyśmy nadal posłusznie. Pan Terpillon rozejrzał się po ścianach dookoła.

– Nie jestem jeszcze zupełnym sklerotykiem – powiadomił nas sucho. – A, rozumiem. Szafy różne. Otwarte półki. Segment, rozumiem. Pięćdziesiąt dwa...

Na każdym z owych kawałków, które stanowiły obudowę ścian biblioteki, numer wypisany był wielkimi wołami i umieszczony u góry. Rozmiar cyfr z letrasetu był taki, że nawet ślepy by go odczytał. Brałyśmy pod uwagę krótkowidzów.

Pożądany przez pana Terpillona Mardock stał na najwyższej półce, blisko sufitu. Krystyna opierała się o wysoką drabinę. Odsunęła się od niej, ale poza tym nie kiwnęła nawet palcem. Chciał sam, niech ma.

Rozejrzał się, chwycił drabinę, na szczęście niezbyt ciężką, przywlókł ją pod Mardocka, wlaźł, nie zleciał, przejechał palcem po numerach na

grzbietach i wyciągnął upragnione dziełko. Obejrzał je, kiwnął głową i wstawił z powrotem. Zlazł z drabinki ostrożnie, ale bez szkody dla zdrowia.

– Opowieści o lisie, powiedzmy, że autor nieznany – zaczął znów mamrotać. – Powiedzmy, że nie pamiętam, powiedzmy, że jest ich kilka...

Katalog tematyczny leżał obok w takiej samej formie jak ten alfabetyczny. Był podpisany, a pan Terpillon umiał czytać.

– Baśnie czy opowieści...? – spytał samego siebie. – Pieśni...? Poezje...? Nie, to proza. Zacznijmy od baśni...

Słuchałyśmy tego spokojnie, bo baśnie i opowieści miałyśmy w jednym dziale i wszystko o lisie też się tam znajdowało. Pan Terpillon trafił od razu, drabinki tym razem nie potrzebował, wyciągnął tom.

– Założmy, że ja to pożyczam? – zaproponował podejrzliwie.

Podeszłam, odchyliłam okładkę, wyjęłam długą kartkę z tytułem dzieła i gestem wskazałam mu, że ma się tu podpisać. Nadal nic nie mówiłam, bo skoro kazał nam milczeć...

– Bardzo dobrze – pochwalił i odłożył lisa na miejsce. Rozejrzał się jeszcze raz, poczytał teksty przyczepione do półek i kiwnął głową.

– Możemy się już odzywać? – spytała grzecznie Krystyna.

– Ależ oczywiście! – odparł pan Terpillon, najwyraźniej zdziwiony, jakby zapomniał, że sam nam zabronił otwierać gębę. – Nie widzę przeszkód. Jeszcze chciałbym dowiedzieć się, czy wydobyły panie z tego wszystkiego – zatoczył krąg ręką, wskazując ściany pomieszczenia – tę wiedzę przyrodniczą, o której mówiła moja klientka. I jaką to ma formę.

Krystyna westchnęła ciężko i zaprezentowała mu swój zielarski elaborat, leżący oddzielnie, na stoliku pod oknem. Wyglądał nader imponująco.

– Zatem życzenia testatorki zostały spełnione. Jeszcze tylko ostatnia formalność. Panie pozwolą. Ja znam ten zamek.

Spojrzałyśmy na siebie z pytaniem w oczach. Co tu miała do rzeczy jego znajomość zamku? Będzie sprawdzał, czy przypadkiem czegoś nie ukradłyśmy?

Pan Terpillon stanowczym krokiem ruszył przed siebie, nie czyniąc ze swych zamiarów tajemnicy.

– Jest moim obowiązkiem sprawdzić, czy wszystkie książki zostały uporządkowane w bibliotece – zaczął, rozglądając się po jadalni i przechodząc do małego salonu. – Zdarzają się zapomnienia, w tym domu wiele czytano, lektura porzucona gdziekolwiek... Książki pod ręką... Sypialnie, gabinety...

Uznałam za słuszne przyznać się od razu.

– Zgadza się, dwie sztuki znajdzie pan w naszych sypialniach. Też lubimy czytać. Ale w katalogach już zostały zapisane.

– Może powinnyśmy były podpisać się na tych parszywych fiszkach? – szepnęła mi Krystyna w ucho, wchodząc po schodach. – Wypożyczone...

– Gównu, nie wyszły z domu, to żadne pożyczanie. Ale jak chcesz, skocz i podpisz nas...

Zawróciła i popędziła w dół, starając się nie stukać obcasami. Pan Terpillon twardo otwierał drzwi i penetrował wszystkie kolejne pomieszczenia, zaglądając do kątów i badając wnikliwie półeczki pod stolikami. Przeleciał się przez nie używane salony i pokoje gościnne, całe w pokrowcach, obejrzał gabinet i garderoby, po czym skierował się ku sypialni prababci, również przez nas nie używanej. W tym momencie dogoniła nas Krystyna, odrobinę zdyszana.

– Cholera, zapomniałam, co czytasz, i musiałam szukać dziury – wysapała szeptem. – Dobrze, że to wszystko ciasno stoi...

Pan Terpillon otworzył drzwi sypialni prababci Karoliny i zatrzymał się w progu.

– Widzę ogromny nieporządek! – zganiał surowo i dość gromko. – Cóż to ma znaczyć?

Wpadliśmy mu na plecy, zaglądając każda przez jedno ramię, bez żadnych złych przeczuć, wyłącznie zaciekawione.

Jezus Mario...!!!

Na podłodze przed kominkiem leżał nasz kamerdyner, trupio blady, a pod jego głową krzepła wąska strużka brunatnej cieczy...

* * *

Obecność notariusza w chwili odkrycia zbrodni okazała się czystym błogosławieństwem. Doskonale wiedział, co należy zrobić, i w mgnieniu oka uruchomił całą maszynę policyjno–medyczną. Lekarz humanitarnie został wpuszczony do sypialni pierwszy i wówczas wyszło na jaw, że zbrodnia jest wybrakowana. Gaston jeszcze żyje, chociaż wygląda jak nieboszczyk.

Wigor w nich wszystkich wstąpił nadludzki, zamieszanie zrobili potężne, ale pomoc zorganizowali błyskawicznie. Gaston odjechał ambulansiem z podejrzeniem złamania podstawy czaszki, przyczyna okropnego wypadku rzucała się w oczy. Leżał z głową na obramowaniu kominka, przewrócił się, upadł do tyłu, rąbnął potylicą i cześć. Niby sprawa wyjaśniona, nieszczęśliwy przypadek, dziwna tylko wydała się obecność przy kominku dwóch pogrzebaczy. Jeden tkwił w zasobniku, a drugi spoczywał pod ręką ofiary. Poza tym pojawiło się pytanie, co, u diabła, poszkodowany robił w piżamie w sypialni pani hrabiny...? Z góry postanowiłyśmy mówić prawdę.

– Ja tego cholernika zrobię – oznajmiła Krystyna mściwie. – A ty jak uważasz. Jak to nie Heaston, to ja jestem księżę Karol angielski. Znów się bydlę zakradło, a Gaston go pewnie usłyszał...

– Popieram twoje zamiary, tylko zastanówmy się, czego tu szukał...

– Już mam gotową całą powieść kryminalną. Bizuterii po naszych prababkach, nie wiedział, że jest w bankowym sejfie, myślał, że tu. Porcelany nie tykał, bo mu ją sama pokazywałaś, bał się, że od razu padnie na niego. Widział, że jesteśmy zakłopsowane w bibliotece, miał nadzieję, że reszty jeszcze nie zabezpieczyliśmy, nie znalazłyśmy nawet...

Zaaprobowałam pomysł, chociaż zarazem ujrzałam także inną możliwość.

– Szczególnie, że sama mu powiedziałam o warunku w testamencie – dodałam. – Dopóki nie skończymy, do niczego tu nie mamy prawa, jako jednostki uczciwe, nie wtykamy nosa gdzie nie należy. Ale czekaj, bo może przyłazł nie dla rabunku, tylko do którejś z nas? Z miłości?

– Zwariowałaś? I tak przyłaził co noc bez żadnego skutku? Żeby się tkliwie pogapić? Taki nieśmiały?

– A kto będzie wiedział, że przyłaził co noc...?

Krystyna poświęciła na zastanowienie się jedną sekundę i wróciła do własnej koncepcji.

– Nie, do bani, zgłupiałaś chyba, przestępstwa z miłości oni tu traktują ulgowo, nic mu nie robią. A poza tym, po co wlaź do pustej sypialni prababci, zamiast do naszych? Zabłądził, sierotka biedna?

– Zabłądzić mógł, trochę ta budowla pogmatwana...

Przestałam się upierać, co i tak czyniałam bez przekonania, tylko po to, żeby nie zgadzać się z nią tak bez reszty, kiedy ze szpitala przyszła wiadomość o stanie zdrowia ofiary. Gaston żyje, czerep ma rozbity, ale bez złamania, przytomność stracił zwyczajnie od silnego uderzenia. Już zaczyna przychodzić do siebie i lada chwila opowie, jak było.

Telefon odebrał pan Terpillon i od razu rozgłosił informację, dzięki czemu gliny pojechały do szpitala, Pierette przestała płakać, a kucharka

podjęła obowiązki zawodowe. Udało nam się zjeść obiad, całkiem niezły i prawie nie spóźniony.

Pan Terpillon cierpliwie i bardzo mało mównie przeczekał pierwsze chwile dochodzenia, bez oporu przyjął opinię o nieszczęśliwym wypadku i również bez oporu pogodził się z istnieniem wątpliwości. O naszych podejrzeniach dowiedział się już na samym początku, na wszelki wypadek jednakże Krystyna uszczęśliwiła go Heastonem w cztery oczy. Policji donos na niego wołała złożyć później.

Przy obiedzie sam poruszył temat.

– Co się tyczy nabycia posiadłości – rzekł zniechęcony i bez wstępów – pani hrabina pod koniec życia miała liczne propozycje, podobne w treści do tej ostatniej. Zamek z całą zawartością. Ponadto z jej napomknien wywnioskowałem, że ktoś się tu usiłował kręcić i czegoś szukać. Z tej przyczyny resztki rodowej biżuterii zostały zamknięte w sejfie bankowym, aczkolwiek moja klientka na biżuterię nacisku nie kładła. Pozwoliłem sobie nawet na odrobinę zdziwienia, które nie doczekało się żadnej odpowiedzi.

Zamilkł na chwilę, przyglądając się nam i pilnie bacząc, czy doceniamy wagę wyznania. Stary i doświadczony notariusz czymś się zdziwił, to już nie plewy, zjawisko musiało prezentować osobliwość potężną. Wpatrywałyśmy się w niego wzajemnie z nie ukrywanym zainteresowaniem, które mogło zapewne zaspokoić najbardziej wygórowane wymagania.

Kiwnął głową i ciągnął dalej.

– Propozycja zakupu, nawet za przesadnie wysoką cenę, nie jest karalna. Amerykanie miewają i fanaberie, i pieniądze. Przypuszczenie, iż ów młodzieniec, spotkawszy się z odmową, wdarł się nocą dla penetracji, wydaje mi się wielce prawdopodobne, ponieważ sam uważam, iż ktoś spodziewa się znaleźć w tym zamku jakieś cenne przedmioty. W prawie

każdym zamku, pozostającym od pokoleń w rękach jednej rodziny, dawno nie odnawianym i nie przerabianym, znajdują się przedmioty zabytkowe, których nie docenia nawet właściciel. Niekiedy sam o nich nie wie. Ktoś inny, lepiej zorientowany, może znać ich wartość, a jakie pamiątki z dawnych czasów uchowały się tutaj, to nigdy nie zostało zbadane. Wysokość spadku ustalono orientacyjnie, wyłącznie dla ustalenia wysokości podatku. Jeżeli panie życzą sobie zamieszania z policją, można im o tym, oczywiście, powiedzieć...

O nie, zamieszania z policją nie życzyłyśmy sobie w najmniejszym stopniu! Pan Terpillon wciąż przyglądał się nam uważnie i nasza bezsłowna reakcja w zupełności mu wystarczyła.

– Tak też sądziłem. Zatem, zachowałbym supozycje przy sobie. Wyznam szczerze: wielbiłem panią hrabinę od dzieciństwa, była najbardziej czarującą damą, jaką kiedykolwiek znałem. Z pewnością nie życzyłaby sobie, żeby pamiątek rodzinnych dotykały obce ręce...

Doprowadził nas niemal do zbaranienia, bo wyznać wielką miłość całego życia tak suchym i drewnianym głosem, to było coś, co przekraczało wszelkie pojęcie. Ponadto musiał chyba wiedzieć o diamencie albo chociaż domyślać się czegoś i nader subtelnie dał nam do zrozumienia, że lepiej działać kameralnie. Heastona należało zostawić w spokoju.

– Zapewne ma pan rację... – zaczęłam.

Przerwał mi.

– Zobaczymy jeszcze, co powie kamerdyner. Powinno to nastąpić rychło i wówczas podejmiemy decyzję.

– Zostanie pan, mam nadzieję, do tej chwili? – zaniepokoiła się Krystyna. – Każę przygotować pokój dla pana...

– Jeśli można, dwa pokoje. Przyjechałem wynajętym samochodem z kierowcą. Sprawę uważam za dostatecznie ważną, żeby poczekać. Czuję się

zobowiązany do końca spełnić życzenia mojej zmarłej klientki.

– Musiał się kochać w prababci jak dziki, na śmierć i życie – zaopiniowała Krystyna, kiedy zostałyśmy same, a pan Terpillon lokował się w jednym z gościnnych pokoi. – To się nazywa: wierność poza grób. Prawie jak porządny pies.

– Niech ten Gaston się wreszcie przecknie, bo sama jestem ciekawa, co powie – odparłam niecierpliwie. – Poza tym korci mnie to przeszukanie i chciałabym raz już wiedzieć, co mamy. Zobaczyć to.

– Ja też. Gdzieś tu muszą wisieć stare balowe kiecki. Masz pojęcie...?

Kamerdyner przecknął się ostatecznie późnym wieczorem i złożył zeznania, ale gliny nie były takie wyrywne, żeby zawiadomić nas o tym po północy. Upragnionych wieści dostarczono nam rano.

Otóż obudził się w nocy i usłyszał coś. Nie wie dokładnie co, nie potrafi powiedzieć, ale wydało mu się, że ktoś obcy jest w zamku. Jak obie jaśnie panienki pracowały w bibliotece, odgłosy też były, ale inne, panienki czasem nawet zbiegały do piwnicy, obcasiki postukiwały, ale to brzmiało zupełnie inaczej...

– Przysięgnę, że wyliczył nam te wszystkie butelki, które zdążyłyśmy obciągnąć – skomentowała w tym miejscu Krystyna, nieco stropiona.

– No to co? – pocieszyłam ją. – Jaśnie panienom przecież żałował nie będzie...?

...Całym sobą czuł, że coś tu nie gra, i postanowił sprawdzić. Na wszelki wypadek wziął ze sobą kominkowy pogrzebacz, wyszedł z pokoju, posłuchał, a słuch ma dobry, dobiegało jakby z sypialni jaśnie państwa na górze, poszedł tam, jeszcze posłuchał przy dziurkach od kluczy i tak trafił do sypialni nieboszczki pani hrabiny. Wszedł cichutko. I otóż jakiś człowiek, duży w sobie, gmerał w toalecie pani hrabiny, tej z potrójnym lustrem i szufladkami, tyłem do drzwi obrócony. Twarzy nie widział, tylko

ręce i te ręce były całkiem czarne. Kamerdyner nie kretyn i wie, że po prostu miał rękawiczki, jak każdy rozumny włamywacz. Owszem, przyzna się, zamierzył się swoim pogrzebaczem, żeby go lekko stuknąć, bo inaczej z takim bykiem nie miał szans, ale tamten okazał się czujny. Nim się jeszcze odwrócił, już pchnął go straszliwie, gorzej niżby ogier kopytem przyłożył, kamerdyner poleciał do tyłu, coś go okropnie walnęło w głowę i na tym koniec. Na nowo świat zobaczył w szpitalu i tę prześliczną panienkę, co go ratowała. Przez chwilę nawet myślał, że już umarł i jest to anioł...

– Ciekawa rzecz, że w każdym szpitalu znajdzie się chociaż jedna piękna pielęgniarka – zauważyłam mimochodem. – Chyba specjalnie taką angażują dla poprawy samopoczucia chorych. Słuch to on ma niezły, co ma najlepszy słuch na świecie?

– Chyba jakieś zwierzę, które ma beznadziejnie zły wzrok – odparła Krystyna. – Nie pamiętam, może węże. Ale myślę, że u Gastona zadziałał raczej instynkt. Zna ten zamek tak, że powinien bezbłędnie lokalizować skrobanie myszy i uczyty korników.

– Niewykluczone też, że cierpi na bezsenność, w starszym wieku to się zdarza. Czytajmy dalej.

Reszta protokołu przesłuchania zawierała już tylko pytania i odpowiedzi na temat wyglądu zewnętrznego złoczyńcy. Nic z nich nie wynikło. Duży był i z pewnością młody, włosy ukryte pod obcisłym kapturem i tyle. Ubrany w kurtkę czarną, szeroką, skrywającą figurę, spodnie też jakieś takie na wyrost, poznać go od tyłu nikt by nie dał rady.

Więc jednak przestępstwo, a nie wypadek. Niewątpliwie Krystyna wystąpiłaby tu z rewelacjami o Heastonie, gdyby nie delikatne ostrzeżenie notariusza. Zgodnie byłyśmy zmuszone zeznać, że nic nie wiemy, włamywacz pojawił się w zamku po raz pierwszy i chyba nic nie zostało

ukradzione. Kamerdyner spłoszył podlega, który zapewne uciekł, przekonany, iż hałas sprowadzi większe grono mieszkańców. Policja była podobnego zdania, dziwiono się tylko nieco, że nikt nic nie słyszał. Uzyskali wyczerpujące wyjaśnienie. Pokojówka i kucharka miały pokoje jeszcze dalej niż kamerdyner, my obie zaś, po bardzo ciężkiej pracy, spałyśmy snem kamiennym. O winie, które upiększyło nam wieczór, pozwoliłyśmy sobie nie wspominać.

Całej sprawie dano zatem spokój, szczególnie że Gaston był ubezpieczony, ponadto obie zgodnie, korzystając z obecności notariusza, zadeklarowałyśmy dodatkowe wysokie odszkodowanie dla wiernej służki. Przykazano nam tylko pomyśleć o jakichś alarmach, względnie innych zabezpieczeniach.

– Moim zdaniem, najlepszy alarm występuje w postaci złego psa, przyuczonego, żeby z obcej ręki nie zeżreć – powiedziała Krystyna stanowczo. – Inne alarmy można wyłączyć, psa się nie da.

– Można do niego strzelić nabojem usypiającym – zaprzeczyłam ponuro.
– Nie rozlega się głośno.

– Primo, pies może siedzieć schowany, nie widać go. A secundo, mogą to być dwa psy, ten drugi usłyszy i zareaguje od razu.

– Jak? Może szczekać... – zaczęłam buntowniczo i zreflektowałam się. Miałyśmy co innego do roboty niż kłócić się o psy, których i tak nie było do dyspozycji.

Ukrywszy Heastona przed policją, same byłyśmy nim jednak nieco zaniepokojone. Teraz dopiero ów dostrzeżony przeze mnie popiół z papierosa zaczął przemawiać wielkim głosem, w dodatku pan Terpillon wyraźnie stwierdził, że włamywano się tu już za czasów prababci, coś w tym tkwiło osobliwego. Kim w ogóle ten Heaston był? Amerykaninem z

pewnością, sądząc po akcencie, ale co z tego? Prababcia również nie zawiadomiła policji...

Czego szukał, bo przecież nie diamentu?! Myśl, że udałoby się znaleźć tak mały przedmiot w tak zaniedbanym domu metodą krótkich wizyt, była zupełnie idiotyczna, chyba że naprawdę wiedział o wiele więcej niż my...

– Gdybyśmy miały nadmiar pieniędzy, wynajęłabym prywatnego łapacza, żeby sprawdził tego cepa – powiedziała Krystyna z ponurą irytacją. – On mnie męczy. Ale mamy za mało i szkoda mi na niego.

– Może zyskamy trochę czasu, jak się tu już wszystko uspokoi – pocieszyłam ją. – Czas zastąpi pieniądze i same zdołamy coś wykryć.

Kryśka prychnęła gniewnie, ale na razie porzuciła temat, chociaż Heaston tkwił nam zadrą za paznokciem. Co ten podlec wiedział?

Pan Terpillon załatwił z nami wszystkie interesy natychmiast po odjeździe glin. Nie było tego dużo i przeszło ulgowo, poniechał bowiem jakiegokolwiek biurokracji.

– Od tej chwili – rzekł uroczyście, aczkolwiek wciąż sucho i jakoś tak, jakby organ mowy miał wykonany ze skrzypiącego drewna – weszły panie w pełne i całkowite posiadanie spadku po pani hrabinie de Noirmont. Podatek spadkowy zostanie zapłacony z powierzonych mi na ten cel funduszków. Życzę szczęścia.

Zjadł śniadanie, uklonił się nam i odjechał. Zostałyśmy same.

* * *

Żadna z nas nie miała siły przekonywać tej drugiej, że należy najpierw jechać do Calais, po drodze zawiadując o Paryż, i kontynuować dochodzenie w kwestii panny Antoinette i diamentu, relikty po prababkach były zbyt kuszące. Diament nie zając, nóg nie ma, nie leci przed siebie i nie ma potrzeby za nim gonić, a tu znów może się wedrzeć jakiś Heaston albo

inna gangrena. Teraz to wszystko było nasze i legalnie mogliśmy sobie przywłaszczyć, co nam w oko wpadło. Jedyne mankament stanowiła szansa, że się o coś pobijemy, ale, znając życie, z góry postanowiliśmy, że w razie czego będziemy losować.

Rozumu starczyło nam tylko na to, żeby zacząć metodycznie, od najstarszych sypialni. Pra–pra–pra–prababka Klementyna sypiała razem z mężem, rzecz jasna, dopóki żył, potem już sama, ale ich wspólny apartament od wieków stał odłogiem, nietknięty. Uroczyście i ze wzruszeniem zdjęliśmy pokrowce z mebli.

– Jeżeli istniała w rodzinie, jak twierdzi babcia Ludwika, jakaś osoba skąpa i chciwa, musiała to być jednostka nieziemsko głupia – oświadczyłam, zaledwie przyjrząwszy się temu, co wyjrzało spod przyszarżanych nieco płacht. – Już przed wojną mogła na tym zrobić majątek. Słusznie wykopałyśmy Heastona.

– Bo co? – zaciekawiała się Krystyna. – Takie cenne?

– Autentyki absolutne, Ludwik XV, nawet szczątki czternastego. Obicia trochę przechodzone, ale spójrz na ten haft w różyczki! Przecież to ręczna robota! A drewno w doskonałym stanie, Kryśka, to są muzealne okazy!

– Weź pod uwagę, że przed wojną były młodsze o przeszło pół wieku. Cholera. Chciałam na czymś usiąść, ale teraz się waham. Może to nie wypada?

– Jest to niewątpliwie rodzaj świętokradztwa – zgodziłam się. – Ale i tak już w jadalni siadujesz na Henryku Czwartym, więc różnica niewielka. Tylko siadaj ostrożnie. Jak motylek.

– Idiotka. Jak koliberek ci nie wystarczy?

Grzebałyśmy w resztkach dobytku przodków z dreszczem nieziemskiej rozkoszy. Duperele to były, bibeloty, puzderka, szkatułki, szale i pelerynki, łabędzim puchem obszyte, puch co prawda mocno wybrakowany, ale z

daleka i w słabym świetle jeszcze efektowny. Zachwyciły nas ranne pantofelki na obcasiku i cały skład kompletnie zleżałych, ale cudownie pięknych rękawiczek. Haftowana skóra, perełki na atłasie... Najlepiej trzymały się koronki. W podziwie oglądałyśmy szlafmyce pradziadka, przymierzając je kolejno.

– Jak, na litość boską, oni mogli w tym spać? – zdumiewała się Krystyna z niesmakiem i zgrozą. – Słuchaj, przecież to grzeje w głowę! Przeszkadza cholerycznie! Mogłabyś...?

– A skąd! Zawsze mnie to dziwiło, ale może byli przyzwyczajeni. Tu są chyba rzeczy z czasów jeszcze dawniejszych, popatrz, to żabot. Sprzed Rewolucji.

Garderoba dostarczyła nam wrażeń upojnych, spróbowałyśmy wbić się w prababcine gorsety, Kryśka uparła się zasznurować mnie szczelnie, wyrwałam się jej z rąk, kiedy całkowicie zabrakło mi tchu.

– Dół i góra jeszcze jako tako, zostaje nawet trochę luzu, ale talię masz kompromitującą – skrytykowała. – Obawiam się, że ja też.

– Odplącz te sznurki, do diabła! Widać wyraźnie, dlaczego one nie mogły ubierać się same i musiały mieć osobiste pokojówki. Wszystkie haftki z tyłu!

– Kurtyzany, zdaje się, miały więcej rozumu, robiły sobie klamerki z przodu. Upiornie niewygodna epoka...

Czas przy tym zajęciu leciał z wizgiem, niechętnie zeszyliśmy na obiad, zjadaliśmy w pośpiechu, nie patrząc co, galopem wróciliśmy na górę. Przy wachlarzach prababci przyszła mi wreszcie do głowy rozsądna myśl.

– Ja jestem młoda – powiadomiłam moją siostrę. – Nie wiem, jak ty.

– Wydaje mi się, że jestem dokładnie w tym samym wieku – odparła uprzejmie, acz nieco podejrzliwie. – Bo co?

– Jako jednostka młoda, na rozrywkach bez trudu spędzę całą noc, nie pierwszą w życiu. I mam nadzieję, że nie ostatnią.

– Ja też. I co z tego? A...! Rozumiem! Proponujesz, żeby nie marnować czasu na głupie wypoczynki, tylko siedzieć tu do rana?

– A przespać się w dzień. W ten sposób wyślizgamy włamywaczy i żadne alarmy nie będą potrzebne. A stwierdzam stanowczo, że szlag by mnie trafił, gdyby ktoś tu coś rąbnął. Zysku z tego nie będzie, bo wszystkie rupiecie bardzo stare, ale muzeum precudne!

Kryśka zgodziła się ze mną i pochwaliła pomysł. Przyniosłyśmy sobie na górę kawę w termosie i wino, rezygnując z kolacji. Pokarm dla ducha w pełni zrekompensował nam brak pokarmu dla ciała.

Gdzieś nad ranem, wciąż pełne życia i zapału, zwróciłyśmy wreszcie uwagę na sekretarzyk prababki Klementyny. Ominęłyśmy go wcześniej, bo ciągnęła nas garderoba z kieckami, a tę konkurencję każdy mebel przegrywał w przedbiegach, teraz jednak, w pewnym stopniu zaspokojone, można powiedzieć, że wręcz przekarmione atłasami, aksamitami, jedwabiami i całą resztą tekstyliów, wróciłyśmy do niego.

Pełen był papierów i papierków, a zaraz w pierwszej szufladce pod papierkami leżał kolczyk z dużym szmaragdem, otoczonym brylancikami, w pełni sprawny, ale bez pary.

– Ciekawe, gdzie drugi – powiedziała smętnie Krystyna. – Pewnie prababcia zgubiła.

– W nieco późniejszym wieku, bo na portrecie ma jeszcze oba – przypomniałam jej.

– Na którym?

– Tym, co wisi w małym salonie. W samo południe słońce na niego pada i te kolczyki aż świecą, wskoczyły mi w oko. Szkoda, że nie ma drugiego,

bo to już dużo warte. Zabytek. Osobiście uważam, że koniec baroku, pod rokoko podchodzi.

Krystyna machnęła ręką i zaczęła przeglądać papierki. Jakieś rachunki to były, jakieś notatki dla pamięci, jakieś spisy potraw, wyglądające na próby dyspozycji wystawnego obiadu, rozmaite liściki, zaproszenia, podziękowania, liczne karty wizytowe i mnóstwo uwag o koniach. Opisy gonitw, wykaz nagród, skrótowe informacje o samopoczuciu Rosaline i formie Torrenta, całe, porządne rodowody, opinie o stajennych i dżokejach, korespondencja z torami wyścigowymi, porady weterynarza i, oczywiście, gruby plik karteluszków z zestawami ziół, leczących końskie dolegliwości.

– Stadninę to pradziadek miał niezłą – zauważyłam z szacunkiem. – A dziwiłam się nawet trochę, że tak mało zapisków o koniach, tylko te rejestry w gabinecie.

– Tu były – odparła Krystyna. – Podziwiam konsekwencję prababci, popatrz, zwierzynę też leczyła ziołami. O, popatrz tutaj! Weterynarz przyznał jej rację. Zaczynam się do niej coraz bardziej przekonywać. Jeżeli Andrzej nie padnie mi do nóg...

– Nie padnie. Nie będzie miał czasu. Chwyci to wszystko i straci przytomność, o ile rzeczywiście ma takiego szmergla.

– Będę mu dawała po kawałku...

Skrytkę, rzecz jasna, znalazłam ją, znałam niezłe stare meble. Płaska obszerna szufladka pojawiła się w nieoczekiwanym miejscu, wywęszyłam ją i zdołałam otworzyć. Cała była wypchana prawie wyłącznie gazetami, niekompletnymi, wycinkami i pojedynczymi stronami, wyrwanymi z dzienników.

Już po minucie poczułam, że znów dostaję wypieków.

– Zdaje się, że nie musimy ani jechać do Calais, ani zatrzymywać się w Paryżu – powiedziałam z ulgą i wzruszeniem. – Prababcia była istną perłą!

Nie wiem, czy nie tego właśnie szukał ten parszywy Heaston.

Krystyna oderwała się od przeglądu recept ziołowych natychmiast.

– Co...? O rany boskie! To ta prasa, którą miałyśmy przeszukiwać?!

– I nie tylko – odparłam uroczyście, sięgając w głąb gazetowego chłamu.

– Coś mi się widzi, że są tu kopie protokołów policyjnych. Jakim cudem prababcia im to wyrwała?!

Krystyna wydarła mi z rąk część makulatury.

– Musiała dysponować dużą siłą perswazji. Tysiąc dziewięćset szósty rok, no, młoda już wtedy nie była, ale może ciągle piękna...?

– Była hrabiną i miała charakter – orzekłam stanowczo. – Wątpię, czy komisarz policji, bądź co bądź mężczyzna, zdołał się jej oprzeć. Czekaj, rozłożmy to chronologicznie i przeczytajmy porządnie.

Zanim zdążyłyśmy usłać gazetami pół podłogi, wywlokłam z szufladki owo coś, co wyglądało na protokoły. Nie były to protokoły sensu stricto, raczej notatki z przesłuchań z osobistym komentarzem przesłuchującego.

Prababcię Klementynę odwiedził pan komisarz Simon we własnej personie, o czym świadczył mały liścik, przyczepiony do jednego z pozostałych pism. Zapowiadał w nim swój przyjazd i prosił o zezwolenie, którego prababcia bez wątpienia udzieliła mu chętnie. Przyjechał zatem i cały dalszy ciąg musiał być wynikiem tej wizyty.

Siedząc na podłodze, z zapalem czytałyśmy wszystko po kolei. Pan Simon, wezwany telefonicznie, znalazł się bardzo szybko na miejscu rzekomego przestępstwa, gdzie zastał nieżywego wicehrabiego de Pouzac i duży bałagan w pokoju. Pierwsze podejrzenia padły natychmiast na niejakiego Michela Trepona, pomocnika jubilera, który przed chwilą tam przybył i po chwili znikł tajemniczo, ale pan Simon, nie w ciemną bitę, zbadał rzecz dokładnie. Dowodem obecności młodzieńca była leżąca na podłodze bransoletka, której przedtem nikt nie widział, a która wedle

zeczna jubilerka, została właśnie przysłana po wygrawerowaniu pamiątkowego napisu. Pomocnik ją przyniósł. Wedle zeznań lokaja, niósł ją chyba w niedużym złotym sepeciku, bo zbliżając się do drzwi gabinetu wicehrabiego, sięgał w głąb sepeciku ręką, jakby coś stamtąd wyjmował. Dalszy ciąg odbył się w cztery oczy i stanowił tajemnicę, tyle że nie dla pana Simona.

Jego prywatnym zdaniem, wicehrabia siedział przy stoliku i oglądał wielką księgę, cenne zabytkowe dzieło, które kupił zaledwie poprzedniego dnia. Dzieło okazało się kompletnie zdewastowane w środku, co wicehrabiego zdenerwowało niewymownie. Wydał nawet kilka okrzyków, słyszanych przez lokaja.

Nader istotne znaczenie ma fakt, iż wicehrabia posiadał sztuczną szczękę, którą, jako człowiek jeszcze młody, starannie ukrywał przed otoczeniem, co nie przeszkadzało, że wszyscy o niej wiedzieli. Przy nerwowym okrzyku musiała mu wypaść akurat w momencie wejścia do gabinetu osoby postronnej. Nie patrząc zapewne nawet, kto wchodzi, wicehrabia rzucił się na dywan, żeby ją podnieść, potracił chwiejny postument i spadająca z postumentu marmurowa rzeźba trafiła go prosto w głowę. Równocześnie, albo prawie równocześnie, przewrócił się stół, z którego zleciała księga i bransoletka. Pan Simon uważa, że pomocnik jubilerki, wchodzący właśnie z bransoletką w rękę, zareagował odruchowo, rzucił się w kierunku katastrofy, upuszczając klejnot. Owijająca go bibułka spadła, leżała obok.

– Dlaczego, do diabła, przyniósł tę bransoletkę w bibułce, a nie w eleganckim etui i nikomu nie wydało się to podejrzane? – spytała w tym miejscu Krystyna z nagłą irytacją.

– Nie mam pojęcia – odparłam nerwowo. – Ale przysięgnę, że pan Simon i to także wyjaśnił.

Moje słowa sprawdziły się zaraz w następnym kolejnym akapicie. Przedtem jeszcze pan Simon stwierdzał, że stolik był ośmiokątny i rogiem trafił wicehrabiego dodatkowo...

– Siła złego na jednego – mruknęła moja siostra. – pomocnik jubilera zaś zgłupiał od tego, przeraził się śmiertelnie i uciekł.

Jubiler zeznał, iż bransoletę dostarczył luzem, tak jak mu została przyniesiona, bo wicehrabia tego sobie życzył. Wyznał w rozmowie, że należy ona do damy, stanowi prezent od niego, została zabrana. podstępnie dla wygrawerowania napisu i tak samo podstępnie zostanie podrzucona. Dama oczywiście etui posiada, ale trudno było wszak przeszukiwać jej toaletkę, więc dajmy sobie z tym spokój. Wnioskując z treści napisu, napomykającego o upojnych chwilach, wicehrabia mówił prawdę, aczkolwiek po jego śmierci do bransolety żadna dama się nie przyznała. Zapewne była zamężna.

– No proszę – wytknęłam. – Masz wyjaśnienie.

– Dobra, szlag niech trafi damę. Co tam jest dalej?

Zdewastowane dzieło leżało na podłodze i widać było, że w środku jest kompletnie dziurawe. Pan Simon zaledwie rzucił na nie okiem. Zaraz potem ktoś je podniósł, tak samo jak bransoletę, zapewne otumaniony zdenerwowaniem lokaj, czemu komisarz nie zdołał zapobiec w panującym zamieszaniu. Do wicehrabiego należało dopuścić lekarza, wpadli przyjaciele ofiary, podrzędny funkcjonariusz policji nie dał sobie z nimi rady, po czym dziurawe dzieło znikło. Drogą żmudnych dociekań pan Simon stwierdził, iż należało do hrabiny de Noirmont, a zabrała je zapewne jej wnuczka, panna Justyna Przyleska, obecna na miejscu nieszczęścia przez krótką chwilę.

– No i rozumiem, że wtedy zaczął się pchać do prababci z wizytą – rzekła z ulgą Krystyna.

– A prababcia, głowę dając, potwierdziła wersję sztucznej szczęki – podjęłam natychmiast. – Sokoły mu chyba nawet pokazała, bo dlaczego nie.

– Ale zdenerwować się musiała nieźle. Wcale nie szczęka wyleciała, tylko diament...

– Szczęka też...

– Jedno drugiemu nie przeszkadza, na podłodze miejsca dosyć. Ale ten cały Trepon szczęki nie łapał, bo na plaster mu cudze zęby...

– No i z tego wiemy to, co już wiedziałyśmy, tyle że bardziej szczegółowo. Komplikacje zaczynają się w Calais. Zostawił drogocенność u narzeczonej czy zgubił w morskiej toni? Czekaj, co miał przy sobie?

– On tu pisze, że żółty sepecik.

– I co nam przyjdzie z żółtego sepecika?

Popatrzyłyśmy na siebie z jednakowym powątpiewaniem. Krystyna podniosła się z podłogi, nalała do kieliszków wina i przyniosła je na miejsce pracy.

– Tym diamentem jednakże wszyscy byli przejęci przez całe pokolenia – rzekła w zadumie. – Popatrz, ile wiedzy zostawili na piśmie...

– Zostawiły – skorygowałam. – Zdumiewająca sprawa, ale wychodzi mi, że poza prapradziadkiem Ludwikiem, tym od Marietty, zajmowały się nim i wiedziały o nim wyłącznie kobiety.

– Obecnie nastąpiła zmiana. Heaston zrobił na mnie wrażenie mężczyzny.

– Może wprowadzono ostatnio równouprawnienie mężczyzn, na co nie zwróciliśmy uwagi?

Znów popatrzyłyśmy na siebie. Krystyna westchnęła, napiła się wina i zaproponowała, żeby przeczytać gazety, skoro już je mamy pod ręką.

Dziennikarze jak dziennikarze, zrobili, co mogli, dla podniesienia nakładu. Oprócz informacji, znanych nam, można powiedzieć,

bezpośrednio od pana Simona, podawali mnóstwo wiadomości, potrzebnych jak dziura w moście. A to obraz na ścianie gabinetu wicehrabiego wisiał przekrzywiony, a to obecni w sąsiednim pokoju przyjaciele słyszeli straszne krzyki i mieli złe przeczucia, a to wtargnęła do gabinetu tajemnicza dama, która ukryła za gorsem tajemniczy przedmiot i zbiegła, a to krwawe bryzgi widniały aż na drzwiach, a to lokaj zemdłał i tak dalej. Nad szczegółami odzieży wszystkich osób zainteresowanych rozwodzili się na całych szpaltach, obyczaję pana Trepona, pomocnika jubilera, opisywali z detalami. To ostatnie zainteresowało nas bardziej, chociaż wątpiliśmy w ścisłość opisów.

Pan Trepon był silny, potężny, bykowany, dlatego w razie potrzeby służył za posłańca. Bywało, że wielki majątek nosił przy sobie i nikt nigdy nie dokonał na niego napaści. Zwierzchnik gwarantował jego uczciwość. Ubierał się skromnie, żeby nikomu nic głupiego nie wpadło do głowy, nosił obszerny surdut z licznymi kieszeniami i zawsze miał przy sobie złoty sakwojażyk, przewieszony przez ramię. Żaden złoczyńca, planujący ewentualnie rabunek, nie mógł być pewien, gdzie niesie cenne przedmioty, w kieszeniach czy w sakwojażyku. Przy jego sile, dopóki był żywy, obmacywanie nie wchodziło w rachubę.

– Zważywszy zeznanie lokaja, wedle którego sięgał ręką do sepecika, wierzę wyłącznie w sakwojażyk – oświadczyła zniechęcona Krystyna. – Nawet surdut z kieszeniami wydaje mi się wątpliwy, w rzeczywistości mógł nosić obcisłą marynareczkę i paltocik z pelerynką. I też nie wiem, co by nam z tego przyszło.

– Z jakichś powodów prababcia cały ten chłam zachowała – zauważyłam w zamyśleniu. – Chyba nie tylko na pamiątkę?

– Z grzeczności dla nas. Zdjęła nam z głowy robotę głupiego.

– Albo może przeoczamy coś ważnego. Dziwi mnie, że nie ma nic o narzeczonej, prasa romansowe historie zawsze wywęszy. Co do ucieczki, same głupoty.

Krystyna zastanowiła się poważniej.

– Przypuszczam, że po stwierdzeniu jego niewinności nikt już nie chciał z nimi rozmawiać i stracili żer. Czeka, ten Simon też się zasugerował dewastacją zabytku i sztuczną szczęką i narzeczoną ominął, Antoinette mu nie wyszła. To była prywatna wiedza prababci.

– No i może zebrała ten cały chłam do kupy dla sprawdzenia, czy na pewno nie ma w nim nic niepotrzebnego. Dobra, zostawmy to na razie, pomyślimy jeszcze później...

– Sprawdźmy w ogóle do końca ten mebel.

Sekretnych szufladek więcej w sekretarzyku nie było, ale wśród rachunków znalazłyśmy jeszcze list od Marcina Kacperskiego do jaśnie pani, nadesłany z Calais, sugerujący, że na jaśnie panią należy poczekać. Nie wiadomo dokładnie, co się tam dzieje w tej Anglii, możliwe, że trzeba będzie szybko skoczyć do Londynu i lepiej, żeby ktoś był bliżej. Ponadto wiadomy osobnik może tu wrócić. Szczerze młodej damy nie ulega wątpliwości, jest zrozpaczona i sama nic nie wie. On, Marcin, będzie tu zatem czuwał, oczekując powrotu jaśnie panny Justyny.

– To już rozumiem dokładnie, skąd się wziął związek panny Antoinette z Kacperskimi – stwierdziłam z satysfakcją. – Nie jestem pewna, czy on się z nią przypadkiem nie ożenił, coś mi się majaczy na tym tle, ale bardzo niewyraźnie.

– Jak już słuchałaś gadania babci, trzeba było słuchać porządnie! – rozzłościła się Krystyna.

– Ja słuchałam jak wściekła, ale babcia mąciła. Zdaje się, że to było jeszcze przed jej urodzeniem i nie miała wspomnień osobistych. Jakieś

strzępki się po niej plątały. Albo może nie lubiła akurat o tym mówić. Nic ci na to nie poradzę.

– Może jeszcze jakiś list się znajdzie...

Listów jednakże więcej nie było, ale i tak uciechę miałyśmy niezmierną. Realizując mój antywłamaniowy pomysł, wzbudziłyśmy lekkie zgorzienie i cichą naganę usługującego personelu, panienki przestawiły sobie noc i dzień, w dzień spały, śniadanie jadły po południu, nie wiadomo było, co robić z obiadem. Po nocach paliły się światła w połowie zamku, co by na to nieboszczka pani hrabina powiedziała...

Widząc wyraźny rozkwit potępienia i korzystając z powrotu kamerdynera, który zdumiewająco szybko odzyskał zdrowie, zebrałyśmy służbę w ogromnym holu i wyjaśniłyśmy sprawę uczciwie. Rzeczy po naszych przodkach trzeba raz wreszcie uporządkować, jeśli robimy to w nocy, świecąc przy tym gdzie popadnie, z pewnością żaden złodziej nie przyjdzie się włamywać. Poświęcamy się. W dzień musimy to odespać, bo inaczej padniemy trupem, i taki obiad, na przykład, możemy jeść o jedenastej wieczorem. Albo można zostawić nam zimną kolację, którą spożyjemy o pierwszej w nocy. A lepszego sposobu zabezpieczenia dóbr nikt chyba nie zdoła wymyślić.

W mgnieniu oka nagana przeistoczyła się w uznanie i zachwyt, jaśnie panienki okazały się nie takie głupie, jak na to wyglądało. Zyskałyśmy aktywną pomoc, służba podzieliła się obowiązkami, Gaston działał późnym wieczorem, a kucharka z pokojówką od wczesnego poranka. Włamywacze stracili wszelkie szansę.

Zdecydowałyśmy się robić sobie od razu spis prawdziwie cennych zabytków i do garderoby prababki Karoliny dotarłyśmy dopiero po dziesięciu dniach.

* * *

– Słuchaj – powiedziała akurat o północy Krystyna, nagle rozplómięta. – To znaczy nie słuchaj, tylko popatrz! Czy ja dobrze widzę? Pudła na kapelusze!

Popatrzyłam. Rzeczywiście, cała szafa w garderobie była tym zawałona, wielkie okrągłe bałwany, część stała także na szafie. Uświadomiłam sobie, że pierwszy raz trafiamy na takie bogactwo nakryć głowy, do tej pory pojawiały się tylko czepeczki i ozdobne stroiki, balowe i wieczorowe, a prawdziwych kapeluszy nie było. Nie miałam kiedy dziwić się temu, bo inne atrakcje odzieżowe waliły Niagarą i same pantofle do przymierzania zajęły nam jedną całą noc. Widocznie nastąpił tu jakiś podział na asortymenty.

Krystyna dostała istnego szału.

– Kapelusze! Nareszcie! Popatrzmy na te osławione kapelusze, niech ja raz wreszcie sprawdzę, jak one to nosiły, że im wiatr nie zdierał z głowy! Może będą ogrody warzywne i ptaszarnie, młyńskie koła i bocianie gniazda! Chronologicznie chcę, historycznie, mów, które z jakich czasów!

– Wariatka – powiedziałam z przekonaniem i sięgnęłam na najwyższą półkę. Krystyna wlaźła na krzesło i zaczęła ściągać te z góry.

Dostarczyłam jej dodatkowych emocji wstępnych, suponując, że widzimy magazyn. To jest druga garderoba prababci, ukryta za pierwszą, niejako podręczną, może się tu znajdować generalny skład nakryć głowy wszystkich przodkiń od pokoleń. Krystyna omal nie zleciała z krzesła, chwyciłam pudło, wypadające jej z rąk.

Uroczyście, acz niecierpliwie, zaczęłyśmy to otwierać.

Zmiłuj się Panie, a cóż te baby na głowach nosiły! Niby to wszystko było nam wiadomo, ale nie ma jak kontakt bezpośredni. Nie rozczarowało

nas nic, przeciwnie, głos odbierało od wstrząsów, największe wrażenie robił kapelusz, na którym ze stada małych ptaszków wyrastały olbrzymie strusie pióra, kompletne ogony. Nie umywała się do niego nawet strzecha słomiana i cała winorośl z potężnymi gronami. Ogrody kwiatowe, papużki–nierozłączki, koronki, upierzenie wszelkiego autoramentu, gałązki uwite w formie gniazdka, owoce swojskie i egzotyczne, rajskie ptaki i pawie, nie mówiąc już o kokardach i wstążkach, którymi po rozwinięciu, dałoby się zapewne opasać kulę ziemską w okolicy równika, wszystko zapierało dech w piersiach. Woale usłały całą podłogę. Rzecz jasna były też te przerażające rury od piecyka, sterczące pół metra przed twarzą i krochmalone falbanki, wiązane pod brodą. Istna orgia!

Mierzyłyśmy to, oczywiście, luster w garderobie nie brakowało. Do zamku mógł się wedrzeć w tym momencie pułk włamywaczy i siekierą porąbać posadzki, nie zwróciłybyśmy na nich najmniejszej uwagi. Zapomniałyśmy o chronologii, przytłoczyło nas to bogactwo, a co najśmieszniejsze, cały ten majdan okazał się zaskakująco twarzowy!

Uspokoiliśmy się wreszcie na chwilę ze zwyczajnego zmęczenia, bo ręce mdlały od trzymania w górze. Druga szafa również była tym zapchana, Kryśka wygarnęła resztę pudeł, nieco mniejszych. Otworzyłam ostatnie wielkie, ujrzałam mnóstwo czarnego pierza, mieniącego się odrobinę zielono i fioletowo.

– Chyba żałobne – stwierdziłam. – Nie ma żadnych dodatkowych śmieci. Ciekawe, z jakiego to ptaka.

Krystyna wyciągnęła szyję i zajrzała ciekawie do pudła akurat w chwili, kiedy wyjęłam kapelusz.

– Ejże, a to co? – wykrzyknęła, zdumiona. Wychyliłam się zza opierzonego ronda i też spojrzałam.

W pudle leżało jeszcze coś, przedtem zakryte kapeluszem. Jakby współczesna pederastka, tyle że nietypowa i bardzo stara, z pociemniałej skóry. Nasadziłam kapelusz na głowę, żeby uwolnić ręce i sięgnęłam po to. Krystyna sięgnęła równocześnie, przez chwilę wydzierałyśmy sobie przedmiot, za długo już byliśmy w zgodzie, żeby tak od razu jedna drugiej ustąpić. Ona pierwsza puściła, ponieważ spojrzała na mnie i jakby się zachłysnęła.

– Jezus Mario! – krzyknęła zdławionym głosem i zerwała mi z głowy pierzasty kapelusz.

Obejrzałam się za nią, zaskoczona. Rzuciła się do lustra, już nasadzając to czarne pierze na łeb, ujrzałam jej wizerunek i замуrowało mnie. Tak pięknej mojej siostry jeszcze nie widziałam!

Mieniące się czarne pióra pokrywały całe rondo, chyba znajdowały się nawet pod spodem, bo rzucały na twarz jakiś tajemniczy cień. Coś jakby liliowego, co wzmagало blask oczu i podnosiło świeżość cery. Najobrzydliwszej mazepie dodałoby urody, a co tu mówić o kobiecie pięknej z natury.

– No, no... – powiedziałam wreszcie, ochłonawszy z wrażenia. – Ja też tak w tym wyglądałam...?

Krystyna z politowaniem łypnęła na mnie okiem.

– To jest najcenniejszy przedmiot, jaki znalazłyśmy w tym zamku – oświadczyła stanowczo. – Słuchaj, gdzie my to możemy nosić? Nie mówię równocześnie, ale na zmianę. Jestem uczciwa i mimo wszystko nie zabiję cię, żeby nosić sama.

– Na wyścigach w Ascot – odparłam bez wahania. – Tam można nosić wszystko, co się tu znajduje.

Krystyna pokręciła głową, niezdolna oderwać oczu od samej siebie.

– Marnotrawstwo. Na wyścigach nikt nie zwróci uwagi, nawet kobiety...

– Kobiety zwróca. Przynajmniej niektóre, te, co przychodzą wyłącznie dla kapeluszy.

– Za mało dla mnie. Niechby nawet jakaś padła trupem z zawiści, co mi z tego. Widzę, że modystki naszych prababek miały swój rozum, należy to jakoś wykorzystać. Wyeksponować... – ożywiła się nagle. – Słuchaj, może Andrzej spojrzy na mnie zniechęca...?

Rozważyłam myśl błyskawicznie.

– Musiałabym być przy tym i musiałby wiedzieć, że mu stoję za plecami, bo inaczej mógłby pomyśleć, że ty to ja. Znaczą, musiałby wiedzieć, że wchodzisz albo co.

– To jest rzecz do zrobienia. Słuchaj, zamieńmy się! Oddam ci diament za ten kapelusz.

Protest ogarnął mnie jak pożar lasu.

– Mam wysoko rozwinięte poczucie estetyki i nawet nie będę ci zgłaszała takich kretyńskich propozycji. Chętnie na ciebie niekiedy popatrzę. Ale wybij sobie z głowy, że bym zrezygnowała z wyglądu tak samo!

Krystyna westchnęła ciężko i z głębokim żalem zdjęła kapelusz z głowy.

– Grzeje, cholernik. Ciekawa rzecz, że zawsze i wszędzie znajdzie się jakiś jeden kapelusz, od którego można dostać szau. Scarlett O'Hara też taki miała, ten, co jej przywiózł Clark Gable...

– Rhett Butler.

– Wszystko jedno. Zastanowię się, gdzie i kiedy w tym wystąpić, to musi być wystrzałowa okazja. Co tam było pod spodem?

Dopiero teraz spojrzałam, co trzymam w ręku. Tę starą pederastkę, czymś wypchaną. Krystyna troskliwie włożyła kapelusz do pustego już pudła i usiadła obok mnie na podłodze.

– Pokaż! Słuchaj, czy to nie było kiedyś żółte?!

Oprzytomniałam wreszcie po kapeluszu i obejrzałam przedmiot. Odchyliłam klapkę, osłaniającą zameczek. Pod spodem była jaśniejsza i rzeczywiście, miała żółty odcień.

– Czyja dobrze pamiętam, że pomocnik jubilera sięgał rączką do żółtego sepecika...?

– Nosił surdut z kieszeniami i taki żółty sakwojażyk – przypomniała Krystyna równocześnie. – Gdyby nie to, że przy kapeluszu osiągnęłam apogeum emocji, teraz bym się chyba udusiła. Zagłębiamy?

– A mogłabyś nie?

– Głupia jesteś...

Pstryknęłam zameczkiem i odwróciłam sakwojażyk do góry nogami, nie bawiąc się w sięganie ręką. Wytrząsnęłam zawartość na podłogę.

W absolutnym milczeniu obejrzałyśmy wyrzucone z sepecika przedmioty. Jako pierwszy wypadł i odturlał się kawałek mały słoiczek czegoś, co robiło wrażenie pasty, oprócz niego sepecik zawierał niewielką srebrną papierośnicę ze szczątkami papierosów, kłódeczkę z kluczykiem i tobołek z chustki do nosa, z czego już nic się nie turlało, ległszy na kupce. Potrząsnęłam tobołkiem z chustki, fajerwerk nagłej nadziei zgasł już w chwili, kiedy go brałam w palce, był lekki.

Nadal milcząc, przyjrzałyśmy się chustce i jej zawartości, dziwnym strzępkom czerwonego aksamitu i rozsypanym wśród nich drobnym, perłowym muszelkom. Podziurkowane były. Wzbogacały ten skarb kołtunki włosia i niewielkie kawałki gąbki. Aksamit nawet nie spłówiął, płonął żywą czerwienią, a muszelki połyskiwały.

Oderwałyśmy wzrok od znaleziska i popatrzyłyśmy na siebie.

– Myślisz, że taki duży, silny chłop, z zawodu złotnik, nosił przy sobie pomoce krawieckie pierwszej potrzeby...? – spytała Krystyna z powątpiewaniem.

– Szczerze mówiąc, nie czuję się zdolna do myślenia – wyznałam w zadumie. – Jedyne co mi przychodzi do głowy... Nie, właściwie nic sensownego do głowy mi nie przychodzi.

Krystyna oparła plecy o szafę, łokcie na kolanach i brodę na dłoniach. Wpatrzyła się w przestrzeń, a ściśle biorąc, w ozdobny zamek skrzyni czy kufra, stojącego pod przeciwległą ścianą.

– Jeżeli pozostanawiamy się dostatecznie długo, coś nam wreszcie przyjdzie. Dusza się do mnie odzywa, ale strasznie cicho szepce.

– Pokarm dla ducha – mruknęłam i podniosłam się z podłogi. – Mamy jeszcze tu, na górze, trochę wina?

– Za szafą...

Wino chyba pomogło, bo zaczęłyśmy snuć supozycje.

– Że jest to cholerny sepecik tego podejrzanego pomocnika, gotowa jestem prawie się upierać – zaczęła Krystyna już przy drugim kieliszku. – Jakim cudem znalazł się u prababci, pojęcia nie mam...

Wpadłam jej w słowa.

– Nie ma innego sposobu, jak tylko przez narzeczoną. Zostawił u niej, a był tam Marcin Kacperski i pewnie przywiózł. Też nie wiem, po jaką cholerę. I z całej siły wątpię, czy pomocnik jubilera nosił przy sobie coś takiego. Uważałabym w ogóle, że jest to śmieć, gdyby nie to, że prababcia schowała przedmiot pod najpiękniejszym kapeluszem z całej kolekcji.

– Słusznie. Pamiątkowy śmieć powinien leżeć na strychu.

– Nie. Na strychu śmieć ogólny, a pamiątkowy jednak tutaj, ale nie w takim dziwnym ukryciu. Coś w tym tkwi. Na wszelki wypadek zostawiłabym to w pierwotnym stanie, razem z zawartością.

Krystyna odstawiła kieliszek i w skupieniu jęła oglądać wszystkie przedmioty po kolei. Poszłam za jej przykładem, sięgnęłam po odturlany

słoiczek. Cały czas siedziałyśmy na podłodze i zaczęło mi być trochę twardo i niewygodnie.

– Bez względu na to, czy widzimy krem do twarzy, czy pastę do butów...
– zaczęłam i urwałam. – O rany, nie! Popatrz! Pomada do włosów, najdoskonalszy utrwalacz fryzury firmy Lionne...

Krystyna pochyliła się ku mnie i wydarła mi słoiczek z ręki.

– Nie otwieraj! – ostrzegłam. – Jeśli już, to na dworze. Po tylu latach może śmierdzieć zabójczo!

– Za głupią mnie masz? Pomada, fakt, to męskie. Mogę zrozumieć. Papierośnicę też, ale to...? Z czego to może pochodzić?

Wskazała czerwono–muszelkowe szczątki i obejrzała się na bałagan w pokoju.

– Kapelusz... Nie, takiego czerwonego nie było, piękny kolor, wpadłby nam w oko. Kiecka...? Bolerko, ozdobione muszelkami...?

– Sakieweczka – zaproponowałam. – Czerwona sakieweczka, muszelkami obhaftowana! Któraś z tych wszystkich bab sporządziła sobie taką, a resztki zostały.

– Na cholerę jej do sakieweczki włosie i gąbka?

– Tego nie wiem. I nie zgadnę. Szczególnie że reszta wskazuje na chłopca, pomada i papierosy, to ten pomocnik...

– Ale po drodze mamy babę, tę narzeczoną, Antoinette. Mogła się dołożyć z mieniem własnym. W ten sposób cała zawartość jest dwupłciowa i wszystko byłoby prawie jasne, gdyby nie to!

Sięgnęła po kłódeczkę z kluczykiem. Zaczęłyśmy ją oglądać, wrywając sobie nawzajem z ręki. Urządzenie działało, kluczyk się przekręcał, otwierał i zamykał kłódeczkę, ale na tym się nasza wiedza o niej kończyła.

– Intryguje mnie ten przedmiot – wyznałam, a Krystyna kiwnęła głową.
– Coś powinien oznaczać. Taki kluczyk zawsze bywa wstępem do

tajemnicy, należałoby szukać czegoś małego, zamkniętego...

– I miałabyś całkiem rację, już się rzucam do szukania małego zamkniętego, gdyby tu leżał sam kluczyk. Ale jak sobie wyobrażasz to zamknięcie, skoro mamy również kłódeczkę?

Wysiliłam wyobraźnię, ale coś zamkniętego na kłódeczkę, która istnieje samotnie, w oddaleniu od skobla, przerosło moje możliwości. Obejrzałam ją jeszcze raz.

– Wygląda prawie jak nowa. Może została świeżutko kupiona...

– Świeżutko kupiona powinna mieć co najmniej dwa kluczyki.

– To nie wiem. Odczep się. Musi istnieć jakaś przyczyna, dla której taki bzdet został starannie przechowany! Gdybyśmy jeszcze wiedziały przez kogo...

– Należało nie dotykać – przerwała mi Krystyna z niezadowoleniem. – Przedmiot ludzką ręką nie tknięty bardzo długo zachowuje odciski palców, a elektronika czyni cuda. Na tych pudłach, na strychu, na papierach, dałoby się może wyodrębnić prababcię, narzeczoną, pomocnika parszywca... o! Na papierośnicy! Musiał być! Popłaczę się z żalu!

Zirytowała mnie.

– Głupia jesteś, niemożliwe, żeby przez sto lat czegoś nie umyli i nie odkurzyli. Gównu byś znalazła, a nie odciski palców! Poza tym, już przepadło, teraz musimy zwracać uwagę na dwie rzeczy. Coś małego ze skobelkiem... Już wiem!

– No? Co wiesz? Uporządkowałam jasnowidzenie.

– Było zamknięte na kłódeczkę, kluczyk został zgubiony, kupiono drugą kłódeczkę z zamiarem wymiany, tamtą oderznąć, tę zawiesić. Nie zdążyli. Wszystko jedno, kto. Musimy szukać czegoś, zamkniętego na kłódeczkę bez kluczyka!

– Niezły pomysł – pochwaliła Kryśka jadowicie. – Nic się nie gubi równie łatwo, jak klucze. Wszystkie kłódeczki będziemy odrzynać?

– Nie narobiłaś się zbyt do tej pory...

– Idiotka!!! Nie narobiłam się!!!

– Mam na myśli przy odrzynaniu.

– No tak, wielkie szczęście jeszcze przede mną. Cóż za niebiańska perspektywa! Musiało ci rozum odebrać. Czym tak będziemy odrzynać? Siłą woli?

Podniosłam się, usiłując nie stękać, zabrałam ze skrzyni czarny, pierzasty kapelusz i przymierzyłam go przed lustrem. Musiałam sobie samej zmienić temat i odzyskać równowagę wewnętrzną, bo kretyńska kłódeczka wyraźnie zaczynała mnie ogłupiać. Poprzyglądałam się sobie przez chwilę i zrobiło mi się zdecydowanie przyjemniej. Krystyna przyglądała mi się również i złagodzenie uczuć nastąpiło u niej od razu.

– No dobrze. Buchwelem. Albo taką złodziejską piłką, gdzieś to chyba uda się kupić. Naodrzynamy się za całe życie. Zdejmij to ze łba i mów dalszy ciąg, czego jeszcze mamy szukać?

Z żalem zdjęłam kapelusz i znów usiadłam koło niej.

– Tej hipotetycznej sakieweczki. Nie wiem po co, więc nie zadawaj głupich pytań, na wszelki wypadek. Mam nadzieję, że jej nie przeoczymy, powinna być jaskrawa.

– E tam, mogła wypłowieć i teraz jest różowo szara. Poza tym, wcale nie musi to być sakieweczka, chociaż przyznaję, że owszem, nasuwa się. Lepiej zwracajmy wagę na muszelki.

Konkluzja nas jakoś usatysfakcjonowała. Zapakowałam starannie czerwono–muszelkowo–gąbczaste śmietki do chustki, chustkę zaś, razem z całą resztą, do sepecika. Podnosząc węzełek z podłogi, ujrzałam pod nim

kawałek złożonego na czworo papieru, wypadł z sakwojażyka również i ukrył się pod tekstylnym chłamedem.

Chwyciliśmy go równocześnie z nową nadzieją.

Papierek stanowił coś w rodzaju pokwitowania. Wicehrabia de Pouzac odebrał bransoletę z wygrawerowanym napisem, a otóż wcale nie odebrał, bo kwit nie został podpisany. Nasza wiedza w tej kwestii była już dostateczna, żeby teraz ta bransoleta nie zaczęła nam bruździć.

– No tak, w ten sposób wiemy na pewno, co udało się znaleźć – stwierdziła Krystyna. – Nie ulega wątpliwości, że to jest ten właśnie zaginiony sepecik. Precz z niepewnością przynajmniej w tym jednym punkcie. Zabieramy.

Podniosłyśmy się wreszcie z tej podłogi ostatecznie. Znalezisko zabrałam do swojej sypialni, tak zdecydowała Krystyna, sakwojażyk był zabytkowy, jego zawartość również, wszelkie zabytki zaś wchodziły w zakres mojego zawodu i nadawałam się do ich pilnowania.

Późnym popołudniem, kiedy piłyśmy kawę na oszklonej werandzie, do szeroko otwartych drzwi zapukał kamerdyner w swojej normalnej postaci, już bez turbanu na siwych włosach. Przyzwyczajony do nas, nie zwracał się do powietrza między nami, tylko spoglądał zwyczajnie, to na jedną, to na drugą. Przeprosił uniżenie i spytał, czy jaśnie panienki raczą pozwolić, żeby coś powiedział.

Pozwoliłyśmy skwapliwie.

– Ale niech Gaston usiądzie – zaleciła Krystyna. – Gaston jest jeszcze po chorobie.

– W żadnym absolutnie wypadku – odparł z mocą. – Nie uchodzi.

– W takim razie nie będziemy rozmawiać – wtrąciłam się stanowczo. – I tak nie zrozumiałabym ani słowa, bo martwiłabym się, że Gastonowi zaszkodzi.

– Proszę natychmiast usiąść! – wydała rozkaz Krystyna.

Musiała mu się wydać w tym momencie nadzwyczaj podobna do prababki Karoliny, której dezyderaty przywykł spełniać bez szemrania, bo zrezygnował z protestów. Usiadł sztywno i uroczyście, broń Boże nie przy stole, tylko na stojącym z boku fotelu.

– Słuchamy – powiedziałam zachęcająco.

Kamerdyner odchrząknął i zaczął od razu do rzeczy.

– Otóż, proszę jaśnie panienek, ja tego bandytę rozpoznałem. Nie przyznałem się, bo to jest sprawa rodzinna i policji nic do niej. Ale jak się na mnie rzucał, dostrzegłem kawałek twarzy, a i wcześniej, kiedy grzebał w toaletce, rozpoznałem go tu, w ramionach.

Poruszył barkami bez mała jak hiszpańska tancerka i zamilkł, oczekując zapewne jakiejś naszej reakcji. Nie wypadało go rozczarować.

– I kto to był? – spytałam z zainteresowaniem.

– Ten Amerykanin, który tu przychodził i jaśnie panienki zaprosiły go na cały dzień do biblioteki. Na dwa dni nawet. A on już przychodził dawniej, do jaśnie pani hrabiny nieboszczki.

– No proszę! – wyrwało się Krystynie z triumfem.

Kamerdyner kiwnął głową, jakby tego się właśnie spodziewał.

– Pani hrabina kazała mieć na niego oko i powiedzieć, jakby się tu kręcił, ale parę lat go nie było. Ze szczę. Dopiero teraz znów się pokazał, mało się zmienił, właściwie wcale.

– A Gastona nie poznał? – zdziwiłam się. – Zachowywał się jak obcy. Kamerdyner nagle odrobinę się zmieszał.

– Nie. Bo nie tylko służby więcej mieliśmy, ale i ja wtedy wyglądałem inaczej. Wyznam chyba... Bałem się, że pani hrabinie wydam się za stary, zwolni mnie na łaskawy chleb, więc włosy miałem czarne, zawsze to trochę

odmładza. Mógł mnie pomylić z naszym lokajem, Bernardem, którego tu już nie ma. On też był czarny. Ale to nie wszystko.

– A co jeszcze? – pomogła mu Krystyna.

Obie słuchałyśmy, nie kryjąc żywego zaciekawienia, więc kamerdyner się rozkręcał, sztywność w nim miękła trochę i przechodziła w przejęcie.

– A otóż jest taka rzecz. Jaśnie panienki zgadują, że służba zawsze więcej wie niżby się wydawało. I ja to wiem, ja stąd pochodzę, w zamku się urodziłem za pierwszej wojny, moja matka klucznicą była. Jaśnie hrabinę Klementynę jeszcze pamiętała ze swoich młodych lat, dwudziestu nie miała, kiedy tu straszne zamieszanie się zrobiło, jak wicehrabia de Pouzac, Gaston, którego imiennikiem jestem, tragiczną śmiercią zginął. Lady Justyna Blackhill, naówczas młoda panna, tu u babki mieszkała i w wielkim pośpiechu tam i z powrotem jeździła, a pani hrabina konferowała z policją. Jakiś ważny komisarz tu podobno przyjeżdżał. Matka mi o tym wszystkim niejedną raz opowiadała, a szczególnie wspominała na starość. I też nie w tym rzecz.

– O nie! – powiedziała Krystyna stanowczo i zerwała się od stołu. – Takich cudownych historii nie będzie Gaston opowiadał na sucho! Przyniosę wina!

Wybiegła, zanim nieszczęsny kamerdyner zdał sobie sprawę z przerażającej sytuacji. Jaśnie panienka leci obsługiwać jego, zamiast on jaśnie panienkę, niedopuszczalne i skandaliczne!!! Poczzerwieniał, usiłował też się zerwać, coś bełkocząc, ale usadziłam go z powrotem prawie przemocą.

– Proszę siedzieć spokojnie, moja siostra da sobie radę. Gaston wie doskonale, że już wypatrzyłyśmy najlepsze zamkowe wino i byle komu go zostawiać nie będziemy. Napijemy się razem, bo to, co Gaston teraz opowiada, warte jest tego z całą pewnością!

Krystyna, na szczęście, obróciła szybko i nie musiałam długo toczyć walki z uczuciami wiernego sługi. Pogodził się w końcu z wzięciem udziału w uroczystości, przez niego samego spowodowanej, i nie odmówił kielicha.

– No! – pogoniła Kryśka niecierpliwie. – Matka Gastona opowiadała i nie w tym rzecz. A w czym?

Kamerdyner podelektował się chwilę napojem i podjął relację.

– Tak się oto składało, że moja matka przyjaźniła się z osobistą pokojówką jaśnie panny Justyny, na imię jej było, pamiętam, Liselotte. Akurat kiedy przydarzyła się katastrofa wicehrabiego de Pouzac, oważ Liselotte łąpała sobie narzeczonego, a chciała go złapać na męża. A tu jaśnie panna Justyna w podróż nagle ruszała i Liselotte musiała jechać razem z nią, chociaż ten amant na nią czekał. Wściekła była podobno tak, że aż z niej pryskało. W dodatku jaśnie panna Justyna pozostawiła ją na łasce losu w Calais i do Anglii pojechała sama, a przedtem czekała godzinami, nic nie wiedząc. To ją najwięcej gryzło, że nic nie wiedziała, o Liselotte mówię. Wróciła do Noirmont zapłakana i zła jeszcze więcej i mojej matce się zwierzyła, jak to normalnie, przyjaciółce.

Teraz już słuchałyśmy w pełnym napięcia milczeniu, bo zanosilo się na rewelacje. Delikatnie ujęłam butelkę i dolałam wina wszystkim. Kamerdyner napił się, chrząknął i odsapnął.

– Głównie to o sobie gadała, jak ją jaśnie panienka pokrzywdziła – ciągnął. – Dopiero jak się rozeszło, jak tam było z wicehrabią, gazety pisały o jakimś złoczyńcy, który się okazał niewinny, ale uciekł, ta Liselotte powiedziała coś więcej. Mojej matce powiedziała. Czekala otóż na jaśnie panienkę we fiakrze, czekała i czekała, oka nie odrywając od tego zaułka, gdzie jaśnie panienka weszła, aż tu nagle z owego zaułka wyleciał jakiś. Duży i młody chłop w surducie rozpiętym, a taki wystraszony, że mu oczy na wierzch wychodziły, konie od fiakra spłoszył i poleciał dalej. Rękami

machał. Liselotte sama się wystraszyła, a jaśnie panienki ciągle nie było. Dopieroż po długim czasie wybiegła, pośpiech był ciągle, wysłała Liselotte na pocztę, a sama nagle do tej Anglii odjechała i tyle. Dobrze chociaż, tak ta Liselotte mówiła, że jakaś dziewczyna tam była, na nią czekała z zalecenia panienki, zapłakana i zatroskana, ale pomogła, do pociągu doprowadziła i pokazała, gdzie bilet kupić. Nic prawie nie mówiła, na żadne pytania nie chciała odpowiadać, parę słów jej się ledwie wyrwało. „Już go więcej nie zobaczę”, tak podobno rzekła, takim głosem, jakby zaraz się miała utopić. Z czego by wynikało, że ten wystraszony od niej uciekł. Nikomu innemu Liselotte nie powiedziała o tym ani jednego słowa, tylko mojej matce, a uczyniła tak na złość, bo przez te podróże narzeczony jej przepadł. Zacięła się przeto. I krótko potem, dwa miesiące nie minęły, jak od nas odeszła, jeszcze nawet jaśnie panienka Justyna nie zdążyła z tej Anglii wrócić, a nim odeszła, do mojej matki bez przerwy gadała i wspominała. Ale ciągle nie w tym rzecz.

– Jezus Mario – mruknęła Krystyna niemal ze zgrozą. – Chyba pójde po drugą butelkę...

Powstrzymałam oboje, bo kamerdyner na te słowa też się ruszył.

– Spokojnie, jeszcze mamy prawie całe pół. Niech Gaston kontynuuje, bardzo proszę, to cudowna opowieść.

W tym momencie nadleciał jakiś cholerny ptaszek, usiadł na gałęzi tuż przy otwartym oknie werandy i zaczął się drzeć przeraźliwie. Gaston coś powiedział, ale nie dało się tego słyszeć.

– A sio!!! – wrzasnęła Krystyna okropnie.

Ptaszek przekrzywił główkę, popatrzył na nią czarnym koralikiem, ćwierknął i znów zaczął się drzeć, nie mając najmniejszego zamiaru odlatywać. Nagle poczułam, że z serca nie znoszę przyrody żywej, zerwałam się od stołu, runęłam do okna i machnęłam energicznie tym, co

trzymałam w ręku. Kieliszkiem wina, którego resztki wychlupnęły na zewnątrz. To się wreszcie draniowi nie spodobało, odleciał z wyraźną urazą.

I równocześnie coś zaszeleściło pod oknem. Jakby zwierzę w suchej trawie. Wychyliłam się gwałtownie i ujrzałam jakiegoś chudego chłopaczkę, przytulonego do muru. Spojrzał na mnie, zdetonowany, ale wcale nie przestraszony, jakby się chwilę zastanawiał, po czym szmyrgnął błyskawicznie za narożnik werandy, niknąc z moich oczu.

A jednak kamerdyner zdążył. Nagle znalazł się obok mnie, też wychylony, i popatrzył za chłopakiem. Po czym cofnął głowę do wnętrza.

– A otóż to właśnie – rzekł uroczyście.

Bez słowa Krystyna poderwała się, wypadła do zamku biegiem i wróciła, zanim zdążyliśmy usiąść z powrotem, z tym że teraz usadziłam wiekowego sługę przy samym stole. Patrzeć nie mogłam, jak się gimnastykuje sięgając po kieliszek, cenna była w tej chwili jego praca umysłowa, a nie ćwiczenia fizyczne. Rozlałam resztę z poprzedniej butelki, bo Krystyna, oczywiście, przyniosła nową.

– To, w czym rzecz, należy uczcić – oznajmiła stanowczo. – Bez względu na to, co to jest.

– Otóż to – przyświadczył jakby kamerdyner. – Leonek Bertoiletta, oberżysty, bo jaśnie panienki mało bywają i mogą tego nie wiedzieć. Podśluchiwał.

Brzmiało to jakoś tak, że nawet nie umiałyśmy sprecyzować żadnego pytania. Gapiłyśmy się na niego intensywnie i okazało się, że to wystarczy.

– Będę jednak mówił po kolei, jeśli jaśnie panienki pozwolą...

– Tak – zgodziłam się z szalonym naciskiem.

– Zatem, za moich czasów, a młody wtedy byłem bardzo, dwadzieścia dwa lata miałem zaledwie, krótko to było przed drugą wojną, zmarła

szczęśliwie...

Zająknął się nagle i chyba ugryzł w język. Po krótkim namyśle podjął z wyraźną determinacją: – Zmarła ówczesna hrabina Maria–Luiza i nastąpiła jaśnie pani Karolina. Bałagan w zamku panował okropny, moja matka tym się gryzła i może ze zgryzoty wcześniej poszła na tamten świat. Nieboszczka hrabina Maria–Luiza skąpa była, co tu ukrywać, do niemożliwości i chociaż lasy jeszcze mieliśmy, palić nie pozwalała, aż mróz chodził po sypialniach. Raz woda w rurach zamarzała i wtedy wreszcie trochę się opamiętała. Świeć Panie nad jej duszą... Jaśnie pani hrabina Karolina zaczęła robić porządek, moja matka, jeszcze żywa, pomagała jej w tym, no i zdarzyło się, że jaśnie pani do niej rzekła: „Gdybyś, Klotyldziu, natknęła się gdzieś na taki stary żółty sakwojażyk, nie dotykaj go, tylko powiedz mi o nim. Może się tu gdzieś poniewierać, a to pamiątka”. I tyle. Więcej na ten temat mowy nie było. Ale że jaśnie pani hrabina szukała, to wiem na pewno, bo niejedną raz widziałem na własne oczy, jak sprawdzała po szufladach i komodach...

Krystyna nagle uniosła kieliszek.

– Gastonie – powiedziała uroczyście – Wasze zdrowie! Obyście żyli szczęśliwie jeszcze co najmniej sto lat.

Życzenie było może nieco na wyrost, ale kamerdyner odpowiedział z galanterią.

– I wzajemnie, zdrowie jaśnie panienek! Otóż, wracając do rzeczy, czytać umieli tu wszyscy i z gazet było wiadomo, że ów jakiś podejrzany, co się okazał niewinny, posiadał żółty sakwojażyk. Ten, co mam na myśli, od wicehrabiego de Pouzac. Przepadł on podobno, ten sakwojażyk, ale chyba nie całkiem, skoro pani hrabina go szukała, a do tego jeszcze opowiadania matki ja doskonale pamiętałem. Mówiła Liselotte wyraźnie, że leciał, nic nie miał i machał rękami. Gdzież zatem sakwojażyk?

Urwał na chwilę, napił się wina i popatrzył na nas z wyraźnym triumfem. Mogłyśmy mu powiedzieć, gdzie w tej chwili znajduje się złoty niegdyś sakwojażyk, ale chłonęłyśmy relację tak, że na gadanie własne nie starczało miejsca. Wyraźnie było przy tym widoczne, że on ciągle do czegoś zmierza i jeszcze to nie koniec rewelacji.

– No i ostatnimi czasy zaczęło się – podjął.

– Parę lat temu, jeszcze dobrze przed śmiercią jaśnie pani Karoliny, przyjechało tu dwóch. Ten Amerykanin i jeszcze jaki drugi, też z Ameryki. Głównie ten drugi, starszy, z jaśnie panią rozmawiał, a ja wiem, że chciał zamek kupić ze wszystkim. A ten młodszy, co był tu i teraz, węszył. Znajomości nawiązywał, dawnej służby szukał, wino stawiał komu popadło. I jeden raz się naciął. Proszę jaśnie panienek, bardzo przepraszam, czy nie szkoda tego wina dla kamerdynera?

– Nikt na nie więcej nie zasługuje niż wy, Gastonie – odparła Krystyna stanowczo, dolewając mu bez żadnych oznak skąpstwa.

– Słuchamy dalej – podsunęłam zachęcająco. – W życiu nie słyszałam nic równie pięknego.

Kamerdyner skłonił się elegancko i wrócił do tematu.

– Jest tutaj jeden taki, który jeszcze nigdy w życiu nie był pijany, ale udawać potrafi doskonale. Favier niejaki, w oberży usługuje, a jego ojciec dawnymi czasy służył u nas. Naprawiać umiał wszystko, czy to zamki, czy krany, a nawet elektryczne instalacje, czy zegary, czy drewno, czy cokolwiek, cały czas miał robotę, bo po pani hrabinie Marii–Luizie wszystko się sypało. Umarł krótko przed tymi Amerykanami, ów młodszy zaś uczepił się jego syna. Pierre Favier i połowy tego, co ojciec, nigdy nie potrafił, ale do różnych usług bardzo się nadaje, a od ojca mógł dużo słyszeć. Amerykanin tak pewnie myślał, bo spróbował go upić i wywlec z niego, co wie, a skutek był taki, że sam się upił strasznie, młody Favier zaś

tylko udawał. I nie Amerykanin od niego, ale on od Amerykanina wszystkiego się dowiedział. Bardzo to jakieś były ważne rzeczy, o których jaśnie panienki też powinny wiedzieć, tak mówił. Mnie powiedzieć nie chciał niczego, tyle tylko, że o jakiś wielki klejnot chodzi, a czy w ogóle powie komu, czy nie, to jeszcze nic pewnego. Amerykanin pieniądze mu dał za milczenie. No i oto znów przyjechał, a ja sam, proszę jaśnie panienek, na szperaniu go złapałem. I to byłoby wszystko, całe sedno rzeczy.

Zamilkł tak nagle, z wielką satysfakcją popijając wino, że przez długą chwilę milczaliśmy również. Przypomniały mi się zapiski prababki.

– Na litość boską, dlaczego Gaston nie powiedział tego prababci Karolinie?! – wykrzyknęłam z wyrzutem.

– Ponieważ, proszę jaśnie panienki, wiem o tym od wczoraj – oparł kamerdyner spokojnie. – O tym pijaństwie, znaczy. Ten głupi Favier nigdy o tym nie gadał, dopiero wczoraj, ni z tego, ni z owego, złapał mnie, przyszedłszy do zamku, i powiedział, że skoro dostałem po głowie, mam chociaż prawo wiedzieć dlaczego. I opowiedział, jak tamten upijał go i pytał, i sam się wygadał. Ja też pozwoliłem sobie od razu jaśnie panienki powiadomić. Na wszelki wypadek.

Krystyna oprzytomniała pierwsza, chociaż wcale nie byłam pewna, czy zupełnie.

– Gastonie – rzekła podniośle – to są informacje niezmiernie ważne. Coś o tym słyszałyśmy, ale niejasno, teraz widzimy, że wszystko prawda. Nie wiem, jak możemy się wam odwdzięczyć?

Jak się okazało, kamerdyner na ten temat miał pogląd wyrobiony.

– Gdyby istotnie sprawa szła o jakiś wielki klejnot – powiedział skromnie – i gdyby jaśnie panienką udało się ów klejnot odnaleźć, chciałbym go przed śmiercią zobaczyć na własne oczy. Nic więcej.

– To macie u nas jak w szwajcarskim banku...

Nagle otrzeźwiałam bardziej niż moja siostra.

– Zaraz – powiedziałam – a co robił tutaj ten chudy gówniarz? Powiedzieliście na jego widok, że to jest właśnie sedno rzeczy?

Kamerdyner, dumny z siebie i upojony obietnicą Krystyny, jakby się przecknął i wrócił do świata.

– A, właśnie! To też mi powiedział młody Favier. Otóż Amerykanin przed wyjazdem skaptował sobie pomocników. Tego Leonka opłacił, żeby penetrował i podsłuchiwał wszystko, a szczególnie patrzył jaśnie panią na ręce. Leonek wkręci się wszędzie, ciągle go tu widywałem, ale nie chciałem jaśnie panią deranzować. Jednak od wczoraj widzę, że trzeba.

– Sądzę, że przede wszystkim trzeba pogadać z tym młodym Favierem – zaopiniowała Krystyna z energią, całkowicie już wróciwszy do równowagi.

– Gdzie go możemy znaleźć?

– Jak nie w oberży coś robi, to na pewno jest u siebie. O tej porze, tak przed zachodem słońca, powinien być w domu. Mieszka zaraz za krzyżem, gdzie przy drodze taki wielki kasztan rośnie.

– Myślicie, że nam coś powie?

– Tego nie można być pewnym. Ale kto wie...?

Zostawiając kamerdynera przy resztkach wina, biegiem opuściłyśmy siedzibę przodków.

Przy całej zamkowej robocie nie zwracałyśmy uwagi na to, jak wyglądamy, jednakowo czy różnie. Obie z upodobaniem ubierałyśmy się na zielono, bo był to kolor wyjątkowo dla nas twarzowy. Przez czysty przypadek miałyśmy akurat na sobie prawie identyczne kiecki, Kryśka zieloną w białe paski, ja zaś białą w zielone paski. Gdyby zrobić z tego jeden kostium, wypadłaby szalenie elegancka całość. Przejęte opowieścią

kamerdynera, nie miałyśmy teraz głowy do garderoby i nie zajmował nas ten problem.

Wiedziałyśmy, gdzie stoi krzyż i gdzie rośnie wielki kasztan, penetrację terenu przeprowadziłyśmy w dzieciństwie i do tej pory nam w pamięci została. Trafiłyśmy jak po sznurku. Dawna oberża, rzecz jasna, obecnie była małym prywatnym hotelikiem.

Młody Favier, na oko mniej więcej czterdziestopięcioletni, siedział przed domem na ogrodowym krześle, przy ogrodowym stoliczku, i pociągał wino z oplecionej flaszki. Promieniowała z niego błogość, drzemał zapewne, bo oczy miał przymknięte. Nie miałyśmy cierpliwości czekać, aż się przecknie sam z siebie, obudziłyśmy go bez żadnych skrępowań.

– Dobry wieczór, panie Favier!

Średnio młody Favier drgnął, otworzył oczy, spojrzał i natychmiast zacisnął powieki. Potem uchylił je ostrożnie, znów spojrzał i na jego twarzy ukazał się wyraz tak śmiertelnego przerażenia, jakiego chyba nigdy żaden mężczyzna w dziejach świata nie doznał na widok młodej i, bądź co bądź, niebrzydkiej kobiety, nie trzymającej w rękach żadnego morderczego narzędzia.

– Święty Piotrze – wymamrotał. – Jakże to? Nic prawie nie piłem... Pierwszy raz w życiu...

Zamrugnął oczami, przymknął lewe i popatrzył na nas prawym. Następnie powtórzył operację z drobną odmianą, zasłonił sobie prawe i popatrzył lewym. Stałyśmy tuż obok niego, zaabsorbowane własnym problemem, nie zorientowałyśmy się od razu, o co mu chodzi, dopiero kiedy pochylił się ku przodowi i tknął palcem Krystynę, trafiając ją w żołądek, dotarło do nas.

– Ta jest prawdziwa – mruknął pod nosem. – Tamta nie...

Machnął ręką, odpędzając moje widmo. Stało się jasne, że widzi podwójnie, upił się zatem po raz pierwszy w życiu. Mogłyśmy

wyprowadzić go z błędu, ale nie było to nic pilnego. Przysunęliśmy sobie jeszcze dwa krzesła i usiadaliśmy obok niego.

– No, panie Favier, pan nas zna, prawda? – powiedziała Krystyna. – Jesteśmy z zamku.

Favier na razie nie odzywał się do nas. Pilnie przyjrzał się słupkom własnego, walącego się nieco, ogrodzenia, potem obejrzał pień kasztana, z uwagą popatrzył na flaszkę i szklanę, wszystko niewątpliwie było pojedyncze, ośmielił się zatem zwrócić wreszcie wzrok na to coś podwójnego. Jedną babę w dwóch osobach.

– Jaśnie pani... – zaczął i urwał. Nie wytrzymał, pochylił się do przodu i pomacał nas obie równocześnie, mnie chwytając za kolano, a Krystynę za rękę. – Jaśnie pani jest jedna czy dwie? Ja jestem trzeźwy czy pijany?

– Jest pan trzeźwy, a nas jest dwie – odparłam uprzejmie. – Nigdy w życiu pan nie był pijany i dlatego narwał się na pana ten głupek z Ameryki.

– Podobne jesteśmy po prostu – dodała Krystyna pobłaźliwie. – Bliźniaczki. Niech pan nie zwraca uwagi i niech pan powie, co ten kretyn opowiadał.

Ułga, jakiej nieszczęśnik doznał na tle własnego pijaństwa, była tak wielka, że pozbawiła go wszelkich hamulców. Nie wiadomo, czy powiedziałby nam cokolwiek, gdyby nie to straszliwe zaskoczenie. Teraz, wyzwolony z obaw i radosny, zachichotał złośliwie i lunął z niego potok zwierzeń.

Otóż ten cep, Amerykanin, piątej butelki nie wytrzymał, jak mu się gęba rozwarła, tak zamknąć jej nie dał rady. Wszystko wygadał. Jego pradziadek do Ameryki przyjechał z Francji jeszcze dobrze przed pierwszą wojną światową. Jubiler to był i jubilerstwem się zajął, teraz po nim wielką firmę mają, ale odzłować nie mógł jednego. Jego ojcu opowiadał, pradziadek znaczy, że tu, we Francji, bezcenny klejnot stracił, w rękę go miał, ten

klejnot, i jakoś mu przypadł, został, bo sam musiał uciekać w wielkim pośpiechu, posądzony o zbrodnię, której wcale nie popełnił. Klejnot zostawił chyba u narzeczonej, bo gdzieżby inaczej, skoro najpierw go miał, a potem nie miał, a potem wpadł on w ręce hrabiów de Noirmont, pewnie całkiem bezprawnie. Można go niby odzyskać i on sam po to tu przyjechał. Gdzieś on leży w zamku, nikt o nim nie wie, możliwe, że ciągle leży w jego, tego pradziadka, sakwojażyku, takim żółtym, skórzanym. Sakwojażyk został u narzeczonej, oni zaś, rodzina, przeprowadzili całe śledztwo i wyszło im, że ta narzeczona w zamku Noirmont mieszkała, poślubiwszy jakiegoś łobuza stąd. Zatem tutaj szukają. Własność to ich była pamiątkowa, a do tego w owym sakwojażyku były pradziadkowe wielkie pieniądze, pugilares czy coś tam, złota papierośnica i w ogóle majątek. Stracili, próbują odzyskać, bo co szkodzi spróbować...?

W tym miejscu szok mu minął i potok wysechł gwałtownie. Zamknął gębę, nalał sobie wina i wypił, zaskoczony sobą tak, że nawet nie poczęstował dam. Damy nie były drobiazgowe, opowieść usatysfakcjonowała je dostatecznie i niczego więcej nie chciały.

– No i popatrz, gdyby ścierwo powiedziało to wszystko prababci, może ten cholerny diament leżałby już w sejfie – powiedziała gniewnie Krystyna w drodze powrotnej. – Prababcia dysponowała większą wiedzą ogólną niż my, nie wszystko przecież zapisała, zorientowałyby się może, gdzie szukać...

– Prababcia była jedna – zwróciłam jej uwagę. – Przysięgnę, że jednej nie powiedziałyby ani słowa. Zauważ, jak go zamurowało, ledwie przyszedł do siebie.

– Musiał go Heaston nieźle postraszyć...

Kamerdyner czekał na nas, płonął ciekawością i usiłując to ukryć pod powierzchnią służbistej sztywności. Na werandzie jednakże stała na stole

nowa butelka wina i dwa kieliszki. Kazałam natychmiast przynieść trzeci.

Przyniósł posłusznie i usiadł z nami po nieco już krótszym oporze. Historyczna sensacja przebijała nawet wieloletnią tresurę.

– Powiedział nam wszystko, co usłyszał od tego bęcwała – oznajmiła Krystyna od razu, nie trzymając wiernego sługi w niepewności. – Nareszcie wiemy, o co tu chodzi i skąd te podchody. Rzeczywiście, chcą znaleźć zaginiony klejnot, pradziadek tego barana rości sobie prawa do niego, to znaczy rościł, bo sądzę, że już nie żyje. Uciekając do Ameryki podobno zostawił tę rzecz tutaj, we Francji...

– Ale muszę Gastona rozczarować – wtrąciłam z westchnieniem. – Za co bardzo przepraszam. Myśmy na początku wcale nie szukały żadnego klejnotu, tylko recept zielarskich, które znajdowały się w bibliotece. Byłyśmy do tego zmuszone...

Streściłam mu testament prababci, byłam zdania, że należy mu się pełne wyjaśnienie. Krystyna mnie wspomogła, podzieliwszy widocznie moje zdanie. Następnie, wyjrzawszy przez okno i stwierdziwszy, że nikt nie podsłuchuje, posunęłam się dalej, wyjawiałam kolejne odkrycia i nadzieje w kwestii owego klejnotu, sukcesywnie rosnące. Zapewniłam, że wedle dokumentów rodzinnych skarb należy do nas prawnie i nikt nie może nam go odebrać, gdyby nastąpił cud i ścierwo zostałyby odnalezione.

Zmierzchła z początku twarz wiernego kamerdynera rozjaśniała się stopniowo.

– Zatem, proszę jaśnie panienek – rzekł w końcu, podnosząc się z krzesła – jestem zupełnie pewien, że jeszcze za życia ujrzę tę rzecz. Czy przynieść więcej wina?

– Tak – odparła Krystyna stanowczo. – Bardzo prosimy.

* * *

Wiadomość, że Iza przyjechała do Warszawy, spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

Iza była moją najbardziej nielubianą przyjaciółką i odznaczała się tym, że jeszcze od szkolnych czasów z maniackim uporem usiłowała podrywać moich chłopaków. Nie interesowali jej inni, tylko ci, przynależni do mnie, przy czym, nie wiadomo dlaczego, chłopakom Krystyny dawała spokój. Może była to kwestia gustu. Być może nawet w pierwszych chwilach nie zdawała sobie sprawy, której z nas wydziera amanta, ale w praktyce z reguły padało na mnie, przysparzając mi razem zdenerwowania i triumfów, bo sukcesy osiągała bardzo mierne. Parę lat temu wyjechała do Stanów i miałam z nią spokój, wystarczyło unikać spotkań, kiedy składała wizyty w ojczystym kraju. Poślubiła jakiegoś milionera i obrosła w dostatki wręcz nieprzyzwoite, nie ciekawiło mnie to specjalnie, prawie o niej nie pamiętałam. Okropnej informacji udzieliła mi teraz Krystyna, która dzwoniła do Warszawy co drugi dzień, pilnując Andrzeja, żeby przypadkiem nie wyjechał do tego idiotycznego Tybetu. Tym razem trafiła na Agnieszkę, jego młodszą siostrę, i zanim podszedł do telefonu, Agnieszka zdążyła uszczęśliwić ją oceanem plotek. Znała nas obie, znała także Pawła.

– Słuchaj, ona mówi, że ta suka owdowiała i siedzi na strasznej forsie – powiedziała moja siostra nerwowo, odrywając mnie od hinduskich dupereli, które usiłowałam oczyścić z kurzu i wycenić. – Przyjechała i kręci się koło Pawła. Jak dotąd, mało ukręciła, bo Paweł dopiero co wrócił skądś tam, ale strzeżonego i tak dalej. O interesowność jej nie posądzi, to odpada, ona się tarza w złocie.

Miedziany dzbanek z brzękiem wyleciał mi z rąk. Krystyna podniosła go odruchowo i razem z tym dzbankiem zaczęła latać po pokoju, kontynuując sprawozdanie.

– Ja w ogóle wracam, to znaczy nie wiem, czy całkiem, może tu wrócę, ale wracam. Andrzej wytrzymał dwa miesiące, a teraz go niesie. Muszę mu zawieźć plon po prababci, inaczej krewa, może kocha także i mnie, ale więcej kocha himalajskie zielsko, niech to cholera. Mówiłam, żeby tu przyjechał, ale powiada, że to ostatnia chwila na jesienne zbiory, diabli nadali pory roku, nie ma siły, rzucam pracę, jadę z nim razem, parę złotych z tego spadku chyba mamy?

Zatrzymała się nagle i popatrzyła na mnie pytająco, tuląc dzbanek do łona. Ogłuszona własną komplikacją, spróbowałam oprzytomnieć.

– W rękach trzymasz w tej chwili jakieś dwa tysiące dolców – odparłam z rozgoryczeniem. – Czekaj, ja też jadę. Sprzedaż tych rzeczy musiałaby potrwać, a Izunia, nie ma obawy, weźmie dobre tempo. Pewnie przywiozła rolls-royce’a ze złotymi klamkami... Poza tym, szkoda mi tego...

Krystyna z lekkim roztargnieniem obejrzała dzbanek i odstawiła go na komodę.

– Nie odebrałyśmy z sejfu biżuterii przodków – przypomniała.

– Biżuterii też byłoby nam szkoda, zapewniam cię.

– Może jest tam coś cennego i śmiertelnie obrzydliwego...? Nie, co ja mówię, wszystko wymaga czasu. Trudno, jadę!

Podniosłam się z krzesła, bo wreszcie przestałyśmy używać podłogi, jako jedyne siedziska. Już zaczęłam myśleć konstruktywnie. Zamierzałam pierwotnie zrobić tu porządek, posegregować antyki, przymierzyć się do ewentualnej sprzedaży, ale wszystko to było dla Pawła. Bogata i wolna Iza stanowiła zagrożenie śmiertelne, wreszcie kobieta, która jego forszę może mieć gdzieś, skusi go, a mnie tam nie ma, żadnej zapory... O nie, tego to ja tak nie zostawię! Też jadę natychmiast, byle jakoś racjonalnie...

– Zabieramy kapelusz – rzekłam stanowczo. – Musimy jechać przez Paryż, trzeba zrobić przelew na konta. Trochę weźmiemy gotówką...

– Dużo gotówką, bo przelew długo idzie.

– ...i rzucimy okiem na te rodzinne precjoza. Może znajdzie się w nich jakiś efektowny pierścionek albo co...

– Ale żadnego nocowania! Mam gdzieś kamienice prababci! Ruszamy od razu i jedziemy jednym ciągiem!

– To bierz się za robotę i pakuj ten przyrodniczy chłam. Czekaj, bez wygłupów, jedenasta dochodzi, musimy się przespać i ruszamy jutro rano...

Wczesnym popołudniem miałyśmy załatwione wszystko. Pieniądze na konta poszły, gotówki miałyśmy przy sobie znacznie więcej niż pozwalały jakiegokolwiek przepisy, ale obie o zamierzonym wykroczeniu zapomniwałyśmy natychmiast, bo biżuteria przodków znacznie przerosła nasze nadzieje. Wybrałyśmy z niej parę skromnych sztuk, resztę nadal pozostawiając w sejfie.

– I to się nazywało zubożenie – mruknęła Krystyna, przesuwając między palcami rozmigotany naszyjnik. – To przecież prawdziwe? Diamenty co najmniej po cztery karaty, gdzie ja się w to ubiorę?! Na plaster mi to w ogóle, to ty masz się obwiesić jak choinka wielkanocna, a nie ja! No nic, aż do naszej granicy spokój, ale nie wiem, czy u nas nie popatrzą...

– Powiemy, że sztuczne. Jeśli już, prędzej się uczepią kapelusza. A w ogóle nie zwracaj głowy, kogo obchodzą drobiazgi, gdybyśmy jechały wagonem kolejowym, to jeszcze...

– A owszem, wagon kolejowy na szosie mógłby obudzić sensację...

Tym razem prowadziłyśmy na zmianę i rzeczywiście, dałyśmy radę dojechać do Warszawy jednym ciągiem, ale z przerwami na posiłki. Obie byłyśmy wściekłe i niespokojne, ale udało nam się nie pokłócić, głównie z tej racji, że odpadały pogawędki. Przez całą drogę jedna jechała, a druga

spała na tylnym siedzeniu, bo jednak, ogólnie biorąc, byliśmy raczej niewyspane.

Samochód Krystyny stał na strzeżonym parkingu tuż koło jej domu.

– Nie biorę tego do mieszkania – oświadczyła, ziewając i wywlekając z mojego bagażnika wielki toból. – I tak zaraz jutro zawiozę Andrzejowi...

– Głupia jesteś – skrytykowałam. – Lepiej, żeby on przyjechał do ciebie, zapanujesz nad sytuacją. A w ogóle, jak znam życie, ten samochód powinni ci ukraść dzisiejszej nocy.

Zawahała się.

– Może masz rację... Zaraz, zdaje się, że on mi nawalał i nic nie zrobiłam, nie wiem nawet, czy ruszy. Wyleciał mi z głowy. No dobrze, pomóż mi, doniesiemy do windy.

Pozbyłam się jej. Mogłam teraz wreszcie zająć się sobą i Pawłem.

Nie doczekałam do jutra, zadzwoniłam od razu, ledwie wszedłszy do mieszkania. Przez telefon nie było widać, jak wyglądam, i mogłam sobie na to pozwolić, osobiście nie pokazałabym się mu w tej chwili za skarby świata. Ostatnie dwie doby trochę się na mnie odbiły, widziałam to po Krystynie, ujawniło się nasze trzydzieści lat, a nawet gdybym miała osiemnaście, też byłabym brudna, rozczochrana i zmięta. Telefon był czystym błogosławieństwem.

– Pawełku...? – powiedziałam, kiedy podniósł słuchawkę.

Jęknął.

– Dziewczyny, rany boskie, dajcie mi chwilę wytchnienia!

Rozłączyłam się nawet dość spokojnie, nie rozwalając aparatu. Dziabnęło mnie tak, że na chwilę straciłam dech, miałam wrażenie, że się udławię. Siedziałam nieruchomo, niezdolna do najmniejszego gestu i próbowałam opanować szok.

Telefon zadzwonił. Paweł.

– Joanna...? Jesteś. Słuchaj, czy to ty przed chwilą dzwoniłaś? Nie poznałem twojego głosu, nie spodziewałem się, uświadomiłem sobie, że to chyba ty dopiero, jak odłożyłaś słuchawkę! Natychmiast do ciebie przyjeżdżam!

– Nie.

– Owszem, tak.

– Nie wpuszczę cię!!! – wrzasnęłam, ale już się rozłączył.

Poderwało mnie z fotela. Co nie wpuszczę, jakie nie wpuszczę, miał klucze od mojego mieszkania, tak jak ja miałam wszystkie do jego domu. Nie zamknę się przecież przed nim na łańcuch!

Runęłam do łazienki, po drodze zdzierając z siebie przykurzone łachy. Pod prysznic natychmiast, lepszy kąpielowy ręcznik i turban na mokrej głowie niż ta wygnieciona szarość, pięć minut wody i mydła i już nie będę taka udeptana. Dzień biały, godziny szczytu, nie dojedzie wcześniej niż za kwadrans, dlaczego w ogóle on był w domu o tej porze, co on tam robił?!

Dziwne może było pytanie, co człowiek mógł robić we własnym domu, ale Pawełek na ogół wychodził rano i wracał wieczorem. W ciągu dnia pracował, siedział w swojej firmie, załatwiał interesy, spotykał się z ludźmi, obiad przeważnie jadał w mieście, prowadził ruchliwy tryb życia. W pełni tego świadoma, zadzwoniłam tylko na wszelki wypadek, tak sobie, i szlag trafił mnie szybciej niż zdążyłam się zdziwić. Idiotka. Jednak trzeba było zacząć od siebie...

Gorąca woda i dzika emocja, razem wzięte, pomogły błyskawicznie. Po czternastu minutach Paweł najpierw zadzwonił, a potem zachrobotał kluczem. Na głowie rzeczywiście miałam turban z ręcznika, na sobie szlafrok, ale twarz już mi prawie wróciła do równowagi i mogłam być oglądana. W momencie jego wejścia wytrząsałam pod oknem całą zawartość torebki, żeby znaleźć na jej dnie jedyny dobry pilnik do

paznokci. Woziałam go ze sobą wszędzie, nie mogąc jakoś trafić na drugi, równie doskonały egzemplarz, mimo iż kupowałam pilniki po całej Europie. Ten jeden był ciągle najlepszy i nie umiałam się bez niego obejść, a przed chwilą właśnie, w tym wściekłym pośpiechu, paznokieć mi się nadłamał. Nie zdążyłam wygrzebać narzędzia, a tym bardziej posłużyć się nim, bo Paweł był już w pokoju.

– Po drodze udało mi się zastanowić – powiedział po bardzo długiej chwili, wypuściwszy mnie z objęć. – Korki cholerne! Przez przypadek zyskałaś dowód, jak się odnoszę do wszystkich innych dziewczyn, poza tobą. Nawet nie będę cię przeproszał, skąd miałem wiedzieć, że to ty, z Francji dzwoniłaś wieczorem, a nie w dzień.

– W dzień cię nie ma. I prawdę mówiąc, miałam zamiar zadzwonić do babci, a twój numer wypukałam odruchowo. Skąd się wzięłeś u siebie?

– Wylałem sobie kawę na spodnie i musiałem skoczyć do domu, żeby się przebrać. Zły byłem jak diabli, ale przeszło mi od razu. Wróciłaś na dobre czy tylko na chwilę? Boże, jak ja się za tobą stęskniłem!

Przyjrzałam mu się. Był normalny, kochający, oczy mu się do mnie śmiały, chyba Izunia nie zdążyła jeszcze przegryźć mu gardła. Doznałam ulgi, ale nie popuściłam tak od razu. Sięgnęłam po pilnik i zaczęłam naprawiać paznokieć.

– No dobrze, a o co właściwie chodzi z tymi dziewczynami? Obrzydło ci powodzenie?

– Jakbyś zgadła. Jakiś urodzaj ostatnio zatruwa mi życie. Chociaż może krzywdzę resztę, bo głównie jedna mi wisi kulą u nogi. Podobno twoja szkolna przyjaciółka, niejaka Iza Marten, przyjechała ze Stanów i trafiła na mnie szukając ciebie. Tak twierdziła. Wiesz coś o niej?

Teraz doznałam już nie tylko ulgi, ale zgoła błogości. Sam powiedział o Izie, a zastanawiałam się, jak o nią spytać, nie przyznając się, że w ogóle

wiem o jej przyjeździe. Nie wyglądało na to, żeby go zachwyciła.

– Prawdę mówiąc, myślałem, że to ona dzwoni – zwierzał się Paweł dalej. – Dlatego wydałem okrzyk ogólnie odstręczający. Myślałem, że tak wypadnie dyplomatyczniej, głupio mi było odpędzać ją wprost. Atrakcyjna dziewczyna, ale coś mnie od niej odrzuca, ciekawe co...

– Charakter – wyjaśniłam, bo już nie wytrzymałam. – Ma takie różne cechy, których niby nie widać, ale coś tam się wydziela. Cieszę się bardzo, że to zauważyłaś. Śpieszysz się gdzieś czy dasz się podjąć czymś dobrym?

– Pośpiech przestał mnie chwilowo interesować, a coś dobrego widzę przed sobą i nie będę na to dłużej czekał. Mówię przecież, że się za tobą stęskniłem...

Odpowiednio później na nowo owinęłam włosy ręcznikiem i włożyłam szlafrok. Przez bujnie kwitnącą błogość, przebijała się myśl, że chyba jednak jestem idiotką bezkonkurencyjną, po cholere stwarzam trudności, przecież on mnie kocha! A ja w nim widzę generalny sens życia i sama sobie tego sensu żałuję, wyjść za niego, mieszkać razem, spać w jednym łóżku, przyrządzać mu sałatkę z krewetek, rodzić jego dzieci... To nie, zamiast się poddać sytuacji, latam za diamentem!

W tym momencie Paweł powiedział czule i jakby z podziwem: – Jesteś jedyną kobietą na świecie, która daje mi wszystko co najlepsze, niczego ode mnie nie chcąc. Zaczyna mnie to męczyć, ale ten rodzaj tortur da się znieść z przyjemnością.

No i załatwił mnie. Tylko mężczyzna może być taki głupi...

– Mówiąc o czymś dobrym, miałam na myśli inny rodzaj rozpusty – powiadomiłam go. – Przywiozłam wino pradziadka, jeszcze takiego nie piłeś, bo nie ma go nigdzie, poza naszą piwnicą. Spróbujemy? Na zakąskę mamy serek i solone migdałki.

– Przez żołądek trafiasz mi prosto do serca... O rany boskie, a co to?

Teraz dopiero zauważył śmietnik, jaki zrobiłam na stoliku zawartością torebki. Nie zdążyłam schować tego z powrotem. Spod dokumentów, kosmetyków, pieniędzy, papierosów, zapalniczek, rozmaitych kwitków i papierków, wyblyskiwał diamentowy naszyjnik, który Krystyna wrzuciła mi tam luzem. Zabrane z sejfu pierścionki i kolczyki wysunęły się z małej torebki po puszkę do pudru i też nieźle świeciły. Paweł wziął to do ręki i przez chwilę oglądał w skupieniu.

– To z tego spadku, po który pojechałaś? – spytał z wyraźnym zainteresowaniem. – Całkiem nieźle, trochę się na tym znam. Takich szmaragdów już dziś się u nas nie dostanie, stary szlif...

W mgnieniu oka postanowiłam wykorzystać okazję. Podniosłam się znad torby z butelką wina w garści, oddałam mu butelkę i wyjęłam z ręki kolczyki.

– Otwórz to, korkociąg jest w kuchni, w szufladzie. Uczcijmy spotkanie wszechstronnie.

Zanim wrócił z korkociągiem i kieliszkami, już wpięłam w uszy wiszące kolczyki. Ręcznik na głowie miałam też zielony, pasowało idealnie. Mignęło mi w głowie, że w tych kobietach chyba coś jest, od klejnotów nabierają urody, sama we własnych oczach zrobiłam się piękniejsza. Paweł spojrzał...

Mniej więcej po godzinie dokończył otwierania butelki, a mnie się udało wyjąć z torby migdałki i serek. Kupiłam te produkty spożywcze po drodze, wiedząc doskonale, że w domu nie mam nic do jedzenia. Nie do restauracji jednakże przyszedł, a wszystko wskazywało na to, że istotnie był za mną stęskniony.

Wypędziłam go dość późnym wieczorem, bo musiałam jednak odpocząć i zaopiekować się sobą gruntowniej. Znów pożałowałam, że nie mieszkamy razem, a Paweł pomamrotał nawet coś na ten temat. Zostawszy sama,

zmoczyłam, ułożyłam i wysuszyłam włosy, bo w końcu ile czasu można spędzić w turbanie, zaczęłam się zastanawiać nad wszystkim i wtedy zadzwoniła Krystyna.

– Miałś rację – powiedziała z cieniem jakby wdzięczności. – Lepiej było Andrzeja zwlec do mnie.

– Sama powinnaś to wiedzieć – wytknęłam.

– Wiem, ale byłam cholernie śpiąca i coś mi tam nie działało. Niech pan Bóg da zdrowie naszej prababci!

Odgadłam z miejsca i ucieszyłam się.

– Nie jedzie do Tybetu?

– Nie jedzie. Zrezygnował chwilowo. Szalu dostał od naszych ziół. Odzyskałam już trochę rozumu i najpierw zużyłam go dla siebie, a dopiero potem pozwoliłam na wybuchy intelektu, jak się okazało, również seksotwórcze. A co u ciebie?

– Właśnie byłam w trakcie myślenia, kiedy zadzwoniłaś – odparłam z satysfakcją. – Przedtem był Paweł. Wychodzi mi, że Izunia popełniła błąd, może i siedzi na milionach, ale z natury jest chciwa i zdaje się, że wylazła z niej ta cudowna cecha. Łaska boska.

– Ale ten diament jest mi potrzebny jak powietrze – oznajmiła Krystyna stanowczo. – Laboratorium, rozumiesz. On mnie kocha na tle przyrody, boję się jednak, że w razie konieczności wyboru ze złamanym sercem wybierze przyrodę. Mężczyźni są jak dzieci, nie róbmy dziecku koło nogi.

– Mówiłaś mu o wielkich nadziejach?

– Zwariowałaś? Żeby zauroczyć? Głowę daję, że ty też nie!

– No pewnie, że nie. Czekał, pomyślmy...

– W tej chwili? Uważasz, że jesteśmy akurat tak doskonale usposobione do myślenia? Proponuję pomyśleć jutro. Możliwe, że pójdę do pracy, o piątej mogę wpaść do ciebie.

– Do babci – skorygowałam. – Przyjdź o czwartej, ja zdążę i pojedziemy do babci, bo inaczej nam nie daruje. Jeszcze musisz chyba oddać samochód do warsztatu...

– Chromolę. Sprzedam rupiecia i kupię toyotę, taką jak twoja. Może jutro nie zdążę, no dobrze, pojedziemy do babci tobą...

* * *

– Coś mi się obijało o uszy, że Marcin Kacperski miał francuską żonę – powiedziała babcia Ludwika trochę niechętnie. – Ale ona umarła jeszcze przed moim urodzeniem i słyszałam o tym jako dziecko. Nie interesowało mnie to, nie zwracałam uwagi i nie pamiętam.

– No i dlaczego babcia jest taka nietypowa? – spytała Krystyna ze smętnym wyrzutem. – Wszystkie normalne osoby w babci wieku uwielbiają wspomnienia przodków i wydarzenia historyczne we własnej rodzinie. A babcia co?

– W dzieciństwie, droga Joasiu, byłam w zupełnie innym wieku. A nie każde dziecko własna rodzina rzuca na pastwę wojny. Do nietypowości mam prawo.

Z reguły babcia zwracała się do nas odwrotnie, Krystynę biorąc za mnie, a mnie za nią. Tym razem, wyjątkowo, nie wprowadzałyśmy poprawek, żeby nie zdenerwować babci niepotrzebnie. Podobno, tak twierdziło średnie pokolenie, uraz babci na tle tego pozostawienia na pastwę wojny, załagł się później, już po wojnie, kiedy dokopał jej ustrój, i rósł stopniowo, przeradzając się w zakamieniałą, śmiertelną obrazę. Padałyśmy teraz, można powiedzieć, ofiarą minionego ustroju.

– Zdjęć babcia nie ma, listów nie ma, dokumentów nie ma – wyliczyłam z westchnieniem. – I do tego jeszcze nie chce babcia pogrzebać w pamięci. Mój Boże! Czujemy się nieszczęśliwe.

– Nie bredź, Krysiu. Spadek po mojej matce dostałyście? Dostałyście. Cieszcie się z tego i nie zwracajcie głowy. Nie czepiam się, ja też żyłam ze spadku po mojej prababce.

– Ale my starannie ratujemy pamiątki przeszłości, a babcia co?

– Pamiątki po prababci Dominice uratował Florek, więc ja już nie musiałam – odparła babcia z uporem.

Ledwo rzuciłyśmy okiem na siebie wzajemnie i już było wiadomo, że nie ma siły, co najmniej jedna z nas powinna jechać do Perzanowa. Pomyślałam, że padnie na mnie, bo Krystyna nie zdecydowała się jeszcze zrezygnować z pracy. Ale może jakiś weekend, jakieś wolne sobie wyrwie, Andrzeja zapchała ziołami, już zaczął badać staroświeckie przepisy i trochę czasu mogła sobie wydłubać. Niby mogłam sama, ale wolałam z nią, uzupełniałyśmy się jakoś wzajemnie...

– Słuchaj, jak myślisz? – spytała niespokojnie, kiedy już wychodziłyśmy od babci. – Dopadniemy tego diamentu czy nie? Moje życie od tego zależy.

– Moje też. Diabli wiedzą, czy on jeszcze w ogóle istnieje. Zastanawiam się, dlaczego tak strasznie milczymy na jego temat, nikomu nie mówimy o nim ani słowa. Co nami kieruje?

– Rozum, ty idiotko. Powiesz słowo jednej osobie i zanim się obejrzysz, rozejdzie się po społeczeństwie. Wszyscy zaczną szukać...

– I trafi na niego pierwszy lepszy kretyn przez czysty przypadek? Może masz rację. To co? Jedziemy?

– No pewnie. Z babci się niczego nie wydoi. Proponuję piątek, spędzimy pracowity weekend.

Zamierzałam spędzić ten weekend z Pawłem, ale pomyślałam, że to może nawet lepiej, że mnie nie będzie. Powitałam go trochę zbyt spontanicznie i teraz powinnam się cofnąć na z góry upatrzone pozycje, konsekwentnie stosując dotychczasową politykę. Nie lecę na niego razem z

jego forszą, nie robię za bluszcz, nie czepiam się chwytymi mackami. Mogę zacząć dopiero, kiedy nasze poziomy odrobinę się wyrównają, a teraz zachowam chwalebny powściągliwość...

– Możemy jechać oddzielnie – dodała jeszcze Krystyna. – Pozbyłam się strupła, jutro odbieram małą toyotę, taką samą jak ta twoja. I, niestety, w takim samym kolorze, bo innych nie było. Umówmy się na miejscu, na szóstą zdążę.

Kiwnęłam głową, nic nie mówiąc, bo nadal myślałam o Pawle. Może jednak puścić w trąbę te moje wszystkie zastrzeżenia, chromolić pieniądze, wyjść za niego, zamieszkać w jego domu... Cholera, głupio, ciągle wydawałoby mi się, że nie mam własnego i nawet setka dzieci nie zmieniłaby mi samopoczucia. Krystyna ma rację, jestem nienormalna...

– Mówię do ciebie!!! – wrzasnęła Krystyna z irytacją. – Czy ogłuchłaś?!

– Tak, teraz właśnie, na prawe ucho. Zamyśliłam się. Co mówiłaś?

– Pytałam, gdzie masz tę całą diamentową dokumentację. Przyszło mi do głowy, że w razie gdybyśmy drania znalazły i chciały sprzedać, trzeba by udowodnić, że nie jest kradziony. Obawiam się, że inaczej, jak na aukcji, nie pójdzie, a trudno to załatwić bezszmerowo. Zabrałaś to przecież...?

– Zabrałam. Jest w bagażniku, w dużej torbie. Zapomniałam wyjąć. Niech leży.

– W jakim sensie zapomniałaś?

– Teraz zapomniałam. Zamierzałam zadołować u babci, tam zawsze ktoś jest w domu, żaden Heaston się nie zakradnie, i właśnie zapomniałam wyjąć z bagażnika. Nie wracam, nie chce mi się.

– To nie. U ciebie na parkingu cię pilnuje...

Podwiozłam ją do Andrzeja i zajęłam się sobą.

Wyjechałam do Perzanowa odrobinę później niż chciałam, ponieważ przyplątała mi się Izunia. Wpadła zniecka, bez telefonu, rzekomo była

tuż obok i skorzystała z okazji, bo może akurat jestem. Niestety, byłam. Za skarby świata nie przyznałabym się jej, że wyjeżdżam na dwa dni, wypytywała mnie o Pawła, miało to brzmieć dyplomatycznie, dyplomacja jej wyszła jak słowicze pienia z surmy bojowej. Musiałabym upaść na głowę, żeby otworzyć jej wolną drogę do niego, przeciwnie, dałam zółcie do zrozumienia, że jestem z nim umówiona i musiałam odczekać, aż sobie pójdzie.

Jeszcze przed Łowiczem złapały mnie gliny. No owszem, przekraczałam szybkość, śpieszyłam się, ale zdołałam wyhamować tuż przy nich. Otworzyłam okno, podszedł sierżant, młody, przystojny i sympatyczny, otworzył usta, spojrzał na mnie i tak został z tymi otwartymi ustami, znieruchomiały i bez słowa.

– No? – powiedziała niecierpliwie. – Pewnie pan chce dokumenty?

Sięgnęłam po torebkę. Sierżant zamknął usta, cofnął się o krok, obejrzał samochód i znów popatrzył na mnie. Odblokowało go.

– Dziesięć minut temu przejeżdżała pani w tę samą stronę i z taką samą szybkością. Sto czterdzieści dwa. Jak pani to zrobiła, żeby wrócić na szosę? Którędy?!

Zrozumiałam, że przed chwilą złapali Krystynę. Mogłam się powyglupiać, twierdząc, że przejechałam wsiowymi drogami specjalnie dla nich, bo mi się bardzo spodobali, ale nie miałam czasu.

– Nic się panu w oczach nie dwoi – zapewniłam go. – To nie byłam ja, tylko moja siostra. Ona już chyba panom wystarczy i ja jestem niepotrzebna?

Pytanie było tak idiotyczne, że ogłuszyło go na nowo.

– Nie – odparł jakoś słabo. – Rzeczywiście. Jedna to dosyć...

Ucieszyłam się ogromnie.

– Dziękuję bardzo – powiedziała życzliwie i natychmiast odjechałam.

W lusterku widziałam, że stoją wszyscy razem, we trzech, i patrzą za mną, nie zwracając żadnej uwagi na przejeżdżające samochody. Pomyślałam, że nasze podobieństwo znów okazało się korzystne, i zaciekawilo mnie, co też Krystyna ma na sobie.

Prawie ją dogoniłam, kiedy zwalniałam przed bramą Jędrusiowej posiadłości, wyciągała właśnie torbę z samochodu. Oczywiście, ubrane byłyśmy jednakowo, nasze beżowe zakieciki nieco się od siebie różniły, ale na pierwszy rzut oka nie dawało się tego dostrzec, a w dodatku obie miałyśmy na szyi zielone apaszki. Nie zdziwiłam się, jeśli nie uzgodniłyśmy wcześniej przez telefon wprowadzenia wyraźnych różnic, z reguły ubierałyśmy się w identyczne ciuchy. Możliwe, że działała na nas jakaś tajemnicza siła wyższa, ale zasadnicze wytłumaczenie było proste, najzwyczajniej na świecie obu nam było w tym samym do twarzy i lubiłyśmy te same kolory.

Pierwszą osobą, która wyszła z domu na nasz widok, była córka Jędrusia, Marta.

– O, jak to dobrze, że jesteś! – ucieszyła się Krystyna. – Myślałam, że trzeba będzie szukać cię po całej okolicy!

– Cześć, miło was widzieć – odparła Marta. – O rany, znów wyglądacie jednakowo! Która jest która?

– Ja jestem Kryśka. Z ust mi się rwie pierwsze pytanie: Czy ty ciągle pracujesz w przyleskim pałacu?

– Już prawie nie, bo co?

– Bo mamy tam interes... O, Jędrus! Dzień dobry!

Cała rodzina wyszła nas witać, bo wciąż, nie wiadomo dlaczego, byłyśmy w Perzanowie uwielbiane i fetowane, a już wizyta babci Ludwiki stanowiła coś jakby przybycie królowej Jadwigi, albo nawet Matki Boskiej. No owszem, od dzieciństwa słyszałyśmy gadanie, jak to prababcia

Klementyna ratowała życie Kacperskiego w powstaniu styczniowym i w ogóle Kacperscy istnieją wyłącznie dzięki niej, opowieści na ten temat przekazywane były z pokolenia na pokolenie, jak to Florek na łożu śmierci kazał potomkom przysięgać wieczną miłość do nas, jak to z nędzy wyszli tylko dzięki Przyleskim, jak to przyjaźń niezłomna kwitła i owocowała, starałyśmy się z całej siły być jako tako sympatyczne, ale i tak cześć i nabożny szacunek do naszej rodziny wydawały nam się nieco przesadne. Na szczęście, przez całe lata spędzając w Perzanowie wakacje i rozmaite inne wolne dni, zdołałyśmy do tego przywyknąć.

Na Jędrusiu jego sześćdziesięciu dwóch lat wcale nie było widać. Trzymał się lepiej niż stary Boryna przed ślubem z Jagusią, wysoki, postawny, silny chłop, samo zdrowie i życie, i podobnie prezentowała się Elżusia, jego żona, młodsza o trzy lata. Z ich dziećmi, Jurkiem, Heniem i Martą, bawiliśmy się we wszystko, co było możliwe, konkurując w jeździe konnej, pływaniu, skokach z belki do sąsiedka w stodole, dojeniu krów, łażeniu po drzewach i wszelkich innych rozrywkach. Jurek obecnie gospodarował razem z ojcem i lada chwila miał się ożenić, Marta, druga w kolejności, małżonka mechanika samochodowego, który dorobił się stacji benzynowej w najbliższej okolicy, pracowała w bibliotece przyleskiego pałacu, najmłodszy zaś, Henio, świeżo skończył staż po akademii medycznej i zaczął praktykować w rodzinnej wsi. Wszyscy akurat byli w domu i wszyscy wylecieli ku nam z objawami kultu. Aktualnie najbardziej interesowała nas Marta.

– To co z tą twoją pracą? – spytałam przy kolacji, bo oczywiście kolacja musiała być, i to możliwie wystawna.

Przyrządzenie na poczekaniu wytwornego posiłku Elżusi przychodziło bez trudu, z dawniejszych czasów bowiem pozostał jej wysoce użyteczny nawyk. Miniony ustrój silnie odznaczał się brakami w handlu, wszystko

zatem miała swoje. Zawekowany schab, znakomite kiełbasy, duszone grzybki, rozmaite mięsa, jarzyny, owoce i ryby, osobiście przez nią utrwalone w konserwie, w każdej chwili mogła podać na stół, a w dodatku było to fenomenalnie dobre. Odchudzanie się w Perzanowie nie wchodziło w rachubę i nie do pojęcia było, że nikt z nich nie utył.

– Przechodzę na własne – odparła Marta. – Nie wiem, czy wiecie, że Przylesie kupił jeden taki, bo pani Ludwika zrzekła się wszelkich praw spadkowych. Więc gmina mu sprzedała, a bibliotekę kupiłam ja, tanio i na raty, i otwieram prywatną wypożyczalnię i czytelnię. Ostatnio już tam tylko ta biblioteka została, no i kawiarnia, skład pierza wyrzucili, a co zrobi nowy właściciel, to już nie wiem.

Informacja o nowym właścicielu wstrząsnęła nami potężnie.

– Kupił? Już całkiem kupił i zapłacił? – spytałam gwałtownie i chciwie.
– Kto taki? Wiesz?

– Mniej więcej, bo było gadanie. Jakiś Amerykanin polskiego pochodzenia, ale nazwiska nie pamiętam.

– Heaston, niech się skicham na śmierć! – krzyknęła ze zgrozą Krystyna.

– Może i Heaston, nie wiem. A co...?

– Heaston jest złodziej i nie ma żadnych praw – oświadczyłam z wielką energią, zła jak diabli i pełna oburzenia, że dotarł aż tutaj. – Przypadkiem czy nie przypadkiem, ale jednak wykosił nam kuzyna, sam się przyznał, że szturchnął rzeźbę. Nie on, rzecz jasna, jego przodek, bo działo się to blisko sto lat temu, a ten zbuk niedojony jest niewiele starszy od nas. Ale nie zgadzam się, żeby w ostatecznym efekcie nagrodą za niezręczność miał być nasz rodzinny skarb!

– Jaki skarb? – spytał podejrzliwie Jędrus.

– W przyleskim pałacu leży jakiś skarb? – zdumiał się Henio równocześnie.

– Nic nie rozumiem – powiedziała Elżusia z naganą.

Zanim ochłonęłam, wątek podjęła Krystyna.

– Wszystko wam opowiemy, długa historia i skomplikowana. Ale najpierw chciałabym wiedzieć, co się dzieje na strychu. Czy ten dupek żołądny już tam wlaź? Bo nam chyba strych potrzebny...

– Oraz, być może, biblioteka – podsunęłam kąśliwie, wciąż jeszcze nieco wzburzona.

Krystyna aż podskoczyła.

– Gdyby nie ten piorun, co rąbnął Balladybę, zabiłabym cię z przyjemnością! – wrzasnęła gniewnie.

– W jaki sposób? – zaciekawiał się Henio. – Chętnie zyskam doświadczenie w drobnym fragmencie medycyny sądowej. Przyda mi się, tu robię za omnibusa.

– Najcenniejsza specjalność – mruknęłam, odzyskując stopniowo panowanie nad emocjami.

– Dlaczego Krysia chce zabić Joasię? – zdziwiła się Elżusia, która na samym początku naszej wizyty przypięła Krystynie do włosów kawałek kwiatka, nie dla ozdoby, tylko po to, żeby móc nas rozróżnić. Zawsze miała dużo zdrowego rozsądku.

Westchnęłam, opanowałam się ostatecznie i złożyłam wyjaśnienie.

– Dostałyśmy spadek po prababci Karolinie, to już chyba wiecie...

– Wiemy. Pani Ludwika w liście pisała.

– No i ten spadek zawierał warunek. Mogłyśmy go dostać dopiero po uporządkowaniu biblioteki w Noirmont. Zrobiłyśmy to, dwa miesiące trwało. Zdaje się, że na bardzo długo mamy po dziurki w nosie bibliotek, a i tak jeszcze cud boski, że znamy języki obce, bo ona była urozmaicona pod tym względem.

– I tragarza, miałyśmy do dyspozycji tylko przez dwa dni – dołożyła Krystyna z rozgoryczeniem. – W dodatku podejrzanego. Uchetałam się jak koń za pługiem...

– Traktorem orzemy – zwrócił jej uwagę Jurek.

– Po tej bibliotece moglibyście mną...

– No owszem, książki są ciężkie – przyznała równocześnie Marta z wielkim współczuciem. – A tam pewnie były jeszcze stare kobyły, w skórę oprawne...

– I daję ci słowo, dwie sztuki w srebro, kamieniami półszlachetnymi sadzone – powiadomiłam ją zgryźliwie. – O drewnie nawet nie wspominam.

– Drewna i srebra tu nie ma. Jeśli chcecie grzebać, to zawsze będzie łatwiej...

– Nie chcemy! – wrzasnęła buntowniczo Krystyna.

– Ale możliwe, że musimy – uzupełniłam z niechęcią.

– Dlaczego tragarz był podejrzanym? – zainteresował się Jurek. – W jakim sensie? Przywozicie jakieś sensacje, puśćcie farbę porządniej.

Nie było siły, należało od razu opowiedzieć więcej. Mocno streszczając i wciąż określając diament mianem rodzinnego klejnotu, opisałyśmy wydarzenia historyczne. Wyeksponowałyśmy z naciskiem zioła prababci, bo może w Przylesiu też się płacze jakaś wiedza o przyrodzie leczniczej...

– No więc same rozumiecie, że ja te wszystkie książki znam – powiedziała Marta w zamyśleniu. – Każdą sztukę miałam w ręku, dodatkowych świstków tam nie ma. Ale za notatki na marginesach gwarantować nie mogę.

– Nie, marginesom damy spokój – zdecydowałam pośpiesznie. – Wolimy listy. Co się tam dzieje na strychu, bo reszta budynku była silnie użytkowana?

– Na strychu? Nic. Dawno tam nikt... A, nie, co ja mówię! Ostatnio, ile... miesiąc temu. Włamanie było, ktoś wlaźł od strony ogrodu, ale nic nie ukradł z pałacu, tylko właśnie polazł na strych, ślady zostawił. Po tym strychu się plątał, wiece, pajęczyny, kurz... I tak wyglądało, jakby parę razy wlaźił, ale w pierwszej chwili nikt nie zwrócił uwagi. Też chyba nic nie wyniósł, bo graty jak były, tak zostały, nawet nie zawiadomiliśmy policji, bo co on tam mógł znaleźć... No, teraz widzę, że może coś mógł rzeczywiście...

– Na tym strychu, tak prawdę mówiąc nie wiadomo, co może być – oznajmił niepewnie Jędrus.

– Porządku tam się nie robiło od stu lat co najmniej. Ale znów z drugiej strony, sam pamiętam, że zaraz po wojnie, jak to mieli upaństwowić, wujek wygarnął rozmaite pamiątki i do nas przeniósł. Nie wszystko, brał jak leci, no, obrazy mu się udało i srebra, to do pani Ludwiki później poszło. I chyba tam jest?

– Jest – uspokoiła go Krystyna. – Pradziadkowie i prababcie na ścianach wiszą, a sama ostatnio żarłam solone migdałki ze srebrnego naczynia.

– No, to właśnie. Ale czy co ważnego nie zostało, tego nikt nie wie.

– A on to chce przerabiać – dodała Marta niespokojnie. – Remontować znaczy i od dachu zacznie. Ja się śpieszę z biblioteką, jedna trzecia jeszcze mi została...

– Zaraz – powiedziała Krystyna z nagłym przypiływem bystrości. – Mnie tu coś dziwi. Kiedy ten jakiś to kupił?

– Już ze trzy miesiące temu zaczął załatwiać. I kupił jakoś od razu, bo nie było przeszkód.

– A włamanie miesiąc... Nic nie rozumiem. Po cholere Heaston miałyby się włamywać i szukać nielegalnie, jeżeli już to miał? Może przecież teraz oglądać deskę po desce i sęk po sęku, spokojnie i bez pośpiechu? Skoro

kupił, już to ma. Nie rozumiem, dlaczego nie wynajął sobie jakiegoś strażnika...

– Kto tak powiedział? – przerwała Marta. – Wynajął, jeden taki tam już mieszka. I pilnuje, bo inaczej możliwe, że całość by rozkradli, chociaż teraz materiały budowlane już można kupić. Tyle, że w ludziach jeszcze zostało, ukraść albo skombinować, bo inaczej się nie da. Naród nie idzie z postępem.

– Idzie, ale nie całkiem – skorygował Jurek.

– Nie mówmy o polityce – poprosiłam. – Zgadzam się z Kryską, też tego włamanie nie rozumiem. Myślisz, że włamywacz nadal tam grzebie?

– A kto go wie, może i grzebie. Strychu nikt nie pilnuje, ja sama też zlekceważyłam. Jeśli chcecie tam czegoś szukać, musicie się pośpieszyć, bo ja owszem, mam klucze, ale tylko do przeniesienia reszty książek i potem do widzenia. Wchodzą z remontem. No i wygląda na to, że macie konkurencję.

– Czy to aby na pewno kupił Heaston? – powiedziałam w zamyśleniu.

Objawiła się sytuacja podobna jak w Noirmont. Ktoś czegoś szukał, Heaston pchał się na myśl zgoła nachalnie. Tam było lepiej, zamek należał do nas, tu siedziba przodków wyrwała nam się z ręki. Rzuciły się na mnie skojarzenia, Heaston, jego pradziadek, żółty sepecik, głupie plotki od francuskiego pijaka, złota papierośnica, cha cha, widziałam ją, jak ona złota, to ja z marmuru. Pugilares z mnóstwem pieniędzy, żadnego pugilaresu nie było, a pieniędzy ani grosza, tak rośnie legenda... Może ten cholerny diament urósł podobnie...

Krystyna konferowała z Martą, namawiając ją do zbadania sprawy, kto w końcu kupił Przylesie, jak się ten parszywiec nazywa, jak wygląda, może ktoś go widział. Przejęta klejnotem rodzinnym Marta obiecywała wszelką pomoc, znała wszystkich w gminie, z połową pracowników chodziła do

szkoły. Mogła się dowiedzieć nawet jutro, nie musiała służbowo, mogła iść do nich z wizytą prywatnie do domu...

Przestałam słuchać ich gadania, w jakiś tajemniczy sposób majaczył mi przed oczami Heaston razem z sakwojażykiem, tworzyli jedną całość. Prawie widziałam, jak w Calais leci przerażony, płosząc konie we fiakrze pokojówki, macha rękami, sakwojażyka nie ma... I równocześnie jawił mi się z tym idiotycznym sepecikiem, przewieszonym przez ramię... Wyszła mi z tego zapłakana Antoinette...

– Zaraz – przerwałam wszystkim, nie bacząc, co kto mówi. – Czekaście, bo ja strasznie myślę.

– Żeby ci nie zaszkodziło – mruknęła Krystyna.

– Już szkodzi. Chcę rozwikłać problem historyczny. Coś mętnie babcia mówiła o francuskiej żonie w rodzinie Kacperskich i z listów też taka wychodzi. Czy Jędrus może przypadkiem pamięta?

Jędrus przerwał mi od razu.

– Osobiście pamiętać, to w żadnym razie. Była taka, owszem, ale umarła przed wojną, albo może na samym początku wojny. Ale później o niej słyszałem, wuj Marcin... Tak prawdę mówiąc, to ani Marcin, ani Florek, jaki tam wuj, wyliczyłem sobie to już dawno, że wujeczny dziadek. No, Marcin w każdym razie, jako małe dziecko musiałem go widywać, ale w pamięci mi nie został. Od wuja Florka słyszałem, że żonę sobie przywiózł z Francji i komplikacje jakieś tam były, czysta kołomyja, wuj Florian często wspominał, jaśnie panienska Justyna, ta co ją z topieli ratował, bo to ją chyba? Coś z tą żoną miała wspólnego, ale nie wiem co. Jak to głupi chłopak, mało słuchałem. Ale wiem, że coś było. Ale...! Jej portret przecież tu wisi! I Joasia, i Krysia patrzyły na to ze sto razy.

Poderwało nas od stołu. Możliwe, że patrzyłyśmy nie wiedząc, teraz mogłyśmy spojrzeć na tajemniczą Antoinette nowym okiem.

Wisiąca w ciemnym miejscu, w samym kącie paradnej komnaty, uważanej zapewne niegdyś za coś w rodzaju salonu. Jurek skoczył po nocną lampkę, z której zdjął klosz, Henio wyciągnął reflektorek. Obejrzałyśmy damę dokładnie.

Ładna była. Może nawet więcej niż ładna, miała wdzięk. Urocza twarz, piękne oczy i jakaś bystrość w tym wszystkim, jakiś łasicowaty spryt, kto ją malował, diabli wiedzą, ale chyba wywłócił charakter. Musiała wiedzieć, czego chce, a namiętności szalały w niej duże. Na gorsie miała ozdobę nietypową, jak na owe czasy, mianowicie naszyjnik z egzotycznych muszelek, malarz odrobił je rzetelnie i z wielką precyzją. Podejrzliwie przyjrzałyśmy się dekoracji przez lupę, a potem spojrzaliśmy na siebie.

– Interesujące – mruknęła Krystyna.

No owszem, może coś w tym było. W sepeciku po narzeczonym też znajdowały się muszelki, muszelki, szczególnie egzotyczne, przeważnie pochodzą z mórz, panienska mieszkała w Calais, nad morzem, kochała je? Pochodziły od ulubionych marynarzy? Do pozowania zawiesiła sobie na szyi pamiątkę z sentymentów czy też o czymś powinno to świadczyć...? Prawdziwą biżuterię musiała posiadać, Marcin Kacperski ubogi nie był...

Ciekawa rzecz, swoją drogą, muszelki na szyi i muszelki w sakwojażyku...

Sakwojażyk zresztą, wyjeżdżając w pośpiechu i zajęte perypetiami uczuciowymi, zostawiłyśmy w Noirmont. Zważywszy, iż nie wiadomo było, której z nas przypisać to głupie zaniedbanie, nie mówiłyśmy do siebie o tym ani słowa, alternatywę bowiem stanowiło wzajemne wydrapanie sobie oczu. Wygodniej nam było chwilowo żyć w zgodzie.

Konferencja u Kacperskich zakończyła się konkluzją, że strychu w Przylesiu należy dopaść w dzikim tempie i raczej bez rozgłosu...

* * *

Był to strych wstrząsający.

Nie zawierał w sobie niczego porządnego, wszystko, cokolwiek się tam znajdowało, stanowiło kawałki i strzępy i nie nadawało się do żadnego użytku, za to robiło takie wrażenie, jakby od początku istnienia pałacu pojęcie śmietnika było jego mieszkańcom obce. W dodatku późniejsi użytkownicy wyraźnie ich pod tym względem naśladowali, donosząc uzupełnienie, i razem wzięwszy, rupieciarnia przerastała wszelkie wyobrażenia.

Włamywacz pozostawił po sobie wyraźne ślady. Poprzestawiane szczątki gratów, mnóstwo pajaków, pracowicie remontujących poszarpane pajęczyny, i zmniejszona gdzieś ilość kurzu świadczyły o ludzkiej ręce. Nic, zdaje się, tej ludzkiej ręce z poszukiwań nie przyszło.

Mniej więcej po dwóch godzinach zupełnie idiotycznych wysiłków zdałyśmy sobie sprawę, że właściwie nie bardzo wiadomo, czego tu szukamy.

– Coś mi się widzi, że musiałyśmy zgłupieć do reszty – powiedziała Krystyna z irytacją. – Zastanówmy się może, o co nam chodzi? Potrafisz to powiedzieć?

– Potrafię – zapewniłam ją kłamliwie i usiadłam na czymś, co natychmiast rozjechało się pode mną. – Cholera, nie ma tu jakiejś całości...?

– Nie ma. Pozbądź się złudzeń.

– Owszem, jest – zaprzeczyłam energicznie, wypatrzywszy nagle kawałki zdemolowanej kanapy, z której wyłaziły sprężyny i włosie. – Proszę, wystarczy nawet na dwie osoby, tylko sprawdź, czy nie przygnieciesz małych, przestraszonych myszek.

– Chromolę myszki – mruknęła moja siostra, ale jednak sprawdziła, bo obie lubiliśmy zwierzątka. – Nie mąć i gadaj.

– Otóż tego – zaczęłam powoli i uroczyście, z nadzieją, że coś mi przyjdzie do głowy. – Poszłyśmy śladami primo Antosi, a secundo przodków. Na dobrą sprawę, cokolwiek wiemy, wszystko pochodzi z listów, mamy nadzieję...

– Mów za siebie – przerwała mi cierpko.

– Proszę cię bardzo. Mam nadzieję, że tych listów będzie więcej. Ponadto Heaston również posiada jakąś wiedzę i też tu grzebie, zapewne nie bez powodu. A może w ogóle gdzieś w tych śmieciach leży cholerny diament?

– Przypuszczenie koszarne, a do tego musiałś zgłupieć.

– Dlaczego? Między nami mówiąc, zaczęłyśmy już zakładać, że miała go Antosia, po narzeczonym. Może przywiozła? Może oddała, zaraz, kto wtedy... A, Klementyna! Bała się jej, powiedzmy. Przyjechała tu po śmierci prababci Klementyny, oddała prababci Dominice, prababcia Dominika podobno była łagodna, rozlazła i niedbała. Może miała zamiar...

W tym momencie zgasło światło. Kacperscy uprzedzali nas, że niekiedy elektrownia wyłącza prąd na parę minut albo i dłużej, z upodobaniem czyniąc to wtedy, kiedy jest ciemno. Była pierwsza w nocy, teoretycznie pora ulgowa, większość ludzi powinna spać.

– Mamy świece? – spytała Krystyna po bardzo długiej chwili.

Wzruszyłam ramionami, czego w ciemnościach, oczywiście, nie było widać.

– Nawet jeśli, nie wiem gdzie. Upłynęła następna długa chwila.

– Ja się stąd nie ruszam – odezwała się znów moja siostra. – Nawet gdybym miała spać na tych myszach do rana. Przy świetle można nogi połamać, a co mówić, po ciemku.

– Mamy zapalniczki – zauważyłam bez przekonania. – Przejść do drzwi chyba się uda, a schody można wymacać. Szukanie natomiast stanowczo odpada.

– I tak to całe szukanie możemy sobie o kant tyłka potłuc. Heaston też, taki sam idiota jak i ty. Jeśli w grę wchodzi Antosia... Bywała tu ona w ogóle?

– Miliony razy. No, może ze sto. Stosunki wzajemne uprawiano, ale powiem ci, że ważniejszy wydaje mi się Heaston. Ty pomyśl, jego wiedza naprawdę może przewyższać naszą, na tym ostatnim etapie, założmy, że korespondowali ze sobą, ona mu coś napisała, nam to jest niedostępne, a Heaston dopadł?

– Żebyś pękła! – pożyczyła mi moja siostra z rozdrażnieniem. – Już wymyśliłam, że tam trzeba szukać, gdzie ona mieszkała, a teraz mnie zbiłaś z pantałyku i noga mi się majta pod końskim brzuchem...

Obie doskonale wiedziałyśmy, co to jest pantałyk, miałyśmy z nim do czynienia tysiące razy i koński brzuch wcale mnie nie zdziwił.

– Noga może – skrytykowałam. – Myślisz chyba raczej górą?

– Odczep się. Nic nie widzę. Denerwuje mnie to wszystko.

W ciemnościach wyczułam, że otarła sobie pot z czoła. Chwilę przedtem otarłam sobie pot identycznym gestem, mając w pamięci ilość kurzu, mogłam sobie teraz wyobrazić, jak wyglądamy. Rzecz jasna znów jednakowo, bo Marta z litości pożyczyła nam do tych poszukiwań swoje dwa fartuchy robocze, jeden stary, a drugi nowy, po którym nowości po kwadransie nie było już widać. Do tego doszły nam smugi na twarzy...

Znów milczaliśmy długą chwilę, macając po kieszeniach i szukając zapalniczek.

– Niech to piorun strzeli, wychodzimy – zdecydowałam, bo też mnie nagle to wszystko zgniewało. – Mogą utrzymać to zaciemnienie dłużej, z

uwagi na noc i bez względu na inkubatory i lodówki, włączą dopiero na dojenie krów. Czasem trzeba się przespać.

Zapalniczki znalazłyśmy równocześnie. Podniosłyśmy się z kanapy. Przez ten moment ciszy, kiedy obie sprawdzałyśmy w mroku, gdzie by tu postawić nogę, dobiegł nas jakiś cichy dźwięk z zewnątrz. Zamarłyśmy w bezruchu, a dwa płomyki zgasły.

– Heaston – zachichotała mi nagle Kryśka prosto w ucho.

– Ucieszy się – tchnęłam ku niej wzajemnie.

Czekałyśmy w milczeniu i w absolutnej czerni, bardzo zaciekawione, kogo też zobaczymy, znajomego czy nie. W szparach drzwi pojawiło się słabe światło, ktoś tam lazał, zapewne ze świecą w dłoni. Zaskrzybiało i drzwi powolutku zaczęły się uchylać.

– Atak jest najlepszą formą obrony – zachichotała znów Krystyna najcichszym szeptem. – Razem, chcesz? No...!

W otwartych już drzwiach ktoś stał, w uniesionej ręce rzeczywiście trzymał świeczkę. Równocześnie pstryknęły nasze zapalniczki i razem uczyniłyśmy krok do przodu, bo to miejsce na nogę udało nam się wypatrzyć. Postać w progu jakby się zachłysnęła, na moment zamarła, po czym upuściła świecę i runęła w dół.

Rzuciłam się ku drzwiom przez całe pomieszczenie.

– Skurczybyk, dom podpali...!

Materiałów łatwopalnych leżało tam zatrzęsienie, ale wszystkie były dostatecznie przykurzone, żeby ogień nie miał się ich tak od razu. Udało mi się nabić sobie tylko jednego siniaka, chwyciłam z podłogi bezcenną świecę, która wcale nie zgasła i przydeptałam początki pożaru. Krystyna obok przydeptała resztę. Towarzyszył nam akompaniament, tajemnicza postać z ciężkim rumorem zleciała ze schodów.

– Dobrze mu tak – powiedziałam mściwie.

Krystyna postanowiła nagle zdobyć się na wspaniałomyślność.

– Ale zostawił nam świecę. Miły złodziej. Nie widziałaś, był to Heaston czy nie?

– Mam wrażenie, że nie. Coś mniejszego.

– Idziemy go ratować czy niech go tam szlag trafi?

– Chyba uszedł z życiem i już go nie ma – zaopiniowałam, nad słuchując odgłosów z dołu. – Dosyć mam na dzisiaj, wracam do Kacperskich i idę spać, a ty rób, jak uważasz...

* * *

– Kretynka jesteś bezdenna i dosyć mam twoich idiotycznych wniosków – powiedziała nazajutrz rano z wielką energią Krystyna, wchodząc do mojego pokoju. – Oraz tej roboty głupiego. Nie był to Heaston, tak?

Na szczęście nie wyrwała mnie ze snu, byłam już mniej więcej przytomna.

– Nie był. Bo co?

– Bo otóż intryguje mnie jedna myśl. Jeśli nie on we własnej osobie, to kto? Komu zaufał do tego stopnia, że powiedział mu o największym diamencie świata i jeszcze pozwolił go znaleźć? Syna ma? Nie, za młody. Krewnego w Polsce? W jakiej Polsce, to był jubiler francuski!

Gapiałam się na nią, z trudem zbierając myśli.

– Może ożenił się w Ameryce z polskim pochodzeniem i miał tu rodzinę – powiedziałam niepewnie.

– Bzdura. Może powiedziałby rodzonemu bratu, ale nikomu więcej. Diament ukrył, głowę daję. Czego zatem kazał mu szukać?

Odpowiedź na to pytanie przyszła mi do głowy dokładnie w momencie, kiedy ona nie strzymała i wyjawiała swój pogląd.

– Sakwojażyka, idiotko! – rzekła z triumfem. – Natchnienie na mnie spłynęło i głowę daję! Pradziadek mu to wmówił, w Noirmont nie znalazł, bo nie interesowały go kapelusze, przyjechał szukać tutaj i być może z nadzieją, że to ścierwo ciągle tam tkwi! Wierzył w uczucia Antosi!

– Taki kretyn? – spytałam z powątpiewaniem.

– Moja droga, obie dobrze wiemy, że głupota mężczyzny nie ma granic!

– Zastanowiła się przez chwilę i dodała: – Głupota kobiety też...

Opuściła mój pokój równie nagle, jak się do niego wdarła, pozostawiając mi szerokie pole do myślenia.

Pół dnia minęło, kiedy życie udowodniło inteligencję mojej siostry.

W czasie obiadu uzyskałyśmy sensacyjną informację. Po okolicy rozeszła się nagle wieść, że w dawnym pałacu Przyleskich ostatnio zaczęło straszyć.

Wiedzę w tej kwestii zdobyli, wspólnym wysiłkiem, Jędrus, Henio i Marta. Jeden taki, Antoś Bartczaków, życiowy chłopiec, popadł nagle w duży stres i zanim zdążył się opanować, parę słów mu się wyrwało. Na własne oczy w przyleskim pałacu zobaczył ducha, jakby podwójnego. Gdyby zjawa była pojedyncza, uznałby w niej zwykłą i żywą jednostkę ludzką, ale nie ma siły, była podwójna, a trzeźwy tam poszedł, jak świnia. I ruszała się, jakoś okropnie, prosto ku niemu.

Zważywszy, iż Antoś Bartczaków metafizycznych skłonności w życiu nie przejawiał i prezentował raczej głęboką niewiarę w zjawiska nadprzyrodzone, wszyscy mu uwierzyli. W stresie trwał krótko, zaledwie jakieś dwie godziny, przeszło mu po półlitrze, ale przez te dwie godziny dość dużo zdążył powiedzieć. Henio, jako przyjmujący pacjentów lekarz, uzyskał tej wiedzy najwięcej, pracował bowiem, w razie potrzeby, nawet w weekendy i dni świąteczne. Marta dowiedziała się od męża, któremu nie poskąpił zwierzeń kumpel Antosia, biorący mieszankę do motoru, a Jędrus,

cieszący się w okolicy ogromnym poważaniem, przycisnął ofiarę ducha na końcu. Wrażenie ów duch uczynił na Antosiu tak potężne, że wyznał całą prawdę.

Owszem, zgadzało się, był tu niedawno jeden taki, żaden obcy, nasz, który polecił mu poszukać w przyleskim pałacu na strychu jakiejś pamiątkowej głupoty. Zapłacił nieźle, a obiecał zapłacić znacznie więcej, jeśli to barachło dostanie. Barachło miało przedstawiać taką niedużą torbę, trochę jakby pederastkę współczesną, ale bardzo starą i niegdyś żółtą. Żółtość to ona dawno straciła, ale powinna być z prawdziwej skóry. Zakazał zaglądać do środka i uczciwie powiedział dlaczego. Otóż w owej starożytnej pederastce powinna się znajdować niezmiernie straszna, średniowieczna trucizna i samo otwarcie mogło człowieka wykosić, jeśli nie na miejscu, to góra po dwóch tygodniach. Chce robić za samobójcę, niech otwiera, nikt go za rękę chwycił nie będzie, ale otwarcie będzie znaczne i nie tylko zdechnie, ale żadnych pieniędzy nie dostanie, bo substancja w dużym stopniu uleci. O substancję zaś zleceniodawcy chodzi.

Trucizny, zabytkowe i moderne, to Antoś miał w odwłoku, ale połaszczył się na zapłatę. Otwierać nie zamierzał, na wszelki wypadek nawet kupił rękawiczki, parę razy tam poszedł, przedmiotu nie znalazł i z całą pewnością więcej nie pójdzie. Dużo zniesie, ale podwójny duch to dla niego za wiele, a duch z trucizną doskonale się kojarzy.

– No i proszę, sakwojażyk! – wykrzyknęła Krystyna z triumfem. – Widzisz, jaka jestem mądra? Przynajmniej tym się różnimy!

– Po cholere go tak szuka? – zastanowiłam się. – Te czerwone strzępki miały do niego przemówić?

– Wydajesz mi się coraz głupsza. Nie strzępki, tylko znalezisko podstawowe. Albo myśli, że on tam jest, albo liczy na jakąś notatkę Antosi, taką dla pamięci, trzy kroki ku północy, siódmą cegłę od dołu poruszyć...

– Siódmą cegłą możesz się wypchać, ale co do Antosi, przekonałaś mnie. Tu należy szukać, gdzie Antosia mieszkała. Strych w Przylesiu wskazuje, że nic sensownego tam nie może leżeć, Florek pamiątki wygarnął rzetelnie. Jeśli coś przeoczył, dawno zostało ukradzione. Antosia zaś tu mieszkała i tu umarła, i ciekawi mnie, czy Heaston wie o tym.

– Heaston może nie mieć bladego pojęcia o Kacperskich – zawyrokowała po namyśle Krystyna. – Do Przyleskich doszedł, ale nic dalej. Z czego wynika, że jednak eksnarzeczony z Antosią nie korespondował, a o tym sepeciku musiał się nasłuchać do upojenia bezpośrednio od dziadka. Niepotrzebnie robiłyśmy za widma, bierzemy się na nasz strych!

Postanowienie spotkało się z pełnym zrozumieniem i wręcz tkliwością całej rodziny Kacperskich. Mogłyśmy grzebać, gdzie nam się żywnie podobało, i robić, co chcemy, pod warunkiem, że będziemy spożywały posiłki. Naszego głodu Elżusia by nie zniosła.

Strych w Perzanowie składał się z dwóch części, mniejszej i większej. Interesowała nas większa. Okazała się zamknięta na klucz, Jędrus klucz odnalazł i uroczyście otworzył nam drzwi.

Marta z ciekawości poszła na górę razem z nami i zatrzymała się w progu.

– O rany boskie – powiedziała z zakłopotaniem. – Jak wy sobie dacie z tym radę? Przecież tu leży stuletni kurz, zamknięte było, żywa dusza tu nie wlaźła od wieków! Zaraz, kiedy ten dom był budowany...?

– W tysiąc dziewięćset ósmym roku – odparłam. – W listopadzie wiechę usadzili, a na gwiazdkę dostali z Francji w prezencie trzy zegary i tremo.

– Skąd wiesz?

– Oglądałam rachunki praprababci. Jeśli już je prowadziła, to porządnie, a nie byle jak. Z detalami było napisane: „Zegary, sztuk trzy. Jeden stojący,

szafkowy, rzeźbiony, z drewna ciemnego, drugi kominkowy, ozdobny, Boullé'a, dekorowany masą perłową, trzeci wiszący, na ścianę, najnowszej mody. Wysłane do Perzanowa w upominku gwiazdkowym, do nowego domu Kacperskich". Tremo zostało opisane podobnie, a na wiechowe przyjęcie pojechała beczułka ostryg. Nie wiem, co Kacperscy z nimi zrobili, może zjedli. Nic w każdym razie nie wiem, żeby się później ktoś rozchorował.

– Fantastyczne! Zaczynam cię rozumieć, historia na żywo. No więc dobrze trafiłam, kurz jest prawie stuletni. Aż wam zazdroszczę tego grzebania, ale muszę wracać do roboty. Skoro Przylesie wam nie pasuje, pośpieszę się z biblioteką i oddam im klucze.

– Od czego zaczynamy? – spytała Krystyna, z dużym niesmakiem patrząc na ogromną szarą przestrzeń, wyglądającą jak gruzowisko. Nie można było nawet rozpoznać, co tam leży i stoi, aczkolwiek jeden mebel od razu wydał mi się łóżkiem. Czy może pozostałością łóżka.

Jednakże nawet pod tym grubym kożuchem kurzu widać było, iż zawartość pomieszczenia różni się mocno od strychu w Przylesiu. Nie był to śmietnik, tylko lamus, niektóre meble stały nawet na wszystkich czterech nogach, a niektóre posiadały taki luksus jak drzwiczki. Stanowczo strych perzanowski stwarzał większe nadzieje.

– Trzeba tu było przyjść od razu – powiedziałam smętnie. – Zmarnowałyśmy wielki kawał piątku i prawie pół soboty...

Przyodziane w fartuchy Marty i jakieś stępy na nogach, zaczęłyśmy penetrację od spaceru przez cały lokal. Przechadzka okazała się wysoce uciążliwa.

– Niech to piorun strzeli! – prychnęła gniewnie Krystyna. – Słuchaj, czy nie lepiej byłoby zaangażować się po prostu do pracy w kopalni diamentów? Podejrzewam, że tu się narobimy więcej.

– Ja jestem tego nawet całkiem pewna. Ale w kopalni musiałybyśmy jeszcze dokonać kradzieży, w dodatku wątpię, czy tak od razu wielkie bydlę wpadłoby nam w ręce...

– Szczerze mówiąc, tu też wątpię...

– Dobra, ruszamy. Bez pracy nie ma kołaczy. Czekaaj, szczotką...

– Ostrożnie zagarniaj, bo nas tu wydusi.

Już po pięciu minutach wyraźne się stało, że narzędzi pomocniczych potrzeba nam więcej. Ten kurz należało usuwać radykalnie, żaden odkurzacz nie dałby mu rady, wyrzucanie przez okienka w dachu było zbyt niewygodne, należało postarać się o wiaderko, worek, płachtę, cokolwiek. Wyglądało na to, że istotnie od blisko stu lat nikt tu nie zaglądał, a w ostatnich czasach nawet niczego nie dokładano, zdumiewające przy tym było, że w idealnie czystym, wręcz wyglansowanym domu Kacperskich mógł istnieć taki strych.

Po godzinie przyszedł do nas Jędrus i wyjaśnił zjawisko dokładniej.

– Nikt tu nigdy nie przychodził – rzekł w zadumie, rozglądając się wokół poprzez szare kłęby i chmury. – Nawet dzieci się nie bawiły, same to pamiętacie chyba i powiem dlaczego. Na łożu śmierci wuj Florian mówił, że strych ma być Przyleskich, nawet więcej, Noirmontów, może pani Karolina przyjedzie, może pani Ludwika, ale wszystko po nich ma tu czekać ludzką ręką nie tknięte. Tak zrozumiałem, bo niewyraźnie mówił. Na wszelki wypadek. W czym rzecz, pojęcia nie mam, ale kto wie jakie pamiątki w czterdziestym szóstym ocalił i co by się z nimi stało w tym całym komunizmie, żeby go szlag trafił. Dziecko na coś trafi, albo głupek jakiś, i wszystko zmarnuje. Przysięgliśmy, że uszanujemy, no i tak już zostało. W tej drugiej, mniejszej połowie, nawet bym chciał, żebyście zajrzały, Elżusia od początku suszarnię zrobiła, na pranie w zimie, bo w lecie to w sadzie, i tam jest porządek. A tu, jak było, tak zostało. Teraz się

od was dowiaduję, że może tu leżeć i coś nasze, rodzinne, Kacperskich, ale to też więcej wasze niż nasze, a wuj Marcin dzieci nie miał... Pomóc wam trzeba – dodał po chwili innym tonem, rzeczowo i stanowczo. – Torby mamy, ile chcąc, za drzwiami kładźcie, a jutro z Jurkiem wyniesiemy.

Zgodziłyśmy się na to z dużą ulgą, bo ta godzina już nam zdążyła dokopać. Rezultat wysiłków zaś uzyskałyśmy taki, że w jednym kącie objawiły się kształty wiklinowych kuferków podróżnych, wybrakowanego fotela, zdewastowanej wyżymaczki i czegoś, co robiło wrażenie wiekowych krosien. Wyłaniał się także ogromny stos starych gazet, stwarzający nikłą nadzieję na słowo pisane.

Mimo zaprawy w bibliotece w Noirmont, nie strzymałyśmy do rana. Poszłyśmy spać koło drugiej, odkurzywszy nieco ćwierć strychu.

– To, to świeże powietrze – powiedziała Krystyna, pokasłując kurzem. – Spać mi się chce nieziemsko. Coś mi się widzi, że mamy z głowy ładne parę weekendów.

– Żeby ta parszywa Iza wyjechała, poświęciłabym się i w dni powszednie – odparłam z westchnieniem. – Mogłabym odkurzyć do końca.

– Optymistka! Ona nie wyjedzie, póki nie złapie Pawła.

– A gównu. W zadzie mam diament, wyjdę za niego.

– I obiecasz mu posag?

– Nie wiem, co mu obiecuję, ale najwyżej się nie przeprowadzę...

– Głupia jesteś zupełnie. To już lepsze byłoby zamieszkanie razem i ciąża, nawet bez ślubu.

Zawahałam się, zatrzymując w drzwiach.

– I zacznę pomieszczenie pawiami ozdabiać, co?

Krystyna omal nie zleciała ze schodów.

– Nie, tego bym już nie zniosła. No dobrze, z ciążą zaczekaj. Chociaż... Nie zaczniesz przecież rzygać od pierwszego dnia? Ze trzy tygodnie to

potrwa? Przez trzy tygodnie ten strych obskoczmy, bodaj tylko w weekendy?

– Mam złe przeczucia – westchnęłam i zesłam za nią.

Moje przeczucia się sprawdziły, w niedzielę po południu, rąk i nóg nie czując, zdołałyśmy usunąć prawie trzy czwarte kurzu i na tym się nasze osiągnięcia skończyły. Jedyne, do czego czułam się zdolna, to paść na zdewastowane łoże i zasnąć kamieniem, a Krystyna wyjawiała możliwości podobne. Na pomoc Kacperskich nie było co liczyć, Jędrus się uparł, pełen współczucia, ale stanowczy.

– Ja przysięgi dotrzymam – oznajmił zdecydowanie. – I własne dziecko wyklnę, gdyby mi ją złamało. Coś takiego, coraz lepiej to sobie przypominam, że nikt inny, tylko wy, z rodziny Przyleskich i Noirmontów, macie do tego prawo i na ręce wam patrzeć, niech Bóg broni. Może to jaka wstydliva tajemnica, może przestępstwo, może skarb, ale nikt nie ma prawa nosa wtykać. Nie darmo wuj Florian nigdy się nie ożenił, a mnie adoptował.

– I co to ma do rzeczy? – spytał Henio. – To znaczy, ja nic nie mówię i nigdzie się nie pcham, po co mnie ojciec ma wyklinać, to uciążliwe zajęcie, ale jaki może być związek między tajemnicą Przyleskich a kawalerstwem pradziadka?

– Ciotecznego – przypomniała usłużnie Marta.

– Ciotecznego... Myślisz, że to pociecha?

– Może coś tam było nieślubne? – wysunął przypuszczenie Jurek, który mało gadał, ale świetnie się bawił. – Może my jesteśmy Przylescy, a Przylescy są w gruncie rzeczy Kacperscy? Może nikt nie ma prawa do niczego i trzeba to ukryć?

– Głupoty mówisz, synu, aż się coś robi – skarciła go ze zgorzeniem Elżusia.

Wszyscy razem siedzieliśmy przy niedzielnej kolacji, po której obie z Krystyną miałyśmy wracać do Warszawy. Na głodno Elżusia nie chciała nas wypuścić. Zastanowiłam się nad tymi supozycjami, nagle niepewna, czy nie przeoczyłam jakichś rodzinnych tajemnic.

– Nie – powiedziałam po uczciwym namyśle – takich rzeczy nie było, w Noirmont przeczytałam wszystko. I powiem wam, że aż się dziwię, jaka to była porządna rodzina. Dwie rodziny. Żenili się z miłości, wierni sobie byli, aż się niedobrze robiło, żadnych odskoków, żadnych zdrad. W waszej rodzinie to samo...

– No rzeczywiście – przerwała mi Krystyna jadownicę. – Szczególnie pani de Blivet dodaje nam blasku. Nie mówiąc już o tym, że na moje oko praprababcia Arabella wyrolowała pułkownika, zaś Marietta zręcznie wykończyła dwie osoby postronne. Historia mnie słabo interesuje, ale pamięć posiadam.

– Geny mogły przeskoczyć tylko z Arabelli! I to na nas, a nie na Kacperskich! Marietta w ogóle odpada, a reszta była w porządku. Poza tym już wam mówiłam, że idzie o skarb i, na litość boską, nie mówcie o tym nikomu!

– Nie powiemy! – zapewnili wszyscy Kacperscy chórem, patrząc na mnie do tego stopnia pytająco, że wręcz musiałam wdać się w bliższe szczegóły.

– Zginęło to ścierwo już dawno – kontynuowałam relację. – Podobno to my koniecznie mamy go odnaleźć, bo klejnot jest jakoby podwójny, my zaś bliźniaczki i prababcia Karolina uznała to za omen. Szukają tego barachła także potomkowie faceta, który uciekł do Ameryki...

W tym miejscu Marta podskoczyła.

– O Boże! Zapomniałam wam powiedzieć! Już wiem, kto kupił Przylesie, nazywa się Gurma, ten Amerykanin, Stanley Gurma. Z

jubilerstwem nie ma nic wspólnego, w oponach samochodowych robił, a teraz wraca do Polski, bo wyjechał stąd już po wojnie, jako dziecko, a tatuś i mamusia, zanim umarli, kazali mu wrócić. Tyle się zdążyłam dowiedzieć. Ma żonę i dzieci.

Przez chwilę gapiłyśmy się na nią tępo. Jeśli wyjechał już po wojnie... Heaston mógł go w ogóle nie znać i znów napotkał przeszkodę, Przylesie zostało nabyte przez obcego człowieka... Musiał się nieszczęsny włamywać!

– A, niech go diabli wezmą! – rozzłościła się nagle Krystyna. – Niech się włamuje, aż go skręci, mam go dosyć! Tylko tu go nie wpuszczajcie, a my za tydzień wrócimy...

* * *

Nasz powrót za tydzień wypadł wielce dramatycznie.

Już we wtorek wyszło na jaw, że cholerna Izunia uparła się złapać Pawła. Przytomnie uczepiła się mnie, bo Paweł jej się migał, i wręcz nie mogłam spotkać się z nim bez niej. Ciemno w oczach mi się robiło aż do chwili, kiedy, wychodząc z knajpy, ohydna zaraza morowa skręciła nóżkę. Natychmiastowej ulgi nie doznałam, przeciwnie, szlag mnie trafił jak stąd do Australii i z powrotem, bo oczywiście nikt inny nie mógł jej prowadzić, tylko Paweł. Do domu odwieźć, okład wykonać, do snu ułożyć... On zaś z miganiem pofolgował, jak każdego normalnego mężczyznę bowiem ruszyły go łezki w pięknych oczkach i ta bezradność wdzięczna. Dziw, że od zgrzytania żaden ząb mi się nie złamał.

Też jednak nie byłam od macochy i udało mi się powstrzymać go od dalszych zabiegów leczniczych. Nie odbierałam telefonów, kulawa Izunia zatem bała się ryzykować wizytę, skoro mogło mnie nie być w domu. Zwabiłam go do siebie podstępnie i wówczas wybuchła awantura.

Już byłam prawie zdecydowana zastosować się do rady Krystyny w kwestii tej ciąży, ale uniemożliwił mi to radykalnie. Zamiast przystąpić do działań przydatnych, złym głosem poinformował mnie, że chciałby się wreszcie ustabilizować, ożenić i mieć dzieci i nie ma ochoty czekać z tym do późnej starości. Dzieci koniecznie, co najmniej dwie sztuki. Najbardziej, wyznaje to uczciwie, chciałby ożenić się ze mną, ale wstręty i opory, jakie prezentuję, zaczynają go napełniać zniechęceniem, a może nawet nieprzyjemną rozpaczą. Myślał, że jestem też uczciwa, tymczasem kręcę, po cholere wybieralam z nim nową kuchnię, skoro nie zamierzam z niej korzystać...?! Dla innej baby? A innej babie mój wybór się nie spodoba i co wtedy...?

Kuchnią mnie lekko ogłuszył. Rzeczywiście, wybierałam jak dla siebie...

Niech się zatem wreszcie na coś zdecyduję, bo trzymam go w głupiej niepewności, a to jest nie do zniesienia. O co mi chodzi, u diabła?! Bierzmy, do cholery, ten ślub albo on do reszty przestanie wierzyć w jakiegokolwiek moje uczucie do niego, bo o tak zwanej miłości nawet wspominać nie warto! Jak wygląda miłość, potrafiły mu już pokazać inne kobiety, a on, kretyn, takiego czegoś oczekiwał ode mnie!!!

Załamalam się. Niczego nie pragnęłam bardziej niż ślubu z Pawłem, a te inne kobiety, to, oczywiście, Izunia. Dorwie go w końcu ta kochająca krowa. Do ołtarza byłam wleczona rzetelnie, więcej nie mogłam wymagać, ale ciągle czułam w nim tę kretyńską pewność, że główną zaletę dla każdej baby stanowi forsa. Gdyby zbiedniał...! Nie, idiotyzm, nie będę mu przecież życzyć zubożenia, gdybym ja się wzbogaciła...! I Izunia z tą swoją nóżką i milionami...

– Dobrze, kochanie – powiedziałam z anielską słodyczą.

Nie usłyszał.

Robię z niego barana, ciągnę ku sobie i odpycham, co za cholera jakaś we mnie tkwi, zatruwam mu życie, zamiast je upiększać...

Pomyślałam, że Iza odwalila niezłą robotę.

– Dobrze, kochanie!!! – ryknęłam straszliwym głosem.

Zatrzymał się nagle w swoim rozpędzie.

– Co?!

– Mówię, że dobrze. Zgadzam się. Możemy wziąć ślub.

– Poważnie mówisz?!

– Najpoważniej w świecie. Chcę cię za męża, chcę być dobrą żoną i wyobraź sobie, że nawet umiem gotować.

– Co to ma do rzeczy? Oszalałaś?

– Nie. Znam życie. Mężczyzna źle karmiony zniechęca się do swojej kobiety, nawet jeśli przedtem kochał ją nad życie. Możemy wziąć ten ślub za dwa miesiące.

– Wystarczy jeden. Chociaż wolałbym za tydzień.

– Ja chcę dwa, Pawełku... No dobrze, powiem ci to, co dotychczas ukrywałam. Mam w perspektywie posag, a ty przecież nie uwierzysz, że cię kocham bezinteresownie, jeśli nie przebiję Onassisa. Pieniądze padają na umysł.

– Zdaje się, że brak pieniędzy pada na umysł bardziej. Nie mów bzdur. Co to ma za znaczenie, jak mnie kochasz, nawet gdybyś tylko udawała, że mnie kochasz, udawaj, byle dobrze... No owszem, powiedzmy, że taka, na przykład, Iza udawać nie musi...

W tym miejscu coś mi się zrobiło w sobie.

– ...ale wolę ciebie. Miesiąc. Albo, przysięgam Bogu, przestanę ci wierzyć, bo nic z tego zrozumieć nie mogę. Dobra, powiem ci prawdę, zacząłem już mieć kretyńskie podejrzenia, wynająłem ludzi i sprawdziłem cię...

Jakim sposobem udało mi się nie udusić na poczekaniu, sama nie mogłam pojąć. Głosu mi w każdym razie zabrakło.

– ...szlag mnie nie trafił tylko przez przypadek, donieśli, że się spotykasz z jakimś facetem akurat w momencie, kiedy byłaś u mnie, więc zgadłem, że to nie ty, tylko twoja siostra. Ty, jako taka, nie masz nikogo innego, nie obrażaj się, zależy mi na tobie jak cholera, w tym stanie można stracić rozum, musiałem wiedzieć, na czym stoję, bo dlaczego, psiakrew, nie chcesz wyjść za mnie za mąż...?

No tak, sytuacja podbramkowa. Potwornie bogaty facet, młody, przystojny, sympatyczny, oblepiony dziwkami, które na każdym kroku musi z siebie otrząsać, dlaczego normalna kobieta, zakochana w nim całkiem wyraźnie, miałyby nie chcieć go poślubić? Na jego miejscu też bym się dziwiła i wyznajmy uczciwie, też bym spróbowała sprawdzić...

Latał po pokoju, snując różne głupie supozycje i czyniąc mi wyrzuty. Opanowałam szok.

– Dobrze, miesiąc – powiedziałam potulnie i niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Ledwo wyszedł, zadzwoniłam do Krystyny. Było zajęte. Odczekałam chwilę, zadzwoniłam drugi raz. Znowu zajęte. Zaczęłam dzwonić bez przerwy i zajęte było również bez przerwy, po kwadransie trafił mnie szlag, wyskoczyłam z domu i pojechałam do niej w płaszczu narzuconym na szlafrok i pantoflach na bosych nogach.

Otworzyła mi drzwi z podejrziwym wyrazem twarzy.

– Jeżeli ty się pętasz po mieście, to kto, do cholery, wisi u ciebie na słuchawce...? – zaczęła gwałtownie i spojrzała na mój szlafrok. – A...! Czyżby...?

– Zgaduję, że dzwonicie do siebie nawzajem – powiedziałam gniewnie, zdejmując płaszcz. – Mam tego dosyć...

Przerwała mi od razu.

– Ja też, Andrzej mi zrobił piekło na ziemi, mam bogatego gacha, z którego doję forszę dla niego, on nie alfons ani żigolak, naplułam mu w twarz i tak dalej. Coście, u diabła, robili z tym Pawłem, że tak mu wyszło?! Paweł gdzieś polazł w gronostajach i złotej koronie?!

– O cholera... Nie, ale chyba płacił za elektroniczną kuchnię. Nie przypomniałaś mu o mnie?

– A ty, kretynko, byłaś w tym czarnym kapeluszu?

Ze skruchą wyznałam, że owszem.

– No i masz! A przedtem ja w nim byłam! Nas może być dwie, ale taki kapelusz jest jeden na świecie, w dwa nie uwierzy, wstrząsnęło nim. Jedyna pociecha, że jednak się przejął. Nie ma siły, muszą się spotkać z Pawłem i w ogóle dosyć tego znikania im z oczu!

– No to przecież w tej sprawie zaczęłam do ciebie dzwonić, idiotko! Paweł mnie przycisnął do muru, bierzemy ten cholerny ślub za miesiąc, mam wyjść za niego bez posagu?!

– Byłby to w końcu jakiś sukces, nie?

– Pocałuj mnie w sukces! Jedziemy na okrągły tydzień, a jak będzie trzeba, to i na trzy. Rób sobie, co chcesz, ta cała Antosia to nasza ostatnia szansa, nie spaszuję przed metą. Mam jechać sama?!

Krystyna była już zdecydowana.

– Gówno. Też jadę. Ryzyk–fizyk, wykręcę chorobę albo co. Już dwa razy coś nam dobrze wyszło tylko dzięki temu, że istniejemy w dwóch egzemplarzach, ta trzeźwa moczymorda we Francji i Antoś tutaj... mógłby się zrobić uciążliwy. Dobra, jedziemy i grzebiemy aż do skutku.

* * *

Strych w Perzanowie okazał się całkowicie odkurzony.

Jędrus się złamał z litości, nie mógł patrzeć na nasze galernicze wysiłki, a może chciał się nas wreszcie pozbyć i mieć w domu święty spokój, bo osobiście, z pomocą Elżusi i Marty, usunął ten wiekowy kozuch z wierzchu. Głębiej kurz leżał nadal, nie pozwolił niczego ruszyć z miejsca, rodzinnego skarbu miałyśmy szukać same.

Już drugiego dnia trafiłyśmy na wielki kufer, w dużym stopniu zapchany papierami, prasą i korespondencją. Plątały się w tym także jakieś dokumenty, albumy, dagerotypy i nawet fotografie.

– O, właśnie! – zaczęła Krystyna z uciechą i od razu jakby skłęsa w sobie. – Ejże, co to ma znaczyć? Chciałam powiedzieć, że z tego właśnie wygrzebywałam znaczki piętnaście lat temu, ale nic podobnego! W życiu tego nie widziałam! A gmerałam w kufrze i nawet zastanawiałam się... To nie ten kufer, tamten był mniejszy. Gdzie się podział?

– Pewnie, że nie ten, przez głupie piętnaście lat tyle kurzu by się nie nazbierało. Tu gmerałaś, na strychu?

Krystyna zawahała się, popatrzyła na mnie tępo i nagle jakby się ocknęła.

– No coś ty? Na strychu, owszem, ale tutaj wcale nie wchodziłam, zamknięte było. Czekaj... On chyba stał w tamtej części, używanej...

Podniosłam się, bo siedziałam nad kufrem w kucki, i ruszyłam do drzwi.

– Musiałyśmy zgłupieć obie, od korespondencji należało zacząć i taki miałam zamiar jeszcze w Noirmont. Twoje parszywe znaczki wyleciały mi z głowy. Przypomnij sobie porządnie, skąd brałaś tamte listy ze znaczkami?

– Z kufierka. Mniejszego. Nie urósł przecież. Cholera, gdzie on może być?

Mniejszy kuferek stał jak byk w kącie, w zimowej suszarni Elżusi, dokładnie zasłonięty wiszącymi na sznurze prześcieradłami. Nie dał się zauważyć, kiedy oglądałyśmy pomieszczenie, wychwalając jego uroki.

Elżusia robiła pranie z wielkim upodobaniem i mokre szmaty suszyły się tam bez przerwy.

– No tak, to ten – stwierdziła Krystyna – zawsze tu stał. I ta etażerka ze starymi czasopismami. I nigdy ich nic nie zasłaniało, mam na myśli dawne czasy.

– Zwracam ci uwagę, że zawsze przyjeżdżaliśmy w lecie, na wakacje. Elżusia suszyła w sadzie. Bierzemy go do pokoju, ciągnij!

Dość był ciężki, ale we dwie dałyśmy mu radę. Zwlokłyśmy go po schodach do mojego pokoju i zagłębiłam w nim ręce z wielkim zapalem i bez zwłoki. Krystyna poświęciła się, wróciła na strych i kawałkami zniosła całe stosy papierów z tamtego większego kufra, z wyraźną przyjemnością zmieniając moją sypialnię w składnicę makulatury.

Z wielką chciwością dorwałyśmy się do korespondencji przodków, którzy nigdy w życiu nie wyrzucili chyba ani jednego papierka. Objawiła się nam cała historia dwóch rodzin, Dębskich i Przyleskich, oraz pełny wachlarz znajomości prababek i pradziadków. Prawie zapomniałam, po co to wszystko czytam, tak zachwyciły mnie owe szczegóły z dawnych lat.

Straszliwy mezalians świeżutkiego hrabiego Dębskiego, dziadka pra–i tak dalej–babki Klementyny, popełniony z córką kupca gdańskiego i angielskiej lordówny, multimilionerką, zapełniał prawie pół kufra i rozweselił nas obie zgoła do wypęku. Zaraza na indyki i rolada z bażantów przemieszane tam były z dramatycznymi chwilami powstania styczniowego. Dziękczynna epistoła Kacperskiego–powstańca do babci–kupcówny, opiewająca jego nieomal śmierć kliniczną i powrót do życia dzięki nadludzkim wysiłkom jaśnie panienci Klementyny wyjaśniła nam wreszcie dokładnie przyczyny również nadludzkiej miłości Kacperskich do naszej rodziny. Listy Klementyny do babci zawiadaniały o awansach wicehrabiego de Noirmont, później zaś o zaręczynach i ślubie, pełen

humoru list syna, ojca Klementyny, przyznawał wicehrabiemu dużą ilość zalet, zarazem rzeczowo omawiając kwestie finansowe i potwierdzając napływ apanaży z Londynu.

– Ejże, pradziadek był elegant – zauważyłam żywo. – Kamizelka haftowana za dwie gwineje. W tamtych czasach? Czymże ją wyhaftowali, do licha, perłami? Fircyk! W tym wieku...?

– Znowu mi wiek – skrzytkowała Krystyna, która co jak co, ale liczyć umiała. – Czterdzieści osiem lat, młody człowiek! Ty się odczep od tamtych czasów, diamentu jeszcze nie mieli...

– Mieli, Marietta wpadła pod samochód wcześniej. Tego, chciałam powiedzieć pod karetę. Czeka, to piękne! Margrabina de Mercier miała na balu suknię z morelowego atłasu z wstawionymi falbanami z koronki alencon w kolorze słoniowej kości. Interesujące zestawienie. A do tego garnitur z rubinów, no, czy ja wiem... może to i wypadło efektownie...

– Uspokoisz się czy nie? Studia historyczne sobie przeprowadzisz kiedy indziej, szukaj późniejszych!

Z wysiłkiem oderwałam się od opisu fety imieninowej, na której ta głupia Eleonora uczyniła afront hrabinie Potockiej i kto to teraz będzie odkręcał, a trzeba koniecznie, inaczej bowiem hrabina Potocka nie dopuści do upragnionego mariażu. Poodkładałam na bok wieści o złamanej osi w nowej karecie i okropnej kompromitacji młodej pani Imielskiej, która w katastrofie pokazała całe kolano i chyba zamknie się w klasztorze, o skandalu z nadziewanym prosięciem, które w chwili podania na stół okazało się zaśmiardnięte, o rozmaitych waporach, wzdęciach i kłopotach ze służbą i tysiącnych innych dyrdymałach, postanawiając przeczytać to później, na spokojnie. Jeden list wetknęłam Krystynie.

– Ziółka – powiadomiłam ją krótko.

– Cholera – mruknęła, ale, przejrząwszy epistołę, schowała ją starannie.

Opróżniłam wreszcie kuferek, nie znalazłszy w nim ani jednego słowa na temat diamentu. Krystyna zaczynała już grzebać w potężnych stosach, pochodzących z większego kufra.

– O, ty, Joaśka, popatrz! – ożywiła się. – Tu są wreszcie listy Kacperskich! Od i do! No, nasze też... O, proszę! Późniejsze!

Z ciężkim westchnieniem przystąpiłam do pracy, ale zanim dokopałam się czegokolwiek interesującego, wkroczyła Elżusia.

– Ja tam nic nie mówię – rzekła energicznie. – Z obiadem się nie pchałam, ale kolację to już zjecie! Tu nie przyniosę, chyba że chcecie jeść z podłogi, więc na dół proszę. O mój Boże, ileż tego! Naprawdę tak się to wszystko uchowało na strychu?

– Naprawdę – zapewniła Krystyna. – Elżusia jest genialna, dopiero teraz widzę, że zgłodniałam jak dzikie zwierzę. Dobra, idziemy!

Poszłyśmy. Posiłek się przeciągnął. Dzięki temu do pożądaných tekstów dotarłyśmy dopiero po północy. Kryśka trafiła na nie pierwsza, bo ja utkwiałam nad dokumentem, historycznie rzecz biorąc, wprost cudownym.

– Jest! – wrzasnęła szeptem, machając mi przed nosem rozłożoną kartką. – Antoinette! Nareszcie coś o niej!

– Czekaj! – odpędziłam ją niecierpliwie. – Tu jest, popatrz, jakby pamiętnik Floriana Kacperskiego. Spisuje, rany boskie, istne чудо, opowieści starej klucznicy, jak to młody hrabia de Noirmont długów narobił i na wojnę do Indii pojechał, a te długie płaciła jego siostra, margrabina d’Elbecue, całe korowody z tym były...

Wydarła mi z rąk elegancki brulion w sztywnych okładkach i podetknęła swoją kartkę.

– O margrabinie już wiemy i nie rozpraszaaj się teraz! Marcin pisze do rodziców z Calais! Pannę Justynę goni, a przy panie Antoinette go zastopowało, tu, z tej kupy to wzięłam, może będzie więcej!

– To nie rozwalaj kupy, idiotko, rozkopałaś połowę! Zabierz nogi!

– I okręć dookoła szyi, co? Taka wygimnastykowana to ja nie jestem. No, czytaj prędzej!

Przeciwnie, czytałam wolniej, bo właśnie wiedzy o pannie Antoinette poszukiwałyśmy z takim wysiłkiem. Istotnie, w tym akurat stosie tkwiła właściwa korespondencja, i to, ku naszemu zdumieniu, dwustronna.

– To się nazywa szacunek dla słowa pisanego – powiedziała uroczyście Krystyna. – Popatrz, ten Marcin dostawał listy w Calais, w Noirmont, w Paryżu i wszystko pieczołowicie zachował, przywożąc potem do Polski. Same przecież nie przyszły?

Potwierdziłam jej pogląd.

– Obaj bracia przywieźli wszystko. Ten pamiętnik Floriana... Jestem pewna, że znajdziemy także listy do niego od rodziny... o, tu jest odpowiedź na któryś, siostra pisze.

– Matko jedyna, co za znaczki! I ja na to wcześniej nie trafiłam...!!!

– Trafiłaś teraz. Później się nimi zajmiesz. Teraz czytaj!

Po dwóch godzinach udało nam się ułożyć korespondencję w porządku chronologicznym. Od skromnych i rzeczowych wzmianek o pannie Antoinette Marcin stopniowo przeszedł do zachwytów i pochwał, metą zaś tej drogi był komunikat o zamierzonym ślubie i rzewna prośba o błogosławieństwo rodziców. Równoległe biegły listy Floriana, pełne troski, że jego brat zwariował. Sprawę rozstrzygnęła panna Justyna, stwierdzająca stanowczo wysoką jakość panny Antoinette i w pełni popierająca zamierzony mariaż. W odwrotną stronę leciały odpowiedzi rodziny, pisane przeważnie przez siostry, wykształcone do tego stopnia, że prawie nie robiły błędów ortograficznych i okazywały subtelne poczucie humoru. W listach Marcina z naciskiem eksponowana była gospodarność narzeczonej, która potrafiła zadbać nawet o taki drobiazg jak poduszczyk do igieł.

Poduszczyk do igieł urosła w końcu do rozmiarów symbolu, dziewczyny natrząsały się z niej delikatnie, pisząc między innymi: „...jak już zechcesz, drogi braciszku, coś uszyć, będziesz miał jak znalazł...”.

W liście Floriana natomiast, pisanym, kiedy już Marcin przywiózł młodą małżonkę do Noirmont, znalazło się takie zdanie: „...a już o poduszkę do igieł to się tak trzęsie, jakby była ze złota...”.

– Co za cholera z tą poduszką do igieł...? – mruknęłam podejrzliwie.

– Widocznie niczego mniejszego w posagu nie miała – wysunęła supozycję Krystyna. – Duperela pilnuje, to większe zgoła boską czcią otacza.

– Może i – zgodziłam się. – Czekać, bo wedle naszych dedukcji diament powinna już w tym czasie posiadać. Ciekawe gdzie, przy sobie czy, na przykład, zostawiła w Calais...

– Myślę, że raczej przy sobie i stąd ta troska o przedmioty...

– Albo nie! – przerwałam w nagłym natchnieniu. – To znaczy, tak, owszem, ale wiesz, co mi na myśl przychodzi? On mógł tkwić w tym cholernym sakwojażyku eks-narzeczonego, a ona, zajęta Marcinem, nawet tam nie zajrzała. Nie wiedziała, że go ma. Nie darmo Heaston lata za podniszczoną pederastką!

– Ma to swój sens – przyznała Krystyna po krótkim zastanowieniu. – Może zajrzała dopiero w chwili, kiedy się przenosiła do Polski i na wszelki wypadek ukryła znalezisko. Potem schowała go gdzieś tu i przed śmiercią nie zdążyła o nim powiedzieć.

– Przed śmiercią bym powiedziała komukolwiek.

– Gówny prawda. Przebierałabyś w powiernikach jak w ulęgawkach. Poza tym, skąd byś wiedziała, że jesteś przed samą śmiercią, człowiek zawsze ma nadzieję, że to jeszcze nie.

– No może. Przecudowna perspektywa. Listy, nie listy, a strych przegrzebać musimy.

– Gdybym była całkiem świnią – powiedziała moja siostra złośliwie – plunęłabym na tak kłopotliwy klejnot, bo na laboratorium Andrzeja same znaczki wystarczą. Już się czaję na wycenę.

– Wchodzą w skład masy spadkowej i musiałyś podzielić się ze mną – wytknęłam jadowicie. – Nie mówiąc już o tym, że te z korespondencji Kacperskich należą do Kacperskich i już widzę, jak ich kantujesz.

– Głupia jesteś. Cholera. No dobrze, szukajmy ścierwa...

O wschodzie słońca całą korespondencję miałyśmy za sobą, przejrzaną zaledwie, chociaż aż się prosiła o dokładne czytanie. Panicz Piesiecki wleciał do studni, ale głową trafił w wiaderko, które się cudem utrzymało, i wyciągnęli go żywego. Narowista klacz Rosalinda wbiegła po schodkach do salonu państwa Młynowskich, zrzucając barona Lestkę, który łbem zaczepił o futrynę, i wytlukła sewrską porcelanę. Pannę Jasińską zamknięto przez pomyłkę w garderobie razem z panem Zdzichowskim i teraz nie wiadomo, co robić, bo pan Zdzichowski jest żonaty i oczekuje potomka. Koszmarna sytuacja nastąpiła, kiedy na dwie kopy jaj w ostatniej chwili połowa okazała się zbukami, a kury w zimowej porze akurat się mało niosły i całe wielkie przyjęcie było wybrakowane. Kucharz państwa Zaleskich po całym ogrodzie gonił panicza Prawdzica z nożem w rękę, bo panicz dla żartu trzasnął sufletem.

Fenomenalna lektura! Pomyślałam, że nawet nie znalazłszy diamentu, swoją korzyść odniosę, bo przeczytam to wszystko od deski do deski.

– Idziemy spać na chwilę czy lecimy na strych? – spytała Krystyna. – Ostrzegam cię, że jeśli wyleją mnie z roboty, pójdę na utrzymanie Pawła, obojętnie, jako ja czy jako ty. A on niech się dziwi skolko ugodno.

– Na co jesteś chora?

– Zatrucie pokarmowe oczywiście. Jedyna choroba, której nikt mi nie udowodni. Mam na myśli w sensie negatywnym, w wychodku mogę sobie posiedzieć nawet cały dzień. Wezmę dużo do czytania.

– To może jakoś ocalejesz. Kropnęłabym się na chwilę, Elżusia i tak obudzi nas na spóźnione śniadanie...

* * *

Piątego dnia dwie trzecie strychu prezentowało sobą porządek wprost nieskazitelny. Zacięłyśmy się, odwalaliśmy robotę, jakby nam za to kto płacił w złotych dolarach. Ani jednego przedmiotu, większego od pudełka zapalek, nasze starania nie ominęły, połamane meble i różne kawałki drewna oglądałyśmy przez lupę. Logika wskazywała, że jeśli gdziekolwiek, to tylko tu, gdzie mieszkała, Antoinette mogła ukryć parszywy diament, o ile znajdował się on w jej posiadaniu. O ile zaś nie, tę całą katorżniczą robotę będziemy musiały spisać na straty. Kryśka poleci za Andrzejem do Tybetu, a ja rychło się z Pawłem rozwiodę, bo moja dusza nie zniesie zależności finansowej od chłopca.

Jedna trzecia nam jeszcze została, kiedy Krystyna wydała okrzyk nadziei.

– O rany, kapelusz! Pudło na kapelusze! Może się znów objawi jakieś arcydzieło!

Odwróciłam się ku niej z wielkim zainteresowaniem. Od tak długiego czasu nie przytrafiało się nam nic ładnego, że każda ozdoba była pożądana. Pudło zostało gęsto okręcone zasupłanymi sznurkami, Kryśka usiłowała je zsunąć, bez skutku, straciła cierpliwość i posłużyła się scyzorykiem. Uniosła wieko, z ciekawością zajrzałam jej przez ramię.

Wewnątrz znajdowały się bardzo ładne rzeczy. Wachlarz z malowanego jedwabiu w doskonałym stanie, naszyjnik z muszelek, bogaty i nader

artystycznie wykonany, dwie pary długich rękawiczek, grzebień wysadzany perełkami i czerwona poduszka do igieł, aksamitna, obramowana lśniąco, perłowymi muszelkami. Brakowało natomiast kapelusza.

– Coś mi to przypomina – powiedziałam, wyjmując jedną ręką naszyjnik, a drugą poduszkę, podczas gdy Krystyna rozkładała wachlarz. – Czy przypadkiem nie to właśnie ma na sobie Antoinette na portrecie?

– To, oczywiście – odparła moja siostra i powachlowała najpierw siebie, a potem mnie. – Nawet sprawdzać nie trzeba. Pozostałości po niej, osławiona poduszczyca. Poduszczyca, cha, cha! To cały jasiek!

– Może i Jasiek, ale mnie to przypomina więcej. Nic ci się nie kojarzy? Widziałyśmy coś zbliżonego. Zawartość sepecika...

Wachlarz znieruchomiał w ręku Krystyny.

– O, niech skisnę, masz rację...!

Skleroza nas nie dopadła, pamięć nam działała. Strzępki identycznego aksamitu i takie same muszelki znalazłyśmy w pamiątkowym sakwojażyku po jubilerskim narzeczonym. Zatem nie suponowaną przeze mnie sakieweczkę Antoinette wykonała samodzielnie, chałupniczo i własną ręką, tylko poduszczykę do igieł. Zostały jej po tym procesie produkcyjnym drobne resztki surowca, których nie wiadomo dlaczego nie wyrzuciła, tylko starannie zadołowała w owym relikwie po eks-narzeczonemu. Miało to jakiś związek, jedno z drugim...? Uczuciowy...? Bo praktycznie owszem, takie muszelki, wyjątkowo ładne i raczej rzadko spotykane, mogła zostawić, w ostateczności także ścinki aksamitu, dla ewentualnej naprawy, ale na diabła jej była gąbka i włosie? W razie uszkodzenia przedmiotu wypchać go można czymkolwiek. Sentyment jakiś specjalny do tych śmietków żywiła czy co...?

Naszyjnik przestał mnie interesować, wrzuciłam go z powrotem do pudła. Krystyna odłożyła wachlarz i wyjęła mi z ręki czerwone i pękate

rękodzieło.

– Symbol gospodarności francuskiej Antosi – powiedziała z powątpiewaniem. – Myślisz, że co?

– Nic. O czwartej nad ranem z myśleniem miewam lekkie kłopoty. Może była to jedyna rzecz, jaką udało się jej wyprodukować do końca, osiągając sukces. Inne prace ręczne wychodziły jej gorzej.

– A może adorator układał na tym strudzoną głowę? Rzecz jasna, wyjąwszy przedtem igły i szpilki... Rozmiar prawie się nadaje.

Obracała poduszczkę w palcach, odebrałam jej przedmiot i obejrzałam ponownie.

– To w ogóle wygląda na elegancki wyrób fabryczny i gdyby nie te resztki, do głowy by mi nie przyszło, że zrobiła to sama. Uważałabym, że kupiła w sklepie i cześć. Ale i tak podejrzewam, że szyła na maszynie, maszyny do szycia istniały już pod koniec wieku.

– Jako nowość, musiały być drogie. Stać ją było?

– A diabli wiedzą. Ale muszelki przyszywała ręcznie, wcale się nie upieram przy maszynie. One w tamtych czasach umiały pięknie szyc.

– Albo mamusia szyła! – ożywiła się nagle Krystyna. – I była to jedyna pamiątka po mamusi!

No owszem, pamiątka po mamusi stanowiłaby jakieś wyjaśnienie, nawet dla tych resztek. Nie potrzeba praktyczna, tylko rzeczywiście czysty sentyment.

Poduszcзка wyglądała jak nowa. Zabierałyśmy ją sobie wzajemnie, nie mogąc się jakoś od niej oderwać. Miękką była i elastyczna, ale porządnie zgnieść się nie dawała. Muszelki na obramowaniu połyskiwały wdzięcznie.

– Wydaje się ogólnie mało używana – zauważyła Krystyna w zadumie. – Nie wyblakła wcale i żadnych dziur w niej nie ma. Mam na myśli takie ślady po igłach.

– Bo może jednak uszyła to sama tuż przed ślubem z Marcinem, w ramach wyprawy? I potem już żadnym szyciem się nie zajmowała, dzieci nie mieli, niemowlęce kaftaniki odpadały... Na dobrą sprawę gryzą mnie te szczątki. Dlaczego w sakwojażyku po byłym narzeczonym...?

– No owszem, dziwne. I głupie. Powinna je trzymać w jakimś pudełku z nićmi albo co. Chyba że narzeczony to uszył, poduszczkę dał panience, a resztek nie zdążył wyrzucić i tak zostały...

Znów zaczęłam oglądać owo czerwone rękodzieło, które bardziej zasługiwało na nazwę poduchy niż poduszcзки. Krystyna miała rację, to był Jasiek do igieł, na upartego dałoby się na tym spać. Trochę mogły przeszkadzać muszelki, wpijające się na przykład w ucho...

Zarazem próbowałam się zastanowić, o co mi właściwie chodzi z tym pchającym się natrętnie skojarzeniem. Sakwojażyk i poduszcзка, sakwojażyk i poduszcзка... Przecież, gdyby nie te szczątki surowców w sakwojażyku, dałabym spokój poduszczce od razu, nie zawracając sobie głowy dociekaniem...

– Poduszcзка jako przedmiot szczególnej troski – powiedziała nagle Kryśka. – Tajemnicze, przedśmiertne zwierzenia Antosi. Resztki z poduszcзки w sakwojażyku. Coś ona chyba myślała...?

Podjęłam męską decyzję.

– No trudno. Pamiątka, nie pamiątka, na wszelki wypadek bym to rozpruła. Jakoś możliwie delikatnie.

– Dlaczego delikatnie?

– Własność Kacperskich – zwróciłam jej uwagę z naganą – i, bądź co bądź, zabytek, niedługo miałyby sto lat, a może już ma. Niszczyć ich rodzinne pamiątki, to mi się wydaje nieprzyzwoite. Rozprujemy tak, żeby potem łatwo zeszyć.

– O rany! – jęknęła moja siostra. – Łatwo zeszyć, oszalałaś! Gdzie nam do tego ich szycia. Też pomyślałam, żeby rozbebeszyć, ale w remonty krawieckie wcale nie chcę się wdawać!

– Nie wygłupiaj się, nie bądźmy świnie. Jutro skombinujemy czerwoną nitkę. Czekał, gdzie by tu...

– Na krawędzi, tuż przy muszelkach. Zamaskują chyba nawet najbardziej toporny szew. Czymś ostrym, bo się nam wysiepie...

Niczego ostrego na strychu nie było, poszłam na dół, do pokoju, po własne narzędzia do manikiuru, i poświęciłam nożyczki. Ostrożnie przecięłam czerwony aksamit, pilnując, żeby przypadkiem nie zaczepić o nitki muszelek. Poduszczerka była okrągła, przejechałam zaledwie jedną trzecią obwodu i już zaczęło z niej wyłazić włosie i kawałki mocno ściśniętej gąbki.

– Ciekawa rzecz, dlaczego ona pocięta, a nie cała? – zastanowiła się na głos Krystyna. – Łatwiej byłoby przecież obszyć gąbkę w całości...?

Odebrała mi poduszczerkę, sięgnęła palcami w głąb i nagle znieruchomiała.

– Chryste Panie... – wyszeptała cichutko.

Odepchnęłam jej rękę i sięgnęłam sama. Wymacałam coś twardego, wyciągnęłam to coś. Bryła, owinięta cieniutkim jedwabiem, który sam się z niej ześlizgnął...

Zaparło nam dech.

Potwornej wielkości diament lśnił, migotał i jaśniał blaskiem w świetle niezbyt mocnej żarówki, która przy nim przestała się liczyć. Był niesamowity. Dwa kurze jajka, wtopione w siebie wzajemnie, iskrzące się w miejscu zespolenia dodatkowym ogniem, identyczne, nieskazitelnie czyste...

– Odwołuję wszystkie kalumnie, jakie na niego rzucałam – powiedziała Krystyna po długiej chwili, uroczyście i głosem nieco zdławionym.

Przemogłam niemoc górnych dróg oddechowych.

– Gdyby nie był prawdziwy, przysięgłabym, że musi być sztuczny – oznajmiłam dość słabo.

Krystyna spojrzała nagle na mnie, chwyciła bryłę z mojej dłoni, rozejrzała się wokół i rzuciła ku połamanej szafie, w której tkwił jeszcze duży kawałek szyby. Z rozmachem przejechała po szybie diamentem.

Ostra rysa zaświadczyła o prawdziwości kamienia.

– Dedukuję logicznie i nie próbuj mnie straszyć – powiedziała gniewnie, z miejsca odzyskawszy siły. – Kurz na tym strychu wyraźnie wskazuje... nie, bądźmy ściśli, wskazywał, swoje półwieczne pochodzenie. Ludzka noga i ręka tu nie weszła, nikt nie mógł tego podrzucić w ostatnich czasach i na nowo wszystkiego zakurzyć, taka sztuka odpada. A w czasach dawniejszych nie istniał materiał twardszy od diamentu i nie umiano go wyprodukować. Teraz, w obliczu podróży kosmicznych, nie dałabym za to głowy, ale podejrzewam, że on ciągle bije rekordy...

– Jeszcze mogłybyśmy go wrzucić do ognia i sprawdzić, czy się pali – zaproponowałam uprzejmie.

– Spluń przez lewe ramię, bo za chwilę wybuchnie tu pożar, a my jesteśmy na strychu. Zatem, nie do uwierzenia, ale jednak, jest prawdziwy, skoro rżnie szkło. Szkło również jest prawdziwe, pięćdziesiąt lat temu nie było pleksiglasu.

– Pocieszyłaś mnie. Obejrzyjmy go, zabierzmy na dół, w pokojach mamy lepsze światło.

– No i, w razie pożaru, krótszą drogę. Skok przez okno z pierwszego piętra mogę zaryzykować.

– Ponadto, wiedzona tajemniczym natchnieniem, przywiozłam flachę, nabytą po drodze. Chateau Neuf du Pape. Czerwone.

Krystynę wzruszyło to ogromnie.

– Pierwszy raz w życiu z czystym sumieniem mogę stwierdzić, że nie jesteś taka głupia, jak by się zdawało...

Zeszliśmy piętro niżej spokojnie. Nie wykonałyśmy żadnego tańca, nie wydawałyśmy dzikich okrzyków, nie wpadłyśmy w hałaśliwy szal szczęścia i nie wyrwałyśmy ze snu całej rodziny Kacperskich tylko dzięki temu, że znaleźisko otumaniło nas kompletnie. Myśl, że on tu gdzieś jest, ten diament, i że w końcu na niego trafimy, była, ostatecznie, do przyjęcia, chociaż nadzieja kołatała się w nas ledwo zipiąc, ale rozmiar i jakość roziskrzonych bryły każdego by wprawiły w osłupienie. Nawet w Skarbach króla Salomona pokazywali znacznie mniejsze, nawet Koh-i-noor nie umywał się do niej urodą, aczkolwiek z pewnością był efektowniej oszlifowany.

Usiadłyśmy w fotelach z kieliszkami w rękach i otwartą butelką szlachetnego wina. Diament leżał na środku stolika i jaśniał olśniewającym blaskiem.

Wpatrywałyśmy się w niego, oczu nie mogąc oderwać, a różne uczucia rosły w nas i rozkwitały w dużym tempie.

– To w środku, co tak świeci, to jest, zdaje się, ta skaza, o której sobie mętnie przypominam – powiedziała Krystyna. – Przecinać należałoby akurat w tym miejscu.

– Straci połowę uroku – zauważyłam z niesmakiem. – Nie wiem, czy to w ogóle nie barbarzyństwo, przecinać coś takiego.

– Barbarzyństwo, z pewnością. Ale nie widzę innego sposobu, żeby się nim podzielić.

– A nawet jeśli się podzielimy, to co? Sprzedasz swój kawałek?

– No coś ty, głupia? Ja sama? Przecież te dwie połowy są identyczne! I dopiero to jest cymes, dwie takie idealnie jednakowe kobyły! Czegoś takiego wcale nie ma na świecie.

– Znaczy, gdybyśmy miały sprzedawać, to razem? Całość?

– A pewnie. Największy zysk.

Zastanowiłam się w skupieniu nad tym największym zyskiem.

– Mnie szkoda – oznajmiłam stanowczo i uczciwie.

– Mnie też – przyznała się Krystyna od razu.

Wciąż jeszcze byliśmy nieco oszołomione. Powolutku zaczynała docierać do nas wstrząsająca prawda, odnalazłyśmy Wielki Diament, największy diament świata, który w dodatku legalnie należał do naszej rodziny i przypadła nam w spadku. Był nasz. Mogłyśmy to udowodnić na piśmie.

– Słuchaj, uszczypnij mnie – poprosiła moja siostra, odstawiając pusty kieliszek. – Mam obawy, że mi się to tylko śni.

– Szczypać nie lubię nikogo, nawet ciebie. Mogę cię dziubnąć.

– Dziubnij.

Użyłam w tym celu korkociąga, który leżał pod ręką. Krystyna drgnęła silnie.

– Poczułam. Nie pożałowałaś mi, mam wrażenie. Ale wynika z tego, że nie śpię? On jest?

– Możesz go dotknąć – pozwoliłam łaskawie.

Wzięła diament do ręki, obmacała go, podrzuciła do góry i polizała. Przyglądałam się temu z ciekawością, coraz bardziej roztkliwiona tym szczęściem, jakie nas spotkało. Nie do wiary. Znaleźć skarb familijny, w dzisiejszych czasach, prawie we własnym domu, i to wtedy, kiedy był tak straszliwie potrzebny!

– Teraz ty! – zarządziłam, odbierając jej kamień. – Dziubnij mnie, bo też nie wierzę.

– Chętnie, proszę cię bardzo.

Dziurę zrobiła mi w udzie tym korkociągiem bez mała do kości, ale przynajmniej przekonałam się, że też nie śpię. Na takie dziubnięcie poderwałabym się z letargu.

Odłożyłam bryłę, która znów zaczęła lśnić na środku stolika.

– No dobrze, zejźmy z tej drogi do ciężkiego kalectwa. To co robimy?

– Nic – zdecydowała Krystyna stanowczo. – Przyglądamy się. W życiu więcej czegoś takiego nie zobaczysz, trzeba napaść... czy napasać...? ...oczy widokiem. Z chwili na chwilę on mi się wydaje piękniejszy i nawet nie będę mrugać, żeby nic nie stracić...

Siedziałyśmy przy stole, popijając wino i wpatrując się w roziskrzony diament. Coraz trudniej było oderwać od niego wzrok. Od czasu do czasu to jedna, to druga z nas wyciągała rękę, żeby go pomacać.

– Ejże, a kluczyk? – spytała nagle Krystyna z wyraźnym oburzeniem.

Zdziwiłam się.

– Jaki kluczyk?

– Kłódeczka, ściśle biorąc. Ta z sepecika. Miałyśmy odrzynać co popadnie i co?

Zdziwiłam się bardziej.

– I tego odrzynania tak ci brakuje? Proszę bardzo, możesz oderznąć cokolwiek byle gdzie, nie widzę przeszkód.

– Idiotka. Mnie się tu coś nie zgadza, wyszło nieprawidłowo. Taka kłódeczka z kluczykiem powinna coś znaczyć i do czegoś służyć. Zamknięta kasetka, a diament w środku, na przykład. Po cholere w takim razie ten cymbał nosił przy sobie kłódeczkę i po cholere Antosia tak ją starannie przechowała?

– Tego nie zgadnę do końca życia – powiedziałam po długim namyśle. – Z diamentem, jak widać, nie miało to nic wspólnego i całe szczęście, że w ogóle o kłódeczce z kluczykiem zapomniałam, bo kto wie czy nie zaczęłybyśmy rzeczywiście odrzynać wszystkich skobli zewsząd. Tak właśnie wyglądają mylące poszlaki. Może w ogóle ten cały sakwojażyk był na to zamykany i on go właśnie otworzył, bo sięgał ręką, a kłódeczkę schował do środka, żeby jej nie zgubić. Najprostsze wyjaśnienie.

– Jednak czuję niedosyt. Rzeczywistość nie spełniła swego zadania.

– Mało ci jeszcze? – spytałam ze zgorzaniem, wskazując stół. – Moim zdaniem, pobiła własne rekordy daleko na wyrost. Opanuj wymagania, bo będzie jak ze złotą rybką.

– No dobrze. Może masz trochę racji...

Siedziałyśmy nadal, wpatrzone w kamień, płonący żywym ogniem i niemożliwy do uwierzenia...

* * *

Obudziwszy się koło południa, usilnie zaczęłam się zastanawiać nad wydarzeniami ubiegłej nocy. Jezus Mario, zdaje się, że znalazłyśmy wreszcie ten cholerny diament? Czy możliwe, żeby to było prawdą? Może się po prostu upiłam, chociaż nie, pół butelki wina, nawet na głodno, nie spowoduje chyba przerwy w życiorysie? Znalazłyśmy go zatem, gapiłyśmy się na niego prawie do wschodu słońca, okazał się cudownie piękny, możemy pogapić się dłużej, do zachodu... Gdzie on jest? No właśnie, gdzie on jest? Nie został przecież na środku stolika, gdzieś go ukryłyśmy. Która z nas, Krystyna czy ja? I gdzie?! Pomysły miałyśmy rozmaite, to sobie mogłam przypomnieć, przez chwilę nawet nawzajem wyrywałyśmy go sobie z ręki, na czym w końcu stanęło...?

Usiadłam na łóżku, opuściłam nogi na podłogę i podparłam dłońmi brodę. Diabli nadali, gdzie mogliśmy utknąć tę roziskrzoną zarazę? Proponowałam szufladkę sekretarzyka, ale nie miała klucza, Krystyna wymyśliła wazonik do kwiatków, nie mieścił się w nim, bo wazonik był mały. Pod poduszką...? U niej czy u mnie...?

Pomacałam pod poduszką, uniosłam i zajrzałam, diamentu nie było, nie zsunął się na dół, bo nic mnie nie gniołło. Zmiłuj się Panie, czy teraz zaczniemy szukać go na nowo?!

W drzwiach do mojego pokoju pojawiła się nagle moja siostra, rozczochrana i w szlafroku.

– Ty, gdzie on jest? – spytała z wyraźnym niepokojem. – Co myśmy z nim zrobiły?

– No właśnie, jak widzisz, siedzę i myślę – odparłam, nie zmieniając pozycji. – Pod moją poduszką nie...

– Pod moją też nie. Słuchaj, czy nie wspominałaś o żłobie w oborze?

– Wspominać, wspominałam, ale do obory nie poszłam. Zdaje się, że w ogóle nigdzie nie wychodziłyśmy?

– Owszem, do łazienki. Ale nigdzie dalej. Chyba że poszłaś do obory, jak już spałam?

– A on został u mnie?

– No pewnie, że u ciebie, losowałyśmy...

Przypomniało mi się, oczywiście, losowałyśmy, która z nas ma go strzec, i padło na mnie. Ale Krystyna również wybierała miejsce, a co do obory...

Podniosłam się z łóżka, włożyłam szlafrok i zesłam na dół. Elżusie znalazłam w kuchni, ucieszyła się bardzo, że wreszcie zjemy śniadanie.

– Kto dzisiaj doił krowy? – spytałam bez wstępów.

– Ja. Jak zwykle. A co...?

– Czy jak Elżusia doiła, to myśmy już spały?

– Gdzie tam! I światło się paliło, i tupanie było słychać... A co?

– A Elżusia była potem w oborze bez przerwy?

– No pewnie, że bez przerwy, nie daję rady inaczej. A co?

– A czy ja tam przyszłam?

Elżusia zdumiała się tak, że czajnik omal nie wyleciał jej z rąk.

– A czy Joasia... nie, zaraz, która to? Krystyna...?

– Joanna.

– To Joasia sama nie wie, czy była w oborze? Nie była, od razu mogę powiedzieć. Żadnej z was nie było, a jak wróciłam, to wyście już spały. A co...?

– Nic – odparłam z ciężkim westchnieniem. – Kłócimy się o to, Kryśka mówi, że byłam, a mnie się wydaje, że nie.

– To i dobrze się Joasi wydaje, nie była. Chodźcie zaraz na śniadanie, jajecnicę z żółtym serkiem wam zrobię, tak jak lubicie.

– Tylko niedużo, bo zdaje się, że nie będziemy miały apetytu...

Wróciłam na górę, Krystyna siedziała na moim łóżku w identycznej pozycji, jak ja poprzednio, i rozmyślała intensywnie, ze zmarszczonym czołem.

– Przeszukałam już twoje walizki i sprawdziłam kieszenie we wszystkich łachach. Nigdzie go nie ma. Co, u diabła, mogliśmy z nim zrobić?

– Obora odpada – powiedziałam prawie równocześnie. – Nie było mnie tam. Z czego wynika, że do szukania pozostaje nam ograniczona przestrzeń. Zaczynamy od razu?

– A jak? Takie rzeczy, których nie znajdzie się od razu, giną na zawsze. Nie zamierzam głupio ryzykować.

– Dobra, wobec tego sprawdzamy wszystko metodycznie.

Tym razem wiedziałyśmy przynajmniej dokładnie, jakiej wielkości jest poszukiwany przedmiot. Podzieliłyśmy pokój na metry kwadratowe i w ponurym milczeniu zaglądałyśmy wszędzie, gdzie mogły się zmieścić dwa jajka razem. Krzykiem z góry poprosiłyśmy Elżusię o drobne opóźnienie śniadanka. Darła się Krystyna, ja zaś mamrotałam pod nosem różne prognozy na tle głodowej śmierci, bo nie ma obawy, żadne pożywienie przez gardło nam nie przejdzie...

– Czy rękawiczkę też zgubiłaś? – spytała kąśliwie Kryśka, grzebiąca w mojej torebce, napotkanej w jej kwadracie. – Masz tylko jedną? Gdzie druga?

Oderwałam się od obmacywania wierzchu szafy, stojącej w moim metrze kwadratowym, i zlazłam z krzesła. Przez całe dwie sekundy przyglądałam się rękawiczce, po czym właściwy błysk we mnie nastąpił. Padłam na kolana i z za nogi tejże szafy wyciągnęłam dużą zamszową bułę. Rozciągliwą rękawiczkę, do której sama przed paru godzinami siłą wepchnęłam diament.

– Elżusiu!!! – wrzasnęła Krystyna ku dołowi w następnych dwóch sekundach. – Błagamy o podwójną jajecznicę!!! Ze stu jajek i dwóch kilo sera!!!

– Słuchaj, to jest niemożliwa rzecz – powiedziałam, ochłonawszy ze strasznych emocji. – Nie możemy przeżywać takich stresów dzień po dniu. Co z tym głównem zrobić?

– Ładny on jednak – stwierdziła moja siostra, zaglądając do rękawiczki. – Skoro już padło na ciebie, włóż go tam, gdzie trzymasz na przykład paszport. Albo książeczkę czekową. Tego na ogół nie gubisz.

– Tam gdzie pieniądze – postanowiłam. – Pieniądzy używam częściej niż paszportu i też ich raczej nie gubię.

Zeszliśmy wreszcie na to skomplikowane psychicznie śniadanko, pozostawiając skarb w mojej torebce, dostatecznie pakownej, żeby zmieścił się w niej nawet tuzin diamentów. Krystyna, na wszelki wypadek, porządnie zamknęła okno.

Zatroskana Elżusia krzyki z góry potraktowała poważnie i nasz posiłek parował w wielkiej, kopiastej salaterce. Nie pojmując osobliwych skoków naszego apetytu, dołożyła do tej jajecznicy kielbasę, szynkę i fenomenalnej jakości pasztetówkę własnej roboty. Oraz marynowane grzybki, korniszonki i sałatkę z pomidorów. Otworzyłam usta, żeby zaprotestować przeciwko tej przesadzie, i nagle poczułam, że nic podobnego, żadna przesada, czuję w sobie wilczy głód i gotowa jestem zjeść to wszystko sama, bez udziału Krystyny. Stanowiłam otchłań, a nie człowieka.

– Stresy niewątpliwie skracają życie – powiedziałam z przekonaniem. – Ale za to cholernie dodają apetytu.

– Zgadzasz się i nie zamierzam być grzeczna i dobrze wychowana – odparła moja siostra z pełną gębą.

Elżusia przyglądała się nam z zachwytem i rozczuleniem, kiedy pożerałyśmy całe to bogactwo na stole. Krystyna próbowała coś powiedzieć i omal się nie zadławiła.

– Pół litra – wycharczała z trudem. – Nasze rodzime, krajowe, ojczyste, tradycyjne pół litra! Na kolację! Zaraz ktoś pojedzie kupić.

– Nie potrzeba – odparła Elżusia, zdumiona jej nagłym wybuchem alkoholizmu. – Jest w lodówce, nawet parę butelek. A co się stało, bo wy przecież tego nie pijecie?

Jak zwykle, rozumiałam Krystynę doskonale. Przezornie najpierw przełknęłam.

– Musimy uczcić wydarzenie – wyjaśniłam. – Nic na świecie nie przebija naszej polskiej wódki.

Elżusia była dobroduszna i macierzyńska, ale nie głupia.

– Znalazłyście ten skarb? – ucieszyła się. – I gdzież on był?! Jakże wygląda?! Pokażecie wszystkim?

– Wszystkim nie – odparła Krystyna głosem już dość swobodnym. – Tylko osobom zaufanym. Dużo do oglądania nie ma, ale za to efektowne.

– I niech Elżusia na razie nikomu nie mówi – dodałam. – Przy kolacji powiemy, ale wyłącznie rodzinie Kacperskich.

– Przy kolacji! – wykrzyknęła rozanielona Elżusia. – No to zrobimy kolację, że ho, ho!

Zanim doszło do kolacji ho, ho, omówiłyśmy sprawę między sobą. Była to kontynuacja nocnych rozważań.

Ten upiorny diament zaczynał nam się coraz bardziej podobać. Samo patrzenie na niego sprawiało przyjemność, a myśl, że należy do nas, wprawiała w euforię. Przeciąć go...? Może i zyska na wartości, ale straci ten niesamowity błysk ze środka, błysk, chwytający za serce i dławiący w gardle. Szkoda. Cholerna szkoda...

Nagle zrozumiałam, że można kochać diamenty. Pojęłam także, w jednej eksplozji natchnienia, dlaczego dotychczas nie został przecięty. Przecież, poza pra... ile tam jeszcze tych pra... a, tyle samo co przy Klementynie, cztery pra... dziadkiem Ludwikiem de Noirmont, dysponowały nim wyłącznie kobiety, po tych kobietach dziedziczyłyśmy cechy i niewątpliwie stosunek do klejnotu. Któraż, na miły Bóg, zdobyłaby się na zniweczenie tego uroku...?!?!

– Żadna, jak widać – powiedziała Krystyna, wyzuta z wątpliwości, czy na pewno nasza myśl biegnie tymi samymi drogami. – I coś mi się wydaje...

– Dobrze ci się wydaje. Obejrzyj może te znaczki...

– Przecież sama mówiłaś, że one Kacperskich!

– Nie wszystkie. Nie powiem, gdzie je Kacperscy mają, bo po co mam się wyrażać w obliczu arcydzieła natury. Za wycenę i sprzedaż należy ci się, o ile wiem, dziesięć procent, też pieniądz...

– Żal mi.

– Opanuj się. Mnie też żal komódki po pani de Pompadour. Przodków na rynek nie wypchnę, ale ten zegar z holu...? A jeśli Kacperscy pary z gęby nie puszczą, może Heaston kupi całą posiadłość?

– Chyba już nie. Taki głupi to on nie jest. W dodatku połapie się, że mamy diament, i spróbuje nas wymordować, a co najmniej go rąbnąć. Będziemy go miały na karku bez przerwy...

– Bez przerwy to nie. Jest nas dwie, a on jeden.

– Z przerwami też nie chcę. Czekać, nie wiem, co zrobić. Pierwsza sprawa: idziemy w ślady przodków czy zastosujemy jakąś odmianę?

Wiedziałam, co ma na myśli. Zanosilo się na powtórzenie historii, każdy kolejny posiadacz diamentu poprzestawał na ukryciu go głęboko i, być może, oglądaniu od czasu do czasu, rezygnując z innych korzyści, byliśmy na progu takiej samej sztuki. Ukryjemy go i będziemy niekiedy oglądać, upajając się doznaniem estetycznym, dobrowolnie wyrzekając się zysków, które były naszym pierwotnym celem... Dwie idiotki.

– I tak dobrze jeszcze, że nie ciąży na nim żadna klątwa – powiedziałam ponuro. – Mamy swobodę działania, bez obaw, że szlag nas trafi. Co nie przeszkadza, że też nie wiem, co zrobić. Zważywszy, iż chodziło nam o szmal, zastanowiłabym się teraz poważnie, czy nie wydoimy niezbędnych sum ze spadku, bez diamentu. Będiesz mieszkała w zamku?

– Zgłupiałaś?

– No właśnie. Na diabła nam Noirmont?

– A jak nikt nie zechce kupić?

– To niech stoi, przecież go nie podpalimy. Spróbujemy upłynnić zawartość. Zrobimy aukcję.

– A do niego się przyznamy? – spytała Krystyna, wskazując palcem lśniąca bryłę, znów leżącą na środku stolika.

– Chyba trzeba ze względów reklamowych. Dyplomatycznie. I dopiero jak wymyślimy kryjówkę, bo pod szafą u Kacperskich, to raczej nie najlepsze miejsce.

– A gdybyśmy zdecydowały się na sprzedaż, też musi zostać ujawniony. No dobrze. Zaczniemy od Kacperskich, może coś doradzą...

Kolacja ho, ho, rzeczywiście godna podziwu, rozpoczęła się w atmosferze zaciekawienia i emocji. Oczekaliśmy, aż Elżusia zastawi stół i wreszcie sama usiadzie. Dwoje rodziców i troje dzieci wpatrzyło się w nas z wyrazem niecierpliwego oczekiwania.

– Chcecie od początku czy od razu sam koniec? – spytała Krystyna.

Odpowiedzi udzieliło pięć osób równocześnie, każdy innej. Przewagę szybko zyskała Marta, ponieważ kawałek śledzia w oliwie zleciał jej z widelca i pacnął w oko Henia. Widelcem wymachiwała, żądając posłuchu.

– Najpierw sam koniec, bo umrę z ciekawości, a potem po kolei. Słowa bym nie zrozumiała, czekając na rezultaty!

– Sam koniec, proszę bardzo – zgodziłam się z satysfakcją. – Sami rozumiecie, że na razie ma to być tajemnica.

Wyjęłam z kieszeni diament, który uporczywie pozostawał pod moją opieką, i położyłam go na środku stołu, pomiędzy sałatką z pomidorów a krokietkami z grzybków. Lampa wisiała nad nami, w jej świetle rozjarzył się, jakby zapłonął w nim ogień. Przez jadalnię przeleciało coś w rodzaju zbiorowego zachłyśnięcia.

– Święty Józefie! – jęknęła Elżusia. – Cóż to jest?!

– To ten wasz skarb?! – wykrzyknęła Marta, wstrząśnięta.

– Toście go, znaczy, znalazły – powiedział równocześnie Jędrus znacznie spokojniejszym głosem.

– I niby co to takiego? – spytał podejrzliwie Henio. – Nie diament przecież, chociaż tak wygląda.

– I nie kryształ chyba, bo gdzie kryształowi do skarbu – zauważył Jurek krytycznie.

– A otóż właśnie diament – powiedziała Krystyna z westchnieniem. – Od początku wiedziałyśmy, że chodzi o diament i on jest prawdziwy. Rżnie szkło. I pojęcia nie mamy, co z nim zrobić.

– Można go wziąć do ręki i obejrzeć z bliska? – spytała Marta z szacunkiem.

– Możesz go nawet ugryźć, jakbyś chciała. Najwyżej sobie ząb wyłamiesz.

Zważywszy, że oglądać chcieli wszyscy razem, diament należało potem obetrzeć z majonezu, oliwy i musztardy. Elżusia przyniosła ciepłą wodę w misce i najnowszą ścierekę do naczyń. Porządnie oczyszczony z produktów spożywczych skarb znów spoczął na środku stołu.

– No to teraz mówcie od początku – zażądał Jurek.

Tak długiej kolacji dotychczas chyba w tym domu nie było, o jedenastej wieczorem jeszcze dokładałyśmy szczegóły. Od połowy relacji Jędrus zaczął kiwać głową i kiwał tak już do końca.

– Znaczy, to znaczy, że to było to – rzekł uroczyście. – Wuj Florian przed śmiercią mówił, mętnie dosyć, ale z wielkim naciskiem, że jest rzecz, która do was należy, nie wiadomo, gdzie jest, ale jest, chyba żeby jej nie było. Ale może być, a gdyby się znalazła, do Noirmontów należy i wstyd nawet, że jest w naszej rodzinie, w razie gdyby była. Od śmierci bratowej Antosi nikt nic nie wie, ale jakby co, to przez nią.

– Nie wydaje mi się, żeby ojciec wyjaśniał sprawę bodaj trochę mniej mętnie – zauważył Henio z powątpiewaniem.

– Toteż właśnie...

– Nie szkodzi, my rozumiemy – przerwała żywo Krystyna. – Co niby miała zrobić ta nieszczęsna Antoinette, jak go znalazła po ucieczce narzeczonego? I po zakochaniu się w Marcinie, bo że się zakochała, głowę daje. Rozważaliśmy to. Mogła schować dowód rzeczowy, żeby nie rzucać na niego podejrzenia o zbrodnię, alternatywą jest chęć zostawienia klejnotu dla siebie, ale przyjmujemy pierwszy pogląd. Z grzeczności.

– Jedna Angielka, dwie Francuzki, reszta już same Polki – wyliczyła Marta na palcach. – Popatrzcie, wszystkie kobiety jednakowe, narodowość obojętna. Też bym się nie obraziła, mieć coś takiego dla siebie, i zdaje się, że też bym się wygłupiła dla faceta. Antosia, mam wrażenie, podwójnie, raz dla byłego, raz dla przyszłego.

– Uczuciowa była... – westchnęła rzewnie Elżusia.

– I co zrobicie teraz? – spytał Jurek rzeczowo.

– Dowcip polega na tym, że nie wiemy. Prababcia Karolina wymyśliła, że skoro on jest podwójny, a my jesteśmy bliźniaczki, powinnyśmy go znaleźć i posiadać. Może jakoś wykorzystać. Szczegółowych instrukcji nie udzieliła, bo sama nie była pewna, czy on w ogóle jeszcze istnieje. Mamy cichą nadzieję, że nam coś doradzicie. Przez prawie sto pięćdziesiąt lat rodzina Kacperskich była czystym błogosławieństwem dla Przyleskich i Noirmontów.

– Przez sto trzydzieści trzy – uściśliła Krystyna.

– Dzięki Noirmontom Kacperscy z nędzy wyszli – przypomniał Jędrus surowo. – Do dziś nam jeszcze zostało Florianowe złoto, a że oni wszyscy – wskazał brodą swoich synów i córkę – nie głupie i nie chciwe, to zwykła

łaska boska. Słuszne jest, żeby i wam coś zostało. Sprzedać to możecie, ale czy ja wiem...

* * *

Jako następny w charakterze eksperta i doradcy, wystąpił Paweł.

Zanim jeszcze ruszyliśmy z powrotem do Warszawy, uzgodniłyśmy sprawę. Z propozycją wyskoczyła Krystyna, oceniająca naszych przyszłych przytomnie i bez złudzeń.

– Idiotyzmem było przyjechać dwoma samochodami – rzekła gniewnie, wchodząc do mojego pokoju, gotowa już do drogi. – W jednym mogłybyśmy teraz naradzać się do upojenia. Nie będziemy przecież jechać równo, wrzeszcząc do siebie przez otwarte okna.

– Szczególnie że deszcz pada – zgodziłam się i usiadłam na łóżku. – No? Masz jakiś pomysł?

Usiadła naprzeciwko mnie, na fotelu.

– Mam. Trzeba to zwalić na łeb właściwemu chłopu. Andrzej odpada, niepraktyczny życiowo, twój Paweł lepszy. Proponuję, żeby naradzić się z nim od razu, dzisiaj wieczorem.

– Ale Andrzeja musimy dokooptować, bo inaczej się obrazi.

– Myślisz...?

– Jestem pewna. W każdym razie powinien. Przy okazji załatwisz kwestię tego bogatego gacha, którego doisz dla jego dobra.

– Bardzo dobrze, to ma swój sens. Gdzie się spotkamy?

– U mnie chyba, nie? Do niego mogłaby się wedrzeć ta suka, Iza, u babci za dużo rodziny, będą przeszkadzać. Chyba że u ciebie?

– Nie, wolę u ciebie. Ty potem będziesz zmywać, a nie ja. Bierz go wobec tego i zaraz po przyjeździe zaczniemy po sobie dzwonić.

Z westchnieniem wzięłam od niej grubą wełnianą skarpetkę, wybraną jako eleganckie etui na klejnot. Miałam nadzieję, że wreszcie ona popilnuje skarbu, a ja zyskam trochę świętego spokoju. Okazało się, że nic z tego, znów pada na mnie. Nosem mi już wychodziły przemyślnie schowki i wyszukane podstępny, włożyłam zatem skarpetkę wraz z zawartością najzwyczajniej w świecie do torby.

No i na Krystynę już w pobliżu Poddębic dokonano napadu.

Pojechała pierwsza, ja zaś zostałam daleko z tyłu, bo między nią a mną wywaliła się na szosę cała kopiaisto załadowana przyczepa siana w bryłach geometrycznych i musiałam odczekać, aż trochę tego uprzątnełi. Napadu na nią wcale nie oglądałam.

Zatrzymała ją drogówka w postaci dwóch policjantów. Grzecznie kazali zjechać w boczną drogę przy zagajniku i nie symulując już niczego, wyciągnęli spluwy. Na myśl, że właśnie przekazała drogocенność w moje ręce, Krystyna dostała ataku straszliwego śmiechu i do końca złoźnej akcji nie zdołała się uspokoić. Nawet rewizja osobista nie popsua jej humoru. Przeszukali ją oraz cały samochód, ani słowem nie zdradzając celu poszukiwań, wściekli nieziemsko, po czym znikli, nie robiąc jej w rezultacie żadnej krzywdy. Przeszukiwanie pojazdu trochę trwało i właśnie w tym czasie przejechałam spokojnie i bez żadnych złych przeczuc, a Kryśka w zagajniku wyła z radości i lzy jej z oczu ciekły. Od śmiechu rozboleły ją żebra, ale nie narzekała zbytnio na tę dolegliwość.

Później, przez czysty przypadek, dowiedziałyśmy się, jak to wyglądało od drugiej strony.

Prawdziwa drogówka w liczbie trzech funkcjonariuszy stała całkiem gdzie indziej. Wszyscy trzej nagle złapali się za szyję, zdziwili się, skąd osy o tej porze roku, źle się wyrazili o insektach i film im się urwał. Równocześnie zapadli w sen błogi i głęboki, po jakimś czasie zaś ocknęli

się wśród krzewów, pozbawieni mundurów, za to, ku własnemu bezgranicznemu zdumieniu, a także uldze, nie pozbawieni broni. Medycznie zostało stwierdzone, iż uśpiono ich nabojami na grubego zwierza. Ściśle biorąc, brak odzieży zauważyło dwóch, trzeci miał na sobie komplet i w pierwszym momencie padły na niego różne głupie podejrzenia, na szczęście jednak taki rozmiar zidiocenia, żeby obrabować kolegów, a samemu się wyróżnić, dla mniej więcej normalnych ludzi jest nieosiągalny, odczepiono się zatem od niego bardzo szybko. Ich pojazd został odnaleziony prawie równocześnie przez inny komplet Służby Ruchu.

Wydarzenie było tak dziwne, wstydlive i kompromitujące, że postarano się czym prędzej je zatuszować. Szkód żadnych władza nie poniosła.

I nawet kataru w tych zaroślach nie dostali, zapewne dzięki temu, że deszcz przestał padać już wcześniej.

Kryśka, w szampańskim humorze, opowiedziała o niezwykłej napaści od razu, tego samego wieczoru. Udało się jej złapać telefonicznie Andrzeja, ja zaś dopadłam Pawła, przyszli obaj, przyjrzeni się sobie wzajemnie i rozpogodzili się wyraźnie i zgodnie.

Ustawiłam na stole wszystko, co miałam w domu, wino, piwo, koniak i nieźle przymrożonego szampana. Po czym, na środku, wśród licznych szkieł, bez słowa położyłam diament.

Zmiłuj się Panie, jakaż to była, swoją drogą, przyjemność! Położyć na stole coś, co nie ma prawa istnieć na świecie, co wygląda tak, że trudno oczy oderwać, co w ogóle nie ma ceny, co z miejsca ustawia nas obie na poziomie, przerastającym wszelkie możliwe pieniądze! Pozwolić im to oglądać. Powiedzieć niedbale: Ach, to nasze rodzinne, spadek po przodkach...

Cokolwiek by ten mój ukochany głupek wymyślił, moja interesowność odpadnie mu w przedbiegach. Razem z parszywą Izunią.

Myśl o Izuni, która na widok Wielkiego Diamentu z całą pewnością dostałaby małego rozumu, wprawiła mnie w euforię. Krystynie Izunią nie była potrzebna, euforii dostarczył jej rabunek.

– Spluwę to ja miałam w odwłoku, sama rozumiesz – powiedziała do mnie, z upodobaniem przyglądając się dekoracji stołu. – Ale trzymali mnie, a ze śmiechu osłabłam, więc do tego trzymania wystarczył jeden. Nie wyrywałam się zresztą. Gdyby go znaleźli, zabraliby sobie i cześć pieśni ludowej. Paweł może nawet wcale nie stanąć na wysokości zadania, mój pogląd na niego odwalił swoją robotę, nie mam większych wymagań.

Paweł przecknął się z zapatrzenia.

– To jest diament – rzekł ostrożnie. – Trochę się na tym znam. O giełdzie diamentowej mam odrobinę pojęcia. Panienki...

Popatrzył na nas nieco podejrzliwie. Tym razem różniłyśmy się od siebie, przezornie uzgodniłyśmy kwestię stroju, poza tym Krystyna wciąż jeszcze nie mogła opanować nagłych chichotów. Po tych chichotach zapewne odgadywał, która to ona, a która ja, bo kieckami mogłyśmy się zamienić. Upewnił się w kwestii naszej tożsamości i znów utkwiał wzrok w diamencie.

– Sam bym to kupił, ale mnie nie stać – oznajmił. – Skąd to w ogóle pochodzi?

Nadszedł czas wyjaśnień. Udało nam się obskoczyć temat w godzinę, razem z prezentacją dowodów rzeczowych. Obaj słuchali uważnie, Andrzej, fanatyk, nie fanatyk, umysłowo był jednak nieźle rozwinięty, a Paweł, człowiek interesu, rozważał całą rzecz od razu praktycznie.

– Mam parę wniosków – rzekł. – Chcecie?

– Głupie pytanie – odparła żywo i grzecznie Krystyna.

– A zatem primo: ten sakwojażyk czy sepecik, czy co to tam jest, należy bezwzględnie i jak najszybciej zwrócić potomkom pierwotnego właściciela.

Wyjąć mu z ręki pretensje. Gdzie to macie?

Rozumiałam, że pyta o sepecik, a nie o właściciela.

– Został w Noirmont – wyznałam ze skruchą. – Wyjeżdżałyśmy w pośpiechu i udało nam się o nim zapomnieć. Leży w mojej sypialni, zdaje się, że w szafie na półce.

– O ile jeszcze leży. Zwracać z hukiem, przy świadkach, za pokwitowaniem. Secundo: ujawnić całą historię kamienia poprzez ekspertyzy, prasy zachęcać nie trzeba, sama wskoczy w sensację. Tertio: ubezpieczyć go, na razie jeszcze nie wiem na ile. Quarto: umieścić w sejfie bankowym...

– Nie u nas chyba? – przerwała mu Krystyna z niesmakiem. – Od nas tajemniczo wyparuje, a w sejfie będzie leżała imitacja.

– Owszem, tak czy inaczej, trzeba go zawieźć do Francji. Własność prywatna, ale zaczęło się od Francuza, komplikacji międzynarodowych zawsze warto unikać. Jeśli chcecie go sprzedać...

– Nie chcemy... – wyrwało nam się obu razem, bardzo cichutko.

– Tak podejrzewałem. Ale możecie udawać, że tak. Sądzę, że parę ofert przyjdzie. Poza tym, możecie go pokazywać, objędzie świat jak, na przykład, złoto peruwiańskie i będzie sam na siebie zarabiał, wszyscy polecą go oglądać.

– I w końcu ktoś go rąbnie – mruknęła Krystyna.

– Nikt go nie rąbnie. Nieopłacalna kradzież. O jego ochronę zadbają towarzystwa ubezpieczeniowe, podwędzenie wypadłoby kosztownie, a sprzedaż niemożliwa. Musieliby go pociąć na drobne kawałki, wówczas jego wartość spada beznadziejnie, wyszliby na zero. Ewentualny złodziej może jeszcze wywinąć dwa numery: jeden, rąbnąć na zamówienie, a drugi, zażądać od was forsy za zwrot. Ogólnie będzie wiadomo, że nic nie macie...

Jakieś straszne milczenie zapadło nagle w pokoju. Jediną osobą, która coś miała, był on sam, Paweł.

Oczyrna duszy ujrzałam dalszy ciąg. Wszelkie haracze i łapówki ściągaliby z niego. W uszach zabrzmiał mi jego głos: „W tej sytuacji nie mogę się z tobą ożenić i nie możemy razem zamieszkać. Nikt nie może z tobą zamieszkać, stajesz się niebezpieczna dla otoczenia...”. Na marginesie wyobraźni dostrzegłam Andrzeja, jak się podnosi z martwą twarzą, dżentelmeńsko obiecuje dochować tajemnicy, ale ma pracę, którą będzie chronił przed kretyńskimi komplikacjami, Krystyny nie dotknie rozżarzoną pogrzebaczem, kłania się i wychodzi... Paweł za nim, poda mi przez telefon nazwisko jakiegoś eksperta... Gdzieś pod sufitem szatańsko zachichotała Izunia...

No i proszę, osiągnęłam cel...

Czy w ogóle w dziejach świata jakiś diament wyszedł komuś na zdrowie...?

Andrzej podniósł się z fotela i poczułam w sobie nagle, lodowate zimno.

– W życiu by mi nie przyszło do głowy, że zakocham się w bombie zegarowej – oznajmił rozweseloną głosem. – Czy pozwolicie, że otworzę tego szampana? Cokolwiek uczynicie, moje panie, z góry apróbuję wszystko.

Zanim zdumiewająca treść jego słów dotarła do mnie, odezwał się Paweł.

– W tej sytuacji musisz zamieszkać ze mną natychmiast. Mam odpowiedni sejf i nie przyjmuję do wiadomości protestów. Jutro poruszę dyplomatycznie giełdę diamentową, niech się zainteresują, im prędzej, tym lepiej. Dam wam paryskiego adwokata, który umie takie rzeczy prowadzić.

– Jak to? – spytała ze zdumieniem Krystyna i zrozumiałam, że oczyma duszy zdążyła sobie obejrzeć dokładnie to samo co ja. – Czy to znaczy, że

obaj chcecie się z nami ożenić?!

– Każdy z jedną – zastrzegł się szybko Andrzej, ruszając delikatnie korek. Z butelki, która cały czas tkwiła w wiaderku z lodem, kapało mu na podłogę. – Przynajmniej jeśli o mnie chodzi...

– Ale my przecież stanowimy jakieś zagrożenie...!

– Odrobina ryzyka dodaje życiu smaku.

– Ja też z jedną – powiedział równocześnie Paweł i pokazał mnie palcem. – Z tą, o ile dobrze rozróżniam. Człowieku, nie do popielniczki, to niezły szampan!

Wróciliśmy w końcu do tematu. Poczułam w sobie błogość niebiańską, czułe i tkliwie popatrzyłam na iskrzącą się wśród kieliszków bułę. W gruncie rzeczy dopiero ten cholerny skarb pozwolił mi uwierzyć, że oni nas rzeczywiście kochają...

W pierwszej kolejności wyskoczyła nam kwestia Heastona. Krystyna zaczęła się upierać, że w napadzie brał udział, jako osoba trzecia, kryjąca się przed jej wzrokiem. Antosia Bartczaka też on wynajął, bo któż by inny. Należy go złapać, ujawnić i uszczęśliwić sepecikiem. Nazwisko poda nam notariusz, z którym próbował ubijać interesy.

Udało nam się jakoś ustalić plan działania. Potem Krystyna z Andrzejem wyszli. Roziskrzona buła została na stole i straciłam wszelki szacunek dla złodziei, którzy nie skorzystali z okazji...

W trzy dni później paryski mecenas przedstawił nam swoje dezyderaty.

* * *

Zdążyłam wrócić na własny ślub, po czym rozpoczęłam dość dziwny miesiąc miodowy. Polegał na gromadzeniu, kserowaniu i komentowaniu dokumentów rodzinnych oraz poszukiwaniu Heastona, który wreszcie zyskał nazwisko. Wenworth. Okazało się, że jeszcze za życia prababci

Karoliny został sprawdzony, jego babcia była pochodzenia francuskiego i jej panięskie nazwisko brzmiało Trepon. Córka pana Michela Trepona, jubilera, emigranta z Europy...

Sakwojażyka ten kretyn szukał, kiedy należało przejrzeć pudła na kapelusze. Teraz, kiedy przedmiot spoczywał w zwyczajnej szafie, nawet palcem nie kiwnął. Nienormalny albo po prostu nie było mu przeznaczone.

Uroczystość przekazania mu pamiątki po przodkach zbiegła się prawie ze ślubem Krystyny. Zdążyliśmy jeszcze tylko wtrynić mu diamentową dokumentację i poprosić grzecznie, żeby się odczepił. Nie był taki głupi, jak by się wydawało, bo zrozumiał, że jego szansę uległy zagładzie.

Przy okazji udało nam się spełnić obietnicę. Jadąc do Noirmont po sepecik, zabrałyśmy ze sobą diament, co było lekkomyślnością tak przeraźliwą, że nikt by nas o nią nie posądził, ale kamerdyner Gaston musiał go zobaczyć. Warto było dokonać prezentacji, bo zachwyty wiernego sługi przerósł wszystko, co ktokolwiek do tej pory okazał. Wręcz doznałam wrażenia, że dopiero teraz klejnot rodzinny został obdarzony specjalnym błogosławieństwem.

Nieco później zaś wyszło na jaw najśmieszniejsze. Obydwoje, Izunia i Heaston, przebywali w Polsce w tym samym czasie i obracali się poniekąd w tych samych kręgach, bogaci cudzoziemcy zza oceanu. Izunia miała swój rozum, Paweł jej się wymknął z pazurów, zagięła parol na kolejnego chłopca i poderwała naszego eks-konkurenta. Ledwo wrócili do własnego kraju, już zagrzmiało wesele.

– Wychodzi mi, że ten diament działa jak biuro matrymonialne – zauważyła Krystyna, kiedy nieco okreżną drogą dotarła do nas miła wiadomość. – Wali na oślep, każdy z każdym.

– I nie tylko – przypomniałam jej. – Ile tych bab, czekaj... Mam na myśli posiadaczki legalne... Arabella...

– Prababcię Arabellę uważasz za legalną?

Zawahałam się.

– Czy ja wiem... Powiedzmy, że przywróciła go rodzinie, w tamtym momencie nikt inny nie rościł do niego pretensji. Półlegalna.

– No dobrze, i co? Arabella...

– Klementyna, Marietty, rzecz jasna, nie liczę, potem Justyna, potem prababcia Karolina, po drodze, jako przynależne do rodziny, praprababcia Przyleska i babcia Ludwika...

– I co one wszystkie?

– Otóż właśnie, sama popatrz. Wszystkie, jak leci, były szczęśliwe w małżeństwie przez całe życie. Żadnych dramatów, żadnych zdrad, żadnych nieszczęść...

– Ominęłaś Antosię Kacperską.

– Nielegalna. I nie należała do rodziny.

Krystyna zastanowiła się, pokręciła i pokiwała głową.

– Może i jest w tym coś. My jesteśmy legalne?

– Masz wątpliwości? Jak w pysk strzelił! Aż obrzydliwość bierze.

– W takim razie nie sprzedam go za skarby świata. I tobie też nie radzę...

Przestałyśmy się już właściwie ze sobą kłócić, nie zaprotestowałam zatem wyłącznie dla zasady. Zabobonnie zaczęłam wierzyć w ten okropny diament, który nie pozwalał się nijak zużytkować. Ani to sprzedać, ani pociąć, bo szkoda, ani nosić na sobie... Przed publicznymi pokazami też nas jakoś cofnęło...

A, niech leży, czort z nim! Na bieżące potrzeby reszty spadku wystarczyło, później zaś będą się z nim użerać nasze dzieci. I wnuki. Może ulegną się w rodzinie jeszcze jedne bliźnięta...

I może w końcu, do pioruna, pojawił się na tym świecie jakiś diament, który swoim posiadaczkom przyniesie szczęście...

JOANNA CHMIELEWSKA

Vers

Wielki Diament

TOM I

